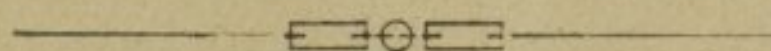
ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1898.

TOM IV.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XCII.



WARSZAWA.
DRUK JANA COTTY,
ulica Kapucyńska № 7.

1898.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Ноября 1898 года.

SPIS RZECZY.

Str.

1. Rzeczy społeczne i spółczesne.

2. Psychologia i socyologia.

3. Ekonomia i przemysł.

4. Literatura.

5. Beletrystyka.

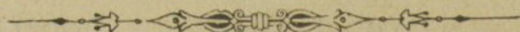
6. Historya.

Str.

7. Podróże.

8. Nauki przyrodnicze.

6. Rozbiory i sprawozdania.



IRONIE ŻYCIA.

Nowele z Albionu.

III.

Gentleman John.

I.

— John, mam z tobą do pomówienia. Przyjdź do mego buduaru! — rzekła po śniadaniu wdowa po pułkowniku Aylesbury do swego kamerdynera w jasno granatowym żakiecie z świecącemi guzikami, który z godnością wielkopańskiego domownika odstawiał srebrne naczynia ze stołu na pięknie rzeźbiony kredens z orzechowego drzewa.

Głos jéj zadrżał mimowoli uroczystą nutą, smagłe oblicze o ostro zarysowanych rysach powlokło się cieniem zakłopotania, jakby w prostém wezwaniu wyraziła wszystko, co miała na sercu. Spuściła oczy i, zabrawszy listy i gazety ze srebrnéj tacy, powstała szumiąc spódnicami.

Nic nie odrzekłszy, kamerdyner podniósł na nią ździwiony wzrok, uderzony niezwykłym tonem swéj żołnierskiéj, zwykle lapidarnie prze-

mawiającéj chlebodawczyni, i patrzył się w jéj energiczną twarz, jak w tuza, a gdy wyszła z jadalni, nie rzuciwszy nań swém żywém i bystrém okiém, ujął się pod boki i, zwrócony ku zapadłym drzwiom z rozchylonemi ustami, zamyślił się. Z obłoku osłupienia wynurzył się wreszcie nieśmiały uśmiéch, kiwnął głową wesoło, przymrużył jedno oko filuternie i sprzątał daléj ze stołu z taką opieszałością, z jaką leniwa myśl jego krążyła wokoło zagadkowego zachowania się pani domu.

Ociągał się ze spełnieniem rozkazu; wszelki pośpiech bowiem sprzeciwał się jego flegmatycznéj naturze. Zresztą, jak każdy służebnik angielski, tak lękał się zapracować i zamęczyć, tak ociężał w wygodnym trybie życia, iż wszystko szło u niego w powolném, ospałém tempie, mimo nieposlednią siłę muskularną, o jakiéj mówiły kształty tego dobrze odżywianego, rosłego i zwalistego chłopa lat trzydziestu kilku. Zanim wstąpił na schody, wiodące do salonu, gabinetu i innych pokoi wielkiego domu londyńskiego, zatrzymał się w obszernym przedsionku przed kryształowém zwierciadłem. Poprawił biały krawat i pikową kamizelkę, jak przystało na szanującego się lokaja, wyszczotkował rękawy i spodnie, pogładził dłonią płasko przyczesane blond włosy, co zachodziły na niskie czoło, i uśmiéchnął się do wizerunku swéj przystojnéj osoby, o postawie pokaźnéj, niemal pańskiéj.

O swéj urodzie, którą mierzył łokciem, John Hopkins nie wątpił ani chwili. Wzrostowi i powierzchowności zawdzięczał doskonałe stanowisko we wiejskiéj siedzibie lorda Wimborne, a potém u pułkownika Aylesbury, który zmarł wkrótce po objęciu przez niego lokajskich obowiązków. Powtóre, płeć żeńska nie szczędziła mu oznak sympatyi, dlatego przyjmował je, jako rzecz naturalną, z pewném lekceważeniem traktując oddaną sobie kucharkę z pobliża, z którą łączył go poufały stosunek, lubo w czasie nieobecności jéj chlebodawców gospodarował w ich domu jak u siebie, a w dzień swych urodzin i na Gwiazdkę odbiérał od niéj kosztowne podarki. Odwdzięczał jéj się za to, biorąc ją czasem do teatru, gdy nie nawinęła się inna niewiasta, oraz udzielając jéj cennych wskazówek, dotyczących biegunów wyścigowych. Oboje bowiem grywali systematycznie w totalizatora, a John zasięgał języka u znajomych masztalerzy i wtajemniczonych w arkana turfu indywiduów, których nieprzeliczone mnóstwo wałęsa się po miejskim bruku.

Za innemi amorami John nie uganiał się, lecz niemi też nie gardził, lubo cenił sobie wygodny stosunek z kucharką. Wyróżniał czarnowłosą Bessie, młodą pokojówkę jednéj z przyjaciółek pani pułkownikowéj. Zapoznawszy się z nią w czasie krótkiego pobytu w nadmor-

skiéj osadzie Parkstone, w hrabstwie Dorset, gdzie obie te damy posiadały wille, odświeżył znajomość w Londynie. Wprawdzie obcowanie z nieokrzesaną, nieobytą w świecie prowincyonalną gąską nie licowało ze stanowiskiem *butler*'a, lecz Bessie, krew z mlekiem dziewczyna, wpadła mu w oko głęboko. Odczuwała ona różnicę zachodzącą pomiędzy sobą a dostojnym kamerdynerem i względy jego schlebiały jéj wyraźnie. Jakoż chętnie wychodziła z nim na przechadzkę lub na widowisko, jednéın słowem „była słodką względem niego", ale na tém się kończyło. Potulna, niby jagnię, w niektórych razach jednak okazywała się zuchowatą, nie pozwalając nawet pocałować się bez fanaberyi. Mimo że to „nierozsądne" postępowanie Bessie irytowało Johna, poczęła go nawiedzać myśl o ożenku. Nie zdradzał się z tém wszakże przed służbą i ostatecznie wzgląd na ludzi, w których pojęciu spadłby nisko, odstraszał go od stanowczego kroku. Zresztą, chcąc później nabyć oberżę, życzył sobie za żonę wzbogaconéj, eleganckiéj kelnerki, wogóle panny posażnéj. Mógł się przecież podobać? Ot, sama pani Aylesbury dała mu do poznania, iż uważa go za przystojnego mężczyznę!

Było to pewnego ranka, gdy pięćdziesięciokilkoletnia wdowa odbywała zwykły przegląd swych mnogich psów, wiszących na łańcuchach przy budach, któremi okolone było całe, wyasfaltowane podwórze. Już to kochała się w nich ona! Broń Boże, aby któremu z nich stała się krzywda, a jeśli ten lub ów inwalid zaniemógł ciężko, powstawał w domu taki rwetes i harmider, że John nie mógł prawie wypić szklanki piwa w spokoju. Wiele psów ratowała pani Aylesbury od niechybnéj zagłady, nabywając z *home*'u dla zbłąkanych przez właścicieli nieodebrane i skutkiem tego zagrożone śmiercią sieroty, których pozbywała się, jak i gdzie się dało, by znaléść przytułek u siebie dla nowego legionu znajdów. Każdy, wchodzący w jakimbądź charakterze w styczność z jéj domem, prędzéj czy późniéj musiał przyjąć od niéj jednego z faworytów. Doskonale wiedzieli o tém kramarze z sąsiedztwa, powolni jéj życzeniom pod grozą utraty klientki, aczkolwiek zdarzało się, że owe podarowane psy gdzieś się zawieruszały i przepadały bez śladu. Nad zgrają psów czuwał osobny posługacz, spędzający dni albo na przeprowadzaniu ich na przechadzkę, albo na drzémce przy kuchennym kominie. Karmienie ich odbywało się prawie zawsze w obecności pani i Johna, który, jako generalissimus w tém państwie, zdawał szczegółowe raporta najwyższéj władzy o stanie ich zdrowia. Z biegiem czasu doszedł on do takiego obznajmienia się z psiemi dolegliwościami, iż wielokrotnie zastępował weterynarza z dobrym skutkiem. A nabyta w tym kierunku erudycya przejmowała go niemałą dumą.

Tego dnia młody, kłapouchy seter, wielce zbiédzony, a pod okiem Johna wyleczony z robaków i dobrze odpasiony, powitał panią Aylesbury radosném szczekaniem. Skomlał, łasił się, targał za łańcuch i wyskakiwał pełen dobrego humoru, który udzielił się jego pani. Dotknęła się ręką jego zimnego nosa i, spoglądając z zadowoleniem na lśniącą, ceglastą jego sierć, mruknęła:

— Przyszedł do siebie. Dobrze! John, przerobiłeś tego zdechlaka na ładne zwierzę. Chodź, dam ci za to suwerena.

Mimo swój wiek, objawiający się srebrzystemi plamami powyżéj uszu, pomaszerowała prosta, zamaszysta i sprężysta w ruchach do pokoju, a John kroczył poważnie za nią z obliczem okraszoném zadowoleniem z pochwały i nagrody, co w sezonie wyścigowym przyszła mu na rękę.

Wręczywszy mu piéniądze, pani Aylesbury popatrzyła się łaskawie na wygoloną jego twarz bez wyrazu, o zdrowéj karnacyi i poklepała go dość silnie po policzku, zacinając przytém zęby.

— Dzielny chłop, ani słowa!... Ruszaj teraz, a nie zaniedbuj kulawego buldoga.

Oczy jéj zatrzymały się na nim długo, objęły krytycznie całą jego postać i przeprowadziły go do drzwi.

Odtąd przyglądała mu się często, uważnie, z widoczną przyjemnością. Wkrótce zaszczyciła go znowu takim lwim karesem i byłaby może wdała się w pogawędkę, gdyby nie zaskoczył jéj wizytą ojciec Muphry, Jezuita, żyjący trochę na uboczu od swego zakonu w ubogiéj mieścinie portowéj Poole. Lubo z rodu anglikańskiego, pani Aylesbury od lat kilku uczęszczała do katolickich kościołów, sprawami katolicyzmu zajmowała się gorąco, nie szczędząc także hojnych datków na kościołek w nędznéj siedzibie rybaków i marynarzy, do którego zajeżdżała podczas swéj bytności w przyległém do Poole Parkstone. Ojciec Muphry był zawsze miłym gościem jako człowiek, o skromnéj powierzchowności wprawdzie, ale inteligentny, rozmowny, z ogładą towarzyską i niepospolicie muzykalny. W młodości był nauczycielem muzyki, lecz zakochany bez wzajemności w jednéj z swych uczennic, porzucił swój zawód, aby szukać ukojenia i pokoju dla zranionego serca na łonie kościoła. Nić idealno-erotyczna, wplątana w pasmo spokojnego i przykładnego żywota, dodawała mu pomiędzy arystokratycznemi rodzinami w Parkstone tyle powabu, ile świetna gra na fortepianie budziła podziwu.

Po długiéj rozmowie z nim w cztery oczy, pani Aylesbury zatrzymała go na obiad, w czasie którego ojciec Muphry strzelał z pod siwych

brwi bladém, mądrém okiem w stronę kamerdynera, co jednakże uszło uwadze Johna.

Ten względem kleru i kościoła był usposobiony obojętnie, nie zaprzątał sobie tém głowy nigdy i jedynie na prowincyi, gdy można było oczekiwać pięknych śpiewów chóralnych, uczęszczał do kaplicy anglikańskiéj dla zabicia czasu i spełnienia powinności spoczywającéj na dystyngowanym lokaju.

Nie przypuszczał, aby odwiedziny ojca Muphry stały z jego osobą w jakiéjbądź styczności. Natomiast wielokrotnie rozpamiętywał sobie głośny objaw łaski, jaka spłynęła na jego policzek z silnéj dłoni pani Aylesbury, i zmierzając do jéj buduaru, przypuszczał, że spotka go ten sam zaszczyt po raz trzeci, a może nawet suweren dostanie mu się w nagrodę za troskliwość, okazywaną jéj faworytom.

W pokoju wysłanym plecionką trzcinową, pożyłkowaną zielonkawemi pasmami, umeblowanym lekkiemi sprzętami bambusowemi i przystrojonym bogato wytwornemi tkaninami indyjskiemi, makatami, mosiężnemi medalionami i akwarelami widoków morskich, przechadzała się tam i napowrót Mrs. Constance Aylesbury z nożem z kości słoniowéj do rozcinania papiéru w ręku, machając nim niekiedy w powietrzu niby maczugą. Jéj wysoka, ciemna sylwetka odrzynała się wyraziście od blado-żółtego tła gustownie urządzonego buduaru.

Gdy kamerdyner przestąpił próg, zajęła miejsce przy biureczku upstrzoném kosztownemi cackami, w szczególności figurkami psów, i przeładowaném fotografiami syna, piastującego wysoki urząd w Szangaju, zamężnéj córki, lady Erskine, i miss Evelyn, młodszéj córki, która, doszedłszy do pełnoletności i swego działu majątkowego, puściła wodze swéj podróżomanii i, nie harmonizując z matką, najczęściéj rozbijała namiot w Wenecyi z dwoma podstarzałemi, niezamężnemi kuzynkami. Na jasnym tapecie zaś czernił się bronzowy medalion dzielnego pułkownika grenadyerów gwardyi.

— John, siadaj tutaj! — rzekła dama rozkazującym tonem, bez cienia zakłopotania, jakie znalazło do niéj przystęp poprzednio, wskazując służącemu krzesło tuż naprzeciw siebie.

Na to oczy kamerdynera rozwarły się szeroko. Zdało mu się, że się przesłyszał, bo nic podobnego nie wydarzyło mu się w życiu. On, płatny domownik, miał zająć krzesło przy majętnéj damie, skoligaconéj wysoko! Po chwili wahania, przestępując z niemądrą miną z nogi na nogę, przycupnął na brzegu krzesła z skulonemi pod siebie nogami, z torsem wyprężonym, jakby postawą chciał wyrazić, że chociaż rozkaz spełnił i siedzi, pragnie stać i prawie stoi.

Iskra wesołości zatliła się w ciemnych, przenikliwych źrenicach żołnierskiéj wdowy, która poniżyła się w opinii Johna, wąskie jéj wargi rozwarły się do śmiechu, odsłaniając rzędy zdrowych zębów, a twarz z dwoma brózdami, idącemi od nozdrzy ku kątom ust, dawniéj może nieszpetna, teraz nieświéża, zmięta i czerwonawa, przybrała wyraz znamionujący głębokie ukontetowanie.

— Pomyślałeś ty kiedy o ożenku, John?—zagadnęła obcesowo.

W zakłopotaniu John przecierał dłonią kark i mrugał szybko powiekami.

— Zapewne ożenię się, chociaż...

— Ja ci powiem, co ty zrobisz, John. Poślubisz... mnie.

Skonfundowany, John drgnął, zerknął na nią i znowu zwiesił głowę. Czyliż on dostał się w świat zaczarowany? W głowie jego powstał zamęt, myśli hulały, niby wichrem pędzone, a on nie mógł pochwycić z nich żadnéj, nie mógł ogarnąć umysłem oświadczenia, ani zrealizować jego doniosłości. I siedział bez słów, bez czucia, nawpół pijany, i drapał się po kolanach, powtarzając sobie w myśli machinalnie: „John... poślubisz... mnie!"

Napróżno, czekając odpowiedzi, pani Aylesbury podważyła mu brodę nożem, mówiąc:

— Patrz się na mnie, John! Słyszałeś, co mówiłam. Ojciec Muphry pobłogosławi nasz związek, poczém wyprowadzę się do hrabstwa Dorset. *John you lucky dog*, otóż spotkało cię wielkie i niezasłużone szczęście! Wyjdziesz na dżentelmana!

Na dźwięk tego magicznego słowa John poruszył się, jakby elektrycznym prądem tknięty.

— Czeka cię wygodne życie — ciągnęła pani Konstancya. — W testamencie nie zapomnę o tobie. Tymczasem jednak nie myślę wcale schodzić z tego świata.

Ścięty z nóg, jakby ubezwładniony, John nie odzyskał jeszcze głosu. Słowo „dżentelman" grało mu koło uszu, niby fanfara trąbki myśliwskiéj, fala radości podniosła się w nim i ogarnęła zmysły, lecz nie mógł wykrztusić ani sylaby, bo gdy wzruszenie zakradło się do prymitywnéj, surowéj jego natury, przybiérało potężne rozmiary i rozpiérało mu piersi... A gdy wreszcie miał odpowiedź na ustach, uprzytamniał sobie, kogo ma przed sobą, i milkł, niemal przerażony.

Atoli rozpromieniona twarz mówiła dość pani Aylesbury, która bez zwłoki siadła na jego kolanach i oplotłszy mu szyję, wycałowała go serdecznie.

Wywarło to nań wpływ ożywczy. Oddał jéj jeden i drugi uścisk, nie troszcząc się o to w téj chwili, czy młodą i ładną, czy też szpetną

i starą całuje kobiétę, bo jak żołnierz w boju, szałem ogarnięty, rzucił się ślepo naprzód, nie pytając, kogo miecz jego usiecze.

— Słuchaj, John! — ciągnęła pani Aylesbury. — Służbę odprawię, na jéj miejsce zaś przyjmę późniéj inny personał ze względu na ciebie. Tymczasem trzymaj język za zębami; wszystko, co mówiłam, musi pozostać tajemnicą aż do ślubu. No, John, jesteś zadowolony?

Głośny, wesoły śmiech jéj wtórzył pytaniu.

— Teraz idź, a nie daj nic poznać po sobie!

— Dobrze — wyszeptał i wyszedł jak pijany.

Oprzytomniał dopiéro w izbie jadalnéj dla służby, gdzie stangret palił fajkę, czytając pisemko brukowe. Tu, rzuciwszy się w krzesło, odetchnął głęboko, jakby znużony nadmiarem wrażeń, i z przyzwyczajenia sięgnął po swą fajkę, lecz nie zatliwszy jéj, zawołał:

— Fred, pójdziemy pod „Białego Łabędzia". Poczęstuję cię piwem i cygarem. Nie, funduję ci *pint* szampańskiego wina... abyś nie wątpił, że masz do czynienia z dżentelmanem.

Stangret nie dał się prosić i gawęda w traktyerni przeciągnęła się dopóty, aż pokojówka w zastępstwie swego ulubieńca forysia, wsunąwszy głowę do przedziału szynkowego, przeznaczonego „wyłącznie dla dżentelmanów", nie zawiadomiła stangreta, iż pani kazała zaprzęgać.

Do kamerdynera zwróciła się z wyrzutem, że nie pilnuje domu, na co on odparł jéj opryskliwie i wykpał ją w dodatku.

Po wyjeździe pani na miasto, udał się na podwórze, wykrzyczał posługacza z powodu kulawego buldoga, poczém rozparł się w honorowém krześle w kuchni. Zapaliwszy cygaro, żartował z kucharką, drwił z pokojówki z butną miną, ignorując jéj pomocnicę, a na schadzkę z kochanką nie stawił się wcale. Gdy język go swędził, upominał się w duchu: „John, nie masz pisnąć ani słówka!", na pocieszenie odmieniając przez wszystkie przypadki najpiękniejszy w języku angielskim rzeczownik: *gentleman.*

II.

Na stromém wzgórzu, na ławce, spoglądającéj na ciche wody zatoki morskiéj, spoczywał Mr. John Hopkins w granatowém ubraniu, z marynarską czapką na jasnéj, kulistéj głowie, paląc z rozmysłem krótką fajeczkę, a przy jego nodze leżał na murawie popielaty mopsik z pomarszczoną, czarno zabarwioną mordą, z wywieszonym, zaślinio-

nym językiem. Tłusty, rozlany, widocznie zmęczony i dychawiczny, ziajał szybko i chrapliwie.

Palenie tytoniu stanowiło najważniejszą i bodaj najmilszą czynność pana Hopkinsa, i zwłaszcza w jasny, pogodny dzień majowy, siedząc na wolném powietrzu wśród malowniczéj okolicy, gdzie czuł się swobodnym, z prawdziwą rozkoszą cmokał drewnianą fajeczkę z bursztynowym trzonkiem, ukołysany w *dolce far niente* ciszą i wielkim pokojem, rozlanym w przestworach ożywczéj atmosfery.

U stóp jego czerwonawo-fioletowy kobierzec gęstego wrzosu wyścielał spadziste wzgórze, przetykany żółtém kwieciem janowca, pękami ostrzycy, paproci i ostromlecza, porosły miejscami krzewami jeżyny, i spadał aż na jego zbocza, gdzie jasno-żółte piaski wiły się wstęgą wzdłuż brzegu sennéj, błękitnéj zatoki. Po morza odpływie przybrzeżne piaski zapuszczały długie kliny i błotniste zagony w stojące wody, tu i owdzie jeno pokarbowane delikatnie podmuchem zefiru, a tak płytkie, że w wielu miejscach zieleniły się oliwkowe plamy przegniłych traw, po których brodziły mewy. Skrzydła ptastwa bieliły się zdala, odbijając wdzięcznie od ciemnych zarośli i blado-błękitnéj toni. Daléj na głębinach, ciemniejszych w tonie, sterczał szereg czarnych pali, wytykających szlak dla statków, co zawijały do portu Poole. Przeciwległy brzeg dużéj, okrągłéj zatoki zaznaczał się w dali szarym grzbietem ugorowych wzgórz, rozwieszonych wysoko na niebios błękicie. Na środku wód, nacentkowanych żaglami i czółnami, panowała górzysta wyspa owalnego kształtu, pokryta skostniałym lasem dębów, buków i drzew iglastych, a przez ponury ich płaszcz przeświecały zrzadka szmatki uśmiechniętéj murawy wiosennéj. I piętrzyła się dumnie, przysłaniając część zamorza, jakby nie chcąc ukorzyć się przed wyniosłym lądem stałym. Na skraju jéj przeglądało się w wodzie kilka otynkowanych domostw o płaskich dachach i spozierało w stronę wąskiego międzymorza, którego piaskowe zaspy, tu i owdzie wrzosowiskami porosłe, zakréślały sierp wkoło południowéj części zatoki. Za murem tych białawych wydm biegła szarfa morza — nie tego morza przystani wciśniętego trwożliwie w opiekuńcze ramiona ziemi, lecz śmiało stawiającego czoło wichrom, o cudnym, głębokim, grzywami fal pobielonym szafirze — i podpinała jasne sklepienie niebieskie. Z cieśniny odcinającéj język lądu od zamorza wynurzały się kształtne jachty, do białych ptaków podobne, i czarne czółna rybaków, wracające z połowu homarów, któremi słynie ta okolica. Lecz próżno szukałoby oko imponujących rozmiarami okrętów na pogodnéj, miliardami błysków drgającéj płaszczyźnie. Mielizny i bagniska obniżyły znaczenie doniosłego ongi portu tak, iż wypoczywają w nim tylko barki

i spacerowe parowczyki i wyjątkowo zaszczyca go krótką wizytą szalupa, lub torpedowiec marynarki wojennéj. Jakoż miasto Poole spoczywa na północnym krańcu zatoki jakieś martwe i z zielonego wzgórza w Parkstone zarysowuje się niewyraźnie, spowite w obłok dymu fabrycznego oraz wód matowe opary, naszpilkowane kominami i wieżami kościołów.

Z tym krajobrazem John zbratał się w ciągu ośmiu miesięcy, spędzonych w willi swéj dostojnéj małżonki. Żywiołowo odczuwając malowniczość krajobrazu, wyciągał się cały na piersi przyrody i żył życiem roślin.

Po za nim leżało Parkstone-on-sea, osada rozsypana bezładnie po wzgórzach i parowach, jedno wielkie legowisko will, co skryte jedna przed drugą w bukiety krzewów i ogrodów, schroniły się w to zacisze przed zgiełkiem światowym. Na szczycie góry, tuż po za zwirówką, dzielącą pana Hopkins od kolczastego żywopłotu, nad którym stróżował rząd akacyi, bzów i jarzębiny, królowała obszerna willa Sans souci z facyatką, ulubiona siedziba pułkownika Aylesbury, i podnosiła głowę z głębi ogrodu nad wierzchołki drzew, jasna, gdzieniegdzie pokryta łuską bluszczu i róż dzikich, spoglądając z góry na inne, świetne wille, co usłały sobie gniazda poniżéj w dolinach. Cała osada oskrzydlała ją półkolem, na którego krańcu stały, niby żołnierze na warcie, grupy starych sosen o wachlarzowych wierzchołkach, ciemne, poważne i służbiste. Pas murszowatéj ziemi, pola zbożowe, gumna, fermy i wreszcie nieprzenikniony bór iglasty zamykały przestronną sielską panoramę.

Na zwirówce było pusto. Przemknął się dwukolny wózek piekarza, niekiedy dawał się słyszéć chrzęst welocypedu, zresztą żaden szelest nie zakłócał spoczynku wyzłoconéj majowém słońcem natury. Nic téż nie odrywało pana Hopkinsa od fajki, aż dopiéro ocknął go głos łagodny i uprzejmy:

— Jak się pan miewa, Mr. Hopkins? Piękny czas.

Niepostrzeżenie podszedł ku niemu *Father* Muphry z Poole, w czarnym kapeluszu filcowym, z laską w ręku, i przysiadł się do niego na ławkę.

— *Hallo!* — powitał go ex-kamerdyner, uradowany ze spotkania.—Dokąd droga? Do nas?

— Żałuję bardzo, że nie mogę dzisiaj wstąpić i zapytać o zdrowie pani Hopkins. Mam nadzieję, że miewa się ona dobrze. Śpieszę na herbatę do lady Brassey, która, jak panu wiadomo, żywo zajmuje się naszą szkółką.

— A tak! — rzucił zbywająco John swemu przyjacielowi, jedynemu jakiego posiadał w t. zw. towarzystwie. Przed ślubem spędził

pewien czas w skromném probostwie w Poole, gdyż Jezuita tłómaczył mu zasady wiary i przyjął go na łono swego kościoła. Te kilka tygodni zaliczał John do najprzyjemniejszych peryodów swego życia, bo ojciec Muphry umiał w sposób taktowny podsycać w nim poczucie dumy z niespodzianego wywyższenia w hierarchii społecznéj i postępowaniem pełném szacunku zdał się wyznawać, iż sam na niższym stoi szczeblu. I John, który apatycznie zgodził się na odszczepieństwo, wpisał się z radością w kongregacyę kościoła, do którego zaliczali się tak wielcy panowie i magnaci, jak margrabia Ripon i książę Norfolk.

— Wracając od lady Brassey, niechaj ojciec wstąpi do nas na partyę bilardu, co?—rzekł John, klepiąc Jezuitę po kolanie.

— Skorzystam z zaproszenia innym razem, bo dzisiejszy wieczór przyjdzie mi spędzić w willi Bungallow. Jak stoi sprawa *home*'u dla starych i schorzałych psów?

— Pani Hopkins zajmuje się tém gorąco. Zdaje mi się, że poszła pomówić w téj materyi z pannami Hollers, naszemi sąsiadkami.

— Bardza chwalebnie, że przykłada pan rękę do tego dzieła — wyszeptał z uznaniem proboszcz.

Wprawdzie John nie poczuwał się do zasługi, ale słowa te pogładziły mile jego próżność i począł z powagą, w liczbie mnogiéj:

— Postanowiliśmy wznieść ten zakład pod Londynem. Już od dawna wysełamy do dwóch podobnych przytułków wiele z zakupionych znajdów, za których utrzymanie płacimy od półkorony do korony na tydzień, stosownie do ich wielkości. Wskutek braku pomieszczenia przyjmujemy do siebie nie więcéj nad trzydzieści do czterdziestu szlachetniejszych okazów.

Nie było to dla ojca Muphry nowiną. Wysłuchał wszakże Johna z zajęciem, poczém wstając, rzekł:

— Lady Brassey będzie zachwycona, gdy ją wtajemniczę w działalność państwa. Mam z nią do pomówienia w sprawie bazaru, jaki zamierzamy urządzić na rzecz naszéj szkółki w sierpniu, gdy zjedzie do Parkstone kilku wybitnych parafian. Z pewnością nie zabraknie w naszym gronie pana i pani Hopkins.

— Przyjedziemy, nie ulega wątpliwości! — zawołał John, lubo nie był pewnym, czy żona zabierze go z sobą. A miał wielką ochotę spędzić chociaż kwadrans w salonie z ludźmi krwi niebieskiéj, którzy z innéj wydawali mu się ulepieni gliny. Powtóre w Parkstone nudy były straszliwe.

— Możeby kilka z naszych psów wystawić w bazarze? — dorzucił, dumny ze szczęśliwéj myśli. Lecz Jezuita przybrał na to powątpiewającą minę.

— No, oczekuję ojca wkrótce na partyjkę bilardu! — rzekł przy pożegnaniu i po odejściu Jezuity westchnął, bo żal mu było rozstawać się z miłym towarzyszem.

Z kim miał przestawać? Nie podobna, aby dżentelman zwracał uwagę na służbę, dawnych znajomych, a tymczasem z domami pańskiemi pani Hopkins nie utrzymywała teraz stałych stosunków. Jeśli zaś wychodziła z wizytą, jéj małżonek pozostawał w domu i pilnował psów.

Wypaliwszy fajkę, wyczyścił ją sumiennie, naładował świéżą i znowu cmokał, przyglądając się to dychawicznemu mopsowi, to jachtowi, szybującemu do brzegu, gdy posłyszał za sobą kroki i ujrzał wysoką, kościstą damę, odzianą w gustowną czarną suknię, idącą szybko pod górę z parasolką w ręku.

— Panny Hollers — poczęła pani Hopkins — zamierzają oddać do naszego przytuliska swego pokojowczyka, cierpiącego na nosaciznę, chociaż przypuszczam, że w ostatniéj chwili nie będą mogły się rozstać ze swym wstrętnym Spot'em. Stare panniska! — wzdrygnęła ramionami, a gdy siadłszy na ławce, wzrok jéj padł na strudzonego psa, twarz jéj, zwykle czerwona, poczerwieniała jeszcze więcéj, i zawołała:

— Ty zabijesz to stworzenie! Jak mogłeś wlec z sobą na spacer i jeszcze pod taką górę tego chorego nieboraka?! Patrz na oczy jego krwią nabiegłe! Słyszysz to chrapanie?!

— Co mnie będziesz uczyła! — obruszył się pan Hopkins, dotknięty wymówką. — Nie mam wiedziéć, co dobre dla psa? Mało ich to ich leczyłem, co? Dawniéj umiałem się z niemi obchodzić, a teraz miałem zapomniéć? *No fear!*

Przez niejasne „dawniéj" John określał delikatnie przedślubny, kamerdynerski okres życia.

— Na miłość Boską, nie posługuj się tak gminnemi zwrotami! Gdy „*r*" wymówisz, twój żargon z Hampshire w uszy mnie kole! Czyliż nigdy nie zrobię z ciebie dżentelmana? I czegoż to dokazałeś? Głupstwo i kwita! Moppy dychawiczny, jak był! Zabijesz mi psa!

— To doglądaj go sama! — wybuchł John, ponsowy na twarzy. — Zdechnie za tydzień, założę się. Wolę brać z sobą tego wesołego *pointer*'a.

— Śliczna sprawa! — krzyknęła pani Konstancya. — Zamiast prowadzać go cały czas na rzemyku, aby pies nauczył się pilnować no-

gi, spuściłeś go wczoraj, i pies przeganiał konie i krowy po błoniach, jak szalony.

— Dobrze, że się psisko przeleciało—bąknął pokornie John, poczuwając się do winy.

Na to pani Hopkins sarknęła i wzruszywszy ramionami, oddaliła się z pogardą.

Jak nawałnice, przychodziły częste wybuchy jéj złego humoru niespodzianie, i wonczas wylewały się wszystkie domowe kwasy na głowę Johna. Gdyby „dawniéj" zrobiono mu podobną scenę, *butler* byłby wypowiedział służbę w téj chwili. Tymczasem, jako małżonek i dżentelman, musiał znosić wszystko, odgryzając się jedynie, gdy dotknięto go w czułą strunę, w godność dżentelmana.

Któż bowiem mógł o tém wątpić, że był prawdziwym dżentelmanem? Nie pracował przecież na utrzymanie, żył jak pan, ubiérając się do obiadu we frak lub w „smoking". Krawiec, adresując do niego rachunek, pisał wyraźnie przy jego nazwisku: *Esquire*. Powtóre, w kościele siadał w pobliżu lady Brassey, która obecnie notowała sobie w pamięci zasługi jego, Johna Hopkins, na niwie hodowli i dobrobytu psów. A ożeniony był z damą z wysokiego stanu, która bądźcobądź posiadała wykwintne maniery, gdy chciała. Czyliż tak wysoko urodzona kobiéta pokochałaby nie-dżentelmana?

Można nie uznawać zwierzchnictwa papieża, negować jego nieomylność, lecz heretyk nawet musiał przyznać, że John Hopkins to prawdziwy dżentelman.

Wśród takich dumań ex-kamerdyner palił trzecią fajkę, poczém udał się na podwieczorek, przypominając sobie, że *savoir-vivre* zabrania surowo pozostawiać łyżeczkę w filiżance herbaty, za co niedawno wykrzyczała go żona. Mimo to wszakże, że nie skąpiła mu ostrych przycinków, przemilczała o spostrzeżeniu, fermentującém w głębi jéj umysłu, że lubo, jako kamerdyner, John robił wrażenie dżentelmana, jako dżentelman, dziwnie przypominał jéj kamerdynera.

Podwieczorek upłynął w harmonii, bo pani Konstancya wobec służby toczyła wojnę tylko półgębkiem, powtóre, wyszumiała przy spotkaniu męża na ławce i to znacznie jéj ulżyło na wątróbce.

Ale John niebawem powstał od stołu.

— Dokąd się wybiérasz?—spytała go małżonka.

— Przejadę się łódką—odrzekł zbywająco.

Zmilczała, wszelako z balkonu ponad facyatką, przed którą uderzał na podjazdowym trawniku wspaniały kląb bujnych rododendronów z fioletowém i ponsowém kwieciem, śledziła za mężem, który puścił się w kierunku prymitywnego, drewnianego pomostu, służącego rodzi-

nom zamieszkującym pobliskie wille. U końca jego spoczywał rój czółen.

Gdy łódka, unosząca Johna, zakołysała się, pani Hopkins nie spuściła go jeszcze z oka, ciekawa, w którą pokieruje się stronę. Wiosłując z pośpiechem, aż woda pluskała, zmierzał on na skraj międzymorza, gdzie wznosiły się czworaki, zamieszkałe przez majtków, rządowych strażników wybrzeża. Ponad czerwonym dachem sterczał w głębi komin, zdradzający inne domostwo — dostatnią gospodę „Pod przystanią”, gdzie okolicznościowo zatrzymywali się właściciele jachtów, a latem przebywało kilka familii dla kąpieli morskich.

Do *Haven Hôtel* śpieszył pan Hopkins na pogawędkę z gospodarzem, panem Middleton, nie zdradzając się przed swą połowicą, że w serdecznéj był z nim komitywie. Bo p. Middleton przed kilku laty czyścił buty w jednym z hoteli w Poole. Jakim sposobem obrósł w pierze, było tajemnicą, dość że, poślubiwszy przystojną kelnerkę, wziął w dzierżawę hotelik i na tém pustkowiu oboje — jak stugębna głosiła fama—przepijali do siebie... zyski.

Zimową porą, gdy dom zajezdny stał pustką, John grywał z nimi w *nepa*, ulubioną grę w karty służących, debatował o szansach biegunów wyścigowych, lub trawił godziny na opowiadaniu tłustych dykteryjek, odziedziczonych w spuściźnie po minionych czasach i troskliwie przechowanych w futerale umysłowym. I nieraz bolał w głębi serca, że musi spoglądać na zégarek, by nie zapóźnić się na obiad, że nie może przynajmniéj raz na tydzień, jak dawniéj, rozporządzać dowolnie całym wieczorem.

Gdy nastała wiosna, jachty poczęły zarzucać kotwicę przy cieśninie, a więc obce pojawiały się twarze, wnosząc z sobą coś z miejskiego ruchu, oraz świéżych facecyi i dowcipów zapasy. Tutaj przeto miał ex-kamerdyner przynajmniéj z kim porozmawiać, przed kim podnosić swe socyalne stanowisko i sławić łaskawy los, co niby za dotknięciem różczki czarodziejskiéj przemienił go w najprawdziwszego dżentelmana.

Jakoż zamiast okalać pieszo część zatoki i przebywać piaszczystą dróżynę, wijącą się po międzymorzu, śpieszył na czółnie do swéj przystani.

Wpadł do traktyerni z rozjaśnioném obliczem; wśród wyziewów piwa i wódek było mu jakoś raźniéj na sercu.

— Co nowego, Mrs. Jones? — odezwał się do strojnéj szynkarki.

— Kilka osób zapowiedziało swe przybycie na Zielone Świątki— odrzekła, wycierając szklanki i witając go przyjazném skinieniem głowy. — Widzę, że nie przyniósł mi pan obiecanego bukietu róż.

— Tam do dyabła, zapomniałem — tłómaczył się, bo z obawy przed argusowemi oczyma żony nie ośmielił się zerwać kwiatów.

— Mr. Hopkins! Jak się mamy? — zawołał w téj chwili gospodarz, wchodząc do obszernéj i schludnéj izby.

Przywitali się silnym uściskiem dłoni, poczém bez wstępu pan Hopkins poczęstował go likierem.

— Mam wesołego gościa w jadalni. Może przejdziemy? — rzekł hotelista, który „wesołymi" nazywał ludzi pozostawiających więcéj nad szylinga w jego kasie.

W towarzystwie pana Middleton, jego żony, dość ładnéj kobiéty acz z twarzą od trunku nabrzękłą, oraz aptekarza z Poole, zasiadł John ponownie do herbaty i koniaku. Przy gawędzie czas mu schodził szparko, lecz miał on lęk na sercu, aby nie doszło do uszu piekarza z Poole, przywożącego codziennie do Parkstone prócz świéżego chleba najświeższe lokalnego znaczenia wiadomości, iż Hopkins Esquire z willi Sans-souci pił wódkę z aptekarzem w nadmorskiéj gospodzie.

Gdy wybiło wpół do siódméj, zabiérał się do wyjścia, t. j. zgryzł kilka ziarnek palonéj kawy dla usunięcia z ust kompromitującego zapachu koniaku. Lecz nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich lokaj w długim palcie, w cylindrze z rozetką i wygłosił z urzędową miną:

— Mrs. Hopkins życzy sobie, aby wielmożny pan wsiadł z nią do powozu.

Wielce strapiony, John pożegnał się pośpiesznie i wyszedł jak zmyty.

Gdy powóz ruszył, prując cicho głęboki piasek dróżyny, pani Hopkins odchrząknąwszy, poczęła:

— Co się znaczy, John, owo przesiadywanie w ordynarnéj knajpie?!... Słyszałam, że przybyła do niéj młoda kelnerka z Londynu. Nie ręczyłabym za to, czy to ona nie stanowi magnesu, który przyciąga cię do tego szynku. Tego tylko brakuje, abyś mi się wdał w romanse z jaką zapowietrzoną pannicą!

Źrenice jéj przeszyły go aż do wnętrzności. Przypuszczenie troskliwéj małżonki nie miało żadnéj realnéj podstawy; jedynie pragnienie towarzystwa przywodziło go do „Przystani". Zanim zdobył się na wyjaśnienie, pani Hopkins ubiła sprawę wymowną uwagą:

— Nie powinieneś zapominać o twém stanowisku...

Na to nie było repliki. W istocie nie godziło się gościć w gospodzie z aptekarzem. Wejść na kilka minut, pogawędzić łaskawie z kelnerką—to przystoi dżentelmanowi.

Przyznawał żonie słuszność, lecz przed rozbudzonym jego duchem zarysował się obraz państwa Middleton i wyobraził sobie, jakie on to

prowadziłby miłe życie, będąc właścicielem takiego hoteliku, przy boku młodéj niewiasty, chociażby z licami od koniaku zarumienionemi. I rozłożony na poduszkach *brougham*'u, westchnął ciężko, długo i żałośnie.

A lokaj, siedzący sztywnie na koźle, mruczał coś nieznacznie do stangreta i uśmiechał się z politowaniem, jakby myśląc sobie: „biédne Dżonisko!...”

III.

Nakrywano do śniadania. Tymczasem Mr. Hopkins w jasno popielatym, flanelowym ubiorze i żółtych trzewikach stał z rękoma w kieszeniach przed otwartém oknem jadalni i, przyglądając się parze czyżyków, biegających wesoło po gałęzi kasztanu, oczekiwał przybycia pań.

Prócz jego żony miała zasiąść do stołu jéj córka, miss Evelyn, która po czterech latach pobytu zagranicą zjechała na sezon londyński. Odwiedziwszy siostrę w Szkocyi, wypadało jéj pokłonić się także matce, chociaż podróż do Parkstone nie uśmiéchała jéj się bynajmniéj. Bo niestosowny związek pani Aylesbury z kamerdynerem rozluźnił jeszcze więcéj węzły rodzinne. Wiadomość o powtórném małżeństwie matki przyjęły dzieci pułkownika z ubolewaniem, lecz ograniczyły się na listach pełnych wymówek i zaklęć, w gruncie rzeczy nie oczekując, aby cośkolwiek mogło odwiéść arbitralną damę od matrymonialnych zamiarów. „*There is no fool like an old fool*” — mówiły sobie córki w cichości i odtąd, jeśli wspominały o niéj, nazywały panią Hopkins „matką”, nie chcąc wymieniać wstrętnego nazwiska.

Zawitawszy do willi Sans-souci późno z wieczora, panna Ewelina udała się niezwłocznie na spoczynek, jakby zwlekając ze spotkaniem z ex-kamerdynerem. I nie śpieszyła na śniadanie.

Gdy służąca wyszła z pokoju jadalnego i John pozostał sam, podszedł do stołu, przystrojonego różowemi kwiatami i zielenią, lustrując krytycznie nakrycie. Uderzyło go, że srebrny nóż do ryb nie leżał na właściwém miejscu, a jedna z serwet była niedbale zwinięta w rurkę. Począł się przeto krzątać wkoło stołu.

Na to weszła młoda, dobrego wzrostu osoba w białym, flanelowym kostyumie i trzewikach z płótna żaglowego, żywa w ruchach, wysmukła szatynka o czystéj, różowéj płci, delikatnych ustach i ciemnych, badawczych oczach swéj matki, które zmierzyły pana Hopkins od stóp

do główʼ. A gdy spostrzegła, że zwija serwetę, cierpki uśmiech wykrzywił jéj wargi.

Zdybany na gorącym uczynku, John zmieszał się i pokraśniał.

— Przypuszczam... mister... Hop... kins — wycedziła oschłym tonem panna Ewelina, niby zapominając, że widziała go przed śmiercią ojca w liberyi, i wyciągnęła jaknajdaléj od siebie rękę na powitanie.

On skłonił się sztywnie, z godnością kamerdynera.

— Ciepły ranek—bąknął, na co zamiast zdawkowego „*yes*" odebrał zbywającą odpowiedź:

— Nie byłam jeszcze na dworze.

— Zapewne przyjechała pani do Anglii na wyścigi?

— Bynajmniéj—rzuciła lakonicznie, lubo zamiłowanie pana Hopkins do sportu mogło zrehabilitować go poniekąd w jéj oczach.

Podjęła czasopismo i nie przestała oglądać ilustracyi, dopóki nie pojawiła się pani domu. Podczas śniadania zaś nie zaczepiła go ani razu, a gdy poprosiła go o podanie soli, jéj przeciągłe, pogardą brzmiące „Mister... Hop... kins" żgało niby żądło osy.

— Mógłbyś pojechać *dog-cart*'em po ojca Muphry i przywieść go do nas—rzekła pani Hopkins. — Dzień tak ładny, iż urządzimy *picnic* w lesie nad morzem.

Naturalnie John nie ociągał się ze spełnieniem życzenia równającego się rozkazowi, czując się u siebie tak zbytecznym, jak piąte koło u woza.

Po śniadaniu panna Ewelina musiała towarzyszyć matce do sadu i zwiedzać wszystkie psie budy, rozstawione rzędami pomiędzy nieurodzajnemi drzewami czereśniowemi i otaczające kręgami rozsochaty kasztan. Na końcu przeglądu tak była przesyconą widokiem psów, że odwracała się z podwójnym wstrętem od dychawicznego mopsa, który wlókł się za niemi ze zwieszonym łbem, prawie pełzał pod ciężarem tłuszczu.

Potém matka z córką siadły w trzcinowych fotelach na balkonie.

— Czy mama nie nudzi się cały rok w téj martwéj miejscowości?

— Bynajmniéj, mam dużo zajęcia: rachunki, psy, ochronki, bazary, stajnia, ogród, John...

— Ale, jak mama mogła połączyć się z... tym człowiekiem — wyszeptała nieśmiało panna Ewelina.

— Nie wtrącaj do tego twego żółtego dzioba. Gdy będziesz miała lat pięćdziesiąt, a Bóg nie poskąpi ci zdrowia i rozsądku, inaczéj

będziesz rezonowała. Miéj się na baczności, byś nie zrobiła większego odemnie „głupstwa”! — odcięła się pani Hopkins i po chwili dodała z przekonaniem: — Mężczyzna to mężczyzna, *my child*. Ty o tém nic nie wiész. Głupia jesteś!

Na tém urwała się rozmowa o tym przedmiocie. Pani Hopkins wkrótce oddaliła się, by wydać rozporządzenia co do pikniku, a panna Ewelina siadła do fortepianu. I tak zastał ją John z ojcem Muphrym.

Z południa niedobrane grono roztasowało się na małéj polance, położonéj wysoko na nadmorskiém urwisku, wpośród potężnych sosen, podszytych gęsto paprocią i rododendronami w pełnym rozkwicie. Przez wręb widniał z boku głęboki wąwóz, łożysko wrzosu, janowca, anemonów, sasanek i kosatek, przecięte nikłym strumykiem, który ściekał bez szmeru po żółtych kamykach i tonął marnie w piaskach, o krok od pienistych fal morskich. Słodka woń sosen rozpływała się w powietrzu, wytwarzając atmosferę duszącą i zgęstniałą, bo do téj kryjówki, niby koszyk opasanéj zieloną i kwiecistą plecionką, nie zakradał się prawie wcale powiew wiatru od morza, co błękitniało u stóp urwiska, szumiąc żałośnie.

Panna Ewelina, zrzuciwszy z głowy słomkowy kapelusz, wyciągnęła się jak długa na futrzanym kocu, z rękoma pod głową, i rozmawiała z jezuitą, który spozierał w jéj twarz ciekawie, gdy tymczasem pani Hopkins wyjmowała z koszyków prowianty z pomocą lokaja.

— Podaj obrus, Edward! — zwrócił się pan Hopkins do służącego, chcąc przyłożyć rękę do urządzenia pikniku. Lecz żona szepnęła doń opryskliwie.

— Nie mieszaj się do tego, John!

Odsunięty od towarzystwa, usiadł pod drzewem, czyścił fajeczkę i głaskał popielatego duńskiego ogara, co łeb czarno nakrapiany ułożył na jego kołanie. Potém przyglądał się sukni i trzewikom panny Eweliny, przypominając sobie, że kiedyś przechodził przez tę polankę z czarnobrewą Bessie, aż wzrok jego, nie sięgający daleko, spoczął na cichym, bezsilnym strumyku...

Aby wtrącić się do rozmowy, ozwał się w stosownéj chwili do jezuity:

— Czy zauważył ojciec, jak panna Ewelina świetnie gra na fortepianie, jak zgrabnie przekłada jedną rękę przez drugą?

Młoda panna parsknęła bezlitośnie śmiechem, a on mniemał, że może uda mu się zgrabnym komplementem zaskarbić jéj łaski. Niemniéj pani Hopkins wydało się śmiesznem, iż poczciwy John uważa przekładanie rąk za najwyższą sztukę w grze fortepianowéj. Jedynie blada twarz ojca Muphrego nie odźwierciadlała żadnego uczucia.

— Nie ulega wątpliwości—odrzekł spokojnym tonem,—że panna Ewelina doprowadziła do wielkiéj doskonałości wrodzony talent, wyhodowany wśród wpływów muzyki włoskiéj.

Ten zwrot naprowadził rozmowę na muzykę i Włochy, ale John nie ośmielił się więcéj brać w niéj udziału. Zgryziony, stracił nawet apetyt i poprzestał na sucharze, sérze i winie. A myśl jego powędrowała prosto do „Przystani" i pytał się, czy powrócił już do niéj z wycieczki młody piwowar z Hampshire, właściciel jachtu, który zarzucił kotwicę w cieśninie. Był to człowiek rubaszny, ale dobry koleżka i... dżentelman. Na wspomnienie spędzonych z nim chwil, porwała Johna wielka ochota zajrzéć do gospody. Gdy przeto znalazł się sam na sam z żoną na uboczu, lubo wybiegi były dawniéj obce jego prostéj naturze, rzekł:

— Przyrzekłem przejechać się jachtem ze znajomym, wysoko postawionym dżentelmanem, który bawi w hotelu Przystani.

— Dobrze — odparła pani Hopkins łaskawie, patrząc na swego Johna z takiém zadowoleniem, jakiém przejmował ją widok tęgiego, popielatego psa duńskiego. — Gdy wyruszymy stąd, idź! Może ten pan wziąłby którego z mych psów?... Powróć na czas na obiad! — dodała, myśląc sobie, że jéj córka, nie znająca się na wartości mężczyzn, nie gniewałaby się, gdyby John świécił nieobecnością przy obiedzie.

— Droga Ewelino — zwróciła się do córki — muszę uniewinnić pana Hopkins, że nie będzie nam towarzyszył z powrotem. Ma się spotkać z pewnym głośnym sportsmanem londyńskim.

Zanim John puścił się lasem ku piaszczystym zaspom międzymorza, szepnęła mu na ucho:

— Upominam cię, abyś nie flirtował z tą kelnerką!

— Zaledwie pan Hopkins uszedł kilka kroków, posłyszał za sobą wołanie ojca Muphry, który zrównawszy się z nim, rzekł:

— Chcąc przejść się, pozwolę sobie odprowadzić pana na półdrogi, poczém powrócę do dam.

W toku gawędy ojciec Muphry mówił, jakby do siebie:

— Lat temu wiele przechadzałem się w podobnym, pięknym lesie, lecz ludzie zakrwawili mi serce tak, iż nie zaznałem pokoju na łonie natury. Dopiéro u ołtarza odnalazłem szczęście i odtąd czerpię radość dla méj duszy ze zdroju wiary, z pracy dla kościoła.

Pan Hopkins zbiérał po drodze szyszki i z potrzeby ruchu ciskał je w gęstwinę rododendronów, każąc je aportować psu, na niezrozumiałe wyznanie jezuity nic nie mając do powiedzenia.

Przeszli spory kawał lasu, gdy ksiądz spytał, kiedy wyjeżdża panna Ewelina, a gdy dowiedział się, że miało to nastąpić za dwie doby, pomyślał chwilę i rzekł:

— Może pan przybędzie do mnie tego dnia na skromny obiad?

— Z przyjemnością. Szkoda, że ojciec nie ma u siebie bilardu.

— Ale zagramy w wista. Postaram się o miłego partnera.

— Jakże z owym bazarem, o którym ojciec wspominał?

— Przyjdzie do skutku wkrótce. Jednakże nie mały mam kłopot, bo koniecznie trzeba będzie przebudować i powiększyć naszą skromną świątynię Pańską. Chcielibyśmy prace rozpocząć na wiosnę, bo zastęp wiernych wzrasta, a wobec kościołów anglikańskich przedstawia się ona tak ubogo! Któż przypuszczałby, iż słuchają w niéj mszy świętéj tak dostojne osobistości, jak lady Brassey lub żona pańska, nie wspominając o wielu dżentelmanach. Niestety, dobrodzieje naszego kościoła nie rozporządzają taką fortuną, jak książę Norfolk, który prawie sam jeden funduje katedrę katolicką nad Tamizą! Pan to wielki i bogobojny! Co za boleść pomyśléć, że w domowém kółku nawiedzony takiém dopuszczeniem Boskiém, — westchnął i ciągnął — o ile skwapliwiéj powinni czynić dobrze synowie kościoła, których Opatrzność zawiodła wysoko kwiecistą drogą?... Imiona łaskawych fundatorów będą wyryte na marmurowéj płycie wewnątrz kościoła i we wdzięcznych sercach kongregacyi.

— O!... Niechaj ojciec pomówi o tém z panią Hopkins.

— Posłucham pańskiéj rady i zwrócę się do niéj w téj sprawie po wyjeździe panny Eweliny, bo teraz tak zajęta swą miłą, dawno niewidzianą córką. Nie wątpię, że nam nie odmówi pomocy. Wszelako sądzę, że pan sam wymowniejszym może byłby rzecznikiem w odpowiedniéj chwili.

— *Well...* — wycedził John powątpiewająco, lecz nabył przekonania, że musi on miéć pewien wpływ na żonę, bo ojciec Muphry dobrze wiedział, co mówił.

— Będę czuł się szczęśliwym, widząc imię Johna Hopkins Esquire wyryte obok nazwisk wysoko urodzonych naszych dobrodziejów... No, pomówimy o tém przy sposobności.

Wkrótce jezuita pożegnał go i zboczył ku Parkstone.

Słowa jego podziałały, jak balsam, na przygnębiony umysł pana Hopkins i otworzyły przed nim nowy horyzont. Jeśli dotychczas zajmował wobec żony stanowisko podrzędne, niemal służalcze, jak to go teraz uderzyło, mogło się to zmienić. Nie miał wprawdzie wyobrażenia, jakiéj należałoby się chwycić taktyki, bo on zanadto przywykł widziéć w niéj swą panią i w swéj prostéj machinie umysłowéj nic posia-



dał ani źdźbła dowcipu, lecz ojciec Muphry mógł mu wskazać drogę.

W miarę, jak zbliżał się do „Przystani”, rozchmurzone jego oblicze, oblane żywym blaskiem słońca, jaśniało nadzieją pozyskania znaczenia i swobody w domu oraz spotkania „głośnego sportsmana londyńskiego”, czyli piwowara z Hampshire.

Droga ciągnęła się brzegiem zatoki, a potém wiła ślimakowato środkiem międzymorza na falistym terenie białych, ruchomych piasków, które wpobliżu zajezdnego domu piętrzyły się w dość wysokie wały. Pod bokiem jednego z tychże zieleniła się mała kotlina, niby oaza na pustyni, i tutaj ujrzał pan Hopkins dwukolny wózek, odprzężonego kucyka skubiącego trawę, daléj piastunkę z niemowlęciem i dostatnio ubraną kobiétę, przyrządzającą herbatę na maszynie w cieniu samotnego drzewa.

Minąwszy tę grupę, składającą się na wdzięczny, barwny obrazek, John przedostał się przez zaspy na brzeg morski, aby skrócić sobie drogę do gospody, zwracającéj czoło ku rozmarzonym w cieple słoneczném wodom kanału angielskiego. Lecz gdy stanął na twardym szlaku, przykuł go do miejsca widok młodéj kobiéty, brunetki, w słomianym kapeluszu, w blado-niebieskim staniku muślinowym, która z podkasanemi spódniczkami powyżéj kolan brodziła w chłodnéj, orzeźwiającéj wodzie, z głową pochyloną, może unikając ostrych kamyków, może przestrzegając, by zdradliwa fala nie obryzgała jéj sukni. Jéj śnieżne, pięknie utoczone nogi przecinały zwolna kryształ wód, a John, nie poruszając się, podziwiał kształtną, dość silną figurę, bujne sploty włosów i zgrabne nóżki.

Nareszcie chrzęst łap ogara w zwirze zbudził jéj czujność i odwróciła głowę, ze źdźiwieniem mierząc okiem nieznajomego.

Promienie ich źrenic w jedno zlały się pasmo, ale nim jeszcze spoczęły na nim te czarno oprawne, szafirowe, jakby irlandzkie oczy, John poznał w niéj — Bessie, swą dawną malinową Bessie, pulchną, tęższą w biuście, opromienioną urokiem młodości, z karmazynem i słodyczą na ustach, najładniejszą ze wszystkich kobiét.

Niemy, nieruchomy, patrzał się w łagodną jéj twarz, pełen zdumienia, zachwytu i radości, zmieszanéj z głuchém uczuciem żalu, nie mogąc pojąć, jak się to stało, że jéj nie zaślubił.

I Bessie rozpoznała w popielato ubranym dżentelmanie swego niewiernego „młodego człowieka”, lecz odwróciła się niezwłocznie, pluskając się we wodzie.

On zastanowił się; strzeliła mu myśl do głowy, że nie wypada mu zbliżać się do pokojówki, wszelako parł go naprzód jakiś miły prąd z mocą żywiołu i zmierzając ku niéj, począł wołać: — Bessie!...

Jakby nie słysząc, stąpała daléj. Dopiéro gdy niezrażony zbliżył się do niéj, spojrzała prosto w twarz jego, w zimném, stalowém wejrzeniu wyrażając gniéw zawiedzionego serca.

— Jak się masz, Bessie *dear?*

— Dobrze—odparła oschle—ale nie „*dear*".

— Czyś przybyła z twą panią do Parkstone?

— Porzuciłam to miejsce, bo siostra mnie wzięła do siebie—mówiła jakby z łaski.

— Czy to twoja siostra gotuje herbatę w kotlinie?

— Tak jest.

— Także ładna kobiéta. Prawda, że ona wyszła za mąż za maszynistę i mieszka w Wimborne?

Dziewczyna skinęła głową.

— Bessie *dear*, przyślę wam zaraz obwarzanek do herbaty z hotelu pod „Przystanią", a na przyszły tydzień odwiedzę was w Wimborne i wezmę cię na spacer mym *dog-cart*'em.

— Nie! — szepnęła cicho ale stanowczo, i tryumf zadowolonéj próżności kobiecéj odmalował się na jéj licach ironicznym uśmiechem.

— Czemu nie?—spytał i czekał odpowiedzi.

— Bo jestem zaręczona—wycedziła od niechcenia.

Uderzyło go coś w piersi.

— Z kim?—pytał po chwili milczenia.

— No — odparła Bessie z przekąsem — nie możemy wszyscy wchodzić w związki z lordami i wielkiemi paniami, ale dyrektor cegielni jest dla mnie zaprawdę dość dobrym...

John chciał coś mówić, o coś prosić, ale poplątały mu się myśli. Stał zgryziony, przybity, bezradny, dopóki Bessie nie rzuciła mu pożegnalnego: „*good-bye!*" i nie skinęła wyniośle głową.

Oddalił się ociężałym krokiem, nie spozierając po za siebie na dziewczynę, która podtrzymując piąstkami suknię, podreptała zaraz opowiedziéć siostrze o niespodzianém spotkaniu swém z dawnym wielbicielem.

Tymczasem dżentelman kroczył gdzieś przed siebie, tocząc martwém okiem, co nic wokoło nie widziało i widziéć nie chciało. Bieliły się przed niém ponętne nogi dziewczyny, czerwieniły się usta jak maki; zresztą na świecie nie było nic godnego widzenia. I nerw, co zadrgał w nim żywo, rozbudził uśpioną falę życia, ukołysał się do snu, pozostawiając pierś pustą, machinę-człowieka.

IV.

W cieniu ponuréj, od morskich wyziewów zszarzanéj ściany hotelu „Przystani" rozgościli się przy stole piwowar, nazwiskiem Barker, i Mr. Middleton w towarzystwie mnogich, próżnych butelek piwa i flakonu z wódką. Młody, przystojny żeglarz, z rozpiętą kamizelką, wsparłszy się łokciami na ceracie, prawil coś hoteliście, który w odpowiedzi bełkotał językiem, z rumieńcami na bladéj twarzy, z błędnym wzrokiem, raz po raz przesuwając dłonią swe blond włosy.

Obadwaj powitali pana Hopkins radośnie, piwowar odrazu nazwał go „przyjacielem" i począł mu nalewać w szklankę *whiskey.*

Lubo wstrzemięźliwy z natury, John wszedłszy między wrony, musiał krakać jak one. Zresztą w takiém był usposobieniu, że byłby pił atrament, aby tylko czémś się zająć, słyszéć gwar wkoło siebie i uśmierzyć toczący go ból w duszy.

Wkrótce z gospodarzem niepodobna było się dogadać, bo mocne cygaro hawańskie dobiło go do reszty. Lecz piwowar, zupełnie przytomny, ust nie zamykał, a wpływ trunku objawiał się jedynie przez pragnienie wyspowiadania się ze spraw osobistych. Jakoż począł opowiadać „przyjacielowi", jakim sposobem doszedł do fortuny, nie troszcząc się o pana Middleton, który z początku przerywał mu jąkaniem, a potém wtórzył serdeczném chrapaniem.

Wysłuchawszy długiéj historyi, John zaciągnął piwowara do bilardowego pokoju. Chrapiącego hotelistę zaś pozostawili w rękach anioła opiekuńczego, który zjawił się w postaci jego godnéj małżonki z czerwonym nosem i ze szlachetnym wysiłkiem zawiódł go na nocne leże.

— Chciałbym zwiedzić pańską willę, Mr. Hopkins — rzekł Mr. Barker w toku gry. Podobno dominuje nad całą okolicą.

— W najlepszém położona miejscu — bąknął John, wyciągnięty na dużym bilardzie, domyślając się dokąd zmierza Mr. Barker.

— Chętnie ugościłbym pana u siebie, lecz tak się fatalnie złożyło, że mamy w domu niekoniecznie przyjemnego gościa.

— Mniejsza o to, nie wpraszam się — rzekł urażony i niekontent Mr. Barker.

— Ale może jutro zrana wstąpi pan obejrzéć naszą psiarnię, a wieczorem stawi się na obiad do hotelu pod „Trzema gwiazdami" w Poole? — zapronował John, zebrawszy się na odwagę.

— *Well*, niech i tak będzie!—odparł wsparty na bilardowym kiju piwowar. — Gdy przybędzie pan do Hampshire, jako dżentelman, odwdzięczę się panu obiadem u siebie.

John połknął pigułkę. Podczas gdy Mr. Barker mozolił się nad wpędzeniem bilardowéj kuli do siatki, zatopił się w myślach i po chwili zagadnął:

— Co pan rozumié przez określenie: dżentelman?

Zakłopotany pytaniem, jakiego nikt mu dotąd nie stawił, Mr. Barker drapał się po czuprynie, aż wreszcie wygłosił z miną, obwieszczającą, że łamigłówkę szczęśliwie rozwiązał:

— Dżentelmanem jest każdy rzeczywisty czy pozorny mężczyzna, mający kilka szylingów w kieszeni i noszący cylinder. Ale prawdziwym dżentelmanem... na to wiele więcéj potrzeba. Stanowisko ani ukształcenie samo nie wystarcza. Prawdziwym dżentelmanem trzeba się urodzić, albo przynajmniéj umiéć wmówić w ludzi, że się nim jest rzeczywiście.

Głęboki cień padł na lica pana Hopkins. Według téj definicyi był on dawniéj po za służbą tak dobrze dżentelmanem, jak każdy inny, a w prawdziwego dżentelmana nie mógł przeobrazić się nigdy. Nie potrafił on nawet przystroić się w pozory. I nad tém zabolał srodze.

W ciągu gry weszło do izby trzech mężczyzn, z cygarami w ustach i szklankami piwa w rękach. Zająwszy siedzenia na czarnéj kanapie pod ścianą, śledzili przebieg gry. Jeden z nich, w dość długim granatowym surducie, z żółtemi cholewami opinającemi u dołu spodnie, widocznie masztalerz, cisnął na wstępie panu Hopkins wyzywające spojrzenie, rozsiadłszy się, nie przestawał zérkać na niego z ukosa, a gdy gracz zdał się go nie zauważyć, odchrząknął raz i drugi i zawołał doniośle: — John!

Mr. Hopkins, odwrócony tyłem do groom'a, wdał się w rozmowę ze swym partnerem, jakby nic nie słyszał i do znajomości się nie przyznawał.

— John! — powtórzył tenże hardo, gdy głosy przycichły. — Nie znasz mnie to? Pamięć cię zawodzi! Już nie pamiętasz, jak to grywaliśmy w *nepa* w stajni lorda Wimborne?!...

John poczerwieniał jak burak, przygryzł wargę i fala wściekłości uderzyła mu do głowy. Widywał on go często w Parkstone, gdzie niezawodnie Harry był teraz w obowiązkach, ale naturalnie unikał i nie rozpoznawał. W pierwszéj chwili byłby najchętniéj pochwycił go za gardło i cisnął o mur, jak szczeniaka, lecz opanował się i, patrząc osłupiałym wzrokiem na stół bilardowy, milczał. Jedynie ciężki,

przyśpieszony jego oddech było słychać w izbie, niby miech kowalski.

— A to sławnie pan zagrał! — zwrócił się do partnera, który po krótkiéj przerwie podjął grę na nowo.

Ze źrenic masztalerza tryskały błyskawice głębokiéj zawiści, na twarzy jego paliły się ognie i, gdy cisza zapanowała, ozwał się do swego towarzysza i sąsiada:

— Nie żeń się z wielką damą, bo ogłuchniesz na oba uszy, jak mój przyjaciel John Hopkins, co niegdyś pożyczał odemnie po kilka szylingów...

Jakby w pokoju robiło się za gorąco, John odetchnął całą piersią. Podniósł oczy na zaczepiającego i, przeszywając go dumném spojrzeniem, wykrztusił urywanym głosem:

— Harry, mówię ci po raz pierwszy i ostatni, zamknij gębę i wynoś swe kości co tchu... błaźnie!

Groom zaśmiał się zcicha.

— Jeśli masz ochotę spróbować się na kułaki, to chodź przed dom. Zobaczymy, kto błazen.

To rzekłszy, zabrał się zaraz do zdejmowania surduta, ale John powstrzymał go, cedząc dobitnie:

— Nie zrzucaj surduta, bo jak cię stąd wyrzucę, to żona twoja musiałaby go tu szukać. Dżentelman nie bije się z groom'em.

Na dźwięk podniesionych głosów ogar, śpiący w kącie, uniósł łeb i rozglądał się po izbie, niby pytając, co się święci, tak zaciekawiony sceną, jak pan Barker, który siadł na kanapie w oczekiwaniu walnéj batalii.

Tymczasem stajenny zachichotał znowu i, zapinając surdut, począł krzykliwie:

— Dżentelman! *Pah!* Co to mi za wielki pan, którego ojciec owce pasał w Hampshire! Biedaczysko, nie mające ani złamanego, własnego szeląga w kieszeni, i tchórz...

— Milcz! — ryknął John i rzucił się gwałtownie ku niemu, ale masztalerz skoczył zwinnie w bok i przystanął z przeciwnéj strony bilardu.

Przez moment stali tak, kipiąc szalonym gniewem, przedzieleni dużym bilardem, niby dwa dzikie zwierzęta, gotujące się do skoku. I w izbie zadymionéj i gorącéj tylko brzęczenie owadów przerywało ciszę.

Po namyśle ex-kamerdyner, nie chcąc kusić się o pochwycenie napastnika w pędzie, zajął stanowisko przy drzwiach, by zapanować

nad wyjściem. Groom wykonał ruch odpowiedni tak, iż znowu dzielił ich bilard i, pewny siebie, naigrawał się:

— Dżentelmanowi żona nie wydziela koprowiny na piwo i tabakę! Niedługo przywiążą cię na łańcuchu do psiéj budy, byś jeszcze lepiéj pilnował babskich spódników. Przedtém byłeś panem kamerdynerem, ale spadłeś na płatną z łaski szlafmycę téj pani! Dżentelman, cha! cha!

Ściskając kurczowo krawędź bilardu, John z krwią zabiegłemi oczyma, ważył w myśli szanse. Skoczyć na bilard i przytrzymać go za czupryne? Ale Harry czmychnąłby pod stół i dopadł do drzwi. Miał go na odległość jednego i pół ramienia, lecz jak dostać go w swe ręce?

Wtém ogar podniósł się, wyciągnął łeb, jakby węszą c, poruszył się i warknął zcicha, złowrogo.

Na to masztalerz pobladł. Szalę zwycięstwa pies przeważał stanowczo na stronę Johna, wszelako ex-kamerdyner przeląkł się sprzymierzeńca, co mógł pokąsać i zadusić na śmierć stajennego.

Podniosły się też głosy:

— Wypędzić psa!.. *It isn't fair!..*

— Do nogi, Dżek — zawołał John na ogara, a gdy tenże, ociągając, zbliżył się, poklepał go po łbie i szybko wypchnął za drzwi.

Ochłonąwszy ze strachu, masztalerz szukał świéżych przytyków.

— No, jakże dżentelman John?! — cisnął mu, odczuwając jego bezradność. — Czekam dość długo, dość téj zabawy! Dzięki Bogu, rozpoznałeś mnie nareszcie, teraz poznasz mnie lepiéj! Ty jedynie do starych bab masz szczęście! Pamiętasz tę francuską służącą w Wimborne, tę bez zębów?! No, John, tyś istotnie wielki pan, chociaż psy twéj damy na ciebie...

Tu pod wpływem strasznéj furyi podniosła się ręka Johna, w któréj dotąd trzymał kij bilardowy, i bezradny, cisnął go w twarz groom'a. Zaskoczony znienacka, masztalerz cofnął się, uderzony, odwrócił bokiem do bilardu, a gdy kij padł pod ścianę, schylił się po broń. Lecz John chwilę tę wyzyskał. W skok rzucił się za nim i u drzwi przytrzymał. I potężna pięść jego gruchnęła w ucho masztalerza.

Zaszamotali się, aż sprzęty w izbie zadygotały, odpowiadając echem. Jedno i drugie ramię zapaśnika migało w powietrzu, potém bilard zaskrzypiał i poruszył się, przygnieciony bokiem masztalerza, rzuconego z odmachem.

I dłoń Johna spoczęła na karku przeciwnika, który zaparł się rękoma i nogami o bilard. Nastała pauza i ciche mocowanie się, wreszcie John, sapiąc, jednem kopnięciem kolana podważył go i wysadził

z pozycyi. Jeszcze chwila, potém groom wyleciał z pokoju jak z procy, a drzwi zatrzaśnięte zatrzęsły się w zawiasach, jękły, i tynk opadał z muru z szelestem.

Na tém skończyła się bójka. Atoli nikt nie zwrócił uwagi na skomlenie i drapanie ogara do drzwi, który teraz rzucił się na powalonego w korytarzu groom'a i począł wściekle szarpać go kłami.

Towarzysze zwyciężonego, John sam i piwowar skoczyli na ratunek, ale gdy wydobyto masztalerza z pod pazurów ogara, leżał wpół nieżywy, omdlały, we krwi zbroczony, okropnie pokąsany, ze żebrem złamanem w zapasach, z odzieniem w szmaty zdartém — straszny obraz.

Bądź co bądź, rany, jakie odniósł, zapowiadały akcyę sądową.

O epilog téj sprawy pan Hopkins nie kłopotał się. Nie litował się też nad masztalerzem ani nie wyrzucał sobie, iż wdał się w bójkę, bo zapasy i pomsta przyniosły mu ulgę.

Wieczór spędził w „Przystani", nie chcąc ze swém podbitém okiem ukazać przy stole w Parkstone. Jak przywitałaby go żona i owa miluchna panna Ewelina?

Wracając do domu o księżycu, jeszcze ociągał się z powrotem, lękając się nieodzownego śledztwa ze strony pani Hopkins. Jakoż spoczął na wrzosowisku, w pobliżu miejsca, gdzie spotkał Bessie, znękany i posępny.

Wydało mu się teraz, że nie dość pomścił się za zniewagę, nie dość wywarł swój gniéw i gorycz, co w ciągu dnia i długich miesięcy nagromadziła się na jego sercu kropla po kropli. Aby ją całą wydrzéć z duszy, musiałby bodaj wojować z całym światem, katować i zabijać.

Lekceważące obejście się z nim panny Eweliny, odpychające słowa żony, spotkanie z nadobną Bessie, jéj odwet, pogląd pana Barkera, bezczelność masztalerza, który bryznął mu w twarz słowa gorzkie jak piołun, słowa prawdy — wszystko to stargało i rozstroiło struny jego cichéj duszy. Pił dużo tego wieczora, ale wódka, miasto wygładzić jéj wzburzoną powierzchnię, wydobyła na jaw ukryte bolączki, spoczywające w głębi duszy, zaledwie nawpół zrealizowane, niejasne. Teraz powyłaziły one, niby szczury z nor, i gryzły go.

Opadł mu z przed oczu welon iluzyi, marzenia o stanowisku i swéj wielkości, serdecznie i długo hodowane, gdzieś się rozwiały. I jak bezdomny włóczęga, siedział na pustkowiu bez otuchy, bez celu, bez jutra.

Na wodach zatoki migotały blaski latarni na palach, wiodące do cichéj przystani, ale nie tędy prowadziła go droga, bo na szarym szlaku jego życia nie świeciły się światła.

Ze wzgórza w Parkstone mrugała gwiazdka od strony willi, ale nie ku niemu, bo on tam był zbytecznym. Lepiéj na odludnych wydmach, zdala od owego domowego ogniska! Bo czyliż ciągnęła go do siebie ta gderliwa, kapryśna, zwiędła stara kobiéta? Niechaj grymasi, że nie stawił się na wieczór! „Niechaj się powiesi!" Wraz z tą słodziuchną córeczką!

Ale przecież był on tam panem. Tak, zaiste panem, nad którym lituje się służba, a którym żona, niby wiechciem, pomiata. Ha, ten łajdak Harry mówił prawdę! Służącym był do psów doglądania i wygrzewania nóg swéj pani! Gorzéj niż służącym, bo dozgonnym skrępowany węzłem, osadzony w kleszczach ceremonii, na domiar ograniczany, pilnowany, odcięty od ludzi—istny niewolnik.

Po za domem zaś był zerem. Ludzie z „towarzystwa" nie znali go i oglądać nie chcieli, warstwa niższa odwracała się od niego z szyderstwem na ustach, w płytkiéj zazdrości rzucając mu w twarz obelgi. I on sam wyodrębnił się trochę, odsunął się od pospólstwa, nie zbliżywszy się rzeczywiście do koła, w które los popchnął go złośliwy. Osamotniony, zawisł gdzieś pomiędzy obu biegunami! Gdyby kiedy była mu przyszła chęć zbratać się znowu ze służbą, byliby mu oni na każdym kroku nogę podstawiali, lub odtrącali od siebie, jak wyrzutka. Nawet Bessie poszła na zawsze bez łaskawego wejrzenia, bez dobrego słowa, co rany goi.

Cóż zatém zyskał na tém świetném małżeństwie? Był on rzeczywiście dżentelmanem, czy nie?

Machnął ręką i patrzał na morze, na księżyc, płynący wśród gwiazd i drogi mlecznéj na lazurowych wyżynach, patrzał na cienie, pełzające po piaskach niby duchy lękliwe, na wstęgę księżycowego blasku, rzuconą na fale, i na swego ogara, który, leżąc przy jego boku, lizał mu niekiedy rękę ogromnym ozorem.

I czuł, że wszystko prócz tego psa wiernego było mu na świecie dziwnie obojętném.

Potém szedł ku domowi, bo gdzież miał pójść i co robić? Zapomniał nosić liberyę, a nie nauczył się wdziewać ją innym na grzbiety. Lecz idąc w jarzmo, głuchy ból czuł w piersi i w téj niemocy, rozgoryczeniu, w tym ducha upadku wyrzekł do siebie słowa, jakie nigdy przez usta jego nie przeszły:

— Niech dyabli wezmą to przeklęte dżentelmeństwo!...

. . . .

Po kilku tygodniach, gdy masztalerz powstał z łóżka, John odebrał list od *solicitor*'a, który w imieniu groom'a żądał sowitego odszko-

dowania za rany odniesione w bójce i od kłów ogara. Pani Hopkins pretensye masztalerza zaspokoiła, ale wieść o sprawie téj przechodziła z ust do ust, z jednéj miejscowéj gazety do drugiéj, aż kto żyw wiedział, że „Mr. Hopkins, podrażniony uwagą dawnego kolegi, masztalerza, który wzbraniał się uznać w nim dżentelmana, z pomocą swego potężnego ogara tak srodze go poturbował, iż stajenny o mało nie przypłacił tego życiem.”

Ogar odgrywał we wszystkich wersyach, co w promieniu mil dziesięciu kursowały, w podtrzymywanych przez szynkarzy i stare panny pisemkach tak wielką rolę, iż nawet dzielna pięść Johna nie wzbudziła podziwu ziomków. Zajęcie się potyczką takie przybrało rozmiary, że wielu obywateli okolicznych odbywało pielgrzymki lub wyprawy morskie do hotelu „Przystani”, aby jaknajściślejsze i najdokładniejsze zebrać informacye na miejscu. Opowiadanie zaś nieobecnego przy bójce pana Middleton komentowano różnie, zawsze jednak w duchu dla Johna nieprzychylnym. Bo sympatya opinii publicznéj, któréj głos tak żywo brzmiał w uszach pana Hopkins, przechyliła się na stronę masztalerza, a wskazywano palcem parweniusza zadzierającego głowę, pijaczynę nie wychodzącego z *bar*'u „Przystani”, ex-kamerdynera nie umiejącego zastosować się do swego położenia socyalnego, niegodziwca kompromitującego czcigodną, z pięknego rodu małżonkę, brutalnego zawadyakę szczującego bliźnich ogarami. I przyczepił się doń uszczypliwy przydomek, który zaryglował przed nim wszystkie dotąd zamknięte domy i szedł za nim wiernie, jak ogar, po ścieżce żywota: „gentleman John!”

Maciej Wierzbiński.



Trzeci tom „KAPITAŁU”.[1)]

I. Uwagi wstępne.

Pojawienie się III-go tomu „Kapitału” Marxa było dla wielu ekonomistów rozczarowaniem: Loria uważa go wprost za samobójstwo całéj teoryi, która niedawno jeszcze mogła rościć pretensye do stanowiska panującéj w nauce. Osobiście jesteśmy także niezadowoleni z téj, tak długo oczekiwanéj, części słynnego dzieła i sądzimy, iż należy wyrzec się nadziei, którąśmy długi czas podzielali, iż wartość sprowadzić się da do jednego czynnika, do pracy, chociażby pojętéj w sposób jak najbardziéj rozległy. W dalszym ciągu okażemy, na czém to nasze przeświadczenie się opiéra, tymczasem zaś, w niniejszych uwagach wstępnych, postaramy się przypomniéć czytelnikom zasadnicze terminy i określenia używane przez Marxa, by nie miéć trudności w wykładzie i krytyce poglądów, zawartych w III tomie „Kapitału”.

Jak wiadomo, pierwsze dwa tomy tego dzieła stanowiły analizę całkiem abstrakcyjną wytwarzania i obiegu towarów, w trzecim autor przechodzi do rozbioru zjawisk konkretnych.

---

1) „*Kapitał*“, *soczynienie Karła Marksa. Pierewod s niemieckawo. S.-Pietierburg*, 1896, tom III.

Tak np. w pierwszym tomie Marx wykazuje pochodzenie nadwartości, ale nie zajmuje się bynajmniéj kwestyą, w jaki sposób nadwartość ta podzielona zostaje pomiędzy rozmaite klasy społeczne. Tą właśnie sprawą zajmuje się tom trzeci. Ale rozpocznijmy od określeń.

Analiza Marxa ogranicza się tylko produkcyą towarów, która się odbywa przy rozwiniętym podziale pracy, gdy każdy wytwórca produkuje nie dla siebie, lecz dla innych, gdy wysyła swe towary na rynek, którego potrzeb nie zna zgóry, gdy pracuje nie na obstalunek, lecz dla nieznanego kupca. Koszula, którą chłopka szyje dla własnego użytku, nie jest towarem, ale ta, którą magazyn fabrykuje dla nieznanych klientów, jest nim. Towar stanowią więc nie naturalne właściwości przedmiotu, lecz stosunki społeczne jego produkcyi. W naszych czasach prawie wszystkie przedmioty przeznaczone są do sprzedaży, są towarami. W czasach pierwotnych i w starożytności były niemi tylko wyjątkowo.

Ponieważ towar jest zwykle niepotrzebny dla użytku osobistego wytwórcy, więc wymiana jest warunkiem koniecznym produkcyi towarowéj. Na jakich zasadach wymiana ta się odbywa?

Obejmuje ona tylko wytwory pracy ludzkiéj. Przedmioty, nie zawierające jéj, jak powietrze, woda i t. p., należą do wszystkich i brane są darmo. Również materyę i jéj przymioty naturalne daje *gratis* człowiekowi przyroda — zdaniem Marxa.

To więc, co ludzie porównywają przy wymianie, jest, według niego, praca. Sądzi on, iż wszelka praca skomplikowana sprowadzona być może do pewnéj ilości pracy prostéj. Tak np. jeden dzień pracy uczonego może wymagać tyleż wysiłku, co dziesięć dni pracy zwykłego wyrobnika. Weźmy dwa towary jakiekolwiek: koszulę i parę butów. Jeżeli szewc szyje tę ostatnią w ciągu sześciu godzin, a szwaczka używa tyluż godzin dla uszycia koszuli i jeżeli praca w obydwu tych rzemiosłach wymaga jednakowego przygotowania, wysiłku i zręczności — obadwa wytwory mieć będą jednakową wartość. Jeżeli natomiast praca szewca jest dwa razy zmudniejsza, wymaga dwa razy dłuższego przygotowania, lub dwa razy większego natężenia, to para butów wymieniać się będzie na dwie koszule. Toż samo dzieje się ze wszelkiemi towarami wogóle.

Wszelkie rodzaje pracy, zawarte w nich, sprowadzane są nieświadomie do pracy zwykłéj, średniéj, którą rozpatrywać można, jako pewien wydatek mięśni, nerwów, krwi etc. Towary wymieniają się w stosunku do ilości téj pracy średniéj, która niezbędna jest dla ich wytworzenia.

Ale, by wymiana mogła się odbywać w ten sposób, dwa inne warunki muszą być uskutecznione: 1) wszyscy wytwórcy muszą posiadać narzędzia i maszyny używane powszechnie w danéj epoce; 2) nie powinno być wytworzono towarów więcéj, niż dla społeczeństwa w danéj chwili potrzeba. Jeżeli na uszycie pary butów, przy średniéj wprawie i panujących w daném społeczeństwie narzędziach, potrzeba sześciu godzin pracy, to szewc początkujący, nie posiadający należytéj wprawy, lub ubogi, pozbawiony należytych narzędzi, może pracować dla ich uszycia nawet 12 godzin, ale nikt mu nie zapłaci za nie więcéj, niż gdyby pracował tylko pół dnia. A zatém, przy zamianie bierzemy pod uwagę nie czas osobisty, rzeczywiście użyty przez wytwórcę, lecz czas społecznie niezbędny.

Powtóre, jeżeli społeczeństwo potrzebuje dwu milionów par butów, a wytworzono przez pomyłkę, czy dla innego powodu, cztery miliony, to szewcy otrzymają za każde dwie pary butów tylko tyle innych towarów, ileby otrzymali za jedną parę, gdyby wytworzyli dwa miliony par.

Wszystkie te warunki wchodzą w pojęcie pracy społecznie niezbędnéj, która, zdaniem Marxa, stanowi istotę wartości. Ponieważ praca mierzy się czasem, więc w określeniu wartości zamiast praca społecznie niezbędna możemy powiedzieć czas społecznie niezbędny.

Zobaczmy, jaki wpływ wywierają na nią zmiany w wydajności pracy. Wydajność ta mierzy się ilością produktów wytworzonych w jednostkę czasu. Jeżeli, dzięki zastosowaniu nowych maszyn, parę butów można wytworzyć w ciągu trzech godzin zamiast sześciu, a ilość pracy potrzebnéj dla uszycia koszuli pozostała niezmienna, to za parę butów szewc otrzyma już jedną tylko koszulę, przypuściwszy, iż dawniéj otrzymywał dwie. Wartość znajduje się więc w stosunku odwrotnym do wydajności pracy.

Przyszliśmy z Marxem do wniosku, iż wartość towarów określa się czasem społecznie niezbędnym dla ich wytworzenia. A jednak nikt nie mówi: „para butów = 3 godzinom pracy”. To jednak bynajmniéj nie zmienia rzeczy: jakkolwiek nikt nie mówi głowa cukru = tylu a tylu jednostkom siły przyciągania ziemi, jednak wszyscy mają to właśnie na myśli, mówiąc np. iż głowa cukru waży dwa pudy. Faktycznie ludzie wyrażali zawsze wartość zamienną towarów za pomocą wartości (pracy!) innych towarów, przyjętych za jednostkę wymiaru. Jak w powyższym przykładzie: głowa cukru = dwu pudom, żelazo wciela w sobie siłę ciężkości i reprezentuje ją swém ciałem, tak samo istnieje zazwyczaj jeden towar, który jest wcieleniem wartości (pracy społecznie niezbędnéj). Towarem tym, pieniądzem, jest obecnie złoto. Materyą

swą przedstawia on czas społecznie niezbędny dla wytworzenia wszystkich towarów.

Tyle o wartości zamiennéj towarów. Co się zaś tyczy ich wartości użytkowéj, ich właściwości naturalnych, przyjemności lub wygody, które nam sprawiają, to, zdaniem Marxa, ona bynajmniéj na wartość zamienną nie wpływa. Natura daje nam wrzekomo materyę i wszystkie jéj własności darmo, a człowiek je przetwarza na wszelkie możliwe sposoby. Wartość zamienną otrzymują one tylko od dodanéj w ten sposób pracy. Tymczasem, dzięki pewnego rodzaju halucynacyi, którą Marx nazywa fetyszyzmem, wydaje się, jakobyśmy wymieniali przedmioty w stosunku do ich użyteczności. Ale ma to być wrzekomo tylko pozorem. W ten sposób stosunki społeczne, stosunki między ludźmi, przyjęły w oczach ekonomistów charakter materyalny stosunków pomiędzy rzeczami.

Ten punkt widzenia społeczny i historyczny wprowadzony zostaje przez Marxa także do pojęcia kapitału. I on nie jest rzeczą, lecz stosunkiem, „kategoryą społeczną" względną i czasową: to nie każda praca nagromadzona i nie wszelkie wogóle narzędzia pracy, są kapitałem. Środki wytwarzania stają się kapitałem tylko wówczas, gdy stają się narzędziami eksploatacyi, co wymaga, by społeczeństwo składało się z klasy pracowników wolnych, ale pozbawionych narzędzi pracy, i z klasy, która posiada te narzędzia, jako własność monopoliczną.

Marx rozróżnia w każdym kapitale dwie części: s t a ł ą i z m i e n n ą. Pierwsza obejmuje maszyny, materyały surowe, fabrykę—wszystko to się zużywa w produkcyi, ale oddaje tylko w miarę zużycia odpowiednią część swéj wartości wytworowi ostatecznemu. Kapitał stały pozostaje więc niezmiennym pod względem swéj wielkości w produkcyi, jakkolwiek może się zmieniać co do formy: np. wełna staje się suknem. Inaczéj się dzieje z tą częścią kapitału, która użytą zostaje dla najęcia siły roboczéj. Ta ostatnia, kupiona na czas według jéj wartości, wytwarza więcéj, niż kosztuje, gdyż jéj wartość użytkowa, którą fabrykant otrzymuje darmo — on płaci tylko za środki utrzymania siły roboczéj — staje się sama, według Marxa, źródłem wartości wymiennéj. Całe to rozumowanie, dość sztuczne, opiéra się na różnicy pomiędzy pracą a siłą roboczą. Kupując wino, kapitalista płaci tylko za pracę społecznie niezbędną dla jego wyprodukowania, ale nie płaci wrzekomo nic za właściwości naturalne wina. Toż samo się dzieje z „siłą roboczą" — nie płaci on nic za jéj wartość użytkową, za jéj własności, między któremi znajduje się „praca". Otóż „siła robocza" jest jedynym towarem, którego wartość użytkowa jest jednocześnie źródłem wartości wymiennéj. Wytwarza ona więcéj, niż kosztuje, zmienia

wartość kapitału podczas procesu produkcyi, i dlatego Marx nazywa ją częścią zmienną kapitału.

Ilość pracy, która w ten sposób pozostaje nieopłaconą, Marx nazywa nadwartością, a stosunek téj ostatniéj do kapitału zmiennego stopą nadwartości, natomiast stosunek nadwartości do całego kapitału — stopą dochodu.

II. Średnia stopa dochodu.

Dla przykładu weźmy kapitał 10,000 rs.; niechaj część stała równa będzie 6,000 rs., a zmienna — 4,000 rs., zaś suma nadwartości — 3,000 rs. W takim razie stopa nadwartości $= \frac{3000}{4000}$, t. j. 75%, a stopa dochodu $= \frac{3000}{10000}$, czyli 30%. Dochód fabrykanta jest, zdaniem Marxa, tylko częścią pracy robotnika, częścią wartości, którą on wkłada w towar. Weźmy dwa kapitały *A* i *B* po 10,000 rs. każdy. *A* używa za 4,000 rs. pracy, *B* — za 6,000 rs. Przypuśćmy, iż nadwartość stanowi 10% płacy roboczéj, w takim razie jeden kapitał da 400 rs. dochodu, drugi — 600 rs. Sumy te, wzięte w stosunku do 10,000 rs. ogólnego kapitału, dadzą, jako stopę zysku dla *A* — 4%, dla *B* — 6%. Otóż w rzeczywistości wszystkie kapitały, jakąkolwiek jest suma pracy, któréj używają, przynoszą tęż samą stopę dochodu. Doświadczenie poucza nas o tém.

Tu więc zawiéra się sprzeczność, o którą powinno się rozbić prawo wartości Marxa. Istniała ona już u Ricarda, który ją wskazał, ale nie był w stanie rozstrzygnąć. Wskazał ją także Engel w przedmowie do II-go tomu „Kapitału", zapraszając ekonomistów do jéj rozstzygnięcia. Zobaczmy, w jaki sposób Marx sam stara się rozwiązać tę zagadkę w III t. swego dzieła.

Nazywa on „konstytucyą organiczną" *(organische Zusammensetzung)* kapitału stosunek jego dwu części składowych. To różnica w téj konstytucyi wywołała w wypadku powyższym nierówność w stopie dochodu (*A* = 6000 + 4,000, natomiast *B* = 4000 + 6000

Należy jednak zauważyć, iż często przy jednakowéj konstytucyi organicznéj (np. gdy *A* i *B* zawierają po 6,000 rs. kapitału stałego i po 4,000 rs. kapitału zmiennego) dwa różne kapitały mogą swoją drogą dawać różne stopy zysku. Dzieje się to, jeżeli wydajność i natężenie pracy są rozmaite w obudwu gałęziach przemysłu, albo też gdy płaca robotnicza jest niejednakowa, gdy używają niejednakowéj ilości pracy

prostéj i złożonéj, pracy kobiét i dzieci, lub wreszcie, gdy długość dnia roboczego nie jest jednakowa.

Można więc powiedziéć odwrotnie, iż różnice w konstytucyi organicznéj kapitałów mogą się wyrównywać przez wskazane powyżéj różnice — natężenia, długości pracy, rozmiarów płacy roboczéj i t. d., by wywołać jednakową stopę zysku dla wszystkich kapitałów.

Ten sam skutek — wyrównanie stopy dochodu — może wreszcie być spowodowany przez inną jeszcze okoliczność, przez różnicę w długości okresów obiegu kapitałów.

Weźmy np. dwa kapitały o jednakowéj budowie organicznéj (*A* i *B* po 6,000 rs. kap. st. i po 4,000 rs. kap. zmien.), niechaj obadwa dają jednakową nadwartość, równą płacy roboczéj, t. j. 4,000 rs., ale przypuśćmy, iż *A* obiega dwa razy do roku, *B* — trzy razy. W takim razie *A* dostarczać będzie: 4000 × 2 = 8,000 rs. nadwartości,
B „ „ 4000 × 3 = 12,000 rs. „
By znaléść stopę dochodu, należy, jak zwykle, wziąć te sumy nadwartości w stosunku do 10,000 rs. ogólnego kapitału. Stopa ta będzie więc wynosić dla *A* — 80%, dla *B* — 120%.

Można powiedziéć odwrotnie: iż różnice w budowie organicznéj kapitałów mogą się wyrównywać przez różnice w szybkości ich obiegu i spowodować jednakową stopę dochodu. Ten sam rezultat może być wywołany, jak to powyżéj widzieliśmy, przez odpowiednie kombinacye innych czynników (wydajność, natężenie, długość pracy i t. d.).

Należy jednak się zapytać, czy wszystkie te kompensacye, możliwe w teoryi, mają téż miejsce i w rzeczywistości tak, by wywołać wszędzie, we wszystkich gałęziach przemysłu, jednakową stopę dochodu. Gdyby one pozostawione były tylko dobréj woli jednostek, mogłyby mieć miejsce tylko jako skutek trafu szczęśliwego, i stopa dochodu nigdy prawie nie byłaby jednakową we wszystkich sferach produkcyi. Istnieje jednak przyczyna ogólna, która zmusza wszystkich kapitalistów do uciekania się do tych kompensacyi, a mianowicie: ogólna i jednakowa stopa dochodu nie jest niewiadomą, którą oni muszą dopiéro określić, lecz faktem z góry danym, do którego oni powinni się zastosować.

By zobaczyć, w jaki sposób to się odbywa, wyobraźmy sobie fabrykanta, który włożył trzy kapitały o różnéj budowie organicznéj do trzech rozmaitych gałęzi przemysłu. Przypuśćmy dla prostoty, iż stopa nadwartości wszędzie równą jest 100% (t. j. że suma nadwartości równa się kapitałowi zmiennemu), iż cały kapitał stały wchodzi odrazu w skład wytworu rocznego i że niema róznic w okresach obiegowych.

Niechaj jeden z tych kapitałów *A* zawiéra 75 jednostek kapitału stałego i 20 kapitału zmiennego; ponieważ stopa nadwartości równa się 100%, wytwarza on sumę nadwartości równą kapitałowi zmiennemu, t. j. 20 jednostek. Drugi kapitał *B* niechaj zawiéra 50 jedn. kap. st., 30 jedn. kap. zmien., więc i 30 jedn. nadwartości, wreszcie trzeci: 25 jedn. k. stał., 40 jedn. kap. zmien., więc i 40 jedn. nadwartości.

Ponieważ wartość towarów zawiéra kapitał stały + kapitał zmienny + nadwartość, będzie ona równą dla wytworów kapitału *A*: 75 + 20 + 20 = 115; dla wytworów kap. *B*: 50 + 30 + 30 = 110; dla wytworów kapitału *C*: 25 + 40 + 40 = 105.

Suma nadwartości dostarczona przez wszystkie trzy kapitały równa się *en masse* = 20 + 30 + 40 = 90 jednostek.

Zauważmy teraz, iż cena, podług któréj kapitalista sprzedaje swe wytwory, jest mu obojętna, byleby otrzymał swoje 90 jednostek nadwartości. Może więc, jeżeli to mu jest bardziéj wygodném dla sprzedaży rozłożyć tę masę nadwartości w jednakowy sposób na wytwory wszystkich trzech gałęzi przemysłu, t. j. zamiast wprowadzić do produktów kapitału *A* — 20 jednostek, *B* — 30 jed., *C* — 40 jed., wziąć średnią arytmetyczną $\left(\frac{20 + 30 + 40}{3} = 30\right)$ trzydziestu jednostek, którą wszędzie doliczać będzie do wydatków. Nic w jego interesach od tego się nie zmieni.

Dodając ten dochód średni trzydziestu jednostek do kapitału stałego, który zużyty został, i do kapitału zmiennego, otrzymujemy c e n ę s p r z e d a ż y, czyli w y t w a r z a n i a.

Wszystko to można przedstawić w sposób bardzo prosty następującą tablicą:

Kap.	Wartość (st. zmien. nadw.)	Ceny sprzedaży (st. zmien. doch.)	Różnica pomiędzy ceną a wartością
A	75 + 20 + 20 = 115	75 + 20 + 30 = 125	+ 10
B	50 + 30 + 30 = 110	50 + 30 + 30 = 110	0
C	25 + 40 + 40 = 105	25 + 40 + 30 = 95	— 10
	330		

Byleby otrzymał w obudwu wypadkach 330 jednostek wartości i 90 jednostek nadwartości, sposób sprzedaży towarów jest obojętny fabrykantowi: czy ona odbywać się będzie według ich wartości, czy też według kosztów wytwarzania. Wybiéra ten ostatni sposób, gdyż rzeczywistość tego wymaga.

Wyobraźmy sobie obecnie, iż cała klasa kapitalistów stanowi jedną osobę moralną, postępować będzie tak samo. Wszystkie sumy

nadwartości, otrzymywane w danėm społeczeństwie (według stóp nader rozmaitych, które mogą być niejednakowe w różnych gałęziach przemysłu), są dodawane jedne do drugich i wzięte w stosunku do sumy ogólnėj istniejącego kapitału. W ten sposób otrzymaną zostaje średnia stopa dochodu, która jest prawem danėm: wszyscy oddzielni kapitaliści muszą się doń zastosować.

Suma dochodu otrzymywana przez całą klasę kapitalistów jest więc równa sumie nadwartości, którą zbiéra, a ogólna masa towarów wytworzonych podlega prawu wartości, ale każdy towar oddzielnie wzięty wymienia się nie według ilości pracy społecznie niezbędnėj, lecz według kosztów wytwarzania, t. j. niektóre towary powyżėj, niektóre poniżėj wartości. Tak np. kapitał *C* — z powyższego przykładu — który ma większą część z m i e n n ą i wytwarza więcėj nadwartości, sprzedaje swe towary o 10 jednostek poniżėj ich wartości społecznėj, kapitał *A*, który jest w położeniu odwrotném, sprzedaje towary o 10 jednostek ponad ich wartość, i tylko kapitał *B*, który trafem wytwarza nadwartość równą dochodowi, może sprzedawać je według wartości.

Wogóle ceny wytwarzania w rzadkich tylko wypadkach są identyczne z wartością towarów, gdyż średnia stopa dochodu wyprowadzona zostaje ze sfer wytwórczych, mających kapitały o budowie organicznėj nader rozmaitėj i wytwarzających sumy nadwartości nierówne. Jakkolwiek formacya stopy ogólnėj dochodu odbywa się niezależnie i bez wiedzy kapitalisty, jest mu ona znana w każdym okresie. Znając tę stopę, kapitalista dodaje do niėj ilość kapitału stałego i zmiennego, którą zużył w wytwarzaniu, i w ten sposób otrzymuje cenę wytwarzania, czyli sprzedaży, nie troszcząc się bynajmniėj o to, czy wyprodukował większą lub mniejszą sumę nadwartości — tėmbardziėj, iż sam nigdy tego nie wié. Nie może więc upiérać się przy sprzedawaniu towarów według ich wartości.

„Wraz z przekształceniem wartości w cenę wytwarzania — powiada Marx — sama podstawa określania wartości (t. j. praca) przestaje być widoczną.” Ale ona nie przestaje — zdaniem autora — istnieć, a mianowicie konkurencya kapitałów prowadzi ku temu, by ceny wytwarzania zbliżały się jaknajbardziėj do wartości. Odbywa się to w sposób następujący: Przedsiębiorca jest często w stanie sprzedawać swe towary powyżėj ich wartości — tabliczka powyższa pokazuje, iż dzieje się to wówczas, gdy kapitał (*A*) zawiéra więcėj części stałych a mniėj zmiennych. I odwrotnie w przeciwnym wypadku (kap. *C*). Ale w pierwszym razie otrzymuje konkurentów, kapitały napływają do tėj gałęzi przemysłu i ceny sprzedaży dążą do spadku aż do wartości,

w razie przeciwnym kapitalista musi sam przez się przestać wytwarzać, chyba że potrafi pokryć straty szybkością obrotu swego kapitału, lub innemi czynnikami, o których mówiliśmy.

To właśnie konkurencya kapitałów sprawia, iż rozmaite warunki (jak natężenie pracy, jéj długość, okresy obiegu i t. p.) kompensują się wzajemnie i że wszystkie kapitały zastosowują się do warunku naprzód danego powszechnéj, średniéj stopy dochodu.

W taki to sposób prawo wartości dąży do urzeczywistnienia się, i ceny sprzedaży zbliżają się do wartości.

Ogólnie jednak są one różne: każdy towar sprzedaje się poniżéj lub powyżéj swéj wartości. To tylko w społeczeństwach pierwotnych, gdzie wymianę produktów prowadziły nie jednostki, lecz gminy całe, podstawą i miarą wymiany był czas społecznie niezbędny — powiada Marx. Prawo to ma także siłę dla czasów niewolnictwa, kolonatu, lub organizacyi korporacyjnéj rzemiosł; gdyż we wszystkich tych sferach środki wytwarzania mogły tylko z trudnością być przenoszone z jednéj gałęzi przemysłu do drugiéj, a różne sfery produkcyjne znajdowały się względem siebie w stosunkach podobnych do stosunków gmin pierwotnych. Z drugiéj strony, we wszystkich tych wypadkach wysiłek bezpośredni, niezbędny dla wytworzenia przedmiotu we wszystkich tych wypadkach, znany był producentom, gdyż narzędzia pracy, nader proste, nie grały jeszcze znacznéj roli w formacyi wartości, w porównaniu z żywą pracą. Natomiast, gdy narzędzia te (kapitał stały) zdobyły rolę przeważającą, gdy kapitał i praca z łatwością przenoszą się z jednéj sfery do drugiéj — jak to się dzieje w kapitalizmie, wymiana odbywa się nie na zasadzie czasu społecznie niezbędnego, lecz na zasadzie kosztów wytwarzania.

Z drugiéj jednak strony, nie chcąc zadawać kłamu teoryi wyłożonéj w pierwszym tomie „Kapitału", Marx stara się, jak widzieliśmy, pokazać, iż cały system kompensacyi dąży pod wpływem wolnego współzawodnictwa do tego, by i w naszych czasach koszta wytwarzania były równe wartości.

Otóż zachodzi pytanie, czy te niezbędne kompensacye mogą zawsze się wykonywać? Jeżeli np. jeden kapitał zawiéra część stałą dwa razy większą niż drugi, czy jest zawsze rzeczą możliwą, by obiegał dwa razy szybciéj, lub by stał się dwa razy wydajniejszy, wprowadzając nową maszynę, — a tylko przy tych warunkach stopa dochodu w obudwu mogłaby być jednakową. A jeżeli warunki ekonomiczne nie pozwalają téj szybkości obiegu, lub jeżeli maszyna ta jeszcze nie istnieje, w takim razie równość wartości i kosztów wytwarzania nie urzeczywistni się. Dlatego téż Marx nie nastaje na to, by ona miała miejsce dla każ-

dego towaru zosobna, lecz wystarcza mu, jeżeli się uskutecznia dla wszystkich towarów wziętych *en masse*. Odpowiedź jednak ta nie może być uważana za wystarczającą, gdyż wartość jest tylko stosunkiem wymiennym dwu towarów, i dlatego „wartość ogólna wszystkich towarów" jest, naukowo mówiąc, wyrażeniem nader hazardownem.

Wogóle na tym punkcie istnieje niezgodność między I a III-im tomem kapitału, i Marx tak samo nie jest w stanie sprawdzić należycie równości między kosztami wytwarzania towaru a pracą, jak nie był w stanie uczynić tego Ricardo. Bo też zadanie to wydaje się być stanowczo niewykonalném i to nas przekonywa, iż nie sposób sprowadzić wartości jedynie do pracy, jak to obydwaj ci autorowie czynili. Wprawdzie Marx zakréśla „pracy" podstawy daleko obszerniejsze, niż Ricardo, ale i one są jeszcze nazbyt wąskie.

Istotnie, nie sposób sprowadzić wszystkich rodzajów pracy do wspólnego mianownika, którym byłaby praca ogólno-ludzka: są w pracy różnice i odcienie indywidualne tak głębokie — we wszystkiém co się tyczy talentu, geniuszu, — iż sprowadzenie to do jedności jest prostą chimerą. Z drugiéj strony nie wolno czynić abstrakcyi względem różnic w ilości i jakości materyi, które są nader rozmaite i niewątpliwie wpływają na wartość. I w końcu nie sposób przenieść ustanowienia wartości do fabryki, czyniąc ją równą tylko pracy, gdy ona w istocie ustanawia się na rynku i zależy od mnóstwa innych okoliczności, między innemi od handlu, które Marx zmuszony był zupełnie pominąć. Wychodząc z wąskiego założenia, iż wartość zależy tylko od pracy przemysłowéj, Marx fatalnie zmuszony był uważać wszystko, co się dzieje po za fabryką, a mianowicie cały obieg za nieprodukcyjny. Otóż pogląd ten jest tylko przeżytkiem starego przesądu fizyokratów o pracy bezpłodnéj. I jeżeli w dzieciństwie kapitalizmu pogląd ten mógł jeszcze do pewnego stopnia być usprawiedliwiony, trudno przypuścić, by on nim był jeszcze obecnie: trudno przypuścić, by rozwój społeczny wytworzył organ pierwszorzędnéj doniosłości, organ obiegu, zajmujący miliony osób, którego praca byłaby nieprodukcyjna. Cóżbyśmy np. powiedzieli o fizyologu, któryby twierdził, iż w organizmie ludzkim tylko praca mięśni i nerwów jest produkcyjna, natomiast praca serca i systemu krwionośnego nią nie jest? Wyrzuciwszy za nawias cały obieg i inne okoliczności, powyżéj wspomniane, nic dziwnego, iż Marx, zwęziwszy w ten sposób pojęcie wartości, nie jest w stanie udowodnić następnie, iż jest równa kosztom wytwarzania, a przynajmniéj musi ją „ciągnąć za włosy", by to udowodnić.

Należy więc wyrzec się raz na zawsze idei, iż wartość zależy tylko od pracy, jakkolwiek w ten sposób ekonomia polityczna byłaby nad-

zwyczaj uproszczona: wartość zależy nietylko od warunków fabrycznych, ale także od wszelkich innych, przyrodzonych i rynkowych. Całość tych warunków znajduje swój wyraz w cenie. Wartość jest zjawiskiem nadzwyczaj skomplikowaném, jest wyrazem wszystkich czynników systemu ekonomicznego i nie sposób redukować jéj do jednego tylko czynnika, do pracy.

Jeżeli jednak na tym punkcie trzeci tom „Kapitału" rozprasza złudzenia, które dawniéj pod tym względem miéć było można, to dzieło Marxa zachowuje jednak pomimo to wielkie znaczenie naukowe: on pierwszy zanalizował w sposób znakomity wszystkie antagonizmy wewnętrzne produkcyi spółczesnéj, antagonizmy wywołane przez charakter monopoliczny kapitału. Autor rozbiera ten przedmiot w trzecim oddziale, do którego obecnie przechodzimy. Rozpoczniemy od wykładu obeiktywnego sprawy, do którego następnie dodamy kilka uwag.

III.

Prawo spadku stopy dochodowéj.

Rozwój produkcyi kapitalistycznéj prowadzi do wzrostu ciągłego części stałéj (maszyny i t. d.) i do zmniejszania stosunkowego części zmiennéj—jednocześnie suma ogólna kapitału zwiększa się. Ten ruch musi wyrażać się w spadku bezustannym stopy dochodu, nawet jeżeli stopień wyzysku pracy się nie zmniejsza. Przypuśćmy np. iż z biegiem czasu nadwartość i kapitał zmienny pozostają nieruchome i równe między sobą i że tylko kapitał wzrasta:

1) kap. st. $= 50$ k. zm. $= 100$ stopa dochodu $= \frac{100}{150} = 66^2/_3\%$

2) „ $= 100$ „ $= 100$ „ $= \frac{100}{200} = 50\%$

3) „ $= 200$ „ $= 100$ „ $= \frac{100}{300} = 33^1/_3\%$

4) „ $= 300$ „ $= 100$ „ $= \frac{100}{400} = 25\%$

5) „ $= 400$ „ $= 100$ „ $= \frac{100}{500} = 20\%$

W ten właśnie sposób zmienia się budowa organiczna kapitału z biegiem czasu. W rzeczywistości kapitał zmienny także wzrasta, ale w sposób daleko powolniejszy, niż stały: gdy drugi np. o 100%, pierwszy tylko o 10%. Dlatego właśnie rezultat powyżéj wskazany spadku stopy dochodowéj pozostaje prawie niezmienny. Zauważmy,

iż Marx nazywa kapitały, zawierające więcéj czynników stałych niż zmiennych, kapitałami o budowie organicznéj wyższéj od średniéj, w któréj te części są równe sobie. W odwrotnym wypadku mamy budowę organiczną niższą. Nazwy te zawarunkowane są przez to, iż wzrost kapitału stałego wskazuje większą wydajność pracy.

„W wyżéj przytoczonym przykładzie hypotetycznym — powiada Marx—wyraża się rzeczywista dążność produkcyi kapitalistycznéj. Ta ostatnia prowadzi do budowy coraz wyższéj kapitału ogólnego (do zwiększenia stosunkowego części stałéj). Bezpośrednim skutkiem tego jest to, iż suma nadwartości, przy stopniu wyzysku niezmiennym a nawet wzrastającym, wyraża się w stopie średniéj dochodu coraz spadającéj". Nie należy więc, jak to czynią ekonomiści liberalni, sądzić, iż spadek stopy procentowéj odbywa się na korzyść robotnika. Ekonomia liberalna nie była w stanie objaśnić spadku stopy dochodowéj i tylko używała go, jako broni, bądź dla apologii kapitału wobec pracy, bądź téż dla napaści na posiadaczów ziemskich, gdyż renta ma tendencyę, wprost odwrotną, wzrastania wraz z postępem społecznym. Wraz ze zmniejszeniem się stosunkowém kapitału zmiennego, zmniejsza się téż i suma nadwartości, która, jak to widzieliśmy, pochodzi zawsze, według Marxa, tylko od części zmiennéj. Stąd wniosek, iż kapitał ogólny musi wciąż wzrastać, by kapitalista mógł otrzymywać wciąż tę samą sumę nadwartości. „Jeżeli część zmienna kapitału stanowi tylko ($^1/_6$) kapitału ogólnego, a poprzednio stanowiła połowę, to kapitał ogólny musi się potroić, by zajmować poprzednią ilość robotników, a musi się stać sześć razy większym, by dać zajęcie podwójnéj liczbie robotników".

Otóż kapitał nie może wzrastać tak szybko, a przynajmniéj nie wzrasta o tyle, by mógł przy powyższych warunkach zajmować cały przyrost ludności. Dlatego wzrost bezustanny wydajności pracy musi fatalnie prowadzić do wytworzenia ludnosci zbytecznéj, nie zajętéj.

Wniosek powyższy jest bardzo ważny dla krytyki teoryi Malthusa, która porównywa dwie rzeczy: wzrost ludności i bogactwa, czyli kapitału ogólnego. Otóż ten ostatni nie jest w całéj swéj sumie dostępny dla ludności, lecz tylko jego część zmienna. Należy więc porównywać ruch téj ostatniéj z ruchem ludności. Skoro przeto kapitał zmienny ma dążność do zmniejszenia się stosunkowego, w miarę rozwoju społeczeństw, ludność w danéj chwili zajęta, gdyby nawet nie wzrastała, musi wytwarzać z biegiem czasu część niezajętą, zbyteczną. Ale ten nadmiar ludności jest tylko względny, gdyż bogactwo ogólne kraju wzrasta bez ustanku i byłoby zupełnie wystarczające dla zajęcia wszystkich. To właśnie się dzieje obecnie we Francyi. W rzeczywistości

nauka nie zna jeszcze prawa absolutnego, które rządzi wzrostem ludności i bogactw. Dwie te kategorye są zawsze zawarte w pewnych formach społecznych, które kierują ich stosunkiem. Z tego powodu każda wielka epoka historyczna posiada swe odrębne prawo ludnościowe. Prawo to wyraża się w naszych czasach względnym nadmiarem ludności, ale innem zupełnie było ono w starożytności lub wiekach średnich.

Marx zastosowuje prawo spadku stopy dochodowéj do objaśnienia innych jeszcze zjawisk. „Gdy wydajność pracy wzrasta — powiada — spada cena każdego oddzielnego towaru, ten bowiem zawiera coraz mniéj pracy opłacanéj i nieopłacanéj. Jeżeli np. taż sama ilość pracy wytwarza liczbę potrójną produktów, każdy produkt zawiera tylko $1/3$ pracy poprzedniéj. A ponieważ dochód kapitalisty stanowi tylko część pracy zawartéj w towarze, ilość dochodu otrzymywanego z każdego towaru musi spadać". Kapitalista może sobie wyobrażać, iż zmniejszając cenę wytworu, zmniejsza z własnéj woli część odpowiednią swego dochodu i że jest wynagradzany zwiększeniem masy sprzedawanych towarów. W rzeczywistości jednak on tylko kroczy za spadkiem ceny wywołanym przez wzrost wydajności pracy. Sądzi, iż sam prowadzi sprawę, a to ona go prowadzi. Wydaje mu się, iż sprzedaje więcéj dlatego, że zmniejszył cenę, w istocie zaś musi sprzedawać więcéj, jeżeli chce otrzymywać poprzednią sumę dochodu. Gdyby wartość towarów nie była spadła dzięki wzrostowi wydajności pracy, kapitalista aniby myślał zniżać ceny. Są to wszystko złudzenia, wywołane nieznajomością praw wewnętrznych gospodarki narodowéj. Złudzenia te podziela i Roscher, który twierdzi, iż spadek stopy dochodowéj „jest bardziéj rozumny i ludzki." „Wszystko to, powiada Marx, opiera się na zupełnem niepojmowaniu średniéj stopy powszechnéj dochodu i na idei powierzchownéj, iż ceny są określane dodaniem mniéj więcéj dowolnem byle jakiego dochodu do wartości realnéj towaru".

Marx przechodzi następnie do zbadania sprzeczności wewnętrznych, wywołanych w gospodarce przez prawo spadku stopy dochodowéj. Nadwartość stanowi cel bezpośredni produkcyi kapitalistycznéj, nie wystarcza jednak wytworzyć towary zawierające nadwartość. Należy jeszcze sprzedać je. Jeżeli sprzedaż niema miejsca, albo też jeżeli się odbywa po cenach niższych od wartości, nadwartość, stanowiąca część téj ostatniéj, została wytworzoną (w fabryce!), ale nie zrealizowaną (na rynku!). Warunki eksploatacyi i realizacyi nie są identyczne i owszem są w sprzeczności wewnętrznéj pomiędzy sobą. Pierwsza wzrasta równocześnie z wytwórczością kapitału, druga natomiast zależy od spożycia, a raczéj od środków nabywczych ludności, które są

prawie nieruchome, a w każdym razie nie wzrastają tak szybko, jak wytwórczość pracy.

Ponieważ celem wytwarzania współczesnego jest nie zaspokojenie potrzeb ludności, lecz zdobycie pewnego dochodu, więc peryodycznie musi zjawiać się dysharmonia pomiędzy wytwarzaniem a spożyciem, w postaci przesileń. Dlatego też może mieć miejsce tak dziwaczne napozór zjawisko, iż w tym samym kraju znajdujemy nadmiar kapitału obok nadmiaru ludności. Jeżeli pewna ilość robotników nie znajduje zajęcia, to nie dla braku kapitału, lecz i owszem dlatego, iż kapitał istnieje w sumie nadmiernéj i dlatego nie mógłby otrzymać średniéj stopy dochodu, gdyby dał zajęcie tym robotnikom. A jeżeli kapitał wysłany zostaje za granicę, to nie dlatego, iż nie mógłby być użyty wewnątrz kraju, lecz dlatego, iż tu na miejscu nie otrzymywałby średniéj stopy dochodu.

To ta średnia stopa dochodu, a bynajmniéj nie potrzeby ludzi, decyduje o rozszerzeniu lub zwężeniu produkcyi. Wytwarzanie ustaje nie wówczas, gdy potrzeby ludności są zaspokojone, lecz wówczas, gdy stopa średnia dochodu tego wymaga. „Stopa ta—powiada Marx—jest głównym motorem produkcyi kapitalistycznéj — wytwarza się tylko to, co ona pozwala wytwarzać. I dlatego właśnie ekonomiści angielscy czują taki strach wobec jéj spadku. Jedynie możliwość tego spadku mocno niepokoiła Ricardo i to właśnie dowodzi, jak głębokiém było jego pojmowanie warunków produkcyi spółczesnéj. To co zwykle zarzucają Ricardo—iż zajmuje się nie „ludźmi", lecz rozwojem sił wytwórczych, jakiekolwiek są ich ofiary — to jest właśnie rzeczą najważniejszą w jego dziełach. Rozwój sił wytwórczych pracy społecznéj jest zadaniem historyczném i usprawiedliwieniem kapitalizmu, gdyż w ten właśnie sposób wytworzone zostają warunki materyalne dla wyższéj formy społecznéj. Otóż Ricardo słusznie się obawiał, iż stopa średnia zysku, ten główny bodziec produkcyi jest zagrożony, a z nim razem i rozwój sił wytwórczych". Cała ta analiza sprzeczności wewnętrznych kapitalizmu jest słuszną w gruncie, jakkolwiek teorya nadwartości Marxa wraz z teoryą wartości jest nadzwyczaj chwiejną. Nadwartość, jak wiadomo, pochodzi, według Marxa, z różnicy pomiędzy wartością użytkową siły roboczéj a jéj wartością zamienną. Kapitalista opłaca wrzekomo tylko tę ostatnią, za pierwszą zaś nic nie płaci, tymczasem ona w danym wypadku jest źródłem pracy: ta wartość użytkowa odrzuca nadwartość. Sądzimy, iż daleko naturalniejsze wyjaśnienie nadwartości znaleźć można w charakterze monopolicznym kapitału, który nie znajduje się w równych warunkach z pracą na rynku: pierwszy może czekać, druga nie; pierwszy może być umieszczony

w papierach państowych, druga — nie i t. d. Wszystkie te nierówności nadają pierwszemu charakter monopolu, który odrzuca pewną nadwartość. Ta ostatnia może więc być uzasadnioną niezależnie od teoryi wartości Marxa. Ale w takim razie dochód kapitalisty zależeć będzie nietylko od tego monopolu, ale i od masy innych warunków; należy jednak przyznać, iż monopol ten jest główném jego źródłem. Oczywista rzecz, że skoro różne kapitały używają różnych ilości pracy, różnica, którą Marx wprowadza pomiędzy kapitałem zmiennym a stałym, ma wielkie znaczenie. Zmiany w budowie organicznéj kapitału stanowią jedną z głównych przyczyn spadku stopy średniéj dochodu, dzięki wzrostowi części stałéj w porównaniu ze zmienną. Ponieważ kapitał ma charakter własności monopolicznéj, można też śmiało rozpatrywać klasę kapitalistów, jako towarzystwo akcyjne, które dzieli całą sumę wspólnego dochodu między uczestników, proporcyonalnie do ich doniosłości.

W ten sposób ustanawia się średnia stopa dochodu, i należy przyznać, iż Marx znakomicie analizuje jéj rolę i wpływ jéj spadku w gospodarce społecznéj. Nikt jeszcze nie dał poglądu tak głębokiego na jéj tajemnice i sprzeczności wewnętrzne, na kryzysy, na wytwarzanie ludności zbytecznéj, która może istniéć obok kapitału zbytecznego i t. d. Wszystko to może być przyjęte niezależnie od téj przepaści, którą Marx ustanawia między wartością zamienną a użytkową—ta ostatnia w rzeczy saméj wpływa na tamtą; a także niezależnie od téj różnicy, którą on upatruje pomiędzy kapitałem stałym a zmiennym: obadwa dają dochód, tylko różnego charakteru i różnych rozmiarów.

IV.

Kapitał handlowy.

W IV oddziale Marx mówi o kapitale handlowym, który występuje w dwojakiéj postaci: towarów i pieniędzy. Dotychczas mówiliśmy tylko o kapitale przemysłowym w obudwu tych formach. W początkach kapitalizmu kapitał handlowy i przemysłowy stanowiły jedną całość, ale w społeczeństwach dobrze rozwiniętych oddzielają się jeden od drugiego, a jednak ich związek wewnętrzny pozostaje nienaruszony. „Kapitał handlowy w towarach—powiada autor — nie jest niczém inném, jak kapitałem przemysłowym w towarach, który ma przebyć fazę przekształcenia w pieniądze... Tylko że funkcya ta, zamiast być zajęciem dodatkowém przemysłowców, staje się zajęciem specyalném odrę-

bnego rodzaju kapitalistów, kupców, ona się różniczkuje, jako przedsięwzięcie niezależne, z osobnym nakładem kapitału."

Gdyby kupno i sprzedaż, zamiast być sprawą kupca niezależnego, były zajęciem subiekta u kapitalisty przemysłowego, związek rzeczywisty, istniejący między kapitałem handlowym i przemysłowym, byłby oczywisty. W istocie nie są to zdaniem Marxa dwa kapitały różne, lecz ten sam kapitał, znajdujący się w dwóch odrębnych fazach swego istnienia. „Kapitał handlowy jest tylko kapitałem wogóle, znajdującym się w sferze obiegu. Ale w procesie obiegu żadna wartość nie zostaje wytworzoną, ani też żadna nadwartość. Jest tylko zmiana formy téj saméj masy wartości. Jeżeli nadwartość realizuje się w sprzedaży, to dlatego, iż ona już znajdowała się w towarach (gdyż nadwartość ta już poprzednio w fabryce wytworzona została). Kapitał handlowy nie tworzy więc ani wartości ani nadwartości, ale tylko pomaga do ich realizacyi.

A jednak kapitał handlowy daje średnią stopę dochodu narówni z kapitałem przemysłowym, bo gdyby ten ostatni dawał większy dochód, część kapitału handlowego natychmiast przeniosłaby się do przemysłu i odwotnie w wypadku odwrotnym. Ale ponieważ kapitał handlowy nie tworzy — według Marxa — ani wartości ani nadwartości, to oczywista, iż ta część nadwartości, z któréj on sam korzysta, jest tylko częścią ogólnéj nadwartości, wytworzonéj przez kapitał przemysłowy.

Dla objaśnienia téj kwestyi, Marx bierze przykład następujący: niechaj będzie kapitał przemysłowy złożony z 900 jednostek, z których 720 kapitału stałego i 80 kapitału zmiennego; niechaj stopa nadwartości $= 100\%$. W takim razie masa nadwartości wytworzonéj $= 180$ jednostkom, a stopa dochodu $= \frac{180}{900} = 20\%$. Ale jeżeli obok tego istnieje jeszcze kapitał handlowy, równy 100 jednostkom, to i on brać będzie udział w téj masie nadwartości, i stopa dochodu równa będzie w takim razie $= \frac{180}{1000} = 18\%$, kapitał przemysłowy, składający się podawnemu z 900 jednostek, otrzyma tylko 162 jednostki nadwartości, pozostałe zaś 18 oddane będą kapitałowi handlowemu. Cena sprzedaży towarów równa jest częściom kapitału stałego i zmiennego, które są w nich zawarte *plus* dochód przemysłowy *plus* dochód handlowy. Dla towarów wytworzonych z kapitałem z powyższego przykładu cena ta równa się $= 900 + 162 + 18 = 1{,}080$. Ale kupiec płaci fabrykantowi tylko część téj sumy, a mianowicie $900 + 162 = 1{,}062$, inaczéj mówiąc, kupuje towary od fabrykanta poniżéj ich wartości społecznéj i realizuje ją sam dopiero w sprzedaży.

Dochód przemysłowy i dochód handlowy stanowią tylko części nadwartości wytworzonéj przez robotnika w fabryce.

Z powyższego wypada, iż dochód przemysłowy jest tém mniejszy, im kapitał handlowy jest większy w stosunku do kapitału przemysłowego i odwrotnie. Gdyby np. w powyższym przykładzie kapitał handlowy równym był nie 100 jednostkom, lecz 180, mielibyśmy przy téj saméj sumie nadwartości (180 jedn.), wziętéj w stosunku do kapitału całkowitego (900 przem. + 180 handl.) = 1,080, stopę średnią dochodu równą nie 18%, lecz tylko $16^2/_3$%.

„W jaki sposób należy rozpatrywać—zapytuje Marx—robotników zajętych w handlu?". Odpowiedź brzmi, jak następuje: „Pomiędzy tymi pracownikami a robotnikami zajętymi przez kapitał przemysłowy istnieje taż sama różnica, jaką widzieliśmy między kapitałem handlowym, a przemysłowym. Ponieważ kupiec, jako zwykły agent obiegu, nie wytwarza ani wartości, ani nadwartości, subiekci handlowi nie mogą także wytwarzać dlań bezpośrednio nadwartości." Inaczéj mówiąc, pracownicy handlowi nie tworzą nowéj wartości, pomagają tylko do realizacyi téj, która pomimo nich była już zawarta w towarach. A zatém z punktu widzenia społeczeństwa—powiada Marx —praca ich jest nieprodukcyjna, ale z punktu widzenia kupca jest ona produkcyjna, albowiem jest źródłem dochodu.

Taki jest pogląd Marxa na handel i na kapitał handlowy; mówiliśmy już, iż pogląd ten wydaje nam się być całkiem paradoksalny: niema żadnego powodu uważać dochód handlowy za część tylko przemysłowego; jest to dochód niezależny i tyleż uprawniony, co i tamten, obadwa opierają się po części na wyzysku, po części na konjunkturach, po części na oszczędności i t. d. Bądźcobądź Marx nie daje żadnego poważnego dowodu swego rozumowania: fakt przytaczany przezeń, iż drobny producent nie przypisuje sobie dochodu podwójnego, przemysłowego i handlowego, nie jest dowodem. Podział pracy społecznéj nie jest błahostką, którą możnaby obalić taką fantazyą, i z tego, że drobny producent, to zjawisko przestarzałe i ginące w konkurencyi, kontentuje się lada jakim dochodem, nie można czynić podstawy teoryi, mającéj być zastosowaną do społeczeństwa olbrzymio zróżniczkowanego.

W gruncie rzeczy Marx popchniętym został fatalnie do wyprowadzenia wszystkich tych hazardownych wniosków z swéj teoryi wartości: ponieważ wartość wytwarza się tylko w fabryce, wszystko co się poza nią obywa, np. cała praca i wydatki zużyte w obiegu, są nieprodukcyjne. Zresztą Marx przyznaje — w II tomie swego dzieła, że niektóre wydatki na cyrkulacyę mogą być produkcyjne, a mianowicie te, które są jakby dalszym ciągiem samego wytwarzania, np. zapasy robione

widokach produkcyi późniejszéj, transport towarów z miejsca wytwarzania na miejsca spożycia.

Otóż produkt musi często szukać spożywcy bardzo daleko i czekać nań bardzo długo, a według Marxa byłoby produkcyjném co najdaléj dostarczanie bezpośrednie towaru spożywcy. Otóż gdyby istniało jakieś biuro statystyczne, któreby naprzód określało, w jaki sposób towary powinny być podzielone pomiędzy spożywców, i gdyby według tego planu można było dać każdemu według jego potrzeb, moglibyśmy z łatwością naprzód określić, jaka część obiegu jest produkcyjna, a jaka nie. Niestety, nic podobnego nie istnieje, i cały obieg jest tylko pośrednim sposobem rozwiązania powyższego zadania, drogą prób i powolnych przystosowań.

Jest to więc funkcya produkcyjna, wykonywana przez organ społeczny, specyalnie w tym celu zróżniczkowany, który odpowiada systemowi krwionośnemu w organizmach. Z drugiéj strony nie ulega wątpliwości, że niektóre objawy obiegu, a głównie spekulacyi, są nietylko nieprodukcyjne, ale szkodliwe, t. j. powinno istnieć pewne przystosowanie pomiędzy wytwarzaniem a obiegiem, a wszystko co przechodzi tę proporcyę należytą jest zbyteczne; ale to jest zupełnie inna sprawa.

Oddział IV zawiera jeszcze trochę danych historycznych o kapitale handlowym, które są wartości nieocenionéj. Kapitał handlowy zjawia się w historyi daleko wcześniéj, niż przemysłowy i niż produkcya kapitalistyczna. Istotnie, pojawienie się téj ostatniéj wymaga pewnéj koncentracyi zapasów pieniężnych, handlu hurtowego i t. d. Jedynym warunkiem istnienia kapitału handlowego jest obieg pieniężny — dlatego też istniał on już w odległéj starożytności—tymczasem kapitał przemysłowy wymaga zupełnie innych warunków, które wystąpiły daleko późniéj.

Im mniéj rozwinięta jest produkcya, témbardziéj bogactwa pieniężne skupiają się w ręku kupców, gdyż oni załatwiają wszystkie akty kupna i sprzedaży. Ale w miarę tego, jak produkcya kapitalistyczna się rozwija, kapitał handlowy traci swe położenie przeważające i staje się coraz bardziéj zależny od kapitału przemysłowego.

Historya pokazuje, iż tam gdzie kapitał handlowy gra rolę przeważającą, wszystkie stosunki społeczne są przestarzałe i spóźnione w rozwoju. To kapitał przemysłowy dokonywa w nich przewrotu i pcha po drodze postępu. Dzieje się to często w tym samym kraju, gdzie miasta handlowe przedstawiają dotychczas analogię daleko większą z dawnemi porządkami, niż miasta przemysłowe.

Tak samo widzimy, iż w historyi Anglii nowożytnéj stan kupiecki i miasta handlowe grały rolę reakcyjną w polityce i wstępowały w związ-

zek z arystokracyą ziemską przeciw kapitałowi przemysłowemu. W tym samym porządku myśli Marx zarzuca Mommsenowi, iż nie rozumie roli kapitału przemysłowego, który miesza z handlowym, jedynym jaki istniał w Rzymie starożytnym. Ze wszystkiego tego można wyprowadzić wniosek, iż rozwój niezależny kapitału handlowego znajduje się w stosunku odwrotnym do ogólnego rozwoju ekonomicznego społeczeństw. Widać to z historyi handlu Wenecyi, Genui, Holandyi, które ciągnęły olbrzymie zyski z pośrednictwa w wymianie produktów pomiędzy ludami ekonomicznie nierozwiniętemi i przez wyzyskiwanie krajów produkujących. Lecz w miarę tego, jak rozwój ekonomiczny tych krajów posuwa się naprzód, rola tego handlu pośredniczącego się zmniejsza. W powyższym wypadku kapitał handlowy występował w swéj formie czystéj i niezależnéj, nie mając nic wspólnego z samą produkcyą; z czasem wszakże, z rozwojem produkcyi kapitalistycznéj, staje się on zupełnie zależny od kapitału przemysłowego.

„Ludy handlowe starożytności — powiada Marx—istniały, jak bogi Epikura w przestrzeniach wolnych międzyświatowych, albo raczéj jak Żydzi w porach społeczeństwa polskiego. Handel pierwszych ludów i miast handlowych, niezależnych, który się szeroko rozwinął, opierał się, jako zwykły handel pośredniczący, na barbarzyństwie ludów produkujących, między którymi występował." Handel wywiera swój wpływ naturalny na te ludy, poddaje coraz bardziéj produkcyę panowaniu wartości wymiennéj, czyniąc środki utrzymania zależnemi raczéj od sprzedaży, niż od spożycia bezpośredniego. W ten sposób wywołuje on rozkład dawnych stosunków, zwiększa obieg pieniężny i z biegiem czasu obejmuje nietylko nadmiary produkcyi nad spożyciem, lecz całą wogóle produkcyę.

O ile kapitał handlowy występuje w wymianie produktów pomiędzy gminami mało rozwiniętemi, dochód jego przybiera formę kradzieży i rozboju i rzeczywiście w znacznym stopniu pochodzi z tych źródeł. „Wszędzie — powiada Marx — gdzie kapitał handlowy ma przewagę, jest on związany z całym systemem chytrości i oszustw, a jego rozwój u ludów kupieckich starożytności i czasów nowożytnych występował w parze z rozbojem, gwałtem, kradzieżą niewolników, podbojem kolonii; tak było w Kartaginie i Rzymie; późniéj w Wenecyi, Portugalii i Holandyi etc." Dochód handlowy pochodził także z całego systemu oszustw względem gmin pierwotnych, postadaczy niewolników, feodałów średniowiecznych i państw Wschodu, którym handel zabierał nadmiar produktów.

Nie będziemy się tu zastanawiać nad analizą pieniędzy i kredytu, którą podaje Marx w tém miejscu, a przejdziemy do następnego od-

działu, który zawiéra rozbiór podziału dochodu na jego części składowe. Rozpoczniemy od wykładu obiektywnego.

V.

Procent, zysk i renta.

W oddziale V Marx zajmuje się „kapitałem dającym procent” i podziałem dochodu na procent i na zysk przedsiębiorcy.

Pierwszą formą kapitału dającego procenta jest historycznie kapitał lichwiarski, występujący głównie w okresach wyprzedzających gospodarkę kapitalistyczną. Odpowiada on zwykle drobnéj produkcyi chłopskiéj i rzemieślniczéj. Dostarcza on tym drobnym wytwórcom środków niezbędnych dla opłaty podatków, z drugiéj zaś strony — wielkim posiadaczom ziemskim sum potrzebnych dla zbytku i rozrzutności. W ten sposób lichwa prowadzi do utworzenia i ześrodkowania wielkich kapitałów pieniężnych. Jako reakcya historyczna przeciw lichwie, tworzy się, z rozwojem kapitalizmu system kredytu prawidłowego, w którym kapitał przynoszący procenty zyskuje nowożytną, współczesną formę. Środki, któremi rozporządzają banki, składają się z części następujących: 1) z części kapitału przemysłowców i kupców, które chwilowo są niezajęte (fundusze rezerwowe) i 2) z części dochodów i oszczędności wszystkich mieszkańców, które przeznaczone są w sposób stały lub chwilowy do nagromadzenia.

W każdym razie system kredytowy w zupełności podporządkowany jest potrzebom wytwarzania, i jeżeli piéniądz daje procent, to tylko dlatego, iż przechodzi przez produkcyę i uczestniczy w wytwarzaniu nadwartości. Jest więc rzeczą naturalną, iż procent płacony za użycie kapitału jest mniejszy, niż dochód który on daje.

W jaki sposób ustanawia się stopa procentowa? Jéj granicą najwyższą jest oczywiście stopa dochodu ogólnego, ale téj granicy ona dosięga tylko wyjątkowo. Z drugiéj strony niema granicy minimalnéj: procent może spaść aż do jakiegokolwiekbądź stopnia, a jego wysokość realna określa się każdorazowo stosunkiem popytu i podaży kapitału. W téj to dziedzinie Marx przyznaje wolnéj konkurencyi rolę stanowczą.

Niema żadnéj stopy procentu naturalnéj, stałéj i określonéj, istnieje tylko stopa bieżąca *(Marktrate des Zinses)*, nader zmienna.

Sposób, w jaki dochód ogólny podzielony zostaje między osoby, które w nim uczestniczą, między kapitalistą posiadaczem, a kapitalistą

przedsiebiorcą jest sprawą zupełnie empiryczną — nie można jéj z góry określić. To tylko powiedzieć się daje, iż udział pierwszego zależy od popytu i podaży kapitału, reszta dochodu należy do drugiego. Zastanówmy się nad analizą szczegółową procentu i zysku przedsiębiorcy, którą Marx podaje.

Procent jest więc tylko częścią nadwartości, którą kapitalista przemysłowy, lub handlowy, płaci wypożyczającemu, jeżeli nie używa kapitału własnego, gdyż wtedy cały dochód doń należy. To tylko zróżniczkowanie kapitalistów na przemysłowców i posiadaczy zamienia jedną część dochodu na procent. Ono tworzy samą kategoryę procentu. Bez tego zróżniczkowania procent nie istniałby wcale, a cały dochód należałby do przedsiębiorcy-posiadacza. By dawać dochód i procent, kapitał musi bezustannie znajdować się w procesie produkcyi. Wyrzucony zeń kapitał nic nie daje. Ale ponieważ kapitał dający procent (lichwiarski) i procent w formie lichwy istniały historycznie długo przed nastaniem produkcyi kapitalistycznéj, więc powstała wśród ludu myśl, iż wogóle kapitał daje procent i że ta forma dochodu jest zupełnie niezależną i nie ma nic do czynienia z produkcyą i z wytwarzaniem nadwartości. To tylko w środku XVIII st. — ciągnie Marx daléj—Massie, a po nim Hume odkryli, iż procent stanowi część składową dochodu ogólnego. Dawniéj przeciwstawiano procent dochodowi, a kapitał dający procent przemysłowemu, jako formy zupełnie niezależne—co zresztą dotychczas ludzie czynią na każdym kroku. Każdy kapitalista rozpatruje procent, jako owoc swego kapitału, jako takiego, nie związując go z procesem wytwarzania, i ma z punktu widzenia praktycznego zupełną słuszność. Ale w zastosowaniu do całego kapitału wogóle — jak to niektórzy ekonomiści czynią—jest to, zdaniem Marxa, gruby błąd. „Przedstawiać sobie — powiada — cały kapitał wogóle w formie kapitału pieniężnego, jak gdyby nie było osób, które kupują i sprzedają środki wytwarzania, jest wprost idyotyzmem. Ale jest głupotą jeszcze większą: wyobrażać sobie, iż na gruncie produkcyi kapitalistycznéj kapitał mógłby dawać procent, nie funkcyonując jako kapitał wytwórczy, t. j. nie tworząc nadwartości, któréj procent jest tylko częścią. Gdyby wielka ilość kapitalistów chciała zamienić swe kapitały na pióniądze, mielibyśmy jako rezultat niesłychanie wielki spadek stopy procentowéj, wielu kapitalistów nie byłoby w stanie żyć z procentów i byliby zmuszeni zamienić odwrotnie swe pieniądze na kapitały przemysłowe".

Przejdźmy obecnie do zysku przedsiębiorcy. „Być przedstawicielem [kapitału funkcyonującego nie jest synekurą, jak to się dzieje z przedstawicielem kapitału dającego procenty". I dlatego przedsię-

biorcy wydaje się, iż zysk jego nietylko nie zawiéra pracy nieopłaconéj, ale i owszém jest formą płacy roboczéj za kontrolę i kierownictwo pracy. W gruncie jednak rzeczy zysk jest częścią nadwartości, nie sposób jednak zaprzeczać, iż zawiera także i to, co można by nazwać „płacą dyrektora". Jest to wynagrodzenie specyalnéj pracy, która zjawia się wszędzie, gdzie produkcya staje się skombinowanym procesem społecznym.

Ale i praca ta ma charakter podwójny: 1) naprzód musi ona nadawać kierunek, zachowywać jedność wszystkich pracowników, jak to czyni np. dyrektor orkiestry. „Ta praca — przyznaje Marx — jest produkcyjną i musi być wykonaną". 2) z drugiéj jednak strony praca ta opiéra się jednocześnie na antagonizmie pomiędzy robotnikiem a posiadaczem środków wytwarzania. I rola kontrolującego pracę jest tém znaczniejsza, im większa jest ta sprzeczność: jest ona największą w systemie niewolnictwa. „Ale jest ona także niezbędna —powiada Marx — w systemie kapitalizmu, ponieważ proces wytwarzania jest równocześnie procesem spożycia siły roboczéj."

Ta funkcya kontrolująca bywała często wysuwana naprzód dla usprawiedliwienia niewolnictwa i wyzysku, który mu towarzyszył. Wyzysk ten przedstawiany bywał, jako płaca specyalna przynależna posiadaczowi za jego kontrolę i zarząd. „Niewolnik powinien wynagradzać swego pana za pracę i talenta, których używa, by nim rządzić i uczynić go pożytecznym dla siebie i dla społeczeństwa" — w ten sposób O'Connor bronił niegdyś niewolnictwa. Rozumowanie to może, zdaniem Marxa, być zastosowane do wszystkich ustrojów społecznych, opartych na stosunkach panowania i poddaństwa rzeczywistego, chociażby legalnie one zanikły.

Ta druga funkcya, mająca charakter historyczny i przejściowy, związana jest w sposób nierozerwalny z pierwszą, która jest zasadnicza, konieczna i istniejąca we wszystkich ustrojach społecznych. Zresztą praca zarządu i kontroli wykonywana już jest nie przez posiadacza, lecz przez najętego dyrektora. Kapitalista stał się zbyteczny w téj funkcyi. Zysk przedsiębiorczy nie jest identyczny z płacą za dyrekcyę — przewyższa ją znacznie. Po każdym kryzysie—powiada Marx— można znaléść fabrykantów, co za niewielkie wynagrodzenie stają się dyrektorami swych własnych fabryk, które przeszły do rąk innych posiadaczy.

Należy więc rozróżniać między płacą za dyrekcyę a zyskiem przedsiębiorczym. Różnica ta urzeczywistniona jest w fabrykach robotniczych kooperatywnych, a także w przedsiębiorstwach akcyjnych kapitalistycznych — tu jest ona stałą, w innych wypadkach występuje

na jaw tylko chwilami. Istotnie, przedsiębiorstwa akcyjne, rozwijające się dzięki kredytowi, mają dążność do oddzielenia funkcyi kontroli od posiadania. Dzięki rozwojowi kredytu, kapitał pieniężny zdobywa charakter społeczny, koncentruje się w bankach i jest wypożyczany przez nie, nie zaś przez posiadaczy bezpośrednich. Z drugiéj strony dyrektor tych przedsiębiorstw akcyjnych nie ma już kapitału, ani swego własnego, ani pożyczonego; wykonywa on wszystkie funkcye kapitalisty przemysłowego, który staje się sam przez się osobą zbyteczną w produkcyi. Z danych oficyalnych fabryk roboczych kooperatywnych wypada — według Marxa — iż po odciągnięciu płacy dyrektora, która, jak każda inna płaca, stanowi część kapitału zmiennego, dochód pozostały jest większy, niż dochód średni innych fabryk prywatnych. Różnica stanowi w tych ostatnich osobną rubrykę zysku przedsiębiorcy, która w fabrykach kooperatywnych nie istnieje.

Ten sam fakt stwierdzony został w wielu przedsiębiorstwach kapitalistycznych akcyjnych. Np. „*The L ndon and Westminster Bank*" płacił w r. 1863 dywidendę 30%, Związek Banków Londyńskich—15%, już po opłaceniu procentu z kapitałów pożyczonych i płacy za dyrekcyę. Ta dywidenda odpowiada więc zyskowi przedsiębiorcy.

Tu widzimy, iż nie należy mieszać płacy dyrektora z zyskiem przedsiębiorczym. Staje się to coraz bardziéj oczywistém w miarę tego, jak klasa dyrektorów staje się coraz liczniejszą, a ich płaca coraz mniejszą, w miarę tego jak się przedsiębiorstwa kooperatywne i akcyjne rozmnażają.

Marx czyni jeszcze uwagę, iż w towarzystwach akcyjnych obok dyrektora znajduje się także rada administracyjna, co jest tylko pretekstem wyzysku, gdyż rady te nic nie robią, a są grubo opłacane.

Szósty oddział III-go tomu zajmuje się rentą. Wartość każdego towaru ustanawia się — według Marxa — w warunkach średnich wytwarzania. Otóż różni przedsiębiorcy pracują w rzeczywistości w warunkach nader rozmaitych, mniéj lub więcéj wygodnych. Ale rozmaitość ta nie gra wielkiéj roli w przemyśle, gdzie najgorsze warunki mogą być zrównane wydatkiem odpowiednim kapitału, który zwiększa wydajność pracy. Inaczéj się dzieje w rolnictwie, gdzie to wyrównanie nie może się odbywać, co zdarza się zresztą często i w przemyśle. Jeżeli pewien przedsiębiorca korzysta w produkcyi z warunków wyjątkowych, których nie można dowolnie rozmnażać, np. ze spadku wody, który wprawia w ruch maszyny i zmniejsza wydatki na opał, stopa dochodu tego przedsiębiorcy wzrasta. Marx nazywa ten dochód dodatkowy nad-dochodem *(Surplus-Profit)*. Lecz jeżeli przedsiębiorca nie jest właścicielem spadku wody, jeżeli on należy do posiadacza ziemskiego, to ten

ostatni korzystać będzie z nad-dochodu, który stanowi rentę. Ona występuje we wszystkich warunkach wyjątkowych wytwarzania, których nie można dowoli rozmnażać zwiększeniem nakładu kapitału. Nie służy więc ona do wyrównania ogólnéj stopy dochodu. Renta obejmuje wszystko, co przewyższa tę średnią stopę. Marx odróżnia: 1) rentę, która pochodzi z różnic w płodności ziemi i w jéj położeniu i 2) rentę, która pochodzi od nakładów następujących po sobie na tym samym kawałku ziemi i które nie dają dochodów proporcyonalnych nakładom: wiadomo, iż ziemia się wyczerpuje i każdy następny nakład daje dochód mniejszy od poprzedniego. Ziemie niewyczerpane dają więc rentę w porównaniu z wyczerpanemi wyższą.

Te rodzaje renty Marx nazywa r e n t ą d y f e r e n c y a l n ą, gdyż pochodzi ona z różnic bądź w płodności, bądź w położeniu ziemi. Pochodzenie téj renty nie zależy od porządku, w jakim ziemie różnéj płodności są uprawiane. Marx pokazuje także, iż renta może istniéć nawet na ziemiach najgorszego gatunku, a mianowicie: gdy popyt chleba wzrasta i przedsiębiorcy zmuszeni są robić nowe nakłady na ziemiach uprawnych; ten wzrost kosztów wytwarzania może być tak wielkim, iż najgorsze ziemie uprawne mogą być stosunkowo dochodniejsze i dawać rentę.

Ale oprócz renty dyferencyalnéj Marx odróżnia inny jeszcze gatunek, który nazywa r e n t ą a b s o l u t n ą. A mianowicie: jakakolwiek jest płodność ziemi, nawet gdy ona daje tylko średnią stopę dochodu, właściciel ziemski nie ustępuje jéj, nie otrzymawszy opłaty, czynszu. Skądże może on pochodzić?

By rozwiązać to pytanie, Marx rozpatruje budowę organiczną kapitału w rolnictwie: otóż ona jest niższą niż budowa kapitałów przemysłowych, gdyż część zmienna gra tu rolę przeważającą. Kapitał rolniczy wytwarza więc sumę nadwartości większą stosunkowo, niż kapitał przemysłowy. Widzieliśmy poprzednio, iż dzięki charakterowi społecznemu produkcyi, w któréj wszyscy kapitaliści grają rolę akcyonaryuszów tegoż samego przedsiębiorstwa narodowego, wszystkie sumy nadwartości, wytworzone według stóp nader rozmaitych, zostają dodane jedne do drugich. Różne kapitały biorą z téj sumy ogólnéj, tak otrzymanéj, części proporcyonalne do ich wielkości, według jednéj wspólnéj stopy dochodu — niezależnie od tego, że jeden kapitał wytwarza więcéj nadwartości od drugiego, jeżeli ma budowę organiczną niższą.

I tylko w rolnictwie, dzięki interwencyi posiadacza ziemskiego, nad-dochód, który tu jest wytworzony, nie zostaje podzielony między przedsiębiorców, lecz staje się własnością posiadacza w formie renty. Ta renta absolutna nie pochodzi z różnic w płodności lub położeniu

różnych posiadłości, lecz z tego, iż kapitał zmienny jest wogóle większy w rolnictwie, niż w przemyśle. Lecz postęp polega na wprowadzaniu do rolnictwa coraz większéj ilości maszyn, na wzroście kapitału stałego. I gdy budowa średnia kapitału rolnego będzie takaż sama, co i kapitału przemysłowego, ten rodzaj renty absolutnéj zniknie. Jesteśmy jednak dalecy jeszcze od tego stanu rzeczy. Renta absolutna przeważa w kopalniach, w kulturze lasów, w hodowli ryb i t. d.—wszędzie gdzie praca gra rolę większą od maszyn.

Taka jest teorya podziału dochodu, wystawiona przez Marxa. Główną jéj wadą jest to, iż uważa wyzysk za jedyne jego źródło, gdy on jest tylko jedném ze źródeł. Chcąc nazbyt uprościć kwestye ekonomiczne, dochodzimy tylko do ich wynaturzenia. W rzeczywistości procent zależy od wszystkich warunków systemu ekonomicznego, między innemi i od oszczędności. Marx zaś, jak zwykle, odszukuje tylko jedną przyczynę, wyzysk. Również i zysk przedsiębiorczy, jakkolwiek należy przyznać, iż autor wskazał na jeden z czynników, który wchodzi w jego skład i dotychczas nie był spostrzeżony: wynagrodzenie za pracę eksploatacyi. Zresztą rozstrzygnięcie ostateczne téj kwestyi może być dostarczone tylko przez badania statystyczne, daleko bogatsze od tych, które Marx podaje.

Jak widzieliśmy, jest rzeczą jednostronną i błędną twierdzić, iż tylko kapitał zmienny jest źródłem dochodu, daje go i kapitał stały, ale niewątpliwie w stopniu mniejszym. Oto czemu suma dochodu dawana przez kapitał jest tém większa, im jego budowa organiczna jest niższa. To jednak nie ma znaczenia dla kapitału ruchomego, gdyż konkurencya zmusza kapitalistów do dzielenia całéj sumy dochodu proporcyonalnie do wielkości kapitałów. Inaczéj rzecz się ma z kapitałami ziemskiemi: będąc ograniczone w rozmiarach, stanowią w porównaniu z ruchomemi rodzaj monopolu, również jak cały kapitał, ruchomy i nieruchomy, jest monopolem w stosunku do pracy. Otóż kapitał ziemski, jak widzieliśmy, używając więcéj pracy, otrzymuje stosunkowo większą sumę dochodu, niż ruchomy. Ale ten dochód naddatkowy nie będzie podzielony między wszystkich kapitalistów, lecz tylko między posiadaczy ziemskich, stanowiąc r e n t ę a b s o l u t n ą.

Z powodu renty istnieje walka między dwoma odłamami klasy posiadającéj, lecz one walczą razem przeciw pracy z powodu dochodu wogóle.

Ale jak obok r e n t y a b s o l u t n é j, wykazanéj przez Marxa, istnieje r e n t a d y f e r e n c y a l n a, którą jeszcze Ricardo udowodnił, tak obok dochodu, opartego na eksploatacyi, istnieje dochód, oparty

na wszystkich innych warunkach systemu ekonomicznego, między innemi na oszczędności.

Niestety, Marx spuścił z uwagi te warunki, tak samo jak ekonomiści liberalni spuścili z uwagi to źródło dochodu, które Marx wskazał. Wogóle epoka rozwiązań prościutkich zakończyła się raz na zawsze. My zaczynamy dopiéro przewidywać niesłychane komplikacye, które ustanowienie ekonomii politycznéj, nie partyjnéj, lecz istotnie naukowéj, napotykać będzie.

Dr. Leon Winiarski,
docent uniwersytetu genewskiego.



Alfred de Musset.

Do Kwiatka.

Kwiatku mój luby, kwiatku samotny,
Szczęsnéj przeszłości pamiątko miła,
Napół umarły, napół zalotny,
Powiédz, kto ciebie do mnie przysyła?

Przybywasz zdala, niby wędrowiec,
Pod tą pieczątką ukryty skromnie...
Ta rączka, co cię zerwała — powiedz —
Jakie zlecenia daje ci do mnie?

Czy jesteś chwastem, który usycha
Zwarzony życia dolą surową?
Czy téż myśl kryjesz w głębi kielicha
I znów rozkwitnąć możesz na nowo?

Niestety! kwiat twój ma białość śnieżną,
Co niewinności smutnéj jest wzorem;
Lecz liść otuchę budzi bezbrzeżną,
Trwożnéj nadziei będąc kolorem.

Powiédz, czy masz co wyznać przedemną?
Jestem dyskretny... nie trwaj w uporze...
Czy twa zieloność nie jest tajemną?
Czy zapach także przemówić może?

Gdyby tak było, niech twoja mowa,
Tajny posłańcze, brzmi jaknajciszéj:
Gdy nie -- milczenie zastąpi słowa...
Śpij na mém sercu — niechaj nie słyszy.

O! jest mi znaną ta rączka mała,
Pełna kaprysów wdzięku i czaru,
Która twój śnieżny kielich zdołała
Odtworzyć z wątłych niteczek paru...

Fidyasz, Praxytel rączkę tak drobną
Próżno na świecie znaléśćby chcieli...
Wtedyby tylko była podobną,
Jeśliby Wenus za model wzięli.

Ona jest piękna, biała i słodka...
Mówią, że śmiałą jest téż w potrzebie;
Prawdziwe szczęście na ziemi spotka,
Kto ją potrafi zdobyć dla siebie...

Lecz jest tak skromna i tak surowa;
Może być dla mnie źródłem cierpienia.
Kwiatku! Ona się gniewać gotowa!
Nie mów nic... nie budź mnie z rozmarzenia.

Przełożył z francuskiego

Władysław Nawrocki.



NOWY PODATEK

OD HANDLU I PRZEMYSŁU.

I.

W grupie podatków zwanych bezpośredniemi (do którój należą: pogłówne, podatki od nieruchomości: gruntów i domów; podatki przemysłowo-handlowe, podatki od kapitałów i dochodów, oraz podatki klasowe i zarobkowe), podatek handlowo-przemysłowy—zwykle zwany patentowym — zjawia się w historyi ostatnim. Ustrój średniowieczny państw europejskich uwalniał miasta — kupców i rękodzielników — od ucisku finansowego: autonomia miast ograniczała prawo panujących nakładania podatków na mieszczan. Przemysł do końca XVIII wieku właściwie nie istniał zupełnie, a wielkie towarzystwa handlu zamorskiego, jakie się od XVI w. zaczęły tworzyć w Europie, zbyt szerokiemi cieszyły się przywilejami, zbyt często używały praw państwa w państwie, aby o ich opodatkowaniu mogła być mowa. Mieszczanie opłacali na rzecz państwa zwykle umiarkowany podatek szacunkowy od majątku — w Polsce zwany „szos" (*schätzung*). Śród opłat, jakie miasta od obywateli swoich dla siebie pobierały, spotykamy prawie wszędzie opłaty od majstrów i czeladzi; początkowo jako opłaty jednorazowe, proporcyonalne do prawdopodobnéj dochodowości rzemiosła, jak np. we Francyi, odpowiadające trzydniowemu zarobkowi rzemieślnika. Opłaty te z jednorazowych stawały się często corocznemi, często roz-

ciągały się i na kupców, pozostawały zawsze jednak w zawiadywaniu municypalności, nie zaś państwa i wynikały z tego średniowiecznego pojęcia, że właściciel ziemi ma prawo dozwalać lub zakazywać pewnych prac i zarobków na swojém terytoryum.

Państwowe podatki od handlu i przemysłu zjawiają się w Europie po upadku feudalizmu, po rewolucyi francuskiéj 1789 r.

We Francyi zgromadzenie prawodawcze w r. 1791 zniosło cechy i wkrótce potém (1798 r.) ustanowiono „podatek patentowy", który do dziś dnia jest wzorem opodatkowania handlu i przemysłu. Za przykładem Francyi poszły Prusy w r. 1810, Austrya w r. 1812. W Anglii kupcy i przemysłowcy ulegli opodatkowaniu dochodów narówni z innemi klasami społecznemi już w r. 1798.

Prawo francuskie obowiązywało każdego Francuza, trudniącego się handlem lub przemysłem, do wykupienia świadectwa — „patentu". Według domniemanéj zyskowności przedsiębiorstwa, patenty dla różnych zajęć, w różnych okolicach kraju — były różnéj ceny. Cena patentu zależała także od ilości robotników, w przemyśle lub pracowników w handlu i od wielkości lokalu. Na podstawie takich cech zewnętrznych starano się podatek zrobić proporcyonalnym do wielkości zysków przedsiębiorcy, — uczynić zadość wymaganiom finansowéj sprawiedliwości — i uniknąć potrzeby dochodzenia, ile który z przedsiębiorców z osobna posiada istotnie dochodu, co — w początkach bieżącego stulecia — uchodziło za niedelikatne mieszanie się władzy państwowéj do spraw osobistych. Myśl o takiém dochodzeniu, szczególniéj we Francyi, wywoływała zawsze oburzenie opodatkowanych.

Francya jest téż jedyném wielkiém państwem na zachodzie Europy, które dotychczas nie wprowadziło u siebie bezpośredniego podatku dochodowego. W reszcie świata cywilizowanego panuje dziś ogólne przekonanie, że jedynie sprawiedliwym jest ten podatek, który nakłada na obywateli państwa ciężar proporcyonalny do całości ich ekonomicznych zasobów, wyrażających się dochodem rocznym. Przy zastosowaniu téj zasady ogólnéj ujawniają się jeszcze i drugorzędne wymagania: polityki społecznéj — żądające, aby ci, których środki ledwie na życie starczą byli od podatku zupełnie uwolnieni; wymagania polityki ekonomicznéj, — domagające się, aby dochód trwały od kapitału był mocniéj opodatkowany od dochodu nietrwałego, płynącego z pracy; wymagania sprawiedliwości względnéj — domagające się silniejszego opodatkowania dochodów większych i nakoniec cały zastęp wymagań praktycznych, finansowo technicznych, z których najważniejszém niewątpliwie jest to,— aby reformy dążące do urzeczywistnienia ideału podatkowego postępowały zwolna, liczyły się z historycznym rozwojem

opodatkowania w kraju, nie znosiły podatków już ustalonych wiekami, póki inne ich miejsca nie zastąpią i miały przedewszystkiém na widoku, że wydatki państw nowożytnych są niezbędne, wielkie, coraz większe — i że podatek jedyny od dochodu jest nietylko podatkiem najsprawiedliwszym, ale jednocześnie najtrudniejszym do prawodawczego określenia i pobierania.

Nie należy téż zapominać o tém, że rozwój przemysłu i wzrost gwałtowny majątku ruchomego narodów cywilizowanych w XIX wieku zmienił zadania, jakie miało prawodawsąwo finansowe w początku stulecia. Sto lat temu chodziło o opodatkowanie handlu i rzemiosł; — przemysł na kontynencie był tylko rękodzielnictwem, używającém co najwyżéj motorów wodnych. Dziś prawodawca staje wobec konieczności opodatkowania kolosalnych dochodów instytucyi bankowych i zakładów przemysłowych, których dochody przewyższają dochody małych państw, a kapitały wydawałyby się w początkach wieku nieprawdopodobnemi. Prawodawca ma objąć te kolosy kapitału i arcydzieła techniki temi samemi przepisami podatkowemi, co pracującego na wsi szewca, lub roznoszącego nici węgra, a gdy wyczerpał już dawno wszystkie cechy zewnętrzne, na których opiérając się, mógł dawniéj stosować podatek do dochodu, — dziś powinien szukać drogi do oszacowania kapitałów, obrotów i zysków z każdego pojedyńczego przedsiębiorstwa — drogi, po któréj postępując zwolna, mógłby z czasem podatek patentowy przemienić w podatek od dochodów z handlu i przemysłu.

Historya reform t. zw. podatku gildyjnego w Rosyi jest właśnie takiém stałém posuwaniem się ku podatkowi dochodowemu, a nowe prawo jednym z kroków na téj drodze.

II.

Do czasów Piotra W. stan kupiecki i rzemieślniczy w Rosyi nie ulegał żadnemu opodatkowaniu specyalnemu; autonomia municypalna była nieznana; ludność miejska narówni z wiejską płaciła „pososzne" i w wypadkach nadzwyczajnych, zwykle na potrzeby wojenne — podatki dodatkowe (*zaprosnyje dieńgi)*, obliczone od sochy, dworu, lub ogółu domniemanego majątku. Piotr W. próbował, ale bez skutku, wprowadzić zarząd municypalny po miastach: ustanowił gildye i cechy, ale te miały raczéj charakter policyjno-społeczny, aniżeli finansowy. Kupcy i rzemieślnicy zobowiązani zostali do płacenia „pogłównego", które początkowo było podatkiem od majątku, gdyż dla oznacze-

nia jego wysokości początkowo określano rodzaj zajęcia, wielkość zajmowanego domu i przybliżoną wielkość obrotu, czy produkcyi; sporządzano zatém rodzaj kadastru przemysłowego.

Dopiéro w r. 1775 Katarzyna II-ga zwolniła kupców od pogłównego i wprowadziła opłaty gildyjne: kupców wedle ich zamożności podzielono na 3 gildye, przyczém *minimum* majątku dla III-éj najniższéj gildyi oznaczono na 500 rubli. Mieszkańców miast, posiadających mniéj niż 500 rubli majątku zapisywano do stanu mieszczańskiego, ulegającego opłacie „pogłównego”. Zapisanie do gildyi dawało pewne prawa osobiste kupcowi i jego rodzinie, tém większe, im wyższa była gildya. Do pierwszéj należeli kupcy posiadający więcéj niż 10.000 rb. majątku, do drugiéj posiadający od 1,000 do 10,000, do 3-éj — od 500 do 1,000 rb. majątku. Podatek wynosił 1% od sumy majątku; sumę tę deklarował sam kupiec „na sumienie”, a władzom nie było wolno przyjmować żadnych skarg, ani denuncyacyi. Wydana w r. 1875 „Ustawa o miastach” jeszcze ściśléj określiła prawa osobiste kupców z opłatą gildyi związane. Podatek gildyjny w Rosyi do obecnéj chwili utrzymał charakter podatku osobistego, dającego płacącemu i jego rodzinie prawo być zaliczonymi do stanu kupieckiego i używać pewnych przywilejów stanowi temu służących. W ciągu XIX wieku, w miarę zmniejszania się przywilejów stanowych w Rosyi, malało znaczenie tych praw; charakter jednak osobisty podatku utrzymał się aż do dziś dnia i jak obecnie wyraża się głównie w pewnych przywilejach paszportowych, w prawie do udziału w samorządzie miejskim i ziemskim, i w absolutném zwolnieniu od kar cielesnych („*Swod zakonow*”, tom V-ty, art. 305—308).

Nie możemy tu wchodzić w szczegółową historyę reform i zmian, jakie wiek XIX-ty zrobił w podatku gildyjnym: najważniejsze z nich reformy 1863 i 1865 roku zniosły t. zw. 3-cią gildyę i zaprowadziły świadectwa na prawo prowadzenia handlu dla drobnych kupców, świadectwa przemysłowe dla posiadających fabryki i warsztaty, i świadectwa dla pomocników handlowych.

Reforma 1863/5 r. była tymczasowa; w ministeryum finansów nieustannie pracowały specyalne komisye nad gruntowną reorganizacyą podatku gildyjnego, projekty jednak, przez nie przygotowywane, długo nie mogły uzyskać sankcyi prawodawczéj. Wobec coraz bardziéj rozszerzającego się handlu i przemysłu, coraz bardziéj koncentrujących się kapitałów zasada opłat gildyjnych stałych stawała się coraz mniéj sprawiedliwą.

Dla usunięcia tego stanu rzeczy w roku 1885 wprowadzono tak zwany podatek dodatkowy od handlu i przemysłu, który w części ten

stan rzeczy złagodził. W podatku tym rozróżniono przedsiębiorstwa prywatne od przedsiębiorstw akcyjnych i udziałowych, obowiązanych do publicznego składania sprawozdań. Te ostatnie, których obroty i zyski są łatwe do obliczenia na podstawie ich sprawozdań, zostały zobowiązane do płacenia „podatku procentowego" od dochodu, najprzód w r. 1885 w stosunku 3 od sta, a od r. 1892 w stosunku 5% rocznie. Pierwsze — prywatne, — do których początkowo zaliczono tylko zakłady opłacające gildyę, a od r. 1889 i niektóre zakłady gildyi nieopłacające — pociągnięto do opłaty podatku repartycyjnego (*razkładocznyj*). Ogólna suma tego podatku i podział jéj na gubernie — ustanawia się raz na 3 lata, zosobna od zakładów gildyjnych i nie gildyjnych. W guberniach utworzono „gubernialne urzędy podatkowe" (*gubiernskija podatnyja prisutstwia*), które sumę wyznaczoną na gubernię rozdzielają na powiaty. Do urzędu gubernialnego powołano 6 osób z pomiędzy płacących ten podatek; tak samo 6-ciu opodatkowanych wchodzi w skład urzędu powiatowego, który zajmuje się rozkładem podatku na okręgi i w okręgach na pojedyńczych kontrybuentów. Za podstawę do rozkładu — repartycyi — służyć ma obrót przedsiębiorstwa, który deklaruje opodatkowany, a urząd sprawdza, i „przybliżona" średnia zyskowność przedsiębiorstw danego rodzaju, którą ustanawiają urzędy podatkowe. Fabryki produktów opłacających akcyzę — od tego podatku początkowego zwolnione — opłacają go od roku 1893 podług osobnéj repartycyi, dokonywanéj przez specyalne urzędy, których kierownictwo spoczywa w ręku władzy akcyznéj.

Dla wyjaśnienia znaczenia, jakie ma podatek przemysłowy w budżecie państwa, przytoczymy trochę cyfr statystycznych o dochodach skarbu z opodatkowania handlu i przemysłu w r. 1886 i 1895.

W r. 1886 dochód państwa wynosił:

I. Opłaty za prawo prowadzenia handlu i przemysłu:

1) za świadectwa gildyjne, handlowe i pomocników handlowych	rb.	21,680,623	
2) opłaty za zwolnienie od powinności kwaterunkowéj . . . . , ...	„	218,469	
3) opłaty jarmarczne	„	330,173	
3) kary	„	517,166	22,746,431

II. Podatek dodatkowy:

1) podatek 3-procentowy (od tow. akcyjnych udziałowych, etc.)	„	2,125,949	
2) podatek repartycyjny	„	3,029,108	5,155,057
Razem			27,901,488

Podając te cyfry, profesor Janżuł [1]) oblicza, że stanowią one $^1/_{30}$ ogólnego dochodu państwa i dodaje, że we Francyi podatek patentowy stanowi $^1/_{24}$ budżetu, kiedy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w ogólnéj sumie dochodów narodu francuskiego dochody od handlu i przemysłu stanowią około 60%.

W r. 1895 dochód skarbu wynosił:

I. Opłaty patentowe:

1) opłaty patentowe właściwe .	rb.	27,076,994	
2) opłaty kwaterunkowe . . .	„	309,309	
3) różne (kary etc.)	„	591,736	rb. 27,978,039

II. Opłaty dodatkowe:

1) podatek 5-procentowy . . .	„	7,092,086	
2) podatek repartycyjny . . .	„	7,690,567	rb. 14,782,653
		Razem . .	rb. 42,760,692.

Wzrost podatku od handlu i przemysłu absolutny i stosunkowy do reszty budżetu wykazuje najlepiéj następujące porównanie:

	1886 Dochody skarbu rzeczywiste [2])	1898 Budżet
Ogólna suma zwyczajnych dochodów państwa	774,341,414	1,364,458,217
ogólna suma podatków bezpośrednich	124,303,836	100,577,816
1) podatek gruntowy	86,155,282	40,875,716
2) podatki od handlu i przemysłu .	28,067,996	45,277,800
3) podatki od własności ruchoméj .	10,080,558	14,424,300

Jak widzimy, dochód z podatku od handlu i przemysłu wzrósł w ciągu lat 12-tu: z 28.1 milionów na 45.3, t. j. o 61%. W r. 1886-ym stanowił on: 3.6% ogólnéj sumy zwyczajnych dochodów państwa i 22.6% podatków bezpośrednich. W r. 1898 stanowi on 3.3% dochodów zwyczajnych i 45% podatków bezpośrednich. Wskutek ulg, jakie w ciągu lat ostatnich skarb państwa dał rolnictwu, stosunek podatków bezpośrednich z ziemi do podatku od handlu i przemysłu uległ silnéj zmianie: w r. 1886 wynosił od 86 do 28, obecnie w r. 1898 wynosi 40 : 45.

W cyfrach tych nie mieszczą się jednak dochody skarbu z opłat patentowych za prawo wyrobu i handlu produktami, ulegającemi

[1]) „*Osnownyja naczała finansowoj nauki*“, str. 336 i 312.

[2]) „*Bulletin russe de statistique financière et de legislation*“. Rok 1896, str. 520 i r. 1898 Anneks. do zesz. I-go.

opłacie akcyzy (wódka, cukier, nafta, zapałki i tytoń). Dochody te stanowią osobne pozycye budżetu włączane do dochodów z akcyzy. W r. 1895 stanowiły one 21,899,454 ruble [1]).

Dla dopełnienia tego obrazu dodamy jeszcze parę cyfr, dotyczących t. zw. podatku repartycyjnego.

Ogólna suma tego podatku na rok 1897 wynosiła 7,530,000 rubli, z których miało być wniesione:

przez przedsiębiorstwa gildyjne . .	5,615,110 rb.
przez przedsiębiorstwa niegildyjne .	1,224,150 „
przez przedsiębiorstwa płacące akcyzę	690,740 „

Najwyższe sumy opłacają 2 gubernie stołeczne: Moskiewska, wnosząca 1,075,000 rb. i Petersburska 841,500 rb.; najniższe gub. Archangielska (10,000) i Ołonecka (10,200).

Gubernie Królestwa Polskiego miały opłacać:

Gub.	Warszawska . . .	rb. 300,800
„	Piotrkowska . . .	„ 199,500
„	Lubelska	„ 45,000
„	Kaliska	„ 39,350
„	Radomska	„ 30,950
„	Siedlecka	„ 27,400
„	Kielecka	„ 24,300
„	Płocka	„ 19,490
„	Suwalska	„ 16,150
„	Łomżyńska . . .	„ 15,000
	Razem . .	Rb. 717,940 [2]).

III.

Prawa, wydawane w ostatnich czasach w kwestyi podatku od handlu i przemysłu, miały wszystkie charakter tymczasowy. W ministeryum finansów, jak o tém już wspomnieliśmy, pracowano stale nad ogólną reformą tego podatku i wreszcie w r. 1892 projekt nowego prawa podano do publicznéj wiadomości: rozesłano go komitetom giełdowym i zgromadzeniom kupiectwa, żądając o nim opinii, a w zimie 1892/3 zwołano do Petersburga przedstawicieli sfer zainteresowanych dla przedyskutowania zrobionych projektowi zarzutów.

Projekt utrzymywał opłaty patentowe, zmieniając nieco dotychczasowy podział miejscowości na klasy i zakładów na rzędy, ale prze-

---

[1]) „*Bulletin*“, 1897, zesz. 5/6, str. 296.

[2]) „*Bulletin*“, IV Année, nnr. 5 i 6, str. 357/9.

nosił charakter opodatkowanego z osób na przedsiębiorstwa, nie dając nic na miejsce znoszonych ostatecznie gildyi kupieckich. Płacącym podatek miała być nie osoba kupca, ale jego przedsiębiorstwo, albo jeśli ich miał wiele — przedsiębiorstwa — każde zosobna. Podatki: repartycyjny i 5% od dochodu towarzystw akcyjnych, udziałowych, stowarzyszeń i wogóle spółek obowiązanych do składania publicznych sprawozdań pozostawały bez zmiany. Instytucye kredytowe miały ulegać specyalnemu podatkowaniu od sumy kapitałów obrotowych, własnych i pożyczonych w wysokości: od 40 kopiejek, do 2 rb. 50 kop. od 1,000 rubli (t. j. od 0.04 do 0.25 od sta); przyczém np. towarzystwa wzajemnego kredytu ziemskiego byłyby opłacały podatek od całéj sumy wypuszczonych w obieg listów zastawnych. W końcu tylko przedsiębiorstwa handlowe — nie przemysłowe — miały opłacać t. zw. „zmienny podatek” 5% od zysków przechodzących normalne zyski ustanowione w prawie, stosownie do rzędów handlu i klas miejscowości od 200 do 8,000 rubli.

Przeprowadzona pod kierownictwem ministeryum finansów dyskusya nie pozostała bez rezultatów. Projekt uległ zmianom, a przedstawiony w r. 1897 radzie państwa systematyzował opodatkowanie handlu i przemysłu w następujący sposób:

I. Podatek zasadniczy:

1) opłaty patentowe;
2) podatek od kapitału towarzystw akcyjnych, udziałowych i stowarzyszeń, obowiązanych do ogłaszania i składania władzy swych sprawozdań.

II. Podatek dodatkowy:

1) podatek procentowy od towarzystw akcyjnych etc., zobowiązanych do ogłaszania sprawozdań;
2) podatek dodatkowy od przedsiębiorstw nieobowiązanych do składania sprawozdań:
   a) podatek repartycyjny,
   b) podatek procentowy od zysków.

W ogólnym tym układzie rada państwa zmieniła tylko to jedno, że podatek od kapitału (I, 2) przeniosła do kategoryi podatków dodatkowych tak, że za podatek zasadniczy uważa się tylko jeden podatek patentowy. Zmianę tę wprowadzono nie ze względów teoretycznych, ale dlatego, że podatek od kapitału ulega kontroli i zawiadywaniu tych władz finansowych, którym powierzono kontrolę i sądzenie sporów dotyczących podatków dodatkowych, procentowego i repartycyjnego.

Nim zajmiemy się streszczeniem głównych przepisów nowego prawa, postaramy się idąc za źródłami urzędowemi poznać motywy, które kierowały prawodawcą przy ustanawianiu ogólnych zasad dokonanéj reformy.

IV.

Pierwotną myślą komisyi [1]), wyznaczonéj w r. 1892 do reformy podatku, był zamiar zaprowadzenia podatku dochodowego od handlu i przemysłu. Przy bliższém jednak rozpatrzeniu téj kwestyi okazało się, że zaprowadzenie tego podatku w Rosyi jest prawie niemożliwe. Aby módz określić indywidualnie dochód każdego zosobna handlującego, przemysłowca lub rzemieślnika, — koniecznem jest, aby on sam wiedział ile miał dochodu, i żeby prowadził księgi handlowe tak, iżby władza finansowa miała możność sprawdzenia jego rachunków. Na 5,547 świadectw I-éj i 124,711 świadectw II-éj gildyi wydano w Rosyi w r. 1895 około 680,000 świadectw na handel detaliczny i drobny, co do którego można z góry twierdzić, że więcéj niż połowa handlujących i przemysłowców téj kategoryi nie prowadzi żadnych ksiąg handlowych, i sama nie jest w stanie ściśle określić, ile miała dochodu w roku ubiegłym. Nawet roczny obrót tych przedsiębiorstw nie daje się oznaczyć na podstawie ksiąg handlowych. Podatek dochodowy miałby jeszcze i tę słabą stronę, że dochody skarbu z tego źródła mogłyby z roku na rok bardzo silnym ulegać wahaniom; doświadczenie bowiem pokazało, że 5% podatek od czystego dochodu przedsiębiorstw akcyjnych udziałowych i wogóle spółek zobowiązanych do ogłaszania sprawozdań waha się z roku na rok o 20 do 35%, a czy te różnice w dochodach i w podatku są prawdziwe, czy też fikcyjne, — wywołane sztucznemi metodami buchalteryjnemi,—to dla skarbu państwa jest rzeczą obojętną. Przy tym systemie opodatkowania wszystkie t. zw. „familijne towarzystwa akcyjne" (w których cały zysk zgóry rozdziela się w formie pensyi między członków rodziny, lub rodzin trzymających akcye w swych rękach), unikałyby zupełnie opodatkowania. Wobec trudności sprawdzenia i skontrolowania dochodów ogółu handlujących i przemysłowców, podatek od dochodu płaciliby tylko sumienni i uczciwi; nieuczciwi i niesumienni mieliby z góry zapewniony przywiléj niepłacenia podatku. Zresztą już w r. 1884 przy pracach nad reformą opłat gildyjnych rada państwa wypowiedziała zasadę, że podatek od

---

[1]) „*Wiestnik Finansow*" 1898 r., n-ra 24—32.

dochodu powinien, albo objąć wszystkie źródła dochodu i wszystkie sfery społeczeństwa, albo nie być wyprowadzonym zupełnie, a zasada ta i dziś zasługuje na bezwarunkowe zastosowanie.

Niepewność ogólnéj sumy dochodu skarbu mogłaby zostać usuniętą, przez zamianę całego podatku od handlu i przemysłu na podatek repartycyjny. Reforma ta sprowadziłaby się do zniesienia podatków — patentowego i procentowego — i do powiększenia i rozszerzenia podatku repartycyjnego. Sprawiedliwy rozdział podatku na pojedyńczych opodatkowanych miał być gwarantowany ich wpływem na repartycyę i tą dla każdego zrozumiałą zasadą, że co jeden z nich nie dopłaci to ktoś inny dopłacić musi.

Doświadczenie jednak (głównie z rozkładu akcyzy od restauracyi za lata 1861 do 1893) dowiodło, że t. zw. obywatelska repartycya nie koniecznie jest ideałem sprawiedliwości finansowéj; że i przy téj metodzie opodatkowania niedobory podatkowe są znaczne (koło 20%), że nakoniec o ile możliwém jest równomierne t. j. sprawiedliwe opodatkowanie w granicach jednego okręgu repartycyjnego i jednéj gałęzi przemysłu, — o tyle w różnych okręgach, powiatach i guberniach te same gałęzie przemysłu mogą ulegać różnych stopom podatku, a równomierność opodatkowania różnych gałęzi handlu i przemysłu jest prawie niemożliwa do otrzymania. Sprawiedliwość repartycyi warunkuje się określeniem cyfry obrotu i określeniem normalnego zysku, a oba te określenia nie o wiele są łatwiejsze od określenia istotnego zysku dla każdego przedsiębiorstwa zosobna.

Nakoniec komisya sądziła, że podstawa obecnego systemu opodatkowania — patenty — ma swoje dobre strony. Nie wymaga ona zbytniego wglądania władz podatkowych w prywatną działalność przedsiębiorcy, a jéj nieproporcyalność do dochodu z przedsiębiorstwa może być z łatwością usunięta przez opodatkowanie dodatkowe większych kapitałów i większych od normalnych dochodów. Opłaty patentowe, jako stale przewidziane, mogą być z łatwością z góry do kosztów handlowych wliczone. Nakoniec do opłat tych, są przywiązane obecnie pewne prawa stanowe, — których znieść odrazu niepodobna, nie rujnując starych przyzwyczajeń, nie usuwając gruntu, na których opiéra się samorząd gmin miejskich i ziemstw i niektóre przepisy prawa karnego i handlowego. Przy zupełném zniesieniu opłat patentowych prawie całe prawodawstwo w państwie musiałoby uledz rewizyi.

Wobec niemożności oparcia całego podatku od handlu i przemysłu na jednéj wyłącznie zasadzie, czy to patentowéj, czy to dochodowéj, czy téż repartacyjnéj, komisya zastanawiała się z kolei nad roz-

maitemi systemami opodatkowania mieszanemi i badała bliżéj zalety i wady następujących trzech kombinacyi.

Najprzód proponowano, aby opodatkowanie towarzystw akcyjnych, udziałowych, stowarzyszeń i wogóle wszelkich przedsiębiorstw zobowiązanych do ogłaszania i składania władzy swoich sprawozdań oprzéć wyłącznie na zasadzie opodatkowania dochodu, resztę zaś przedsiębiorstw opodatkować proporcyalnie do dochodu *brutto* lub proporcyonalne do obrotu i średnio-normalnego zysku. Przy bliższém rozpatrzeniu téj propozycyi zjawiła się obawa, aby niektóre z towarzystw akcyjnych (familijne) nie były zbyt silnie wystawione na pokusę usunięcia z bilansu wszelkich zysków czystych, a skarb przez to nie był narażony na zupełny brak dochodu z tego źródła. Już dziś około 20% towarzystw akcyjnych wykazują w bilansach zupełny brak czystego zysku lub straty. Przytém uwolnienie towarzystw od opłaty patentowéj przyniosłoby stratę nietylko skarbowi państwa, ale i finansom gmin i ziemstw, które pobiérają pewne dodatkowe dopłaty od podatku patentowego. W najnowszém prawie o opodatkowaniu handlu i przemysłu w Austryi, wydaném w r. 1896, towarzystwa akcyjne stanowią istotnie osobną grupę, opodatkowaną proporcyonalnie do czystego dochodu, — ale jednocześnie w prawie tém zastrzeżono pewne *minimum* podatku, wynoszące 1‰ kapitału zakładowego, które to *minimum* towarzystwa opłacić muszą co roku, bez względu na wysokość zysków, nawet przy dowiedzionych stratach. Wyłączenie więc przedsiębiorstw zobowiązanych do ogłaszania swoich sprawozdań z pod opłaty patentowéj nie jest ani praktyczném, ani ewentualnie sprawiedliwém.

Co się zaś tyczy opodatkowania całéj pozostałéj przedsiębiorczości prywatnéj proporcyonalnie do obrotu i średnich zysków, to przedewszystkiém zyskowność ich proporcyonalnie do obrotu, t. zw. średnie czyli normalne zyski są niesłychanie różne: wahają się od 1/10% lub 1% w operacyach bankierskich — do 20 i 30% w obrotach aptek. Oznaczenie zatém tych średnich zysków nie wiele jest łatwiejsze od określenia zysku dla każdego przedsiębiorstwa indywidualnie. Wypadki poniesionych niewątpliwie strat lub istotnego braku czystego dochodu, nie mogłyby być w prawie należycie uwzględnione, — skarb zaś miałby dochód niestały, niepewny i nieregularny.

Drugi z kolei projekt proponował pozostawienie w zasadzie obecnie istniejącego podatku patentowego i powiększenie sumy podatku repartycyjnego przy jednoczesném potrąceniu z sumy tego podatku wypadłéj na kontrybuenta, kwoty opłaconéj już przy wzięciu patentu. Projekt ten w gruncie rzeczy sprowadza się do czystego podatku repartycyjnego z podziałem saméj operacyi pobiérania podatku na dwie

części, co wywołałoby tylko zamieszanie w kasowości i rachunkowości skarbu.

Trzeci projekt zamierzał wprowadzić opłaty dodatkowe do podatku patentowego tylko dla wielkich przedsiębiorstw — towarzystw akcyjnych, stowarzyszeń udziałowych etc., i to proporcyonalnie do ich kapitałów zakładowych, — zaś dla równomierności w opodatkowaniu przedsiębiorstw prywatnych wprowadzić podatek od przewyżki dochodu ponad pewien zysk średni normalny, przez prawo ustanowiony.

Dodatkowe opłaty od patentów towarzystw akcyjnych już i dziś istnieją; wynoszą one: 635 rb. dla każdego towarzystwa i 20 do 25 rb. od każdego zakładu handlowego czy przemysłowego, należącego do tegoż towarzystwa. Mimo to przy wielkich kapitałach tych towarzystw obecne ich opodatkowanie nie można nazwać sprawiedliwém. W ministeryum obliczono, że i dziś podatek patentowy wynosi średnio dla przedsiębiorstw ogłaszających sprawozdania 0.87% ich zysku — dla kupców I gildyi 2.90, dla kupców II gildyi 5.57% ich prawdopodobnych zysków.

Uznając konieczność utrzymania w zasadzie opłat patentowych i chcąc, aby opłaty te już same w sobie, były o ile można, proporcyonalne, postanowiono wprowadzić dla wielkich przedsiębiorstw akcyjnych udziałowych etc., jako dodatek do opłat patentowych, podatek od kapitału przedsiębiorstwa — stosunkowo niewielki — 15 kop. od 100 rb. kapitału, t. j. 1.5‰, przy którego opłacie potrąca się suma opłat patentowych przez przedsiębiorstwo wniesionych.

Co się tyczy przedsiębiorstw prywatnych, to zastosowanie do nich téj zasady uznano wprost za niemożliwe i sądzono, że sprawiedliwiéj będzie opłatę dodatkową do patentów pobiérać albo proporcyonalnie do wielkości obrotu, albo proporcyonalnie do średnich zysków normalnych.

W razie przyjęcia pierwszéj propozycyi — opodatkowania proporcyonalnie do obrotu — przedsiębiorstwa prywatne byłyby obowiązane opłacać: 1) patent, stosownie do zewnętrznych cech dowodzących wielkości przedsiębiorstwa; 2) podatek dodatkowy do patentu, oparty na wielkości obrotu i 3) podatek repartycyjny, oparty na zyskach normalnych. Projekt ten jednak posiada i złe strony. Wogóle sądzono, że każdy dochód przedsiębiorcy składa się z dwóch elementów, trudnych do rozdzielenia nietylko w praktyce, ale i w teoryi, a mianowicie z dochodu od kapitału i z zarobku — dochodu od pracy przedsiębiorcy, że jeśli dochód przedsiębiorcy ma ulegać opodatkowaniu, to powinien mu ulegać tylko w pierwszéj swéj części, t. j. jako dochód od majątku; część zaś druga—zarobek, powinna być od podatku wolna. Utrzymanie

w prawie opłat „patentowych" nie dowodzi, aby prawo zamierzało opodatkować pracę i zarobki jako takie; opłaty patentowe utrzymano w prawie tylko ze względów czysto praktycznych techniki finansowéj. Podatek patentowy wymaga dopełnienia go innym podatkiem, opartym na dążeniu do opodatkowania proporcyonalnie do czystego dochodu od majątku włożonego w przedsiębiorstwo, jak to wprowadzono w Prusach i Austryi. Tymczasem opodatkowanie proporcyonalne do samego obrotu, bez względu na kapitał i zyski, pada właśnie przedewszystkiém na tę część zysków, która powstaje pod wpływem pracy i jest opodatkowaniem rosnącém proporcyonalnie do wzrostu pracy przedsiębiorcy. Z tych wźględów nawet obecne opodatkowanie dodatkowe przedsiębiorstw prywatnych, dzisiejszy podatek repartycyjny, jako oparty na domniemanych zyskach normalnych, odpowiada bardziéj wymaganiom sprawiedliwości. Złe leży obecnie w tém, że i ten podatek repartycyjny nie odpowiada wymaganiom sprawiedliwości finansowéj. Przy podatku repartycyjnym, wynoszącym 2% dochodu, przedsiębiorstwo I gildyi zarabiające 20,000 rubli płaci (500 rb. patent i 400 rb. podatku repartycyjnego) 900 rb. podatku, t. j. $4^1/_2$% dochodu, przedsiębiorstwo zarabiające 100,000 rb. płaci (500 + 2,000) 2,500 rb., to jest $2^1/_2$%, a zarabiające 500,000 rb. płaci (500 + 10,000) 10,500 rb., t. j. $2^1/_{10}$%; — przedsiębiorstwa zaś II rzędu zarabiające 4,000 rb płacą (100 + 80) 180 rb., t. j. $4^1/_2$%, zarabiające 10,000 rb. (100 + 200) 300 rb., t. j. 3%, a zarabiające 50,000 rb. (100 + 1,000) 1,100 rb., t. j. 2.2%. Jedném słowem, obecne opodatkowanie jest odwrotnie proporcyonalne do wysokości dochodu. Powyższe zestawienie cyfr dowodzi, że wyrównanie opłat patentowych nie może być osiągnięte za pomocą podatku opartego na obrotach, że takie opodatkowanie byłoby dla małych przedsiębiorstw stanowczo uciążliwém, a wprowadzenie stopniowań rosnących w miarę wzrostu obrotów — wprowadzenie progresyjnego opodatkowania od obrotu—jest niemożliwe w praktyce.

Wyrównanie opłat patentowych od przedsiębiorstw prywatnych powinno zatém nastąpić tylko drogą osobnego dodatkowego podatku proporcyonalnego do obrotów i średnich normalnych lub rzeczywistych zysków, ale zupełnie różnego od dotychczasowego podatku — repartycyjnego.

Wobec tych względów zjawił się projekt określenia wszystkich opłat dodatkowych proporcyonalnie nie do obrotów, ale do zysków przedsiębiorstwa, a ponieważ stosunek zysków do obrotów jest bardzo różny — proponowano podzielić cały przemysł pod tym względem na kilka grup oddzielnych tak, jak to już zrobiono z przemysłem opłaca-

jącym akcyzę. Propozycyę tę jednak odrzucono jako określającą średnie zyski w sposób bardzo gruby i mniéj niż przybliżony.

Ostatecznie zdecydowano, że najpraktyczniéj będzie podatek dodatkowy do patentowego dla przedsiębiorstw prywatnych, oprzéć na zyskach przybliżonych, oznaczonych dla poboru podatku repartycyjnego tak, jak on już dziś istnieje i praktyką już ustalony został. Komisya sądziła, że jeśli określenie tego przybliżonego zysku już zostało zrobione dla podatku repartycyjnego i nie wywołuje protestów opodatkowanych, albo też protestów tych nie popierają oni zasługującemi na uwzględnienie dowodami, — jeśli za tém istnieje dowód, że te przybliżone zyski określone zostały dla pojedyńczych przedsiębiorstw może nie zupełnie dokładnie, wogóle jednak ze średnio dostateczném przybliżeniem, to ten przybliżony zysk może i powinien być przyjęty za podstawę do opodatkowania dodatkowego, mającego na celu wyrównanie nierównomierności zasadniczych opłat patentowych.

Przytém, jeśli od opłaty podatku tego uwolnione zostaną zyski normalne, i jeśli norma, od któréj opodatkowanie się zaczyna, będzie ustanowiona dość wysoko, jeśli tém samém opodatkowaniu dodatkowemu ulegną tylko przedsiębiorstwa, dające istotnie wysokie dochody, którym nie zabraknie sposobów obrony w razie niesłusznych żądań władzy podatkowéj, jeśli tém samém ilość wnoszących ten podatek będzie nieznaczna, to na téj drodze najłatwiéj da się osiągnąć cel zasadniczy: usunięcie nierównomierności w opłatach patentowych, a jednocześnie władze podatkowe nie będą zmuszone określać ten podatek w sposób zmudny, kłopotliwy i wywolujący spory z kontrybuentami. Przyjmując te zasady dla określenia opłat dodatkowych do patentów od przedsiębiorstw prywatnych — nazwanych w prawie — podatkiem procentowym, jednocześnie postanowiono, że podatek patentowy i procentowy powinny wynosić razem około $^{1}/_{30}$ [1]) zysków przedsiębiorstwa, że opłaty patentowe nowe nie powinny być wyższe od obecnych, ale raczéj niższe, suma zaś otrzymywana z obu tych podatków przez skarb nie powinna być mniejsza od wpływającéj obecnie.

Przy takiém unormowaniu podatku dodatkowego od przedsiębiorstw prywatnych skarb państwa może stale a zwolna ulepszać system podatku od handlu i przemysłu: posuwać się stale ku podatkowi dochodowemu, obniżając opłaty patentowe i repartycyjne, a podnosząc opłaty zmienne — dążyć, jedném słowem, do kadastru przemysłowego. Nie ulega wątpliwości, że na téj drodze opodatkowanemi najmocniéj

---

[1]) W pierwotnym projekcie ministeryum projektowano sumę obu tych podatków unormować w przybliżeniu na $^{1}/_{40}$, t. j. $12^{1}/_{2}\%$ przybliżonego zysku.

zostaną przedsiębiorstwa najzyskowniejsze, najsilniejsze, mogące zatém najłatwiéj ponosić ciężar podatkowy.

V.

Ustanowiwszy zasady reformy opłaty patentowéj, komisya zastanawiała się jeszcze nad brakami przepisów obecnych, dotyczących podatków repartycyjnego i procentowego, organizacyi władz zawiadujących podatkiem przemysłowym i procedury zaskarżania postanowień téj władzy.

Przedewszystkiém przypomniéć tu musimy, że podatek dodatkowy repartycyjny ustanowionym został jednocześnie z podatkiem procentowym od dochodu towarzystw akcyjnych, udziałowych i stowarzyszeń prawem z 15 stycznia 1885 r. tylko dla przedsiębiorstw prywatnych gildyjnych. Powoli prawami z r. 1889 i 1892 rozszerzono go na wszystkie przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe, z małemi bardzo wyjątkami. Suma ogólna podatku ustanawia się w drodze prawodawczéj oddzielnie dla przedsiębiorstw gildyjnych, niegildyjnych i oddzielnie dla opłacających akcyzę, na trzy lata, dla każdéj gubernii oddzielnie. Repartycyą podatku na powiaty, okręgi podatkowe, rodzaje przedsiębiorstw i osoby opodatkowane zajmują się urzędy podatkowe gubernialne, powiatowe i okręgowe, w których prezydują gubernatorzy, inspektorowie podatkowi i ich pomocnicy, a członkowie są wybierani,—gdzie zaś nie ma ziemstw i urzędów municypalnych, mianowani są przez władzę — z łona samych opodatkowanych. W urzędach rozdzielających sumy, podlegające wniesieniu od przedsiębiorstw opłacających akcyzę, prezyduje naczelnik okręgu zarządu akcyzy, a 6 członków z pośród opodatkowanych mianuje gubernator po porozumieniu się z władzą skarbową. Instrukcye szczegółowe wydane przez ministeryum finansów w latach 1885 i 1888 określiły bliżéj sposób i zasady repartycyi, która odbywa się proporcyonalnie do „przybliżonych obrotów" zakładu i „przybliżonych zysków średnich" w danéj gałęzi przedsiębiorstw.

Podział całéj sumy podatkowéj na 3 części (przedsiębiorstwa gildyjne, niegildyjne, opłacające akcyzę) powstał historycznie, niema obecnie żadnéj racyonalnéj podstawy, a wymaga różnych instrukcyi i różnych władz do wykonania repartycyi i często prowadzi do potrójnych wezwań o zapłatę podatku dla jednego opodatkowanego.

Niedobory z podatku od przedsiębiorstw niegildyjnych w większości gubernii stanowią przeszło 50%.

Metoda repartycyi, jéj zasady nie są prawem ściśle określone, a sumy, oznaczone z góry na trzy lata nieraz wskutek okoliczności nadzwyczajnych (np. nieurodzaj 1891/2 r.), musiały zmianom ulegać. Wobec tego zachodzi konieczność, idąc za przykładem Austryi, utworzyć specyalny urząd, któryby stale czuwał nad corocznym rozkładem sumy ogólnéj podatku na gubernie, nad równomiernością repartycyi sum gubernialnych na powiaty i okręgi, i nakoniec nad rozkładem sum powiatowych i okręgowych na rodzaje przedsiębiorstw — w całém państwie. Bez zaprowadzenia takiéj władzy opodatkowanie w różnych powiatach, okręgach i guberniach, i w różnych gałęziach przedsiębiorstw, będzie się odbywało według stóp podatkowych różnych, a tém samém bez należytéj proporcyonalności w opodatkowaniu.

W prawie brak też przepisów, określających, w jaki sposób ma być oznaczona średnio-normalna zyskowność przedsiębiorstwa, a ani prawo, ani instrukcya nie zawiérają wskazówek, co należy uważać za obrót przedsiębiorstwa. Stąd w praktyce zjawiły się duże różnice w określeniu wpływów, obrotów, dochodów ogólnych *(brutto)* i czystych.

Przy repartycyi np. sumy wypadającéj na przedsiębiorstwa opłacające akcyzę, niektóre urzędy uważały za obrót całą wartość rocznego produktu wraz z akcyzą, inne wyłączały akcyzę. W określeniu obrotów bankierskich różnice i zamieszanie było największe. W dodatku składanie deklaracyi o wielkości obrotów nie było według przepisów obowiązkiem, lecz tylko prawem opodatkowanego; składał ją więc opodatkowany o tyle, o ile mu to korzyść przynosić mogło, wskutek czego ilość deklaracyi o obrotach stanowiła odnośnie do przedsiębiorstw gildyjnych ledwie około 20%, co do niegildyjnych zaś około 9% — tych przedsiębiorstw.

W określeniu średnich zysków urzędy podatkowe miały też za mało ścisłych określeń; nie miały prawa żądać przeglądania ksiąg handlowych opodatkowanego, a prawo apelacyi na postanowienia urzędu podatkowego było czysto fikcyjném, gdyż w zawiadomieniach o sumie, mającéj być zapłaconą przez opodatkowanego, była tylko określona suma podatku bez oznaczenia przyjętych za podstawę obrachunku: obrotu i normalnego zysku, bez wszelkich zatém podstaw do motywowania apelacyi.

Wobec tego stanu rzeczy, na który zwracał już uwagę i senat rządzący w swych wyrokach, protesty na orzeczenia urzędów podatkowych, stanowiły—przy podatku od przedsiębiorstw gildyjnych 5.4%, nie gildyjnych 2.4% ilości opodatkowanych, a z apelacyi tych około 80% pozostawało bez żadnego skutku. Wyrażenie prawa, że podatek pobiéra się

„od przybliżonego zysku" usuwał wszelki fundament apelacyi. W końcu zauważyć należy, że w urzędach repartycyjnych zasiadają sam opodatkowani, nieraz konkurenci, a prezydujący inspektor nie ma prawa wstrzymać wykonania postanowienia nawet wtedy, gdy jest przekonany o jego niesprawiedliwości. Wszystkie te braki należało usunąć w nowém prawie.

Brak oddzielnych sądów administracyjnych doprowadził do tego, że dziś spory w sprawach podatkowych załatwiają się na najrozmaitszych drogach: albo na drodze czysto administracyjnéj, jak sprawy dotyczące podatku od kapitałów pieniężnych i opłat patentowych od handlu i przemysłu, albo na drodze mieszanéj administracyjno-sądowéj, jak sprawy akcyzne, stemplowe i wynikłe z poboru podatku od mieszkań, — albo też na drodze czysto sądowéj, jak sprawy o opłaty przy sprzedaży nieruchomości (*kriepostnyja*). Stąd też prawie dla każdego gatunku podatku istnieją osobne urzędy (*prisutstwja*) z procedurą specyalną i specyalnemi przepisami postępowania, przyczém nawet sprawy drobne trwają niesłychanie długo. Co do podatku patentowego, to obecnie apelacya od kary wyżej 30 rubli wymierzonéj przez izbę skarbową idzie wprost do senatu, a jeżeli kara nie wynosi 30 rubli — do ministeryum finansów, a na postanowienia ministra także do senatu; skargi na postanowienia dotyczące podatku repartycyjnego idą od izb skarbowych do centralnego urzędu przy ministeryum finansów, a stąd także do senatu. Wszystko to nie zaleca się ani prostotą, ani jednorodnością. Oddanie jednak spraw podatkowych zwykłym instytucyom sądowym nie załatwiłoby kwestyi; nie są to bowiem ani przestępstwa kryminalne, ani sprawy czysto prywatnego charakteru i wymagają nietylko znajomości ogólnych praw w państwie, ale jeszcze i znajomości przepisów podatkowych, znajomości rzeczywistych miejscowych warunków handlu i przemysłu, i nakoniec często znajomości zakulisowéj strony życia ekonomicznego w państwie („*Wiest. finan.*", nr. 32, str. 189). Procedura, którąby się zaczynała w sądach okręgowych lub w sądach pokoju i u naczelników ziemskich (w cesarstwie) jest równie niemożliwa. Gdyby inspektorów podatkowych zobowiązano do bronienia interesów skarbu w sądach okręgowych lub sądach pokoju, zabrakłoby im czasu na właściwe ich czynności urzędowe, a utrzymywanie na koszcie skarbu osobnych adwokatów do spraw podatkowych obciążyłoby skarb wielkiemi, a niepotrzebnemi kosztami. Nakoniec oddanie spraw podatkowych zwykłym sądom nie gwarantuje jedności jurysprudencyi, która jednak jest niesłychanie potrzebna zarówno w interesie skarbu, jak i w interesie opodatkowanych, a tém bardziéj obecnie przy wprowadzeniu nowego prawa. Sądzono

wreszcie, że wogóle sądy administracyjne wynikły raczéj na gruncie teoretycznych przekonań o potrzebie „podziału władz," aniżeli z praktycznych względów i potrzeb czy to skarbu, czy samych opodatkowanych. Wobec tych względów myśl ustanowienia sądów administracyjnych wogóle i dla podatku przemysłowego w szczególe porzucono. Uznano jednak za konieczne, aby I-a instancya apelacyjna była na miejscu, jak najbliżéj kontrybuenta—nie w stolicy: ani w ministeryum skarbu, ani w senacie.

VI.

Zasadnicze przepisy nowego prawa streścić się dają w następujący sposób:

Podatek przemysłowy (wyraz przemysł wzięty tu jest w najobszerniejszém znaczeniu, obejmującém zarówno handel, jak i przemysł fabryczny, rzemiosła, zajęcia osobiste handlowo-przemysłowe) opłacają wszystkie 1) przedsiębiorstwa handlowe, zaliczając do nich instytucye kredytowe i asekuracyjne, pośrednictwo handlowe, dostawy i przedsiębiorstwa czasowe robót (*podriady*); 2) przedsiębiorstwa przemysłowe, fabryczne, górnicze, rzemieślnicze i transportowe; 3) zajęcia osobiste przemysłowe (§ 1).

Podatek dzieli się na: zasadniczy i dodatkowy (§ 2). Pierwszy pobiera się przez wydawanie świadectw przemysłowych; cena tych świadectw zależy od miejscowości, w których istnieje przedsiębiorstwo i od rodzaju przedsiębiorstwa. Miejscowości dzielą się na klasy, przedsiębiorstwa na rzędy. Podział na klasy i rzędy ustanawia się drogą prawodawczą co lat pięć (§ 3).

Podatek przemysłowy dodatkowy pobieranym będzie (§ 5):

I-o od towarzystw akcyjnych i innych przedsiębiorstw, obowiązanych do ogłaszania swoich sprawozdań w formie:

1) podatku od kapitału;

2) podatku procentowego od zysków.

II-o od wszystkich innych przedsiębiorstw — o ile te wyraźnie w prawie od podatku zwolnionemi nie zostały—w formie:

1) podatku repartycyjnego;

2) podatku procentowego od zysków przewyższających zyski normalne § 149 określone.

Paragraf 6 — wymienia w 46 pozycyach przedsiębiorstwa i zajęcia od podatku przemysłowego zwolnione. Wyliczać ich tu nie będziemy—powiemy tylko, że wyłączenia opierają się nie tyle na teore-

tycznych, ile na praktycznych względach a mają na celu: raz uniknąć opodatkowania dochodów skarbu na rzecz skarbu—powtóre uwolnić od podatku instytucye, zakłady i przedsiębiorstwa nie mające na celu zysków osobistych, ale raczej 1) dobro i pomyślność społeczeństwa, oświatę, zdrowie publiczne, i wzajemne ubezpieczenie od klęsk żywiołowych; 2) rozwój rolnictwa; 3) rozwój wywozu towarów krajowych za granicę—a potrzecie—uwolnić od podatku przemysłowego najmniéj zamożne klasy handlujących i rzemieślników. Punkt 26 zwalnia od podatku kopalnie złota, srebra i platyny—jako opłacające podatek górniczy. Punkt 27 uwalnia rzemiosła i przemysł włościański, o ile te prowadzone są przy pomocy członków rodziny, albo jednego najemnego robotnika.

Rozdział II-gi prawa określa organizacyę i atrybucye władz zawiadujących państwowym podatkiem przemysłowym.

Ogólny zarząd i kontrola nad ścisłém i jednakowém w całém państwie zastosowaniem prawa powierzone zostają ministeryum finansów (§ 8). Przy tém ministeryum przy departamencie handlu i przemysłu tworzy się osobny zarząd podatku przemysłowego, do składu którego wejdą, prócz przedstawicieli ministeryum finansów i osób przez inne ministerya wyznaczonych: 8-iu przedstawicieli opodatkowanych, wybieranych przez komitety giełdowe i zarządy kupiectwa z różnych okręgów państwa a zatwierdzanych przez ministra finansów. Głównem zadaniem tego urzędu będzie zbiéranie, grupowanie i opracowanie materyałów statystycznych, redagowanie memoryałów i rozbiór kwestyi ogólnych, dotyczących opodatkowania handlu i przemysłu w państwie i rozdziału ogólnéj sumy podatku repartycyjnego na gubernie (§ 8—19). Zawiadywanie ogólne podatkiem przemysłowym na miejscu, jest obowiązkiem izb skarbowych. Nadzór nad poborem podatku zasadniczego—patentowego, powierzony jest zarządzającym izbami i naczelnikom wydziału handlowego. Sprawy zaś dotyczące poboru podatku—a raczéj podatków dodatkowych—powierza nowe prawo „ogólnym zebraniom izby skarbowéj" (*obszczija prisutstwia kazionnoj pałaty*) z udziałem w tych zebraniach, z prawami członków, po jednym przedstawicielu: od zarządu akcyzy, od górnictwa, od zarządu ziemskiego, i od zarządu municypalnego miasta gubernialnego—i 6 przedstawicieli opodatkowanych płacących podatki dodatkowe, wybranych: 4 ch przez kupiectwo miasta gubernialnego (lub kupiectwo i komitet giełdowy) i po jednym wybranym przez ziemskie zebranie gubernialne i radę miejską (§ 12).

Skargi na postanowieniu tych ogólnych zebrań podawane będą do gubernialnych lub okręgowych rad podatku przemysłowego, które

pod prezydencyą gubernatora lub vice-gubernatora składać się będą z zarządzającego izbą skarbową, i zarządzającego okręgiem akcyzy, prokuratora sądu okręgowego lub jego pomocnika, prezesa zarządu ziemskiego i prezydenta miasta gubernialnego (lub ich zastępców) i 2-ch przedstawicieli opodatkowanych, wybranych: jeden przez ziemstwo, drugi przez radę miejską. Przy rozpatrywaniu spraw o wymiarze kary za przekroczenia przepisów prawa o podatku przemysłowym ma być powołany na posiedzenie członek sądu okręgowego z prawem głosu— ale przy decydowaniu ani prokurator, ani delegaci opodatkowanych głosu mieć nie będą (§ 15).

Urzędy podatkowe repartycyjne funkcyonują pod przewodnictwem inspektora podatkowego lub jego pomocnika i składają się z przedstawicieli: zarządu akcyznego i górniczego (o ile w okręgu są zakłady górnicze) i z 6-ciu przedstawicieli, płacących podatek repartycyjny—wybieranych (stosownie do obszerności okręgu podatkowego i miejscowości) przez rady miejskie, zebrania kupieckie, lub ziemstwa powiatowe. W stolicach i w innych większych miastach przemysłowych, może minister finansów tworzyć okręgi repartacyjne osobno z większego i mniejszego przemysłu, lub też z zakładów, należących do specyalnych gałęzi przemysłu i handlu (§ 21). W guberniach, w których niéma ziemstw, ani rad miejskich, przedstawicieli od zarządu ziemskiego i zarządu miasta mianuje gubernator, a przedstawicieli opodatkowanych mianuje gubernator po porozumieniu się z zarządzającym izbą skarbową. W Królestwie Polskiém przedstawiciela zarządu ziemskiego zastępować będzie stały członek miejscowego urzędu do spraw włościańskich, a przedstawiciela zarządu miejskiego — w Warszawie: pomocnik prezydenta miasta, na prowincyi: jeden z radców rządu gubernialnego (§ 22).

Kontrola wykonania prawa leży na obowiązkach: 1) inspektorów podatkowych i ich pomocników; 2) deputatów handlowych (§ 33) wybieranych przez rady miejskie lub nominowanych przez gubernatorów (§ 37), — 3) władz gminnych i wiejskich (§ 38).

Rozdział trzeci zawiera przepisy o zasadniczym podatku przemysłowym, t. j. o patentach, v. świadectwach przemysłowych. Świadectwa przemysłowe muszą być opłacane co roku, dla każdego przedsiębiorstwa handlowego, czy przemysłowego osobno (§ 41); z osobna dla każdego statku i na każde osobiste zajęcie, dla każdéj z osobna dostawy i osobnego przedsiębiorstwa robót, każdego sklepiku i kramiku na jarmarku trwającym dłużéj niż dni 14, dla każdego wozu i paki przenośnéj, z których idzie handel. Prawo ogranicza też liczbę składów towarów, które wolno jest mieć przy jedném przedsiębiorstwie handlowém lub przemysłowém po za obrębem głównego przedsiębiorstwa,

a to zależnie od wysokości opłacanego podatku zasadniczego: przy ilości składów przekraczających tę liczbę, opłaca się podatek dodatkowy od każdego składu (§ 42). Bardzo szczegółowe przepisy określają co należy uważać za „oddzielne przedsiębiorstwo" i „skład oddzielny" (§ 43—52) i jak określoną być ma ilość robotników w tych zakładach przemysłowych, w których ilość robotników stanowi o wysokości podatku. Robotnicy do lat 17 i po latach 65 liczą się po dwóch za jednego; robotnicy pracujący przy dostawie opału, wywozie odpadków i przy czasowych robotach budowlanych, nie liczą się całkiem; liczą się zaś za robotników fabrycznych: wszyscy majstrowie, niżsi oficyaliści nadzorujący i kontrolujący, robotnicy pracujący w warsztatach pomocniczych i pracujący w domu dla fabryki (§ 53).

Osoby, pracujące w handlu i przemyśle nie samodzielnie, opłacają też podatek zasadniczy dwóch kategoryi. Do I-éj należą osoby mające prawo zastępować właściciela czy właścicieli; do II-iéj osoby nie mające tego prawa. W każdém przedsiębiorstwie, którém nie zarządza ani właściciel, ani osoba do rodziny jego należąca, musi być wykupione jedno świadectwo pierwszéj kategoryi (§ 56). Przedsiębiorstwa handlowe IV rzędu nie mogą mieć subiektów handlowych. Tylko przedsiębiorstwa handlowe I-go rzędu i przemysłowe pierwszych trzech rzędów mogą mieć komiwojażerów (§ 57). Osoby, wchodzące do składu zarządów, rad, komitetów nadzorczych, dyskontowych i komisyi rewizyjnych, -— zarządzający i zastępcy ich w towarzystwach obowiązanych do składania publicznych sprawozdań, opłacają podatek od dochodu w stosunku 2% od wszelkiego gatunku wynagrodzenia otrzymanego w ciągu roku (§ 58).

Świadectwa przemysłowe są roczne—od 1-go stycznia do 1-go stycznia. Zakłady powstające po 1 lipca, mogą dostawać świadectwa półroczne.

Osobne anneksy do prawa dołączone, podają podział miejscowości na klasy, handlu i przemysłu na rzędy, — i wysokość opłat na świadectwa przemysłowe.

Prócz stolic — prawo ustanawia IV klasy. Z miast w Królestwie położonych, zaliczone są do klasy I—Warszawa i Łódź—do klasy II-éj żadne; do klasy III: —wszystkie miasta gubernialne, Włocławek, Tomaszów, Częstochowa, Pabianice i całe powiaty: Warszawski, Błoński, Kutnowski, Lubelski, Będziński, Brzeziński i Łódzki. Wszystkie pozostałe miasta i powiaty w Królestwie należą do klasy ostatniéj—czwartéj.

Przedsiębiorstwa handlowe dzielą się na V rzędów, stosownie do gałęzi handlu, miejscowości, wysokości kapitału (instytucye kredytowe

i asekuracyjne), wysokości, sumy opłacanéj za lokal, (restauracye, księgarnie) i ilości najmowanych pokojów (kawiarnie, herbaciarnie etc).

Do V rzędu należy handel przewoźny i przenośny—we wsiach—towarami specyalnie w osobnym spisie wymienionemi.

Przedsiębiorstwa przemysłowe dzielą się na VIII rzędów. Klasyfikacya ich obejmuje 101 pozycyi i zasadza się przedewszystkiém na ilości robotników, przyczém uwzględniono dodatkowo: różne rodzaje przemysłu, siłę motorów, sumę średnicy kamieni w młynach, ilość maszyn, ilość ogólną produkcyi (cukrownie i rafinerye, fabryki drożdży i spirytusu, browary i fabryki miodu, kopalnie węgla kamiennego, nafty i soli), sumę opłaconéj akcyzy (fabr. tytoniu) etc.

Do rzędu VIII-go najniższego, zaliczone są: 1) zakłady pracujące z 2—4 robotnikami, z motorem lub bez motoru mechanicznego,—furmani i rybacy mający 2—4 stałych najemników; 2) młyny, w których suma średnic kamieni młyńskich nie przewyższa 50 cali.

Same opłaty unormowane są jak następuje.

I. Świadectwa handlowe:

Rząd I—rb. 500. Każdy skład oddzielny rb. 30 bez względu na miejscowości.

Rząd II samo świadectwo — stosownie do miejscowości od rb. 50 do rb. 150—skład od rb. 10 do 25.

Rząd III—od 10 do 30—i od 2—6; rząd IV od 4—12; rząd V handel przewoźny rb. 20, przenośny 6 rb.

II. Świadectwa przemysłowe. Rząd I—rb. 1500, II—rb. 1000, III—rb. 500, IV—rb. 150, i V—rb. 50 — bez względu na miejscowość. Rząd VI od rb 10—30, VII—od rb. 5—15, VIII—od rb. 2 do 6—stosownie do klas miejscowości.

III. Świadectwa jarmarczne są dwojakie: dla handlu hurtowego i detalicznego—i wynoszą: na jarmarku w N.-Nowogrodzie rb. 100 i 25, na jarmarkach, trwających dłużéj niż dni 20—rb. 50 i 13, na jarmarkach trwających od dni 15—21=rb. 40 i 10.

IV. Dla parostatków stopa podatku stanowi 7 kop. od każdego cala powierzchni ogrzewalnéj kotłów.

V. Ekspedytorzy przy komorach celnych płacą, stosownie do klasy komory, przy któréj pracują od rb. 75 do 150; meklerzy i notaryusze giełdowi: w stolicach rb. 150—w Warszawie, Libawie, Rostowie, Rydze, Kijowie i Odesie po rb. 100, w innych miastach rb. 75; inspektorzy i agenci towarzystw asekuracyjnych od rb. 10 do 35. Pomocnicy handlowi i przemysłowi I kategoryi od rb. 4 do 35,—II kategoryi rb. 4—6 stosownie do klasy miejscowości; komiwojażerowie rb. 50.

Paragrafy 61—70 określają sposób wydawania świadectw przemysłowych, postępowanie w razie ich zagubienia i zmiany właściciela zakładu, i obowiązują do wywieszania świadectw w zakładzie na widoczném miejscu. Następujące §§ 71—90 zajmują się przepisami dotyczącemi kontroli i sprawdzenia opłaty podatku, skréśleniem praw inspektorów i deputatów handlowych przy sprawdzaniu opłaty i postępowaniu w wypadkach odkrycia przekroczeń przepisów prawa. W razie zaszłéj wątpliwości, co do wysokości opłaty, jaką zakład handlowy czy przemysłowy ma wnieść w formie opłaty za świadectwo, wolno jest opłatę tę oznaczyć na podstawie zysku, określonego dla zakładu w roku poprzednim przy opłacie podatków przemysłowych dodatkowych (repartycyjnego i procentowego od normalnych zysków). Specyalny *anneks* określa związek pomiędzy wysokością świadectw i wysokością zysków przedsiębiorstwa. W handlu przedsiębiorstwa dające zyski wyżéj rb. 20,000, powinny opłacać świadectwo I-go rzędu, dające—2,000 do 20,000 stosownie do miejscowości—świadectwo II-go rzędu;—dające rb. 400—6,000—świadectwo III-go rzędu. W przemyśle zyski wyżéj 60,000 odpowiadają świadectwom I-go rzędu, zyski od 40 do 60 tys.—II-go rzędu, od 20 do 40 tys.—III-go rzędu od 6 do 20 tys.—V-go rzędu od 2 do 6—VI rzędu bez względu na miejscowość. Paragraf 90 stanowi, że gdyby się okazało, iż zamknięcie zakładu, lub rewizya dokonane były „nieprawidłowo" — to osoba, która je zarządziła, odpowiadać będzie za straty wynikłe z tego powodu dla opodatkowanego.

Rozdział IV zawiera przepisy dotyczące podatku — a właściwie 2-ch podatków dodatkowych płaconych przez przedsiębiorstwa obowiązane do składania publicznie sprawozdań: — podatku od kapitału i podatku od zysków rzeczywistych.

Podatek od kapitału opłacają wszystkie towarzystwa akcyjne, udziałowe i stowarzyszenia zobowiązane do publicznego składania sprawozdań — w wysokości 15 kop. od rb. 100 kapitału zakładowego (§ 91 i 92). Przy opłacie tego podatku potrąca się suma zapłacona przez przedsiębiorstwo za wszystkie świadectwa przemysłowe—i jeżeli suma opłacona za świadectwa jest równą, lub wyższą od obliczonego podatku od kapitału — ten ostatni nie pobiera się całkiem (§ 83). Za kapitał zakładowy uważa się nominalna wartość kapitału akcyjnego, udziałowego i innych, zastępujących ich miejsce, podana w sprawozdaniu za ostatni upłyniony rok rachunkowy. W stowarzyszeniach, opartych na wzajemności, niemających kapitału zakładowego — wypuszczających listy zastawne i obligacye,—za kapitał zakładowy uważa się $^1/_{10}$ część obligacyi lub listów zastawnych w obieg wypuszczonych (§ 96).

Przedsiębiorstwa obowiązane do publicznych sprawozdań, płacą jeszcze podatek od zysków rzeczywistych o ile te wynoszą więcéj, niż 3% ich zakładowego kapitału. Od zysków 3% i niższych podatku nie płacą, zaś od zysków przewyższających 3% płacą (§ 98):

1) przy zyskach:

3 — 4%	. . . .	3% zysku
4 — 5%	. . . .	4 „
5 — 6	. . . .	$4^1/_2$ „
6 — 7	. . . .	5% „
7 — 8	. . . .	$5^1/_2$ „
8 — 9	. , . .	$5^3/_4$ „
9 —10	. . . .	6% „

2) Przy zyskach przewyższających 10% opłacają: 6% od ogólnéj sumy zysków i prócz tego 5% od sumy zysków przewyższających 10% kapitału (§ 98).

Paragraf 101 określa co jest zyskiem czystym, jakie wydatki i jak wielka amortyzacya budynków i maszyn może być odpisywana z zysków ogólnych przedsiębiorstwa. Prawo określa termin składania sprawozdań, sposoby ich ogłaszania i terminy dostarczania objaśnień i dopełnień na żądanie władzy.

Paragraf 110 stanowi, że w razie, gdyby sprawozdanie nie było złożone władzy w sześć miesięcy po upływie wskazanego przez prawo terminu, albo gdyby zjawiła się wątpliwość co do prawidłowości samego sprawozdania—a także, w razie niejasności i niedokładności dostarczanych przez zarządy towarzystwa wiadomości dodatkowych i objaśnień, — zarządzający izbą skarbową ma prawo—za zgodą ministra finansów—zażądać rewizyi ksiąg handlowych i samego zakładu. Rewizyi téj dokonywa prezes izby skarbowéj w towarzystwie jednego z członków téj izby i w obecności zarządzającego, dyrektora, lub przedstawiciela towarzystwa.

Skargi na postanowienia gubernialnych i okręgowych urzędów podatkowych mają być zanoszone do rządzącego senatu (§ 114). Sprawozdania i bilanse towarzystw zobowiązanych do ich ogłaszania przedstawiane być mają wedle form i szematów zatwierdzanych przez ministra finansów, po porozumieniu się z kontrolerem państwa i innemi właściwemi władzami (§ 103).

Przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe nie zobowiązane ani do składnia publicznych sprawozdań, ani do przedstawienia ich na zatwierdzenie władz, zatém wszystkie przedsiębiorstwa ściśle prywatne, opłacają 2 dodatkowe podatki: repartycyjny i od zysków.

Podatek repartycyjny opłacają wszystkie przedsiębiorstwa nie składające publicznych sprawozdań (§ 91), a więc i przedsiębiorstwa

skarbowe, od podatku wyraźnie nie zwolnione, i wszystkie przedsiębiorstwa prywatne przemysłowe i handlowe. Od opłaty podatku zwolnione są tylko: 1) niektóre okręgi Syberyi i kraju Zakaukaskiego, gdzie zamiast podatku repartycyjnego pobierany będzie podatek dodatkowy w wysokości 25% podatku patentowego zasadniczego; 2) nowe przedsiębiorstwa powstałe po 1 kwietnia roku ubiegłego; 3) zakłady handlowe IV i V rzędu i przemysłowe VII i VIII rzędu, i przedsiębiorstwa parostatkowe, o ile suma powierzchni ogrzewalnych w kotłach wszystkich statków przedsiębiorstwa nie przenosi 300 stóp kwadratowych; 4) przedsiębiorstwa, dające w sumie ogólnéj dochód mniejszy od 100 rb. w miejscowościach IV klasy, 150 rb. — w III kl., 200 rb. — w II kl., 250 rb. — w I kl. a 300 rubli w stolicach, a także przedsiębiorstwa parostatkowe dające dochód nie wyższy od 200 rb.; 5) ekspedytorzy przy komorach celnych, agenci giełdowi i giełdowi notaryusze, których dochód nie przewyższa dwa razy wziętego, zapłaconego przez nich podatku zasadniczego (patentowego) (§ 115, 116). Nakoniec urzędy podatkowe mają prawo zwolnić od opłaty podatku repartycyjnego za dany rok przedsiębiorstwa, które złożą dowody na to, że znajdują się w wyjątkowo nieszczęśliwych warunkach (§ 117).

Ogólna suma podatku repartycyjnego, mająca być pobrana w całém państwie, ustanawia się w drodze prawodawczéj raz na 3 lata. Suma ta ulega corocznie zmniejszeniu o tę ilość podatku, jakaby przypadała od przedsiębiorstw prywatnych, które zadeklarowały (§ 152), że pragną ulegać opodatkowaniu od kapitału i rzeczywistego zysku, narówni z towarzystwami akcyjnemi (§ 119). Sumę ogólną podatku repartycyjnego minister finansów rozdziela co rok na gubernie, a to na zasadzie przedstawienia osobnego urzędu do spraw podatku przemysłowego i po porozumieniu się z ministrami: rolnictwa, spraw wewnętrznych, wojny, dóbr państwa i z kontrolerem państwa. Podział sum gubernialnych na okręgi podatkowe uskutecznia co roku ogólne zebranie izby skarbowéj, kierując się przytém zasadami podziału za lata poprzednie, danemi za rok bieżący: o ilości przedsiębiorstw, ich obrotach i zyskach w okręgu, a także ogólnemi wskazówkami o stanie miejscowego handlu, przemysłu i rolnictwa, widokami urodzajów i wydarzonemi w okręgu klęskami, jak: pożary, epidemie etc. (§ 121). Ogólne zebranie izby skarbowéj dzieli przedsiębiorstwa prywatne, opłacające podatek repartycyjny, na grupy wedle rodzaju i gatunku przedsiębiorstw. Urzędy okręgowe ustanawiają dla każdéj grupy procent normalnego zysku od obrotu, który zatwierdza ogólne zebranie izby skarbowéj.

Każde przedsiębiorstwo handlowe I i II rzędu i każde przedsiębiorstwo przemysłowe I do V rzędu, a w stolicach i przedsiębiorstwa handlowe III i przemysłowe IV rzędu, obowiązane są co roku, nie później jak 1 kwietnia, podać do urzędu podatkowego deklaracyę wedle przepisanéj formy co do sumy obrotu przedsiębiorstwa. Cechami wskazującemi wielkość przedsiębiorstwa mogą być: wielkość lokalu, suma płacona za jego najem i za najem służących i pomocników, ilość robotników i maszyn, spotrzebowanego materyału i wyprodukowanego towaru (§ 125).

Podstawą zaś do obliczania obrotu powinny być w interesach: bankierskich—ogólna suma operacyi aktywnych, handlowych — suma ogólna wartości towaru sprzedanego za gotowiznę i na kredyt, w dostawach — suma dostaw, w fabrykach — ogólna wartość produkcyi, w przedsiębiorstwach transportowych: suma rocznego dochodu.

Urzędy podatkowe repartycyjne zbiérają dane potrzebne do sprawdzenia deklaracyi. Prezesom ich służy prawo żądać od podających deklaracye objaśnień, zbierać wiadomości od osób trzecich, władz, urzędów, instytucyi rządowych i gminnych; rewidować i oglądać same przedsiębiorstwa wobec właściciela lub jego pełnomocnika i nakoniec, w razie konieczności i za zgodą opodatkowanego, przeglądać jego księgi handlowe: dziennik, księgę kasową i księgę główną, a w instytucyach kredytowych i księgi dotyczące czynności aktywnych. Po sprawdzeniu deklaracyi i ustanowieniu cyfr obrotu, urząd podatkowy oznacza średnie zyski, — zakładu lub przedsiębiorstwa ulegające opodatkowaniu.

Opodatkowany ma prawo żądać, aby oznaczenie zysków dokonane było na zasadzie jego zysków rzeczywistych i obowiązany jest wtedy złożyć albo swoje księgi handlowe, albo rejentalne z nich wyciągi, które urząd podatkowy sprawdzić ma prawo (§ 129). Dla pozostałych opodatkowanych zyski obliczają się na podstawie średnich norm zysków przez izbę skarbową zatwierdzonych. Urząd podatkowy ma obowiązek uwzględnić wyjątkowo pomyślny lub niepomyślny przebieg operacyi przedsiębiorstwa za rok ubiegły i ma prawo podnieść do 50% normalną średnią jego zyskowność lub też ją obniżyć, albo też uwolnić przesiębiorstwo całkiem od podatku repartycyjnego z objaśnieniem motywów postanowienia w protokóle.

Opodatkowani, prowadzący kilka przedsiębiorstw, mają prawo żądać (decyzyę w téj mierze wydaje ogólne zebranie izby skarbowéj) opodatkowania ich proporcyalne do łącznego zysku wszystkich ich przedsiębiorstw (§ 152).

Suma podatku, wyznaczona na okrąg, musi być rozdzielona na wszystkich opodatkowanych okręgu bez reszty, proporcyonalnie do obliczonych ich zysków.

Po dokonaniu repartycyi urząd podatkowy rozsyła opodatkowanym zawiadomienia o obliczonéj dla każdego sumie zysków i podatków, a jednocześnie przedstawia projekt repartycyi do izby skarbowéj na zatwierdzenie. Kontrybuentom wolno jest w ciągu miesiąca wnosić do izby skarbowéj skargi na wysokość oznaczonego dla nich podatku. Izba skarbowa po sprawdzeniu projektu repartycyi i po rozpatrzeniu skarg wniesionych, ewentualnie poprawia projekt repartycyi, lub zatwierdza go i rozsyła opodatkowanym wezwania wniesienia podatku (§ 133—142). Podatek wniesiony być powinien przed 1 października każdego roku. Skargi na postanowienia izby skarbowéj zanoszą się— jak to wyżéj powiedziano — do gubernialnych lub okręgowych izb podatkowych. Suma podatku repartycyjnego umorzona po zatwierdzeniu przez izbę skarbową repartycyi dodaje się w roku następnym do sumy wypadłéj z rozkładu podatku na gubernię.

Przy rozdziale sumy gubernialnéj podatku repartycyjnego przez ogólne zebranie izby skarbowéj na okręgi podatkowe i grupy, i przy zatwierdzeniu procentów średniéj zyskowności—na posiedzenia ogólnego zebrania izby mają być wezwani: 1) na prawach członka—zarządzający miejscową izbą obrachunkową (*kontrolną*); 2) w razie potrzeby i z głosem doradczym—prezesi okręgowych urzędów podatkowych repartycyjnych (t. j. inspektorowie podatkowi); 3) biegli, o ile można, ze wszystkich gałęzi handlu i przemysłu. Biegli ci powinni być też powoływani obowiązkowo na posiedzenia urzędów okręgowych przy decydowaniu wszelkich kwestyi, dotyczących określenia zysków (§ 147).

Podatek procentowy od zysków opłacać mają wszystkie przedsiębiorstwa, ulegające podatkowi repartycyjnemu, za wyjątkiem: 1) handlów hurtowych i fabryk: wina, spirytusu i innych towarów, ulegających opłacie akcyzy; 2) przedsiębiorstw handlowych III rzędu i przemysłowych VI rzędu w miejscowościach IV klasy i 3) przedsiębiorstw osobistych. Podatek ten pobierany być ma od téj części czystych zysków przedsiębiorstwa, która przewyższa sumę, wypadającą z pomnożenia sumy podatku zasadniczego (patentowego), wniesionego przez przedsiębiorstwo, przez 30. Podatek wynosi 1 rubla od każdych 30-tu rubli zysku; oblicza się jednocześnie z podatkiem repartycyjnym i jednocześnie z nim pobiéra.

Paragraf 152 prawa stanowi: że spółki zwyczajne i komandytowe, przedsiębiorstwa handlowe I rzędu i przemysłowe pierwszych trzech rzędów, opłacające podatek repartycyjny, mogą żądać od izby skarbo-

wéj zwolnienia ich od podatków: repartycyjnego i procentowego od zysków (na zasadzie średnich norm zysków) i opodatkowania ich narówni z przedsiębiorstwami obowiązanemi do składania sprawozdań,—a więc nałożenia na nich podatków: od kapitału i zysków rzeczywistych, a to o tyle, o ile złożą dowody stwierdzające wysokość ich kapitałów i zobowiążą się do corocznego składania sprawozdań według form ustanowionych przez władzę.

Ostatni — szósty rozdział prawa mówi o niedoborach i karach za przekroczenie przepisów.

Kary za opóźnienie w opłacie podatku wynoszą 1% za każdy już zaczęty miesiąc. Ogólne zebrania izb skarbowych mają prawo podatek odraczać i rozkładać na raty.

Kary za przekroczenia przepisów wynoszą dwa lub trzy razy wziętą sumę niezapłaconego podatku, albo też 10 do 300 rubli kary, stosownie do przekroczenia. Kary za przekroczenie przepisów o podatku przemysłowym zasadniczym wymierza izba skarbowa, a za przekroczenie przepisów o podatku dodatkowym ogólne zebrania izby skarbowéj. Skargi na postanowienia zarówno izby, jak i ogólnego jéj zebrania, rozpoznaje gubernialny lub okręgowy urząd podatkowy, a skargi na postanowienia tego urzędu wnoszą się do rządzącego senatu (§ 153 — 179).

Szczegółowe przepisy co do postępowania przy wydawaniu świadectw przemysłowych, co do określenia zysków rzeczywistych i średnich, obrotów i sposobów repartycyi, a także co do kontrolowania, sprawdzania, zbierania wiadomości i t. d. i t. d., mają być podane w instrukcyach, które zatwierdzi minister finansów, po porozumieniu się z kontrolerem państwa i innemi właściwemi władzami. Instrukcye te będą ogłoszone przez rządzący senat.

* * *

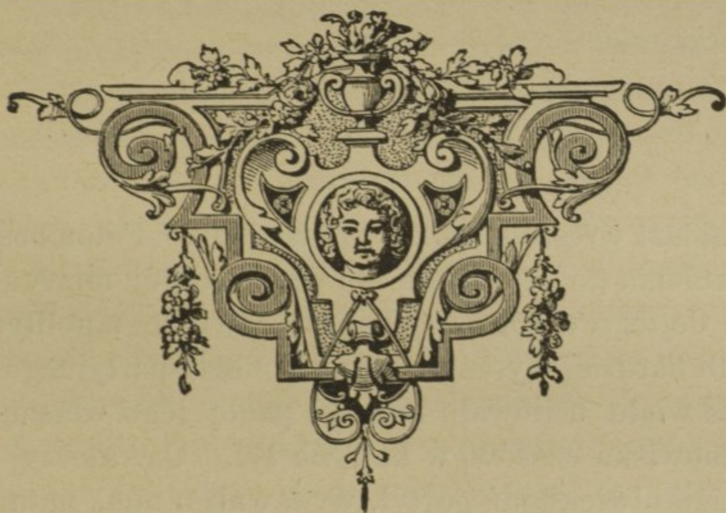
W opinii rady państwa dołączonéj do tekstu prawa znajdujemy jeszcze rozporządzenia dotyczące świadectw kupieckich (punkt IV). Na mocy tych rozporządzeń osoby mające obecnie prawo być zapisanemi do stanu kupieckiego, mogą zachować swe prawa: kupców I-éj gildyi, jeśli opłacając podatku zasadniczego (patentowego) więcéj, niż rb. 500, wykupią „świadectwo należenia do stanu kupieckiego” za cenę rb. 50,—i kupców II-éj gildyi, jeśli płacąc podatku zasadniczego więcéj niż rb. 50—wykupią świadectwo kupieckie za rb. 25.

Taż sama opinia rady państwa stanowi, że nowe prawo wejdzie w wykonanie z d. 1 stycznia 1899 r., ale wydawanie świadectw prze-

mysłowych i handlowych, również jak i pobór opłat dodatkowych na korzyść zarządów miejscowych (ziemskich i gminnych) mają się dokonywać już w roku bieżącym na zasadzie przepisów nowego prawa.

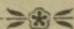
Co się tyczy tych opłat dodatkowych na korzyść ziemstw i gmin, to rada państwa poruczyła jednocześnie, aby ministrowie finansów i spraw wewnętrznych przygotowali w jak najkrótszym czasie projekt nowego prawa w tym przedmiocie, i wydała szereg przepisów, obowiązujących tymczasowo do chwili zatwierdzenia nowego prawa (p. I i II).

St. P.



GIACOMO LEOPARDI.

W setną rocznicę urodzin poety.



(Dokończenie) *).

Poeta znalazł wreszcie spokój upragniony. Potomności pozostało zadanie ocenienia go, stosownie do niepospolitéj miary jego dzieła. Zabiérano się do tego w rozmaity sposób, zwykle z polityczno-religijnego, mniéj lub bardziéj wyraźnie zaznaczonego, partyjnego punktu widzenia [1]). Nie wielu usiłowało mierzyć poetę jego własną miarą, sądząc go ze stanowiska czasów, w których żył. Ci, którzy przykładali doń miarę jakiéjkolwiekbądź partyi, wydawali o nim, naturalnie z rozmaitych względów, sąd w wysokim stopniu niekorzystny. Leopardi nie był politykiem i nie należał wogóle do żadnéj partyi. Już we wczesnéj młodości zajął on stanowisko zwątpienia, nietylko wobec swego narodu, lecz i wobec całego świata. Jeżeli mu więc dążenia włoskiéj partyi liberalnéj były obce, nie były mu one wszakże obojętnemi i — jak tego wyżéj dowiodłem — było wielkim błędem wnioskować z jego milczenia wobec wielkich współczesnych mu zagadnień o wyparciu się wierzeń, którym dał tak jasny i piękny wyraz w pierwszych swych poezyach. Podobnież nie może on być sądzony z jakiegokolwiekbądź bezwzględnego religijnego punktu widzenia. Był on filozofem, tak wie-

*) Patrz zeszyt wrześniowy „Ateneum“ r. b., str. 484.

[1]) Najsilniéj napastował poetę *Padre* Solimani, „*Filosofia di G. Leopardi raccolta e disaminata.*“ Imola, 1853.

rzącym w swe metafizyczne idee, jak inni w Ewangelię, w Koran i w Buddę. A zwłaszcza to mu zarzucają. Wobec zaś dowodzenia innych, jakoby poeta miał się tym wierzeniom swym sprzeniewierzyć (np. Ruth. „Historya Włoch", t. I, str. 332), nadmienić tu musimy, iż twierdzenie to okazało się wymysłem Jezuitów, którzyby chętnie przypisać sobie chcieli nawrócenie człowieka takiéj miary [1]).

W dziejach piśmiennictwa włoskiego Leopardi jest uważany przez Ebersa, Rutha i wielu innych za klasyka, w przeciwieństwie do rozkwitającéj tamże, podobnież jak i w Niemczech, w początkach bieżącego stulecia, szkoły romantycznéj. W pierwszych płodach swéj twórczości przymykał się do Alfieriego, wszakże niebawem zupełnie odrębną, swoją własną, poszedł drogą. Giordani, o czém już wyżéj nadmienialiśmy, uważał go poprostu za Greka, przeznaczonego do pojawienia się na ziemi, w czasach Peryklesa i Anaxagorasa i, dzięki jakiemuś nieporozumieniu, zachowanego do tych ostatnich smutnych dni Italii. Wszakże na ten pogląd zgodzić się nie możemy. Istotnie Leopardi w swéj prostocie i wspaniałości stylu, w konsekwencyi i jasności myśli, w niewyszukaném i naturalném obrazowaniu, we właściwym, pełnym godności patosie i w plastycznéj nagości swych poglądów, zwłaszcza w pismach prozaicznych ma coś, co przypomina starożytnych. Lecz po zatém jest on nawskroś nowożytnym pisarzem, zajmującym pod wieloma względami odrębne od starożytnych stanowisko, głęboko wrosłym w czas swój i we własny subiektywizm. Nienawiść, okazywana ze względu na przestarzałe pojęcia każdéj powadze, właściwość uważania tylko tego za prawdziwe, co się samemu poznało i przeżyło, wogóle kult indywidualizmu w przeciwieństwie do kultu społeczeństwa, narodu i państwa, wreszcie głębokość umysłu, któréjbyśmy napróżno u starożytnych szukali, charakteryzują go, jako poetę nowożytnego, jako dziecię swego czasu.

Czas, na który przypada jego rozwój i działalność piśmiennicza— to okres Restauracyi, która po uciszeniu się burz rewolucyjnych i zwaleniu w proch ich reprezentanta, usiłowała ująć narody w dawne karby i w imieniu prawa z Bożéj łaski oraz kościelnego, najokropniéj tyranizowała ciała ich i dusze. Działo się to pod obłudną firmą świętego przymierza. Nigdzie tyrania ta nie przejawiała się surowiéj niż we Włoszech, gdzie duchowieństwo w połączeniu z obcemi dynastyami Burbonów i Habsburgów utrzymywało stworzony przez siebie t. zw. po-

---

[1]) Patrz gruntowne zbicie wszystkich tych fałszów w dziełach: Gioberti V. „*Il Gesuita moderno*", Firenze, 1848, Vol. I, str. 170 i nast., oraz „*Opere di A. Ranieri. Supplemento alla notizia*" i t. d. Milano, 1864, t. III, str. 161 i nast.

rządek, przy pomocy więzienia, wygnania, rusztowania, prochu i ołowiu. Partya przeciwna, dla położenia kresu temu stanowi rzeczy, posługiwała się takiemi środkami, jak tajemne związki, sprzysiężenia i rewolucye.

Naturalnie, że piśmiennictwo przyjmowało żywy udział w téj walce. Nauczanie, jakoby sztuka sama dla siebie miała być celem, któreby do kwietyzmu Goethego doprowadzić musiało, zarzucono oddawna, — nowsze czasy przekonały się, że posłannictwem literatury jest współdziałanie w odrodzeniu narodów. Podobnież jak w Niemczech, utworzyła się i we Włoszech partya, która wobec haniebnego bankructwa w czasach rewolucyi ideałów XVIII w., głosiła powrót do ideałów średniowiecznych, uważając szkołę romantyczną za pojednanie uroszczeń nowożytnych czasów z dawnemi instytucyami. We Włoszech partya ta powszechnie jest nazywana szkołą lombardzką, ponieważ jéj siedzibą bywał przeważnie Medyolan. Organ téj partyi „*Conciliatore*" samym tytułem swym zapowiadał jéj kierunek. Głównymi przedstawicielami literatury pięknéj byli tu: Alessandro Manzoni, Tommaso Grossi i Silvio Pellico, — historyi zaś oraz polityki: Cesare Cantu, Cesare Balbo, Carlo Troja i Vincenzo Gioberti. Już tutaj wspominamy o tych dążeniach, pomimo że dopiéro po rewolucyi lipcowéj poczęto energiczniéj działać w tym kierunku. Myślą ich zasadniczą było wzmocnienie, specyalnie katolickiego, poczucia religijnego, pojednanie papiestwa z ideałami nowych czasów, wreszcie zjednoczenie, związek lub téż odrodzenie Włoch z reformowaném papiestwem na czele—idea, która miała w końcu znaléść urzeczywistnienie w ofiarowaniu tyary papieskiéj Mastai Ferretti'emu (Piusowi IX), na to, by niebawem fatalnemu uledz rozbiciu.

Niezależnie od tego dążenia, opanowywał umysły z czasów restauracyi inny jeszcze kierunek, który częścią chwilowo tylko owładnął duchami chwiejącemi się w przystępie zniechęcenia pomiędzy nadzieją i złudzeniem, częścią zaś, przenikając do głębi istoty, brał myśl w wyłączne posiadanie. Był to kierunek, który, zwątpiwszy o poprawie istniejącego stanu rzeczy, rzucał się w ramiona najbardziéj beznadziejnéj ze wszystkich filozofii, polegającéj na przeczeniu wszelkiego ludzkiego szczęścia. Leopardi jest najbardziéj konsekwentnym przedstawicielem tego systematu, przy którym nie sam tylko stoi.

Tenże kierunek znajdujemy w tym okresie w Niemczech, Anglii, Francyi, Hiszpanii oraz w krajach słowiańskich, rozpowszechniony w miejszym lub większym stopniu, śród przedstawicieli ducha owego czasu i wystarczy wspomnieć tu imiona Byrona, Platena, Lenaua, Heinego, Musseta, Puszkina, Lermontowa, Mickiewicza, Słowackiego

i Schopenhauera dla zaznaczenia, że Leopardi, równie dobrze jak każdy z nich, był dziecięciem swego czasu i należną płacił mu daninę. Był zaś to okres panowania „*Weltschmerzu*".

Zapewne wielu z czytelników uśmiechnie się przy tym wyrazie, na wspomnienie przesady, wysilania się, afektacyi, miejscami zaś i nieprawdziwości tego kierunku. Nie przychodzi im na myśl, od jak dawna *Weltschmerz* jest znany; spotykamy go już w starym testamencie, u Indusów i Greków starożytnych; nie przychodzi im na myśl, iż trawił on niemal wszystkie wielkie duchy (że wspomnimy tylko „Werthera", „Prometeusza" oraz „Fausta" Goethego), iż nastrój stanowiący jego zasadę nie został z duszy człowieka wykorzeniony i nieraz jeszcze w rozwoju ludzkiego pokolenia powracać będzie, jak to dawniéj niejednokrotnie miejsce miało. Czémże innem, jak nie *Weltschmerzem* jest to, co czytamy w księdze, któréj autorstwo przypisuje się królowi Salomonowi, przedstawicielowi najwyższego szczęścia ziemskiego u Żydów, a którą nie bez słuszności odnoszą do czasów restauracyi państwa: „Ja kaznodzieja byłem królem Izraelskim w Jeruzalem, y umyśliłem w sercu moim szukać y dowiadować się mądrze o wszytkim, co się dzieie pod słońcem. Tę zabawę nagorszą dał Bóg synom człowieczym, aby się ią trapili. Widziałem wszytko co się dzieje pod słońcem: a oto wszytko marność y utrapienie ducha. Mówiłem ia w sercu moim: Póydę a rozpuszczę się w rozkoszach, y będę zażywał dobra. Y widziałem, że y to iest marność. Przyszedłech abych oglądał mądrość y głupstwa y szaleństwa y obaczyłem, iż tak dalece mądrość przechodzi głupstwo, iako różna jest światłość od ciemności, y poznałem, iż jednakie jest obu dokończenie. Y rzekłem w sercu swym: Jeśliż iedno będzie y głupiego y moie dokończenie: cóż mi pomoże, żem się więcey o mądrość starał? y rozmawiaiąc z sercem swoim obaczyłem, że y to iest marność. Nie będzie bowiem pamięci tak mądrego iako y głupiego na wieki, a potomne czasy zapomnieniem wszytko zarówno pokryią: umiera uczony, także iako nieuczony. A dla tegoż omierzł mi żywot móy, widząc, że wszytko złe jest pod słońcem, y wszytko iest marność y utrapienie ducha." Daléj znów: „Przetóż iednakie iest dokończenie człowieka y bydląt, y równy stan oboyga: iako umiera człowiek, tak y one umierają: y iednako tchną wszytkie, y niema człowiek nic więcey nad bydlę: wszytko podległo marności. Y wszytko idzie na iedno mieysce. Z ziemie są uczynione, y w ziemię się iednako obracają. Któż wie, ieśli duch synów Adamowych wstępuje wzgórę, a ieśli duch bydlęcy zstępuie na dół?" I wreszcie: „A chwaliłem więcey umarłe, niżli żywe, a miałem za szczęśliwego nad obudwu, który się ieszcze nie narodził, ani wiedział złego, które się dzieie pod słońcem." Czyż można znaléść

pogląd na życie przejęty większém zrozpaczeniem, niż ten, głoszony przez króla Salomona? I u Hioba i u Proroków znajdujemy podobne zapatrywania.

Indusi nauczają, że śmierć jest najlepszym z darów życia, że dopiéro zabicie świadomości samego siebie przywraca życie człowiekowi, oraz że roztopienie osobowości w Nirwanie, téj duszy wszechświata, jest życia zadaniem. Nauka ta chce ból z bytem związany odkupić bólem dobrowolnym.

I śród pogodnego ludu Hellenów oddawna spotykamy liczne zdania, świadczące o nędzy ludzkiego bytu, o tęsknocie za śmiercią i o bezskuteczności wszelakich dążeń. Pięknem jest miejsce u Homera („Iliada", XVII, w. 443—448), kiedy Zeus mówi do koni Achillesa, śmiercią Patrokla zasmuconych:

„Biedne, wy biedne! i czemużem was Pelejowi darował,
Śmiertelnikowi, gdy wy nieśmiertelne i młode wieczyście?
Żebyście teraz niedolę musiały z ludźmi ponosić?
Bo też z tego wszystkiego, co żyje i dyszy na ziemi,
Niemasz nic od człowieka lichszego i żałośniejszego" [1]).

Sokrates rozwodzi się u Platona (*Apologia Socratis)* szczegółowo nad życiem i mówi, że śmierć, choćby nas na zawsze pozbawiała samowiedzy, byłaby i tak wielkiém dobrodziejstwem, ponieważ głęboki sen, marzeń sennych pozbawiony, bardziéj jest pożądany, aniżeli najszczęśliwsze życie. Nie trudno byłoby zebrać z greckich tragików całą wiązankę zdań podobnych. Poprzestajemy na przytoczeniu tu słów chóru z „Edypa w Kolonie" Sofoklesa:

„To najlepszy dla człeka los przecie,
By się wcale nie rodził na świecie;
Albo gdy się raz na świat urodzi,
Niech czemprędzéj, skąd przybył, od-
[chodzi,
Bo zaledwie nastanie wiek młody,
Idą głupich obłąkań przygody;
A któż z biednych pątników na ziemi
Zdoła życie uchować przed niemi?...
To mu nędza doskwiera, to zwady,
To morderstwa, to zawiść mu w ślady;
Aż nareszcie zgrzybiała, płaczliwa,
Znów bezwładna doń starość przybywa,
Bezprzyjazna i pełna boleści:
Która, słowem, wszelakie złe mieści [2]).

Niewątpliwą reminiscencyę tego miejsca znajdujemy w wierszu Leopardiego „Zachód księżyca" (w. 44—60) [3]). Z liryków wymieniamy Theognisa i Posidippa, oraz wiersz uważany za utwór Aesopa („*Die elegischen Dichter der Hellenen*". Frankfurt a. M., 1826); wiele zdań,

---

1) Przekład Stanisława Mleczki.
2) Przekład Kazimierza Kaszewskiego.
3) Przekład Wł. Nawrockiego. „Tyg. Ilustr.", 1898 r., nr. 27.

z których niejedno dałoby się tu zastosować, znajduje się również w „*Stobaei Florilegium*" (wyd. Teubnera, Serm. 120, po zatém w rozdziałach: „O śmierci", „Porównanie życia ze śmiercią" i „Porównanie bogactwa z ubóstwem").

Cóż innego streszcza monolog Hamleta: *to be, or not to be* — jak nie to: Śmierć lepszą jest niż życie; lecz nie wiemy, czy śmierć jest snem pozbawionym sennych marzeń. Jest to jedyny powód, dla którego znosimy naszą niedolę i nie kładziemy samobójstwem kresu naszemu żywotowi.

Pomijając właściwy okres *Weltschmerzu* i u nowszych poetów znajdujemy liczne skargi na nieużyteczność i bezcelowość życia, bunty przeciw Bogu i przeznaczeniu, pragnienie śmierci oraz cały szereg stanów ducha, w których *Weltschmerz* początek bierze, poczynając od łagodnéj melancholi Hölty'ego i Matthissona aż do rozpaczy Werthera, Prometeuszowego opiérania się Bogu i sojuszu z piekłem Fausta. Jest to wszakże olbrzymi krok od przelotnego usposobienia, w którém znajdował się Goethe, a które uległo przejednaniu i ustąpiło miejsca pełnemu harmonii nastrojowi, do trwałego stanu ducha, tworzącego skończoną filozofię rozpaczy, posępne tło dla całego poglądu na życie. Krok ten został dopiéro uczyniony w bieżącém stuleciu. *Weltschmerz* znalazł tak potężny wyraz dopiéro w Leopardim, którego wszystkie poezye i pisma filozoficzne zajmują się tym jednym tematem: nędzy ludzkiego żywota, bezcelowości bytu, tryumfu zła nad dobrem i słodyczy śmierci. Życie człowieka maluje on w tych słowach:

„Staruszek siwy, drżący,
Bosy, w zdartéj odzieży
Z nielitościwym na plecach ciężarem
Przez góry i doliny,
Po ostrych skałach, po piaskach i krza-
[kach,
Po burzy, wichrze, raz palony żarem,
Raz chłodem siny
Pnie się strudzony, bieży,
Po grzęzkich brodzi młakach,
Upada, wstaje i znów śpieszy prędzéj,
Ni raz się nie pokrzepi,
Ni raz nie spocznie;—aż gdy się dobije,
Gdzie ta przemożna męka
Kończyć się zdaje i już piąć się lepiéj,
U nóg mu się odkryje
Przepaść; w nią wpadłszy, zapomina nę-
Taka czeka [dzy.
Marność życie człowieka"[1].

Ludzkością, podług Leopardiego, rządzi ślepy los, złe zwycięża częściéj niż dobre, przyroda jest poddana prawom, których słucha, nie dbając o złą czy dobrą dolę człowieka, który koniecznie, z własnéj swéj natury, musi zostać nieszczęśliwym. Cel istnienia świata pokryty

---

[1]) „Śpiew koczującego po Azyi pasterza" (wyjątki podane są w przekładzie E. Porębowicza).

jest niemożliwą do przeniknięcia tajemnicą, „wszystko dokoła się zmienia, nic na świecie pewnego niema, prócz — cierpienia". Dopóki człowiek nie poznał prawdy téj w młodości, dotychczas, jak powiada Leopardi, idzie jeszcze przez życie z tém złudzeniem przy boku, jest szczęśliwym; po za tém jedynie miłość szczęśliwym go czyni. O niéj to powiada poeta:

„. . . . . Miłości! Pomnę ja czas drogi,
Gdyś mi w serdeczne wstępowała progi.
Był to ów słodki czas, a niepowrotny,
Gdy się młodości otwiéra okrutny
Świat, ale rajskim śmiechem uśmiechniony:
Młodzieńczyk słyszy w sercu żądzy dzwony,
Uczuwa szczęścia dziewicze nadzieje
I opasuje się, jak na turnieje,
Na te żywota zapasy mozolne" [1]).

W innym znów wierszu mówi, zwracając się do miłości:

„Jaką samotną postać
Ma dusza ma od chwili,
Gdyś raz ostatni raczyła w niéj postać!" [2]).

Lecz miłość znika, podobnież jak i młodość, życie zaś wlecze się daléj śród bólu, obrzydzenia, niechęci i nudy, tak, iż po przebudzeniu się ze snów młodości, śmierć jest najlepszą.

Opowiadając życie poety, kładliśmy wielki nacisk na smutne jego szczegóły i zatrzymaliśmy się przy nich dłużéj, może nie zawsze z zadowoleniem czytelnika. Niejednokrotnie uważaliśmy téż za właściwe ustępować głos samemu poecie, dla pokazania, jak koleje tego żywota wpływały na urobienie się jego poglądów. W istocie i poezya i filozofia Leopardiego są nawskroś subiektywne; i w jednéj i w drugiéj jest on lirykiem, znającym wszakże tylko jedną strunę ludzkiego serca — strunę boleści; struna wesela obcą mu była z téj prostéj przyczyny, że całe jego życie było łańcuchem nieznośnych cierpień. Wprawdzie wypiéra się poeta téj podstawy swych poglądów poetyckich i filozoficznych, zaprzeczając w wierszu „Odwołanie" oraz w liście, pisanym do L. Sinnera, jakoby filozofia jego miała grunt subiektywny. W liście tym powiada (*Epistolario*, II, str. 191): „Doszedłem w mych badaniach do rozpacznéj filozofii i nie wahałem się objąć ją całą; z drugiéj strony dowód to tchórzliwości ludzi, którzy potrzebują być przekonani o wartości egzystencyi, że chcą uważać moje filozoficzne opinie za wynik

---

[1]) „Życie samotne" }
[2]) „Myśl dominująca" } wyjątki podane są w przekładzie E. Porębowicza.

osobistych cierpień i upiérają się w przypisywaniu mym stosunkom materyalnym tego, co z rozumu jedynie się wysnuło. Nim umrę, muszę zaprotestować przeciw podobnym odkryciom słabości i pospolitości i prosić moich czytelników, aby szukali fałszu raczéj w mych obserwacyach i dowodzeniach, niż oskarżali moje choroby."

Wszakże wbrew temu protestowi stajemy po stronie tych, którzy są odmiennego zdania. Pomijając to, że Leopardi nie był nieugiętym, chłodnym człowiekiem rozumu, za jakiego, mianowicie w swych pismach filozoficznych się podaje, pomijając to, iż jedynie zawód w gorącém pożądaniu szczęścia, zbudził w jego duszy skargę na losy rządzące światem (porównać to co mówi o religii w młodzieńczéj pracy swéj: „*Sopra gli errori popolari degli antichi*" — z późniejszemi jego zapatrywaniami), pomijając wreszcie wyraźne zapewnienia Ranieri'ego, że stale, a nawet w ostatnim roku przed śmiercią, w rozmowach zdradzał wątpliwość, co do słuszności swych zapatrywań oraz roztrząsał pytanie, jak duchy, podobne Newtonowi i Baconowi, mogły, przy naukowéj swéj wielkości posiadać tak naiwnie wierzący umysł; pomijając wszystko to, nie wahamy się twierdzić, że wszystkie wogóle poglądy metafizyczne mają w umysłach swych wyznawców podkład subiektywny, na którego powstanie składają się: stan systemu nerwowego, warunki cielesne, koleje losu oraz doświadczenie. Pomiędzy obiektywną a subiektywną prawdą wielka zachodzi różnica i gdy w świecie materyalnym istnieją powszechnie przyjęte, przez nikogo nie kwestyonowane pewniki, metafizyka jest miejscem harców najsprzeczniejszych zasad i twierdzeń, tak, że z powodu szczupłego zakresu władzy pojmowania u człowieka, wszelkie twierdzenia metafizyczne, mogą, podług naszego zdania, ubiegać się tylko o prawdę subiektywną. Widzimy więc, w rozmaitych okresach rozwoju ludzkości, przewagę to jednego, to znowu drugiego kierunku, ulegającą wpływowi wypadków historycznych, oraz stanom ducha ludzkiego, naprzemiany to w niepokoju i naprężeniu wyczekującego, to znowu przygnębionego i przejętego boleścią; naturalnie, że przewaga ta przejawia się w sposób najżywszy u duchów niepospolitych.

Nie jest to zapewne dziełem przypadku, że w naszém stuleciu, w okresie restauracyi, znajdujemy podobny nastrój i filozofię u Byrona, Platena, Lenaua, Heinego, Leopardiego, Puszkina, Mickiewicza i w. in., w muzyce zaś pokrewny kierunek u Beethovena i Schumanna; mniéj dziwném wyda nam się to, kiedy wspomnimy, że koleje życia wszystkich tych przedstawicieli *Weltschmerzu*, mają wiele stron podobnych, o ile zachodzą w nich pewne, wspólne okoliczności, przedewszystkiém więc cierpienia cielesne lub téż opaczne wychowywanie (Leopardi, By-

ron, Lenau, Heine), daléj pobyt na obczyźnie, wdali od miejsca rodzinnego i od swoich, ten brak ojczyzny, uniemożliwiający im założenie własnego ogniska domowego i własnéj rodziny, wreszcie brak styczności ze społeczeństwem, państwem oraz służbą, pełnioną w bezpośrednim interesie ludzkości. Wszyscy oni musieli nosić w sobie uczucie odosobnienia i wobec porządku rzeczy panującego na tym świecie, mogli zająć jedynie bezwzględne, idealne, niepraktyczne, zmuszające do zaciekania się w badaniach stanowisko. Cóż nadto prostszego, że świat ten, na którym dla nich miejsca nie było, uważali za godzien pogardy i własny swój ból podnosili na wyżyny powszechnego *Weltschmerzu* (*dolore universale*); przypomina to słowa Fausta: „*der Menschheit ganzer Jammer fasst mich an!*"

Za dalekoby nas to zaprowadziło, gdybyśmy chcieli tu mówić o zupełném pokrewieństwie nastroju w dziełach wymienionych poetów, o przeważnie lirycznym ich kierunku, o ich braku uzdolnienia w epicznym i dramatycznym zakresie, o wybieraniu jednych i tych samych tematów („Faust", „Don Juan", „Ahasver") i o wielu innych, odnoszących się tu szczegółach. Nie możemy wszakże przy téj sposobności przemilczéć o Arthurze Schopenhauerze [1]), którego pojawienie się jest najlepszém potwierdzeniem tego, że w jednym i tym samym czasie, przy podobnych sobie okolicznościach, powstają jedne i te same poglądy filozoficzne. I Schopenhauer nie czuł się dobrze na tym świecie, mieszkał przez dłuższy czas na obczyźnie, z matką i siostrą był w niezupełnie harmonijnych stosunkach; pragnienie otrzymania katedry uniwersyteckiéj zawiodło go, nie stworzył własnéj rodziny, a przez czas trzydziestoletniego samotnego życia we Frankfurcie nad Menem, zasłużył sobie tylko na miano „mędrca-mizantropa." Jest on filozofem *Weltschmerzu*. Że Leopardi go nie znał, a nawet nie słyszał jego nazwiska—nie ulega to żadnéj wątpliwości; Schopenhauer—przeciwnie, gruntownie przestudyował pisma Leopardiego zwłaszcza w „Paralipomena" i „Parerga" znajdujemy miejsca, które są niezaprzeczoną parafrazą z Leopardiego (np. t. I, str. 386. T. II, str. 248 i nast.). Wszakże już w pierwszych pismach Schopenhauera (Świat, jako wola i jako wyobrażenie. I wyd. z 1869 r., nasze cytaty podajemy podług wyd. III. Lipsk 1859), występują jego zapatrywania w całéj swéj bezwzględności, w czasach, gdy z poezyi Leopardiego znane były tylko obie Canzony do Włoch i do Dantego; dowodziło to, że zgodność ich poglądów sięgała głębiéj.

---

[1]) Porównaj: *Schopenhauer e Leopardi. De Sanctis. Saggi critici.* Napoli. 1866.

Oto jak przedstawia się w prozie filozofia Schopenhauera [1]): „Wszelkie zadowolenie, czyli jak powszechnie nazywają, szczęście, jest właściwie i istotnie zawsze tylko negatywném, nigdy zaś pozytywném. Uszczęśliwienie nie jest pierwiastkiem, nie przychodzi samo z siebie, lecz zawsze musi być zadowoleniem pożądania—pożądanie bowiem t. j. brak jest warunkiem poprzedzającym każdą rozkosz. Z zadowoleniem wszakże ustaje pożądanie, a tém samém i rozkosz. Zadowolenie więc, czyli uszczęśliwienie, nie może być niczém więcéj, jak zwolnieniem od cierpienia, od potrzeby: do tego bowiem zakresu, należy nietylko każde rzeczywiste, jawne cierpienie, lecz i każde pożądanie, którego natręctwo spokój nam mąci, a nawet i zabijająca nas nuda, która nam byt ciężarem czyni. [2]) Teoretycznie przyjąć można trzy ostateczności ludzkiego bytu i uważać je za pierwiastki rzeczywistego życia ludzkiego. Popierwsze, potężne chcenie, wielkie namiętności (*Radscha Guna* Indusów). Występuje ono w wielkich charakterach historycznych; bywa przedmiotem eposów i dramatów: może się wszakże przejawiać i w mniejszych sferach, bowiem wielkość przedmiotu mierzy się tu wysokością naprężenia woli, nie zaś zewnętrznemi stosunkami. Powtóre, czyste poznawanie, pojmowanie wyobrażeń, warunkowane wyzwoleniem poznania z zależności od woli: życie geniusza (*Satwa Guna)*; potrzecie, najwyższy zanik woli i wraz z nią związanego poznawania, próżne pożądanie, nuda, dławiąca życie (*Tama Guna*). Żywot jednostki, daleki od trwania przy jednéj z tych ostateczności, rzadko z niemi w styczność wchodzi, i składa się po największéj części ze stałego i chwiejnego przybliżania się do téj lub owéj strony, mizernego pożądania drobiazgów; ciągle powracając, w ten sposób uchodzi przed nudą. Trudno rzeczywiście uwierzyć, jak upływa życie największéj części ludzi, gdy się na nie z zewnątrz patrzy, nic nie mówiące i pozbawione znaczenia, a duszne i nieprzytomne, kiedy się w jego wnętrze zaziera. Jest to słabe pragnienie i męka, ospałe zataczanie się przez cztery pory życia aż do śmierci, w asystencyi szeregu trywialnych myśli. Ludzie ci, są podobni do mechanizmów zegarowych, które bywają nakręcane i chodzą nie wiedząc czemu—i za każdym razem, gdy człowiek zostaje poczętym lub urodzonym, zégar ludzkiego życia zostaje na nowo nakręcony, dla powtórzenia sztuczki, odegranéj już niezliczoną ilość razy, nuta po nucie, i takt po takcie, z nieznacznemi zmianami. Każdy osobnik, każde oblicze ludzkie, każdy bieg ludzkiego żywota—jest tylko jednym więcéj krótkim snem nieskończonego ducha natury, wytrwałéj

---

[1]) Schopenhauer, t. I, str. 376 i nast.

[2]) Porównaj: Leopardi „*Dialogo di T. Tasso e del suo genio familiare.*

żądzy życia, jest tylko jednym więcéj przelotnym tworem, który on igrając zaznacza na nieskończonéj karcie — w przestrzeni i czasie i trwać mu każe krótką chwilkę, będącą mgnieniem oka wobec tego czasu — a potém gasi, dla zrobienia miejsca innemu. Lecz jakkolwiek bądź wielkie i małe utrapienia przepełniają życie każdego człowieka, utrzymując je w ciągłym ruchu i niepokoju, nie są one wszakże w stanie osłonić niedostatek żywota, aż do wypełnienia ducha, zająć pustkę i jałowość bytu, lub też wykluczyć nudę, która zawsze jest gotowa, wypełniać każdą chwilę, wolną od troski. Z tego powodu duch człowieczy, nie mający jeszcze dość trosk, kłopotów i zatrudnień, które nań rzeczywisty świat nakłada, tworzy sobie w postaci tysiąca rozmaitych zabobonów, świat urojony, którym następnie w rozmaity sposób się zaprząta, traci nań czas i siły, i to w chwilach, kiedy świat rzeczywisty życzy mu spokoju, do przyjęcia którego człowiek ów nie jest wtedy bynajmniéj zdolny. Demonów, bogów i świętych tworzy sobie człowiek podług swego własnego wyobrażenia i musi ich nieustannie obdarzać ofiarami. modlitwami, ozdabianiem świątyń, ślubami, pielgrzymkami, padaniem na klęczki, ubiéraniem obrazów i t. d. Obcowanie z nimi zapełnia połowę życia, utrzymuje ciągle nadzieję, i jest dzięki urokowi złudzeń, daleko więcéj zajmujące, niż stosunek ze światem rzeczywistym. Jest ono wyrazem, oraz symptomatem dwojakich potrzeb człowieka, pomocy i oparcia się, oraz zajęcia się i rozrywki i t. d."

„I *a posteriori*,—mówi daléj Schopenhauer, da się udowodnić to twierdzenie, że życie ludzkie nie zdolne do rzeczywistego szczęścia, jest raczéj w rozmaitych postaciach pojawiającém się cierpieniem, wogóle stanem niedoli. Każdy, co się ocknie z pierwszych snów młodości, co ma na względzie swe własne, oraz cudze doświadczenie, co się rozejrzy w życiu, w dziejach przeszłości i teraźniejszości, wreszcie w dziełach wielkich poetów — jeżeli jaki nie dający się wykorzenić przesąd nie spaczy władzy jego sądzenia—dojdzie do przekonania, że ten świat jest krainą przypadku i błędu, które w rzeczach wielkich i drobiazgowych niemiłosiernie w nim się panoszą, obok których wszakże jeszcze głupota i złość biczem wywijają: dochodzi do tego, że wszystko co jest lepsze z wysiłkiem przeciska się przez życie, że szlachetność i mądrość rzadko się tylko pojawiają, znajdując posłuch i pole dla działania—za to właściwe rządy sprawiają z małemi przerwami: absurd i przewrotność w krainie myśli, płaskość i niesmak w krainie sztuki, zła wola i zdrada w krainie czynu; przeciwnie zaś doskonałość wszelkiego rodzaju zawsze stanowi tylko wyjątek, jeden z miliona, to też kiedy się wypowié w jakiem trwalszém dziele, to ono, jeżeli oprze się złości współczesnych, stoi w odosobnieniu i jest traktowane, jak kamień

meteoryczny, który się pojawił ze sfery innego porządku rzeczy, niż ten, co dotychczas rządził na ziemi. Co się zaś tyczy życia jednostki, to każde dzieje życia są dziejami cierpienia. Gdyby każdemu pokazać straszliwe bóle i męki, dla których otworem stoi jego życie — dreszcz by go przejął; gdyby zaś prowadzić najbardziéj zacietrzewionego optymistę przez szpitale, lazarety, kliniki chirurgiczne, przez więzienia, katownie i rynki niewolników, przez pola bitew i miejsca tracenia, późniéj zaś otworzyć przed jego oczyma wszystkie mroczne legowiska nędzy, kryjące się przed wzrokiem chłodnéj ciekawości, w końcu zaś kazać mu zajrzéć do głodowéj wieży Ugolina—i on by się wreszcie przekonał, jakiego rodzaju jest ten *meilleur des mondes possibles* (Leibnitz). Zresztą, zkądże Dante wziął materyał do swego piekła, jak nie z tego naszego rzeczywistego świata? i t. d."

Kończy zaś: „Zresztą nie mogę się tu powstrzymać od wypowiedzenia, że optymizm, — jeżeli nie jest bezmyślném bredzeniem tych, pod których gładkiém czołem kryją się tylko wyrazy—wydaje mi się nietylko niedorzecznością, lecz prawdziwie niecnym rodzajem myślenia, jako gorzkie urąganie niewypowiedzianym cierpieniom ludzkości [1]). Sąd natury o stworzonych przez nią istotach brzmi krótko: „*Alles was entsteht, Ist werth, dass es zu Grunde geht. Drum besser wär's, dass nichts entstünde.*" Byron to samo wypowiada w czterowierszu:

Zlicz pasmo wszystkich szczęsnych dni
Od troski wolnych godzin nić—
I wiedz, czémkolwiek byłbyś był,
Jest coś lepszego: przestać być.

Leopardi mówi: „Nigdy nie oglądać światła, byłoby, sądzę najlepszém"—w inném zaś miejscu:

. . . . . „Ukochana bogom
Ludzkości, szczęsnaś, jeśli ci pomogą
Odetchnąć chwilkę w bólu,
A ubłogosławiona,
Kiedy uciszysz się, śmiercią zdławiona."
(Przekład E. Porębowicza).

Temat ten niejednokrotnie powtarza się u Leopardiego; Schopenhauer powiada o poecie: „Nikt nie traktował tak gruntownie i wyczerpująco tego przedmiotu, jak w naszych czasach Leopardi. Jest on nim cały wypełniony i przejęty: wszędzie szyderstwo i nędza tego bytu jest jego tematem, na każdéj karcie dzieł swoich mówi o tém, wszakże w takiéj rozmaitości form i zwrotów, z takiém bogactwem obrazów, że nigdy nie sprawia przykrości, przeciwnie raczéj, zajmuje i pobudza. [2]) Jeżeli Leopardi i Byron są przedstawicielami patetycznego *Weltschmerzu*, to

---

[1]) „*Die Welt als Wille und Vorstellung.*" T. II. § 46 str. 654; *Parerga und Paralipomena*, t. I. str. 386 podają tylko dalsze z tego wywody.

[2]) T. II. Str. 673.

Lenau wyobraża *Weltschmerz* panteistyczny. Niejednokrotnie zestawiany z Leopardim, pod tym właśnie względem różni się od niego. Lenau szuka pociechy w przyrodzie, przedstawiając ją jako uczestniczkę i powierniczkę jego cierpień, uduchawiając ją własną swą istotą— i rzuca się do jéj serca, szukając zrozumienia tych bólów, Leopardi zaś uważa naturę za wrogą, co najmniéj za obojętną istotę, która wyższych praw słucha, nie troszcząc się ni o nasze uciechy, ni téż o smutki. To zapatrywanie przejawia się często w jego poezyach, najwyraźniéj wszakże wypowiada on je w „Rozmowie Natury z Islandczykiem." Islandczyk, uchodząc przed cierpieniami, zgotowanemi mu przez ludzi i naturę, przewędrował świat cały i doszedł do środka Afryki, pod równik, do okolicy kędy jeszcze noga ludzka nie postała. Tu widzi skałę, będącą właściwie — co dostrzega po zbliżeniu się — olbrzymich rozmiarów kobiétą, siedzącą na ziemi w postawie wzniesionéj, opartéj plecami i ramieniem o skałę; nie jest ona udaną, lecz żywą, twarzy napół pięknéj, na pół strasznéj, czarnych oczu i włosów. Czegoś podobnego doznał Vasco de Gama na skałach Przylądka Dobréj Nadziei, gdy mu się one po raz pierwszy ukazały—(patrz Luzyady pieśń I). Islandczyk z przerażeniem od kobiéty dowiaduje się, że sama jest tą naturą, przed którą on uchodzi. ponieważ we wszystkich częściach świata doznawał od niéj prześladowań. Wypowiedziawszy jéj wszystkie żale, na nią przez ludzi zanoszone, usłyszał od niéj w odpowiedzi: „Wyobrażasz ty sobie może, że świat został dla was stworzony? Wiedz, że w pracach, postanowieniach i czynnościach moich, wyjąwszy drobną liczbę, zawsze miałam na celu co innego, niż szczęśliwość lub nieszczęśliwość ludzką. Jeżeli was w jakim bądź względzie obrażam i jakimbądź sposobem wam szkodzę, nie wiem o tém, chyba rzadko; tak samo, jeżeli was bawię lub wam dobrze czynię, nie wiem o tém; ani gdy stworzyłam lub zdziałałam to i owo, nie miałam na celu zysków waszych lub igraszki. I ostatecznie, gdyby mi wypadło zniszczyć cały wasz rodzaj, nie zauważyłabym tego." Islandczyk zrozumiéć tego nie może i sądzi, iż byłoby to tak samo, gdyby go kto zaprosił do siebie i potém, zamiast go przyjąć gościnnie, krzywdził. Natura mu na to odpowiada: „Nie zdajesz się uważać, że życie wszechświata, jest nieustannym obiegiem tworzenia i niszczenia, związanych z sobą w ten sposób, że jedno służy ustawicznie na korzyść drugiemu, a równocześnie na zachowanie świata, który, gdyby jedno lub drugie przestało działać choć na chwilę, natychmiast popadłby w rozstrój. Wyszłoby przeto na jego szkodę, gdyby w nim było coś, wolnego od cierpienia." Na to rzecze Islandczyk: „Słyszę, jak w podobny sposób rozprawiają wszyscy filozofowie. Że jednak to, co ulega zniszczeniu cierpi, i to co niszczy również przez to nie czu-

je się szczęśliwém, a niebawem także zniszczoném zostanie, powiedz mi więc, czego żaden filozof powiedziéć mi nie umié: komu sprawia upodobanie albo pożytek ten w najwyższym stopniu nędzny żywot wszystkiego, co może być tylko utrzymany z krzywdą i śmiercią wszystkich rzeczy, które się nań składają?" Daléj autor od siebie głos zabiéra: Islandczyk nie miał czasu wysłuchać odpowiedzi; wieść niesie, że nadeszły dwa lwy, tak wydelikatnione i wycieńczone czczością, że miały zeledwo siłę zjeść owego Islandczyka—co też uczyniły; posiliły się nieco i na ten dzień utrzymały się przy życiu. Inni przeczą temu, opowiadając, że gwałtowny huragan, podniósłszy się w chwili, gdy Islandczyk mówił, powalił go na ziemię i zbudował nad nim przepyszny grobowiec z piasku, pod którym zasuszony wybornie i zamieniony w piękną mumię, znaleziony został późniéj przez pewnych podróżnych i umieszczony w muzeum nie wiem którego z miast Europy."

Przykry rozdźwięk kończy ową rozmowę. Lenau pojmuje naturę inaczéj; na każdéj stronie jego dzieł znajdujemy na to dowody. Że wymienimy tu, choćby prześliczny wiersz „Alpy".

W ostatniéj fazie swéj *Weltschmerz*, który ironicznie sam się niweczy, okazuje się pod egidą Heinego. Podobnież jak Platen, Immermay, i Schlegel, wstąpił Heine w szranki poezyi pod wezwaniem romantyki, przejmując się do głębi nutą ludowych pieśni ze zbioru „*Des Knaben Wunderhorn* i tworząc pod ich wpływem najpiękniejsze perły liryki, które mu nieśmiertelność zapewniły. Potém w skandaliczny sposób zerwał z romantyką i jéj przedstawicielami. Przejąwszy się wpływem Byrona, dźwignął sobie jako ołtarz *Weltschmerz*, ubiérając go po swojemu w szyderstwo i swawolę.

Tak więc *Weltschmerz* sam siebie zniweczył. Wszakże w owym czasie wystąpił już inny, do rzeczywistego świata i jego potrzeb zwrócony kierunek, który śmiało spojrzał w oblicze narodowego, wolnościowego i społecznego rozwoju ludzkości i otrząsnął z siebie zwątpienie i niemoc *Weltschmerzu*. Droga do wyzdrowienia była przez cały ten czas ta sama, przez którą wielkie duchy w osamotnieniu w poprzednich kroczyły stuleciach. I teraz ona jedynie skuteczną się okazała. Kiedy Salomon mówi: „Ale serce moje weseliło się ze wszystkiéy pracy moiéy." A toć był dział moy ze wszystkiéy pracy moiéy," kiedy Goethe na zapytanie Epimetheusza: „Ileż jest więc twojego?" każe Prometeuszowi odpowiedziéć: „Koło, które działalność moja wypełnia—ni mniéj, ni więcéj"—kiedy Faust w końcu życia oddaje się pracy praktycznéj i umierając mówi:

Das ist der Weisheit letzter Schluss:
Nur der verdient sich Freiheit wie das Leben,
Der täglich sie erobern muss;

—nie jest to nic innego, jak z jednéj strony myśl o szczupłéj, nie dającéj się przekroczyć granicy ludzkiego poznania, z drugiéj zaś o niezbędności wypełnienia poważną pracą raz zakreślonego koła. Jeżeli *Weltschmerz* rzuca się jak lew pojmany na żelazne kraty własnéj klatki, jeżeli zwątpiwszy o znalezieniu szczęścia na ziemi, dni swe niespokojnie w ponuréj senności pędzi, dochodząc wreszcie do konkluzyi: „Nigdy nie oglądać świata byłoby, sądzę najlepszém"—to nowy kierunek nie rozwiązuje wprawdzie tysiąca nierozwiązalnych kwestyi metafizycznych, lecz wyczerpany bezpożytecznem dociekaniem i systematycznem wątpieniem, zrywa z pessymizmem, zwraca się znowu do idei nieskończonego doskonalenia się, starając się usilnie przyśpieszyć urzeczywistnienie najszczytniejszych ideałów ludzkości. W początku bieżącego stulecia, przemiana ta odbywała się w niejednym potężnym duchu: Platen, który rozpoczął jako romantyk, a któremu *Weltschmerz* hamował i ograniczał życie oraz polot genialnego ducha, otrząsnął się wreszcie z niego i dał klasyczny wyraz dążenia ducha narodowego i wolnościowego w swych politycznych odach i w niezrównanych, nam poświęconych pieśniach. Nikt wszakże nie przetrwał piękniéj téj walki i nie uczynił świetniejszego zwrotu od bezowocnych przeczeń i zwątpień do czynnego wmieszania się w losy narodów, jak Byron, ojciec tego kierunku—na polach Hellady za sprawą wolności młode poświęcając życie. „Wraz z jego zgonem—mówi Gervinus[1]) duch jego począł krążyć w młodem piśmiennictwie europejskiém, nastąpiło zupełne zerwanie z romantyką (i, dodajemy od siebie, z *Weltschmerzem*)—zaświtała nowa era, kiedy poezya wystawiając na sztych surowe prawidła sztuki, poczęła sławę swą zasadzać na bezpośredniem reformatorskiém wtargnięciu w szranki teraźniejszości."

*
* *

Leopardi, na zajmowaném przez siebie stanowisku, utrzymał się do śmierci. Jakże mógł wyrzec się wszystkich swych zapatrywań nieszczęśliwy poeta, który doszedł do ostatecznego okresu fizycznych i duchowych bólów. Lecz ni spółcześni, ni tém więcéj potomni nie oddali mu należytéj sprawiedliwości. Zapoznawszy się powyżéj z dwoma starszymi kierunkami, reprezentowanymi przez dwu przyjaciół Leopardi'ego — Giordaniego i Colletę, następnie zaś ze szkołą romantyczną, musimy pod koniec rzucić przelotne spojrzenie, na wyrosłe w obliczu poety młode pokolenie, które, przeżywszy go, nie tylko dążyło do innych, realnych celów, lecz i osiągnęło je w znacznéj części. Wprawdzie znalazł Leopardi kilku naśladowców, jak: Giovanni Marchetti, Mamiani della Rovere, Alessandro Poerio, Fabio Nannarelli i w. in., lecz własnéj szkoły nie stworzył i stworzyć nie mógł.

[1]) Historya XIX wieku. T. VIII, str. 173.

Weltschmerz został pokonany; nasze czasy są odeń wolne i same Włochy zrodziły mężów, których słowa i czyny stwierdziły, że duch narodu, bez względu na wszystkiemu przeczący *Weltschmerz*, nie przestał dążyć do najwyższych ideałów ludzkości. Wytworzył się prąd, z jednéj strony wrogi usiłowaniom romantyki, z drugiéj zaś—zupełnie wolny od przystępów bezpłodnego zwątpienia o teraźniejszości; prąd ten zajął się zadaniami nowych czasów, dążąc przedewszystkiém do rozwiązania ich w zakresie społecznym oraz politycznym. Do mężów, walczących pod jego sztandarem należą: G. B. Niccolini, Giusti, Guerazzi i Antonio Ranieri, o którym wspominaliśmy już powyżéj, jako o przyjacielu i dobroczyńcy Leopardi'ego. Z jednéj strony jest to obowiązek wdzięczności, zająć się tym szlachetnym człowiekiem, co w skreślonéj przez siebie biografii Leopardiego[1]), umiał z przesadną skromnością osobę swą w cieniu utrzymać i skryć wielkoduszne dobrodziejstwa świadczone poecie, które mu, pozbawionemu domowego ogniska, pogrążonemu w nieszczęściu, nędzy i chorobie, osładzały życie—z drugiéj zaś strony uważam za właściwe scharakteryzowanie przyjaciół Leopardiego, co już powyżéj z Giordanim i z Colletą uczyniłem; ta wreszcie droga umożliwi mi wykazanie właśnie na Ranierim dalszego rozwoju piśmiennictwa włoskiego, po śmierci Leopardiego, oraz zamknięcie harmonijnym akordem gorzkiego dyssonansu jego poezyi.

Antonio Ranieri urodził się w d. 8 Września 1809 r., jako syn zamożnych rodziców w Neapolu i na tamtejszym uniwersytecie studya rozpoczął. Ponieważ jednak już, jako student, zajmował się potajemném drukowaniem pism liberalnych, rząd Ferdynanda I-go poradził mu poufnie kraj opuścić, co wówczas było rodzajem łagodnego wygnania. Ojciec posłał syna naprzód do Rzymu, potém zaś do Bolonii, dla prowadzenia dalszych studyów — a składały się na nie: historya, prawo oraz językoznawstwo. Były to czasy pomiędzy 1820 i 1830 r., kiedy w Neapolu po fatalnym wyniku rewolucyi 1820 i 1821 r. panowała najstraszniejsza reakcya, kiedy w Rzymie przemocą poznoszono wszystkie, nawet najlepsze z napoleońskich czasów, urządzenia—kiedy w Modenie Franciszek IV przy pomocy jezuitów i dragonów lud w karbach utrzymywał, sam zaś ciągnął korzyści z lichwiarskich spekulacyi zbożowych, z monopolów, a jeśli się zdarzyło to i z kontrabandy. Ten sam Franciszek IV, który, jako członek tajnych stowarzyszeń, z początku konsystoryałów oraz sanfedystów, następnie zaś karbonarów, spiskował dla własnego dobra przeciw następstwu tronu w Sardynii — kiedy w Lombardyi Austrya odpowiadała na dążenia narodowe kazamatami Spielbergu

[1]) Niezależnie od téj biografii Ranieri napisał dzieło, w którem opowiada o osobistym swym stosunku z poetą („*Sette anni di sodalizio con Leopardi*, Napoli 1880).

(S. Pellico) i kiedy w Piemoncie Karol Felix po nieudaném powstaniu z 1821 r., przywrócił z pomocą Austryaków rząd absolutny. Dążeniem polityki Metternicha było utrzymanie ludów i książąt nieszczęśliwego kraju w jednakiéj zależności i uległości (Lublana, Werona). Jedynie w Toskanii panowała łagodniéjsza atmosfera: ministrowie Fossombroni i Neri-Corsini starali się rządzić krajem podług zasad wyrozumiałego absolutyzmu, chcąc dowieść obcym mocarstwom niezależności samodzielnego, najlepszego z rządów, jakie naówczas panowały na półwyspie. Pewna religijna i polityczna tolerancya dawała zbiegom schronienie we Florencyi, gdzie też i zgromadzili się wszyscy ci, którzy uszli z więzień i rusztowań pozostałych krajów i kraików włoskich. Tacy mężowie jak Colletta, Gabriele Pepe, Giusepe, Poerio, N. Tommaseo, Montani, P. Giordani, Borelli, Troja, oddawali się tu spokojnie studyom swoim i planom. Zatrzymał się tu dla studyowania języka ojczystego i Antonio Ranieri, prawie jeszcze dziecko z wieku i doświadczenia, wobec tych wypróbowanych męczenników idei i apostołów lepszych czasów—i zatrzymawszy się, obcował z całém tém kołem. Ztąd udał się do Francyi, dla studyowania w Paryżu historyi i filozofii; naród walczący o swe prawa zwracał tam naówczas oczy z nadzieją na Guizot'a, Cousin'a, Constanta, Villemaina i Thiersa. Mężowie ci, a także De Tracy, Lamennais i Lafayette, stanowili koło, w którém obracał się młody, chciwy wiedzy, cudzoziemiec. Doczekał się on w Paryżu rewolucyi lipcowéj i tam został w walce ulicznéj raniony. Z Paryża udał się Ranieri do Anglii i Niemiec, zatrzymując się w Getyndze, zwłaszcza zaś w Berlinie dla studyów nad filozofią i historyą. Powrócił wreszcie do Włoch; że zaś ciążył nad jego głową, wyrzeczony przez rząd neapolitański, formalny już wyrok wygnania; osiadł więc znowu we Florencyi. Jeszcze przed podróżą do Paryża, zdaje się, że w r. 1828, Ranieri wyszukał w Pizie Leopardiego, i pozostawał z nim w listownych stosunkach przez cały czas swéj nieobecności we Włoszech; po powrocie mieszkał we Florencyi z nim razem i poświęcał mu się z przyjaźnią, czyniącą wrażenie abnegacyt całego pozostałego świata, z przyjaźnią, do któréj tylko młodość jest zdolna. Leopardi ostatnie swe środki, a mianowicie honoraryum za wydanie poezyi z 1831 r., naówczas już wyczerpał, Colleta począł chłodnąć względem niego, poeta niezłomnie postanowił do Recanati żywym nie wracać, a stan jego był tego rodzaju, że wymagał przedewszystkiém troskliwego opiekuna. Ranieri z prawdziwem poświęceniem przyjął na siebie ten obowiązek i, otrzymawszy pozwolenie na powrót do Neapolu, przewiózł tam chorego przyjaciela. W rodzinném mieście Ranieri nie zastał już przy życiu gorąco ukochanéj matki, zmarłéj podczas jego wygnania; ojciec zaś, który ze względu

na polityczne i religijne przekonania syna, uważał go za zmarnowanego, nie zupełnie przychylnie przyjął szlachetny jego zamiar otoczenia opieką nieszczęśliwego poety. Pozwolił wszakże, by siostra Antonia, Paolina, naówczas dziewczę czternastoletnie, była w tém bratu pomocną. Oboje więc, związani szlachetną miłością, nie szczędzili czasu sił i pieniędzy, całego skarbu myśli swych i uczuć, przeczuwanych dni i niespanych nocy dla biednego chorego, co, kapryśny i rozdrażniony, konał przez długie lata—aż do jego śmierci, która go im z ramion wydarła. Jest to tak wzniosłe, że w żaden wyraz pochwały ująć się nie da i służy nam zarazem za dowód, że i Leopardi nie posiadał téj zimnéj, obojętnéj natury—co zdaje się niejednokrotnie przeglądać z pism jego filozoficznych—lecz łagodną, wrzącą głębokim uczuciem duszę, która do nas przemawia z jego poezyi. Czyż byłby bowiem inaczéj znalazł serca tak bezgranicznie mu oddane! Przez całe życie swe tęsknił za miłością, lecz i miłość jeszcze jest egoistyczną; tak zaś, u kresu dni swoich, znalazł poeta tą miłość bez egoizmu, przyjaźń prawdziwą.

W dwa lata po śmierci Leopardiego wystąpił Ranieri z dziełem: „*Ginerra ol'orfana della Nunziata, Capolago 1839*, poświęconém pamięci „swego nieśmiertelnego mistrza". Jest to powieść społeczna, opowiadająca dzieje życia podrzuconego dziewczęcia, które pierwsze lata spędza w neapolitańskim domu podrzutków, *Ospizio della Nunziata*, potem szuka chleba wśród ludzi, potem zrządzeniem okoliczności, dostaje się po raz wtóry do przytułku, w którym, dzięki niecnemu, haniebnemu zarządowi, niegodziwéj gospodarce, oraz systemowi wyzysku, praktykowanemu przez przełożonych, na fizyczne i moralne męki skazana, znajduje opiekunkę w osobie francuzkiéj zakonnicy, siostry Gertrudy i niebawem przez śmierć ją traci, poczem, wyrosła już przez ten czas, dostaje się niezasłużenie do domu poprawy w *Albergo de' Poveri*, nazywanego przez lud *Seraglio*, wielkiego, lecz podobnież haniebnie zarządzanego domu przytułku, zkąd pod fałszywym pozorem zostaje przez księdza Don Serafino uprowadzona i zgwałcona. Uniewinnionemu winowajcy włos z głowy nie spada, a nieszczęśliwą jego ofiarę wtrącają do oddziału dla dziewcząt upadłych w *Ospizio della Nunziata*, zkąd udaje się jéj uciec, przy pomocy młodego malarza, który w zakładzie obraz kopiował. Przybywają razem do Rzymu—lecz tam malarz nietylko, że nie zaślubia, wbrew danéj obietnicy, biednego dziewczęcia, lecz znudziwszy się niém, nawet je usiłuje w Tybrze utopić. Zbrodniarz uchodzi, tonąca ratuje się szczęśliwie, znajduje przytułek u dawnéj swéj służącéj, a późniéj w leśnéj jaskini, położonéj w odludnéj okolicy rzymskiéj Kampanii, u pustelnicy, która, niemniéj od niéj nieszczęśliwa, tam przed ludźmi szuka schronienia. W jaskini téj przepędza trzy lata,

poczém, pochwycona przez żandarmów, zostaje, jako włóczęga nie mająca dachu nad głową, odesłaną do Neapolu, gdzie nieopodal od katakumb w Convento San Gennaro dei Poveri przedwczesny zgon znajduje.

Książka z wielkiém ciepłem napisana, daje obraz stosunków panujących w wymienionych zakładach, pozwala zapuścić przenikliwy wzrok w życie niższych warstw społecznych, przedewszystkiém zaś, piętnuje tolerujący jawne zło, rząd burboński, który strwonił olbrzymie sumy, na wspomożenie ubogich przeznaczone, i gubił moralnie oraz fizycznie nieszczęśliwe dzieci, wzrastające pod rzekomą tych zakładów opieką, wychowując pokolenie, będące dotychczas jeszcze przekleństwem i plagą owego, może najpiękniejszego z pośród miast włoskich. Autor napisał książkę swą nie z nienawiści, lecz, jak sam w przedmowie powiada, z miłości dla ziomków swych; studya przedsiębrane przezeń w Anglii, w zakresie opieki nad ubogimi, a prowadzone daléj na miejscu, po powrocie do Neapolu, pozwoliły mu w zakładach téj opiece poświęconych, rozpoznać zgniliznę i wyposażyć zdjętą z niéj kopię w tak lokalne barwy, że dzieło sprawia wrażenie sportretowanéj prawdy. Że nie chybiło ono zamierzonego celu, dowodzi najlepiéj fakt aresztowania autora wślad po ukazaniu się książki, oraz zajadłość, z jaką kler względem niego wystąpił. Minister policyi Delcarretto oraz minister spraw wewnętrznych Santangelo, każdy z osobna, rościli pretensyę do uwięzionego; ostatni z nich chciał pomścić brata, stojącego na czele zarządu domu podrzutków i żądał ukarania autora conajmniéj wygnaniem, pierwszy zaś pragnął zamknąć Ranieri'ego w domu obłąkanych. Ferdynand II, który miał powody do obawiania się nowych odkryć na tém polu, po czterdziestopięciodniowém zamknięciu, przywrócił uwięzionemu wolność. Duchowieństwo napomykało coś o stosie, nie mogąc wszakże bezpośrednio dopiąć niczego, poleciło przynajmniéj wykupić z księgarni cały nakład powieści, dla zniszczenia go, tak, że pierwsze jéj wydanie stało się niezmierną rzadkością bibliograficzną. Przedruki następowały masami, książka była pochłaniana i—co autora najbardziéj ucieszyć musiało—odbiła się korzystnie na zarządzie wymienionego zakładu. W przedmowie poprzedzającéj wydanie jego dzieł zbiorowych (Turyn i Medyolan 1862)—opowiada Ranieri: „Kiedy pewnego dnia (zdaje się, że było to w 1858 r.) przechodziłem przez Via della Nunziata, pogrążony w myślach o czémś zupełnie innem, niż drogie cienie méj młodości, pomiędzy którymi do najdroższych *Ginevra* należy, zwrócił się do mnie znakomity budowniczy Fazzini, stojący w przedsionku domu schronienia, który właśnie zamierzano restaurować. Trzymał on w ręku książkę, a mi się zdawało, że ukochany cień przychodzi do mnie z pozdrowieniem z owych regionów, z których

nigdy już się nie powraca. Prosił więc, bym wszedł i przekonał się, czy wszystko jest przeprowadzone, stosownie do poglądów wyrażonych w prześladowaném niegdyś dziele.“ Póżniéj zamierzano postawić autora na czele zarządu Domem schronienia, inne wszakże obowiązki względem ojczyzny nie pozwoliły mu przyjąć zaszczytnego stanowiska.

Wyżéj już nazwałem dzieło Ranieri'ego powieścią społeczną. Z tém szczególniejszym powtarzam to naciskiem, że jest to we współczesnéj literaturze pierwsza powieść tego rodzaju, którego ojcowstwo, zazwyczaj błędnie przypisują Eugeniuszowi Suemu, gdy tym czasem, zaszczyt tego wynalazku niezaprzeczenie przypada mało po za granicą swéj ojczyzny znanemu Włochowi—*Mystères de Paris* ukazały się bowiem dopiéro w 1842 r.

Uprawianiem społecznéj powieści różnią się nowsze czasy od okresu romantycznego, w którym niepodzielnie panował romans historyczny. We Włoszech, podobnież jak we wszystkich innych krajach, kierunek ten rozpowszechnił się dzięki Walter Scottowi. Włoskie przekłady utworów tego powieściopisarza, dokonywane przez p Borsieri'ego, Barbieri'ego i Ferraria poczęły się ukazywać od r. 1820 i wyprzedziły *Promessi Sposi* Manzoni'ego (1825). Powieść ta, ciesząca się wielkiem powodzeniem, wywierała stanowczy wpływ przez długi szereg lat. G. Rossini w dziele swem *Monaca di Monza* (1829), opracował epizod z „*Narzeczonych*" Manzoni'ego; w jego ślady weszli niebawem: Falconetti, Varese, Bazzani, Defendente Sacchi oraz inni. I Tommaso Grossi, który rozpoczął, podobnie jak Walter Scott, od poetycznych, sławiących średnie wieki epopei, (*la Fugitiva i Lombardi alla prima crociata*, *Ildegonda*, *Ulrico e Lida*) przeszedł niebawem do prozaicznéj epopei, do powieści historycznéj (Marco Visconti 1835). Wymienić tu również należy zięcia Manzoni'ego, M. d'Azeglio („Ettore Fieramosca" i „Niccolo de Lapi") oraz Cezara Cantu („Margarita Pusterla").

Gdy powieść historyczna cofa się w przeszłość, biorąc postaci dziejowe za swych bohatérów, którzy nie rzadko bywają piastunami zwyciężonych ideałów i bojownikami obcych dla nas walk, powieść społeczna bierze swe postaci i akcyę ze świata współczesnego, odbija codzienne nasze radości, a zwłaszcza bóle, otwarcie zawsze dążąc do podniesienia mas, pod względem moralnym, politycznym i ekonomicznym. Wychodząc z założenia, że państwo powinno być urzeczywistnieniem idei moralnéj, zgodzić się trzeba na to, że zadaniem powieści społecznéj jest obnażanie sprzeczności zachodzącéj pomiędzy tą ideją a rzeczywistością, oraz malowanie walk i bólów, przez które się prze-

chodzi, dążąc do niéj. Jeżeli powieść historyczna bywa przeważnie natury arystokratycznéj, to społeczna jest w znacznéj części demokratyczną; jeżeli pierwsza wyprowadza na światło zamierzchłe cienie świata średniowiecznego, feodalnego, boje o władzę świecką i duchowną i wskrzesza wyższe sfery towarzyskie ubiegłych stuleci – druga bierze swych bohatérów bezpośrednio ze świata współczesnego i maluje walki oraz bóle tych nieszczęśliwych, którzy, pozbawieni dobrodziejstw, jakie wyższym, zamożniejszym sferom daje wykształcenie, nędzny prowadzą żywot, jeśli zaś porywają się do boju, mającego na celu losu ich poprawę—nielitościwa czeka ich zagłada. Rzecz prosta, że ten kierunek musiał się wydawać złowrogiem straszydłem rządowi burbońskiemu oraz władzom duchownym, to téż wszyscy hołdujący mu pisarze zostali pomieszczeni na listach proskrypcyjnych.

Jeżeli *Ginevrę* sądzić będziemy z estetycznego punktu widzenia, to przedewszystkiém podnieść należy, że pod względem czystości języka, prostoty stylu oraz przezroczystéj i jasnéj koncepcyi, dzieło to należy do najcelniejszych płodów współczesnéj prozy włoskiéj. Jest ono najzupełniéj godne wielkiego mistrza, Leopardiego. Razi nas natomiast wyrafinowana szkarada wizerunków prawie wszystkich w dziele tém występujących osób, które zda się wybrały biedną *Ginevrę* na jagnię ofiarne dla brutalstw wszelkiego rodzaju — i poważanie, jakie żywimy dla charakteru autora, nie staje na przeszkodzie stwierdzeniu, że nienawiść, żywiona przezeń względem księży i rządu burbońskiego którym nie jedną zawdzięczał katuszę, nieraz mu pozwoliła przeoczyć różnicę, zachodzącą pomiędzy poezyą, a nagą prawdą, jaka czasem w aktach sądu kryminalnego spotykać się daje. Lecz i do *Ginevry*, podobnież zresztą jak i do całego tego kierunku, zastosować można przytoczone przez nas powyżéj zdanie Gervinusa: „Poezya, wystawiając na sztych reguły surowéj formy, odtąd poczyna sławę swą zasadzać na bezpośredniém, reformę na celu mającém wtargnięciu w granice teraźniejszości."

Uwaga ta wykazuje nam różnicę pomiędzy tym kierunkiem, a *Weltschmerzem.* Bez względu na zupełne, niepodzielne oddanie się Ranieri'ego poecie—niosącemu sztandar *Weltschmerzu,* już pierworodném dziełem swém zapowiada on, że nie staje po stronie zasad przyjaciela, lecz hołduje idei doskonalenia stosunków współczesnych. Jeżeli Leopardi skarżył się, że cnota jest czczym wyrazem, urojeniem, to Ranieri wyraźnie do tych słów stosuje to, co Ginevra mówi do swego spowiednika: „Z tego, co ci o moich losach opowiedziałam, oraz z tego, co mi jeszcze do opowiedzenia pozostaje, nie przypuścisz, że zbyt mocno

w cnotę wierzę. A jednak uwielbiam ją, korzę się przed nią i nie uważam jéj za czcze słowo, lecz za coś realnego, rzeczywiście istniejącego." Jeżeli Leopardi uważa los i naturę za obojętne względem ludzi, nieszczęście człowieka za wewnętrzną konieczność, uwarunkowaną przez całą jego organizacyę, wszelkie zaś urządzenia państwowe za niezdolne do zmiany na lepsze tego stanu rzeczy, to Ranieri czyni człowieka odpowiedzialnym za los własny i swoich bliźnich, mówiąc co następuje: „Ziemia wystarcza do wyżywienia o wiele większéj ilości ludzi, niż te 600 milionów, które ją obecnie zamieszkują. Jeśliby to wszakże było możebném, że jedyny człowiek opanowałby ją rzeczywiście, to ten jeden żyłby sam, owe zaś 600 milionów z głodu umarłoby razem. Nie potrzebowałby wtedy ni jeden być na ziemi, coby był istotnie nieszczęśliwy, ni jeden, któremuby rzeczywiście niezbędnych do życia rzeczy brakowało. Przypuściwszy jednak, że to nie jest możliwém, to przecie społeczeństwo ludzkie powinno wystarczyć do udzielenia pomocy o wiele większéj liczbie nieszczęśliwych, niż ta, która pomocy téj potrzebuje. Jeżeli wszakże nikt nie chce się stać skutecznym tłómaczem nędzy tych nieszczęśliwych, lub też jeżeli to, co społeczeństwo daje dla ich wspomagania, bywa na inne cele obracane, to nie jest to ni winą opatrzności, ni też przypadku, ni losu, ni też przyrody, ni — jakkolwiekbądź byśmy to nazwali — owéj tajemnicy wszechrzeczy... lecz jedynie winą samego człowieka." *Weltschmerz* nacechowany był sceptycyzmem i mizantropią, nowy zaś prąd, kierujący sobie drogę w piśmiennictwie, znowu do Boga prowadzi. Ginevra opowiada, jak, po zakosztowaniu wszystkich bólów tego świata, w odludnéj Kampanii, w owéj leśnéj jaskini, wzorem zamieszkałéj tam od wielu lat pustelnicy zwróciła się do Boga, ofiarując się nazawsze niebieskiemu oblubieńcowi. Mówi ona: „Nie mogłam mu już złożyć na ofiarę kwiatu mojego dziewictwa, ale oddałam mu moje serce, które czystém pozostało; nie na ołtarzu S-go Piotra, ni S-ta Maria Maggiore, lecz na wielkim kamieniu w owéj jaskini; i ten, który urodzeniem swém zlał łaskę nie na Rzym, lecz na Judeę, może właśnie dlatego nie pogardził mą ofiarą. O jakże słodkie były spożywane przez przez nas zioła i chléb, przyprawione tą inną niebieską potrawą, która nas dniami i nocami żywiła. Jakże było wszystko w jaskini téj miłością i weselem. Nawet dzikie zwierzęta, które wiedziały zapewne, że nie potrzebujemy ich mięsa dla naszego pożywienia, przychodziły do nas w odwiedziny, jak cisi, pełni miłości przyjaciele, lizały nam ręce i wyjaśniały mi w żywy sposób większą część cudów, o których się opowiada w żywotach świętych. Dni przepędzone przezemnie w owéj jaskini były jakby odbiciem owego celu,

do którego wcześniéj czy późniéj podąży życie ludzkie. Człowiek, którego śmierć nie porwie w połowie drogi żywota, wcześniéj czy późniéj dochodzi do tego, że go nic wspólnego nie łączy z pozostałymi ludźmi i że jest im podobnież obcy, jak oni jemu. A wtedy, jak nieznaczném nieszczęściem jest wykluczenie się z tłumu i czasu, w którym się żyje i byt w samotności pędzony. Wiedzie się byt w samotności, by nie być zupełnie samotnym; bowiem jeżeli tam nie mówią do ciebie ludzie, którzy zresztą i tak już z tobą nie mówili, Bóg natomiast przemawia do ciebie głosem wiatru i wszystko to co otacza ciebie jest Bogiem. — W jaskini téj przemieszkałam trzy lata, na parę tylko kroków po za obręb jéj się wydalając. Nie rozumiem, czemu ludzie, tworząc sobie pojęcie raju, wyobrażają sobie wielkie zgromadzenie zamiast samotności. Orły i róże wiekuistego światła oraz wszystkie przedwieczne sfery, nie uciszyły tęsknoty Dantego, która zwracała się tylko ku promieniejącéj miłości, co słońce i gwiazdy rozjaśnia oraz porusza. Ku tym promieniom, ku owéj miłości i ja z głębi naszéj jaskini zwracałam myśli moje i, zapominając, że jeszcze na ziemi goszczę, już się naprzód rajskiém szczęściem upajałam."

Aczkolwiek nowy ten kierunek w literaturze zwracał umysły ku Bogu oraz religii, należy jednak zauważyć, że nie ujmował jéj po kościelnemu, tém mniéj zaś po katolicku, lecz posiadał charakter na wskroś deistyczny. W ten sposób dochodzimy do właściwych znamion, cechujących rozmaite partye i kierunki włoskie, zwłaszcza zaś ich stanowisko w kwestyi kościelnéj, jak zaś w tym kraju — w kwestyi papieskiéj. Szkoła romantyczna dążyła do przywrócenia dawnych stosunków, co najwyżéj zaś starała się o zreformowanie papiestwa,—nowy zaś kierunek stawał względem niego w otwartéj opozycyi i, wierny wymaganiom stawianym przez się piśmiennictwu, że bezpośrednio i praktycznie ma się zajmować rozwiązywaniem kwestyi będących na dobie, że nie powinno tworzyć obrazów fantastycznych, lecz, odpowiednio do swych ideałów przekształcać rzeczywistość — w pierwszéj linii zwalczał papiestwo, jako źródło duchowéj i materyalnéj niedoli, gnębiącéj ojczyznę. Ranieri, który z zamiłowaniem poświęcał się studyom historycznym, ogłosił w r. 1841 w Brukselli owoc tych studyów. p. t. „Dzieje Włoch od V do IX-go stulecia, od Teodozyusza do Karola Wielkiego". Dzieło to obejmuje okres wędrówki narodów, owe najmroczniejsze wieki historyi wogóle, w szczególności zaś dziejów włoskich; zawiéra ono tajemnicę powstania rządów teokratycznych, które zdawało się, że zniknęły wraz z upadkiem dawnych państw azyatyckich, oraz przekształcenia starożytnych stosunków w nowożytne. Zbyt daleko-by nas to zaprowadziło, gdybyśmy pokazać chcieli, jak autor w dziele swém rozwią-

zał postawione sobie zadanie. Zamyka on je odtworzeniem postaci Karola Wielkiego oraz jego wieku, potém zaś mówi: „Ostatniemi płodami czasów tych, które w zestawieniu ze starożytnością i z nowożytnym okresem nazywamy średniemi wiekami, były we Włoszech wiek XIV i XVI-ty, we Francyi zaś, w Anglii, oraz w Niemczech wiek XVII-ty. Obecnie zdaje się, że dziwny przewrót zaszły w XVIII-ym, oraz we współczesnym nam XIX-ym wieku, zapowiada początek trzeciéj epoki, któréj następstwa, mające się dopiéro naszéj potomności objawić, rozwiążą stary problemat, czy rodzaj ludzki został stworzony na to, by się wiecznie obracał w kole jednych i tych samych bólów oraz błędów, czy téż nieprzeparte, każdego człowieka od kołyski do grobu ożywiające pragnienie szczęścia, którego dotychczas na ziemi znaléść nie można było, nie jest złudzeniem, lecz obietnicą urzeczywistnienia, mającego nastąpić po długim szeregu wieków i nieszczęść.” Że autor hołduje tym ostatnim zapatrywaniom, wypływa to z jego pism i z jego całego życia, o którém powiedziéć można, że je niemal od dzieciństwa poświęcił odrodzeniu ojczyzny. Wyraźnie to wypowiada w przedmowie do omawianéj przez nas powyżéj historyi: „W myślach mych i w wyobrażeniu, które o sobie tworzę sam, ostatni Włoch co do talentu, lecz żadnemu nie ustępujący w płomiennéj, niewypowiedzianéj miłości, żywionéj od urodzenia dla téj świętéj Nioby narodów, dla téj wielkiéj matki, Italii, któréj przyniosłem w ofierze całe me życie i wszystkie cierpienia — już w młodzieńczym wieku, prawie nim jeszcze z lat chłopięcych wyrosłem, stała mi przed oczyma zjednoczona niepodległa moja ojczyzna, pod panowaniem jedynego króla i zniweczenie świeckiéj władzy papieża.”

Jakeśmy już zauważyli, dzieło Ranieri'ego ukazało się w Brukselli, bowiem w Neapolu niepodobna go było drukować. Można sobie wyobrazić, jaka burza, po jego ogłoszeniu, rozsrożyła się nad głową autora, w mieście tém, w którém już samo wymówienie wyrazu „*Italia*” było przestępstwem. Jezuici smagali go w pismach swych, jemu zaś nie wolno było się bronić, choć mu grozili więzieniem i stosem. Lecz czasy całopalenia przeminęły bezpowrotnie i, aczkolwiek Ferdynand miał w sobie coś z natury Filipa II-go, był wszakże dość roztropny na to, by poznać, że panuje w XIX-ym, nie zaś w XVI-ym wieku. Nacierano na Ranieri'ego również ze szkoły Manzoni'ego, Troi, Balba i Gioberti'ego, lecz wycieczki te były godziwie prowadzone, mianowicie zaś przez Manzoni'ego w wydanym przezeń w Medyolanie 1845 r. zbiorze pism treści mieszanéj. Wiemy, że szkoła ta również dążyła do odrodzenia ojczyzny, lecz pod wodzą samego papieża, którego spodzie-

wała się dla reform pozyskać. Prąd czasu sprzyjał temu kierunkowi, wypadki zaś 1847 r. zdawały się zapowiadać ziszczenie nadziejom téj partyi, mającéj wielu stronników. Pozostańmy wszakże przy wypadkach związanych z życiem Ranieri'ego, oraz z jego literackiemi dążeniami.

Po r. 1840 rządy Leopolda II-go w Toskanii przybrały na pewien czas charakter liberalny. Władzca ten chciał zreformować szkolnictwo, powołując w tym celu najznakomitszych Włochów na katedry uniwersyteckie. Wskutek tego i Ranieri został wezwany na profesora historyi w uniwersytecie pizańskim. Napisał on w tym celu „Uwagi dla sposobiących się do studyowania umiejętności historycznych", w których wykładał metodę, jakiéj przy téj nauce trzymać się należy. Wielki książę toskański odwiedzał w owym właśnie czasie swego szwagra w Neapolu; tam przedstawiono mu, że dzięki powołaniu Ranieri'ego na profesora historyi w uniwersytecie, wychowywać się będzie rewolucyonistów we własnym kraju — nominacya téż została cofniętą.

W r. 1842 napisał Ranieri p. t. „*Frate Rocco*", szereg drobnych fragmentów moralnych, które miały się ukazać pod pseudonimem Anzelma Neri, z przeznaczeniem dochodu na rzecz neapolitańskich domów schronienia dla dzieci. Naturalnie, że autor, pragnąc cel zamierzony osiągnąć, nie mógł na pracy położyć nazwiska — i rzeczywiście manuskrypt przeszedł przez cenzurę. Dopiéro, dzięki nieostrożnemu rozpowszechnianiu wiadomości, iż rzekomym Anzelmem Neri nie jest kto inny, jak autor „Ginevry" oraz „Historyi Włoch", cenzor przeglądając dziełko po raz wtóry, wiele miejsc wykréślił i wogóle byłby najchętniéj nie przepuścił książki, gdyby nie dobroczynny cel wydawnictwa, który mu w tém stanął na drodze. Zamiast przekréślonych wierszy umieszczono kropki, które w jedném miejscu dziewięć stronic zajmowały. Wywołało to wielką sensacyę i rząd neapolitański nie pozwolił od téj chwili zastępować kropkami wykréślonych miejsc w książce. Dopiéro w r. 1859 ukazał się „*Frate Rocco*" we Florencyi w zupełném, wspaniałém wydaniu.

„*Frate Rocco*" była to w zeszłém stuleciu popularna w Neapolu osobistość, Dominikanin, kaznodzieja uliczny, wielki wpływ na lud wywierający. Autor kładzie mu w usta iście ewangeliczne nauki, zwrócone do ukochanego ucznia, z którym obchodzi miasto i jego okolice i któremu ukazuje upadek oraz moralną i materyalną nędzę ludu, jego próżniactwo, ciemnotę, namiętność do gry, mściwość, żebractwo, zamiłowanie w pieniactwie, swawolę żołdaków i t. p., prowadząc go po wy-

brzeżu przy Santa Lucia, to znowu do Portici, to na Capodimonte, to znowu do więzień i sądów w Castel Capuano, wreszcie do szpitala. Tu przy łożu chorych i umierających, gdzie autorowi niewątpliwie ocknęło się w duszy wspomnienie tyloletniéj opieki nad mrącym Leopardim—*Frate Rocco* do młodego swego towarzysza temi odzywa się słowy: „Dla złagodzenia ran naszych współbraci, ręka, synu mój, nie wystarcza, potrzeba jeszcze miłosierdzia (*carità*). Jest ono dla udzielającego pomocy tém, czém cierpliwość dla cierpiącego. I jedno i drugie bywa jedyną pomocą wtedy, gdy znikąd już pomocy spodziéwać się nie można. Niema tak wielkiego nieszczęścia, tak strasznéj boleści, którychby pieszczota, wyraz pociechy, westchnienie, wzrok—to lube odbicie światła w tajemniczych zwierciadłach duszy, oczyma nazywanych — nie mogły uczynić znośnemi, napoić ukrytą, niewypowiedzianą słodyczą. Pomnij, że lekarstwo jest rzeczą ludzką, miłosierdzie zaś ma w sobie coś boskiego. Przekonaj się, że jest ono najpiękniejszym darem, który niebo udzieliło ziemi, a Bóg ludziom, zaszczepiając im własną swą naturę."

Ranieri poświęcał się w owym czasie z wielkim zapałem i ze znakomitém powodzeniem adwokaturze, że zaś jego majątek uszczuplił się przez podróże i studya oraz przez wydatki, ponoszone dla zmarłego przed niedawnym czasem wielkiego przyjaciela, a praca piśmiennicza raz na zawsze została mu zamkniętą, powodzenie to témbardziéj było pożądane, że pozwoliło mu żyć przyzwoicie, wraz z siostrą Paoliną, nieodstępną jego towarzyszką.

Zmiana porządku rzeczy we Włoszech, datująca się od ofiarowania tyary papieskiéj Piusowi IX (1846 r.), co miało urzeczywistnić utopie Gioberti'ego i jego partyi, przejęła niewypowiedzianym smutkiem głębiéj patrzącego Ranieri'ego, przewidywał bowiem daremny przelew krwi i bolesny zastój na drodze do zjednoczenia Włoch prowadzącéj. W ruchach z następnego roku nie brał wcale udziału. Jakże mógł zasadniczy przeciwnik papiestwa połączyć swój głos wraz z innymi w okrzyku: *Viva Pio Nono*! Zasady te nie zawiodły go, okrutna zaś reakcya r. 1849 i lat następnych utwierdziła jego przekonania. Zapanowało straszne dziesięciolecie, kiedy dość było najsłabszego podejrzenia, by na zawsze uciszyć jednostkę, przez rząd o nielojalność posądzaną. Miecz zawisł i nad głową Ranieri'ego, jako znanego liberała. Wypadki z r. 1859 i awanturniczy, lecz płodny w następstwa pochód Garibaldiego zostały powitane jak zbawienie. Ranieri był pierwszym z owych sześciuset patryotów, których neapolitański komitet narodowy wysłał do dyktatora, by prosić go o opanowanie tego miasta (6 wrze-

śnia 1860 r.). Późniéj był on również jednym z tych, którzy się udali do Grottamare, dla doręczenia królowi Wiktorowi Emanuelowi adresu Neapolitańczyków.

Od owego czasu poczyna się w życiu Ranieri'ego nowy okres — parlamentarny. W zasłużoném uznaniu wieloletnich jego dążeń i cierpień, poniesionych za sprawę wolności i zjednoczenia ojczyzny, rodzinne miasto obrało go na deputowanego do parlamentu i trzykrotnie potém jeszcze wybór ten ponawiało. Podczas dyktatury Garibaldiego, Ranieri'emu, jako autorowi „*Ginevry*", ofiarowano dozór zwierzchni nad wielkim domem schronienia dla biédnych mieszkańców Neapolu. Odmówił przyjęcia dochodów z tém stanowiskiem związanych, lecz zażądał nieograniczonego pełnomocnictwa do wszelkich zmian, które będzie uważał za konieczne przeprowadzić w zarządzie zakładu. Rzecz się o to rozbiła z jawną szkodą dla tysięcy nieszczęśliwych, cierpiących z powodu błędów oraz złéj woli owego zarządu. Wkrótce potém Ranieri został powołany na profesora historyi w uniwersytecie medyolańskim, oraz na profesora filozofii historyi we florenckim *Reale Instituto di studii superiori pratici e di perfezionamento*, wzorowanym na *Collége de France*. Ostatnią z tych katedr byłby chętnie objął, przez pamięć na gościnne przyjęcie, doznane w mieście tém, w czasach wygnania oraz dla wielu stosunków, łączących go jeszcze z owych czasów ze wszystkimi pozostałymi tam wybitnemi mężami. Zwyciężyło wszakże powołanie go do wykładów w uniwersytecie neapolitańskim. Specyalnym dekretem królewskim, zawierającym jego nominacyę, zostali również do objęcia katedr wezwani: Gino Capponi, Alessandro Manzoni oraz Giuseppe Ferrari. Ranieri zgóry zrzekł się wszelkiego wynagrodzenia, wogóle bowiem na całe życie postawił sobie za obowiązek nie przyjmowanie od rządu wynagrodzenia, bez względu na to, w jakiéj formie. Kiedy wydano prawo orzekające, że tylko pewna liczba zajmujących posady rządowe może zasiadać w izbie deputowanych, kiedy przytém uznano, że zrzeczenie się pensyi nie wystarcza — Ranieri ustąpił z profesury. Po rozwiązaniu izby, jakkolwiekbądź należącemu do opozycyi rząd przywrócił katedrę, z któréj ustąpił z chwilą, gdy go znowu deputowanym obrano. Cavour mianował go radzcą stanu — nie przyjął téj godności; ministeryum Ratazzi'ego mianowało go w maju 1862 r. członkiem senatu—i tę godność, najwyższą w nowo-utworzoném państwie włoskiém, odrzucił, mówiąc, że chce przedewszystkiém przedstawicielem ludu pozostać i że zaufanie, okazane mu przez wyborców, nadewszystko cenić musi. Podobnież odrzucił i wielki krzyż orderu św. Maurycego i Łazarza. Natomiast z radością przyjął mianowanie

go członkiem *Accademia della Crusca*, jako uznanie jego zasług literackich. W izbie deputowanych należał do lewego centrum, do owéj grupy niezawisłych monarchistów, opiérającéj się energicznie, choć bezskutecznie, tak zwanéj Consorterii, która na wszystkie ministerya wpływ wywierała. Cztery jego mowy, wypowiedziane w izbie deputowanych, zebrano i wydano p. t. „*Quattro discorsi di A. Ranieri deputato, circa le cose dell' Italia meridionale.*” Torino e Milano, 1862 roku.

Zbiorowe pisma Ranieri'ego ukazały się w latach 1862 — 1864, w trzechtomowém wydaniu w Medyolanie u Guigoni'ego. Rozpoczęta przezeń „Historya Neapolu” została przez rząd burboński skonfiskowana, a potém spalona. Czas wolny od czynności politycznéj, w ostatnich latach pracowitego żywota, poświęcał wykończeniu dawno jeszcze rozpoczętego dzieła, mającego objąć historyę Włoch od Konstantyna do Wawrzyńca Medyceusza. Otoczony powszechną czcią wszystkich warstw narodu, zmarł w d. 9 stycznia 1888 r.

Jesteśmy u kresu naszéj pracy, rozpoczynającéj się od Leopardiego i kończącéj się jego imieniem. Staraliśmy się odtworzyć jego samego, jego życia i dzieła, współczesne mu prądy i dążenia, wreszcie koło jego przyjaciół. Widzieliśmy, jak po jego śmierci wystąpiło w literaturze nowe pokolenie, ściśle związane z polityczném i religijném bojowaniem, oraz z cierpieniami zjednoczonych Włoch; poznaliśmy bliżéj przynajmniéj jednego z tych bojowników, na którego Leopardi wywierał jeszcze wpływ bezpośredni i który najlepszą część młodego swego żywota poświęcił mrącemu powoli poecie. Przelotnie tylko wspominaliśmy o współdziałajacych w tém kole: Niccolinim, Giustim i Guerrazzim. Wkrótce po nich wzrosło nowe pokolenie, dążące do zespolenia dążeń Manzoniego oraz Leopardiego, a mające swych przedstawicieli w Aleardo Aleardim, Giulio Carcano, Seolarim i Bellinim; potém przyszedł weryzm z Carduccim i Stecchettim— ...zjawiła się Ada Negri- wreszcie wystąpił d'Annunzio. Ostatecznego wyroku o ich działalności piśmienniczéj wydawać jeszcze nie możemy, zaś zagłębianie się w szczegóły wyprowadziłoby nas daleko po za granice, niniejszéj pracy zakréślone. Zauważymy tylko to, że polityczne oraz religijne kwestye czasu wypierają na pośledni plany wszelkie inne dążenia, narzucając poezyi obce lub téż zgoła dla niéj nieodpowiednie pierwiastki. Połączmy nasze życzenia z życzeniami najlepszych patryotów włoskich, by udało się wreszcie kwestye te rozwiązać i odrodzić, wyposażony w najpiękniejsze przymioty, przez długie szeregi wieków ciemiężony, a dziś tak jeszcze upadły naród! Wtedy i poezya włoska, co pierwsza puściła latorośl na drzewie nowożytnej poezyi europejskiéj, bujném pokryje się

kwieciem i nie ziści się przepowiednia Giordaniego, że jak w Dantem jutrzenka, tak w Leopardim wieczorna zabłysła gwiazda na niebie poezyi włoskiéj. Miejmy nadzieję, że po mrokach nocy wzejdzie nowe rano dla nieszczęśliwego kraju i że ruch, budzący się w nim na każdém polu pracy jest tego odrodzenia zapowiedzią. To, co przy uroczystości, poświęconéj pamięci bohatérów padłych pod Thermopilami, Leopardi wypowiada, jako życzenie przez usta Simonidesa: — „Tak więc błagam bogów, by imię waszego pieśniarza było czczone po wszystkie przyszłe czasy, a sława jego trwała, jak długo wasza trwać będzie!" — ziści się napewno samemu słów tych twórcy.

G. B.



TOMASZÓW RAWSKI,

miasto fabryczne.

„Ci, co szanują ojczysty kątek,
Błogosławieni!
Każdy ma skarbiec drogich pamiątek,
Lecz czy go ceni?“

Możnaby postawić sto przeciw jednemu, że większość ziomków naszych, znających Paryż, Rivierę, albo znających genezę ognisk kultury lub przemysłu zagranicznego, ani wié, że Tomaszów, jedno ze znaczniejszych środowisk przemysłu krajowego, w początkach naszego stulecia, na całéj przez 23-tysiączną ludność zamieszkałéj obecnie przestrzeni, niebotycznym szumiał borem.

Tu, gdzie dziś liczne fabryki strzelają w górę wysokiemi kominami, a świstem i stukiem hałaśliwie zaznaczają wrące w nich życie, w przeszłém stuleciu tylko dęby i sosny, poważne między sobą prowadząc rozhowory, szmerem gałęzi niezakłóconą mąciły ciszę.

Właściciel tych borów, Tomasz Adam hr. Ostrowski, kasztelan czerski, a późniejszy prezes senatu Królestwa Polskiego, dziedzic pobliskiego miasteczka Ujazdu, człowiek przedsiębiorczy (wówczas już

posiadający magazyny zbożowe w Odesie), zapragnął w dziedzictwie swém ulepszyć rolnictwo i zaprowadzić przemysł.

Dobréj woli traf przyszedł w pomoc:

Między robotnikami, sprowadzonymi dla osuszenia błot, znajdował się i grabarz z Kielc, który w trakcie robót niebezpiecznie zachorował, a gdy dziedzic zajął się nim troskliwie, leczył go i doglądał, ów przez wdzięczność wskazał wykrytą przy kopaniu rudę żelazną, w nadzwyczaj obfitych pokładach.

Sprowadzeni z „Miedzianéj Góry" górnicy odkrycie to potwierdzili, i to dało początek osadzie przemysłowéj.

Już w r. 1789 księgi parafii chorzęcińskiéj wzmiankują osadę „Tomaszów".

Miejscowość, odległa od Warszawy mil 14, od granicy szląskiéj o mil 16—18, od Berlina 63, Wrocławia 30, Opatówka, Kalisza, Wieruszowa po 18, od Krakowa, Podgórza 22, od nowych miast fabrycznych: Zgierza, Ozorkowa, Łodzi, Aleksandrowa, Zduńskiéj Woli, Przedborza, Skierniewic 6—8 mil, od Wisły 12, od Radomia 10, Uściługa 40, od Brodów 50, od wolnego wówczas portu Odesy (na którą liczono, jako na poważny rynek zbytu) 130 mil, przez szczęśliwe swe położenie geograficzne obiecywała stać się ważném centralném ogniwem owego handlowo-fabrycznego łańcucha.

Tak też przepowiadał téj osadzie założyciel.

W r. 1815-ym, po utworzeniu Królestwa, syn Tomasza, Antoni hr. Ostrowski, człowiek rozumny i wielkiego serca, posiadacz rozległych obszarów, obfitujących w glinę, wapno, drzewo budulcowe, wełnę z owiec własnych i wiele innych produktów, mogących w przemyśle szerokie znaléść zastosowanie, podjąwszy myśl ojca, postanowił zaprowadzić tu napraszający się dzięki pomyślnym warunkom zewnętrznym przemysł tkacki.

Party poczuciem obywatelskiém (o czém świadczy nagłówek jednego z jego pamiętników: „Arystokracyo! chceszli nie paść ofiarą nieuchronney a iuż blizkiej świata reformy, wcześnie umysł twóy, położenie twe, osobiste y maiątkowe do takowey naginay"), pozostawiając po za sobą przesądy kastowe, które każde, z wyjątkiem rolnictwa, zajęcie uważały za ubliżające, a porównywając w podróżach swych różnice dobrobytu na Szląsku, w Saksonii, Austryi i u nas, zapragnął warunki onego przeszczepić na grunt ojczysty.

Wkrótce też królestwo swawolnych nimf i boginek leśnych zajął poważny Merkury.

Do umiłowanego tego przez siebie kąta począł założyciel ściągać osadników.

Dziś jeszcze wokół Solingen nad Renem spotkasz robotników, których dziadowie otrzymali zaliczkę na przyjazd do Tomaszowa.

Sądzono z początku, jak sam założyciel opowiada, że „dla romantyzmu lub oryginalności" wybrał to dzikie pustkowie, on jednak „wolał kraiać z materyi nowey jak ze starey i wyszarzaney".

Na forpoczty nie wysyłają marszałków; i tutaj nie bogacze ciągnęli w przedniéj straży, lecz „lud bardzo ubogi, a nie bardzo chędogi". Zimą, wśród najtęższych mrozów, poczęli ze wszech stron przybywać nowi osadnicy. Kierowano się wtedy zasadą: „kto pierwszy, ten lepszy". Każdy przybysz, byle miał świadectwo, że nie zbrodzień i nie włóczęga, otrzymywał grunt pod swoją siedzibę.

Zagospodarowanie się tych biédaków, którym po większéj części żywność na pierwszy czas udzielana być musiała, zasadzało się początkowo na wykopaniu w suchym, piaszczystym gruncie tutejszym dołka, który trzeba było ocembrować, żeby się nie osypywał. Daléj: kilka krokiewek, zamiast łat kładziono napoprzek dyle jakie takie, a gdy i tych nie stało, to i gałęzie. Walono na nie mech i obsypywano piaskiem. Znajdująca się pod piaskiem glina służyła do wylepiania szczelin i kominów.

I ot, w ciągu dni trzech, jak z pod ziemi wyrastały pałace *à la* Robinson, z których właściciele szczęśliwszymi się czuli, niż niejeden magnat ze swéj wykwintnéj siedziby. Cóż bo może iść w porównanie z rozkoszą poczucia: rano przybyłem nędzarzem z dziesięcioma palcami za cały kapitał, wieczorem jestem właścicielem kawałka gruntu, jutro mieć będę nad głową dach własny.

Budowali się w równéj linii dla symetryi. Przeszło 40,000 morgów było na kolonie przeznaczone.

Najpierwszą z tych kolonii właściciel nazwał „Precz biedo" (dzisiejsze b a r a k i) i ta w lat parę przeobraziła się w porządnie zabudowaną wioskę.

Mała ta osada kuźnicza, położona wśród lasów wysokopiennych, sosen i dębów, przeglądających się jakby przed zgonem w pysznėm wód źwierciedle, ulaném przez pełną życia Wolbórkę, ponad któréj cienistemi brzegami niedawno jeszcze lęgły się bobry (o czém świadczyły misterne, porzucone przez nie domki), gdzie żyły jeszcze puszystém futrem okryte wydry, posiadała ludności trzydzieści kilka dusz, 4 domy, 2 fryszerki, a za cały dochód 400 złp.

Za wieczyste wydzierżawienie gruntu dziedzic nie żądał wkupnego. Osadnicy i ich dzieci uwolnieni być mieli od konskrypcyi wojskowéj.

Własność obudziła przemysł, a z nim wiarę w lepszą przyszłość u tych, co dotąd bezowocne z nędzą staczali walki, rodziło się przywiązanie do własnego kąta.

Ludek nie próżnował, nie kradł, „bo nie głodny był i nie w nędzy". Powstał Wielki Piec z odlewnią, a przy nim domki dla robotników.

Zakłady jednak po rok 1794 wskutek nieprzychylnych warunków ekonomicznych słabo się rozwijały.

Właściwe zapoczątkowanie Tomaszowa przypada na r. 1815-ty, w którym to roku dziedzic sprowadził z Görlitz i Grünberga pierwsze rodziny tkaczów. Pod godłem: „*ars longa, vita brevis*" poczęta została osada fabryczna Tomaszów. Pod drugiém „*ora et labora*" stanęła pierwsza filatura, t. j. przędzalnia, urządzona na wyrób najcieńszych materyałów sukienniczych.

I tak: przy trakcie pocztowym warszawskim, między Rawą a Piotrkowem, o kilkadziesiąt kroków od spławnéj Pilicy, tuż przy wartkiéj Wolbórce wyłaniać się począł z mroku leśnéj gęstwy dzisiejszy Tomaszów.

„Miesce to — opowiada w pamiętniku swym założyciel — od samey natury iest obdarzone nadobną, nieco pagórkowatą, zdrową, w wody i lasy obfituiącą okolicą: wznoszą się nad powierzchnią ziemi, skaliste łomy wapienia, kamienia i głazu do budowy murowanéj wyśmienitego. Wnętrze ziemi wydaie rozmaite kopalniane produkty, a mianowicie rudę żelazną. Miesce to iuż w ogólności od znawców, iako za wyborne do rozmaitych zakładów rękodzielniczych i przemysłowych usposobione, uznane zostało."

I nie mylili się ci „znawcy".

Osada, licząca początkowo cztery marne chałupy, w ciągu lat ośmiu rozrosła się do gromady kilkudziesięciu pięknych, murowanych po większéj części domów, zamieszkałych przez pięciotysięczną cudzoziemską coprawda przeważnie, ludność.

Charakterystyczne, że nie przesiedlali się tu Francuzi, ani Anglicy, jeno Niemcy, których przyniesiona na świat dewiza „*ibi patria, ubi bene*" ściągała całemi gromadami.

Tym z osadników, którzy zobowiązali się porządnie, podług przyjętego planu stawiać domy, dawano bezpłatnie drzewo na belki, krokwie, łaty, rygle. Wolno było darmo zbiérać kamienie polowe, wydobywać je w łomach skalnych, używać gliny, wapna, żużla, co przyczyniało się do zmniejszenia kosztów budowy. To téż większość stawianych wówczas domów wznoszona była z kamienia. Nadto materyały budowlane, jak: cegłę paloną, dachówkę, żelazo, otrzymywali sposobem

awansu ci z kolonistów, którzy wyższą od drugich na zajętym przez siebie gruncie wykazać potrafili użyteczność, jeśli np. za nimi pociągnęła znaczna liczba ludu pracowitego, lub jeśli u siebie dużo zatrudniali ludzi.

Nie pogardził też placem w Tomaszowie i nie jeden szlachcic, właściciel wioski, urzędnik nawet, gdyż umiarkowany czynsz, swobodna organizacya, pomoc budowlana, zabezpieczenie własności nęciły widokami świetnych nadziei. Każdy też kwapił się wznieść sadybę swoją w miejscu, które za najdogodniejsze uważał.

Po obu stronach szosy, prowadzącéj do Piotrkowa, wyciągnął się sznur domków przeznaczonych na mieszkania robotników.

Miejsce to Niemcy ochrzcić chcieli nazwą „*Spinnlinie*”, miejscowi jednak od założyciela nazwali „Nowym Ostrowem”, hr. Antoni zaś ku uczczeniu pamięci rodzica swego, Tomasza—„Tomaszowem”, pod którą to nazwą ostało się po dziś dzień.

Na obecnéj ulicy Piotrkowskiéj, która w roku 1897 zabrukowana, opatrzona w szerokie chodniki, z urządzoną pośrodku aleją spacerową, o lepsze walczyć usiłuje z ulicami miast wielkich, stanął jeden jedyny długi budynek na dom familijny dla robotników. Dziś, w końcu wieku, kiedy ich liczba wzrosła do dziesiątków tysięcy, nikt o domach familijnych nie myśli, a robotnik gnieździć się musi ciasno, brudno a drogo.

Pałac rodziny Ostrowskich już w r. 1812 stał tu, gdzie go dziś widzimy.

Dla robotników ewangelików wystawiono „za wodą” drewniany kościołek, a pierwszym pastorem był tu ks. Otto, w lat kilka po nim ks. Beni.

Ludności katolickiéj dozwolony był wstęp do kaplicy pałacowéj, gdzie służbę Bożą pełnił naprzód ksiądz Klonowski, po nim ksiądz Dittrich. W r. 1823 przeniesiony został tu za zezwoleniem władzy duchownéj drewniany kościołek ze wsi Tobiasze.

Dojeżdżając do Ujazda, widać opuszczone przezeń groby, nad któremi, litując się jakoby ich sieroctwa, stare olchy pieśń nucą żałobną.

Za kościołkiem, takim jakim go dziś jeszcze oglądamy, z niszami, w których, zamiast świętych, rozsiadły się mchy szare i porosty, z omszałą, pozieleniałą od starości dzwonnicą, przytuliło się ostatnie schronisko umarłych.

Kiedy w pół prawie wieku potém rozpoczęto budowę kościoła na Brzostowskiéj, a za miastem pod Starzycami urządzono cmentarz, nikt nie chciał tam chować swych zmarłych, — siłą przyzwyczajenia trzy-

mano się starego cmentarzyska. Dopiéro w r. 1854, kiedy pochowano tam pierwszych zmiecionych przez cholerę, dali się jakoś ludziska do nowego przekonać cmentarza.

Wrota starego kościołka, a z nim i cmentarzyska, pokryło zapomnienie, a dziś zasnute przędzą lat dziesiątków, otwierają się one gościnnie raz tylko do roku: w Dzień Zaduszny.

Stare pokolenie wymarło. Opuszczone groby, ramionami poprzechylanych krzyżów, jakby zmiłowania błagały dla tych, co tam cicho śpią pod niemi. Niema tu dłonią kochającą ukwieconych mogił, niema świateł zapalonych, gdzieniegdzie tylko ręka pobożna kilka kwiatów w spękany zatknie kurhan, wiatr jesienny mogiły pękami uschłego przystroi liścia, a jeśli na „wieczne odpoczywanie" łzą żalu zasnutą ujrzysz źrenicę, to na pewno w oku starca, młode bowiem pokolenie nic już ze starym nie ma wspólnego cmentarzem.

„Lecz ziemi, już dosyć."

Wytchnęliśmy w ciszy i cieniu grobów, czas wracać do żaru i gwaru życia.

Jednocześnie z przeniesieniem z Tobiaszów kościołka, stanęła w Antolinie pod Ujazdem pierwsza fabryka, a nad Wolbórką pałac. — W r. 1822 w Tomaszowie były 3 domy i mieszkało 30 ludzi, zajętych przy fryszerce. Wkoło szumiały bory. W r. 1823 było już 100 warsztatów wyrabiających cienkie sukna, 8 postrzygalni, 3 folusze, fabryka tkanin wełnianych o 16 warsztatach (merynosy i czerkasy) płócien, płócienek kolorowych, tasiemek i t. d. Pierwszym, który otworzył fabrykę, był Lewek Silber, „*factotum*" i prawa ręka założyciela. Wkrótce dwa rynki, na których niewykarczowane jeszcze sterczały pniaki, napełniły się ludem wiejskim, o mil kilkanaście dla zbytu przybywającym. Nawet ogrodnicy przyjeżdżać poczęli z kwiatami i drzewiną do sadzenia.

Wysokie zyski, jakie przy pomocy taryfy celnéj osiągnęli pierwsi fabrykanci, ściągnęły więcéj przybyszów. W ciągu roku przybyło 1,200 ludzi i 30 murowanych domów. W r. 1824 otrzymał Tomaszów prawa osady fabryczno-handlowéj i wójta. Powstały dwie przędzalnie: Barchwitza i Huetmana, z najprzedniejszemi niderlandzkiemi maszynami i wyśmienitą apreturą. Doskonałe urządzono folusze, najlepszych sprowadzono farbiarzy. Wszystko to przyczyniło się odrazu do postawienia fabrykacyi na takim stopniu doskonałości, że zasłynęła szeroko. Szły téż wyroby tutejsze nietylko do kraju i Cesarstwa, ale nawet „do Kiachty i daléj w państwo Chińskie".

W drugim i trzecim zaraz roku od założenia porządne, na sposób zagraniczny urządzone oberże i domy zajezdne zapełniać się poczęły krajowymi i zagranicznymi kupcami.

Kipiało życiem. Na szumnéj Wolbórce dudniały mosty pod kupieckiemi brykami, „z gotówką zaieżdżaiącemi i piękny nader towar zabieraiącemi". Otwiérać się poczęły kantory handlowe, tworzyć spółki. Zakłady przemysłowe tak się nagle do Tomaszowa przenosić zaczęły, jak wiatrem pomyślnym na żyzną glebę przerzucane soczystych roślin zarodki.

Ten bujny rozkwit młodości mimowoli nasuwa porównanie Tomaszowa z owemi cudownemi dziećmi, co tak wiele gwałtownym swych pierwszych lat rozwojem obiecując, stają wśród drogi, aby tak mało dotrzymać. Mimo doskonałą markę, jaką bezsprzecznie cieszą się jego wyroby, mimo tak szczęśliwe warunki zewnętrzne, jak obfitość wody i budulca, taniość placów [1]) i robotnika, co za kolosalna różnica z młodszą od niego Łodzią, na którą niedawno jeszcze Tomaszów patrzał przez ramię, a na któréj usługach zostają obecnie jego przędzalnie, apretury, cegielnie i tartaki.

A Łodzi brak właśnie owych szczęśliwych warunków zewnętrznych. Ale Łódź ma motor rozwojowi jéj siedmiomilowe nakładający buty: energię, na którym to punkcie Tomaszów szwankuje absolutnie.

Po tym nawiasie powróćmy do opowiadania.

Wszystko to, co w przemyśle pięknem, pożytecznem lub zyskownem było, przyswajano sobie raźno. Wyrób udoskonalał się z dnia na dzień, zamożność mieszkańców i sąsiednich włościan wzrastała. Cyrkulacya pieniędzy obfita sprowadziła w naturalnem następstwie zniżkę stopy procentowéj. Założyciel nie przestawał myśléć nad tém, co z jakiéjkolwiek strony korzyść lub ulepszenie stanowić mogło. Zaprowadzono nawet uprawę roślin farbierskich, jak: marzanna, *krappe de garance* i t. p. Próby téj kultury, jak niemniéj ostów do kardowania, na które duże teraz zagranicę wychodzą sumy, udawały się wybornie pod nadzorem dwu sprowadzonych z pod Wrocławia specyalistów. Przybył też ogrodnik z ogrodu botanicznego w Paryżu do hodowania drzew owocowych.

W przeciągu lat siedmiu z czterech domków kuźniczych osada wzniosła się formą do typu zamożnych miast europejskich niższego

---

[1]) Oto jaka była ta taniość placów podówczas: plac pod teraźniejszy hotel Paryski nabyto za 10,000 złotych polskich na 12-letnią rozpłatę; pod obecny dom Herknera za 500 złp.; gdzie teraz magistrat, za 4,000 złp. na rozpłatę. Mniejsze lub gorzéj położone place można było miéć darmo; między innemi plac, gdzie się pierwsza mieściła apteka Lange'go, późniéj Eborowicza, a dziś Knabego.

rzędu. W roku 1827-ym urząd skarbowy oplombował 4,800 postawów sukna.

Osada posiadała już wówczas: dwie wielkie przędzalnie poruszane wodą, wyborne maszyny niderlandzkie, apreturę urządzoną podług najnowszéj metody, przeszło 300 warsztatów, kilkunastu biegłych postrzygaczy, 4 folusze; nadto fabrykę powozów, poczynając od zwykłéj bryczki, do najwykwintniejszych pojazdów, Wielki Piec, mniejszy giserski, 2 fryszerki, 2 kościoły, bóżnicę, ekspedycyę pocztową, aptekę, doktora, felczera, akuszerkę, kilka sklepów, resursę zaopatrzoną w pisma zagraniczne i krajowe, kantor informacyjny i obstalunkowy (którego dziś niema), kilkanaście domów zajezdnych, dziesięć jarmarków zwyczajnych, dwa walne oraz targi tygodniowe.

Nie trzymając się jedynie wydeptanéj ścieżki tylko wyrobów wełnianych, jak to dziś ma miejsce, Tomaszów posiadał, niezależnie od głównéj produkcyi, fabrykę płótna, płócienek, tasiemek, tkanin wełnianych (o 16-tu już warsztatach) oraz fabrykę perkalu.

W rogu rynku mieścił się obszerny teatr, gdzie Ratajewicz ojciec ze swém towarzystwem uznojone całodzienną pracą rozweselał czoła. Dziś w miejscu tém, zamiast brawa dzieciom Melpomeny, biją się pokłony cielcowi złotemu.

A ołtarze jego rozsiadły się tak szeroko, tak wszechwładnie, że przysłoniły sobą wszystko, co było lepszych aspiracyi, podnioślejszych dążeń. Opowiadają sobie, jak o żelaznym wilku, że przed laty kwitły tu serdeczne stosunki, że umiano się bawić ochoczo, że organizowano wycieczki, urządzano szkółki, że kwestye społeczne obchodziły ogół cały.

Gdzież to wszystko?

Wrogowie cywilizacyi na usprawiedliwienie tego zaniku nie mogliby na ten raz nawet dosiąść swego konika. Postęp bowiem, jakby zaklęty, zatrzymał się u bram tutejszych, zabarykadowanych szczelnie od wszelkiego z szerszego świata świéżego prądu. Kiedy dawniéj ceniono tu, jak mówią, człowieka dla jego osobistéj wartości, dziś blaskiem bryłantów olśniona ograniczoność każdéj chwili oczy zmrużyć gotowa nie na jeden, ale na wszystkie siedm grzechów głównych. Byle kasa nabita, bodaj dla celów społecznych na dziesięć spustów zamknięta, hołd wielkości należny obudzi.

Lecz nie tu miejsce na refleksye.

W r. 1830 Tomaszów wyprodukował już samego sukna za 4 miliony złotych polskich, w tym téż roku osada podniesiona została do stopnia miasta, co dnia 8 września 1830 r. uroczyście ogłoszono.

„Ogłoszenie Tomaszowa miastem — pisze do bawiącego podówczas zagranicą założyciela plenipotent tegoż, Olszewski — odbyło się z naywiększą przyzwoitością y powagą iakiey akt ten wymagał. Ceremonię rozpoczęła procesya y poświęcenie Domów, aż do Pałacu y Sali posiedzeń, która była w Sali Apolina; poczem Komisarz w asystencyi 4-ch Burmistrzów sąsiednich w zwięzłey przemowie wystawił usiłowania Dziedzica, pomyślnego skutkiem dla mieszkańców—uzyskania przywileiu na Miasto. Mnóstwo ludzi było obecnych, lecz Niemcom przyszedł grymas i tylko kilku ich przybyło, to jest: Stumpf, Goldszmit, Hertel, Blachman, Fryderyk Müller, Felsch, Hayde. Reszta, to jest znaczniejsi, uproiektowali sobie polowanie na ten dzień — mnieysza o to, obyło się zupełnie bez nich, zapewne bali się, aby ławnikiem który z nich nie był obrany."

„Mowa komisarza odczytana była następnie w języku niemieckim, poczém komisarz ogłosił Miasto, Burmistrza i Ławników zainstalował i przysięgę od nich odebrał publicznie, i na tém akt cywilny ukończony został, poczém z procesyą wszyscy udaliśmy się do kościoła, gdzie odbyło się wielkie Nabożeństwo z Kazaniem przez ks. Klonowskiego powiedzianém."

„Kazanie było dobre, ale że nasz Ksiądz, iak zwykle uszczypliwy, wiele niepotrzebnych rzeczy nagadał — obraził obecnych urzędników. Mszę celebrował ks. Ratyński, Dziekan,—obecnych na Nabożeństwie było oprócz tego 2 Xsięży, to jest: X. Zaremba i X. z Lubochni. Po skończoném nabożeństwie dla Miasta nowego odśpiewano „*Te Deum*", w czasie którego dał się słyszéć huk naszego pułku Artyleryi mieyscowego. Nakoniec po skończonym kościele Burmistrz z Trębaczami po wszystkich Rynkach y Ulicach znacznieyszych obwoził i ogłosił Miasto i na tém Ceremonia ta zakończyła się."

„O godzinie 3-éj z południa rozpoczął się Obiad i trwał do piątey, było na nim osób 36 Samych tylko Urzędników z Warszawy przybyłych,—po 3-godzinnym odpoczynku rozpoczął się Wieczór, na który zaproszone było przezemnie z Obywateli Tomaszowa Osób 70, lubo nie wszyscy przyszli, jednakże co było wybornie się zabawili. Ci, co nie byli, odżałować tego nie mogli. Wieczór tego dnia przyiemny y ciepły mnóstwo ludzi sprowadzał na Ulice przypatruiących się Illuminacyi, w czasie którey słychać było odgłosy wiwatów. Żydzi przebrani w postaci Heroldów na koniach po mieście ieździli strzelaiąc,—iednem słosłowem, okazale, przystoynie i z wszelką spokoynością odbyliśmy ten ważny Akt dla Tomaszowa i pamiętny w Dzieyach Jego."

Tomaszów, już miasto, miał podówczas 500 domów, pocztę, urząd skarbowy, ekspedycyę towarową, dwa kościoły, parę domów modlitwy, hotel, otrzymał też 12 jarmarków, z tych dwa trzydniowe.

Dziedzic w dalszym ciągu dawał darmo grunta pod budynki: w Starzycach na przędzalnię bawełny o sile wodnéj i na drugą po drodze do Lubochni, już poruszanéj parą. Wykończone fundamenta téj drugiéj oddawna porosły lasem.

Ponieważ w projekcie było połączyć Tomaszów z Ujazdem, jako początek właśnie tego łącznika, stanęła fabryka starzycka. Na drodze ku Brzostówce miał być po jednéj stronie rynek zbożowy, po drugiéj targ na bydło. Znajdowały się tam nawet przysposobione już na przyszłe potrzeby porządne dwie studnie. U początku szosy założono fundamenta pod kościół katolicki. Plebania była już pod dachem. Pod Zawadą stanęło 32 domków (Nowo-Ostrów), gdzie mieszkać mieli tkacze płóciennicy.

„Trzeba zacząć od końców — mówił założyciel — ku środkowi budować się będą sami".

Czy można było spodziewać się tak szybkiego a pomyślnego rozrostu, kiedy tak niedawno jeszcze pierwszy farbiarz Stumpf, chciał zwrócić 500 rs. zadatku i uciekać z tego pustkowia. W środku lasu, na krzyżowych drogach, z których jedna biegnie ku Zawadzie, druga zwraca się do Dąbrowy, znajdował się jeden ogród spacerowy, a w saméj Zawadzie, na drodze do Piotrkowa, drugi, oba z restauracyami. Dziś niema ani jednego odpowiedniego do spaceru miejsca, ani jednéj szerszéj przestrzeni, tylko w dolince pod lasem kilka krzaczków sterczy, jakby na świadectwo lepszéj, dawno minionéj przeszłości. Boć przecie miejscem spacerowém nie nazwać ogródka klubowego, gdzie tak zwaną aleją nie przejdą obok siebie dwie osoby, ażeby się nie trącić łokciami. To też to jedyne miejsce, mające zogniskować ruch towarzyski, nie jest bardzo uczęszczaném. Pomyślny rozrost miasta dawał nadzieje ujrzenia go drugim Manchestrem, tak przynajmniéj obiecywał sobie założyciel, kiedy nadszedł rok 31. Hrabiego Antoniego nie stało. Miasto powoli w gruzy rozpadać się zaczęło. Przemysł sukienniczy upadł. Fabryki: Starzycka, Batawia i inne ledwie mizerną wlokły egzystencyę. W pałacu, kupionym z licytacyi wraz z kilkoma morgami lasu za 10,000 złotych, rozsiadła się fabryka niemca, Krama. Ścieżki przepysznego parku, przytykającego od wschodu do mostu wjazdowego, od zachodu do poczty, od północy pod browar za miasto, od południa do rynku, zarosły chwastem. Fundamenta pod kościół na drodze ku Zawadzie rozpadły się. „Co się tam bezemnie dzieje — z bólem wykrzykuje z obczyzny założyciel — nie wiem wcale, ale wiem coby się działo, gdyby mię przeznaczenie nie było z pola spędziło."

Domki, wystawione dla sukienników, częścią porozpadały się same, częścią porozbierała je na opał niesumienna ręka mieszkańców. Miasto, produkujące już wówczas za pół miljona rubli, jakby w letarg popadło. Zewsząd wiało pustką. W dwadzieścia sześć lat z górą, w r. 1857, ruch przemysłowy, acz nie w tak gorączkowém, jak początkowo, tempie, do którego chyba że niepowróci już nigdy, na nowo toczyć się począł. Syn założyciela, hr. Stanisław Ostrowski, sierotą powrócił do kraju.

Z pod popiołów przeszłości wyłaniać się poczęła teraźniejszość.

Żydkowie, którzy przy konfiskacie za bezcen nabyli ruchomości i nieruchomości, pamiętni obywatelskiéj tolerancyi ojca, podążyli skwapliwie zwrócić jedne i drugie spadkobiercy. Tylko niemiec Kram robił trudności ze zwrotem zajętego na fabrykę pałacu, z którego kompletnie Augiaszowa zrobiła się stajnia.

Na parę już lat przedtém, wskutek cła protekcyjnego, zakłady zaczęły prosperować na nowo. Miasto miało wówczas 4000 mieszkańców, a produkcya dochodziła do miliona rubli. Scheibler, będący podówczas w Ozorkowie w przędzalni Schlessera dyrektorem-mechanikiem, wystudyowawszy w podróży swéj do Anglii budowę maszyny parowéj, przyswoił ją w kraju. Ponieważ jednak tamtejsi robotnicy nową współpracownicę przyjęli z nienawiścią, rąbali i palili, wprowadzenie tutaj pierwszéj maszyny powitano z wielką obawą. Pierwsza machina parowa natrafiła na charakterystyczną tutejszą apatyę. W roku 1858 miasto posiadało już 5 maszyn parowych. W r. 1866 ludność wzrosła do 7000 głów, wyrabiano już sukna za 2 miliony rubli.

W latach następnych nowy zastój. Przybytek ludności bardzo nieznaczny, produkcya nie zwiększa się.

Rok 1874 jednak zaznaczył się rozkwitem. Otwarcie drogi żelaznéj odsłania szersze rynki zbytu. Ludność wzrasta do 9000, produkcya dochodzi do 4-ch milionów. W r. 1878 powstają znaczne fortuny, a w roku następnym ludność dochodzi do 12,000. Miasto posiada już 22 zakłady z motorami parowemi, 200 fabryk i warsztatów ręcznych, obrót wynosi $6^1/_2$ miliona rubli.

Od tego czasu przemysł, z powodu peryodycznych przesileń ekonomicznych, wznosi się bardzo wolno.

Ludność wzrosła, ubyły natomiast 3 znaczne fabryki: Starzycka, Goldmana i Jahna. Na ich miejsce przybyła jedna — Landsberga. Poczęta jeszcze w r. 1857 na kilku ręcznych warsztatach przez nieżyjącego już Hilarego Landsberga, w roku, o którym mowa, ulokowała się w fabryce Boesiga, już jako samodzielna przędzalnia, dzięki czemu w latach 1877-8-9, mogła powiększyć znakomicie naówczas rentującą produkcyę, a wreszcie w r. 1881 zbudować już własną fabrykę w szczu-

płym zakresie, składającą się z tkalni mechanicznéj, farbiarni i folusza. Dzięki nadzwyczajnym wysiłkom i uczciwéj pracy zdołała przetrwać najkrytyczniejsze dla przemysłu tutejszego lata 1884 — 1887, poczém miarowo powiększać i uzupełniać się poczęła tak, że w roku 1894 dawała już pracę 300 przeszło parom rąk, przyswajając sobie przy tém wszystkiém ulepszenia tak pod względem technicznym, jak i higienicznym.

Powodzenie swe fabryka zawdzięcza w znacznéj części staraniom pracujących w niéj od lat 26-ciu dyrektora p. Aleksandra Landsberga, a od ostatniego lat dziesiątka syna właściciela, p. Feliksa Landsberga. W r. 1885 widzimy już w Tomaszowie 15,000 mieszkańców, 4 przędzalnie parowe i wodne, 5 fabryk parowych, 1 młyn za mostem, 1 browar, 3 kompletne fabryki sukna, t. j. takie, do których wełna dostawszy się surowym produktem, wychodzi gotowym już towarem, razem 19 zakładów parowych i wodnych. Robotników, pracujących w fabrykach 8000; zbyt głównie do Cesarstwa, a nawet do Buchary.

W r. 1884 bardzo pierwotna komunikacya na Rokiciny ustąpiła miejsca dogodniejszéj: Na wschód od miasta, wybudowano stacyę kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiéj, odległą z jednéj strony od Koluszek o 10 minut, od Opoczna o 25.

Ponieważ jednak w przeznaczeniu Tomaszowa leży zawsze jakieś „ale“, koléj nie dochodzi do miasta samego, lecz się odsunęła od niego o $2^1/_2$ wiorsty.

Obecnie to już bagatela, biegną bowiem po przez las pod osadą Gustek jedna, a za pocztą druga, dwie wygodne szosy, na których przynajmniéj całość kości pasażerów nie jest na szwank narażona.

Tu jednak drugie „ale“: jedynie ku utrapieniu rodu ludzkiego wymyślony most olbrzymi, na który po to tylko trzeba się wspinać z jednéj strony, aby fizycznie rozbitym zejść zeń na drugą. Most ten niejedno życie ludzkie ma na sumieniu. Patrząc z jego wysokości, pozostawiwszy po za sobą ruch i gwar w Koluszkach, widzisz w dole ciemną, jakby styxowa dolina, czeluść, pośrodku któréj majaczeje coś, do charonowéj podobnego łodzi. Zapanuj jednak nad nerwami. To nie żadna lokomocya potęg podziemnych. To poprostu dwa marne wagony oszczędnéj kolei Iwangrodzkiéj, tak po części zapchane, że przyczepiony bywa trzeci, aresztancki, zamiast obrzydzenia, uczucie ulgi w biednym nie mającym się gdzie podziać budzi pasażerze.

W owym czasie ludność *robocza* dochodziła do 8,000. Naturalną rzeczy koleją, cyfra ta z upływem lat wzrość winna była znacznie, a tymczasem liczba ludności wogóle wzrosła do 23,000, ilość zaś robotników zredukowała się do $^3/_4$ poprzedniéj cyfry.

To téż myliłby się ktoby sądził, że miasto nasze wielkiego wyłącznie przemysłu jest siedliskiem. Przeciwnie, statystyka przechyla w znacznéj części szalę na stronę drobnego handlu i drobnego przemysłu. I tak np. w r. 1896 na ogólną liczbę 862 świadectw handlowych, siedmdziesiąt kilka zaledwie było drugiéj gildyi.

Druga przyczyna redukcyi zastępów robotniczych leży w ciężkich burzach ekonomicznych, które peryodycznie zmiatają z globu drobne efemerydy przemysłu. I nie dziw: byle rok pomyślny, szewc, rzeźnik i t. d. z dnia na dzień promuje się na fabrykanta.

W r. 1894 np. wszystkie rudery w mieście, jakby pod czarodziejskiém dotknięciem, przedzierzgnęły się w fabryki, które, jak owe z bajki na kurzych nóżkach domki, piérwsza zawierucha zdmuchnęła z powierzchni, gdy tymczasem te z zakładów, co zdrowemi korzeniami silnie się w grunt wparły, istnienie swe coraz pomyślniéj rozwijają.

Do prowadzenia fabryki, tak jak do prowadzenia wojny, potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. I jeszcze trzech: pracy, pracy, pracy. I to pracy rozumnéj, wytrwałéj, a zasadzającéj się na jakiéj takiéj przynajmniéj kompetencyi. Tylko grzybom daném jest wyskoczyć nagle z pod ziemi. Obecne, ciężkie warunki bytowe wyparły przysłowie: „głupi ma szczęście.”

Skończywszy na ile nas stać sumarycznie z historyą starożytną i średnią, przejdźmy do mniéj ciekawéj nowożytnéj. Wędrówkę po mieście nowéj doby zacznę od kościoła na Brzostowskiéj, którego budynek, rozpoczęty w r. 1862, w dwa lata późniéj, 23 października 1864 roku, dla pobożnych otwartym został. W r. 1891 rozszerzony, z utworzoném od głównéj ulicy wejściem o nowéj misternéj kracie żelaznéj, wielką téj ulicy stanowi ozdobę.

Ulica sama, szersza od Marszałkowskiéj w Warszawie, zyskawszy obecnie kilka pięknych domów, cukiernię, któréj miejsce zastępowały dotąd jedynie knajpy, bruki i wygodne chodniki, zabudowuje się coraz bardziéj ku kresom miasta, gdzie wystawiony w r. 1887 szkielet szpitala patrzył przez 4 lata jamami niewykończonych drzwi i okien z wyrzutem na ospałość tutejszą. W r. 1891 szpital wykończony i ku pożytkowi bezdomnéj nędzy otwartym został. W r. 1891 staraniem miejscowego lekarza zyskał budynek na salę sekcyjną i dom przedpogrzebowy. Obecnie projektuje się powiększenie gmachu, który na potrzeby miasta okazuje się niewystarczającym.

W bliskiém sąsiedztwie szpitala położono w r. 1897 kamień węgielny pod kościół ewangelicki. Śliczny, w gotyckim stylu budynek doszedł już do dachu.

Na obocznéj ulicy Pilicznéj pomieszczono w r. 1887 filię banku państwa. Arcypożyteczna ta dla państwa instytucya mieściła się poprzednio, od daty założenia w r. 1884, na Rynku w domu Śpiewaka.

Ulica sama zabrukowała się, dostała flizy. Domy jéj, otynkowane świéżo, patrzą balkonami i oknami swych frontów na porządny, gęsto zadrzewiony skwer przed pocztą.

Trzecia, Piotrkowska szersza jeszcze od Brzostowskiéj, zadrzewioną została w tym roku trzema rzędami lip, klonów i kasztanów. Nie estetycznie tymczasem wygląda owa aleja przyszłości, gdyż wobec nieszanującego nic wandalizmu proletaryatu trzeba ją było otoczyć ogrodzeniem.

Wszystkie wogóle główniejsze ulice zyskały w ostatnich dwu latach bruki i chodniki.

To, co my tu nazywamy ożywionym już ruchem budowlanym, jest w gruncie rzeczy tylko ospałą parodyą ruchu, bo kiedy Łodzi w ciągu roku przybywają setki budynków, nam, w tym już ożywionym, przybyło zaledwie 12 (nie licząc chałupek, stawianych od Bociana i Gustka ku miastu, do którego zbliżają się coraz bardziéj, obiecując w końcu duże te wsie z niemi połączyć).

A takie wielkie a tanie obszary leżą odłogiem.

Zajmująco wyglądają obok olbrzymów kilkopiętrowych teraźniejszości zabytki przeszłości, karzełki, z zasuniętym w ziemię fundamentem. z płotkiem grochem obrosłym i żórawiem po środku.

Na ogół wziąwszy, miasto niezgorsze robi wrażenie. Roślinności wszędzie mnóstwo; po za każdym prawie domkiem ogródek, pomiędzy dolną a górną częścią miasta przepyszny staw, w którym przegląda się kilka fabryk i willa Elbla, jakby w koszu zieleni schowana.

W stronie południowo-wschodniéj—Pilica, na wysokości Tomaszowa zwraca się ku wschodowi, przyjmując w punkcie swego załomu wartką Wolbórkę, pod osadą Gustek (ongi wielki piec Stan. Lud. Kronenberga, późniéj własność B. Handkego), dziś, jako posiadłość Hr. Juliusza Ostrowskiego, urządzona wyłącznie na letnie mieszkania, zajęte w części przez tutejszych mieszkańców, przeważnie jednak przez Łodzian.

W bliskości Gustka już nad samą Pilicą, „Bocian" ma téż letnie mieszkania. Okolica w téj stronie wogóle malownicza. Daléj od Gustka „Modre wody", coś, czego całéj piękności zrozumiéć nie może ten, co tego własnemi nie widział oczyma. Wyobraź sobie, czytelniku, spokojną, gładką, nieruchomą, niby z cieniutkiego szkła ulaną taflę wody, na któréj dnie każdy, zda się, kamyk policzyć możesz. Brzegiem ja-

kieś, jakby miniaturowe rafy, jakieś wężowe skręty dziwnych roślin podwodnych. A tam daléj na środku wiecznie kotłujące się wiry, jakieś drobne fontanny, kłęby wypychanéj od spodu wody, wytryski,— a wszystko to nakryte ową szklanną taflą, mieniącą się o południu cudnemi, seledynowemi barwami. Aż się w głowie zawraca od tego ciągłego ruchu, od tego tajemniczego wrzenia i kotłowania.

Zagranicą wyzyskanoby takie cudo, zbadano własności téj, bądź co bądź, niezwyczajnéj wody, odbywanoby pielgrzymki do tak pięknego miejsca. Tutaj, kto to raz widział, ma dosyć na całe życie, a znajdziesz i takich, którzy się o to nie kuszą wcale.

Ciekawe też pieczary mają Nagórzyce na krawędzi wyniosłego brzegu rzeki. Daléj – klasztor św. Anny. Daléj jeszcze o 9 wiorst w lasach nadpilickich,—pałac cesarski „Spała".

Najwięcéj wdzięku dotąd dodawało to, że miasto stało w istnym wieńcu lasów. Dziś w wielu już miejscach „*nec locus ubi Troja fuit*". Niezadługo też piękny las ku Piotrkowu, prawdziwe płuca zadymionego i zapylonego miasta, należéć będzie do przeszłości.

A co wtedy stanie się ze zdrowotnością?

Widząc dotąd okalający nas zielony wieniec lasów, wijącą się dookoła srebrną wstęgę wody, gotówbyś sądzić, że droga do cmentarza chwastem zarasta, a grabarz motyki ze rdzy oczyścić nie może; tymczasem, nigdzie chyba gruźlica tylu nie porywa ofiar, żadnych bagien malaria nie trzyma się tak stale, jak gruntu tutejszego. A przyczyna?

Tych wiele. A przedewszystkiém, miasto, jak niechlujna kokietka wystrojona po wierzchu, ma bocznice, na których kałuże wody, zielonéj od gnilnych pleśni, czekają na uśmiéch słońca, od którego zaledwie osuszone, po pierwszéj ulewie na dawne wracają stanowisko.

Znakomity też rozsadnik chorób stanowią mieszkania proletaryatu, duszne, brudne, przeludnione, dziedzińce cuchnące i t. d.

Fabryk w obrębie miasta, nie licząc drobnych warsztatów, posiada Tomaszów 46. Wszystkie znaczniejsze oświetlone elektrycznością.

W ostatnich czasach z powodu taniości obszarów przyjął się system t. zw. „*Schetbau*" z oświetleniem z góry (fabryki Wohla, Herbsta). Wchodzą też w użycie nafto- i gazo-motory.

W wielu gmachach mieści się po kilka fabryk, dzierżawionych wraz z siłą pary.

Extra muros znajdują się: fabryka Starzycka, sięgająca początków Tomaszowa, ze słynną na całą okolicę za czasów pierwszego posiadacza Stumpfa farbiarnią i foluszem. Po śmierci właściciela, fabryka przebywa różne perypetye, aż w końcu w r. 1886 doszczętnie strawiona przez pożar, stoi nie odbudowana przez lat kilka. W r. 1889,

przechodzi na własndść Susmana Bornsztajna, a po śmierci tegoż w ręce spadkobierców, którzy ją znowu do kwitnącego przywracają stanu.

Daléj fabryka „Józefów," a w sąsiedztwie Starzyc, po drugiéj stronie plantu kolejowego—„Wilanów," największa swojego czasu przędzalnia. Znał ją doskonale każdy z dawnych fabrykantów, dochodząc dzięki niéj do gotowéj przędzy.

Po za fabrykami głównego produktu wełny, posiada miasto jeszcze kilka parowych ślusarni, fabrykę zapałek nowego systemu, tartaki, młyny, cegielnie, a na zachód w dolinie Wolbórki—fabrykę dywanów Rolanda, wyrobami swemi konkurującą z Moskwą. Założona w r. 1855 przez Edwarda Rolanda, nieżyjącego ojca obecnego właściciela, wytrwałą pracą wyrób swój do takiéj doprowadziła dobroci, że się na wszystkich rynkach Królestwa i Cesarstwa cieszy wielkiém uznaniem. Pierwsza zaprowadziła u nas wyrób chodników z rośliny „Piasteva".

Z instytucyi, największą żywotność wykazuje straż ochotnicza, licząca już obecnie 140 członków. Od roku szczególniéj 1896-go instytucya ta, tak wielkiéj dla bezpieczeństwa publicznego doniosłości, pod energicznym kierunkiem obecnego komendanta, kwitnącym cieszy się stanem. Dobrze się téż dzieje telefonom, zaprowadzonym tu w 1892, które z liczby 5-ciu połączeń doszły w mieście do ilości 65, nie licząc w to 5-ciu połączeń z Łodzią.

W r. 1893, z polecenia władzy, przy fabrykach ustanowiono „kasy chorych," instytucyę, która nietylko zabezpiecza byt robotnika na wypadek choroby, ale i wpływa nań umoralniająco, wiodąc za sobą solidarność i przywiązując go do miejsca.

Już poprzednio fabryka J. Halperna, przyswajająca sobie każdy nowy dorobek, czy to na drodze ulepszeń technicznych, czy dla dobra pracowników podjęty, zaprowadziła u siebie taką kasę.

Od Nowego roku 1898 zaprowadzono unormowanie dnia roboczego do 11 i pół godzin. Nie wglądającym w istotę rzeczy taka redukcya godzin pracy wydać się mogła krzywdą dla fabrykantów, w praktyce jednak wykazuje ona rezultaty wielce dodatnie.

W końcu października 1897 r. gmina ewangelicka zapoczątkowała dom, a raczéj domek przytułku. Drobny to posiew dobréj woli, który dalsze zabiegi w obfity plon zamienić mogą.

Gdybyż choć drobne zapoczątkowanie jednéj bodaj ochrony, niezbędniejszéj niż w innych miejscach tu, gdzie świt wprzęga do taczki życiowéj rodziców, aby ich noc zaledwie z niéj wyprzęgła.

Przedstawicieli prawa miasto ma aż czterech, żadnego jednak przybytku Temidy, tak że sędzia pokoju, dla załatwiania spraw miejscowych, zjeżdża tu co dwa tygodnie na dni parę.

Projektuje się co prawda przeniesienie do Tomaszowa sądu pokoju, banku hypotecznego, ale te, jak i wiele innych projektów i ulepszeń, jak na tymczasem, spoczywają w owéj szufladzie, w któréj Tomaszów tyle już nieziszczonych złożył projektów i pragnień.

Mówi się np. od lat kilku o wystawieniu budynku na teatr, ale skutku napróżno wyglądamy.

Toż samo i ze szkołami.

Szkół początkowych tak niedostateczna jest liczba, że przeszło połowa dzieci w wieku szkolnym skazana jest na mimowolne próżniactwo. Szkoły średniéj niema ani jednéj, ani jednéj téż szkoły zawodowéj.

Ale co najdziwniejszém, to to, że nie licząc Pilicy, kąpiel reprezentowaną jest jedynie przez mykwę żydowską.

Już to, czytelniku, na punkcie spotrzebowanego mydła i zadrukowanéj bibuły nie próbuj do Tomaszowa europejskiéj przykładać miary, bo jeśli czytelnia klubowa na wzór wieży Pizańskiéj wiecznie chyli się do upadku, to mniéj wytrwała prywatna, syta wędrówki z rąk do rąk, od roku już przeszło lary swe i penaty w gościnniejsze przeniosła progi.

I tak: reasumując dorobek Tomaszowa w ostatnim okresie, znajdujemy, że gwoli zadowoleniu oka, wygodzie nóg nawet stało się zadość, tylko wołanie „*fiat lux*" z żadnéj strony znaléść nie potrafi dostępu. Bo jeśli tych parę rzadkich, migotliwych latarń po ulicach nie jest w stanie przebić czarnych prawdziwie ciemności bezksiężycowych nocy, to gorzéj jeszcze z umysłowością, która nawet takich marnych wytycznych punktów światła nie posiadając, przesypia spokojnie rok za rokiem, aby co raz do nowéj przewracać się drzemki.

To téż kiełkowaniu wszelakiemu w kierunku postępu zawsze na drodze stanie coś, co mu z embryologicznego wyłonić się nie pozwala stadyum.

Na potwierdzenie powyższego stają w szeregu fakta tak poważnéj natury, jak: brak szkół, kąpieli, cechów w spoczywających jeszcze w kolébce rzemiosłach.

O ileżby wzmógł się dobrobyt miasta, gdyby nie było skazane na importowanie wszystkiego, co w lepszym pragnie miéć gatunku: miejscowym bowiem wyrobem kontentować się niepodobna.

Zobaczysz np. w willi, przed kilkoma zaledwie zbudowanéj laty, posadzkę tak spękaną, jakby ją już co najmniéj kilka wydeptało po-

koleń. I tak ze wszystkiém, począwszy od buta, a kończąc na szafie lub stołku.

Brak wszelkiéj organizacyi. Tak silnie nawet reprezentowany cech tkacki egzystencyę swą manifestuje jedynie pompatyczném powiewaniem chorągwi na pogrzebach.

A ochrony? A tak łatwe tu z powodu tanich obszarów i bliskości lasu kolonie letnie, o które modlą się bezwiednie blade, nędzne twarzyczki wydziedziczonéj dziatwy?

A uporządkowanie dobroczynności publicznéj, któréj sumieniu wystarcza setki rubli co miesiąc pochłaniająca, łatwa, a źle zrozumiana jałmużna, rzucana owym zastępom roznosicieli wszelkiéj infekcyi fizycznéj i moralnéj?

Miejmy nadzieję, że świt stulecia nowego świeże, odżywcze prądy w anemiczny ten, umysłowo stępiony organizm wprowadzić potrafi.

„Kto chce utrzymać byt swój, musi bronić tego co posiada, musi bezustannie iść naprzód, czy jest jednostką, czy też społeczeństwem.”

Emilia Topas-Bernsztajnowa.



Pierwotne nasze szkoły.



Dr. Antoni Karbowiak. „Dzieje wychowania i szkół w Polsce w wiekach średnich. Część pierwsza, od 966 do 1363 roku." Petersburg, 1898, str. VIII i 339 (nakładem księgarni Kazimierza Grendyszyńskiego).

Pół wieku prawie upłynęło od czasu, jak Józef Łukaszewicz wydał tom pierwszy swego dzieła, p. t. „Historya szkół w Koronie i Wielkiém Księstwie Litewskiém". Pomnikowa ta monografia, będąca, jak dotychczas, jedyném u nas dziełem naukowém, obejmującém całokształt dziejów oświaty naszéj, jest już jednak dziś nie wystarczającą nietylko ze względu na metodę, lecz i na ilość zużytkowanego materyału, który jest obecnie, dzięki wciąż ogłaszanym źródłom dziejowym, o wiele bogatszy. Tém przeświadczeniem wiedziony, zamierzył dr. Antoni Karbowiak podjąć na nowo pracę około napisania historyi wychowania i szkół w Polsce od najdawniejszych czasów, t. j. od czasów przyjęcia chrześciaństwa, aż do roku 1510, t. j. aż do synodu piotrkowskiego, którego datę poczytuje autor za kres epoki średniowiecznéj oświaty polskiéj. W roku bieżącym ukazał się tom pierwszy zamierzonéj monografii, mieszczący w sobie historyę oświaty aż do roku 1633-go, czyli do założenia przez Kazimierza Wielkiego uniwersytetu w Krakowie.

W pracy swojéj sumiennie zużytkował autor źródła historyczne, jako to: roczniki, katalogi biskupów, kroniki, żywoty świętych, kodeksy dyplomatyczne i t. p. Że jednak te wszystkie źródła nie wystarczają

do odtworzenia pełnego obrazu oświaty, stąd, wychodząc z zasady, że podstawy i urządzenie szkół średniowiecznych były zupełnie te same w Polsce, co w Europie zachodniéj, posługiwał się p. Karbowiak metodą porównawczą, opierając się na monografiach, oświaty niemieckiéj i ogólno-europejskiéj dotyczących, jakiemi są: „*Geschichte des Unterrichtswesen in Deutschland*" Specht'a, „*Klassische Studien im Mittelalter*" Bursian'a, „*Die Erziehung im Mittelalter*" Masius'a, „*Die Universitäten des Mittelalters*" Denifle'a, „*Les écoles épiscopales et monastiques de l'occident*" Maitre'a, a nawet na studyach specyalnych, jak np. „*Geschichte des mathematischen Unterrichtes im deutschen Mittelalter*".

W korzystaniu z tych dzieł i w stosowaniu zawartych w nich wiadomości do historyi oświaty polskiéj postępuje autor umiejętnie i ostrożnie, tam tylko uciekając się do pomocy analogii, gdzie tego konieczna zachodzi potrzeba, t. j. tam, gdzie źródła krajowe są niewystarczające. Wogóle monografia p. Karbowiaka jest to rzecz ściśle naukowa, opracowana bardzo sumiennie, z widoczną miłością przedmiotu, oparta na szczegółowych badaniach i wszechstronném zgłębieniu źródeł.

W historyi polskich szkół średniowiecznych wyróżnia autor cztery okresy. Okres pierwszy obejmuje czasy od roku 966 do 1215, t. j. do czwartego soboru lateraneńskiego, który uchwalił prawne podstawy do tworzenia nowego rodzaju szkół łacińskich, tak zwanych szkół parafialnych. Okres drugi kończy się w roku 1363, jako poprzedzającym rok założenia akademii krakowskiéj. Wraz z tym faktem rozpoczyna się okres trzeci, który trwa aż do wystąpienia Grzegorza z Sanoka z wykładami humanistycznemi w uniwersytecie Jagiellońskim, a więc do roku 1433-go. Okres czwarty wreszcie, nazwany przez autora przejściowym, obejmuje czasy od r. 1433 do 1510, w którym to roku synod piotrkowski domaga się reform we wszystkich szkołach. Tym sposobem tom pierwszy dzieła p. Karbowiaka jest historyą oświaty w dwu pierwszych okresach; rokiem granicznym pomiędzy niemi jest rok 1215, który, jak twierdzi autor, „musi być z wielu względów uważany za początek nowego... w dziejach edukacyi i szkół w Polsce... okresu." Jakież to względy? Ten przedewszystkiém, że po roku 1215 zaczęły powstawać, jak w całéj Europie zachodniéj, tak i u nas, szkoły parafialne. Lecz, właściwie mówiąc, one istniały i przed czwartym soborem lateraneńskim, tylko że nie jako szkoły odrębne, lecz jako części szkół wyższych; wszak sam autor powiada na str. 178, że „téj saméj nauki, któréj udzielano w szkołach parafialnych, można było nabyć w najniższym oddziale szkół katedralnych, kolegiackich i klasztornych", a na str. 195, że w planie nauki elementarnéj „nie zaprowadzono... żadnych

istotnych zmian". Ten więc wzgląd w żaden sposób nie wystarcza, aby od r. 1215 rozpoczynać nowy okres w historyi oświaty. Nie wystarcza i wzgląd drugi, że zakon św. Dominika, zatwierdzony w tymże 1215 roku przez Inocentego III-go, wytworzył potężną szkołę teologiczno-filozoficzną z Tomaszem z Akwinu na czele, wskutek czego wyjazdy Polaków zagranicę w celach naukowych stały się częstszemi. Prawda! lecz to bezpośrednio szkół polskich nie dotyczy, bo domikańska szkoła teologiczna niewielki wywarła wpływ na umysłowość i na zakres nauk szkolnych w Polsce. Cel wychowania i w pierwszym i w drugim okresie był jeden i ten sam — przygotowanie młodzieży do stanu duchownego; nauka języka łacińskiego, mimo że w drugim okresie autorowie średniowieczni rugują po części ze szkoły pisarzów starożytnych, jest taka sama; w systemie nauczania nie zaprowadzono ani jednéj ważniejszéj zmiany. Słowem, że podział historyi oświaty polskiéj przed założeniem uniwersytetu krakowskiego na dwa okresy nie ma właściwie żadnéj podstawy. Ten zaś podział pociągnął za sobą rzecz, bardzo nie korzystną dla układu książki p. Karbowiaka: kréśląc dzieje oświaty osobno w okresie pierwszym, a osobno w drugim, autor z konieczności musi się powtarzać, tam mianowicie, gdzie opowiada o programie nauk i zarządzie szkolnym.

I w niektórych pomniejszych szczegółach autor często się powtarza, kilkakrotnie mówiąc np. o wytworzeniu nowéj szkoły teologicznéj przez dominikanów, o tém, że arytmetyka w szkołach średniowiecznych była konieczną do zrozumienia teoryi muzyki, o tém, że retoryka w wiekach średnich nie miała tego znaczenia, co w średniowiecznym Rzymie i t. d. Wogóle pod względem kompozycyi nie jest książka p. Karbowiaka bez zarzutu, to jednak nic nie obniża jéj wartości, polegającéj na tém, że jest ona ściśle naukową historyą szkół i wychowania w Polsce średniowiecznéj.

Oto są główniejsze wiadomości w niéj zawarte.

Oświata w Polsce zaczyna się jednocześnie z przyjęciem chrześciaństwa — była ona niezbędnym warunkiem i koniecznym środkiem krzewienia wiary Chrystusowéj. Duchowieństwo zakładało szkoły przy katedrach biskupich, kolegiatach i klasztorach; stąd powstały szkoły tak zwane katedralne, kolegiackie i klasztorne. Przyjmując za zasadę, że każde nowe biskupstwo musiało odrazu zorganizować szkołę, wylicza autor w pierwszym okresie dziesięć szkól katedralnych (Gniezno, Julin i Kamień, Kołobrzeg, Kraków, Kruszwica, Lubusz, Płock, Poznań, Włocławek, Wrocław); w drugim zaś przybyło jeszcze 5 lub 9 (Braunsberg, Chełm?, Chełmno, Frauenburg, Kijów?, Królewiec, Kwidzyn,

Lwów?, Przemyśl?). Autor zebrał skrzętnie ze źródeł wiadomości, dotyczące dziejów poszczególnéj szkoły.

Wiadomości o szkołach kolegiackich w pierwotnym okresie nie posiadamy prawie żadnych, jeżeli jednak znów przyjmiemy za zasadę, że każda kolegiata miała swoją szkołę, w takim razie liczba szkół kolegiackich będzie wynosiła 13 (Głogów, Kalisz, Kielce, Kołobrzeg, Kraków, Kruszwica, Łęczyca, Opatów, Opole, Sandomierz, Stobnica, Wrocław, Zawichost); w drugim zaś okresie mamy już pewne wiadomości o istnieniu 14 szkół kolegiackich (Głogów, Gutstadt, Kalisz, Kielce, Kołobrzeg, Kruszwica, Łęczyca, Opatów, Sandomierz, Skalmierz, Stobnica, Szczecin, Wiślica, Wrocław); o szkołach przy innych kolegiatach pewnych wiadomości nie posiadamy.

Najwięcéj jednak było w Polsce szkół klasztornych; ponieważ władza duchowna wymagała, aby każdy klasztor kształcił młodzież w zajęciach, potrzebnych do zawodu duchownego, stąd wolno przypuszczać, że przy wszystkich opactwach i większych klasztorach były szkoły wewnętrzne, t. j. takie, w których kształcili się oblaci i nowicyusze; w takim razie ilość szkół klasztornych wynosiłaby w okresie pierwszym 49. Z wszelką jednak pewnością twierdzić tego nie można, gdyż źródłowych wiadomości w tym względzie mamy bardzo niewiele; tak np. o szkołach kanoników regularnych lateraneńskich, którzy przed rokiem 1215 mieli ośm klasztorów, nie posiadamy żadnéj wzmianki w źródłach; nie wiemy także nic o szkołach Bożogrobców i t. d. O szkołach klasztornych okresu drugiego są już wiadomości pewniejsze: przy obecnym stanie źródeł da się dowiéść istnienie trzydziestu szkół klasztornych [1]); gdyby zaś udowodnić było można, że przy każdym klasztorze istniała szkoła wewnętrzna, liczba szkół klasztornych doszłaby mniéj więcéj do 190, przyczém najwięcéj szkół posiadaliby cystersi, dominikanie i franciszkanie. Ta jednak dość wysoka cyfra szkół klasztornych wyższych nie może bynajmniéj służyć za dowód rozpowszechnienia oświaty w kraju, gdyż klasztory w Polsce średniowiecznéj rozwijały bardzo słabą działalność na polu wychowawczém; zresztą szkoły zakonne miały na widoku jedynie prawie cele klasztorne, a stąd na rozwój wykształcenia całego narodu nie oddziaływały.

---

1) Tak więc ogółem szkół wyższych w drugim okresie byłoby: 15 lub 19 (katedralnych) + 14 (kolegiackich) + 30 (klasztornych) = 59 lub 63, jeżeli zaś do téj cyfry dodamy ilość szkół parafialnych—56, otrzymamy ogólną liczbę szkół w drugim okresie—115 resp. 119, co zgadza się z obliczeniem ogólném p. Karbowiaka (str. 127).

Wszystkie szkoły tak pod względem zarządu, jak programu i zakresu nauk, zależały od władzy kościelnéj, któréj państwo pozostawiało w sprawach edukacyjnych najzupełniejszą swobodę. Tak więc rozporządzenia, dotyczące szkół, wychodziły od papieża lub soborów, najwyższym zaś zwierzchnikiem i opiekunem szkół w kraju był arcybiskup gnieźnieński, który wywiązywał się ze swéj opieki w szkołach katedralnych i kolegiackich — przez biskupów, w szkołach zaś klasztornych — przez opatów. Biskupi znów i opaci przelewali nauczycielską część swojéj władzy na zakonnika — w klasztorach, lub na jednego z członków kapituły — w katedrach i kolegiatach. Kierownik szkoły klasztornéj nazywał się *magister principalis*; pomagali mu w dozorze nad uczniami dozorcy i tak zwani *circatores*; nadto był w klasztorze urząd bibliotekarza *(armarius)*, który niekiedy pełnił także obowiązki nauczyciela śpiewu *(cantor)*. Podobnież i w szkołach katedralnych był jeden zwierzchnik naczelny — *magister scholarum*, pospolicie zwany *scholasticus*, który był jednocześnie nauczycielem; po trzecim soborze lateraneńskim szkoły katedralne i kolegiackie miały oprócz scholastyka nauczycieli pomocniczych *(magister, magister secundus, secundarius, rector scholarum, magister puerorum, submagister)*.

Do szkół wyższych, przed utworzeniem parafialnych, przyjmowano młodziutkich chłopców, którzy w szkołach klasztornych nazywali się *oblati*, t. j. poświęceni Bogu, w szkołach katedralnych i kolegiackich — *scholares canonici*. Uczniowie, którzy, acz kształcili się w klasztorach, nie mieli jednak zamiaru wstąpić do stanu duchownego, nazywali się *extranei*; z początku uczyli się oni wespół z oblatami, późniéj jednak zakładano dla nich szkoły osobne, zwane zewnętrznemi.

Szkoły stały otworem wyłącznie dla tych, którzy przygotowywali się do stanu duchownego. Uczeń, wstępujący do szkoły, musiał już umiéć cokolwiek, a mianowicie czytać i pisać po łacinie, znać najgłówniejsze zasady wiary chrześciańskiéj i umiéć na pamięć po łacinie choć kilka psalmów Dawidowych. Zresztą przyjmowano i uczniów, nie umiejących nic, zapewne ze względu na trudności, z jakiemi było połączone wychowanie domowe; w takim razie nauki elementarnéj udzielano w szkołach, zanim uczniowie mogli przystąpić do nauki właściwéj. Rozpoczynano naukę początkową od bezmyślnego uczenia na pamięć pacierza i psalmów w języku łacińskim (jak ta nauka trafiała dzieciom do serca, świadczy najlepiéj przykład św. Wojciecha, który uciekł do domu); następnie uczono sylabizować i czytać po łacinie, początków gramatyki i wokabuł, pisać i wreszcie śpiewać, nauka bowiem elementarna, oprócz przygotowania do nauki wyższéj, miała i ten jeszcze cel, aby

uczniowie mogli jak najprędzéj brać udział w nabożeństwie, jako ministranci i pomocnicy.

Po ukończeniu nauki elementarnéj, rozpoczynała się właściwa nauka szkolna, któréj celem było przysposobić ucznia do nauki, stanowiącéj w wiekach średnich koronę wszystkich nauk — do teologii. Koniecznym stopniem do téj ostatniéj było przejście tak zwanego *trivium* i *quadrivium*. *Trivium* obejmowało gramatykę, dyalektykę i retorykę, *quadrivium* zaś — muzykę, arytmetykę, geometryę i astronomię.

Najważniejszą ze wszystkich nauk była gramatyka łacińska, występująca w przedstawieniach alegorycznych, jako królowa z koroną na głowie, spoczywająca pod drzewem wiedzy. Uczono gramatyki zazwyczaj z podręczników wierszowanych, z których najpopularniejszy był podręcznik Donata (IV w.); dodawano do niéj naukę metryki oraz czytanie autorów zarówno starożytnych, jak i średniowiecznych. Nadto uczniowie musieli ćwiczyć się w samodzielném układaniu wierszy łacińskich (*dictamen metricum*). Dyalektyka, która w szkołach średniowiecznych wysunęła się w XIII i XIV wieku na pierwszy plan nauk wyzwolonych, odpowiadała, mniéj więcéj, dzisiejszéj logice; w jéj skład wchodziły *praedicabilia*, kategorye, roztrząsania *de contrariis vel oppositis*, sylogizmy, nauka o definicyi, topy i wreszcie rzecz *de perihermenias*. Najważniejszym podręcznikiem dyalektycznym były słynne „Etymologie” Izydora z Hispalis, t. j. z Sewilli, późniéj zaś, od połowy XIII wieku, pisma Arystotelesa. Nauka retoryki miała przedewszystkiém na celu wprawienie uczniów do pisania listów, dokumentów, protokułów i t. p. (*dictamen prosaicum*); przy wykładzie retoryki czytywano z uczniami prozaików rzymskich oraz uczono ich praktycznie głównych wiadomości z zakresu nauki prawa. Główném zródłem wiedzy retorycznéj w wiekach średnich były naturalnie pisma Cycerona, a zwłaszcza „*De inventione*” i „*Rhetorica ad Herennium*”; nadto w szkołach polskich, jako podręcznik do praktycznéj retoryki, służyła kronika mistrza Wincentego.

Uczeń, ukończywszy kurs *trivium*, przystępował do *quadrivium*, które to jednak nauki traktowano w szkołach polskich zazwyczaj dość pobieżnie, ograniczając się do niezbędnych wiadomości jedynie; zwłaszcza po macoszemu obchodzono się z muzyką i geometryą. Muzyka uchodziła za rzecz bardzo trudną zarówno dla nauczycieli, jak dla uczniów; nauka polegała teoretycznie na zrozumieniu teoryi muzyki, praktycznie — na śpiewie kościelnym. Arytmetyka, która w *quadrivium* zajmowała równie ważne stanowisko, jak gramatyka w *trivium*, była

nauką, konieczną do obliczania kalendarza kościelnego, do zrozumienia teoryi muzyki, do obliczań astronomicznych i geometrycznych; wyższą jednak arytmetykę uwzględniano rzadko, poprzestając na czterech działaniach oraz na nauce o mistyczném, symbolicznéｍ znaczeniu liczb. Co się tyczy geometryi, to objaśniano wprawdzie uczniom terminologię geometryczną, lecz przedewszystkiém pojmowano pod tą nauką geografię, kosmografię i historyę naturalną. Elementarna znajomość astronomii była potrzebna do obliczania świąt kościelnych; stąd przedewszystkiém dawano uczniom pojęcie o latach przestępnych, o porównaniu dnia z nocą, o epaktach, t. j. o liczbie dni, któremi rok słoneczny przewyższa rok księżycowy, a po za tém — o pomiarze czasu, o biegu planet, o znaczeniu znaków zwierzyńca i t. d.; z astronomią łączyły się rozmaite kwestye astrologiczne; wiadomo jednak, że rozkwit astrologii przypada dopiéro na czasy humanizmu.

Kréśląc powyższy program siedmiu sztuk wyzwolonych, autor poprzestaje na najogólniejszych wiadomościach, uzupełniając je suchém wyliczeniem podręczników, tych zwłaszcza, które posiadała biblioteka szkoły katedralnéj krakowskiéj. Dokładnéj ich charakterystyki nie podaje, a szkoda, ona bowiem dałaby najlepsze pojęcie o zakresie nauki średniowiecznéj; zwłaszcza dotyczy to podręczników gramatycznych i dyalektycznych. Zbyt mało uwagi poświęca także autor ćwiczeniom praktycznym z zakresu gramatyki (*dictamen metricum*), pomimo iż miał już w tym względzie drogę utorowaną przez pracę prof. Brücknera o średniowiecznéj poezyi łacińskiéj w Polsce.

W szczegółowy rozbiór studyów teologicznych nie zapuszcza się autor również, jako nie specyalista, znów poprzestając na wyliczeniu podręczników szkolnych. Zresztą poziom teologii w szkołach polskich był dość niski, podniósł się dopiéro w wieku XIV-ym, jak to wnosić można np. z programu, wydanego dla dyecezyi krakowskiéj przez biskupa Nankera w r. 1320. Specyalne studya, przedsiębrane w téj sprawie, rzucą zapewne ciekawe światło na stan edukacyi teologicznéj w Polsce, gdyż materyału do nich nie brak; tymczasowo jednakże można twierdzić, że nauka teologii miała przedewszystkiém kierunek praktyczny, — jéj głównym, jeżeli nie jedynym, celem było zapewne nabożeństwo kościelne i należyte wywiązywanie się z obowiązków kapłańskich. To ostatnie zaś byłoby niemożliwém bez znajomości prawa kanonicznego i ustawodawstwa synodalnego; dlatego téż w szkołach katedralnych i kolegiackich istniały kursa prawnicze; dla szkół klasztornych ich istnienie jest wątpliwe.

Zadaniem szkół parafialnych [1]) było z jednéj strony ukształcenie śpiewaków i ministrantów dla kościoła parafialnego, z drugiéj zaś — przysposobienie uczniów do szkół wyższych. Miały one w zasadzie jednego tylko nauczyciela (*eruditor*, *informator*, *magister*, *doctor parvulorum v. scholarium*, *rector scholae*, rzadziéj *scholasticus*), któremu jednak wolno było miéć pomocników (*socii* lub *locati*). Siedmiu sztuk wyzwolonych, a témbardziéj teologii nie wolno było uczyć w szkołach parafialnych, w takim bowiem razie robiłyby one konkurencyę szkołom wyższym; uczono więc w nich tylko początków łaciny i śpiewu kościelnego, z czasem uwzględniano krótkie wiadomości z arytmetyki i stylistyki (retoryki, pomocnéj do *dictamen prosaicum*). Z podręczników używano gramatyki Donata, pism Aleksandra z Villedieu, „Dwuwierszy moralnych" Katona i sielanki Theodulusa.

Językiem wykładowym we wszystkich bez wyjątku szkołach była łacina: język polski nie był nigdy nawet przedmiotem wykładu-posiłkowano się nim tylko dopóty, dopóki młodzież nie rozumiała po łacinie. Stąd nauczyciele powinni byli znać język polski. Nie zawsze jednak tak było (w jaki sposób odbywała się w takim razie nauka, osobliwie elementarna, trudno naprawdę zrozumiéć), — nauczycielami częstokroć bywali Niemcy, którzy, nie znając mowy krajowéj, nie mogli, jak należy, uczyć; to samo zresztą bywało nietylko w nauce szkolnéj, lecz i w kościelnéj, a skutkiem był naturalnie brak znajomości zasad wiary w parafianach. Lecz skargi ludności polskiéj zmuszały duchowieństwo do wydawania rozporządzeń językowych, dotyczączych zarówno kościołów, jak szkół: na synodzie, odbytym dnia 14 października 1257 roku, pod prezydencyą arcybiskupa gnieźnieńskiego Pełki, uchwalono obowiązkową znajomość języka polskiego dla nauczycieli szkół parafialnych i kolegiackich. Synod zaś łęczycki z roku 1285-go rozciągnął ten przepis na wszystkie wogóle szkoły. Że jednak to rozporządzenie częściowo tylko wykonaném zostało, świadczy ustawa synodu uniejowskiego z roku 1326, która poleca karać tych, co dają posady nauczycielskie ludziom, nie umiejącym po polsku. Bądź co bądź, ma zupełną słuszność p. Karbowiak, twierdząc, że duchowieństwo polskie, jak mogło, tak walczyło z niebezpieczeństwem germanizacyi narodu. Trafném jest również przypuszczenie autora, że liczny napływ Niemców do kościołów i szkół polskich tłómaczy się w znacznéj mierze emigracyą z Niemiec do Polski wędrownych studentów, tak zwanych

---

[1]) Szkołom parafialnym poświęcił p. Karbowiak jeszcze dawniéj osobne studyum: „Szkoły parafialne w Polsce w XIII i XIV wieku" (Rozprawy Akademii Krakowskiéj, wydział filologiczny, XXV, 1896).

wagantów lub goliardów, którzy stali się w wieku XIII prawdziwą plagą i zarazą moralną dla swego kraju, których przeto w połowie tegoż stulecia zakazano przyjmować na ministrantów i nauczycieli, których wreszcie wypędzono z kraju.

Oprócz szkół krajowych, źródłem oświaty polskiéj były już od najdawniejszych niemal czasów szkoły zagraniczne — przedewszystkiém francuskie i włoskie. Ta część monografii p. Karbowiaka jest najmniéj wyczerpującą, gdyż autor nie miał możności czynienia poszukiwań archiwalnych, sam nawet przyznaje, że i źródeł drukowanych dokładnie w tym kierunku wyzyskać nie mógł. W każdym razie, o ile to było w jego możności, zgromadził wiele szczegółów, dotyczących wyjazdów młodzieży polskiéj zagranicę w celach naukowych, chociaż niektóre z nich mają wartość tylko hypotetyczną. Dla pierwszego okresu wiadomości o studyach zagranicznych Polaków posiadamy bardzo mało; autor wymienia około trzydziestu zaledwie Polaków, którzy wykształcenie swe zawdzięczają zagranicy, a może i ta liczba, po przeprowadzeniu specyalnych badań, będzie musiała być zmniejszona. Główném ogniskiem nauki dla Polaków była początkowo prawie wyłącznie Francya, mianowicie Paryż. W drugim okresie, dla którego źródła są i obfitsze i pewniejsze, młodzież wyjeżdża przeważnie do Włoch, a więc do Bononii, Padwy, Rzymu i może innych jeszcze uniwersytetów. Ze szkół francuskich najwięcéj Polaków wykształcił Paryż, potém—Montpellier i Avignon, z czeskich — Praga. Możliwą jest także rzeczą, że Polacy kształcili się w Niemczech, jako to w szkole erfurckiéj lub kolońskiéj. Ze spisu magistrów i doktorów od r. 1215 do 1364, sporządzonego przez p. Karbowiaka, wynikałoby, że w tym przeciągu czasu około 319 Polaków kształciło się zagranicą.

Pomijamy w niniejszém sprawozdaniu inne szczegóły w monografii p. Karbowiaka, jako to rozdziały o rygorze szkolnym, o udziale laików, a w szczególności Piastowiczów, w edukacyi książkowéj, o wykształceniu kobiét, o sprawach edukacyjnych ruskich i żydowskich, — zaznaczając tylko ogólnikowo, że i te części pracy zostały wykonane umiejętnie i sumiennie.

Wogóle „Dzieje wychowania i szkół w Polsce w wiekach średnich" zajmą bezwątpienia trwałe stanowisko w naszéj literaturze naukowéj.

Ignacy Chrzanowski.



WALKA O WIARĘ.

(Z powodu dzieła: *The Will to believe and other Essays in popular plilosophy, by William James*, New York, 1897).

Profesor James jest oddawna znany, jako jeden z najznakomitszych psychologów współczesnych, a jego podręcznik psychologii może być poczytywany za najlepsze dzieło na polu téj nauki, wydane w ostatniém dziesięcioleciu. Niedawno wystąpił w nowéj roli, wydając dzieło, zawierające jego wyznanie wiary—a stanowiące zbiór odczytów popularnych, wygłoszonych na różnych zebraniach młodzieży amerykańskiéj. William James jest profesorem psychologii w Harvard Uniwersity, w Cambridge pod Bostonem w stanie Massachusetts. Jak dalece powszechném cieszy się uznaniem, dowodzi fakt, że niedawno został zaproszony do Europy, jako prelegent tak zwanych „*Gifford Lectures*” w Edynburgu odczytów treści etycznéj, powierzanych zwykle znakomitym uczonym wielkiéj Brytanii. Odznaczenie to prawdopodobnie zawdzięcza nadzwyczajnemu powodzeniu świeżego dzieła, zatytułowanego „Pragnienie Wiary.” Dzieło to, wydane w lutym 1897 roku, w przeciągu sześciu miesięcy doczekało się trzech wydań, co nawet w Ameryce jest niezwykłém zjawiskiem dla dzieła filozoficznego.

Wobec tego warto poznać przekonania myśliciela amerykańskiego tém bardziéj, że jest on chrakterystycznym przedstawicielem tego po-

glądu na świat, który i u nas miał i ma najwięcéj wyznawców w teoryi i praktyce: indywidualizmu, czyli, jak James go nazywa, pluralizmu.

Indywidualizm jest to przekonanie, że każda jednostka jest rzeczywistą siłą i może się przyczynić swoją własną wolą do ogólnego wyniku działań wszechświata. Według tego zapatrywania, każdy z nas powinien działać według swoich własnych przekonań, pod żadnym względem nie oglądając się ani na autorytety, ani na tradycyę, ani na pomoc z góry. Taki indywidualizm, uznający jednostkę jako byt niezależny, jest zarazem pluralizmem, bo przeczy bezwarunkowéj jedności wszechświata, przyjmowanéj dotąd prawie przez wszystkich filozofów i prawie przez wszystkie religie. Indywidualizm, czyli pluralizm, jest przeciwległy zarówno materyalizmowi, jak i idealizmowi, gdyż oba te krańcowe poglądy uznają bezwarunkową jedność Bytu: materyalizm—jako jedność materyalną, idealizm—jako jedność idealną. Dla idealisty prawda jest jedna i bezwzględna, dla indywidualisty prawda istnieje tylko w indywidualnéj świadomości i ma tyle stopni rozmaitych, jak piękno lub dobro. W dziedzinie sztuki indywidualizm został najwcześniéj uznanym, jak świadczy przysłowie o rozmaitości gustów. Ale konsekwentny indywidualizm rozciąga względność sądów także na inne dziedziny, uznając stopniowe szczeble dobra i prawdy, w podobny sposób odróżniające jednostki od siebie, jak estetyczne gusta nas różnią.

To znaczy, że dobro nie może być wszystkim duszom narzucone zgóry, lecz w każdém sumieniu musi powstać niezależnie. Człowiek powinien to czynić, co jego własne sumienie mu każe, nie ulegając zewnętrznym autorytetom, tradycyom, obyczajom, a nawet prawom, jeśli one w jakimkolwiek szczególe sprzeciwiają się jego sumieniu. Taki indywidualizm moralny u nas miał energicznego obrońcę w Towiańskim, który dzięki fałszywym interpretacyom jego pod wszelkim względem szlachetnéj działalności tak źle jest powszechnie zrozumianym. Najżywszy wyraz tak pojmowanego indywidualizmu etycznego zawiéra improwizacya Mickiewicza. Poeta sam tu stawia sobie cel swojéj woli i żąda pomocy nawet najwyższéj Istoty dla urzeczywistnienia tego osobistego celu. Według takiego wyobrażenia indywidualny cel pojedyńczéj jednostki może posiadać taką bezwzględną wartość, jak te cele, które uchodzą za cele samego Boga. Indywidualista czyni dobrze nie dlatego, żeby Bogu się podobać, lecz dlatego, że sam kocha dobro.

Ten indywidualizm etyczny doprowadził nas do zasady jednomyślności w obradach, bo nie uznawaliśmy za słuszne, żeby wola więk-

szości była komukolwiek narzucana bez jego zgody. Więc opornych nie zmuszaliśmy przemocą, lecz błagaliśmy ich o odstąpienie od swych przekonań w imię miłości braterskiéj, jaka łączyła obradujących, i w ten sposób osiągaliśmy jednomyślność.

W nauce indywidualizm praktykuje się oddawna i żadne odkrycie nie wchodzi w zakres istotnych zdobyczy naukowych, dopóki wszyscy fachowi znawcy własnym swym rozumem go nie uznają. Stoi to napozór w sprzeczności z pojęciem niewzruszonych i obiektywnych praw naukowych, które mają być niezależne od subiektywnych mniemań. Ale każde nowe prawo wśród uczonych zyskuje uznanie dopiéro wtedy, kiedy każdy badacz niezależnie od innych może je sprawdzić. Dopiéro po takiém sprawdzeniu wszechstronném, jednomyślne uznanie uczonych nadaje odkrytym prawom ów charakter obiektywności, cechujący je w oczach profanów.

Indywidualizm, oparty na uznaniu bezwarunkowéj doniosłości każdéj jednostki, jest przeciwległym uniwersalizmowi, dla którego każda jednostka jest tylko kółkiem w organizmie ogólnym i ciągle jest kierowana jakąś władzą wyższą, bądź praw przyrody, bądź woli Boskiéj. Dotąd ogromna większość filozofów uznawała taką bezwarunkową zależność ludzkich jednostek bądź od praw materyalnych, bądź od idei ogólnych, bądź od wspólnego dla wszystkich Stwórcy. Indywidualizm jest zjawiskiem względnie nowém w filozofii, choć pewne pierwiastki tego poglądu na świat znajdujemy w religii chrześciańskiéj, która przyznaje każdéj duszy daleko większą władzę, niż dawne religie Grecyi, Indyi i Chin, — a także większą niezależność, niż mahometanizm.

Dzieło James'a nie traktuje systematycznie wszystkich kwestyi z indywidualizmem związanych, tylko wybiéra niektóre najważniejsze, specyalne zagadnienia i przedstawia je w sposób nadzwyczajnie jasny, przystępny i przekonywający.

Zaczyna od kwestyi prawa do wiary. Każdy z nas ma niewątpliwe logiczne i moralne prawo wierzyć w wiele rzeczy, których dowieść nie może. Wiedza czysta, którą idealizm stawia jako jedyny ideał przekonań, dać nam zadowolenia zupełnego nie może, bo tyczy się zaledwie drobnéj części tych przedmiotów, które nas najwięcéj obchodzą. A gdy coś nas obchodzi, mamy prawo a nawet obowiązek rozstrzygnąć, które z dwóch przeciwległych przekonań chcemy przyjąć, choćbyśmy nie mieli nawet żadnych dowodów na poparcie naszego przekonania. Nie wolno jest uchylać się od takiéj decyzyi pod pozorem zawieszenia sądu, bo przekonanie jest nam niezbędne, jako motyw działania, nawet w tych wypadkach, kiedy nie może być oparte na lo-

gicznych podstawach. Jeśli ktoś w takich wątpliwych wypadkach wyrzeka się decyzyi, to również staje się stronnym, jak i ten, co, idąc za własném uczuciem i sumieniem, jedną z możliwości przyjmuje za prawdę. Działanie według pewnego przekonania może z czasem potwierdzić i usprawiedliwić to przekonanie.

Więc naprzykład, jeśli kilku rozbójników napadnie na karawanę, złożoną z wielu podróżników, to żaden podróżnik nie może na pewno wiedziéć, czy inni będą się bronić. Jeśliby wszyscy wskutek braku téj pewności oglądali się z nieufnością jeden na drugiego, to kilkuset podróżników byłoby rozbrojonych przez kilku rozbójników pewnych siebie i liczących na siebie wzajemnie. Ale jeśli jeden podróżnik, pomimo braku pewności, odważy się zaufać nieznanym swoim towarzyszom i zacznie bronić się od napaści, wtedy to zaufanie, czyli wiara, stanie się istotną siłą, bo zachęci innych do oporu rozbójnikom i uwolni ich od napaści.

W ten sam sposób wiara religijna ma decydujący wpływ na nasze powodzenie życiowe i nie godzi jéj się wyrzekać jedynie dlatego, że nie możemy naukowo dowiéść jéj dogmatów. Wystarcza, jeśli nikt nie jest w stanie dowiéść ich mylności, aby wierzący mieli prawo żyć według swoich przekonań i uważać te przekonania za niezawodną prawdę. James potępia agnostycyzm, jako najgorsze bałwochwalstwo, wobec tego, że rozum nasz nie jest nieomylny i nie może nigdy stawiać granic rozumowi innych ludzi. Więc nie godzi się ograniczać naszych przekonań jedynie do takich zdań, których można dowiéść obiektywnie, bo wtedy będziemy pozbawieni przekonań w sprawach największéj dla nas doniosłości. Każdy powinien szanować przekonania innych, starając się udzielić im swoje przekonania, o ile je dobrowolnie przyjmą, lecz nie żądając od nich, by oni swojéj wiary się wyrzekali, dopóki nie mamy nic lepszego, czém byśmy mogli ich wiarę zastąpić.

W drugim rozdziale James zastanawia się nad związkiem pesymizmu i sceptycyzmu i dowodzi, że sceptycyzm jest jedném z najważniejszych źródeł pesymizmu tak dalece, że często prowadzi do samobójstwa. Życie bez wiary w świat niewidzialny, doskonalszy niż świat widzialny, który nas otacza, staje się ciężkiém do zniesienia, podczas gdy wiara ta, gdy zostanie przyjęta, wzmacnia ów świat niewidzialny jeśli on istnieje. Życie jest prawdziwą walką, w któréj chodzi o sprawy daleko ważniejsze, niż nasze doczesne interesy. W téj walce wiara w dobro jest potęgą, która powiększa i nasze własne siły i samą siłę dobra. Nie trzeba zgóry potępiać życia i obawiać się go, tylko śmiało

wierzyć, że ma ono wartość i dla nas samych i dla całego ogółu, w którego sprawach bierzemy udział. Przez tę wiarę urzeczywistnimy to, w co wierzymy, to jest obiektywną wartość naszego indywidualnego żywota. Ta wartość może będzie dowiedziona obiektywnie kiedyś w bardzo odległéj przyszłości; dziś musi być przyjęta na wiarę przez każdego, co w téj odległéj epoce nie chce uchodzić za tchórza.

W dalszych rozdziałach James coraz to jaśniéj rozwija konsekwencye swojego indywidualizmu i wyraża te przekonania, które poczytuje wprawdzie za niedowiedzione, ale uznaje za niezbędne. Potępia jednostronność rozumu i w tém potępieniu idzie tak daleko, że nauka wydaje mu się usprawiedliwioną jedynie o tyle, o ile znajduje zastosowanie do etycznych wymagań życia. Broni wolności woli, dowodząc, że determinizm jest konsekwencyą pesymizmu i wewnętrznéj słabości myśli i uczuć. Tłómaczy, że, aby wierzyć w Boga, wcale nie potrzeba mieć logicznych po temu powodów. Wystarczy psychologiczne doświadczenie, że ci, co wierzą, lepiéj żyją i więcéj są pożyteczni bliźnim, niż niewierzący.

Nasz stosunek do złych czynów innych ludzi jest całkiem inny, jeśli oceniamy tylko widzialne krzywdy przez nich popełnione, niż jeśli przypuszczamy, że sam Bóg od nas żąda obrony Dobra. Religijna wiara budzi energię i wytrwałość, odwagę i siłę. Wybór między złém a dobrém nie może zależéć od ścisłéj wiedzy prawd naukowych; ludzie kierują się tu wiarą swoją i wolną wolą, nie zaś zewnętrznemi pobudkami.

Wobec tego James kładzie wielki nacisk na rolę wielkich ludzi w postępie ludzkości. Z wielką siłą i słusznością zwalcza przesąd, szerzony przez deterministów, jakoby wielcy ludzie mogli być produktem otoczenia. Przytacza z wielkiém uznaniem pracę rodaka naszego Gryzanowskiego, który porównał Sardynię i Sycylię, jako kraje posiadające bardzo zbliżone warunki naturalne rozwoju, a jednak historyę tak różną. Sardyńczycy mieli w blizkiém sąsiedztwie tyle ognisk kultury i cywilizacyi, a jednak w niczém się nie przyczynili do postępu ludzkości. Ich dyalekt nie stał się językiem i nie posiada literatury. Ich doskonałe porty nie zostały wyzyskane dla marynarki, choć wielkie lasy zawierają dostateczny materyał dla budowy okrętów; piękności ich krajobrazów nie natchnęły żadnego artysty; ich legendy nie znalazły poety, któryby je wyzyskał; naturalne bogactwa nie wywołały handlu ani przemysłu. Jakże inaczéj przedstawia się historya sąsiedniéj Sycylii! James tłómaczy tę różnicę działalnością wielkich ludzi, którzy często się pojawiali w Sycylii, a nigdy nie rodzili się w Sardynii. Cokolwiek się stało godnego uwagi w świecie, zawsze było dziełem wyjąt-

kowych jednostek. A każda jednostka, nawet przy najmniejszych osobistych zdolnościach, może wytrwałością i pracą podnieść swoje otoczenie. To też James oświadcza się, jak przed nim Carlyle, za czcią dla bohatérów i ostro krytykuje deterministyczne teorye o wyłącznym wpływie środowiska i o konieczności zjawisk historycznych, prowadzące do sparaliżowania woli i ślepego fatalizmu.

Aby téj ostateczności uniknąć, James nie waha się przyznać duszy ludzkiéj władze o wiele potężniejsze, niż te, jakie uznaje większość psychologów. Śmiało występuje w obronie faktów telepatyi i świadczy o ich rzeczywistości. Przemawia z wielkiém poważaniem o „*Society for psychical Research*" — towarzystwie badań psychicznych, zawiązaném w 1882 r. przez grono uczonych angielskich w celu badania zjawisk telepatyi, spirytyzmu i t. p. Towarzytwo to wydało w ciągu ubiegłych lat obfite materyały, dowodzące, że wzajemne działania między ludźmi nie są ograniczone do materyalnéj przyczynowości i że bardzo często wiele osób doznaje wrażeń, które się nie dadzą wytłómaczyć fizyologicznie ani fizycznie. Sam James, robiąc doświadczenia z medium Mrs Piper, osobiście się przekonał o możliwości zdobywania pewnych informacyi bez pośrednictwa zmyslów, drogą telepatyczną. Świadectwo Jaemes'a jest bardzo doniosłe, gdyż wiedza jego psychologiczna i fizyologiczna są powszechnie znane, a także ostrożność, z jaką zawsze prowadził swoje badania naukowe tak, aby uniknąć błędu.

Całe dzieło znakomitego psychologa amerykańskiego ma ogromne znaczenie dla młodzieży kształcącéj się, jako wymowne ostrzeżenie przed bałwochwalczą uległością dla samozwańczéj negacyi wiary w imieniu nauki. James dowodzi, że prawdziwa nauka wiary nie obala, ani jéj nie przeczy—tylko wręcz przeciwnie — upoważnia nas w zupełności do ufania naszéj wierze w takich sprawach, co do których nie możemy zdobyć wiedzy.

Jeden tylko poważny zarzut można i należy zrobić autorowi. Zalicza on do wierzeń takie twierdzenia, które oddawna w zupełności należą do budowy nauki ścisłéj, mianowicie nieśmiertelność duszy i wolność woli. Niema w całym zakresie nauk doświadczalnych żadnego twierdzenia pewniejszego, niż te metafizyczne prawdy, oddawna zgodnie przyjęte przez wielkich myślicieli, a zwalczane dotąd jedynie przez pretensyonalną ignorancyę takich pisarzy, którzy podejmowali się dyskusyi o zagadnieniach filozoficznych bez gruntownéj znajomości wielkich pomników myśli filozoficznéj. Prawdziwi filozofowie godzą się między sobą w uznaniu istnienia duszy nieśmiertelnéj i wolnéj,

poczynając od Platona, a kończąc na licznych filozofach współczesnych, wśród których nie brak i naszych ziomków. [1])

W. Lutosławski.

---

[1]) Niedawno (w N. 36 „Kraju“) ks. Czeczott z Petersburga napisał artykuł p. t.: „Gdzie szukać prawdziwéj filozofii?“—twierdząc, że takiéj filozofii niema po za teologią. Wręcz przeciwnie, teologia chrześciańska w znacznéj części spoczywa na filozofii greckiéj, gdyż św. Augustyn był wyznawcą Platona, a św. Tomasz—Arystotelesa. Jak dalece sama teologia jednak nie wystarcza dla wielu umysłów żądnych wiedzy, widać ztąd, że ogromna większość młodzieży uniwersyteckiéj, nie mogąc, dla powodów łatwo zrozumiałych, znaleźć prawdziwéj filozofii—ulega pokusie przyjęcia téj fałszywéj filozofii, przeciwko któréj teraz występuje James, a z którą u nas już kilkadziesiąt lat temu w niezrównany sposób walczył Gołuchowski w swoich „Dumaniach nad najwyższemi zagadnieniami człowieka“ (Wilno 1861).



O Krysi Prasołównie.

Jeden z uczonych naszych powiedział, że rauty i *five o'clocki* będą się z pewnością w czyścu odbywały!

Chcąc się może zahartować na przyszłą pokutę, grono przyjaciół i znajomych pani Julii Mileskiej odbywało ją co wtorek i to bardzo gorliwie.

Wieczorem, gdy już wizyty grzeczności oddano, zwykle kółko się zacieśniało, salonik wyglądał poufniéj, a tych kilka dusz pokutujących, zainstalowanych każda na ulubioném miejscu i krzesełku, chciałyby ten czyściec przedłużyć w nieskończoność.

W téj atmosferze wykwintu, miękkiego czaru i wdzięku, jedną rozkoszą więcéj było dyskutowanie o karkołomnéj wyprawie Fridtjofa Nansena, i w świetle lamp, przesiewających łagodny, różowy półblask, podziwiać w ilustracyach przepych zórz biegunowych. Nasz sposób pokuty wydał nam się jeszcze milszym wobec tego dzielnego syna północy i kilku lat jego życia, spędzonych w kraju, gdzie każdy krok może być śmiertelny, a każdy oddech zabójczy.

Prawdziwy bohater! odezwał się jeden z pilnych czytelników „*Ill. London News*". Nansen przed wycieczką do bieguna północnego rozwiódł się z swoją żoną. Oczywiście dlatego jedynie, aby nie zawiązywać losu młodéj kobiecie. Gdyby wyprawa skończyła się niepomyśl-

nie, trudno byłoby znaleźć dowody przypuszczalnéj jego śmierci między białemi niedźwiedziami i jeszcze bielszą masą lodów, a pani Nansenowa nie mogłaby załatwić formalności możliwego powtórnego małżeństwa.

— No, ale na szczęście powrócił cały i zdrów, ażeby się ożenić powtórnie z swoją żoną i wydać piękne dzieło: „Wśród nocy i lodów".

Gruby tom krążył raz jeszcze wokoło; panie z westchnieniem odczytywały na pierwszéj karcie słowa dedykacyi „Téj, która umiała czekać", bo każda z nich czułaby się mile podrażnioną w swéj miłości własnéj, widząc imie swoje na początku pracy, na którą składało się kilka lat wielkich trudów, z myślą, że to to imie właśnie było skrzydłem anioła stróża wśród niebezpieczeństw.

Panowie podnosili szlachetność Nansena i brak wszelkiego samolubstwa Jeden z nich (wprawdzie nieżonaty) aż się zżymnął na tak wysoko posunięty altruizm.

— Znaleść swoją żonę po powrocie panią X, Y albo Z! Byłbym gotów raczéj podwoić i zacieśnić śluby małżeńskie, gdyby mi tak wypadło ekwipować Fram drugi i puścić się śladami Nansena dla wyprawienia fokom i psom morskim śniadania z własnéj skóry!

Panie stanowiły sentymentalną nutę tego wieczoru i orzekły prawie jednomyślnie, że ta praktyczna córa Skandynawii jest prawdopodobnie przeciętną kobiétą, jeżeli pozwoliła na rozwód, bo największém jéj szczęściem powinno być nigdy się tytułu żony Nansena nie zrzekać, nie dla tego, że cała Europa a za nią świat cały miał zwrócone za nim oczy ku północy, trochę tylko dla tego, że dzielny i od wielu odważniejeszy, ale głównie że zmęczony, że sam, że pewnie smutny, jedném słowem dlatego że „on".

— Ho, ho, wielka sztuka czekać dwa lata i pół!

Na to powstają protesta.

Płeć silna dowodzi ze zwykłą sobie świadomością rzeczy, że to jest wielka sztuka! że Małgorzaty z Żębocina są rzadkie, na pewno można twierdzić, że jedna dotąd się tylko znalazła, a kto wie zresztą, coby się okazało, gdyby tak który z historyków wziął się na ostro do badania téj zamglonéj historyi.

I posypały się zaraz anegdoty, fakta autentyczne, to na poparcie, to przeciw wygłaszanym tezom o wierności niewieściéj.

Mówiono oczywiście

„o téj co to na gorącym uczynku schwytana
Psuła to czasu nocy, co utkała zrana"

o roztropnéj Penelopie, która

„ze łzami się w Odysseja objęcia rzuciła,
„Garnąc k'sobie, a twarz mu całując mówiła...“

Ale cóż, audytoryum *„fin de siècle“* nie jest wcale ciekawe wiedzieć, co Penelopa mogła mówić do Odysseusza po dwudziestoletniéj rozłące. Więcéj powodzenia miała powiastka z końca XVII wieku i równie jak u Homera wcale nie problematycznéj autentyczności.

W drugi dzień zielonych świąt, po nieszporach, cała Wieliczka wyległa na łąkę od strony górnéj Lednicy.

Gromada dzieci bawi się osobno, to w derkacza, to w żaby i bociany naprzemian,

Teraz kolej na żaby, więc rozhowor:

— Hi, he, krum, krum,

— Hi, he, krum, krum.

— Siostro! A cóż?

— Umarł! A któż?

— Nasz pan! Bocian!

A my z tego rade, rade, rade, rade.

I krzyku, uciechy, hałasu co niemiara, aż prawdziwe tymczasem żaby w sąsiednim stawku zaniemiały z przerażenia, wyłupiły jeszcze więcéj okrągłe oczy i nadsłuchują, co to z téj wrzawy będzie!

Na wzgórku zasiadło kilka leciwych niewiast, kilku starych burtowych i wozaków, a opodal chłopcy i dziewczęta zabawiają się w ulubioną grę, którą nazywają: dziewką na wydaniu.

Posadzono Kachnę Gieraszową, najkształtniejszą z mężatek, na wysokim kamieniu tak, aby od wszystkich była widzianą, a u jéj nóg dziewczęta na wydaniu skupione w rozmaite grona, będące pod jéj władzą i opieką.

Do niéj przybywają poselstwa z dalekich i blizkich miejsc. Kachna pyta, co je w te strony sprowadza.

— Przychodzim do wielkiéj carycy, żądamy dla druha oblubienicy!“

— A któréjżto chcecie?—pyta królowa.

Swaty robią przegląd oczyma.

— Dajcież nam tę oto dziewę!

— O nie, zapóźno, moi mili, Anusia już innemu przyrzeczona.

— No, to prosim o Bronię Klimuntównę.

— Taż to nielatka jeszcze; ta, ani międlić, ani prząść nie umié; jagody i grzyby w lesie niech zbiéra; dużo jeszcze wody ze Zrawy do Wisły upłynie, zanim ją za żonę oddam. —Nic z tego, innéj szukajcie.

I tak drożyła się jeszcze długo Kachna, bo w myśli inną dziewczynę przeznaczała swatom.

Ci skłonili się nisko raz jeszcze i prosili o dorodną Krysię.

— A wiécie wy, mówi królowa, że ojciec Krysi jest prasołem, ma składy z pierwszéj ręki w Krakowie! Sam król jegomość Kazimierz Wielki za żupnictwa Wierzynka nadał prasolstwo jego pradziadom!

— Wiemy, wiemy, zamożny to przekupień, ale téż i nasz młody dzielny chłopak!

— A któż to taki?

— Janek z Kutnéj Hory; zdaleka przybył i nie ma tu rodziny, ale między nami znalazł jakby drugą ojczyznę, bo mu jak bratu dobrze życzym.

— Dałabym wam Krysię, jeśli dobry zrobiliście wybór, a godnyż on jéj?

— Złoto nie chłopiec, kruszakiem jest od lat dwu a pan bachmistrz zrobi go pewnie podsztygarem, niech tylko wróci z dostawy soli dla Króla Jegomości i szlachty z Mazowsza.

— Młodzi się wielce miłują, jak słyszę, bierzcież więc dziewę, przyjaciele.

Na to posłowie pytają dziewicy, czy umié piec chléb?

Przez skromność i żeby nie okazać, jakoby jaknajprędzéj pragnęła wyjść za mąż, Krysia przysłania na pół oczy długiemi rzęsami i odpowiada.

— Nie umiem – ale jéj uśmiech co innego znaczy.

Królowa utrzymuje, że umié, i rozkazuje, aby natychmiast chléb piekła. Krysia, posłuszna, wesoło udaje wszystkie ruchy przy pieczeniu chleba.

— A, widzicie! — jak jéj gładko idzie, woła z radością królowa.

Dziewczęta się śmieją, starsze niewiasty klaskają w pomarszczone dłonie, a posłowie chcą daléj wyrozumiéć, czy umié gotować obiad, uszyć koszulę, uprać bieliznę, drób zwołać, czy wié jak dziecko ukołysać, jak mu do snu zanucić.

Dziewczę pomimo wstydliwych zapewnień, że nic tego nie potrafi, pod posłuszeństwem wykonywa w miłéj pantominie żądane czynności.

Z kolei troskliwa o losy swéj wychowanki królowa każe zbliżyć się oblubieńcowi i czyni mu zapytania.

— No a ty, Janku, umiész-że solne bałwany ciosać, kłopcie rozrywać, kruchy nabijać w solówki, wycinać zboje i ławy?

Janek wykonywa wszystkie ruchy górników.

Znowu śmiechy, żarty, klaskania.

— To nie dosyć—mówi królowa,—a wiész jak orać i zasiać pole przy chacie? Zręcznyś ty kosarz, a szybko drwa rąbiesz?

Udając każdą z tych czynności, Janek okazał równą biegłość.

Po wzajemnych zapewnieniach, podziękowaniach carowéj i pożegnaniu z przyjaciółkami i krewnymi wreszcie oddano ją posłom.

Krysię otoczyli młodzieńcy kołem, a ta jeszcze wymknąć się im usiłowała.

Zabrzmiały gęśli i skrzypkowie żupni, a chór chłopców ścigając Krysię zaczął śpiewać:

Jak rybka tuż za rybką,
Jak jaskółka za jaskółką
W pląsach, w skokach krążą szybko,
A Krysieńka w środku koła,
W tę i ową bieży stronę,
Wszędy wyjście zagrodzone,
Wszędy piosnka brzmi wesoło,
Fil, fil, fil, fil, przepióreczko,
Przepióreczko piękna, hoża,
Nie ucieczesz nam do zboża,
Nie ucieczesz, kochaneczko!

Zaledwie dotykając ziemi, umykało dziewczę żwawo, aż Janek pochwycił ją i wpół objął.

Krysia stanęła zapłoniona, a serce trzepotało się jéj w piersi, jakby ją chciało rozerwać!

I przez mgnienie oka cała ta ziemia rozkwiecona, cały ten ma, wspaniały błyszczał przepychem barw, tętniał bogactwem dźwięków, aby uroczyściéj święcić tę chwilę w sercach dwojga młodych; od reszty ludzi oddzielał ich jakiś czarowny krąg szczęścia, tego wielkiego a nieuchwytnego szczęścia, które się wyłania, jak woń z kwiatu, odczute przez innych instynktownie jakimś zagadkowym zmysłem.

Tony piosenki stawały się coraz skoczniejsze, aż przeszły w raźny mazurek, sławny na cały kraj mazur okolic Krakowa.

Mikołaj Leszcz, sztygar Nowego Pola, począł taniec z Kachną Gieraszową, za nim wzięli dziewczęta do tańca inni kruszacy, warcowni hutmani. Śpiewano i tańczono, aż ostatnie promienie słońca zadrżały na szczytach drzew, a dzwonek farny na Anioł Pański powołał rozhukaną gromadkę do modlitwy, wieczerzy i snu krzepiącego do jutrzejszéj pracy.

Zabawa świątkowa zaczęła przybierać kształty rzeczywistości. Ojciec Krysi, zamożny prasol, dał na zapowiedzi. Młodzi mieli się pobrać na Ś-ty Michał.

Janek, lekko raniony w rękę przy rozrywaniu kłopcia, nie mógł pracować w żupie czas jakiś, a że był sprytny, trzeźwy i obrotny, przeto podżupek przeznaczył go do odstawy bałwanów i solówek do Oświęcima miejsca, zbytu soli na wielką skalę.

W drodze miał się wywiedziéć u wójta oświęcimskiego, jak stoi sprawa z pretensyami do Wieliczan o naprawę mostów na Sole i Włósience.

Liczono, że dostawy i sprawy żupne miały mu zająć czas dwumiesięczny, a potem na św. Michał miał już sprowadzić do swéj zagrody młodą gosposię.

Zaraz po suchedniach majowych poczynano wozy i galary ładowne rozsyłać na wszystkie strony. Te—O.O. Benedyktynom Tynieckim, te—dla OO. Cystersów w Mogile, inne do królewskich składów, albo jako wypłatę darowizn Akademii Krakowskiéj, która bodaj czy nie z większą wówczas gorliwością, niż o sól atycką, dbała o przechowywanie donacyi:

„*ad magnum salem korito*"...

Przez całą Wieliczkę, górną Lednicę, aż ku Chorągwicom szły podwody. Janek miał się przysiąść do jednego z wozów, aby jeszcże przed wieczorem stanąć w Krakowie.

Załatwił wszystkie sprawy, pokłonił się z pożegnaniem gospodarzom swoim, dzieciom ich obiecał przywieźć gościniec z drogi; wyszedłszy z zagrody, spojrzał, ku chacie Krysi, pożegnał ją raz jeszcze w myśli i skierował się ku wozom, które postępowały jedne za drugiemi, jak niegdyś podczas praźników widywane w dzieciństwie może i komiegi pokuckie.

Janek niewielkie zawiniątko przewiesił przez plecy i zbliżył się do szybu Regis.

Do kopalni musiał jeszcze zejść, aby zabrać narzędzia i potrzebne papiery.

Dla chwilowéj naprawy kieratu, od kilku tygodni spuszczano się drabinami do komory, gdzie górnicy starego pola zgromadzali się po szychcie, obliczali i mierzyli robotę dzienną.

Jak zwinny kot, przebiegł Janek stopnie drabiny sznurowéj i znikł w czarnéj czeluści szybu; tylko kaganiec rozświecał smolne ściany kaszty, jak błędny ognik mogilny.

Po kilku minutach stanął na pierwszém piętrze. Dobrze znanym

chodnikiem skierował się do komory, gdzie górnicy zostawiali swe narzędzia i odzież

Zabrał kilof, przekonał się, że papiery oddane mu przy wadze przez ponderatora były w porządku, włożył je do skórzanéj torby, a że ostry świst wiatru przeleciał szybem i zadął głucho a przeciągle, włożył guńkę i opuścił komorę.

Wychowany prawie w podziemiach wielickich, znał niektóre pola w żupie, jak leśniczy zna swoje dęby i sosny, a rolnik łany pszeniczne.

Były mu bliskie i znajome; nie bez dumy poprawiał na ramieniu kilof, bo mu nieraz wspominano, że nigdzie na świecie pono człowiek tak głęboko się nie zarył i tyla skarbów z wnętrza ziemi nie wydarł.

Czasem przebiegał sam te otchłanie i wtenczas przejmowało go uczucie dziwnego lęku; dzisiaj zdawału mu się, że zręby olbrzymie ciążą więcéj, niż kiedykolwiek, nad urwiskami!

Ta otchłań bez dna jest dziełem rąk ludzkich do najmniejszéj okruszynki; ale téż ta praca krecia pochłonęła powoli życie tylu a tylu braci górników.

Żupa brała jako daninę młode siły, żylaste ramiona.

Było w tych naciętych skałach jakby skrzywienie szyderskie i bolesne jakichś potwornych olbrzymów i w odgłosie kroków powtarzanych przez setne echa zgrzyt przytłumiony i chichot, który to słabnął, to wzmagał się znowu; była w téj ciemności groza tajemnicza, która wszystko kryje, i rozświetlona na jedném miejscu i przez jedną chwilę, z oddali straszy, wzmaga się i przeraża.

Janek nie był tchórzem, ale dziś pilno mu było do światła, do dnia jasnego.

Wiedział, że z ciężkim kilofem po drabinie wychodzić będzie bardzo trudno; chcąc się dostać do schodów, musiał zejść na niższe piętro ku Wodnéj Górze, a stamtąd skierować się do szybu Seraf, który wychodził do dnia, i był urządzony nader wygodnie dla schodzenia i wychodzenia tak górników, jak zarządzających, a od jednych i drugich roiła się ta linia po szychcie.

W ten sposób obmyślana droga prowadziła przez długi krużganek Boczańca dawno zawalonéj góry przez nieostrożność i nieuctwo żupników, Hieronima Radziejowskiego i Łomżyńskiego.

Mógł wprawdzie skrócić o połowę, staczając się z śliskiéj, pochyłéj powierzchni od strony zawalonéj komory Bokler, ale ten sposób spuszczania się do niższych pięter żupy był zakazywany surowo.

Kruszak wprawdzie nie mógł nigdy zrozumiéć dlaczego, bo dawniéj z rozkoszą oddawał się téj igraszce, ile razy był pewien, że go któ ry ze starych burtowych nie zobaczy i za uszy nie wytarga.

Zawsze wychodził cało z téj próby, dlaczegóżby i teraz nie udało mu się potoczyć po ile ziarnistym szybikowego pokładu, zwłaszcza, że mu to oszczędzi i czasu i trudu.

Nie namyślając się długo, o kilkaset kroków opodal rzucił z góry kilof, który z głuchym trzaskiem spadł z sążnistéj stroméj pochyłości i zatrzymał się gdzieś u podstawy zawalonéj kaszty. Kruszak przyjął postawę poziomą, ramiona wydłużył i żywym ruchem potoczył się zwysoka.

Jakkolwiek lat kilka nie pracowano tutaj, znał dobrze Boczaniec i wiedział, że za chwil parę zatrzyma się na dole obok szczeliny, gdzie dawniéj naciekową sól wyrębywano.

Czy jednak ciężki młot spadając odkrył jaki kant kryształu, lekko dotychczas przysypany, czy ił wilgotny osunął z biegiem czasu i obnażył poprzeczną warstwę pokładu spiży, dość, że Janek kruszak zabił się na miejscu przez jedno z tych zgięć kręgosłupa, które w oka mgnieniu zabija wiewiórkę, czy konia w niezręcznym skoku.

Wieść o zniknięciu Janka z Kutnéj Hory nie zaraz rozbiegła się po Wieliczce. Dostawy szły równocześnie na Niepołomice Wisłą do Krakowa i Puław, a wozami do Oświęcima.

Według poleceń pana podżupnego miał Janek dostać kwit od Ojców Cystersów w Mogile za otrzymaną część rocznéj darowizny. W Krakowie na kuchnię Jego Królewskiéj Mości zostawić miał beczek 324. Jako „*doni nuptialis*“, Królowéj Jejmości szybikowéj soli beczek 4000. Na szlachtę mazowiecką beczek 10,540 suchedniowéj soli, którą szlachta pobierała cztery razy do roku i to po cenie niższéj od kosztów wydobycia.

Reszta szła według ściśle obliczonéj liczby na dyarye urzędnikom krajowym, O. O. Benedyktynom na Tyńcu innym zakonom z dawien dawna na żupach wyposażonym.

Wszędzie czekano na pisma salinarne z miarą bałwanów, wagą kruchów i solówek.

Dziwiono się, że za wzorowego żupnictwa Jana Przebendowskiego i hrabiego Teodora Reyny nie pilnowano porządku w dostawie.

Wreszcie jeden z hutmanów stanął z resztą dowozu na Wiśle i dowiedziawszy się, że przy odbiorze było zamieszanie, posłał z raportem do żupy.

Ponderator wydał raz drugi żądane pisma, nie mogąc zrozumiéć, co się stało z jego poprzednim wykazem i z Jankiem, któremu papiéry osobiście wręczył.

Rozpytywał się woźniców, wracających po nowe ładunki, czy który z nich Janka nie odwoził; posyłał nad Wisłę do flisaków i trybarzy z podobném zapytaniem, ale jedni i drudzy mało znali górników i żadnéj wskazówki dać nie mogli.

Szukano go napróżno w składach na Turówce, w Krakowie na jarmarkach w czasie, kiedy zbyt soli byl największy.

Nikt nie widział go wchodzącego do salin. Pomimo to, na rozkaz podżupka górnicy przebiegli wzdłuż stare i nowe pole. Przetrzęśnięto szyby Leszno, Bużenin i Przykos, szukano go na Lizaku, w Sielcu, Wałczynie i Słupowie.

Warcowni stukali w ściany danielowickiéj jamy, gdzie się niedawno pokazały osunięcia i gdzie jednemu z kopaczy kaszta o mało nogi nie zdruzgotała.

Krysia śledziła te poszukiwania z naprężeniem i rozpaczą, to z błyskami nadziei. Całowała ręce górników z niemém błaganiem, nadziei, a ci strudzeni, po skończonéj szychcie, brali pozwolenie od sztygara i z kagankami z własnéj ochoty szukali jeszcze zaginionego.

Tak natrafili na szczątki dwu domów, pochłoniętych przed laty, kiedy w Słabuszowie zapadła się znaczna część ziemi; kaganki ich oświecały nawet spadzistość Boczańca; ale nikomu na myśl nie przyszło na tém właśnie miejscu rozgrzebywać spadzistą górę; szybik ten nie wychodził do dnia, zawały jarkiéj perłowéj siemlotki i szaréj hałdy utrudniały dostęp i tak pokrywały szczeliny ociosowe, jakby tam od setek lat ręka ludzka nie spoczęła.

Pies Janka, czarny Żuber, byłby może zaskomlał tutaj, byłby zwietrzył pana swego i skowyczał tak długo, ażby zwrócił uwagę górników.

Ale Żuber, oddany w opiekę Krysi, nie odstępował jéj teraz ani chwili; położył pysk na jéj kolanach, wlepił w nią mądre, poczciwe oczy, aż ta z jękiem osunęła się na ziemię, otoczyła rękami psa i płakała długo, mieszając łkania ze skomleniem Żubra, a ociérając łzy długą czarną wełną, szeptała: gdzie twój pan i mój!

Stare gospodynie, młode towarzyszki Krysi, każda na swój sposób dzieliła się domysłami z sąsiadką.

— Et, co tam, gach zwodny — mówiła Magda z Sandrowy, która już na niejedno patrzyła w swém długiém życiu;—gdzieś mu się w drodze na darzyła podwika, ulubił ją i przepomniał swego dziewczęcia, a ta sobie niemądrze oczy chce za nim wypłakać.

A na to kuma:

— A mnie się widzi, że on do Kutnéj Hory zemknął. Obcy był i ciągnęło go do swoich, nie mało tu ludzi z cudzych ziem z podwodami bywa, ot i zabrali go jak swego.

— Kto wié, czy on nie przystał na pokoje Króla Jegomości—dorzuciła Zosia Ledniczanka, był chwacki w mowie i obrotny, to mu tam może złotolśniącą odzież dali i przeznaczyli do zamku, jak młodego Przesława, choć mu ojciec dotąd nie przebaczył, że kilofa po dziadach i pradziadach swoich się wstydzi.

Dobiegały Krysi te i owe domysły, a biédne dziewczę słuchało chciwie każdego słówka o Janku, aby potém w samotności żywić swą rozpacz, zwątpienie i miłość.

I tak mijały długie lata, zieleniły się drzewa, to znów zaścielały ziemię zżółkłemi liśćmi, i z wiosną nowe życie rozkwitało z całą rozrzutnością przyrody niewyczerpanéj w kwiaty i w pieśni.

Los Krysi płynął zwykłą drogą nieszczęść ludzkich. Zrazu rozpacz, daléj gorycz i smutek, daléj tęskne zamyślenie, wreszcie smętny wdzięk ukojonych wspomnień.

Pod przyzbą białéj chaty siedzi pomarszczona staruszka. Drobne dłonie splotła na kolanach i podniosła oczy jeszcze żywe i błyszczące, jak paciorki różańca.

Przed nią wznosi się smukła topola.

Boże, Boże, a toż to dopiéro ten pręt śmignął w górę od czasu, jak Janek zasadził go naprzeciw jéj okna lat temu pięćdziesiąt!

Już pięćdziesiąt!

Gdzież tu szukać w twarzy pomarszczonéj, jak zimowe jabłko, rysów załzawionego dziewczęcia, które z bólem i strachem patrzało w życie.

I dziś to życie już po za nią, a sądząc ze słodyczy spojrzenia, z ust pogodnych i miłego na nich uśmiéchu, widać, że upłynęło w ciszy.

Krysia niosła piérwsze chwile bolesnéj zadumy do stóp Chrystusa Ukrzyżowanego w farnym kościele.

Kładła rozpalone czoło na zimnym stopniu ołtarza i modliła się zdławionym szeptem: „Boże, nie wypuszczaj go z swéj opieki, gdziekolwiek jest, niech go Twoja Opatrzność strzeże. Ty, Panie, widzisz

źdźbło trawy w ukryciu, komara pod jéj cieniem, liczysz włosy nasze! Jeżeli ja mu szczęścia nie dam, daj mu je znaleźć gdzieindziéj i daj mu inną żoną szczęsną dolę—bezemnie".

I powtarzała te słowa kilkakrotnie i przysłuchiwala się ich dźwiękowi, jakby je kto obcy wymawiał, bo cała jéj dusza wzdrygnęła się na ich treść.

Pomimo to, raz jeszcze powoli, szeptem, kornie pochylona u stóp Chrystusowych, powtarza: daj mu inną żonę, szczęsną dolę bezemnie. Ale był to wysiłek woli tak wielki, że dreszcz ją przebiegł po całym ciele.

Za każdą modlitwą wracała spokojniejsza, baczniejsza na potrzeby i przysługi, które oddać mogła około siebie, więcéj nieczuła na własne nieszczęście.

Chrystus stał zawsze, jako drogowskaz w chwili zwątpienia. Z czasem, po kilku latach już nawet przestała pragnąć zmiany w swoim losie. Bóg nie miał kamienia, aby spokojnie złożyć głowę, a ona, biédna dziewczyna, zapomniana w tłumie, miałaby szemrać, że jéj Janek przepadł gdzieś bez wieści, a ona jego obrazu z serca wyrwać nie może.

Niejeden dzielny chłopiec kłaniał się ojcu Krysi, aby ją za żonę pojąć. Ojciec do córki zawsze się zwracał, nie nalegał jednak, gdy odmawiała.

Przeczuwał w niéj jakąś moc potężniejszą w cierpieniu i mawiał: „niech się stanie wola Boża nad nią".

I nie zważała Krysia, że ten i ów bogatszym był od Janka i znaczenie w gminie miał większe. Nie zastanawiała się nad tém, że nowi jéj zalotnicy są w stanie sprawić jéj korale od orzechów większe, piękne szale wzorzyste zza morza na krakowskie jarmarki sprowadzane, albo czepce od złota kapiące, w które ustrojona zasiędzie w kościele między najzamożniejszemi mieszczkami Wieliczki.

Miłowała Janka, jakim był, i jego być miała w szczęściu i niedoli, czy on bliski, czy w oddaleniu, i chciała mu pozostać wierną, czy on żyw, czy nie.

Raz tylko Krysia zachwiała się w postanowieniu. Łoś, bednarz żupny, wdowiec z dwojgiem dzieci, prosił, aby im była matką. Krysia z prostotą i słodyczą gładziła biédne sieroce główki i byłaby już może zgodziła się na śluby, ale podniósłszy oczy, spotkała spojrzenie Łosia, które zarówno gorąco prosiło o matkę dla dzieci, jak żonę dla siebie.

Zamajaczyła w jéj myśli łączka i cały ten niezapomniany wieczór Zielonych Świątek, kiedy wszyscy nazywali ją oblubienicą Janka, a on mówił do niéj głosem pewnym, spokojnym, serdecznym:

„Moja Krysiu, na zawsze moja,—pamiętaj!”

Nie, już gdziekolwiek on jest, dochowa mu wiary, usta nie skłamią, jak serce nie skłamie w przysiędze dla innego!

Cicha, dobra, codzień lepsza Krysia oddawała dzień za dniem prace swoje to sąsiadce choréj, to skaleczonym noszakom lub burtowym, to dzieciom ich, ucząc malców pacierza, dziewczęta prząść, pléć ogródki.

Nikt tak dobrze, jak ona, nie upinał wianków ślubnych na czole panien młodych: gdy smutek lub choroba dom nawiedziła, Krysi dawano znać najpierwéj, a jéj dłoń lekka, chód cichy, spokój i pogoda—pierwszy promyk słońca przynosiły do chaty. Wszyscy ją znali, przyjmowali jéj pomoc bezwiednie, jak się wdycha powietrze.

A jednak teraz poczciwa stara Krysta obchodzi złote wesele ze swém cierpieniem. Wspomnienia cisną się do niéj tłumnie.

Będąc młodą dziewczyną, raz tylko spuszczała się do salin, i z téj podziemnéj wędrówki wyniosła uczucie grozy na całe życie.

Przygniatał ją ten ogrom, bezkształt pieczar i strach nocy.

To téż, gdy została narzeczoną kruszaka, układała sobie cały plan przyszłego życia, aby mu wynagrodzić długie godziny pracy w podziemiach.

Jak to ona świetlicę będzie trzymać w porządku, a jak tam będzie wszystko błyszczało ładem, ile kwiatów nasadzi w ogródku, a w doniczki na zimę. Jak jéj chléb będzie biały, a nadewszystko, jak jéj serce Jankowi oddane, gdy po szychcie wróci do chaty do niéj, do swéj Krysi.

Teraz objęła smutnie topolę ramionami, przycisnęła zwiędłe czoło do chropowatéj kory pnia i myśli, myśli długo, o tém co być mogło, a co się nie ziściło...

Wtém gromadka dzieci nadbiega, otacza Krystę, a ta otrząsa wspomnienia swego losu i chwilę potém siedzi na białéj ławie pod chatą.

Dwuletni smyk, wnuk Kachny Gieraszowéj, wygodnie się usadowił na jéj kolanach, klaska w dłonie, a ona mu śpiéwa, zupełnie jakby to było własne jéj wnuczę:

„Koci, koci w łapki,
Pojedziem do babki,
Da ci babka kaszki,
A dziadek okraski!

— Jeszcze babciu, jeszcze,—wołają malcy, a Krysta daléj:

Kosi, kosi w obie dłonie,
Lepsze lato, niźli łonie:
Latoś pono znikła hreczka,
Dziś urodziła pszeniczka!

Nadchodzi kilka niewiast i burtowych z kopalni i opowiadają Kryście dziwne rzeczy:

Od kilku miesięcy geometra i żupnik, pan Godfryd Borlach, zwiedza wszystkie zapomniane pola, bo Król Jegomość życzy sobie na karcie widzieć nasze saliny. Niedawno wrócili górnicy przez zawalony Boczaniec ku szybowi Regis; jak zaczęli ostukiwać ściany, tak znaleźli w miałkim ile ciało górnika, i wygląda, jakby wczoraj usnął, ale dziwno, bo go nikt jakoś poznać nie może, a już oddawna nie słyszano o tém, aby którego z Wieliczan w tych miejscach nieszczęście nawiedziło.

Wśród zielonych drzew snuje się pochód pogrzebowy. Ile ludzi w Wieliczce, tyle ich wyległo na drogę cmentarną.

Cech górniczy w odświętnych strojach, kapela salinarna gra marsza żałobnego, a na przemian ksiądz proboszcz śpiéwa modlitwy pogrzebne. Tuż za trumną postępuje Krysta, narzeczona zaginionego przed pięćdziesięciu laty kruszaka.

On, z pięknemi rysami twarzy, z czystemi liniami młodości, którym czas nadał jedynie nieruchomość i majestat posągu. Niby mumia egipska, zachowało się nienaruszenie ciało Janka kruszaka, ujęte przed pół wiekiem w szczelinę dwu odłamów skały solnéj; ił ziarnisty przysypywał je wolno i jakby ostrożnie, aby dziełu zniszczenia wyrwać choć cząstkę ofiary.

Gdyby tak kruszakowi dane było przez chwilę podnieść oczy i rozejrzeć się wokoło, czy poznałby w siwéj, zgarbionéj staruszce swoje dziewczę z przed pół wieku.

Za miłość, za wiarę, tak święcie dochowaną, przynosi jéj widmo przeszłości i to tak dokładne, że Krysta ani przez mgnienie oka nie zawahała się w rozpoznaniu jego rysów.

Odprowadziła go w otoczeniu licznego tłumu do grobu, gdzie już na zawsze miał spocząć, przez chwilę silniéj ją zabolało jéj dziwne wdowieństwo i powróciła do codziennego życia, smutniejsza, ale z wiarą, która umiała czekać; ale jéj tęskno i coraz ciężéj przebywać ten czas rozłąki, nieokréślony a długi,—oj, długi dla tych, co cierpią!

— Jak pani myśli — zapytał mnie ktoś z mego audytoryum,—czy żona pana Nansena czytała tę przygodę?

— To nie jest niemożliwe, wszakże Skandynawia czasem miała z nami stosunki.

— Tak, to prawda, nawet podczas wojen szwedzkich chciano bombardowaniem dusze powystraszać z biédnych Wieliczan, którzy byli pewni, że ziemia się z nimi zapadnie i zamarynuje ich wszystkich, jak naszego kruszaka. Wiem o tém pewnie, że rozbili kasę żupną i nałupili soli, co się dało, ale tego, czy archiwu i kroniki salinarne zabrali, to już niepamiętam dokładnie.

Marya Piechocka



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Jan Kasprowicz. „Krzak dzikiéj róży“, z portretem autora. Lwów, 1898 roku, str. 263.

Niedawno zawiązała się we Lwowie spółka wydawnicza, do któréj należą i autorowie prac przez nią drukowanych. Sympatyczna instytucya ta rozpoczęła działalność swoją ogłoszeniem powieści Zycha, p. t. „Prace syzyfowe”. Obecnie nakładem tego „Towarzystwa Wydawniczego” ukazał się nowy zbiór poezyi Jana Kasprowicza.

Zajmujący jedno z pierwszych miejsc w szeregu naszych młodych pieśniarzy, znakomity tłómacz Byrona, Shelley'a, Shakespeare'a oraz wielu innych poetów angielskich i niemieckich, wystąpił Jan Kasprowicz z pierwszym tomikiem swych utworów, przedmową Jeża poprzedzonym, w „Bibliotece Mrówki”, mniéj więcéj przed dziesięciu laty. Pojawienie się téj szaréj niepozornéj książczyny było ważnym wypadkiem w dziejach naszéj młodéj poezyi. Tetmajer, Miriam, Rydel, Nowicki, Niemojewski dopiéro stroili lutnie swoje, utwory Langego trwały w rozproszeniu po pismach, wierszyki Or-Ota nie zapowiadały późniejszego rozwoju jego twórczości, — poezya Kasprowicza tchnęła w niezdrową cieplarnianą atmosferę sentymentalnéj liryki ożywczy świéży powiew z naszych łąk i pól. Przyjęty z uznaniem przez całą krytykę, Kasprowicz nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. W roku 1890 wydaje we Lwowie „Chrystusa”, poemat społeczno-religijny, napisany prześlicznemi tercynami. W następnym roku tamże ukazuje się

jego opowiadanie wierszem „Z chłopskiego zagonu". Rok 1894-ty przynosi zbiór poezyi „*Anima Lacrimans*", — a rok 1895-ty cztery poematy objęte jednym tytułem „Miłość". Jeżeli dołączymy jeszcze do tego dramat z życia ludu wielkopolskiego „Świat się kończy", oraz liczne przekłady—będzie to pokaźny dorobek, jak na zaprzężonego do taczki dziennikarskiéj poetę.

„Krzak dzikiéj róży" rozpada się na parę cyklów. Już pierwszy z nich „W ciemności schodzi moja dusza" rozpoczyna się znamienną strofą: „Wierzyłem zawsze w światła moc, władnącą nad mrokami, a przecież nieraz wiarę tę gorzkiemi zlewam łzami". Wiersz „Byłeś mi dawniéj bożyszczem, o tłumie", w cyklu tym zawarty, stał się powodem zarzutów, na które niepodobna się zgodzić. Mianowicie tu i owdzie poczęły się odzywać głosy, jakoby poeta stał się niespodzianie wrogiem ruchu, którego niegdyś był czcicielem. Wprawdzie z goryczą mówi on o tłumie, dawném swém „bożyszczu", wprawdzie przeklina go za zdeptaną wiarę i za bezskutecznie czynione dla niego poświęcenia —lecz nie jest to bynajmniéj odstępstwo od ideałów demokratycznych, a tylko bolesny jęk zawiedzionych uczuć człowieka, który niegdyś pokładał gorącą, bezwzględną wiarę w wartość tłumu. Nazywa go nienasyconym, nie dbającym o żadne idee „brzuchem", codziennie trawiącym „Myśli, uczucia, prorocze ekstazy, czystość poświęceń, rycerskie porywy, modły zachwytne, dyscyplinne razy, krwi stygmatycznéj święty strumień żywy; gwoździe, co sine przebijają ręce; ciernie, co kłują blado-żółte skronie". Nazywa go „płazem człowieczym, z odgniotem jarzma na schylonym grzbiecie"—„zwierzem brutalnym—Molochem, bożkiem miedzianym, — wrogiem ducha, depcącym ołowianemi stopami kwiaty zasiane przez dłoń bożego siewcy, a stawiającym na zwiędłém pustkowiu straszny dla duchów ogrom ciała. Na wielkim od złota błyszczącym ołtarzu rozpościéra się jego ścierwo tłuste, pieszczące rozpustę na kolanach — oko ma błyszczące ogniem zawiści, a usta przez chciwość w wstrętną paszczę zmienione. W piersi jego wrą wulkaniczne ognie, ale stracony, kto się od nich zajmie! Serce swe spali, duszę swoją pognie, jak ćma tak spłonie w swym służalczym najmie." Poeta przepowiada krwawemu Molochowi, co mu pożarł serce i wyssał drogi szpik jego duszy, że „sługa jarzemny rozstrzygnie jego losy, a dzierżyciel pięści uderzy go w pierś i stopę mu na karku położy." We wszystkiém tém widzieć należy nie sprzeniewierzenie się ideałom demokratycznym, lecz, jak się słusznie jeden z krytyków wyraził, „zwyczajne w życiu poetów, szczere falowanie uczuć." Do najpiękniejszych strof pierwszego działu należy refleksyjny wiersz „O niezgłębiona duszy toni". Drugi z kolei cykl „Z wirchów i hal", zupełnie

nowy na strunach lutni Kasprowicza, rozpada się na dwie połowy: „z Alp" i „z Tatr"; znajdujemy tu rzeczy najlepsze, skrzące się przepychem barw, jakich poeta nie miał dotychczas na swéj palecie—obfituje w nie zwłaszcza dział drugi. Należałoby wyliczyć wszystko — poprzestajemy na „Krzaku dzikiéj róży", cyklu złożonym z czterech sonetów. Jako śpiewak piękna tatrzańskiéj przyrody, staje tu Kasprowicz obok Asnyka, Tetmajera i Nowickiego. Trudno również przemilczéć o wierszu „Taniec zbójnicki", napisanym z motywów pieśni ludu zakopańskiego, po części jego gwarą, a odznaczającym się siłą, plastyką i doskonale podchwyconym tych pieśni charakterem. W idącym z kolei dziale „Nad przepaściami" zasługuje na wyróżnienie parafraza jednego z hymnów Rigwedy. Dział przedostatni „Akordy jesienne" zawiéra piękny wiersz (str. 183), wymierzony przeciw tym, co powiadają, że w młodéj poezyi „niema tytanicznych tchnień, wstrząsających granitami", że „jéj duch, nieświadomy swoich celów, błądzi dzisiaj, jak nikły cień bohatérów, co w martwotę wprowadzali życia ruch". Czy „dąb zielony" mówi to? nie! „Odarty z liścia pień! Robaczywy tłum, co w wrzaskach kankanowych stracił słuch na melodye hymnów wiecznych — opasły leń, w którym nie mózg ludzki, lecz zwierzęcy myśli brzuch." Poeta mówi, że „tak jak dawniéj, idzie przez świat z ogniem świętym śpiewny lud—tak jak dawniéj w harfach swoich więzi krwawy błysk i grom — tylko nie spotyka już Zewsów, a od promiennych wrót raju nie odgania go dziś anioł, lecz ścierw gnijących wstrętny wał — nie chce też godzić weń piorunem bożym, stworzonym dla potężnych skał." Zamyka książkę alegoryczno-fantastyczny dramacik „Na wzgórzu śmierci", kreślący stosunek rozumu i serca do prawd objawionych. „Dusza wygnana z raju", wahająca się pomiędzy Chrystusem i Lucyferem, skłania się ku drugiemu. Ostatni tom poezyi Kasprowicza pod wieloma względami różni się od pierwszego; co do treści—staraliśmy się to już powyżéj oświetlić... Pozostaje nam jeszcze forma. Szare, na bibule drukowane wydanie „Biblioteki Mrówki" tak różni się od welinu ostatnich tomików Kasprowicza, jak szorstkość pierwszych jego poezyi od śpiewności i melodyjności ostatnich. Nieuprzedzeni krytycy już przy pierwszym występie poety, nie zrażeni chropowatością jego wiersza, przepowiadali, że wyłoni się z niéj piękny, nieskalany kształt — i przepowiednia ta ziściła się, stwierdzając po raz nie wiem który słuszność zdania tych, co chętniéj widzą w poetyckich pierwiosnkach łamanie się z trudnościami formy, niż ową gładkość bez zarzutu, która z czasem w szablon i manierę przechodzi. Wiersz Kasprowicza z dawnych zalet nic nie uronił — jest to zawsze wiersz męski: giętki, silny i plastyczny, umiejący gdy potrzeba w spiżowy dzwon uderzyć,—

a tak dla swego twórcy znamienny, że zdaje się wprost przeglądać zeń męskie surowe oblicze poety, którego wizerunek ozdabia książkę. Jaką zaś wiersz ten umié poić słodyczą, gdy się rozśpiéwa, niech powié „Cisza wieczorna", któréj prześliczne tercyny z nieprzepartym urokiem opowiadają, jak to ona „od wieczornéj idzie zorzy zamykać Tatry w swe ramiona".

Każdy prawdziwy miłośnik poezyi szczerze wdzięczny być powinien młodemu „Towarzystwu Wydawniczemu" za zebranie w tom tych utworów, które z serca płyną i do serca trafić muszą. *Ar. Les.*

Stefan Żeromski „Utwory powieściowe" (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczu. —Tabu. — Cienie. — Kara — Legenda o bracie leśnym. — Promień). Warszawa-Kraków, 1898 roku.

Utwory p. Żeromskiego cieszą się wśród naszéj publiczności zasłużoném uznaniem. Jednomyślnie prawie uważany jest on za jednego z najbardziéj utalentowanych przedstawicieli naszego młodego powieściopisarstwa. W rzeczy saméj, nie można mu odmówić wielkiego talentu, może nie talentu wyszukiwania niezwykłych sytuacyi, działających na wyobraźnię niewybrednych czytelników, nie talentu kreślenia typowych postaci, rzucających się w oczy plastycznością i życiem, ale talentu malowania stanów psychologicznych oraz scen z życia powszedniego z taką nieubłaganą dokładnością, z taką przeraźliwą prawdą życiową, że mimowolny dreszcz wywołują w czytelniku.

A że to życie powszednie, które z takiém mistrzostwem odtwarza p. Żeromski, tak mało obfituje w blaski promienne, że ta dusza ludzka, któréj wnętrze z chłodem anatoma odkrywa on przed nami, pomimo zwierzchniéj powłoki uczciwości konwenansowéj, jest w rzeczy saméj jaskinią, w któréj gnieżdżą się często najohydniejsze gady samolubstwa, zwierzęcości, okrucieństwa, — więc téż w utworach p. Żeromskiego tak smutno, tak przeraźliwie smutno. Wieje z tych kart jakaś melancholia grobowa, jakiś zatruty powiew cmentarny...

Kilka zaledwie nowelek z niniejszego zbiorku nie da się podciągnąć pod tę ogólną regułę — i są to téż rzeczy najsłabsze. „Na pokładzie" jest zaledwie szkicem do powieści, jednóm wrażeniem podróżném, zapisaném do notatnika turysty: na pokładzie statku, dążącego z Brunnen do Fluelen, grono dzieci szwajcarskich śpiéwa pieśń, głęboko wzruszającą wszystkich obecnych. „Legenda o bracie leśnym" jest podaniem o starym pustelniku, baronie Recho von Speerbach, nawra-

cającym na drogę pokuty swego wnuka, dzikiego i okrutnego „*raubrittera*". Wreszcie „Kara" — to tylko wesoły żart studencki, który ze względu na swój nastrój, tak sprzeczny z tłem całego zbiorku, jak ze względu na pomysł niezbyt szczęśliwy, mógłby być bez szkody usunięty; jedyną zaletą nowelki jest humor i werwa, z jaką autor opowiada przykre przygody niefortunnego „kolejarza" Łaskawicza.

Jedna z dłuższych nowelek „O żołnierzu tułaczu" rozpada się na dwie części, dość luźno ze sobą spojone. W pierwszéj widzimy generała francuskiego, Gudina, zdobywającego podczas kampanii 1799 roku jakiś szczyt szwajcarski, obsadzony przez wojska arcyksięcia Karola. Prowadzony przez chłopa Fahnera, oddział jego wdziéra się po stromém lodowisku na wierzchołek góry i spada na głowę nic nie przeczuwających Austryaków. Tytułowy bohatér, legionista, Matus Puluti o tyle bierze udział w téj wyprawie, że ratuje od śmierci swego towarzysza Felka, którego osobistość pozostaje do końca niewyjaśnioną. W drugiéj części Pulut wraz ze swym kolegą wracają na rodzinną ziemię, ale u samego celu drogi spotyka ich nieszczęście: Krzysztof Opadzki, dziedzic Zimnéj, rozgniewany na starego wiarusa za buntowanie jego chłopów pańszczyźnianych i pobicie mu sługi, zwołuje „obywateli" podległego mu miasteczka i ci za jego podszeptem „wedle Saxonu" „gorącém prawem" skazują Puluta na ścięcie. Scena straceni Matusa robi wstrząsające wrażenie. „Matus porwał się z miejsca, stanął obok pnia i zawołał ochrypłym głosem: Ludzie!... Kat szarpnął go za ramię i mocno wstrząsnął nim kilkakrotnie, Pulut znowu, jeszcze głośniéj, z krzykiem prawie wołał: słuchajcie mnie, ludzie, słuchajcie!. Oprawca trzasnął go w zęby wierzchem dłoni i rozkrwawił. Tłum zaszeptał i odstąpił nieco daléj. Wtedy Matus ukląkł sam na ziemi i prędkim ruchem położył łeb na pniaku. Ciekawi znowu ścisnęli się kołem i Felek ujrzał tylko nad głowami szybki błysk miecza." — Co skłoniło Opadzkiego do tak straszliwéj zemsty nad „żołnierzem-tułaczem", nienawiść czy obawa? tego nam autor nie wytłómaczył. Wogóle, jak tutaj, tak i gdzieindziéj charaktery osób zaledwie są zarysowane. Za to nowelka obfituje w sceny, odtworzone ze znakomitym realizmem i plastycznością: oprócz wyżéj przytoczonego ustępu wymienić można wdzieranie się oddziału generała Gudina po stromych skałach i lodach na szczyt góry i nocleg żołnierzy francuskich na nagim wierzchołku, bez jadła i bez ognia, wśród przeraźliwéj ciszy.

W „Cieniach" p. Żeromski odmalował z jednéj strony wątpliwośc, i niepokoje, dręczące młodego człowieka, zabierającego się, wedle urzędowego wyrażenia, do stanu małżeńskiego, z drugiéj zaś sprzeczność między wygłaszaną teoryą a wykonywaną praktyką, między sło-

wem a czynem. Pan Marek Józef Katerwa, nasłuchawszy się wykładów filozofii po uniwersytetach niemieckich, z krasomówczą swadą rozwija przed swą piękną narzeczoną, Lili, przeróżne teorye o duszy świata, o jego matematycznéj prawidłowości i t. d.; prelekcya kończy się tém, że pan Marek wpija drapieżne pocałunki w odkryte łono odurzonéj Lili. A po wieczerzy, znalazłszy się sam w swym pokoju, zaczyna rozmyślać nad sobą i przypominać sobie grzeszki młodości; wtedy powstają w jego duszy wątpliwości, czy naprawdę kocha swą narzeczoną i czy zdoła zapewnić jéj szczęście. Charakterów wykończonych, jak i w poprzednim obrazku, tu niema, ale stan psychiczny odmalowany wybornie.

Połowę tomu zajmuje szkic powieściowy, p. t. „Promień.” Nazwałem go szkicem, gdyż akcyi właściwéj niema tam wcale. Cała rzecz polega na tém, że Jan Raduski, bohatér opowiadania, po dłuższéj niebytności w kraju, powraca do rodzinnego miasta, Łżawca. Z rozczuleniem pogląda na domy i ulice, tak dobrze niegdyś znajome, a tak dawno niewidziane, ale wkrótce spostrzega, że dawny duch uleciał z tych miejsc bezpowrotnie. Mając 10,000 po stryju, chce się wziąć do jakiéj pracy społecznéj i wreszcie zakłada pismo, p. t. „Echo łżawieckie”, o szlachetnych, humanitarnych dążnościach. Zdawałoby się, że drugą połowę opowiadania powinny zająć szturmy nowego organu do niewzruszonéj opoki prowincyonalnych przesądów, tymczasem walka społeczna schodzi tu na ostatni plan. Autor jakby zapomina o niéj i pochłania go kréślenie nowych postaci—rodziny lekarza Poziemskiego, do któréj traf zbliżył Raduckiego. Poziemski, zarażony nosacizną od jakiegoś robotnika—to żyjący trup, cuchnący zgnilizną fizyczną i moralną; ona—anioł dobroci, łagodności i poświęcenia, nie opuszczająca ani na chwilę łoża umiérającego, pomimo jego krzyków i łajań brutalnych; ich córeczka, Elżbieta—to dziecko dobre i miłe, lecz rozpieszczone i kapryśne. Raduskiego zbliża do Poziemskich nietyle współczucie dla jego cierpień, ile jéj oczy, które roznieciły w nim iskry dawno wygasłych uczuć, tych uczuć, które stanowią lepszą połowę duszy ludzkiéj. Stosunek ten smutno się kończy, gdyż Poziemski wkrótce umiéra wśród strasznych cierpień, a niezadługo i żona jego, dotknięta tąż samą straszną chorobą, z rozpaczy odbiera sobie życie. Raduski, pogrzebawszy wraz z nią ostatni promień swego szczęścia, bierze na wychowanie Elżbietkę, przybrawszy jéj za towarzyszkę córeczkę tegoż robotnika, od którego zmarły doktór przejął śmiertelne zarazki.

Pozostaje do wyjaśnienia tylko tytuł: promień—to nietylko błysk sympatyi, którą wyczytał Raduski w pięknych oczach doktorowéj, promień—to idea, w imię któréj walczy Raduski w „Echu”; idea, dla

któréj on i jemu podobni poświęcili młodość i życie, to nić sympatyi, która wiąże go z dziecięciem ludu, biednym młodym kamieniarzem. „Co między mną i tym chłopcem się pali — to jest promień... To jest główny lewar istotnéj cywilizacyi...”

Figur nakréślonych wypukło i wyraziście nie widzimy tu, jak i w innych szkicach p. Żeromskiego. Sam bohatér opowiadania jakoś żadnym czynem nie może stwierdzić swych wzniosłych idei i aspiracyi, Poziemska — zbyt bierną jest w swéj dobroci i uległości, a postacie drugorzędne, jak stary antykwaryusz, zrujnowany kupiec, spełniający obecnie obowiązki portiera hotelowego, adwokat Koszczycki, nie przebierający w środkach dla zdobycia majątku—malują się, niestety, tylko w słowach, a nie w czynach. Jaka szkoda, że autor tak wybornych figur nie wprowadził w akcyę!

„Tabu” umyślnie pozostawiłem na koniec, gdyż ze wszystkich szkiców, pomieszczonych w zbiorku, ten zdaje mi się najdoskonalszym. Akcya, ale nie zewnętrzna, lecz wewnętrzna, psychiczna, ma za temat cierpienia kobiéty, związanéj przysięgą małżeńską z nieszczęśliwym waryatem, którego oto przyjechała odwiedzić do podmiejskiego zakładu. Ale zamiast jego uspokoić, uśmierzyć burzę, wrzącą pod jego czaszką, sama traci równowagę duchową, szczególniéj w chwili, gdy mąż „z wyrazem wstrętnéj lubieżności na twarzy” i „z ohydnym gestem błagalnym” zbliża się ku niéj... Nieszczęśliwa ucieka w pole i młoda jéj natura buntuje się przeciwko srogim koniecznościom losu, przeciwko owemu „tabu” nietykalnemu wiekowych praw, zwyczajów, konwenansów i przesądów, sprzęgających ją bezlitośnie z tym żyjącym trupem łańcuchem obowiązków, które zaprzysięga się duszy człowieka, ale nie jego ciału, wyzutemu z iskier świadomości. I ona mogłaby jeszcze zaznać szczęścia, wszak ma do tego prawo, jak każda istota żyjąca! „ten pan,” który ją obserwuje zdaleka od tak dawna, a teraz, w wagonie kolei ofiarowuje jéj bukiet przylaszczek, zapewne proch zdmuchiwałby z jéj drogi, gdyby miał do tego prawo,—ale ona zmuszoną jest wyrzec się przyszłości i słuchać straszliwych bredni waryata. „Po co mam cierpiéć, com winna?—spytała się buntowniczo... Wszystek ziemski egoizm w niéj się obudził: po cóż cierpiéć, po co walczyć z koniecznością, któréj nic na ziemi nie przemoże?..”

Ta bezsilna walka z koniecznościami—to jeden z główniejszych tematów, poruszanych przez p. Żeromskiego. Innym z jego motywów jest wydobywanie na jaw takich stron duszy ludzkiéj, co, jak nietoperze, kryją się po mrokach, a wyniesione na jaśnię, są tak brudne, ohydne, plugawe... Gdy filozof Katerwa w „Cieniach” rozmyślał nad cha-

rakterem swego uczucia względem narzeczonéj, przyszły mu na myśl wielkie, wyłupiaste ślepia krokodyla, widzianego w jakimś ogrodzie zoologicznym, i zaraz nasunęło mu się rozwiązanie dręczących go zagadek: „To są oczy powszechnéj natury stworzeń, mojéj i Lili"—myślał z bolesném złamaniem w sercu. Tak, na dnie duszy każdego człowieka kryje się taki krokodyl, zwierzę okrutne i bezrozumne. Gdy duch, trzymający je na wodzy, upada, zwierzę podnosi się i ukazuje pazury. W całéj bezwstydnéj nagości widzieliśmy takie zwierzę w ciele nieszczęśliwego waryata; doktór Poziemski, w paroksyzmie bólu łżący i łający swą żonę, jak ostatnią ulicznicę,—to drugi okaz tego zwierzęcia; Katerwa – to inny gatunek, mniéj drapieżny, ale nie mniéj szkodliwy. A owi żołnierze francuscy, zgłodniali, zmoczeni, zziębnięci, rzucający się, jak stado wilków, na wrogów, czy walczą w imię jakiegoś hasła, jakiejś idei? nie! rznąc bez litości bezbronnych Austryaków, nie wołają oni: *vive la France!* czy *vive la republique!* — lecz coś bardziéj zgodnego z naturą człowieka-zwierzęcia: „Żarliście tu! Grzaliście się! Spaliście tu w cieple!"

W tém leży smutna trafność obserwacyi psychologicznych p. Żeromskiego. A że umié obserwować, o tém przekonywa każda niemal stronnica jego książki; stany duchowe tak normalne, jak i patologiczne (waryat, chory), nakréślone są u niego z taką niezrównaną plastyką, świadczącą o wielkim talencie autora, że na długo pozostają w pamięci czytelnika. Więcéj tylko ruchu w jego utworach—a tworzyć będzie rzeczy wielkiéj wartości literackiéj. *Henryk Galle.*

„Anioł śmierci" – romans przez Kazimierza Przerwę—Tetmajera

Wydając „Anioła śmierci" w książce, poprzedził go Tetmajer własną krytyką, aby dowieść, że zna wady swego utworu, ocenia je sam trafnie i surowo, uwalnia zatém krytyków od niepotrzebnego trudu robienia mu uwag. Przedmowa ta odsłania zarazem przed publicznością warunki, w jakich „Anioł śmierci" powstawał, warunki dość przykre, motywujące poniekąd błędy budowy. Ktokolwiek zechce pisać o „Aniele śmierci," musi wziąć za punkt wyjścia tę samokrytykę autora i czy to powtórzyć ją w parafrazie, czy też z nią polemizować. Dużo stron słabych wytknął Tetmajer w swéj powieści, nie napisał tylko, co w tych dwóch tomach jest najsłabsze. Najsłabszą jest przedmowa. Jest to może najtrudniejsza rzecz pisać o sobie w sposób prosty, naturalny i szczery, są ludzie bardzo skromni w duchu, co to robić umieją bez najmniejszéj pozy, ale Tetmajer do nich nie należy, i stanowisko jego wobec „Anioła śmierci" albo jest nieszczere, albo

niesprawiedliwe. Wyrazić w sposób tak silny, że aż serca drgają, ból żywy, ogromny, prosty, odtworzyć zapasy mocnéj natury i genialnéj organizacyi artystycznéj z żywiołową potęgą-niszczycielką, tak zrozumiéć, tak wypowiedziéć miłość od najdelikatniejszych tonów, aż do wściekłego buntu rozpaczy, która podsuwa sposoby nizkiéj zemsty, tak odczuć, tak dać odczuć innym istotę nowożytnéj sztuki, psychologię twórcy i proces cały twórczości, a potém z ironiczno-pobłażliwym uśmiéchem wyrzec o treści swego dzieła, że błaha, marna — ot sobie „studencka miłość Rdzawicza, utalentowanego rzeźbiarza do p. Maryi Tyżwieckiéj, pięknéj królewianki”—*ça sonne faux*, w téj formie i na tém miejscu — trąci to poprostu frazesem. Sztuka i miłość to nie jest mało. Czyż Tetmajer potrzebuje uniewinniać się, że nie poszedł orać niwy, na któréj zbiera plony Orzeszkowa? Jeżeli wszakże zdania te głębsze mają znaczenie i podstawę w przekonaniu poety, to takie „*Obiit Gustavus*” dziwnie wygląda wobec książki, która nie jest jego wyrazem, choćby nawet z winy redakcyi „Czasu.” Na inném miejscu w bardzo niegrzeczny a nawet mało wykwitny sposób dał Tetmajer odprawę tym krytykom, coby chcieli oceniać kwalifikacye jego społeczne i odczucie spraw ogólno ludzkich. Teraz jednak, wobec czytelników, robi wspaniały gest i oświadcza, że nie jest obojętny rzeczom, „od których gwiazdy bledną, a życie huczy aż w słońce.” Zdaje się, że nikt nie powinien był, nikt nie miał prawa o tém wątpić. Gdyby nie przeszkody ze strony redakcyi „Czasu” i „Wieku” rzeczy owe znalazłyby się w ramach téj dwutomowéj powieści, którą autor oprzéć zamierzał na szerszéj podstawie społecznéj. Zatargi redakcyjne gorzkie musiały zostawić wspomnienie tak z powodu małomiasteczkowych plotek, jak i nakładanych autorowi więzów pruderyi, trudno wszakże wyobrazić sobie, aby redakcya tak stanowczo wpłynąć mogła na zmianę założenia i tonu: „Anioł śmierci” nie ma sam w sobie warunków na powieść o szerokim zakroju społecznym, ale „Anioł śmierci” mógł być arcydziełem w swoim rodzaju, gdyby w nim nie było nic więcéj nad to co „konieczne.”

„Lubię sonetu trudną, misterną budowę,
Zda mi się, że mi kawał marmuru odkuto,
W którym swobodnie rzeźbić może moje dłuto
W rozmiarach wiecznie jednych, kształty coraz nowe.

Tak zaczyna Tetmajer przepyszne strofy, z których każda potężnie świadczy, jak wielkim lubownikiem a zarazem mistrzem formy jest ten, co tak pisze.

Taką formę skrystalizowaną, „jak bryłę marmuru odkutą,” stworzyła nowożytna sztuka z Flaubertem, Goncourtami, Maupassantem dla powieści. W téj formie klasycznie doskonałéj zmieściłaby się historya miłości, artyzmu, zemsty i obłąkania genialnego Rdzawicza i wypełniłaby ją tak szczelnie, jak bronz formę odlewu. Tetmajera stać było na to, gdyby nie traktował swéj prozy jako „*eine Nebensache*,” ale zechciał raczéj poświęcić wszystkie,—ale to wszystkie „*Nebensachen*” sztuce. A proza Tetmajera warta téj ofiary. Są w „Aniele śmierci” strony całe tak nieporównanéj siły i tak niepospolitéj piękności, jakie dać może jedynie pierwszorzędny talent z Bożéj łaski. Język tam śmiały, aż do zuchwalstwa, giętki w niespodziewanych zwrotach, jędrny i gromki, przy pozorach zaniedbania świetny, bardzo wybitnie indywidualny. Tetmajer rzuca słowa, jak Deukalion kamienie: słowa stają przed nami żywe, plastyczne, dotykalne niemal, dają wrażenie bezpośrednie bólu, czy roskoszy. Ale „Anioł śmierci” nie jest dziełem jednolitém, pisanie z dnia na dzień po rozpoczęciu druku wycisnęło na nim piętno przypadkowości. Wrażenie głównego motywu osłabiły komplikacye sztuczne, pomysły z ciekawego romansu dla niewybrednéj publiczności, jak cała historya miłości panny Tyżwieckiéj do Borzewskiego. W życiu takie rzeczy wyglądają inaczéj, nie bywają obmyślane i układane w panieńskich głowach, jak intryga w lichéj komedyi, a zresztą mniejsza o to: w życiu spotykamy sytuacye z farsy, z melodramatu, ze „złéj literatury”—nie powinno ich być w skończoném dziele sztuki. Marya nie kocha Rdzawicza, kocha innego, może zresztą nie kocha wcale, wychodzi za mąż jakkolwiek—fakt codzienny, prosty, „*doch wem es gerade passirt, dem bricht das Herz in zwei.*” Wszystkie po za tém efekty jaskrawe, umyślne, są już tylko robotą powieściową. I ta „robota” właśnie „Anioła śmierci” zabija. W przedmowie podkréśla Tetmajer zależność swą od Sienkiewicza, i to chyba zanadto, jakby z obawy, żeby jéj nie zaznaczył kto inny. Daje się ona uczuć poniekąd tylko w słabszych ustępach powieści, o których sam wspomina, że są tém, „co Francuzi nazywają, *des longueurs*” w ustępach „jak dla dorastających panien” (Miły Boże! co też to za panny dorastają!). Tam jednak, gdzie pisze ogniem, duszą, krwią serdeczną, jest zarówno w uczuciu, jak formie niepodzielnie i niezależnie sobą, z całą barwą, mocą i świeżością swéj gwałtownéj, sensualnéj organizacyi poetycznéj. „Książka, choćby miała 46 tomów, powinna zawierać tylko to, co w niéj jest konieczne, jeżeli autor ma materyału na 46 tomów *va bene*— jeżeli jednak ma materyał bez stempla „konieczny”, niech pisze tom jeden. A jest to prawdą nietylko dla studyów literackich.

Marya Krzymuska.

Kazimierz Gliński. „Wróci". (Powieść. Warszawa, nakładem G. Gebethnera i Wolffa.—Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1898, str. 353).

Kazimierz Gliński, jako poeta, kocha marzenia i sny złote; budzi go wspomnienie dawnych, minionych lat; myślą przebiega przestrzenie wielkie i niezmierzone, a tęsknota i czar miłości w jego wierszach czynią wrażenie tych nici uroczych, jakiemi oplata u nas ziemię pogodna i cicha jesień.

Utwory poetyckie współczesnego romantyka wyrobiły imię ich autorowi i zasłużone uznanie.

Twórczość artystyczna Glińskiego próbowała form dramatu i powieści, nawet — farsy. Literaturze dramatycznéj wniósł „Almanzora", utwór cenniejszy, a powieść p. t. „Klęska" (wydana w r. 1896-ym) powszechną na siebie zwróciła uwagę.

Obecnie bibliografia notuje nowy utwór tegoż autora, pod tytułem „Wróci".

Przynosi on tę nić złotą zadumy, z łagodnym powiewem od stepów Ukrainy, gdzie tyle wspomnień się kryje. Gliński szybko porzuca tę widownię krwawych niegdyś dramatów, przenosząc bohatérów swéj powieści do miasta, by na tém tle pozwolić im działać. Biedni to rozbitkowie, których podtrzymują tylko drobne barki dwudziestokilkoletniéj Jadwigi, nie znającéj dotychczas walki o chléb i dach nad głową. Rodzinę tę składa czworo osób: rodzice, zmiażdżeni wypadkami i własném bankructwem, syn, Aleksander, i Jadwiga, bohatérka powieści. Aleksander, jak mniemają, pracą swą ocali od zagłady tych, dla których ma obowiązki. Tak sądzi i czytelnik, pomimo że autor postawił młodego Sośnickiego w świetle dla tegoż niekorzystném. Z początku pesymizm i szorstkość Aleksandra dadzą się usprawiedliwić okolicznościami: była to przed laty trzydziestu, kiedy młodzież, zniechęcona tragicznie zakończoną walką, radziła porzucić zmurszałe strzechy rodzinne, a imać się młota przemysłu, gdyż z nim tylko i zimném wyrachowaniem miały przyjść odrodzenie i dobrobyt, a warunki istnienia narodu całkowitéj uledz przemianie.

W tym duchu, choć gorzko, przemawia Aleksander:

— „Ty ojcze i tobie podobni mierzyli siły na zamiary, jakby zdrowy rozsądek nie mówił, że ze wszystkich głupstw najkapitalniejsze jest to właśnie. Zadanie nasze jest jasne, drogi zrozumiałe, cele wytknięte. Nasamprzód musimy zwrócić uwagę na stan ekonomiczny kraju. Początkiem wszystkiego jest materyalny dobrobyt, ten nerw życia. Wtedy dopiéro z zarzuconych rupieci będziemy wydobywali potargane

nici marzeń waszych i to idąc za wskazówkami nowych wymagań świata... Rozbrat stanowczy z ideałami pozytywna, praca i jeszcze raz praca. Zdobywszy środki, wtedy dopiéro powiemy narodowi: macie nas! Nowe źródła wiedzy otworzymy społeczeństwu, taranami ksiąg rozświetlających bić będziemy w zapleśniały mur ciemnoty..." i t. d.

Zdawałoby się, że i wypowiadający powyższe słowa pójdzie z zapałem przekonań swoich w świat, by powrócić po latach pracy, zatęskniwszy za grobami ojców. Niestety! z frazesem na ustach, bez jakiéjkolwiek miłości, samolubny i nieledwie wyrodny syn — tęsknoty żadnéj nie zazna. W pogoni za karyerą porzuci rodzinę, zdobywszy majątek przez poślubienie panny, z którą nie łączą go najlżejsze nawet nici sympatyi.

Rola jego w powieści prawie skończona; odezwie się jeszcze pod koniec, lecz słowa młodego samoluba przechodzą bez znaczenia.

Stary Sośnicki przez słabe zarysowanie postaci jest figurą zbyt bladą, aby go sądzić można było. Czytelnik zaledwie zdoła go sobie wyobrazić gnuśnym, wegetującym człeczyną, rzadko wychylającym się po za próg ciasnego domostwa.

O żonie jego, a matce Jadwigi, jeszcze mniéj powiedziéć można: słabe kontury ani razu nie pozwalają ujrzéć téj postaci, któréj, jako wychowawczyni dzielnéj Jadwigi, należało się więcéj plastyki.

Z wysuniętych na pierwszy plan figur — główne miejsce zajmuje Jadwiga.

Jest ona wcieleniem marzeń poety, jako typ idealnego dziewczęcia, o cudownéj woni warkoczach, koralowych ustach, błyszczącém oku, — uosobienie piękna i miłości. Pojęcia i przekonania jéj są (śmiem przypuszczać) przekonaniami samego autora, a które ośmiesza Aleksander. Jadwiga cierpi i kocha z wiarą w lepszą przyszłość, która, powracając dziewczynie ukochanego Gustawa, powróci z nim szczęście, a wtedy — gdy będzie miała... syna, przywiedzie go do portretów dziada i pradziada, by uczyć go tego, czego ją uczono, kazać ukochać to i tak, jak ona ukochała.

Tymczasem losy jéj zawisłe od jednego tylko słowa: wróci...

Pomni, gdy w noc kwietniową Gustaw żegnał ją po raz ostatni, kiedy „swoje usta do jéj ust przyłożył, w oczy się wpił, całował czoło, włosy — i w jakimś zachwycie uniesienia zawołał:

— Jak twoje warkocze pachną!...

Wtém dało się słyszéć lekkie stuknięcie w szybę okna, przy którém siedzieli, — ostatni uścisk rozstania — i straszna została pustka, cisza przerażająca, zakłócana tylko szumem drzew w ogrodzie i tłumionemi słowami paciérza jéj matki.

Postać ukochanego wryła się w pamięć opuszczonéj, jak ostatnie jego słowa, ostatni uścisk i — spojrzenie.

Lecz po latach rozłąki wyciągną się do niéj te same ramiona, a Gustaw, opromieniony w fantazyi Jadwigi aureolą męczeństwa, zastanie ukochaną taką, jaką zostawił żegnając.

Nim się skończy jéj i rodziców niedola, — musi ona pracować na chléb powszedni. Z otuchą tedy przystępuje do trudnéj pracy nauczania, by ze skromnych zarobków dać utrzymanie rodzinie.

...Minęły lata—Gustawa niema... Wątpliwości opanowują umysł dziewczęcia. A tymczasem zacny jéj sąsiad, Paweł Rzutkiewicz, który umiłował tę piękną i szlachetną istotę całą potęgą uczuć młodzieńczych, staje się Jadwidze coraz mniéj obojętnym. Jednak pragnie wytrwać, i choć prześladuje ją zwątpienie o stałości Gustawa, opiéra się budzącéj się sympatyi dla Pawła.

Znowu rok minął... Wszak tamten mógł — nie widząc — zapomnieć? może poznał inną, piękniejszą, a ją, Jadwigę, opuści? może i kochać przestał?

I jeszcze po roku walki zrezygnowana odda rękę Pawłowi, — gdy nagle list od Gustawa, jak grom, uderza w zbolałe serce dziewczęcia. Z błyskawicy wspomnień wyłania się postać Gustawa, którego usta zdają się szeptać: „Jak twoje warkocze pachną...”

Odżyła przeszłość – on wróci!...

— Zgrzeszyłam przypuszczeniami, nie przestając kochać ciebie. Ta nowa miłość — to było złudzenie... Powracaj — a Jadwigę wierną zastaniesz!...

I Gustaw powróci w dzień wigilijny — chybaby umarł...

Nadeszła wreszcie chwila trwożliwego oczekiwania. Gwiazdy błysnęły, na stole opłatek, — lecz niema Gustawa... Nie wrócił!...

I Jadwiga z nadmiaru cierpień zmysły straciła.

Zostały gruzy — ruina...

Taki jest przebieg akcyi w ostatniéj powieści Glińskiego.

Co do formy i budowy, ma powieść ta wad wiele. Opowiadaniu często brak plastyki. W dużéj liczbie powołanych do życia postaci — nie znajdziesz pogłębienia charakterów; to też figury te przesuwają się bez wrażenia. Główném staraniem autora było — bohatérce powieści nadać kształty najwspanialsze, a duchowo podnieść ją do ideału. W rzeczywistości, trud ten uwieńczony został skutkiem pomyślnym. Obok Jadwigi utrwaliła się w pamięci czytelnika sylwetka Heleny. Jest to typ „sawantki” (jak wtedy mówiono), nakréślony bardzo wyraźnie kilkoma zaledwie rysami. Ale Helena — to figura na drugim planie

zostająca. Postaci zaś pierwszoplanowe zaledwie z gruba cieniowane i bez wyrazu.

Jeżeli czynimy zarzut autorowi, że stronę opisową zaniedbał miejscami, uwydatnić winniśmy tę ważną zaletę, że tam gdzie poeta w strunę uczuć uderza—dobywa tony miękkie i rzewne, kołysząc niemi wyobraźnię czytelnika w ulubionym przez siebie świecie zadumy.

Z dyalogu Glińskiego przebija talent dramatyka; często błyśnie humorem komedyopisarza—a te dodatnie strony i cechy prawdziwego talentu autora sprawiają, że ostatni utwór jego w niejednych znajdzie się ręku. I choć nie zajmie we współczesnéj beletrystyce naszéj miejsca pierwszorzędnego, to jednak dzięki treści swéj ma powodzenie zapewnione, zwłaszcza wśród kobiet, do których bohatérka utworu przemawia dobrze znanemi im słowy: „Miéj serce i patrzaj w serce“.

L. Rutkowski.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Rosa Luxemburg* (Doktor der Staatswissenschaften). **Die industrielle Entwickelung Polens.** Leipzig, Duncker et Humblot, VI—95. Interesująca dla każdego historya stosunków ekonomicznych i rozwoju przemysłu w Królestwie Polskiem znalazła w autorce pracowitego referenta. Z prawdziwym uznaniem przegląda się szereg źródeł przytoczonych na końcu książki i podziwia szeregi cyfr statystycznych i faktów historycznych, jakie autorka w pracy swéj nagromadziła. Znać z nich pracę skrzętną lat wielu, staranne zbieranie faktów z prac naukowych, wydawnictw statystycznych, nawet pism peryodycznych, nagromadzenie i ugrupowanie ich z celem z góry powziętym, dla dowiedzenia pewnych tez ekonomicznych, o które z autorką spierać się nie możemy. Tezy te podejmuje ona nie po raz pierwszy: w swoim czasie—o ile pamiętamy—Kautzky tezy te zbijał i szkoda wielka, że autorki nie przekonał. Na sumieniu téż autorki muszą pozostać niektóre twierdzenia, dotyczące psychologii polskiego mieszczaństwa (str. 77—78), wynikające zresztą z jéj poglądów ogólnych na ewolucyę społeczną, z jéj wiary w t. zw. „materyalizm historyczny“, w teoryę modną przed laty—lecz jak dziś—tracącą z dniem każdym grunt naukowy. Wielka jednak szkoda, że masa nagromadzonego materyału nie została należycie oświecona krytyką i pozbawiona jest téj żywotnéj barwy, którą daje pracy naukowéj osobista znajomość kraju, ludzi, rzeczy i faktów. „Przedmieście Praga“ jest dla autorki centrum wielkiego metalurgicz-

nego przemysłu (str. 19), chociaż po zamknięciu stalowni, nie wiem czy prócz fabryki "Wulkan" inna jakaś „wielka fabryka metalurgiczna" na Pradze istnieje. Królestwo Polskie w ciągu lat 25 ostatnich „zmieniło wygląd zewnętrzny" (str. 18); może to być prawdą dla tych, dla których Królestwo redukuje się do Warszawy, Łodzi i Sosnowca—lecz w odniesieniu do ogółu kraju jest całkiem fałszywém, kraj jest, jak był, przeważnie krajem rolniczym. Autorka wierzy np. twierdzeniu, że produkcya przemysłowa Królestwa ma wartość 23 rubli na głowę ludności — a produkcya rolna—11 rubli na głowę, i to przy więcéj niż 75% ludności zamieszkałéj na wsiach i mniéj niż 200.000 ludzi zatrudnionych w fabrykach. Brak krytycznego zmysłu jest miejscami zadziwiający. Zaznaczywszy (str. 6), że fabryki sukna, założone koło 1817 r., rosły tak prędko, że w r. 1829 produkcya ich miała wartość 5.752.000 r., na téj saméj stronicy na wiarę Łodyżeńskiego ("Historya ruskich taryf celnych) autorka twierdzi, że wartość wywozu towarów wełnianych z Królestwa do Cesarstwa stanowiła (str. 6)

w latach	1823	1825	1827	1829
rubli	1,865,000	5,058,000	7,218,000	8,418,000

i twierdzi, że niezgodność cyfry wywozu i produkcyi pochodzi stąd, że do Królestwa przemycano wielkie ilości niemieckiego sukna. Nie zwraca uwagi—choć sama to przytacza, że Rodecki ocenia wartość tegoż wywozu w 1827 r. na 13,2 milionów „złotych" (t. j. około 2.000.000 rubli), i ubolewa nad tém (str. 7), że po wypadkach 1830/1 r. produkcya tkanin wełnianych spadła z 5.752.000 rubli w 1829 roku do 1.917.000 rubli w 1832 i w r. 1850 stanowiła 2.564.000 r. Zdaniem pani Luxemburg po zaprowadzeniu zwrotu akcyzy od cukru przy wywozie w Rosyi w 1876, wywóz cukru wzrósł z 4 pudów w 1874—do 3.896.902 pudów w 1877. Obie cyfry są prawdziwe, ale bardzo niekrytycznie oświecone. Wywóz cukru z Rosyi stanowił;

w 1873/4	pudów	4	1876/7	3,891,897
„ 1874/5	„	20	1877/8	297,602
„ 1875/6	„	499,462	1878/79	159,934

a w latach 1879/80 i 1880/1 ustał zupełnie [1]). Niebywały wywóz w 1876/7 był wywołany nadprodukcyą, miał charakter zupełnie anormalny. Do kwestyi cukrowniczéj p. Luxemburg szczęścia nie ma. Na téj saméj stronicy zapewnia nas, że dzięki syndykatowi cukrowniczemu cena cukru w Kijowie wynosiła 4 pensy wtedy, kiedy koszty produkcyi cukru stanowiły $1^5/_6$ pensa za funt. Pensy w Kijowie zjawiły się dla tego, że cyfry o Rosyi autorka czerpie często ze źródeł angielskich

[1]) „Cukrownictwo", podręcznik dla pracujących w cukrowniach i raffineryach. Warsz. 1894 tom I str. 33.

i przytém zapomina o akcyzie. Mylnie też zupełnie podaje autorka, jakoby do 1867 roku w Królestwie cukier opodatkowanym był „od produktu. System opodatkowania cukru w Królestwie przed 1867 był ten sam i w reszcie państwa, oparty na normie przerobowéj i wydajności. [1]) Historya kraju nie jest też gruntem, na którym by się autorka bezpiecznie poruszała. Historya przemysłu w Polscew XVIII wieku dla niéj nie istnieje a jednak od czasu pomnikowéj pracy Korzona [2]) niewolno jéj historykowi-ekonomiście ignorować. Tom II Rozdział V § 44 i następne dostarczyłyby autorce gotowego i już krytycznie obrobionego materyału. P. Luxemburg bardzo dokładnie zna szczegóły wojny Barchanowych-baronów Łódzkich z Perkalowemi królami Moskwy (sic), ale rzeczy poprzednie są jéj mniéj znane. Podług niéj szereg ukazów Cesarskich wpłynął na rozwój przemysłu w Królestwie w latach 1816 do 1824 (str. 3), a Bank Polski ustanowiony został ukazem z 1828 roku. Reforma włościańska 1863 r. dostarczyła włościanom wielką ilość gotówki, stworzyła proletaryat i wielką armię rezerwową robotników—t. j. masy ludzi pozbawionych pracy (str. 12). Byłoby to nie do pojęcia—gdyby się nie wiedziało, że według wyznania wiary „historycznego materyalizmu“, nim powstanie kapitalizm, musi powstać *„eine Reserve Armee“* robotnicza—wszystko jedno w Anglii, czy w Rosyi i w ten sposób *„enclosure acts“* angielskie i uwłaszczenie włościan w Rosyi, muszą nabrać charakteru analogicznych wydarzeń. Nie będziemy tu daléj poprawiać błędów autorki, jest ich zawiele; kończąc swą pracę, autorka wyraża żal, że gdy pracę pisała jako rozprawę doktorską, musiała więc używać i tonu akademickiego i dać przewagę części ekonomiczno-statystycznéj nad częścią polityczną. Co do nas sądzimy, że wszelkich socyalno-politycznych elukubracyi powinnaby autorka zaprzestać. Pracowitość jéj daje gwarancyę, że gdyby się zdobyła na większą dozę krytyki w obrabianiu materyału, mogłaby z pożytkiem dla nauki pracować, usiłowanie jednak budowania na bezkrytycznych podstawach teoryi i teoryjek socyalno-politycznych—jest zupełnie bezcelową robotą. Fakta nie mogą być ilustracyą zgóry ustanowionych teoryi, ale muszą być podstawą, na któréj opiera się teorya; a bez gruntownéj znajomości historyi — nie buduje się teoryi polityczno-socyalnych.

St. P.

= **Władysław Orkan**. *Nowele*, z przedmową Kazimierza Tetmajera. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1898. — Z nazwiskiem p. Orkana po raz pierwszy spotykamy się w literaturze. Nic to dziwnego: ma on zaledwie lat dwadzieścia, a niniejszy zbiorek noweli—

---

1) „Cukrownictwo“ str. 39.

2) „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta 1764—1794.

to pierwsze jego kroki w dziedzinie piśmiennictwa. P. Orkan, jak się dowiadujemy z przedmowy p. Tetmajera, którego staraniem „Nowele" ukazały się w druku, jest dziecięciem ludu góralskiego; ukochał on ten lud sercem całém i niedolę jego jął się opisywać:

Co mię wiąże z ludem jeszcze szczerzéj,
Powiem—choć mi wielu wiary nie da:
To niedola, która w nim się szerzy—
Oto wspólna towarzyszka—biéda...
(Przygrywka).

Jakiego zaś rodzaju jest jego stosunek do ludu, o tém poucza nowela, p. t.: „Krótki sen". Śniło mu się, iż „w czarowną noc księżyca" wyszedł z chaty ze swemi towarzyszkami: Miłością, Prawdą i Fantazyą. Zrazu dał się prowadzić przez tę ostatnią, i świat ukazywał mu się w barwach tęczowych; ale przystąpiła doń Prawda, i blaski różnobarwne zblakły i znikły mu z oczu, a natomiast ujrzał w całéj grozie smutną i nagą rzeczywistość: nędzę straszliwą, pracę krwawą, poniżenie—i „c i e n i e przeraźliwe zaległy mu duszę i myśli." — O tych samych cieniach, które blady księżyc rzuca na doliny, mówi p. Orkan i w *Przygrywce:*

Po za światłem c i e n i e widzę zawdy,
Łzy mię ciągną więcéj, niźli blaski...
Lecz do ludu nie schodzę, jak z łaski—
Ja w nim samym szukam tylko—p r a w d y.

Tłómacząc to wszystko na język prozy, powiedzieć można w kilku słowach, że w tych obrazkach p. Orkan chciał przedstawić dolę chłopską taką, jaką jest ona w rzeczywistości, nie przybierając jéj w blichtry i świecidełka fałszywe, któreby mu fantazya podsunąć mogła. Prawdy więc należy przedewszystkiém szukać w jego utworach, a ta prawda—to wiekuista nędza chłopska. Te nędzę odmalował p. Orkan w takich barwach, jakie mu prawda kładła na pędzel. Widzimy tu całe życie górala, od kolebki niemal do grobu. Widzimy dziecię, zamierające wśród zawiei śnieżnéj wraz z matką, biédną komornicą, wypędzoną z chaty, kiedy już pracować nie mogła („Bezdomni"); widzimy sierotę po drwalu, którą z litości biorą do domu, a przy dworze ot jak zwyczajnie, zmarnowała się dziewczyna! („Sierota na dochowku"). Widzimy daléj dziewczynę, próżno oczekującą latami całemi na ukochanego, co pojechał za morze, by dorobić się grosza („Na wydaniu") Ha! niech lepiéj nie wraca, bo możeby tak, jak ów Marcin młynarz, znalazł chatę pustą, pole chwastami zarosłe, dzieciaka—na łasce u dalekich krewnych, a żonę—u innego („Przeznaczenie"). Już to z żonami zawsze biéda: inną to opanuje „zły"—pod postacią arendarza-żyda

i sprzeda ją panu za marnych kilka „papierków” („Zły”). Ludzi przybywa, ale ziemi nie przyrasta, i chłopy muszą odjeżdżać ze stron rodzinnych do miast wielkich na zarobek, ale cóż! zamiast pieniędzy, przywożą z miasta obce obyczaje, ubierają się i mówią, jak „cudoki“, a nie jak ludzie („Na zarobek”). Nic też dziwnego, że jedynym tematem rozmowy górali jest bieda, „wypełniająca treść ich życia“: ona pokamienistém polu sunie się za gradobiciem, ona do stodół zagląda po nieudałych (!) prawie zawsze żniwach, ona wygląda z każdego kąta w chałupie, ona jest towarzyszką nieodstępną biednego gazdy... Ciemna przyszłości! — jaką karmę (!) gotujesz dla ludzi bez zagonów, których coraz więcéj?... ot, i z przyszłości towarzyszka biéda ręce do „swoich” wyciąga i z okropnym uśmiéchem przedstawia im swego syna. To godny matki płód!—a imię jego: Głód...” To téż, gdy lud ten odezwie się śpiewem, to takim smutnym, że serce rwie się w kawały, jak owe pienia pogrzebowe, przy których autor, „dzieckiem jeszcze, wypłakiwał duszę” („Pogrzeb”). A gdy który z chłopaków zagra czasem dla rozrywki gromady, to „skrzypki mówią za niego, za całą duszę... skarżą się żałośnie!” Mają się czego skarżyć: one grają, a ludowi temu „wiecznie biéda gra.” („Skrzypki grają—biéda gra”). — Taką jest „prawda” w życiu górala, którą powoduje się nasz autor, ale idzie ona daléj jeszcze i doprowadza do scen wstrętnych, brutalnych, które mają malować cały upadek moralny ludu, zawsze idący w parze z nędzą, np. sceny pijaństwa zaraz w pierwszéj nowelce, p. t. Przeznaczenie, albo podobna scena w obrazku Dwie kartki z życia nauczyciela, gdzie nauczyciel wiejski, pijany aż do utraty przytomności, wyśpiewując ochrypłym głosem, tarza się po błocie małego miasteczka. Dla przykładu zacytuję jeszcze nowelę, p. t.: Zemsta trupa, któréj punktem kulminacyjnym jest chwila, gdy syn ściąga z ciepłego jeszcze trupa swego ojca koszulę, w którą przybrała zmarłego przywiązana synowa. Takie sceny nabiérają dostatecznéj wypukłości i robią wrażenie, jakie chciał wywołać autor, tylko pod bardzo wytrawném piórem. Pomimo, iż autorowi towarzyszy miłość do ludu, którego czuje się cząstką, nie może on natchnąć czytelnika sympatyą dla tych, których mu przedstawia. Może to dla tego, że za przewodniczkę przedewszystkiém wybrał sobie prawdę i nie szczędzi nam takich szczegółów, które nie mogą wywołać sympatyi, a często nawet współczucia. Z drugiéj strony, jest to wynikiem tego, iż autorowi brak jeszcze przemawiającéj do wyobraźni obrazowości i plastyczności. Nie mówię tu już o charakterach, gdyż o wycieniowanie ich trudno ostatecznie w drobnych obrazkach, ale nawet z szeregu scen, odtworzonych w nowelkach,

niewiele tylko, dzięki wyrazistości konturów, utkwić może w pamięci czytelnika, jak np. „namowiny”, t. j. swaty w nowelce Na wydaniu, lub pogrzeb w obrazku pod tymże tytułem. Opisy natomiast natury nużą jednolitością barw; tam nawet, gdzie autor ma pole do wykazania zdolności kolorystycznych, np. w nowelce Skrzypki grają—biéda gra, gdzie szerokiemi rzutami pędzla mógł nakreślić obraz nocnych tanów dziewczyn i parobczaków przy świetle księżyca, na tle bezmiernych łąk, zbył czytelnika zaledwie kilkoma wyrazami. Zewnętrznéj strony utworów p. Orkana niepodobna pochwalić. Usterek stylistycznych, jak np. rymujących się wyrazów, zwrotów niewłaściwych naszéj mowie, wyrazów opuszczonych i t. d., znaleźć tu można sporo. Ze zdziwieniem spotykamy tu również czasem błędy ortograficzne, które trzeba położyć na karb niestarannéj korekty, np. chuczy (str. 108), pociechy jakie (str. 104). Takiéj niedbałości nie można tolerować.

= *Marya Milkuszyc.* **Kwiaty i ciernie życia.** Nowele. Warszawa, nakładem A. G. Dubowskiego, 1899. — Kwiat i kobiéta — tyle razy czytaliśmy to porównanie u różnych powołanych i niepowołanych poetów. W niniejszych nowelkach spotykamy tę metaforę, przeprowadzoną na szeroką skalę. Czém woń u kwiatu, tém miłość u kobiéty; rzecz więc prosta, że miłość jest głównym motywem utworów p. Milkuszyc. Miłość szczęśliwa sypie kwiaty na drogę życia, nieszczęśliwa — potrząsa je cierniami — oto w najogólniejszych wyrazach treść wszystkich nowelek, pomieszczonych w niniejszym zbiorku, co naturalnie nie wpływa na urozmaicenie tematów i sytuacyi. Jeden tylko obrazek, p. t. „Konwalia”, poświęcony małéj dziewczynce arystokratycznego rodu, przybranéj na balu kostyumowym za konwalijkę, a w kilka dni późniéj umierającéj z przeziębienia na rękach zrozpaczonéj matki, wyodrębnia się od innych. Zresztą, wszystkie te „kwiaty i ciernie” — to kobiéty, kochające lub niekochające, zapominające lub przypominające sobie, szczęśliwe lub nieszczęśliwe. *Fiołki* np. to artystka, przy sławie i tryumfach nie zapominająca o swym pierwszym wielbicielu, ubogim studencie, i po kilku latach łącząca swój los z jego życiem. *Narcyz* — to piękna wdowa, którą wszyscy niesłusznie uważają za próżną i płochą, a która daje dowód rozsądku i prawdziwego uczucia, przenosząc poważnego Jana nad salonowca Alfreda. *Bez* jest znowu historyą miłosną babuni, opowiadaną wnuczętom; zaręczyła się ona, będąc jeszcze bardzo młodą, a gdy po 6 latach narzeczony powrócił i upomniał się o swoje prawa, — przyszła do przekonania, że go nie kocha i oddała rękę innemu. *Kamelia* wreszcie i *Chryzantema* (czy nie jest bardziéj prawidłową forma chryzantem) to bliźniacze siostry: obie

próżne, lekkomyślne, płoche, zamiłowane w zabawach, obie też łamią życie tych, którzy im poświęcili swe serce. Różnica polega tylko na tém, że jeden z nich, lekarz, wyjeżdża na prowincyę, gdzie staje się ojcem prawdziwym i opiekunem całéj okolicy i wkrótce, zaraziwszy się tyfusem umiéra; drugi zaś dla zdobycia majątku udaje się aż na Madagaskar i tam staje się ofiarą żółtéj febry. — Dwie nowelki z czterech, nie opatrzonych tytułami botanicznemi, mają tak pokrewne tematy, że możnaby je zupełnie wygodnie zlać w jedną całość. Mówię tu o obrazkach: „Drewniane dziecko" i „Ani pani, ani sługa". Bohatérkami i tu i tam są dziewczynki z ludu, wzięte na wychowanie przez zamożne rodziny, Marynia czy Kasia, które naprzekór wszelkim teoryom dziedziczności i atawizmu, stają się aniołami opiekuńczymi przybranych rodzin. Bardziéj dramatycznego napięcia dosięga akcya w „Drewnianém dziecku": Marynia pada ofiarą przewrotności przybranego brata, Augusta, a przekonawszy się, że ją oszukuje, dostaje pomięszania zmysłów. — Aniołem również, choć w brzydkiéj skorupie, jest Zuzanna z nowelki „Tylko dla sztuki", żona artysty-muzyka; choć ułomną ma postać i na kuli się wspiéra, uwielbia ją mąż, a po jéj śmierci wpada w nieuleczalną melancholię. — By wyczerpać wszystkie tematy p. Milkuszyc, wspomnę jeszcze obrazek, p. t. „Po dwudziestu latach": pan Karol dwadzieścia lat temu kochał się w pannie Tereni; rozpaczał i chorował podobno, gdy Terenia poszła za innego, a teraz, dowiedziawszy się, że została wdową, postanawia zbliżyć się do niéj. Chochlik miłości nasuwa mu jednak zamiast matki — 19-letnią córkę, łudząco podobną do jego dawnego ideału, z którą też prędko dochodzi do porozumienia. — Z tego krótkiego przeglądu widzimy, jak szczupłym jest zakres tematów, zatrąconych przez p. Milkuszyc, jak jednostajne wywołują one wrażenia. Być może, iż to leżało nawet w intencyi autorki. Rzecz prosta, iż siły i męskiéj potęgi słowa napróżnobyśmy tu szukali. Z pierwszego zaraz wejrzenia poznać możemy, że książka ta pisana jest przez kobiétę: siłę zastępuje w niéj pewna miękkość i łagodność barw, głęboką refleksyę — kobiéca tkliwość i uczuciowość, plastyczność — delikatność i subtelność w unikaniu drastycznych szczegółów. Naturalnie, nie może być już mowy o głębokiéj psychologii, lub o wszechstronném oświetleniu charakterów; wszystkie owe kwiaty-kobiéty zaledwie się zarysowują w wyobraźni czytelnika niewyraźnemi konturami i, jak widzieliśmy, niektóre z nich łudząco są do siebie podobne; jedna tylko Helunia-konwalijka i Zuzanna z nowelki „Tylko dla sztuki" wyróżniają się chociaż zewnętrzną charakterystyką z tego jednobarwnego bukietu. — Styl p. Milkuszyc jest dość zaniedbany; już

to w obecnych czasach gorączkowego tworzenia romansów, powieści i nowel trudno o książkę, którąby pod tym względem mogła zadość uczynić wybredniejszym wymaganiom. O ile w poezyi silimy się na wytworną i wyszukaną formę, o tyle w prozie zaniedbujemy ją zupełnie. Smutnym to jest objawem obniżenia poziomu wymagań estetycznych tak ze względu na autorów, jak i czytelników. *H. Galle.*

Wydawcy: *Wł. Spasowicz* i *St. Łaguna.*
Redaktorowie: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

SPROSTOWANIE.

W zeszycie sierpniowym r. b. na stronie 291 w podpisie autorki artykułu „O życiu bez powietrza" zaszła omyłka. Zamiast *Dr. Zofia Joteyko*, czytać należy: *Dr. Józefa Joteyko.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Сентября 1898 г.

Kwestya Finansowa

W SEJMIE CZTEROLETNIM

I PROJEKT

Księdza Michała Ossowskiego.

W epoce sejmu czteroletniego, równie jak i w ciągu kilku lat poprzedzających chwilę otwarcia tego zgromadzenia prawodawczego, rozbudzenie umysłów w kierunku idei państwowéj przedstawia ruch imponujący. Pod wpływem oświaty zachodniéj i za wzorem sąsiednich monarchów zwolennicy reformy, to jest ogromna większość światłéj części narodu, z niestrudzonym zapałem zajęła się wszystkiemi kwestyami, odnoszącemi się do celów, potrzeb i warunków organizacyi państwa.

Wśród wielkiéj masy wydanych wówczas pism, traktujących administracyę, politykę, wojskowość, a przedewszystkiém sam ustrój państwowy, zaczęto zajmować się także i skarbowością państwa.

Już sama bowiem sytuacya polityczna wskazywała wyraźnie, że wydobycie się z przepaści, w którą rzeczpospolita staczała się gwałtownie od początku panowania Stanisława Augusta, wymaga wytężonéj pracy wszystkich sił narodu ku zaprowadzeniu ładu w rządzie i organi-

zacyi obrony krajowéj, a to zaś możebném było tylko przy należycie funkcyonującéj skarbowości.

Nie można jednak powiedziéć, aby w pomysłach nad reformą rzeczypospolitéj skarbowość zajmowała miejsce należne jéj ze względu na przeważne znaczenie finansów, tego głównego *nervus rerum* państw nowożytnych. Spostrzegamy nawet brak mądrych skarboznawców zarówno wśród pisarzy ówczesnych, jak i pomiędzy członkami sejmu i ministrami, chociaż musimy uznać ich wielką gorliwość w traktowaniu tego przedmiotu.

Sejm czteroletni dokonał wielu bardzo ważnych prac w zakresie skarbowości: ułożono i zatwierdzono po raz pierwszy w kraju budżet ogólny, zorganizowano znakomicie zarząd skarbu, zniósłszy wadliwy rozdział skarbów koronnego i litewskiego w utworzonéj świeżo komisyi skarbu obojga narodów, zaprowadzono doskonałą kasowość, zreformowano pobory i t. d.

Wszystkie te jednak przekształcenia, acz najzupełniéj odpowiadające potrzebie, nie mogły z natury rzeczy napełnić skarbu, nie mogły wpłynąć bezpośrednio na wytworzenie stałych źródeł dochodu dla państwa, chociaż dzielnie się przyczyniały do prawidłowego ruchu maszyny skarbowéj.

Tymczasem wymagania chwili koniecznie nakazywały nietylko podnieść budżet wydatków do normy niezbędnych potrzeb krajowych, za pomocą zręczniejszego korzystania z dotychczasowych źródeł dochodu, — ale jednocześnie, na mocy dokładnéj znajomości ekonomicznego stanu kraju i jego sił podatkowych, trzeba było wynaleźć nowe źródła, dostateczne dla zaspokojenia naglących wydatków.

Kwestya istnienia rzeczypospolitéj zawierała się w tym okresie w posiadaniu dużych zasobów pieniężnych, które otrzymać można było tylko przez wytworzenie i wykonanie odpowiedniego planu finansowego. Zbytecznie tu nadmieniać, że plan taki w wolnéj rzeczypospolitéj musiał trafiać do przekonania większości i być przyjętym przez sejm.

Lecz to właśnie zadanie przechodziło ogromem tkwiących w niém trudności miarę powszechnego uzdolnienia ówczesnego pokolenia światłych umysłów polskich i stało przed niém, jak sfinks starożytny z groźbą śmierci na otwartych pytaniem ustach, gdyby rozwiązanie nastąpiło mylne.

Ku zaszczytowi narodu naszego znalazł się wówczas mąż, który podał rozwiązanie świetne,—ale niestety, głos jego nie został dostatecznie zrozumianym przez współczesnych statystów, — i sfinks pochłonął ich wszystkich, bo fakt prawodawczy nie odpowiadał uwydatnionym w rozwiązaniu zadania wymaganiom,—i nastąpił za późno!

Już oddawna opinia publiczna zwróciła uwagę na zły użytek niezmiernych dóbr państwowych, które pod nazwą starostw, królewszczyzn, wójtowstw i emfiteuz stanowiły „majątek rzeczypospolitéj", tworząc „niby fundusz nagrody dla załużonych, a w skutku samym zdobyczy dla możnowładzców, albo dla szczęśliwych bez zasługi dworaków".

Wszystkie te ogromne dobra zostawały w posiadaniu dożywotniem obdarowanych, lecz za pomocą rozmaitych sposobów, a mianowicie odprzedaży, zamiany między małżonkami (*jure commutativo*) i innych, posesya przedłużała się nieraz na parę pokoleń.

Wartość dóbr ziemskich rzeczypospolitéj, nie włączając w to dóbr stołowych króla, czyli tak zwanych dóbr „ekonomiki królewskiéj", jeden z lepszych znawców tego przedmiotu, Witosławski, poseł podolski, oceniał w sejmie na 300 milionów złp. [1]). Zgadza się to również z obliczeniami p. Korzona w czwartym tomie jego dzieła [2]).

Rozdawnictwo starostw, które aż do r. 1775 należało wyłącznie do praw prerogatywy królewskiéj, stało się odrazu, siłą konieczności, głównem narzędziem intryg elekcyjnych, skutkiem czego elekcyę królów nazywano w tym sejmie „targowiskiem starostw".

Od r. 1775 możnowładzcy. nie tyle w chęci ograniczenia władzy monarszéj, jak w widokach własnéj chciwości, korzystając ze swojéj przewagi, przenieśli szafunek dóbr starościńskich i królewszczyzn do sejmu, pozostawiwszy do wolnéj dyspozycyi króla tylko cztery starostwa.

Z tych dóbr uprzywilejowani posiadacze obowiązani byli dawniéj wnosić corocznie do skarbu publicznego czwartą część dochodu, czyli tak zwaną „kwartę", która obliczana była według prawem przepisanych lustracyi, peryodycznie odbywać się mających. Przekonywamy się jednak z konstytucyi sejmowych, zapadłych w latach 1567, 1624, 1626, 1627, 1638, 1667, iż lustracye nie odbywały się nigdy prawidłowo i że co gorsza, w obliczaniu intrat przeprowadzono prawnie takie wyłączenia, które zredukowały ten dochód skarbu rzeczypospolitéj do bardzo nieznacznéj sumy.

Podług ostatniéj lustracyi zarządzonéj przez sejm czteroletni w r. 1789, po zdwojeniu kwarty i podniesieniu opłaty od emfiteutów do wysokości $^7/_8$ części intraty, jak wiemy z przytoczonego wyżéj głosu posła Witosławskiego, dochód ze starostw miał czynić 10 milionów złp. rocznie,—ale wiemy i to, iż nigdy w takiéj sumie do skarbu nie wpłynął.

---

1) *Gazeta narodowa i obca.* 1791 r. str. 351 znajduje się w Bibliotece Głównéj w Warszawie.

2) Dzieje wewnętrzne Polski za Stanisława Augusta, 2 wyd. 1896 r.

Nic dziwnego zatém, że coraz częściéj i z wzrastającém wciąż oburzeniem wytaczano publicznie skargi na nadużycia i łupiestwa starostów; znienawidzono ogólnie samą instytucyę, jako „matkę prywaty", sprowadzającą „upodlenie charakterów" i „zgubę rzeczypospolitéj". Znakomici publicyści współcześni, jak Staszic [1]), Hugo Kołłątaj [2]) i wielu innych, wskazywali na dochody ze starostw, jako na źródło, zkąd należy czerpać fundusz na potrzeby krajowe. Ale walka ze starostami była trudna i groziła nawet niebezpieczeństwem.

Przeważna część pomysłów obracała się około ustanowienia jeszcze jednéj kwarty, a zresztą zalecała podwyższenie niektórych podatków pośrednich, mianowicie czopowego i pogłównego żydowskiego. Czopowe stało się szczególnie ulubionym konikiem, na którym paradowało wielu mówców sejmu, nierozumiejących się bardzo na materyach skarbowych a przeciwnych projektowi sprzedaży starostw.

Aż do samych początków sejmu wielkiego najśmielsze projekty finansowe daléj nie sięgały. Chociaż w instrukcyach posłów wielkopolskich, ruskich i litewskich wyraźnie im zalecono, „aby naprzód do szukania dochodów ze starostw przystępowali", nie powiedziano tam jednak, że posłowie mają się domagać nakazania sprzedaży starostw.

Pierwszy i jedyny jasno sformułowany projekt do prawa o sprzedaży starostw, o utworzeniu z zebranego stąd funduszu banku narodowego i o „antycypacyi" takowego funduszu przez wypuszczenie biletów skarbowych na potrzeby bieżące rzeczypospolitéj pochodzi od męża cichéj zasługi, nie należącego nawet do grona członków sejmu, księdza Michała Ossowskiego.

Z głębokiém pojęciem doniosłości zamierzonych przekształceń ustroju rzeczypospolitéj i zrozumieniem działania środków finansowych, o wiele przewyższającém miarę uzdolnienia współczesnych mężów stanu, ksiądz Ossowski chciał stworzyć dla skarbu polskiego najpotężniejszą podstawę i zarazem dostarczyć obfitego zasobu na zaspokojenie naglących a wielkich i przedstawiających się w długiéj perspektywie wydatków, zabezpieczając przytém prawa uprzywilejowanych posesorów.

O osobistości ks. Ossowskiego i o kolejach jego życia wiemy bardzo mało. Najwięcéj szczegółów, odnoszących się do téj wysoce sympatycznéj postaci podał p. Korzon [3]). Encyklopedya dawna Orgelbran-

---

1) Przestrogi dla Polski.

2) Anonyma listów kilka do marszałka przyszłego sejmu. T. I. str. 75.

3) Dzieje wewnętrzne etc. T. III str. 264, 266, 334 i nast.

da zawiéra tylko krótką wzmiankę o rodzie Ossowskich, szlachcie wielkopolskiéj herbu Dołęga, a w paru wierszach F. M. Sobieszczański, wspominając tamże o naszym finansiście, wymienia częściowo tytuł jego drukowanego projektu: O urządzeniu starostw. Przy tém dodaje z własnego domysłu datę i miejsce wydania projektu, (Warszawa, 1791 r.), na oryginalnym jednak memoryale ks. Ossowskiego tego niema.

Z pomiędzy historyków naszych ks. Waleryan Kalinka poświęca projektowi ks. Ossowskiego zaledwie króciutką wzmiankę [1]. P. Władysław Smoleński w dziele swém: Ostatni rok sejmu wielkiego [2], przytacza szczegółowo rozporządzenia projektu ks. Ossowskiego, który zna dobrze. Nadto, obejmując całą działalność prawodawczą sejmu wielkiego, podał także treściwie i zarazem dokładnie przebieg rozpraw sejmowych nad tym ważnym przedmiotem.

Niektórzy obcy historycy, wymieniając go, przekręcają jego nazwisko, jak Kostomarow [3], który go pisze „Osnowskij" i na tém poprzestaje. Widocznie nie znał jego pracy, ani wcale nad nią się nie zastanawiał.

Potomność wogóle mało się zajmowała zasługami ks. Ossowskiego, a jednak on sam jeden prawie wśród współczesnych mu patryotów rozumiał prawdziwie całą grozę ówczesnego położenia politycznego; on sam jeden przewidział ogrom wydatków koniecznych a ciągłych i pomimo zamieszania panującego w skarbie i w ogólnéj ekonomii narodowéj, stworzył projekt najdoskonaléj zaradzający potrzebom na uchwaloną niedawno stotysięczną armię i na prowadzenie długiéj, może bardzo długiéj wojny, a zarazem zapewniający na zawsze trwałą podstawę finansom państwa.

Z przytoczeń p. Korzona wiemy, że Ossowski, po długim pobycie zagranicą, był plenipotentem znakomitego bankiera ówczesnego, Prota Potockiego, jakotéż plenipotentem wielkiego domu bankowego holenderskiego w Hadze, pod firmą: „de Haän".

Ten dom załatwiał kilkakrotnie pożyczki dla skarbu rzeczypospolitéj i pieniądze wypłacał przez ręce ks. Ossowskiego. Zapewne téż zasługi jego w tych okolicznościach, obok uznawanéj powszechnie przez współczesnych wielkiéj jego powagi w kwestyach finansowych, skłoniły króla Stanisława Augusta do wybicia na cześć Ossowskiego medalu w r. 1787. Podobizna tego medalu i portret naszego finansisty znajdują sie u p. Korzona w powołaném wyżéj dziele.

---

1) Sejm czteroletni. Kraków, 1-e wyd. T. I, str. 217.
2) Warszawa, 1896, str. 129—134.
3) „*Poślednije gody rieczipospolitoj*", str. 368.

W przedstawionych na portrecie rysach twarzy uderza wyraz głębokiéj myśli i niezwykłéj skromności charakteru.

Całe téż, o ile nam jest znane, życie jego upłynęło wśród cichéj, skromnéj pracy w biurze bankowém, a niekiedy w dalekich podróżach i na usługach rzeczypospolitéj. Żadnéj bowiem funkcyi urzędowéj nigdy nie spełniał i nie był nawet posłem na sejm, jak to już wspominałem, — dla tego zapewne powodu, że nie posiadał własności ziemskiéj.

Wśród swojéj spokojnéj i pracowitéj egzystencyi, ks. Ossowski bynajmniéj się przecież nie ukrywał. Znano go powszechnie i do grona jego przyjaciół zaliczali się ludzie należący do najwyższych sfer towarzyskich w Warszawie i w kraju. Dowiadujemy się naprzykład z dyaryusza sejmowego [1]), że księcia prymasa z naszym autorem wiązała od lat kilkunastu przyjaźń i szacunek i że on, prymas, „winszowałby sobie darów i przymiotów tego męża“.

Innym znowu razem jeden z niewielu posłów, najlepiéj rozumiejących doniosłe znaczenie projektu ks. Ossowskiego, Potocki, wojewoda kijowski, oddawał publicznie w sejmie hołd jego osobie i uważał „za najwyższy dar niebios i za najwyższy dla siebie zaszczyt, iż takiego posiada przyjaciela“ [2]).

W podobny sposób odzywali się i inni posłowie, a utworzona w sejmie deputacya konstytucyjna zapraszała go stale na swe posiedzenia, jako rzeczoznawcę przy opracowywaniu projektu do prawa o ewaluacyi monety złotéj [3]).

Obok tych dowodów szacunku i uznania ze strony swoich rodaków, ksiądz Ossowski musiał być jeszcze bardzo pewnym siebie, kiedy miał odwagę wystąpić do walki przeciwko starostom, co było równoznaczném z rzuceniem rękawicy przemożnéj potędze całéj oligarchii, uzuchwalonéj odwieczném użytkowaniem z tych dóbr, które uważali za swoją zdobycz i za swoje niezaprzeczone prawo.

Z przedmowy, zamieszczonéj na czele memoryału ks. Ossowskiego, okazuje się, że jeszcze w samych początkach sejmu czteroletniego wydrukował on „mniéj wykończony“, jak sam powiada, zarys swego projektu, pod tytułem: „O pomnożeniu dochodów publicznych, wynalezie-

---

1) Mowa prymasa na sesyi sejmowéj d. 28 Października 1791.

Objaśnić winienem, że wyjątki z mów i posiedzeń sejmowych przytaczam ważniejsze podług dyaryusza, a mniéj ważne podług porządnych sprawozdań w „*Gazecie narodowéj i obcéj*“ zamieszczanych. Większe mowy posłów są wydane oddzielnie.

2) Sesya sejmowa 24 Listopada 1791 r.

3) Oświadczenie marszałka sejmowego na sesyi 10 Października t. r.

niu kapitału publicznego ku zasileniu nowych potrzeb rzeczypospolitéj, z oszczędzeniem podatków". Pocieszającą wielce jest okoliczność, że ks. Ossowski zaraz już wtedy znalazł w sejmie poważnych zwolenników swego projektu.

Byli mianowicie takimi: Zieliński, poseł ziemi nurskiéj, a szczególniéj książe Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, i Wawrzecki, poseł bracławski, którzy natychmiast jeszcze w r. 1789 przedstawili ten projekt sejmowi [1]).

Nadto z powołanéj wyżéj mowy wojewody kijowskiego przekonać się możemy, że pomysły ks. Ossowskiego znane były temu dygnitarzowi jeszcze w r. 1778, to jest na jedenaście lat przed ukazaniem się ich w prasie i w sejmie.

Nie można się doczytać w dyaryuszach sejmowych, jakie były następne losy tego pierwszego projektu. Nie ulega jednak wątpliwości, że projekt nie dostał się wówczas pod obrady *in ordine* deliberacyi. Myśli kierowników narodu zajęte były w owéj chwili wyłącznie aliansem pruskim i „ostatnia godzina dla starostów na zegarze dziejowym jeszcze nie wybiła".

Dwukrotnie już były starostwa przedmiotem ostréj napaści stronnictwa postępowego w pierwszém dwuleciu sejmowém. Ale odebrano im tylko sądownictwo i zdublowano kwartę. Dotknięta w najczulszy punkt osobistych interesów, partya starostów była jeszcze zbyt silna i potrafiła odeprzéć ataki [2]).

Trzecią i ostatnią kampanię przeciwko starostom zainaugurował dzielnie dopiéro Ossowski ogłaszając, najpewniéj że w r. 1791, swój znakomity memoryał, pod tytułem: O urządzeniu starostw. Rada y projekt do prawa.

Memoryał jest bardzo starannie wydrukowany bez oznaczenia miejsca i czasu wydania na dwudziestu i jednéj nieliczbowanych kartach *in folio* i znajduje się w bibliotece głównéj w Warszawie [3]).

Rozpoczyna się od przedmowy, zawiérającéj w ośmiu ustępach obszerny wykład motywów, sam zaś projekt do prawa obejmuje 34 artykuły.

Jako godło swéj pracy, ks. Ossowski zamieścił następujące zdanie Cycerona „*Nos legem bonam a mala, nulla alia nisi naturae norma dividere possumus, haec autem in opinione existimare, non in natura posita, dementis est*" [4]).

---

1) „Gazeta narodowa i obca", 1791. N. 95, str. 379.
2) T. Korzon. Dzieje wewn. etc. T. IV, str. 335.
3) Sala 4, szafa 5, półka 1, n. 174.
4) „*De legibus*", I.

Samo przystosowanie téj tezy do przedstawienia zasad projektu uderza zadziwiająco trafnością. Rzadko który bowiem ze współczesnych ks. Ossowskiego pojmował tak jasno i trzeźwo, jak on, naturę zasadniczéj kwestyi, na któréj opierała się całkowita przyszłość planów reformy, a przedewszystkiém losy państwa polskiego. Nikt inny nie odczuwał tak, jak on, naglącéj konieczności natychmiastowego i skutecznego zajęcia się sprawą skarbową, a jeśli odczuwał, to nie był w stanie podać właściwéj rady.

Już tedy w samym początku sejmu, przejęty trwogą o zagrożony byt rzeczypospolitéj, spieszył z podaniem swego, chociaż niewykończonego należycie projektu; bo jak sam powiada: „sądziłem tak potrzebny w tém dziele pośpiech, iż rzeczą niebezpieczną zdawało się podawać układ roboty doskonalszéj z przedłużeniem czasu”...

Przejrzawszy okiem wytrawnego znawcy ciemną głębinę położenia politycznego, które dla stronnictwa postępowego ukazywało się naówczas w tak różowém świetle, ks. Ossowski pojął, że bez wytworzenia zaraz i przedewszystkiém nadzwyczajnéj siły finansowéj, bez postawienia obrony krajowéj na właściwéj stopie, wszystkie reformy, acz najzbawienniejsze, na nic się nie przydadzą i nie wydobędą państwa z fatalnego upadku.

Jakoż rzeczywiście wynalazł on „nowy a trwały fundusz dla skarbu rzeczypospolitéj“ i podał wielce umiejętny i sprytny system zużytkowania go za pomocą oryginalnie obmyślanéj kombinacyi.

Punktem wyjścia dla jego projektu finansowego jest głęboki, czysto realny pogląd na warunki bytu państwowego. Podług niego, w pojmowaniu spraw politycznych należy nigdy nie spuszczać z uwagi „natury rzeczy“, która zarazem jest też „naturą człowieka“. W tém miejscu starannie zastrzega, że oprócz natury, człowiekiem mogą rządzić jeszcze „powody rozumu i światło religii.“

Taki pogląd, w epoce kiedy najważniejsze materye polityki i finansów państwa traktowane były z właściwą wiekowi XVIII sentymentalnością i emfazą, — przynosi zaszczyt naszemu finansiście. Ten pogląd wznosiłby go bezwątpienia do rzędu największych mężów stanu, gdyby ks. Ossowskiemu daném było znajdować się na takiém stanowisku władzy, na jakiém naprzykład byli postawieni współcześni mu William Pitt i Necker.

Ze spokojną, lecz pełną siły stanowczością usiłuje zwrócić prawodawców sejmowych od tych „łudzących kierunków“, na których oni chcieliby szukać środków uszczęśliwienia narodu. Nie wierzy w skuteczność i „nie uznaje“ żadnéj innéj roboty ustawodawczéj tylką taką, co jest oparta na zasadzie natury stosunków i potrzeb państwa, to jest

na pojęciu „ogółu istotnych własności każdéj rzeczy, każdego tworu, podług ktorych téż rzeczy i te twory jestestwo swoje utrzymują“.

Wysoce umiejętną, realną metodę swoich dociekań i pomysłów ks. Ossowski zawdzięcza nietylko długoletniéj praktycznéj działalności w interesach finansowych i znajomości instytucyi europejskich. Praca bowiem jego nosi na sobie wybitne piętno umysłu wszechstronnie wykształconego na najwyższych naukowych wzorach epoki, które aż do dni naszych pozostały jeszcze podstawą studyów umiejętnych nad społeczeństwem i państwem.

Częste podróże ks. Ossowskiego do Anglii i Holandyi dały mu bezwątpienia sposobność do zapoznania się gruntownie z filozofią szkocką, a mianowicie z teoryami Bacon'a i Dawida Hume'a, które tak potężnie przyczyniły się do rozwoju wiedzy ludzkiéj. Widoczny jest na ks. Ossowskiego wpływ téj filozofii, wprowadzającéj do badania świata i człowieka metodę szczegółowéj analizy, a przytém dalekiéj od płytkości materyalistycznych systematów francuzkich, będących wówczas w modzie.

Najsilniéj zaś uwydatnia się w całéj pracy naszego autora wpływ nauki wielkiego myśliciela i twórcy umiejętności ekonomii politycznéj, Adama Smith'a, którego dzieło „*Wealth of Nations*“ przed kilkunastoma laty, w r. 1776, po raz pierwszy ogłoszone zostało.

Ks. Ossowski, zupełnie tak samo jak Adam Smith, bezustannie kładzie stanowczy nacisk na to, że jego dzieło opiéra się jedynie na naturze rzeczy i potrzeb społecznych; że wszelka inna praca niczemu zaradzić nie zdoła, a „tylko pozory szczęścia okazać może”. Zupełnie na wzór Smith'a pojmuje ks. Ossowski znaczenie przemysłu krajowego, który „najprędzéj przyspieszy naturalny wzrost powszechnego bogactwa”; jest tak samo przeciwnikiem posiadania i eksploatowania przez państwo dóbr ziemskich, zakładów przemysłowych i t. d. Nazywa to „zabytkiem feudalnych rządów i zwyczajów”, uzurpacyą dającą środki do zaspokojenia chciwości małéj garstki obywateli kraju, kiedy podług niego zawsze „na pierwszym planie powinno stać szczęście ogólne”. Z zadowoleniem powołuje się na fakt, „że rozchodzące się coraz więcéj czyste światło jednéj z najzbawienniejszych dla rodzaju ludzkiego nauki, ekonomii politycznéj, rozpędza już dosyć sporo grube dawnych wieków ciemności, — i moc prawdy rozbija błędy”.

Podobnie jak Smith przypisywał największe znaczenie wytwórcze pracy indywidualnéj i osobistéj inicyatywie pojedyńczych obywateli, uważa też za najpłodniejszy czynnik bogactwa narodowego własność prywatną i pod tym względem jego wyborna obrona własności jest

jakby całkowicie natchniona myślami Adama Smith'a, wyłożonemi w 4 rozdziale II księgi jego dzieła [1]).

Oprócz Adama Smith'a, znał widocznie naukę dawniejszéj szkoły ekonomicznéj fizyokratów, która podówczas liczyła w Polsce wielu zwolenników. Że mu nie były obce prace Quesnay'a i Turgot'a, to się pokazuje zarówno z gorliwości, z jaką przemawia za rozdrobnieniem wielkiéj własności ziemskiéj, jako téż stąd, że bardzo mu leży na sercu „poprawa wewnętrznego stanu osiadłości włościan w królewszczyznach", któréj poświęca obszerny (IV-ty) ustęp w swoich motywach. Propozycye zaś jego, odnoszące się do uregulowania téj „poprawy", obejmują aż sześć artykułów (art. 11 — 16), w których znajdujemy rozporzędzenia, dotyczące pomiarów, podziału i rozgraniczenia gruntów włościańskich oraz zrównania ich pod względem powinności i danin z włościanami dóbr prywatnych. Dwa artykuły wyłącznie są poświęcone przemysłowi wiejskiemu.

Cały plan finansowy ks. Ossowskiego osnuty został na niewzruszonéj podstawie praktycznéj, to jest na zamierzonem „przeistoczeniu majątku publicznego rzeczypospolitéj w dziedzictwa ziemiańskie czyli prywatne", za pomocą sprzedaży przez licytacyę wszystkich królewszczyzn, starostw i t. d.

Głównym zaś celem planu jest utworzenie banku narodowego, opartego na tym funduszu i posiadającego prawo emisyi biletów kredytowych, czyli właściwie skarbowych. Te bilety, wypuszczane przez bank w ilości nie mniejszéj niż 3 miliony złp., winny być umarzane corocznie, odpowiednio do zapasu gotówki, napływającéj z licytacyi dóbr starościńskich.

Podziwiając uderzającą jasność, prostotę i zasadność tego planu, musimy zarazem przyznać, że nadzwyczajna jego doniosłość w skutkach, jakieby napewno przyniósł krajowi, oceniona nawet właściwie dzisiaj być nie może.

Ks. Ossowski, zalecając swój projekt, wyraża skromnie nadzieję, że gdyby tenże został przyjęty, to „wtenczas wszystko ku uszczęśliwieniu rzeczypospolitéj olbrzymim krokiem postępować będzie i Polska niezadługo na podziw całéj Europie inną, niż dotąd miała, postać weźmie".

Najśmielsza wyobraźnia nie zdoła sobie dziś przedstawić kolei, po których potoczyłyby się dzieje, gdyby naród skwapliwie zaraz w początku sejmu przyjął i wykonał projekt ks. Ossowskiego; gdyby rzecz-

---

[1]) Ks. Ossowski, jak twierdzi za Wolskim p. Smoleński, rozpowszechniał dzieło Smith'a na język francuzki przełożone. „Ostatni rok" etc. str. 130.

pospolita ze swoim kolosalnym skarbcem, który był gotowy, który podawała jéj w rękę szczęśliwa idea jednego z jéj synów, stała się na kontynencie wielką potęgą finansową.

Ale następował właśnie rok 1792 i teraz było już zapóżno na szerokie plany!

Jeżeli ks. Ossowski szukał gdzie wzorów dla swojéj pracy, to tylko w Anglii mógł znaleźć przykład znakomitych reform finansowych. W tym samym czasie (1784—1792) rządził tym krajem wielki Pitt (młodszy), będąc zarazem kanclerzem szachownicy i pierwszym lordem skarbu. Mąż ten zdołał wyratować państwo z głębokiego upadku finansowego, w ciągu trzech lat usunął zastraszający deficyt i zapewnił skarbowi poważną przewyżkę dochodów nad wydatkami, w ilości około miliona funtów sterlingów. Nadto potrafił zgromadzić potężny zasób, który mu umożebnił stać się duszą koalicyi europejskiéj i całą jéj potęgę, niewidzianą dotąd, zwrócić przeciw Francyi po śmierci Ludwika XVI-go.

Zastanawiając się nad świetnemi i po mistrzowsku przeprowadzonemi planami finansowemi Pitt'a, a szczególniéj nad reformą organizacyi kompanii wschodnio-indyjskiéj, która się okazała najdonioślejszą w skutkach dla skarbu angielskiego, moglibyśmy bezwątpienia upatrzéć pewne analogie w jego pomysłach z projektem ks. Ossowskiego. Działalność Pitt'a, zmieniająca radykalnie stanowisko Anglii wśród mocarstw europejskich, bezwarunkowo nie mogła ujść bacznéj uwagi naszego finansisty, gdyż były to umysły pokrewne. Obaj posiadali w najwyższym stopniu dar trafnego objęcia sytuacyi, obaj wykazali nadzwyczajne zdolności w rozwiązaniu zadań, jakie im się przedstawiały, lecz kombinacya, podana przez ks. Ossowskiego, odkrywająca takie wielkie prawdopodobieństwo, prawie pewność ocalenia rzeczypospolitéj, pozostanie zawsze najpiękniejszym pomnikiem chwały projektodawcy.

Nie należy się zresztą zapuszczać zbyt daleko w porównywaniu dzieła dwóch tych mężów. Każdy z nich pracował nad wytworzeniem nowych sił finansowych dla swego kraju w odmiennych warunkach i rozporządzał wcale innemi środkami. Pitt piastował najwyższą władzę, więc mógł przeprowadzić wykonanie swoich pomysłów i nazwisko jego otoczone zostało urokiem, jaki zawsze posiadają dla nas znakomite czyny. Ks. Ossowski zaś miał możność tylko działać na przekonania, nie mogąc przy tém bronić nawet swoich projektów w sejmie, bo nie był posłem. A jednak nieoceniona wartość podanego przezeń planu daje mu zupełne prawo stać w szeregu największych re-

formatorów skarbowości państwa obok genialnego angielskiego ministra.

Najniesłuszniéj w świecie stronnictwo sprzeciwiające się sprzedaży starostw usiłowało w sejmie depopularyzować projekt ks. Ossowskiego, zarzucając mu powinowactwo z reformami głośnego podówczas Neckera, który na rok wcześniéj (we wrześniu 1790 r.) po paru niefortunnych próbach zarządu skarbem Francyi ustąpił ostatecznie bez chwały z widowni świata.

W tém usiłowaniu partyi starościńskiéj przebija się tylko gruba nieznajomość faktów historyi spółczesnéj i jeszcze większa a nader smutna nieznajomość zasad projektu przedłożonego sejmowi.

Wiadomo nam bowiem, że wahający się ciągle i bojaźliwy Necker nie przedsiębrał nigdy żadnéj radykalnéj poprawy finansów francuskich. Wszystkie jego środki ograniczały się do zaprowadzenia oszczędności w wydatkach dworu królewskiego oraz do powściągnięcia nadużyć poborców i dzierżawców skarbowych. Jego tyle sławne *Compte rendu*, ogłoszone w r. 1781, było poprostu zbiorem niedokładności i fikcyi, na podstawie których ustanawiał fałszywie równowagę budżetu, a nawet zwiastował przewyżkę w dochodach. W ogóle nie spotykamy się za jego rządów z żadnym pomysłem finansowym, przedstawiającym dla kraju jakąś większą doniosłość [1]).

Śmiéch więc tylko w nas wzbudza odezwanie się prymasa Poniatowskiego w jednéj mowie sejmowéj, że Necker zgubił naród francuski przez wypuszczenie pieniędzy papierowych [2]).

Wiemy przecież dobrze, iż prawo o *assygnatach* zapadło w konstytuancie dopiéro po dymisyi tego ministra i na wniosek podany przez Mirabeau.

Trzeba téż dodać, że bilety skarbowe ks. Ossowskiego w niczém nie były podobne do asygnat francuskich ani do fantastycznych biletów osławionego Law'a, co jest widocznem już z pierwszego rzutu oka na podstawy i zakres operacyi.

Jeżeli dzisiaj gotowi jesteśmy zupełnie aprobować a nawet uwielbiać pomysły ks. Ossowskiego, to przed stu laty sprawa ta inaczéj się przedstawiała naszym przodkom i przeprowadzenie jéj było najeżone rozmaitemi trudnościami.

---

[1]) Znany pamflecista rojalistowski, Rivarol, bardzo trafnie wyraził się gdzieś o nim: „*il eut le malheur d'être toujours insuffisant dans un système qui ne suffisait pas*".

[2]) Sesya sejmowa 28 października 1791 r.

Większość polityków ówczesnych nie widziała położenia kraju w tak czarnym kolorze. Chociaż poważniejsi między nimi mieli przeczucie niebezpieczeństwa, ale nie rozumieli tego, że chwile niezależności państwa były policzone. Zostawali bowiem pod wpływem ogólnéj suggestyi umysłów, które w ustawie 3-go maja, w zrzuceniu gwarancyi, w przymierzu pruskiém i w powszechnie rozbudzonéj tendencyi ku poprawie upatrywały zadatki przyszłéj pomyślności narodu. I oto dlatego nie rozumiano właściwie tego trwożliwego pośpiechu, z jakim ks. Ossowski zaraz w początkach sejmu podawał swój „niewydoskonalony" jeszcze projekt. A cóż pomyśléć o tych trudnościach, które wynikały z saméj nowości pomysłu dla pokolenia przeważnie bardzo słabo przygotowanego fachową wiedzą do traktowania tych kwestyi! Największa jednak trudność tkwiła w konieczności wyjednania przedewszystkiem uchwały sejmu na alienacyę dóbr rzeczypospolitéj, zostających w posiadaniu starostów. Fundusz ze sprzedaży tych dóbr pochodzący, był przecież fundamentem, na którym wznosiła się cała budowa projektu. Pojmował to doskonale jego twórca i dlatego z największą starannością zajął się naprzód w motywach rozbiorem kwestyi sprzedaży królewszczyzn. To zadanie o tyle tylko miał ułatwione, że opinia publiczna stale, chociaż w sposób nieokréślony, wskazywała te dobra, jako źródło, mające służyć do zabezpieczenia potrzeb skarbu.

Nie poprzestając na saméj ekspozycyi odnośnych zasad ulubionéj jego nauki, ekonomii politycznéj, z wielką starannością powołuje się jednocześnie na praktykę rządów państw europejskich. Przytacza świéże rozporządzenia cesarza Józefa II o sprzedaży dóbr kameralnych i ostrożnie przypomina przykład dany przez naród francuski. Jakoż istotnie wiemy, że przed kilkoma miesiącami zgromadzenie ustawodawcze dwoma dekretami, z d. 21 listopada i 1 grudnia 1790 r., uchwaliło sprzedaż w drodze licytacyi wszystkich dóbr narodowych. Nie brakło zatém wydatnych autorytetów ustawodawstwa zagranicznego dla poparcia sprawy wniesionéj przed sejm.

Następnie zbija zarzuty podniesione tu i owdzie w prasie przeciwko jego projektowi,—przy czém bardzo oględnie, aby nie draźnić zbytecznie swoich wrogów, ale niezbicie dowodzi, że ich opozycya, rozpatrywana z jakiéjbądź strony, ma zawsze za podstawę prywatę i tylko prywatę, więc tém samém dąży do wyrządzenia krzywdy ogółowi. Dla niego zaś we wszystkich kwestyach i po wszystkie czasy jedynym celem i jedyném prawem jest *salus populi*. To jego argument najsilniejszy.

Nie zaniedbuje wykazywać dobitnie korzyści, jakie sprzedaż dóbr ziemskich rzeczypospolitéj przyniesie narodowi w podwyższeniu ceny ziemi, w podniesieniu dochodów konsumpcyjnych, w ukróceniu lichwy,

zniżeniu stopy procentowéj, przez zaprowadzenie w kraju fabryk i rękodzieł oraz przez ściągnięcie do Polski obcych przemysłowców i kapitalistów, których dopuszcza do nabywania starostw na licytacyi pod warunkiem, aby poprzednio otrzymali naturalizacyę. Niekiedy przerywa swoje wywody, kreśląc w ponętnych zarysach obraz przyszłego przemysłu i dobrobytu krajowego, i pociesza się myślą, że wtedy „dopiéro każdy uzna do czego Polska jest zdolną".

Wiadomo, że szlachta i sejmy okazywały się zawsze bardzo czułemi w kwestyi podatków i opłat, przeto objaśnia na rachunku, jakie znaczne zyski naród osiągnąć może w zmniejszeniu podatków, skoro taki ogromny kapitał ze sprzedaży dóbr państwa corocznie do skarbu wpływać będzie.

Jako przeciwnik latifundjów, ks. Ossowski żąda poczynienia w prawie ułatwień do wprowadzenia w rolnictwie krajowém gospodarstwa intensywnego według zasad, jakie głosił jeszcze rzymianin Columella i jakie podawała ówczesna ekonomia polityczna i „ekonomika wiejska." W tym celu proponuje podzielić obszerne dobra starościńskie na mniejsze działy i przez stosowne urządzenia ułatwić jeszcze ich dalsze rozdrobnienie. Słusznie bowiem utrzymuje, „że podzielność ziemi użytkującéj wypływa z ograniczonéj mocy człowieka, który ani fizycznemi ani moralnemi siłami pojęcia i chęci swojéj nazbyt wiele rzeczy razem objąć i osiągnąć nie zdoła, ani dostatkiem swoim i zamożnością nad pewną miarę kosztom i nakładom potrzebnym nie wystarczy".

Niejednokrotnie i obszernie nalega na to, iż gospodarstwo narodowe może się prawidłowo rozwijać tylko w warunkach powszechnego spokoju i „zwolnienia od uciążliwości pieniactwa." Więc zaleca ukończenie jeszcze przed sprzedażą sporów miast i wsi ze starostami, wiszących w asesoryach nadwornych, jako też procesów starostów z właścicielami sąsiednich dóbr ziemskich, dla których ustanawia sąd polubowny, czyli tak zwany przez niego: „sumienno-przyjacielski".

Opracowując bardzo troskliwie wszystkie szczegóły techniczne wykonania projektu, określa sposób i termin licytacyi królewszczyzn, ustanawia komisarzy nadzwyczajnych, których obowiązkiem jest zająć się dokładnym opisem dóbr przeznaczonych na sprzedaż, rozdziałem tychże na folwarki, rozgraniczeniem, urządzeniem osiadłości włościańskich, pomiarem wszystkich gruntów i sporządzeniem planów. Komisarze winni ukończyć swoje czynności w ciągu lat pięciu, po upływie których miała się rozpocząć kolejna sprzedaż starostw, według porządku wskazanego przez losowanie.

Tymczasem zaś skarb rzeczypospolitéj może antycypować dochód ze starostw przez wypuszczanie biletów skarbowych bez kursu przymusowego, przyjmowanych w kasach rządowych z zapewnieniem dla kontrybuentów pół od sta procentu przy każdéj wpłacie.

Projekt zbija nieuzasadnione obawy, jakie często były wyrażane co do biletów, wykazuje ich ogromne zabezpieczenie, pewność i regularność amortyzacyi oraz dogodność przy większych tranzakcyach majątkowych, jak naprzykład przy kupnie dóbr starościńskich na licytacyi. Zabezpiecza zupełnie prawa dotychczasowych posiadaczy starostw (art. 22), wyznaczając dla nich dożywotni dochód w takiéj saméj proporcyi, jak dotąd pobiérali, to jest procent w stosunku 4% od sumy osiągniętéj na licytacyi z potrąceniem z takowéj $^{1}/_{10}$ części na korzyść rzeczypospolitéj, jako właścicielki. Zobowiązuje daléj nabywców do zwrotu starostom nakładów użytecznych, o ileby takowe poczynili w dobrach,—a to w ciągu trzech miesięcy od daty licytacyi, i dozwala tymże nabywcom układać się dobrowolnie ze starostami o sknp ich praw dożywotnich.

Przy licytacyi nabywca obowiązany był złożyć zaraz dziesiątą część postąpionego szacunku, a reszta pozostawała u niego na długoletnie rozpłaty. Przy tém do szacunku doliczał się skapitalizowany za cały czas procent po 4% rocznie i od téj całkowitéj sumy nabywca opłacać był winien procent po 4% w ratach kwartalnych pod utratą zaliczenia i eksmisyą.

Łatwo mógł przewidywać ks. Ossowski, że ceny, jakie dobra starościńskie osiągną przy sprzedaży przez licytacyę będą znacznie przewyższać tę wartość, którą możnaby wyprowadzać z dotychczasowych lustracyi, a cały ten kapitał miał stanowić żelazny fundusz banku narodowego i „jedynie w gwałtownéj potrzebie na obronę kraju w przypadku wojny mógł być ruszony". Rozumié się, że do tego potrzeba było zawsze uchwały sejmu, a władza wykonawcza nie miała prawa dysponować żadną częścią tego funduszu pod karami zagrożonemi w ustawie *de crimine peculatus*. Nie wolno było także nigdy używać tych pieniędzy na jakiekolwiek nagrody dla „zasłużonych".

W czasach pokoju kapitały banku, powiększające się ciągle przez naturalny przyrost procentu, miały być rozpożyczane krajowcom w celach produkcyjnych na procent po 4% rocznie i na długie termina.

Zapoznawszy się z zasadami i rozporządzeniami projektu ks. Ossowskiego, zobaczmy teraz, jakie były koleje jego w sejmie i w jakiéj postaci ostatecznie zamieniony został w obowiązujące prawo.

Po raz pierwszy projekt ten był złożony do laski marszałkowskiéj dopiéro na sesyi sejmowéj dnia 29 września 1791 r. przez Mikołaja Ja-

roszyńskiego, posła bracławskiego, [1]) i poparty zaraz przez posła poznańskiego, Gliszczyńskiego.

Na następnem posiedzeniu, 10 października, Sołtyk, poseł krakowski, bardzo dobry znawca kwestyi skarbowych, żądał, aby projekt urządzenia starostw, do przedstawienia którego już dawniéj z łona sejmu wyznaczoną była deputacya, zaraz był czytany i wzięty pod rozwagę. Gdy większość się na to zgadzała, Plater, kasztelan trocki, jako członek deputacyi, podał w obszernym głosie szczegółowe objaśnienie opracowywanego projektu, opartego całkowicie na zasadach ks. Ossowskiego. Sam projekt jednakże nie był jeszcze w sejmie czytany.

Już na tém pierwszém posiedzeniu podniosła się zaraz opozycya przeciwników sprzedaży starostw, których w sejmie było bardzo wielu. Ci radziby byli odrzucać wszelkie projekta w téj materyi, lub przynajmniéj uchwałę prawodawczą odraczać *ad infinitum*.

Nie chciano tedy dopuścić do czytania projektu pod pozorem, że według regulaminu sejmowego tylko wnioski od posłów pochodzące mogą być przedmiotem deliberacyi, jak dowodził Zambrzycki, poseł nurski. Ten rzecznik starostów gniewał się na deputacyę, że nie uwzględniła projektu, jaki podał on wraz z kolegą swoim Sokolnickim, ale „przywiązała się" wyłącznie do pracy ks. Ossowskiego, który „śmiał wdziérać się do Izby".

Widzimy z téj pierwszéj próby opozycyi, przeciwnéj prawu o starostwach, że jéj taktyka nie zalecała się bynajmniéj wielką zręcznością. Wystąpiła na oślep z takim zarzutem, który nie przedstawiał żadnych trudności w odparciu. Gruntownie go zbijał Linowski, poseł krakowski, wykazując, że chociaż wszystkim wiadomo, iż projekt pochodzi od ks. Ossowskiego, to wiadomo również, że do izby wniósł go Jaroszyński, więc od téj chwili stał się już projektem poselskim i dyskutowany być winien. W imię dobra publicznego zachęcał izbę, aby się nie ociągała z przystąpieniem do rozpraw, bez względu na to, że sama myśl tego projektu nie wyszła z głowy żadnego posła. „Bo, — jak przemawiał uczciwie — chociaż wszyscy mamy światło, ale bez zarumienienia wyznać to powinniśmy, że są osoby, które w pewnych wiadomościach mają go od nas więcéj". Zaraz też następnego dnia na wniosek Siemińskiego, posła sieradzkiego, sekretarz sejmu odczytał projekt deputacyi, obejmujący całkowity plan ks. Ossowskiego i zredagowany w ośmiu artykułach, pod tytułem: „*Urządzenie wieczne dóbr dziedzictwa publicznego*".

---

[1]) *P. Korzon* wymienia Gliszczyńskiego, jako wnoszącego projekt, ale w tém jest tylko prosta omyłka. *Dzieje wewnętrzne*, t. III str. 334.

Z księdzem Ossowskim deputacya różniła się tylko na tym punkcie, że emisyę biletów, opartą na funduszu ze starostw, powierzyła istniejącym jeszcze wówczas komisyom skarbu, koronnéj i litewskiéj, zaś utworzenie instytucyi banku narodowego miała zaprojektować oddzielnie.

Zaczęły się nareszcie rozprawy, w których udział wzięli: wspomniany już Siemiński, oraz posłowie: Rożnowski, Krzucki, Nosarzewski i Sokolnicki. Jednakże początkowa dyskusya sejmu obracała się prawie wyłącznie w sferze niejasnych ogólników, nudnych omawiań i krytyki małoznacznych rozporządzeń projektu. Mówcy byli jeszcze nieprzygotowani, ale widoczną już była szerząca się powszechnie zawziętość przeciwko starostom. Sędzic ciechanowski, Nosarzewski, nazwał ich publicznie *fidefragi*, a Siemińskt podniósł niesłychanie drażliwą sprawę, domagając się wprost unieważnienia nieprawych nadań smutnéj pamięci delegacyi sejmowych 1775 i 1776 roku.

Po zwłoce zażądanéj przez króla dla dokończenia leżącéj mu wówczas na sercu pracy nad organizacyą komisyi skarbowéj obojga narodów, na posiedzeniu sejmu 28 października znany już nam Sołtyk wniósł swój projekt o sprzedaży starostw, przedstawiający prostą przeróbkę pracy ks. Ossowskiego. Spostrzegłszy między członkami sejmu wielu zapatrujących się nieufnie na bilety skarbowe i bank narodowy, Sołtyk ograniczył swój projekt tylko do saméj sprzedaży dóbr starościńskich. Zastanawiając się nad powodem zmiany dokonanéj w projekcie przez Sołtyka, nie mamy żadnéj przyczyny wątpić o dobrych chęciach lub o rozumie tego posła. Prawdopodobnie chciał on ułatwić praktycznie możność strawienia zbyt ciężkiéj dla umysłów prawodawców sejmowych kombinacyi i rozdzielając ją na części, przyspieszyć przeprowadzenie pożądanego prawa.

Niepomierną otuchę musiał wlać w serca partyi starostów i nieprawych posiadaczy dóbr złupionych na rzeczypospolitéj książę prymas, kiedy pierwszy w ich imieniu podniósł się dla zwalczania zasadniczo całego projektu. W gładko utoczonych frazesach dowodził, że „nie jest w stanie przeświadczyć się, aby sprzedaż starostw sprawiedliwą, potrzebną i użyteczną ojczyznie być mogła”. Według jego zdania „dosyć znaczną ofiarę uczynili już starostowie, kiedy połowę intraty oddali do skarbu a emfiteuci, zostawieni przy ósméj części swoich dochodów, są raczéj administratorami, niz possessorami”. Z właściwą sobie obłudą szafuje słodyczami pod adresem ks. Ossowskiego, ale zarazem powiada, że „egzekucya tego co napisał, zawierając wiele pracy i zawiłości, staje się niepewną, a związany projekt jego z projektem pieniędzy papierowych ostatnią grozi rzeczypospolitéj zgubą”.

Opowiada, jak to piéniądze papiérowe nie jeden już kraj zniszczyły, wśród cytacyi łacińskich przewiduje dla Polski fatalne skutki z zamierzonéj operacyi, podobne do nieszczęść ściągniętych na Francyę przez nowatorskie tendencye Necker'a (!), i nakoniec żąda głosowania dla swego wniosku: „aby nie traktować w stanach téj materyi, lecz zająć się wynajdywaniem zkądinąd źródeł dochodu dla skarbu".

Spodziéwał się chytry prymas, że powagą swego dostojeństwa i braterstwa z królem raz na zawsze zada śmiertelny cios projektowi grożącemu starostom.

Ale na szczęście nie były to już czasy jego tryumfów w epoce rządów Repnina!

Nie pomogła błyskotliwość wymowy, chcącéj olśnić izbę fałszywemi pozorami znajomości rzeczy! Jak jeden mąż, powstała znaczna większość posłów, oświadczając, że na propozycyę księcia prymasa niéma zgody.

Zrażony upokarzającém niepowodzeniem, prymas już tylko raz jeden w ciągu téj długiéj, bo trzy miesiące trwającéj dyskusyi zabrał głos, jak to późniéj zobaczymy.

Obrady poszły daléj swoim torem i na tém samém posiedzeniu Sokolnicki dzielnie bronił projektu, popiérając Sołtyka, a za nim Skórzewski, Butrymowicz i Gieysztor.

O wiele sprytniejszym szermierzem opozycyi, niż prymas, okaza się Suchodolski, kasztelan radomski, występując z zarzutem, iż skoro sejm ma prawo rozporządzać tylko intratą z dóbr rzeczypospolitéj, przeto jedynie właściciel tychże dóbr, to jest naród, może zadecydować o ich alienacyi. Należy więc nad projektem przejść do porządku dziennego a odnieść się po instrukcye do samego narodu bezpośrednio. Był to paradoks w gruncie bezzasadny, ale że zręcznie był postawiony, musiał dawać do myślenia i budzić skrupuły nawet w najgorętszych zwolennikach projektu. Zbijał go, acz przy pomocy nie zbyt wyszukanych argumentów, Sokolnicki, przypominając znane instrukcye posłów z województw wielkopolskich, ruskich i litewskich, powołując się na prejudykat w wyznaczeniu już przez sejm deputacyi do urządzenia starostw, która wygotowała projekt o sprzedaży, oraz dowodząc, że protest jednego posła nie może obalać decyzyi przyjętych przez większość.

Widocznie zaś już wtedy przewaga opinii zaczynała być po stronie projektu, bo na téj saméj sesyi jeszcze kilku mówców gorliwie popiérało takowy. Godną uwagi jest gruntowna mowa Witosławskiego, posła podolskiego, wybornie obeznanego z praktycznemi sprawami skarbu rzeczypospolitéj, który, wskazując na wielki gotowy zasób le-

żący w starostwach, najmniéj podług jego wyliczeń 300 milionów złp. sięgający, uzasadniał konieczność sprzedaży starostw wielkiemi potrzebami państwa i deficytem przenoszącym wtedy 9 milionów złp., to jest tyle, ile stanowiła trzecia część ogólnych dochodów skarbu. Z wielkim taktem wystąpił też Sołtyk do krytyki zarzutów Suchodolskiego, wyjaśniając rozumnie właściwe znaczenie gwarancyi prawa własności, zapewnionéj ustawą 3-go maja. Ostrzegal, iż przeciwnicy projektu nietylko nie myślą dać za wygraną, lecz „w różne przywdziéwając się szaty, odsuwać wciąż będą te materyę pod tysiącznemi pozorami". Powodowany taką obawą, oświadczył energicznie, że na żaden nowy gatunek podatku nie pozwoli, „dopóki kwestya sprzedaży starostw udecydowaną nie będzie." — Za nim powtarzali mniéj więcéj to samo Narbutt i dwaj Rzewuscy, z których jeden, kasztelan witebski, był „przeciwny ustawie biletów, jako szkodliwéj i niebezpiecznéj dla narodu".

Przed końcem tego posiedzenia uchwalono także połączenie w jedną dwóch deputacyi: konstytucyjnéj i drugiéj zajmującéj się projektem do prawa o pomnożeniu dochodów skarbowych dla pokrycia deficytu. Zalecono im wynalezienie skutecznych środków dla prędszego uchwalenia ustawy o sprzedaży starostw.

Łatwo rozpoznać w tym fakcie manewr opozycyi, któréj też dziełem była zapewne i owa massa projektów od rozmaitych posłów, jakiemi zasypywali deputacyę. Cel tych i tym podobnych machinacyi leżał w pożądanéj odwłoce, skoro pokazało się jawnie, że obrońcy starostów tylko na tém wygrać mogą, gdy wstępnym bojem nic już nie wskórają.

Wciskając się wszędzie, opozycya potrafiła wśród członków deputacyi wynaleźć sobie jawnych lub skrytych stronników tém bardziéj, że wśród niéj zasiadał znany biskup lubelski, Skarszewski, gdyż na posiedzeniu 10 listopada marszałek sejmowy widział się w konieczności oświadczenia, że deputacya nie mogła dotychczas przedstawić swego projektu z powodu niespodziewanéj obfitości złożonego materyału.

Rozprawy pociągnęły się nieprzerwanie zwykłym porządkiem.

Wniesiono kilka nowych poprawek do niewykończonego jeszcze projektu, a zatém bezużytecznie. Jednakże posłowie przemawiający na tém posiedzeniu wystąpili z kilkoma nader ciekawemi wnioskami, idącemi dość daleko w kierunku radykalnym, chociaż wszyscy bez wyjątku zalecali projekt ks. Ossowskiego, jako najzbawienniejszy.

Książe Czetwertyński, kasztelan przemyski, żądał podciągnięcia pod sprzedaż wraz ze starostwami i dóbr stołowych króla, czyli dóbr tak zwanéj „ekonomiki królewskiéj".

W tym samym sensie odzywał się Leżeński, poseł bracławski, a najgoręcéj Zakrzewski, poseł województwa poznańskiego.

Ten domagał się nietylko sprzedania dóbr ekonomiki królewskiėj ale i dóbr biskupstwa krakowskiego, zostających od czasu pierwszego rozbioru pod administracyą rządową.

Uzasadniał swój wniosek cyframi, wykazując wielkie korzyści dla skarbu, gdyż dobra biskupstwa krakowskiego, które przynosiły biskupowi tylko 50,000 złp., dawały za gospodarstwa komisyi ustanowionéj z ramienia rzeczypospolitéj prawie dwa razy tyle dochodu, to jest 90,000 złp.—Skoro komisya rozporządziła oddanie ich w dzierżawę przez licytacyę, on sam, Zakrzewski, postąpił na licytacyi 141,000 złp. Gdyby zaś chciano mu sprzedać, to ofiarował dać za nie cenę wyrachowaną na podstawie dochodu równającego się 180,000 złp. i to zapewne ze znacznym jeszcze zyskiem dla siebie!

Możemy ztąd brać miarę, jaką była rzeczywista wartość dóbr zostających w użytkowaniu starostów i jak umiarkowanie Witosławski oceniał tę wartość na przeszłéj sesyi, kiedy przypuszczał, że przez licytacyę starostw dochód z nich tylko o $1/3$ część powiększony zostanie. Jednakże wniosek Zakrzewskiego przepadl, bo sejm nie był usposobiony do słuchania projektów o sprzedaży dóbr kościelnych, témbardziéj gdy memoryał ks. Ossowskiego w osobnéj „przestrodze” zastrzegał wyraźnie, iż do tych dóbr wcale się nie odnosi. Obiecywał tylko przedstawić późniéj inny projekt względem pożądanych modyfikacyi w tym przedmiocie. Jednego tylko zwolennika myśl Zakrzewskiego znalazła w osobie posła wileńskiego, Romanowicza.

Dał się słyszéć także ks. Hugo Kołłątaj, pierwszy i jedyny raz zabiérając głos w téj materyi. Ale mowa jego nie sprawia dodatniego wrażenia. Pełna pedantycznéj frazeologii, nie odznacza się dostateczną znajomością traktowanéj kwestyi, lecz obraca się wciąż w omawianiu zasad projektu ks. Ossowskiego, który ostatecznie wychwala. Nie zaniedbał przy téj okazyi żądny popularności trybun demokracyi wystąpić z propozycyą, aby pewna część dóbr starościńskich w każdym okręgu podzielona była na takie parcele, któreby łatwo nabywane być mogły przez ubogą szlachtę [1]) jedynie za czynsz wieczysty, bez składania $1/10$ części szacunku.

Na téj propozycyi zyskała zapewne wśród szaraczkowéj rzeszy wziętość podkanclerzego koronnego, ale rzeczpospolita zajęta była

[1]) Liczył téj szlachty w Polsce ogółem 300.000 ludzi.

wtedy wykonaniem wręcz odmiennych zadań, zawisłych ciężkiém brzemieniem nad jéj losami.

Nastąpiła mowa królewska, jak zawsze, w tonie najtkliwszego patryotyzmu. Król Jegomość ofiarował narodowi całkowity dochód z dóbr swojéj ekonomiki, pozostałych po rozbiorze, wynoszący 200,000 złp. Zresztą mowa jego toczy się w kole utartych komunałów. Stanisław August nie był wcale biegłym w sprawach skarbowości i finansowe zdolności objawił tylko w nieporównanéj zręczności, z jaką umiał zaciągać na swoje potrzeby długi, gdzie się tylko dało. Potrafił téż zawsze dla siebie „wyłabudać"—jak mawiał — gotówkę od ambasadorów państw zostających nawet w otwartéj wojnie z rzecząpospolitą.

Posłowie, wzruszeni wspaniałością daru, przystąpili według zwyczajnego ceremoniału do ucałowania ręki monarszéj i zakończyło się posiedzenie naznaczeniem na wniosek Sokolnickiego tak zwanéj sesyi prowincyonalnéj u marszałka sejmowego na dzień następny, w celu wysadzenia komisyi do rozgraniczenia starostw.

Jakoż rzeczywiście odpowiednie projekta zostały wkrótce przedłożone sejmowi przez obu marszałków konfederacyi generalnéj.

Przerażenie opozycyi musiało być nie małe, skoro w parę dni potém, 14 listopada, marszałek sejmowy wniósł do izby ukończoną już pracę deputacyi, a raczéj pierwsze ośm artykułów projektu do prawa o sprzedaży starostw.

Dziewiąty i ostatni artykuł przedstawiony został sejmowi zaraz następnego dnia. Ta jednak redakcya, jak wkrótce zobaczymy, uległa znacznym zmianom.

W saméj zasadzie niczém się ten projekt połączonych deputacyi nie różnił od projektu deputacyi konstytucyjnéj, podanego przed miesiącem na sesyi 11 października.

Podobnie jak tamten i stosując się w zupełności do myśli Sołtyka, zawiérał przepisy regulujące sprzedaż dóbr starościńskich, a pozostawiał na boku kwestyę banku narodowego i biletów skarbowych.

Przyłączenie się deputacyi do projektu Sołtyka pochodziło niewątpliwie z téj przyczyny, że była powiadomioną o zabiegach i przygotowaniach opozycyi, a do tego być może przeceniała jéj siłę. Nadto deputacya mogła się obawiać znanéj dobrze z praktyki sejmowéj chwiejności zdania swoich własnych stronników. Nie chciała za tém narażać głównego celu przez wprowadzenie do projektu takich postanowień, które, chociaż wysnute i skombinowane z nadzwyczajnym talentem według jednéj idei ks. Ossowskiego, bądź co bądź dla ogółu posłów sejmowych były nowością, przechodzącą o całe niebo wszystkie finansowe spekulacye, do jakich byli zdolni.

Jak tylko projekt ukazał się w izbie, opozycya zawrzała na całéj linii i zapełniła głosami swych adherentów prawie całe posiedzenie. Podniósł się naprzód w jéj imieniu Jeleński, poseł mozyrski, rozwodząc się żałośnie nad tezą, iż żaden urząd dożywotni, żadna danina bez sądu odbieraną obywatelowi być nie może.

Skarszewski, biskup lubelski, będący posłem od województwa chełmskiego, również obszernie rozprawiał o niewłaściwości sprzedaży starostw i zamiast niéj doradzał po śmierci dożywotników oddawać starostwa „*per emphiteusim*" na lat pięćdziesiąt. Hryniewiecki, wojewoda lubelski, chciał przekonać sejm, że projekt nietylko nie zaradzi deficytowi, ale owszem zwiększać go będzie; że „te obiecane miliony zawiodą nadzieje" i pochłonięte zostaną przez płace dla komisarzy, koszta rozgraniczenia i podziału starostw i t. d. Konkludował wreszcie, aby zażądać specyalnych instrukcyi od sejmików. Zabiełło, kasztelan miński, powtarzał znane dobrze hasła o konieczności ze strony narodu dotrzymania wiary zapewnionéj starostom, o świętości unii z Litwą i t. d., zapewniał, że szacunek dóbr starościńskich będzie się wciąż podnosić, a starostowie dostarczą chętnie nowych funduszów na potrzeby kraju.

Jako obrońca projektu, odznaczył się Bolesz, w wymownych i gorących słowach przedstawiając nagłość potrzeby rzeczypospolitéj i przerażającą pustkę w skarbie.

Następne dwie sesye, 15 i 18 listopada, zeszły na niczém bez ważniejszych rozpraw, pomimo usiłowań ze strony zwolenników projektu.

Właściwa dyskusya jeszcze się nie rozpoczęła i zbliżała się z wielką powolnością.

Na posiedzeniu 21 listopada Kossakowski, biskup inflancki, starał się krytykować projekt wszechstronnie i zalecał zamiast sprzedaży nowe zwiększenie kwarty. Jego czcze wywody znalazły zaraz dzielne odparcie w mowie Dembińskiego, posła krakowskiego, który bardzo trafnie przypominał, że „starostwa nigdy nie były funduszem ratującym rzeczpospolitą". Przytoczył także piękny ustęp z jednéj mowy Demostenesa, w któréj tenże wyrzuca gorzko ateńczykom, że uchwaliwszy naprzód wyprawę w pomoc Olintowi, roztrwonili późniéj pieniądze publiczne na widowiska i uciechy. „Tacyśmy byli—kończył Dembiński,—uchwalając sto tysięcy wojska, strzeżmy się naśladowania ku końcowi".

Wielu mówców za tém przemawiało za projektem. Z pomiędzy nich Gieysztor, poseł żmudzki, przedstawił zajmujący przegląd historyi starostw, zaś kolega jego, Nagórski, jakotéż Potocki, marszałek w. l. i Mielżyński, poseł poznański, proponowali rozmaite poprawki.

Ten ostatni, lubo sam był posiadaczem starostwa wałeckiego, złożył do laski formalny wniosek: „o zwrot donatyw na sejmie 1775 r. nienależnie w ziemskość zamienionych".

Pod koniec posiedzenia zabrał znów głos król. Prawdopodobnie pozyskany przez opozycyę, pragnąc zapewnić jéj dłuższą odwłokę, a po części także w chęci okazania swéj kompetencyi w sprawach skarbowych, zapowiedział przedstawienie od siebie nowego projektu o sprzedaży starostw i do ułożenia takowego zaprosił z pośród dygnitarzy sejmu: księcia biskupa płockiego, Chreptowicza, podkanclerzego litewskiego, i Ostrowskiego, podskarbiego nadwornego koronnego.

Na razie wyznaczenie téj nowéj a niespodziewanéj deputacyi przez króla przyjęto jakoś w milczeniu, ale nazajutrz książe Czetwertyński, kasztelan przemyski, podniósł w sejmie tę kwestyę, domagając się wyjaśnienia, w jakim to właściwie charakterze ci panowie zasiadać mają w deputacyi, kiedy podług prawa tylko sam sejm mocen jest wyznaczyć deputacyę.

Wyjaśnienia, poczynione przez biskupów Naruszewicza i Kossakowskiego, oraz przez Kublickiego, posła inflanckiego, zajęły połowę posiedzenia, a zakończył je nareszcie marszałek konfederacyi litewskiéj, książe Sapieha. Ten, widząc, jakiéj kaszy król nawarzył i pragnąc wyprowadzić go z kłopotu, oświadczył że wybrani wczoraj dygnitarze mają tylko przedstawić osobiste J.K.Mości myśli członkom deputacyi. Stanisław August natychmiast skwapliwie tę deklaracyę potwierdził, i nieporozumienie się zatarło.

Zatém popisywało się jeszcze kilku mówców, popierając projekt, ale uwagę sejmu zajęli wyłącznie swemi interesującemi głosami dwaj posłowie, z których każdy uchodził za powagę w materyach skarboznawstwa. Pierwszy mówił Fryderyk Moszyński, poseł bracławski, którego p. Korzon, zbyt łaskawie mojém zdaniem, mieni być jedną z najtęższych głów pomiędzy finansistami sejmu. Jakkolwiek oświadczył się niby za sprzedażą starostw, jednakże mowa jego zmierzała wyraźnie do tego, aby projektowi deputacyi odjąć główną racyę bytu, która go wywołała. Na mocy ułożonych przez siebie wyciągów z tabel dochodów i ekspensów skarbowych przedstawiał on sejmowi, że stan finansowy kraju jest bardzo pomyślny, bo nietylko nie grozi mu deficyt, ale jeszcze przewyżka dochodów w ilości trzech milionów złp. pozostanie.

Pierwszym warunkiem dobrych wykazów finansowych jest rzetelność i pewność cyfr, na których się opiérają. Tymczasém rachunki, podane sejmowi przez Moszyńskiego, były wynikiem błędnie przyjętych pozycyi i fałszywych zestawień, jak go zaraz przekonano. Całe jego

„*exposé*”, dające w każdym razie wielce pożądaną broń w ręce partyi starostów, nosi na sobie widoczne cechy roboty dyletanckiéj, albo téż wręcz machiawelskich dążności, i do zaszczytu dobrego sprawozdania budżetowego podnosić go nie będziemy.

Nie czekał długo pan poseł bracławski na odpowiedź. Tuż po nim zabrał głos Witosławski, dobrze znany nam poseł i zarazem trzymający pióro w deputacyi egzaminującéj skarb koronny. Z dokładną znajomością spraw skarbowych wykazywał on fikcyjność cyfr przyjętych za podstawę obliczeń Moszyńskiego, udowodnił że ten do dochodów skarbu dołączył zamierzenia budżetowe, które w istocie do kas nie wpłynęły, a w wydatkach pominął takie pozycye, jak naprzykład całkowity etat świeżo utworzonéj komisyi policyi.

Wykazawszy tym sposobem oczywistą bezzasadność wywodów Moszyńskiego, potwierdził zarazem podany przez siebie na jednéj z poprzednich sesyi bilans skarbu, podług którego dochody rzeczypospolitéj wynosiły 27 milionów złp. a wydatki zwyczajne 36 milionów złp.

Deficyt zatém był wyraźny, a przecież rzeczypospolitéj chodziło nietylko o deficyt!

Moszyński ani jedném słowem nie mógł zaprzeczyć Witosławskiemu.

Na posiedzeniu 24 listopada znaczna liczba posłów popiérała uchwalenie sprzedaży starostw. Z opozycyi przemawiał tylko jeden Siwicki, poseł trocki. Najlepiéj zaś bronił projektu Potocki, wojewoda kijowski, i rozpraszał niewczesną obawę niektórych co do biletów skarbowych. Gdyby sejm na ustanowienie biletów się nie zgodził, proponował natomiast zaciągnięcie pożyczki i zobowiązał się ułatwić ją na warunkach wielce wygodnych dla rzeczypospolitéj.

Sołtyk w końcu nalegał na konieczność przyspieszenia téj sprawy, domagał się zmian we wstępie do projektu deputacyi, mianowicie co do osławionych donatyw z r. 1775, zapowiadając, że jeśli to się nie stanie, to on „z żalem dla siebie przymuszony będzie zerwać maskę i odkryć, jakie w tém są zamiary”.

Nie potrzebował zacny Sołtyk zrywać z nikogo maski i odkrywać zamiarów opozycyi, bo z łatwością przeniknąć się pozwalały i zresztą partya starostów bynajmniéj się z niemi nie ukrywała.

Korzystając z przydłuższéj przerwy w posiedzeniach, deputacya jeszcze raz opracowała projekt w nowéj, chociaż nie ostatecznéj — jak zobaczymy—redakcyi, i marszałek sejmu przedstawił go izbie w d. 5 grudnia.

Zaczęły się nareszcie rozprawy stanowcze.

Opozycya wystawiła ze swéj strony działa najcięższego kalibru, jakie miała do swego rozporządzenia.

Między jéj przywódcami nie było wprawdzie jawnie ludzi wielkich imion i wielkich wpływów. Żaden z obecnych wówczas w kraju magnatów nie miał dość odwagi, aby otwarcie bronić starostw wobec jednomyślnéj opinii publicznéj i większości sejmowéj. Sprawa starostów stała się tak nienawistną i wstrętną ogółowi, potrzeba ocalenia państwa była tak głęboko i tak powszechnie odczutą, że występować przeciw temu prądowi nikt z możnowładzców się nie ośmielił. Ci z nich, którzy posiadali dostateczną zuchwałość do przeciwdziałania dążnościom całego kraju, byli wtedy na obczyźnie, i pracowali już w Jassach nad wykonaniem zdradzieckich planów, lub téż pozostali na uboczu.

Bądź co bądź, prosta bezstronność nakazuje zaznaczyć, że w téj haniebnéj walce z najmądrzejszemi i najszlachetniejszemi dążeniami narodu i sejmu nie szargały się nazwiska znakomitych rodów.

Na czele zażartych szeregów kliki starościńskiéj arystokracyę zastąpiła inna potęga, a mianowicie najwyżsi dostojnicy kościoła, których większa część używała w kraju nieosobliwéj opinii!

Rzecz godna zastanowienia i smutna zarazem, gdy w pierwszym rzędzie téj falangi wstępującéj w rozpaczliwy bój z ogólnie pojętym celem ocalenia państwa spotykamy prymasa a za nim cały zastęp biskupów. Pierwszy w obronie starostów mówił prymas. Z namaszczeniem przepowiadał, że zamiast korzyści kraj tylko straty poniesie, sprzedawszy starostwa. Nazywał projekt „machiną wzruszającą spokojność wszystkich obywateli". Przedewszystkiém zaś i nagląco domagał się „usunięcia z projektu słów groźnych i zohydzających dzieła delegacyi 1768 i 1775 r." Pomimo niedawnéj porażki, wpadał w ton imponujący, grożąc, że dopóki pożądana przezeń zmiana redakcyi nie nastąpi, on na żadną deliberacyę nie pozwoli.

Po obszernéj mowie prymasa proponował Rogowski, poseł warszawski, oddanie starostw na czynsz wieczysty, mający być opłacanym w połowie pieniędzmi a w drugiéj połowie zbożem na prowiantowanie armii. Nakoniec Siwicki, największy krzykacz ze stronnictwa starostów, biadał nad „zamierzonym gwałtem" i prorokował zgubę narodowi, wołając: „*Vae sine fide genti*".

Na posiedzeniu 9 grudnia przeciw sprzedaży starostw prawił biskup lubelski, Skarszewski, ale mu daleko więcéj niż o starostwa chodziło o zabezpieczenie ustawą nadań z r. 1775, o przyznanie królowi prawa patronatu w dobrach starościńskich, oraz możności rozporzędzenia dwoma jeszcze dotąd wakującemi starostwami. Potém Rupejko, Kublicki i Krzucki, poseł wołyński, proponowali różne poprawki. Ten ostatni

chciał, aby sześć królewszczyzn na Wołyniu rozdane były między wysłużonych towarzyszów kawaleryi narodowéj w liczbie pięciu tysięcy ludzi. Mówcami zaś opozycyi byli: Kretkowski i Grabowski.

Posiedzenie sejmu 12 grudnia rozpoczął Rybiński, biskup kujawski, zalecając usilnie nie sprzedawać lecz wypuszczać starostwa na czynsz wieczysty. Był to już dobrze i oddawna przez opozycyę protegowany wniosek, który w praktyczném zastosowaniu tyle znaczył, co pozostawienie sprawy „*in statu quo*”. Jednakże powracano do niego nie raz jeszcze aż do ukończenia rozpraw, zapewne chyba w braku lepszych pomysłów.

Odpowiadali mu różni zwolennicy projektu. Potém książe Jabłonowski, kasztelan krakowski, doradzał, aby się nie spieszyć zbytecznie z uchwaleniem prawa, zanim każdy szczegół nie będzie należycie rozważony i obrobiony. Na projekt w takim kształcie, jak obecnie jest przygotowany, mówca się nie zgadza, lecz przyłącza się do zdania wyrażonego przez prymasa, któremu składa powinszowania za okazaną odwagę.

Największe wrażenie na tém posiedzeniu sprawiła rozumna mowa szambelana Olędzkiego, posła żmudzkiego, który broniąc wybornie projektu deputacyi, popiérał także założenie banku narodowego podług myśli ks. Ossowskiego i w tym celu wnosił, aby zaciągnąć pięcio-milionową pożyczkę oraz do wysokości takiéj-że sumy wypuścić bilety skarbowe. Proponował téż, aby dla ułatwienia licytacyi dozwolić nabywcom, zamiast składania $1/10$ części w gotowiźnie, przedstawiać dobrą ewikcyę hypoteczną na $1/5$ część postąpionego szacunku i dopuścić do udziału w licytacyach poddanych zagranicznych.

Przemawiający po nim: Plater, Czetwertyński i Gutakowski powtarzali tylko lub rozwijali niektóre punkta mowy Olędzkiego.

Zdawało się, jakgdyby decyzya sejmu już była gotowa, więc w téj myśli Jabłonowski, poseł nurski, zaproponował głosowanie co do przyjęcia projektu w zasadzie, ale większość potrzebowała jeszcze wypowiedzieć przygotowane oracye i nie decydowała się na zamknięcie rozpraw. Zresztą nie mówiono jeszcze dotychczas nic o bardzo ważnym punkcie w téj kwestyi, a mianowicie o tém, czy sprzedaż starostw ma następować bezzwłocznie po wydaniu prawa, to jest za życia uprzywilejowanych posiadaczy, lub téż dopiéro po ich śmierci albo renuncyacyi? — Skutkiem tego na sesyi sejmowéj 13 grudnia marszałek wezwał izbę, aby zajęła się tym przedmiotem. Chociaż kwestya była bardzo jasna i z natury rzeczy nawet niepodobna było dopuszczać możliwości odłożenia wykonania prawa do czasu nieokreślonego, wylały się przecież nad

nią potoki elokwencyi. Leżeński przez parę godzin dowodził konieczności postanowienia sprzedaży natychmiastowéj.

Równie długo mówił król, ale po za patetycznemi tyradami, po za rozczulającym obrazem krwawéj szaty Józefa biblijnego, po za chłopami, do których z innych przyczyn [1]) się zwrócił, wysuwał powoli na pierwszy plan swoje zamiary osobiste oraz interesa starostów w miejsce interesu rzeczypospolitéj. Ostatecznie zalecał, aby sejm postanowił odbywać sprzedaże królewszczyzn aż po śmierci posesorów. Właściwym celem jego ojcowskich rad było wyproszenie sobie u sejmu możności rozporządzenia dwoma wakującemi jeszcze starostwami, za co, dogadzając próżności szlacheckiéj przyszłych nabywców dóbr starościńskich, ofiarował łaskawie zrzeczenie się prawa patronatu pozostawionego mu w tych dobrach.

Wszyscy mówcy zabierający po królu głos na téj długiéj sesyi, za wyjątkiem Zambrzyckiego i Trębickiego, domagali się, aby starostwa sprzedawać zaraz.

Wawrzecki, poseł bracławski, popiérając swoje żądanie, wykazywał znów deficyt skarbowy, zbijając jeszcze raz błędne wywody Moszyńskiego własnym jego rachunkiem. Ponieważ Wawrzecki mówił logicznie i mowa jego robiła wrażenie, więc Moszyński czuł się w konieczności próbować w krótkich słowach objaśnienia swoich wyliczeń, ale nikogo nie przekonał. Gieysztor, który był wybornym znawcą prawa publicznego polskiego, wniósł bardzo ważną poprawkę, aby w ciągu czasu gdy komisarze nadzwyczajni dopełniać będą swoje czynności, zobowiązać starostów do opłacania czterech kwart z pięciu intrat według konstytucyi z r. 1567, tych zaś starostów, którzy wbrew ustawie z r. 1736 posiadali więcéj niż dwa starostwa, usunąć zaraz z posesyi i znieść ekspektatywy.

W chęci skrócenia obrad nad tą kwestyą, Potocki, marszałek w. l., poddał myśl, aby głosować razem nad dwoma projektami, które przygotowałaby deputacya, a mianowicie jeden miał rozporządzać natychmiastową sprzedaż starostw a drugi dopiéro po śmierci posiadaczy. Pomimo usilnych starań wielu posłów, a w ich liczbie i Sołtyka, do głosowania skłonić izby nie można było.

Również bezowocnie przeszła następna sesya 15 grudnia.

Kolejno za i przeciw szły mowy różnych posłów sejmowych. Opozycya, sądząc, że na tym właśnie punkcie może coś wygrać, i widząc, że zdanie większości nie jest jeszcze dość silnie utrwalone, dobywała ostatnich sił, aby żadnéj kwestyi „*ad turnum*" nie dopuścić.

---

[1]) Wł. Smoleński. „Ostatni rok sejmu Wielkiego", str. 139.

Chociaż więc marszałek chciał rozstrzygnąć przez głosowanie małą lecz wielce trafną poprawkę wniesioną przez Mikorskiego, posła kaliskiego, o wyłączenie ze sprzedaży królewszczyzn, nad morzem położonych, przestrzeni zajętych przez lasy towarowe i kopalnie kruszców, opozycya potrafiła znaleźć sposoby przeszkodzenia głosowaniu. Dziwny widok zmięszania i rozpaczliwych wysiłków ze strony opozycyi przedstawia przedostatnie posiedzenie sejmu, poświęcone sprawie sprzedaży starostw, z d. 16 grudnia.

Obrońcy starostów, jakkolwiek przekonali się zupełnie o swojéj bezsilności, jednakże do samego końca téj męczącéj sesyi trwali namiętnie w zapale tamowania wszelkiéj uchwały w téj materyi i jeszcze raz mogli się cieszyć chwilowym, ale bezowocnym dla nich tryumfem.

W każdym razie obraz tych dwóch ostatnich posiedzeń sejmu jest niezmiernie ciekawy i przyszły historyk naszych stronnictw parlamentarnych, chcąc wyjaśnić ich wzajemną taktykę, znajdzie tu obfity materyał do badań po rozwikłaniu chaosu sprawozdań sejmowych.

Interesujący ten przedmiot nie należy wszakże do zakresu niniejszéj pracy.

Przemawiali sami poplecznicy starostów, do których przyłączył się także jeden dezerter z większości, Zagórski, poseł wołyński. Ten zapewniał sejm, iż rzeczpospolita nie ucierpi z braku pieniędzy, jeżeli zamiast wystawienia na sprzedaż królewszczyzn nałoży na starostów jeszcze jedną kwartę a od emfiteutów każe pobiérać całkowity dochód według ostatniéj lustracyi.

W lot pochwycili tę propozycyę, niewątpliwie już poprzednio wspólnie ukartowaną, wszyscy następni mówcy i zajmowali nią izbę przez długie godziny. Matuszewicz, znany ze swoich wydanych pamiętników, poseł brzesko-litewski, mówił najobszerniéj. Jego mowa pokazuje nam jurystę, posiadającego wielką znajomość interesów, łatwość wysłowienia i niezachwianą pewność siebie, ale za to bardzo mało kompetencyi w rzeczach tyczących się skarbowości. Wszystkie projekta dla niego są złe i wszystkie krytykował, zacząwszy od ks. Ossowskiego, rozwijając wzamian za to własne poglądy, które jednak nie były nowe. Zaproponował nawet sejmowi sporządzenie przez siebie jeszcze jednego projektu, ale sejm milczał. Rozumie się, że konkludował za odrzuceniem projektu deputacyi, a w najgorszym razie wnosił, aby sprzedaż starostw następowała dopiéro po śmierci posesorów uprzywilejowanych.

Podczas kiedy tak opozycya rozpościerała się swobodnie, większość, przychylna projektowi, ani myślała wziąć udziału w rozprawach. Rozpraw już było dosyć.

Przywódcy jéj wraz z marszałkiem sejmowym starali się bezustannie o sprowadzenie wszystkich niesfornych żywiołów izby do wspólnego mianownika. Więc wciąż podsuwali im głosowanie nad zasadniczą kwestyą, przedstawianą w najrozmaitszych formach. Opozycya nie dała się nakłonić i ze swéj strony chciała poddać kilka podstępnych formuł, na które znowu wahała się zgodzić większość.

Izba rozeszła się, nic nie postanowiwszy.

Nie lepiéj się działo i na ostatniém, pamiętném w dziejach czteroletniego sejmu posiedzeniu 19 grudnia, na którém ostatecznie zapadła uchwała o sprzedaży królewszczyzn.

Niesłychanie uciążliwa sesya ta trwała od południa do godziny 4-éj w nocy. Z początku przywódcy stronnictw nie mogli się wydostać z zaklętego koła przeróżnych formuł, na które miano głosować, ale pewna siebie większość zgodziła się nareszcie na wszelki sposób postawienia kwestyi i nie zawiodła się. Projekt deputacyi, będący właściwie projektem Sołtyka, 150 głosami przeciw 57 został przyjęty i stał się prawem obowiązującém rzeczypospolitéj [1]).

Nie widzę potrzeby powtarzania znanych już nam rozporządzeń tego prawa, którego redakcya w 14 artykułach opiéra się głównie na zasadach projektu ks. Ossowskiego, lecz jak wiadomo nie obejmuje go w całości.

Jakkolwiek prawo o sprzedaży starostw było tylko częścią projektu podanego przez Ossowskiego,—to jednak uchwalenie tego prawa było wielkiém zwycięztwem stronnictwa patryotycznego. Skarb odzyskiwał ten majątek, który, będąc zawsze jego własnością, przynosił dochody tylko garstce zauszników króla lub protegowanym przez obce dwory.

Na uzyskanéj przez zwrot starostw podstawie mogła już skarbowość państwa polskiego rozwinąć się w sposób nowy a potężny.

Prawdopodobnie dalsze plany ks. Ossowskiego uzyskałyby sankcyę sejmu i weszłyby w życie.

Lecz w końcu roku 1791 nie było już na to czasu. Z wiosną stanęły w polu wszystkie siły zbrojne, na jakie zdobyć się mogła rzeczpospolita, a 29 maja sejm ogłosił limitę i nie zebrał się już więcéj.

Całą ważność projektu zrozumiemy dobrze, jeśli będziemy pamiętać, że po wszelkich wysiłkach sejm czteroletni zdołał ustanowić w r.

---

[1]) Cyfry głosów są przytoczone przezemnie z pierwszego głosowania: między propozycyą od laski (połączone projekta Sokolnickiego i Sołtyka) a propozycyą Świętosławskiego, posła wołyńskiego, (za odrzuceniem projektu). Była to bowiem kwestya główna. „Gaz. nar. i obca“ 21 grudnia 1791 r. str. 407.

1792 najwyższy budżet rozchodów skarbu rzeczypospolitéj na sumę 39 milionów złp., wedle obliczeń p. Korzona. Jak nieznaczącą była ta suma, łatwo jest przekonać się, zestawiając ją z budżetami innych państw europejskich. W tym samym czasie rozchody małego państwa pruskiego wynosiły 180 mil. talarów; Rosya obliczała swoje wydatki zwyczajne na 400 mil. rub., a rzeczpospolita francuska wydawała na potrzeby państwa blizko miliard franków!

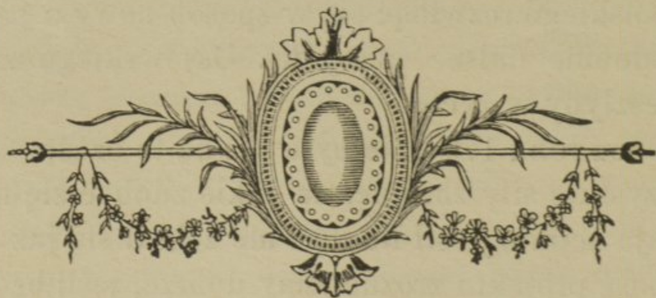
Cóż wobec tego mógł przedsięwziąć sejm czteroletni i na co się przydały najlepsze ustawy, jakie ogłaszał, jeżeli nie postarano się o zabezpieczenie finansów przed wszelką inną reformą?

Jeszcze raz przed zalimitowaniem sejmu ks. Ossowski wydrukował swój dawny plan banku narodowego emisyjnego, p. t. „O sprzedaży starostw, wójtówstw i królewszczyzn i o banku narodowym".

Wiedział on dobrze, że wszystkie działania w celu obrony rzeczypospolitéj musiały być sparaliżowane w samym zarodzie przez brak środków finansowych. Więc jeszcze rozbudzał świadomość mężów kierowniczych narodu na sprawę najgłówniejszą.

Ale usiłowania jego pozostały daremnemi, jak równie bezskuteczną była w dwa lata późniéj podjęta przez ówczesnego bankiera warszawskiego Jana Kapostasa próba wykonania myśli ks. Ossowskiego za krótkich rządów naczelnika.

Stanisław Pyrowicz
Mag. Pr. i Adm.



Z CYKLU

„DUSZA i ZMYSŁY”.

Po bezmiernym, po morskim odmęcie...

Po bezmiernym, po morskim odmęcie,
Śród lazuru niebiosów i fal
Chciałbym płynąć na pustym okręcie
W bezkresową, nieznaną gdzieś dal.

Bez załogi, bez żagli i steru
Chciałbym wiatrom na wolę się zdać,
Słuchać z tobą sennego fal szmeru
I w milczeniu z twych ustek czar brać.

I tak błądzić samotnie tą drogą,
O twe piersi oparłszy swą skroń,
I nie widzieć nikogo... nikogo,
Tylko ciebie — i niebo — i toń!

Wszystkie ziemskie zostawić tęsknoty
I ten smutek, co serce mi rwał,
Czuć na szyi pieściwe rąk sploty
I mieć jedność i duchów i ciał.

Na bezdennym, na cichym błękicie
Święcąc razem wieczysty serc ślub,
Z ciebie czerpać natchnienie i życie
Na twém łonie, u drogich twych stóp.

Dnie i noce kochaniem wyzłacać,
Wydrzéć z serca pamięci zły chwast
I źrenice z gwiazd nieba obracać
Do dwóch ziemskich promiennych mych gwiazd.

A gdy życia konała-by zorza,
Niech się okręt rozbije śród skał,
Na dalekiém na wielkiém dnie morza
W twych uściskach ja spocząć-bym chciał.

I tak z tobą — na piasków posłaniu,
Kołysany pieśniami bez słów,
Śnić przez wieki o naszém kochaniu,
Snić, że kochać zbudzimy się znów...!

Tajemnica.

Sam się swym złotym pieszczę snem,
A światu kłamię w każdém słowie;
Kto mém kochaniem, życiem mém,
Tego się z ludzi nikt nie dowie.

Maskę przez cały noszę dzień
I tylko w nocy jestem sobą,
Nie taję wtedy serca drżeń,
Serca, co rwie się wciąż za tobą!

I do twych drogich leci stóp
I w ukochane patrzy lice, —
Ach! wolę mękę, wolę grób,
Niż zdradzić życia tajemnicę!

I ty jedyna, ty mój śnie,
Co mi jak rajski kwiat zakwitasz,

Tak, jak i inni nie znasz mnie,
Nic z serca mego nie wyczytasz.

W przędziwie czarném moich lat
Będzie się snuła nić różana
I w zagrobowy ze mną świat
Pójdzie ta miłość — niewyznana!

Bo sam się pieszczę złotym snem,
A światu kłamię w każdém słowie,
Kto mém kochaniem, życiem mém,
Tego się z ludzi nikt nie dowie!

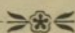
Or-Ot.



Z PAMIĘTNIKÓW

Adama Raczyńskiego,

Majora b. wojsk polskich.[1])



W r. 1824, przed samym wymarszem z pułkiem z Warszawy, otrzymałem list od matki mojéj, uwiadamiający o śmierci wuja Antoniego Brezy z Siekierzyniec, w powiecie Ostrogskim.

Śmierć ta zagadkowa nigdy nie została rozjaśnioną pomimo najusilniejszych starań ciotki Breziny, jak również poszukiwań władz policyjnych.

Nim przystąpię do opisu śmierci pana szambelana Brezy, muszę coś wspomniéć o jego przeszłości.

Ojciec Antoniego Brezy, zaraz po pierwszych objawach przygotowującéj się wielkiéj rewolucyi francuskiéj, w 1782 roku, emigrował z Francyi do Polski z dwoma dorastającymi synami i, jak było wogóle, doznał u nas bardzo serdecznego przyjęcia.

Osiedliwszy się w Warszawie, poznał się z księciem Dymitrem Jabłonowskim, starostą kowelskim, ojcem księcia Maksymiliana, a że jak powiedziałem—arystokracya polska interesowała się szczerze położenieniem przybywającéj do kraju emigracyi francuskiéj, to też

---

[1]) Obacz „Ateneum" zeszyt czerwcowy r. b., str. 513.

książę Dymitr Jabłonowski, poznawszy się z Brezą, wziął do serca los jego.

Brezowie należeli do arystokracyi francuskiéj, nosili tytuł „marquis", prócz tego byli jeszcze grandami hiszpańskimi pierwszéj klasy, jak się to zdarzało między dawną arystokracyą francuską, aby koniecznie posiadać kilka lub kilkanaście tytułów. Nazwisko Brezów pisało się po francusku „Dreux-Brézè".

Ojciec pana szambelana Antoniego Brezy był mistrzem ceremonii przy Ludwiku XVI, lecz kiedy w Francyi zaczęło się burzyć, wtedy mistrz ceremonii, jaśniéj widząc od drugich na co się zanosi, był niemal pierwszym emigrantem francuskim przybyłym do nas.

Książę Dymitr Jabłonowski, poprzyjaźniwszy się z francuzem, wyrobił mu jakąś synekurę na dworze Poniatowskiego, syna zaś Brezy, Antoniego, późniejszego szambelana, pomieścił w szkole kadetów. Młody Breza miał zdolność do języków, wyuczył się więc dobrze polszczyzny, był przytém bardzo stateczny, więc po skończeniu szkoły kadetów wyrobił mu tytuł szambelana, powierzywszy zarząd dóbr ostrogskich, uważając go zawsze, jakby najbliższego krewnego.

Pan Breza był staranny, zapobiegliwy, cudzego nie wziął, ale i swego nie darował, a przytém niemal skąpy, prędko więc uciułał kapitalik, za swoje zasługi otrzymał prawem zastawu w powiecie Ostrogskim wieś Siekierzyńce od Jabłonowskiego, którą późniéj darował mu na własność Maksymilian Jabłonowski, syn Dymitra; książę Maksymilian był w równym wieku z panem Antonim i jego osobisty przyjaciel.

Breza, osiedliwszy się na stałe na Wołyniu, zaczął się rozglądać za ożenkiem; bywając w Krzemienieckiém w Jaśkowcach u podkomorstwa Drzewieckich, poznał tam wnuczkę ich, starościankę Czarnecką Annę, starszą siostrę mojéj matki. Ciotka Anna po śmierci swéj matki często bawiła przy babce.

Pan Breza zaczął się starać o pannę, uprosiwszy sobie w dziewosłęby księcia Dymitra, a że był, jak mówią, „*bene natus et possessionatus*", w dodatku szambelanem króla jegomości, że miał i protekcyę Jabłonowskich, jako klient ich domu, Drzewieccy więc nie byli przeciwni temu związkowi i uprzedzili o zamiarach Brezy ojca panny, starostę Nikodema Czarneckiego. Zostawało jeszcze Brezie pokłonić się ojcu panny, którego nie znał, pojechał więc z powinnym do Stobychwy; było to już po upadku powstania Kościuszkowskiego i pan starosta stale mieszkał w swoich poleskich dobrach.

Breza nosił się po francusku, starosta zaś nie lubił tego stroju; otóż kiedy powiedziano mu w Jaśkowcach o zamiarach pana szambe-

lana, a przy tém że się wybiéra z czołobitnością do Stobychwy, starosta rzekł:

— Jako szambelana, musiał go król po swojemu przebrać; otóż, jeśli w pludrach i z harcapem, to za takiego szołdrę córki nie wydam.

Breza, dowiedziawszy się o tém odezwaniu się ojca panny, znając go przytém z opowieści, że co raz postanowił, tego nie zmieniał, a czując afekt do panny, mając również na względzie jéj znaczny posag, gdyż starosta był człowiek bogaty, nie długo się namyślając, obciął włosy, miał zaś tak długie, że po ślubie ciotka Brezina z warkocza mężowskiego zrobiła sobie szynion.

Breza, prowadząc ogólne interesa Jabłonowskich, nie nadużywał swéj władzy z podwładnymi; postępował, chociaż surowo, jednak sprawiedliwie tak z dzierżawcami, jak również z włościanami, nie dając powodu do zemsty. Żył z rachunkiem, bardzo oszczędnie, liczył się z każdym wydawanym groszem, nic dziwnego, krescytywa była niewielka, a dzieci Bóg dał sporo. Było czterech synów, z których najstarszy Józef, późniéj córka Johanna, daléj Achilles, Maksymilian, Teofil, Hipolit, i córki: Tekla, Teresa i Róża, wszystkie nie wiele były starsze jedno od drugiego.

Bywaliśmy często z rodzicami w Siekierzyńcach, nas było czworo, bawiliśmy się zawsze wesoło, Józef Breza, jako najstarszy, nie liczył się do naszego grona, był już w szkołach w Krzemieńcu. Kiedy więc nas zebrało się dwanaścioro dzieci, a w niepogodny dzień nie można było biegać po dworze, to w domu powstawał nieraz taki hałas, że jedno drugiego nie słyszało co mówi, mitygowano nas wprawdzie, ale nie wiele to pomagało. Do większego hałasu przyczyniało się jeszcze szczekanie dwóch małych pokojowych piesków, które na nasze wołania: Piram!! Terror!!—przeciągle szczekały, które jeszcze w dodatku przedrzeźniała hodowana sroka, znajdująca się w klatce, w stołowym pokoju po którym zwykle biegaliśmy jedno za drugiém, trajkocząc patykami po krzesłach ze szczeblami ustawionych pod ścianami.

Najczęściéj po kolacyi, przed spaniem, w dzień zimowy, odbywały się te biegania i trajkot po krzesłach, sroka raptownie rozbudzona ze snu starała się powtórzyć go i tak się doskonale nauczyła udawania tego odgłosu, że nieraz w dzień, szczególniéj kiedy była głodna, zaczynała trajkotać i nawoływać pieski, formował się więc hałas nie do opisania, a nam się za to najczęściéj dostawało.

Przypomniałem sobie pocieszne przejście wskutek zdolności sroki wyuczania się każdego słyszanego odgłosu.

Breza ucićrał zwykle nos tak głośno, że słychać go było z trzeciego pokoju; sroka wyuczyła się doskonale naśladowania pana szambelana.

Raz przyjechał ktoś do Siekierzyniec, nie pamiętam już nazwiska, w jakimś interesie do szabelana; ponieważ gość zjawił się późnym wieczorem, tego więc dnia nie widział się z Brezą, który zwykle szedł spać wcześnie.

W Siekierzyńcach był zwyczaj, że rano, kiedy służący sprzątał pokoje, otwierał klatkę sroki, która wylatywała do ogrodu, zkąd punktualnie zjawiała się w czasie obiadu, kiedyśmy już siedzieli u stołu.

Była jesień, przybyły wstał rano, poszedł do ogrodu odmawiać pacierze, kiedy naraz usłyszał w przeciwnym końcu ogrodu szambelana ucićrającego nos. Chcąc załatwić jaknajspieszniéj interes, poszedł na głos, kiedy dochodził już do miejsca, ucićranie nosa dało się słyszéć w przeciwnym kierunku, zwrócił się więc i poszedł spiesznie w tę stronę, lecz i tam nie znalazł szambelana, tak to powtórzyło się kilka razy, zniecierpliwiony poszedł do domu, a spotkawszy służącego zapytał:

— Czy pan szambelan już wstał?

— Pan szambelan jeszcze śpi!—była odpowiedź.

— A któż w ogrodzie ucićrał nos tak głośno, jak pan szambelan?..

— Sroka, proszę pana!

— Jaka sroka?

Dopiéro pachołek objaśnił, że to hodowana sroka, która tak doskonale naśladuje ucieranie nosa przez pana szambelana.

Breza pilnował gorliwie gospodarstwa. Zawsze przed południem wyjeżdżał na podjezdku dla obejrzenia pól. Mierzyn, na którym odbywał ten gospodarski przegląd, tak był zwykły do tych codziennych przejażdżek, powtarzających się zawsze w jednym kierunku i o jednéj niemal godzinie, że nieraz, jak rozpowiadał sam Breza, szedł bez kierowania, z powrotem zaś zwykle wielkim kłusem wbiegał na dziedziniec i zatrzymywał się przed gankiem nieściągnięty nawet cuglami.

Otóż pewnego dnia, szambelan, jak zwykle, wyjechał w pole, gdzie przeciw zwyczajowi zabawił dłużéj, nakoniec postrzeżono jeźdźca, który przyspieszonym kłusem wbiegł na dziedziniec i kiedy koń zatrzymał się na zwykłém miejscu przed gankiem, Breza zachwiał się w siodle i upadł z konia na ziemię.

Rzucono się do niego, aby go ponieść, był już martwy w téj saméj chwili dostrzeżono krew na lewéj piersi ubrania, gdzie

okazał się postrzał od kuli, która przeszyła serce, wyszedłszy na wylot przez plecy.

Że Breza nie spadł z konia w drodze, tłómaczy się to tém, że postrzał musiał go dosięgnąć w chwili kłusowania konia, a że kula przeszyła serce, śmierć więc nastąpiła momentalna, nie było przedśmiertnéj agonii rozprzęgającéj siły.

W czasie kampanii 1831 roku widziałem podobny przykład, kiedy żołnierzowi lekko rannemu siedzącemu na rowie kula armatnia urwała głowę, śmierć była piorunująca, żołnierz zaś został w téj saméj siedzącéj pozycyi, w któréj tak skostniał, że trudno było go rozprostować.

Przekonawszy się, że Breza został ustrzelony, rozpoczęto wszelkie możliwe poszukiwania w celu wykrycia zbrodniarza, jednak wszystkie usiłowania zostały bezskutecznemi, podejrzenie na nikogo nie padło. Policyi w owe czasy nie było prawie żadnéj, więc zbrodnia ta została na zawsze niezbadaną tajemnicą, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zaszła tu jakaś pomyłka, lub téż być może prosty wypadek.

Wracam do mego wymarszu z Warszawy. Dywizya Krukowieckiego przeznaczoną została do zluzowania wojska stojącego w Lubelskiém. Szósty pułk, w którym służyłem, pierwszy wystąpił. Zostałem naznaczony ze swoją kompanią, jako kwatermistrz. Przyszliśmy do Kocka, gdzie miała być dniówka, przybywszy do miasteczka posłałem wachmistrza Skwarę, aby poszukał odpowiedniego pomieszczenia dla pułkownika i oficerów sztabowych.

Z początku wszystko szło dobrze, nie było oporu ze strony żydów. Przy wyznaczaniu kwaterunku, dom podrabina, stojący w rynku, okazał się najodpowiedniejszym do pomieszczenia w nim pułkownika, wachmistrz więc skierował się ku niemu, aby uprzedzić o tém gospodarza, który domyślając się zapewne, że dom jego zostanie zajęty pod kwaterunek, jako najokazalszy w miasteczku, a nie życząc tego sobie zupełnie, jak się późniéj okazało, wyszedł na próg domostwa oczekując na idącego wachmistrza, stanął w wyzywającéj pozycyi, zagrodziwszy sobą drzwi.

Kiedy wachmistrz podszedł do niego i oznajmił mu w grzeczny sposób, że chce obejrzyć dom dla wyznaczenia w nim kwaterunku dla pułkownika, żyd krzyknął:

— Mój dom jest tylko dla mnie! — u mnie niéma kwatery dla pułkownika! Ja sam u siebie pułkownik!

— To proszę iść do oficera i jemu to powiedzieć,—odrzekł wachmistrz—gdyż ja tu przyszedłem z jego rozkazu.

— Figa dla mnie wasz oficer!— Ja jego znać nie chcę! na mojém podwórku ja sam oficer!

Po takiéj odpowiedzi podrabina, wachmistrz przyszedł do mnie z raportem, kazałem żyda przyprowadzić.

Skwara poszedł z kilku żołnierzami, prosił z początku grzecznie, lecz kiedy żyd rzucił się do niego z kułakami, chcąc go uderzyć, wachmistrz pchnął go od siebie, ale że żyd był stary, więc się nie utrzymał na nogach, upadł, stłukł nos, krew się z niego ciurkiem polała; wachmistrz, że to był służbista, nie zważając na to, przywykły wykonywać rozkaz co do joty, kazał żołnierzom wziąć żyda na ręce i nieść go do mnie; żyd zaczął jęczyć głosem strasznym, jakby go ze skóry odzierano:

— Giewałt! giewałt! giewałt!!

Ponieważ był to podrabin, całe więc miasteczko zbiegło się na jego krzyk, starzy i mali, baby, bachory z ogromnym krzykiem rzucili się na żołnierzy, a poturbowawszy ich trochę, odebrali żyda. Jeszcze mu ciekła krew z nosa, wtedy każdy z żydów podbiegał do niego, maczał palec we krwi i mazał sobie nią twarz, ciskając przytém kamieniami na żołnierzy!

Zrobił się w miasteczku istny sądny dzień, cały tłum żydowski, krzycząc i rwąc na sobie odzież, rzucił się do mego mieszkania; widząc co się dzieje, kazałem wystąpić kompanii i nabić broń ostremi ładunkami; lecz w téj saméj chwili wszedł pułk do miasta, żydostwo się cofnęło, ja zaś raportowałem pułkownikowi o całém zajściu.

Żydzi zaś ochłonąwszy z momentalnego strachu przed nadciągającym pułkiem, znowu podnieśli krzyk.

— Giewałt! zabił! zabił!

Rzucili się do pułkownika, skarżąc się, że z mego rozkazu żołnierze tłukli ich kolbami i poranili.

Pułkownik Kozłowski, człowiek energiczny, ale nie zapalający się, znając mnie zdawna, był gruntownie przekonany o prawdziwości złożonego mu przezemnie raportu o całém zajściu, podejrzywając zaś, że błoto i krew, któremi byli umazani żydzi, muszą być pożyczane, chcąc się o tém przekonać, momentalnie otoczył wojskiem cały tłum żydowski, kazał podać wody w cebrach i umywać żydów po kolei, zacząwszy naprzód od samego podrabina, który udawał umiérającego, lecz zimna woda wnet go orzeźwiła.

Po wymyciu żydów okazało się, że żaden z nich nie był nawet draśnięty; wtedy pułkownik kazał im rozejść się do domów, uprzedziwszy, że wrazie uporu i nieposłuszeństwa poprosi ich o to, ale zupełnie inaczéj; zwróciwszy się zaś do dyżurnego oficera przy pułku rzekł:

— Proszę kazać ulokować moje rzeczy w domu podrabina, a przed domem postawić pułkowy kiesson.

Żydzi rozeszli się do domów, jednak nie darowali swego. Po wyjściu wojska, wysłali deputacyę do wielkiego księcia Konstantego, zanosząc skargę o gwałt, morderstwo i pobicie. Zrobila się z tego ogromna historya: dla zbadania sprawy na miejscu ustanowiona została komisya, na prezesa którój wyznaczono jenerała Lewickiego z korpusu litewskiego, tego samego, do którego miałem list polecający od Chylińskiego przy wstąpieniu do wojska.

Lewicki był dla mnie źle usposobiony za to, że nie przyjąłem jego protekcyi, więc nie rozpatrując prawie sprawy, kazał mnie aresztować jako sprawcę całego zajścia. Wreszcie znalazłem sposobność dać znać o wszystkiém Krukowieckiemu, który został jeszcze w Warszawie, nic nie wiedząc o wyznaczeniu komisyi, ani też o całém wydarzeniu, gdyż mój pułkownik, uznając całą sprawę za rzecz nie mającą najmniejszego znaczenia, nie raportował o tém jenerałowi. Krukowiecki w ten moment przyleciał do Lublina, gdzie stał nasz pułk, nie zwracając się wcale do panów komisarzy, sam przeprowadził najszczegółowsze badania i spiesznie wróciwszy do Warszawy, poszedł z raportem do Wielkiego Księcia, gdzie dowiedział się, że Lewicki przedstawił mnie, jako człowieka niespokojnego ducha, czego dowodem miało być moje przejście w szkole podchorążych, o którém wyżéj wspomniałem.

Z początku bardzo trudno szło Krukowieckiemu przekonać Wielkiego Księcia o fałszywém przedstawieniu mu całéj sprawy przez Lewickiego, gdyż jak już to mówiłem książe Konstanty był źle usposobiony dla Krukowieckiego, z tego powodu nie przedstawiał go nigdy ani do awansu ani też do orderów, tak że dopiéro przed samym 1830 rokiem jenerał dostał pierwszą gwiazdę.

Wielki Książe nie mógł nie uwzględnić przedstawionych sobie przez Krukowieckiego protokółów o mojéj niewinności, stwierdzonych zeznaniem pułkownika, jak również żołnierzy mojéj kompanii; w ten moment uwolniono mnie z pod aresztu, który jednak wpłynął niekorzystnie na mój awans, — a wszystko to zawdzięczam jenerałowi Lewickiemu.

Złe usposobienie Wielkiego Księcia dla Krukowieckiego wywołane było przez niekorzystne odezwanie się o senatorze Nowosilcowie który go miał za zażartego malkontenta, zdanie to wypowiedział Nowosilcow przez złość dla Krukowieckiego, z którym miał podobno kiedyś jakieś zajście wywołane gorącym temperamentem jenerała. Chociaż i Wielki Książe nie paktował również z panem senatorem, czując do niego osobistą urazę jeszcze z czasów, kiedy książe Konstanty był adjutantem przy cesarzu Aleksandrze, jednak w niektórych razach polegał, na zdaniu pana senatora, starając się jednak usunąć go z Warszawy.

Prędko po skończeniu się mojéj sprawy z żydami z Kocka, pułk mój został rozlokowanym po wsiach w Lubelskiém. Trafiło się tak, że mój batalion stanął kwaterunkiem w majątku Żmichowskich, rodziców naszéj poetki, Narcyzy Żmichowskiéj. Do domu Żmichowskich zostałem wprowadzony przez kolegów wojskowych, Dunina i Fiszera. Dunin był już żonaty ze starszą panną Żmichowską, Fiszer zaś starał się o średnią, najmłodsza Narcyza, późniejsza autorka Gabryela, była jeszcze bardzo młodziutką.

W domu Żmichowskich bywało bardzo dużo gości, zawsze było to wyborowe towarzystwo; sami gospodarstwo używali opinii ludzi bardzo zacnych i wykształconych, cieszyli się ogólnym szacunkiem bliższego i dalszego sąsiedztwa. Sam Żmichowski był to stary żołnierz napoleoński; kiedy był w dobrym humorze, barwnie rozpowiadał o przebytych wojnach, tak żywo malując każdy swój opis, że to, o czém rozpowiadał, miało się przed oczyma. Dostałem raz prezent od starego Żmichowskiego, była to jego bojowa szpada, z którą odbywał wszystkie wyprawy napoleońskie, a mająca tę własność, że ostrzegała o tém, jeżeli noszący ją przy boku miał być rannym, co gdy miało nastąpić, zwykle w przeddzień bitwy skówka znajdująca się na końcu pochwy na szpadzie spadała.

Bardzo byłem wdzięczen za uczyniony mi dar, gdyż klinga była pyszna, Toledańska, ale aby miała przepowiadać, w to nie wierzyłem; doświadczyłem jednak téj prawdy w przeddzień bitwy pod Ostrołęką, o czém wspomnę na swojém miejscu.

Dunin był znacznie starszy odemnie, lecz z Fiszerem byłem prawie w równym wieku, zostawałem więc z nim w ściślejszych stosunkach. Konsystując tedy w majątku Żmichowskich, jako przyjaciel starającego się o pannę, byłem u nich codziennym gościem, późniéj nawet Fiszer, upoważniony przez Żmichowskich, ofiarował mi mieszkanie w oficynach.

Żmichowscy posiadali ładną bardzo bibliotekę, oprócz tego wszystkie dzieła, wychodzące wtenczas u nas, były przez nich sprowadzane, również jak i francuzkie, zwykle poważniejszéj treści.

Młodziutka panna Gabryela, chociaż chętnie podzielała nasze zabawy, jednak więcéj się zajmowała czytaniem i poważniejszemi studyami; już wtedy można było wnioskować, że kiedyś zacznie pisać.

Najbliższém sąsiedztwem był dom państwa Stanisławowstwa Boskich, mieli dwoje dzieci, córkę Ludwikę i syna Kazimierza.

Panna Ludwika była bardzo ładna, jednak w rozmowie głos jéj sprawiał bardzo przykre wrażenie na słuchającym; jeszcze w dzieciń每stwie zostawiona na opiece niesumiennéj niańki, chwyciła do ust jakiś

ostry przedmiot, z którym biegając tak fatalnie upadła, że przebiła podniebienie, było ono tak silne, że nie pomógł ani wiek dziecinny, w którym rany łatwo się goją, została niewyraźna wymowa przez nos. Biedna dziewczyna, wiedząc, jak przykre sprawia wrażenie swoją mową na słuchaczach, odzywała się bardzo rzadko, kiedy była zmuszona prawie do tego, widoczném było, że nawet to przymusowe odezwanie się sprawiało jéj wielką przykrość, charakter miała bardzo łagodny, była uprzejma i gościnną.

Często z Fiszerem bywaliśmy u Boskich, bawiliśmy się tam bardzo wesoło, Kazimierz Boski był w równym wieku z nami, a panna Ludwika, ładna, pomimo swego kalectwa, bardzo jednak ładnie śpiewała; oprócz tego Boski był myśliwy, więc i to był punkt, który mnie z nim bliżéj łączył; urządzaliśmy rozmaite spacery, śpiewy, piesze wycieczki i t. d., czas bardzo mile upływał.

Jadąc raz z Fiszerem do Boskich, spostrzegłem rosnącą kukuruzę, spytałem więc, czy jedzą jéj tak dużo, że taki ogromny łan jest zasadzony?—gdyż to doskonała jest potrawa, szczególniéj młoda, gotowana w osolonéj wodzie, a podana gorącą do świéżego masła.

Na moje zapytanie Fiszer się roześmiał i odpowiedział:

— Mój kochany, któżby to świństwo jadł? sadzą ją tu jedynie na karm trzody chlewnéj!

Powróciwszy, posłałem żołnierza usługującego mi, aby kupił kilkadziesiąt kaczanów kukuruzianych, byle ziarno było młode, nie przejrzałe; widocznie ze zdziwieniem słuchał mego rozkazu, nie domyślając się, co zamierzam robić z kukuruzą; po przyniesieniu kazałem ją zgotować w osolonéj wodzie, gdy była gotowa, zaprosiłem kilku kolegów na ten specyał. Śmieli się z początku, że przyjmuję ich podobną potrawą, którą karmią prosięta, lecz kiedy skosztowali przez ciekawość, podobała się bardzo Mazurom moja potrawa; późniéj już często przyrządzaliśmy sobie to jedzenie, codziennie zbierano się u mnie na kukuruzę. Podług mojéj informacyi, jak ją gotować, zaczęto ją podawać do stołu u Żmichowskich i u Boskich.

Konsystując z pułkiem w lubelskiém, odwiedzałem parę razy mego wuja, pana Konstantego Przewłockiego, który miał w tych stronach niewielką osiadłość. Przewłocki żonaty był z rodzoną siostrą mojéj matki, Zofią Czarnecką.

Wielka to była historya z ożenieniem Przewłockiego, szczegółów dobrze nie znam, wiem jedno, że Przewłocki Konstanty, służąc w ułanach, w 1812 poznał się i zaprzyjaźnił z bratem mojéj matki, Kajetanem Czarneckim, także ułanem, z którym był w równym wieku.

Po 1815 roku Przewłocki wszedł do korpusu wojsk polskich, jako major ułanów, pamiętając zaś o tém, że kolega jego, Czarnecki, ma siostrę, bogatą pannę, pojechał jako remontyer pułku na Wołyń, odwiedził kolegę Czarneckiego w Stobychwie, ten go zawiózł do Jaśkowic do Drzewieckich, i tam Przewłocki poznał pannę starościankę, która bawiła przy babce. Pan Konstanty był bardzo przystojny, przytém i mundur miał swój urok, więc bardzo podobał się pannie. Ale ponieważ nikt go nie znał na Wołyniu, skąd i kto jest, więc kiedy pani podkomorzyna dowiedziała się o jego matrymonialnych zamiarach, odmówiła stanowczo. Przewłocki jednak, będąc pewnym wzajemności panny, nie tracił nadziei, mając po swéj stronie brata panny, z którym razem hulali.

Pan Kajetan Czarnecki rozmaitemi sposobami trafiał do babki, która była prawowitą opiekunką panny Zofii, ale te wszystkie zabiegi nic nie pomogły, gdyż za każdym razem pani Drzewiecka, zaczepiona w téj kwestyi, stanowczo odpowiadała: — Nie, i nie! — postanowiono wykraść pannę, trudno to jednak było uskutecznić, gdyż czujna babka miała oko na wszystko. Przewłocki więc, niby pożegnawszy się ostatecznie, wyjechał do pułku, ale nie do pułku, lecz ukrył się w okolicach Stobychwy tak sprytnie, że pomimo rozwiadywań się pani Drzewieckiej, która w ten odjazd nie wierzyła, tajemnica się nie wydała.

Po przejściu pewnego czasu, panna Zofia pojechała w odwiedziny do brata na Polesie na parę dni, tam w ten moment zjawił się pan Konstanty i wziął ślub za przygotowanym już indultem w parafialnym Stobychowskim kościele w Nabrusce. Tego samego dnia wyjechał do mająteczku swego w Lubelskiém, a przybywszy do domu, podał się do dymisyi i osiadł na gospodarstwie.

Tymczasam pan Bóg dał dwoje dzieci, dwóch synów, starszego Zenona i młodszego Józefa, majątku zaś wcale nie przybywało, lecz przeciwnie, gdyż pan Konstanty hulał po dawnemu; już było bardzo kuso, kiedy nastąpił dział między bratem i siostrami, najstarszą Anną Brezina, moją matką i Zofią Przewłocką.

Dział się odbył, jak wyżéj powiedziałem, z krzywdą mego ojca: Antoni Breza i Konstanty Przewłocki wzięli najwięcéj. Jednak nie na długo wystarczyło Przewłockiemu to, co wziął po żonie: znaczny posag poszedł między ludzi, jak i mająteczek w Lubelskiém, nakoniec wuj Przewłocki umarł, a ciotka wyjechała do brata do Stobychwy, który osadził ją w drugim swym majątku poleskim, Werchach, gdzie też umarła.

Synowie zostali na opiece swoich krewnych, Rulikowskich, starszy

Zenon zaciągnął się do ułanów korpusu litewskiego, a Józef był w szkołach w Lublinie.

Zenon, podobny z ducha i twarzy do ojca, nie skończywszy szkół, przypasał szabelkę do boku, a ponieważ miał protekcyę, prędko więc został oficerem; oprócz tego naznaczono go remontyerem pułku, w tym celu wyjechał na Wołyń do matki, aby stamtąd prowadzić potrzebny zakup koni. Wyjechawszy raz do Łucka w interesie, poznał się tam z niejakim Zbijewskim, właścicielem Wiszenek i Nawozu w powiecie łuckim, zawiązała się między młodymi ludźmi przyjaźń.

W okolicy była jakaś zabawa, pan Zenon razem ze Zbijewskim, jako młodzi ludzie, zostali zaproszeni, na tém zebraniu była panna Chrząstowska Kamilla, córka sprawnika łuckiego od wyborów. Panna była bardzo ładna, Przewłocki, jako profesyonalny bałamut, znany z kochliwego usposobienia w pułku, że kilka razy na tydzień kochał się w coraz to nowéj pannie, szalenie się zakochał i tym razem, ale już nie na żarty, jak się pokazało. Że był chłop bardzo przystojny, a mundur ułański dodawał jeszcze wdzięku, więc pozyskał łatwo serduszko panny Kamilli. Dość, że: „przyszła kréska na Matyska".

Panna Chrząstowska była to jakaś daleka krewna Zbijewskich; bywała często w Wiszenkach, tam więc rozkochani mieli sposobność często widywać się z sobą. Przewłocki, ów sławny pożeracz serc panieńskich, został sam pożarty przez Kupida. Przerobił się na statecznego w miłości kawalera, postanowiwszy zwalczyć wszystkie przeszkody i ożenić się z panną Kamillą.

Partya to dla panny była dobra, gdyż Przewłocki, chociaż goły ułan, miał ładne koligacye, mógł przy protekcyi, jaką miał, dosłużyć się wyższéj szarży; panna zaś, chociaż nie posażna i córka sprawnika, była jednak, jak się mówi z dobrego gniazda; ale matka Przewłockiego zupełnie inaczéj zapatrywała się na tę sprawę. Dowiedziawszy się od syna, że ma stałe postanowienie żenienia się z panną Chrząstowską, uprzedziła go, że użyje wszelkich sposobów, aby przeszkodzić temu związkowi, który wedle niéj był zupełnie niestosowny. Spełniło się jednak przysłowie, że: „śmierć i żona od Boga przeznaczona".

Przewłocki, puściwszy mimo uszów słowa matki, żywo się zaprzątnął około wesela, uzyskał indult, gdyż nie miał czasu czekać wyjścia zapowiedzi z powodu wezwania do pułku. Matka, dowiedziawszy się o tych przygotowaniach, cichaczem pchnęła posłańca do Łucka do księdza biskupa, prosząc o cofnięcie indultu, gdyż nie zgadza się na ten związek syna i odmawia swego błogosławieństwa.

Ślub miał się odbyć w kościele w Wiszenkach w dzień naznaczony. Kiedy państwo młodzi ubierali się już, aby stanąć na kobiercu,

miejscowy proboszcz dał znać, że otrzymał rozporządzenie od biskupa, aby nie ważył się dawać ślubu, gdyż indult jest cofnięty wskutek prośby matki pana młodego.

Przewłocki, nie namyślając się ani chwilki, jak był ubrany, tak wsiadł w ten moment na brykę i pomknął do Łucka, przyjechawszy do miasta udał się do pałacu biskupiego, prosząc o natychmiastowe posłuchanie, niedługo czekał, wezwano go.

— Jestem Zenon Przewłocki — rzekł, wchodząc — przyjechałem błagać waszą excelencyę, aby raczyła łaskawie uwzględnić moją prośbę i odmieniła postanowienie co do cofniętego indultu.

— Nie mogę, kochanku! nie mogę, matka twoja pisze mi, że tego związku nie błogosławi. Nieposłuszeństwo rodzicom wlecze za sobą niebłogosławieństwo Boskie. Oprócz tego, jak wiem, niestosowna to dla ciebie, kochanku, partya.

— Proszę waszéj excelencyi, kiedy ja nie żenię się dla matki, a sam dla siebie. Panna jest zacna, poczciwych rodziców, więc partye są zupełnie równe.

— Tak, to tak; ale widzisz, moje dziecko, matka jest zawsze matką; ma najzupełniejsze prawo rozporządzać się swém dzieckiem. Starsi przytém mają więcéj doświadczenia, niżli młodzi; namiętność ludzi zaślepia. Pomimo najszczerszéj chęci, nie mogę ci być pomocnym i sprzeciwiać się woli twéj matki.

— Więc ksiądz biskup stanowczo mi odmawia?

— Stanowczo, kochanku!

— Kiedy tak, zawołał Przewłocki— wyjmując krucicę z kieszeni,— ponieważ nie mogę połączyć się związkiem małżeńskim z kobietą, którą kocham nad życie, to nic innego mi nie pozostaje, jak skrócić to życie!— i podniósł krucicę do skroni.

Zacny starzec zerwał się z siedzenia i jednym susem przyskoczył do Przewłockiego, a chwytając go za rękę, krzyknął:

— Czekaj! czekaj kochanku! Oto kawaler w gorącéj wodzie kąpany! Hej! jest tam który! — zawołał na służbę.

— Prosić tu do mnie księdza sekretarza! — rzekł do wchodzącego sługusa.

W parę minut po tém wszedł ksiądz sekretarz, biskup, zwracając się do niego, rzekł:

— Proszę temu szalonemu kawalerowi w ten moment napisać moje pasterskie rozporządzenie do proboszcza z Wiszenek, że pozwalam dać ślub temu młodzieńcowi i daję moje pasterskie błogosławieństwo.— Zwracając się zaś do Przewłockiego, dodał: idź kochanku za księdzem

sekretarzem i proś, aby ci ten papier prędzéj napisał, gdyż, jak wnoszę ze wszystkiego, musi ci być bardzo pilno.

Przewłocki ucałował ręce zacnego starca i w godzinę czasu po audyencyi u biskupa z formalnym pozwoleniem na ślub pędził napowrót do Wiszenek. W kilka dni po weselu pan Zenon zabrał żonę i pospieszył do pułku. Jak powiedziałem, znany był jako sławny bałamut, coraz to w innéj pannie się kochał, zrywając późniéj bez najmniejszego powodu, ot jedynie dla tego, że świeżo poznana wydawała się mu ładniejszą; tak było bez końca. Więc kiedy z żoną przyjechał, wielkie było zdziwienie kolegów, każdy chciał widzieć tę, która zwyciężyła pana Zenona, zmieniwszy go z bałamuta w stałego człowieka; odwiedzinom więc kolegów nie było końca. Ja również, znając Zenona, zapisałem się do bractwa ciekawych i wziąwszy urlop na tydzień, pospieszyłem poznać kuzynę, którą ujrzawszy, przestałem się dziwić Przewłockiemu; nie mogę powiedzieć, aby była klasyczną pięknością, chociaż rysy miała regularne, była jedynie bardzo uroczą i zgrabną.

Rozpowiadali mi oboje, że kiedy znaleźli się już na miejscu, Zenon za cały fundusz oddał do rozporządzenia żonie sto sześćdziesiąt sześć złotych i groszy dwadzieścia!—na dzisiejszą monetę było to dwadzieścia pięć rubli! — Życie wtedy było bardzo tanie, mogli się więc z tego jako tako utrzymać przez pewien czas do wzięcia lafy; oprócz tego i panna Kamilla wniosła też kilkaset złotych posagu.

Dziś na życie idą tysiące, i jeszcze ludzie nie mogą zadowolić się tém, co mają; dużo razy myślałem nad tém, czemu dawniéj wystarczały bez porównania mniejsze sumy? i przyszedłem do tego przekonania, że chociaż mieliśmy te same wydatki, co i dziś, dawniéj jednak umieliśmy lepiéj zastosować się do naszych funduszów.

Nie przeczę, że wszystko było o wiele tańsze, nawet porównać nie można z dzisiejszemi cenami, powiém jednak szczerze, że chociaż tak niedrogo płaciło się za wszystko, jednak każdy produkt czy wyrób był w lepszym gatunku niźli dziś.

Pamiętam suknie mojéj matki: otóż materye jedwabne były tak sztywne i grube, że postawione na ziemi stały, były nie znoszone prawie, również jak polskie ubrania mego ojca, z których po jego śmierci brat mój, Ludwik, niektóre poprzerabiał dla siebie i chociaż już były noszone, po przerobieniu wyglądało jak nowe i trwało bardzo długo. Być może, iż to, co w młodości widzieliśmy, wydaje się nam z wiekiem piękniejsze i lepsze; powiém jednak z całą szczerością, że wedle mnie niéma najmniejszego nawet podobieństwa między tém, co jest, a co było; wszystko się zmieniło na gorsze, nawet i uczucia rodzinne, niéma téj braterskiéj serdeczności, która kiedyś nami rządziła, być może, że ten

nadmiar uczucia był nieraz przyczyną naszych nieszczęść; jednak ja go wolę, jako więcéj szlachetny, niźli dzisiejszy egoizm.

Wracam do moich wspomnień. Za moich czasów wiara w rozmaite upiory i duchy tak była rozpowszechniona, że nawet ulegało jéj i wojsko; słysząc opowiadania o rozmaitych strachach i pojawiających się duchach, wielką miałem ochotę zobaczyć chociażby jednego stracha; jednak nie udało mi się to, pomimo najusilniejszych starań: tak się nieszczęśliwie składało, że po moim przybyciu do miejsca, gdzie straszyło, strachy nie chciały się pokazywać.

Jak wyżéj nadmieniłem, w wojsku polskiém dużo było staréj wiary, co służyła jeszcze w szeregach napoleońskich, lub pod księciem Józefem Poniatowskim; na tych widoczny był wpływ téj ogólnéj niewiary ośmnastego wieku, zamiast któréj wyrobiło się wierzenie w strachy, gusła i zabobony, każdy z nich łatwiéj-by poszedł sam na dziesięciu żywych, niż przeciw najsłabszemu upiorowi, lub duchowi, a że tak było, miałem tego dowód na moim dzielnym wachmistrzu Skwarze, niegdyś żołnierzu napoleońskim.

Skwara raz wpadł do mnie, raportując, że u włościanina, u którego stał kwaterunkiem, co nocy coś jęczy na strychu, tocząc przytém po pułapie niby ogromne kamienie, taki jest hurkot; czasem również się zdarza, że z pułapu sypią się na izbę jakieś gnaty i to wtedy, kiedy światło zgaszone, po zapaleniu którego wszystko znika, gnaty te leżące na ziemi przy zapaleniu światła mają wygląd ni to ludzkich, ni to zwierzęcych kości.

— Powiedz mi—spytałem—czy byłeś świadkiem tego co opowiadasz? czy może słyszałeś tylko opowiadających?

— Sam, panie poruczniku, słyszałem hurkot nad pułapem, słyszałem również, jak gnaty waliły w ziemię, ale ich nie widziałem.

— Czemużeś nie poszedł na strych, aby się przekonać jaka tego jest przyczyna?

— Wedle rozkazu—miałem wielką ochotę... ale... przyznać się do prawdy, wolałbym mieć do czynienia, proszę pana porucznika, z dwudziestu żywymi prusakami, niźli z jednym upiorem!

— Skąd-że wiesz, że to był upior? — może koty biegały po strychu, łapiąc szczury?

— Nie ten hałas, proszę pana porucznika.—Ja już raz widziałem upiora, proszę pana, było to w Hiszpanii, jakeśmy przechodzili z pułkownikiem Kozietulskim przez góry Szejne morejne (Sierra-Morena), stałem w awangardzie na straconym posterunku z kilku ułanami i dwoma szwoleżerami, aż tu naraz przed nami, było już niedaleko północka,

coś w wąwozie zaszumiało po ziemi, niby stado kartaczy, ze skały wyskoczyła głowa bez tułowia, z gęby i z oczów padał na ziemię żar, później powoli głowa zaczęła się toczyć ku nam pod górę, staliśmy na wzgórku... Mróz poszedł po skórze... a że to ja jeden wierzyłem jeszcze w moc Najświętszéj Panienki, więc rzekłem zcicha: Jezus! Marya! Józef Święty!—zamknąłem oczy, aby nie widzieć upiora, towarzysze zaczęli się śmiać! żaden z nich nie widział, tylko ja jeden — otworzyłem oczy—upior zniknął. Pytają mnie, co to było,—mówię,—jeden ze szwoleżerów, który nauczył się trochę naszéj gwary, zaśmiał się i powiada: „sztuk żeziuit"—nie wiém, co to znaczy.

— Wierzę, odpowiedziałem, nie chcąc zadawać mu kłamstwa,— ale w każdym razie, proszę cię mój Skwara, daj mi znać w ten moment jak zacznie u was straszyć, niech zaglądnę temu strachowi w oczy!

— Wedle rozkazu, proszę pana porucznika!

Na trzeci dzień po téj rozmowie, około godziny dwunastéj w nocy przybiegł wachmistrz z oznajmieniem, że coś na strychu jęczy i hurkocze tak silnie jak nigdy; wyskoczyłem z łóżka, momentalnie się ubrałem i poszliśmy.

Chłopa nie było w domu, sama gospodyni, blada, wystraszona, z dwojgiem małych dzieci przykucnęła w kącie chałupy, oniemiała ze strachu.

Kazałem przynieść drabinę, sądząc zaś, że może jakiś drab zakradł się na strych w celu złodziejstwa, gdyż gospodarz był zamożny, nie chcąc dostać drągiem po głowie, kazałem zawiesić latarnię na długim kiju, z pomocą którego oświeciliśmy wejście na strych, wtedy wszedłem na drabinę, latarkę zaś w téj saméj chwili podniósł jeszcze wyżéj żołnierz, wezwany przez Skwarę gdy szedł do mnie, oświeciła ona cały niewielki strych nad chałupą, wachmistrz, który nabrał odwagi widząc mnie wstępującego na drabinę, przyłączył się do mnie, przeszukaliśmy cały strych, nic na nim nie znalazłszy. Od tego czasu przestało straszyć, widocznie strach musiał się sam nastraszyć.

Ta moja wyprawa miała dobry skutek, gdyż od téj pory, chociaż Skwara zawsze rozpowiadał o swém widzeniu w Hiszpanii, jednak zgadzał się na zrobioną mu przezemnie uwagę, że w chwili, kiedy widział toczącą się niby głowę, w tym samym momencie musiał się zapewne zdrzémnąć ze znużenia, a widziadło było senném widzeniem.

Później jeszcze kilka razy dawano mi znać o pojawiających się duchach i strachach, lecz ile razy wybrałem się, aby je zobaczyć, przestawały straszyć.

Nie można dziwić się, że ludzie prości często nie umieją zdać sobie sprawy ze słyszanego odgłosu pod wpływem wiary w nadprzyrodzone zjawiska, ulegając mimowolnemu strachowi; podobnego uczucia doświadczają nieraz i ludzie wykształceni, nim zbadają przyczynę niezrozumianego przez się hałasu lub szmeru; przyznam się otwarcie, że raz ze mną samym coś podobnego się przytrafiło.

Byłem jeszcze prostym szeregowcem; w liczbie patrolu, który zaciągnął na wartę do prochowni przy cmentarzu powązkowskim, byłem i ja; około godziny dwunastéj w nocy przy zmianie szyldwacha byłem postawiony na posterunku naprzeciw furtki cmentarnéj. Była tak ciemna noc, że o kilka kroków naokoło nic nie można było dojrzéć, była jesień; stałem już dość długo, kiedy zerwał się lekki wietrzyk, ponieważ nie mogłem otaczającéj mnie ciemności przebić okiem, natężyłem słuch; naraz usłyszałem jakiś dziwny szmer, niby jęk, niby skrzyp przeciągły, który dochodził mnie z cmentarza, przyznam szczerze, że sprawił on na mnie niemiłe wrażenie. W pojawianie się umarłych nie wierzę, lecz wśród ciemnéj nocy, nie mogąc zrozumiéć przyczyny słyszanego szmeru rozlegającego się w stronie cmentarza, poczułem jakiś nieokreślony lęk; musiałem użyć całéj siły woli, aby się nie cofnąć z posterunku. Po małéj chwili owładnąłem tém dziwném uczuciem i zawołałem trzykrotnie: „Kto idzie?!"

Nie otrzymawszy żadnéj odpowiedzi, nie strzeliłem jednak wedle przepisu, gdyż nikogo nie widziałem przed sobą, nie chciałem również dawać powodu do posądzeń o bojaźń; postawszy więc chwilkę nieporuszenie, jakby oczekując jakiegoś niespodziewanego zjawiska, wziąłem broń na rękę i postanowiłem podejść do miejsca, skąd dochodził mnie ten dziwny szmer.

Zacząłem zwolna iść przed siebie, nie wiedząc co ujrzę, postępowałem przejęty jakiémś dziwném uczuciem, którego ani nazwać, ani określić nie umiem, a które jednak parło mnie naprzód. Podszedłem do samego parkanu cmentarnego i znalazłem się naprzeciw otwartéj furtki;—wiatr wionął, furtka zaczęła się powoli zamykać od jego podmuchu, wydając żałosny przeciągły skrzyp, wtedy zrozumiałem, co było przyczyną słyszanego przezemnie odgłosu, widząc zaś teraz ruch furtki, nie dosłyszałem już tych dziwnych tonów, które słyszałem z oddali, gdym nie wiedział przyczyny pod wrażeniem ciemnéj nocy. Zamknąłem furtkę na haczyk i powróciłem na posterunek zupełnie uspokojony, czując się przytém jakby silniejszym.

Wedle mnie, częstokroć najnaturalniejsze zjawiska bierzemy za

nadprzyrodzone, kiedy nie mamy możności, lub dostatecznéj odwagi, aby dociec ich przyczyny.

Przekwaterowawszy u miłych moich znajomych, Żmichowskich, prawie cały rok, musiałem opuścić ich dom z przyczyny ponownéj translokacyi wojsk, wymaszerowaliśmy w stronę sławnego Czarnolasu, należącego niegdyś do Jana Kochanowskiego, chociaż na dłuższy czas majątek ten wyszedł z rąk Kochanowskich, późniéj znowu dostał się do familii tego samego nazwiska a kiedy pułk mój został rozlokowanym w okolicy Czarnolasu, mieszkała w nim wdowa po Kochanowskim, nie wiem jak mu było na imię, gdyż mnie to nie obchodziło. Ja z moim batalionem stanąłem w samym Czarnolesie; był zwyczaj, że gdzie wojsko zakwaterowywało na dłuższy czas, właściciel zapraszał do siebie parę razy na obiad oficerów. Otrzymałem i ja z innymi kolegami zaproszenie do pani Kochanowskiéj; poszliśmy.

Po przedstawieniu się, pani, usłyszawszy moje nazwisko, zaczęła wypytywać, z jakich jestem Raczyńskich, gdyż—jak mówiła—w młodości swojéj znała Raczyńskich na Wołyniu; powiedziałem, że ja właśnie jestem z Wołynia, syn chorążego kawaleryi narodowéj, Józefa.

— O, to ja znałam pańskiego ojca, miał proces z księciem Maksymilianem Jabłonowskim?

— Tak jest—odpowiedziałem—i najniesłuszniéj przegraliśmy go w Petersburgu, dzięki intrygom, pomimo to, że był wygrany we wszystkich instancyach.

— Wiem o tém, przyczyną przegrania procesu ja byłam, będąc *primo-voto* za Jabłonowskim. Dziś mocno żałuję mojego postępku, a ponieważ mam liczne stosunki u dworu, chciałabym wynagrodzić synowi to złe, co zrobiłam ojcu.

— Bardzo dziękuję pani za jéj dobre chęci, ale nic nigdy od nikogo nie przyjmuję; ufam tylko własnym siłom, przy mojém staraniu dojdę tam, gdzie zamierzam; nic więc od pani przyjąć nie mogę.

— Zanadtoś pan dumny, panie poruczniku, że nie chcesz nic przyjąć od osoby wiekowéj, która żałując dawniejszego postępku, złe, którego była przyczyną, chciała-by zagładzić dobrym czynem.

— Cóż robić, proszę pani!—Tak mnie wychowano—trudno zmienić to, co głęboko wpojone!

Tém się skończyła nasza rozmowa. Zaraz po obiedzie pod pozorem służby wyszedłem, a chociaż późniéj otrzymałem kilkakrotne zaproszenie, nie poszedłem więcéj. Nie mogłem darować jéj tego, że postępkiem swym nagannym pozbawiła moich rodziców ostatniego

prawie funduszu, oddając ich na pastwę niewygód, do których nie byli przywykli.

Od ludzi, dla których nie miałem szacunku, nic nigdy nie przyjąłem. Tak samo, będąc jeszcze w szkole podchorążych, poznałem jenerała Raczyńskiego, który mi powiedział:

— Czy wiesz, że jesteś moim bliskim krewnym?

— Wiem—odrzekłem.

— Kiedy wiesz, to przychodź do mnie, mam duże stosunki u dworu, to będę ci pomagał.

Nic na to nie powiedziałem, nie chcąc wyjawić, co o nim myślałem; był to człowiek przewrotny, siedzący na „dwóch stołkach”. Nie poszedłem do niego wcale, unikając nawet spotkania z nim, mimo to przysyłał po mnie kilka razy, wzywając do siebie, zawsze wymówiłem się służbą; nie wiem, co się późniéj z nim stało.

Miał się odbyć wielki przegląd wojsk pod Brześciem Litewskim, ściągnięto całe wojsko polskie, korpus litewski i gwardyę rosyjską; przegląd miał się odbywać w obecności cesarza Aleksandra; zebrało się z górą sto tysięcy wojska, specyalnemu przeglądowi miała być poddana kawalerya.

Właśnie w tych czasach powrócił do kraju Wacław Rzewuski ze swéj wycieczki na wschód, gdzie był emirem jakiegoś arabskiego pokolenia pod przybraném nazwiskiem „Tadżul-Effendi”, albo „Brat księżyca”. Zajmował się tam hodowlą koni, będąc również dowódcą kawaleryi. Cesarz Aleksander, który go znał osobiście, chciał zasięgnąć rady w ulepszeniu organizacyi kawaleryi, jak i hodowli koni, wezwał go tedy na ten przegląd.

Znajomość cesarza Aleksandra z Rzewuskim datowała jeszcze z 1815 r., kiedy po kongresie wiedeńskim i utworzeniu Królestwa Polskiego, witano cesarza serdecznie na każdym kroku, dając bale i przyjęcia na jego cześć. Jednym z takich balów witała powracającego cesarza pani hetmanowa Rzewuska, matka Wacława, w jednym ze swych ukraińskich majątków, w Hrehorówce, gdzie również miał się odbyć przegląd wojsk powracających do Rosyi.

Ponieważ w Hrehorówce nie było odpowiedniego domu dla przyjęcia cesarza, miejscowość zaś dobrze się nadawała dla swego malowniczego położenia, więc pani hetmanowa umyśliła zbudować na prędce jakieś bardzo ładne schronienie, tak jednak obszerne, aby mogło pomieścić licznych gości zaproszonych. Jakoż stanął bardzo prędko drewniany pałacyk, w guście starożytnéj świątyni greckiéj, środkiem któréj była ogromna sala balowa. Była podłużna z pół łukowym sklepicniem, wybita wewnątrz glansowaną białą satyną. Wzdłuż sali z obudwu

stron szły kolumny, utworzone z karabinów, bębnów i armat, otoczone spiralnie idącym wieńcem, w braku laurowego, z dębowego liścia, od góry aż do dołu. Na ścianach w przedziale każdych dwóch kolumn ułożone były medaliony z tarcz białéj rozmaitéj broni, grotów, lanc i proporców. Między kolumnami pod ścianami stały gradusami w trzy rzędy sofeczki, obciągnięte białą jedwabną morą, ze złotemi frędzlami. W czterech rogach sali na kolumnach z różowego marmuru w pysznych bronzowych w greckim guście amforach, paliły się pachnidła. Na chórze nad wejściem do sali znajdowała się orkiestra.

Przed samém przybyciem cesarza, zerwała się ogromna burza z ulewnym deszczem, okazała się szpara w dachu, sala nie miała sufitu, dach w rodzaju kopuły wspiérał się na półłukowych arkach, woda więc przedostając się przez szparę w dachu, zaczęła spadać kroplami na posadzkę w samym środku sali, uformowała się więc kałuża. Deszcz ustał, wypogodziło się; w téj właśnie chwili, kiedy służba miała zebrać wodę, dano znać, że cesarz przyjechał, pani hetmanowa ledwo miała czas wejść na próg wchodowy drzwi, kiedy otworzyły się podwoje i cesarz ukazał się w nich w zielonym mundurze szaserów gwardyi.

Panie, siedzące na kanapkach pod ścianą, podniosły się, muzyka znajdująca się na chórze zagrała poloneza Ogińskiego.

Cesarz pocałował w rękę witającą go panią Rzewuską i rzekł podając jéj ramię do poloneza:

— *Je suis heureux de pouvoir vous assurez personnellement chez vous, madame la comtesse, de mon profond respect, que je vous porte.*

Prowadząc zaś w pierwszéj parze poloneza z panią Rzewuską i idąc około kolumn, zwracał się do stojących dam czekających kolei, aby ze swym tancerzem zająć miejsce w korowodzie tańca, kłaniając się głową, mówił:

— *Je vous en prie, prenez place s'il vous plait!—prenez place!*

Dostrzegłszy zaambarasowanie pani hetmanowéj wskutek wody znajdującéj się na środku sali, jako prawdziwy gentelmen, nie chcąc zrobić przykrości gospodyni domu, niby nic nie widząc, skręcił zlekka na miejscu i poprowadził pary idące za nim przez sam środek sali, kierując tak swą damą, że ta minęła kałużę, przez którą przeszedł cesarz.

Tańce przeciągnęły się długo w noc, cesarz już więcéj nie tańczył, rozmawiając tylko z panią hetmanową, spacerując z nią między kolumnami, wiele przy tém uśmiéchając się do młodych pań, które tak kierowały w tańcu, aby zblizka go widzieć.

Przez te kilka dni, które cesarz bawił u pani Rzewuskiéj, rozkazy

dzienne do wojska, również jak i inne rozporządzenia, były datowane z Hreborówki.

Prędko po bytności cesarza u pani hetmanowéj syn jéj Wacław, dostawszy odkosza od Mniszchówny, wyjechał do Turcyi, późniéj do Arabii, gdzie został emirem jednego z pokoleń Beduinów. Jakiemi doszedł dotego drogami, nikt nigdy nie dowiedział się: był to osobisty sekret pana Wacława; dopiéro w początkach 1822 roku powrócił ze swéj wycieczki na wschód. Ponieważ cesarz Aleksander chciał go bliżéj poznać, więc, jak powiedziałem wyżéj, został zaproszony na przegląd wojsk pod Brześć Litewski; przegląd wojsk trwał kilka dni, odbywały się przytém rozmaite manewry, przez cały ciąg których Rzewuski nieodstępnie towarzyszył cesarzowi, od wczesnego rana do późnéj nocy zawsze na swojéj sławnéj klaczy „Gazie" z pokolenia „Nedżi", która z jednakową energią chodziła wieczorem, jak z rana, wtedy kiedy cesarz przemieniał konia co kilka godzin.

Ostatniego dnia był przegląd saméj tylko kawaleryi, o organizacyi któréj, jak również o koniach pod jeźdźcami, cesarz Aleksander chciał zasięgnąć rady takiego znawcy, jakim był Rzewuski, ciągle więc zmieniał pozycyę, zajeżdżając z różnych stron. Wskutek tak szybkiéj i nieustannéj jazdy, co parę godzin przesiadał się na świéżego konia, Rzewuski zaś dotrzymywał placu na swojéj klaczy, która po całodziennéj jeździe spotniała trochę tylko za uszami; naostatek, chcąc zapewne jeszcze wyraźniéj wykazać dzielność swego bachmata, umyślnie został trochę w tyle od świty cesarskiéj. Cesarz tymczasem znalazł się daleko na przodzie, chcąc zaś Rzewuskiemu pokazać jakiś pułk huzarów, kłusujący po błoniu, obejrzał się za nim, a nie widząc go między otaczającymi, kazał adjutantowi wielkiego księcia Konstantego, Stasiowi Potockiemu, który tego dnia był dyżurnym przy cesarzu, prosić go do siebie.

Potocki wypuścił konia w kierunku, w którym dostrzegł Rzewuskiego, podjechawszy do niego na kilkadziesiąt kroków, zawołał:

— *Le comte Rzewuski!—le comte Rzewuski*!

Rzewuski, niby nie widząc Potockiego i nie wiedząc z któréj strony go wołają, osadził klacz na miejscu tak silnie, że przysiadła na tylnych nogach na ziemi, jak pies, w téj saméj chwili podniósł ją mundsztukiem tak, że przednie kopyta zawisły w powietrzu, wtedy trzymając klacz w téj saméj pozycyi, zrobił parę wolt na miejscu, pytając każdą razą:

— *Qui m'appelle?*

— *L'Empereur vous demende*!—odpowiedział Potocki.

Wtedy pan Wacław dał z miejsca ogromnego szczupaka i pomknął jak wicher w stronę cesarza. Działo się to na oczach całego wojska; nie przeczę, że koń był dzielny, jednak tak umiejętne jego użycie dowodziło niepospolitego jeźdźca.

Z pod Brześcia wojsko pociągnęło w rozmaitych kierunkach do miejsc swego przeznaczenia. Pułk mój rozlokowany został w Janowie podlaskim, do którego przybyć miał Rzewuski dla obejrzenia stadniny rządowéj i udzielenia wskazówek w jéj prowadzeniu, jak mu to polecił cesarz.

Pan Wacław, wiedząc o tém, że służę w szóstym pułku liniowym, konsystującym w Janowie, pamiętając naszą znajomość w domu wuja Proskury, zaprosił mnie do siebie i zaproponował w jego towarzystwie zwiedzić stajnię i stadninę—poszliśmy.

Oglądaliśmy wszystkie konie bez wyjątku, Rzewuski szczegółowo wypytywał zarządzającego stadniną o sposobie prowadzenia jéj i wyborze reproduktorów, dużo ganił, dając wskazówki, które zarządzający starannie notował

Konie stały w klatkach, nie wiązane. Weszliśmy do jednéj z klatek, w któréj stała znakomicie piękna klacz dwuletnia, niedawno wzięta ze stada, która ledwo kilka razy miała na sobie uzdziennicę i parę razy dopiéro chodziła na lince. A że klacz była piękna i łagodna, Rzewuski więc, lubując się nią, oklepywał ją długo głaskając, nakoniec odstąpił od niéj na krok ku tyłowi, momentalnie założywszy połyrazy za pas (chodził jeszcze po wschodniemu), i nim domyśliliśmy się jego zamiaru, wskoczył na grzbiet klaczy; ta nie wiedząc, co się z nią stało, rozparła się tylko na miejscu; Rzewuski nie dłużéj siedział, jak cztery czy pięć sekund, późniéj zeskoczył na bok i znowu zaczął ją ogłaskiwać.

Zarządzający, widząc ten eksperyment, tak się przestraszył, że nie mógł wymówić ani słowa. Rzewuski zaś, zwracając się do niego, rzekł:

— U nas w Arabii początkowo tym sposobem ujeżdżają konie!

Tego dnia na tém skończyły się nasze oględziny stada, po których zostałem zaproszony na obiad przez pana Wacława; po obiedzie długo i obszernie opowiadał o życiu na pustyni, jak również o zwyczajach koczujących Beduinów, chwaląc ich, jako ludzi pełnych rycerskości, gościnnych i szlachetnych; następnie pod wpływem tych wspomnień wziął teorban do ręki i śpiéwał—słyszałem go śpiéwającym przedtém kilka razy, tym razem przeszedł sam siebie, zapewne śpiéw ten jego został natchniony wspomnieniami dalekiego wschodu, o którym wspominał zawsze z zachwytem.

Późniéj kazał przyjść nieodstępnemu swemu Widordowi, ten śpiéwał ukraińskie pieśni, które sam układał, do których dobiérał muzykę sam, lub wespół z Rzewuskim.

Dziwnie to był miły człowiek ten pan Wacław, pociągający ku sobie prostém, ale pełném uroku obejściem, był to ostatni rycerz-poeta.

Oglądanie stada trwało jeszcze kilka dni, ale już nie brałem w niém udziału; co wieczora jednak byłem u Rzewuskiego, słuchając jego śpiewu i opowiadań o Beduinach.

d. c. n.



SZKOŁY TECHNICZNE

w Anglii.



Jakikolwiek jest organizm publiczny, jakąkolwiek jest instytucya angielska, której badanie się przedsiębierze, wszędzie i zawsze umysł cudzoziemca spotyka zrazu przeszkody, które mu się nieprzebytemi być zdają. Dla tych, co przywykli do logicznie ukształconych, do symetrycznie rozłożonych urządzeń, do inicyatywy państwowéj, do centralizacyi władz, świat angielski, w którym wszystkiego tego niema ani śladu, robi wrażenie chaosu. Na każdym kroku spotykamy tam instytucye uklecone bezkształtnie przed wiekami bez żadnego z góry obmyślanego planu, ale odpowiadające danym potrzebom. Obok nich są inne takiéjże saméj natury, ale bez żadnéj z pierwszemi styczności, całkiem niezależne, kiedy innych równie ważnych brakuje. Gdy się idzie za hierarchicznym rozwojem instytucyi, jednych górujących nad drugiemi, uderza nas brak szczebli w téj drabinie. Nić przewodnia tak jest poplątana, że za przewodnika służyć nie może.

Ta odrębność organizmu publicznego angielskiego nigdzie nie jest bardziéj uwydatniona, jak w dziale oświaty narodowéj. Spostrzegamy tu szczerby i luki, które byłyby poprostu niezrozumiałe, gdyby się pominęło ów punkt zasadniczy, że państwo nie wkluczało jéj w obręb swych atrybucyi, lecz zostawiało troskę o nią aż do dnia wczorajszego

samemu społeczeństwu. I tak się stało, że dwie kierownicze jego klasy, arystokracya i duchowieństwo, utworzyły były jeszcze w zaraniu średnich wieków uniwersytet, że korporacye i osoby prywatne pozakładały tu i owdzie jaką szkołę, i że klerycy dawali czasami nawet naukę elementarną swoim parafianom. Nie upłynęło jeszcze trzech dziesiątków lat od chwili, gdy państwo, jako wyraz wszechspołeczeństwa, utworzyło szkółki dla ludu, dla téj demokracyi, która zdobyła już sobie równouprawnienie polityczne. Istnieje dziś wydział oświaty przy rządzie, ale nie można powiedzieć, ażeby Anglia miała ministeryum oświaty w kontynentalném słowa tego znaczeniu.

Najbardziéj zdumiewającym niedostatkiem w organizacyi szkolnéj jest całkowity brak szkół średnich, powstających z inicyatywy władzy państwowéj i będących pod jéj nadzorem i kierunkiem. Gdy przed trzema laty pisałem tutaj [1]) o szkołach średnich w Anglii, zapowiadałem bliskie przedłożenie parlamentowi billu o ich organizacyi, jako rezultatu rozległych i wyczerpujących prac przygotowawczych komisyi królewskich. Ale chociaż rząd przy otwarciu każdéj sesyi uroczyście zapowiada, że zaspokoi nareszcie energiczne i powszechne żądania społeczeństwa pod tym względem, jedna sesya po drugiéj ubiega, a sprawa ta idzie w odwłokę. Nieda się zaprzeczyć, że widocznie krajowi nie leży ona tak bardzo na sercu, jakby się zdawać mogło i że zżywszy się z oświatą średnią taką, jaką ma u siebie od wieków, nie czuje naglącéj potrzeby powierzeniapaństwu funkcyi, którą przez długie wieki sprawowało samo społeczeństwo.

Lecz jeżeli kwestya utworzenia z ramienia państwa szkół średnich, mających współzawodniczyć ze słynnemi szkołami w Eton, Harrow, Rugby etc., przedstawia nie jeden punkt sporny, nadający się przed rozstrzygnięciem do teoretycznych dyskusyi akademickich, to inaczéj rzeczy stoją z tą częścią szkół średnich, które podług powszechnie przyjętéj terminologii nazywane są technicznemi. Szkoły te przygotowują i udoskonalają rzemieślników, przemysłowców, inżenierów, mechaników, chemików, wszelkiego rodzaju specyalistow oraz kupców. Cały ekonomiczny ustrój społeczeństwa spoczywa na uzdolnieniu tych różnorodnych pracowników. Naród, który téj części wykształcenia zaniedbuje, zalega pola i dając się wyprzedzić baczniejszym sąsiadom, traci stanowisko wpływowe w świecie, do którego miałby prawo pretendować. Anglicy, na wskroś praktyczni, nie powinni byli, jak się zdawać mogło, takiéj elementarnéj prawdy przeoczyć, i właśnie dla tego, że są społecznością rękodzielniczą i handlową, rozwinąć szeroko u sie-

---

1) Patrz „Ateneum", za Grudzień 1895 r.

bie wykształcenie techniczne, które im hegemonię ekonomiczną zabezpieczyć mogło po wszystkie czasy.

Stało się jednak inaczéj wskutek różnych okoliczności, a przedewszystkiém właśnie wskutek tego wysoce praktycznego nastroju, który jest ich cechą. Anglicy byli zdania, że nie w szkole, nie przez teoryę kształcą się i doskonalą rzemieślnicy, rękodzielnicy, kupcy etc., ale przez praktykę w warsztacie, w fabryce, w kantorze. W tym celu ograniczają pobyt dzieci w szkole do krótkiego czasu i ograniczają wykład w nich do przedmiotów elementarnych, i przecięciowo w 14 roku życia chłopiec zaczyna pracować fachowo. Zostawiona mu jest swoboda do posuwania daléj swego wykształcenia umysłowego w godzinach wolnych od obowiązkowych zajęć, jeżeli czuje do tego skłonność i jeżeli ma ambicyę zajęcia w swym własnym fachu wybitnego stanowiska, ale jako regułę przyjęto praktyczne uprawianie tego działu, który się obiera jako specyalność. Jestto pozostałość po organizacyi cechowéj, która zniknęła sama, ale nakazała jako godną utrzymania zasadę przetwarzania stopniowego ucznia na czeladnika a czeladnika na majstra. Przeciwieństwo pomiędzy metodą ftancuską a angielską jest całkowite. Teoretycznie Francuz umié wiele rzeczy, o których młody Anglik nie ma najmniejszego wyobrażenia; mechanicy i inżynierowie francuscy posuwają wiedzę matematyki do najwyższych jéj gałęzi, a sława Szkoły centralnéj, politechnicznéj, dróg i mostów, górniczéj—może budzić zazdrość u sąsiadów. Ale owi patentowani inżynierowie i mechanicy francuscy, gdy bez wycieńczenia swego mózgu ukończą swój mozolny nowicyat naukowy, nie mają często wyobrażenia, jak dyrygować robotnikami w fabryce, nie znają użytku najprostszego narzędzia, potykają się o najdrobniejsze trudności materyalne. Inaczéj Anglicy: ich brak teoretycznego wykształcenia budzi pogardę u Francuza, ale o ileż ich przewyższają umiejętnością praktycznéj działalności! Przechodząc jedne po drugich wszystkie oddziały pracy ręcznéj w warsztacie, wyrabia w sobie Anglik dokładną znajomość przedmiotu, wié gdzie leżą trudności, zdąża za młodu do uproszczenia mozołu i pracy i staje się pracownikiem energicznym i dzielnym, choć teoretycznie upośledzonym.

Jeżeli aksyomat, że do praktycznego zawodu potrzeba praktycznego wykształcenia, jest słuszny, to fałszywym i niewłaściwym jego wynikiem jest, że szkoła temu wykształceniu stoi na zawadzie. Anglicy srodze pokutują obecnie za to niesłuszne lekceważenie części teoretycznéj i systematycznéj wykształcenia technicznego. Uprzedziły ich inne narody, wyparły ze swych targowisk dowóz wyrobów angielskich, wycisnęły z wielu dawniejszych rynków zbytu, zagarnęły klientelę i wstęp-

nym bojem wdarły się nawet na ich własne, domowe targowisko. Anglia przewidywać może moment dziejowy, w którym postradać by mogła to górujące stanowisko w przemyśle i handlu, na którém jéj potęga polega. Ponieważ nie jeden z narodów, które się okazują niebezpiecznymi współzawodnikami Anglii, produkuje w daleko trudniejszych niźli ona warunkach, zatém zwycięstwa swe zawdzięczać musi pewnym dodatnim przymiotom. Przedewszystkiém postawić tu trzeba lepszą i pełniejszą organizacyę szkół technicznych. Dorównać pod tym względem współzawodnikom stało się koniecznością. Raz doszedłszy do tego przeświadczenia, Anglia, można było tego z góry być pewnym, rozwinie właściwą sobie energię i dokona reformy całkowitéj, radykalnéj. I tak się téż stało istotnie. Obecnie jest ona widownią nadzwyczaj czynnego ruchu pedagogicznego w tym kierunku, starając się nagrodzić czas stracony i postawić swoją społeczność na tym samym poziomie intelektualnym, na który wzniosły się kraje postronne. Ogrom tych wysiłków może zdumieć tych, co nie oceniają jak należy ożywiającego ich animuszu i moralnego ferworu, który w tak wysokim posiadają stopniu. Wyszedłszy już ze stadyum wahania się i niepewności, Anglia stwarza mnóstwo szkół technicznych: niektóre z nich są wzorowe. Trudno ogarnąć ją jednym syntetycznym poglądem i określić ściśle metodę, jakiéj się w organizacyi szkół tych trzyma. Ilość drzew, jak mówi przysłowie, nie pozwala dojrzéć lasu. Istnieje tu zresztą właśnie ta różnorodność typów i ten całkowity brak systematycznéj jedności, które zaznaczyliśmy wyżéj.

Ażeby zainteresowany tą kwestyą czytelnik nie zgubił się w tym labiryncie, będzie—jak mi się zdaje—najwłaściwszém, przedstawić kolejno organizacyę szkół technicznych zakładanych przez państwo, następnie zależnych od władz municypalnych, a nakoniec ufundowanych przez korporacye albo przez pojedyńczych dobroczyńców. Gdy się do tak naszkicowanego obrazu, opartego na danych statystycznych, doda, dla dopełnienia całości, szczegółowy opis zakładów wzorowych, będziemy mogli utworzyć sobie jasne pojęcie o obecnym stanie wykształcenia technicznego w Anglii i przewidziéć jéj wzrost w niedalekiéj przyszłości.

I.

Szkoły techniczne państwowe.

Najważniejszym organem działalności państwa, odnośnie do szkolnictwa technicznego, jest wydział nauk i sztuk (*Science and Art Department*), którego administracya znajduje się przy muzeum South-

Kensingtonu: muzeum to założone zostało w celu edukacyjnym, spuszczanym często z uwagi obecnie, gdy się rozrosło nadzwyczajnie i utworzyło zbiory artystyczne wartości pierwszorzędnéj. Wydział nauk i sztuk nie powstał odrazu i nie miał znacznego swego uposażenia dzisiejszego. Początki jego były skromne. W r. 1837 rząd wyznaczył sumę 15.000 f. szt. na założenie szkoły rysunków w Londynie i rozciągnął w r. 1842 takie donacye do 17 szkół rysunkowych w rozmaitych ogniskach przemysłowych. W dziesięć lat późniéj rada, która temi szkołami zawiadywała, zamieniła się na wydział sztuki praktycznéj, a w r. 1856, po dodaniu do niego zakładów naukowych, utworzony został istniejący po dziś dzień wydział nauk i sztuk, w którego atrybucye wchodzi zarząd wszystkich instytucyi naukowych i artystycznych, utworzonych z ramienia państwa. Na założenie tego wydziału wpłynęła przedewszystkiém ta okoliczność, że na powszechnéj wystawie r. 1851 Anglia stwierdziła swoje zacofanie i uznała się upośledzoną przez narody ościenne. Stało się widoczném, że bez ulepszenia metod technicznych, bez odrodzenia produkcyi przez teoryę i smak artystyczny, jéj wytwórczość nie będzie się mogła rozwijać. Na państwo spadł obowiązek zapobieżenia katastrofie, która groziła ekonomicznéj przyszłości kraju.

Chociaż cel był jasno postawiony przed nowo stworzoną instytucyą, w pierwszych latach swego istnienia działalność jéj była słaba i wątła. Utworzone zostały klasy do wykładu geometryi, rysunku mechanicznego, fizyki doświadczalnéj, chemii, geologii, mineralogii i innych nauk przyrodzonych. Do tych pierwszych sześciu przedmiotów dodano z kolei inne, pokrewne, wynoszące obecnie 25 katedr w oddziale ściśle naukowym; w oddziale sztuk z początku wykładano tylko rysunek, modelowanie, sztukę ozdobniczą i zastosowania ich do twórczości rękodzielniczéj. Jak się stopniowo sfera działalności téj instytucyi rozwijała, najlepiéj wykażą dwie cyfry jéj budżetu: w 1856/7 parlament zawotował dla wydziału nauk i sztuk 64,675 f. szt., a w ostatnim 1897/8 roku suma ta wynosiła już 815,992 f. szt. Podług informacyi udzielonéj mi w dyrekcyi wydziału, suma ta prawdopodobnie podwoi się w ciągu pięciu lat przyszłych. Nie można się temu dziwić, wobec wzrostu liczby zakładów i instytucyi, które już obecnie w obręb jego weszły i daléj wchodzić będą.

Cały pierwszy peryod rozwoju szkół technicznych pozbawiony jest jednolitego kierunku. Z jednéj strony budzi się w społeczeństwie coraz większa świadomość potrzeby wykształcenia specyalnego, a świadczą o tém liczne stypendya i legaty dla uczniów, z drugiéj strony dyrekcya jakgdyby się wahała i nie zdawała sobie sprawy, jak jéj działać należy:

czy kształcić naprzód nauczycieli przyszłych, albo téż młodzież szkolną, czy organizować kursa przy rozmaitych zakładach przemysłowych, albo téż zupełnie od nich niezależnie, czy i w jakim stosunku należy jéj dozorować i zasilać funduszami szkoły techniczne, powstające tu i owdzie. Ten pierwszy okres przygotowawczy pokazuje dowodnie trudności, z jakiemi Anglicy łamać się muszą, gdy im przychodzi stworzyć organizacyę podług abstrakcyjnie pomyślanego schematu. Za koniec téj pierwszéj epoki można uważać rok 1880, gdy po wystawie powszechnéj 1878 r., stwierdzającéj ponownie rozmaite braki w wykształceniu technicznéem Anglików, ustanowiono królewską komisyę do zbadania tegoż w porównaniu do istniejącego w innych krajach. Szerokie i sumienne swe wywiady komisya ogłosiła w swym raporcie z 1884 r. a jedną z głównych jego konkluzyi było położenie nacisku na organizacyę szkół technicznych. Około tego raportu wszczęła się wszechstronna agitacya, opinia publiczna uprzytomniła sobie, że 74% społeczności angielskiéj zajmuje się wytwórczością przemysłową, że w ciągu ostatnich czterech dziesiątków lat ilość rąk oddających się rolnictwu zmniejsza się z każdym rokiem, a ilość zajmujących się przemysłem wzrasta, że w ciągu lat 50 ludność Anglii się podwoi i będzie potrzebowała wtedy sprowadzać artykuły żywności za jakie 400 mil. f. szt. rocznie i że będzie cierpiéć niedostatek, jeżeli wytwórczość przemysłowa nie wzniesie się i nie spotęguje, dzięki rozwojowi wiedzy. Pierwszym obowiązkiem prawodawcy jest zabezpieczenie przyszłości narodowéj. Parlament wywiązał się z tego zadania i owocem jego jest „*Technical Education Act*" 1889 r. Za daleko by mnie zaprowadziło opowiadanie historyi tego billu, którego rodzicami są *sir* Henryk Roscoe i Artur Acland, jako twórcy „stowarzyszenia dla rozwoju wykształcenia technicznego",— słabe poparcie, jakie przez długi czas napotykał u rządu torysów,—agitacyę, na któréj czele stanęli ówczesny markiz Hartington a obecny książe Devonschiru, lord Rosebery, prof. Huxley, i nakoniec decyzyę ministeryalną i szybkie przeprowadzenie billu przez dykasterye parlamentarne w ostatnich dniach sesyi 1889 r. Jest to ciekawy a pouczający przykład trudności, jakie miała do pokonania organizacya oświaty techniczéj u narodu, któremu najwięcéj na niéj zależéć było winno. Ustawa, która ogłoszoną została, nie narzuciła krajowi jednostajnego, sztywnego regulaminu. Upoważniła ona poprostu władze prowincyonalne, rady hrabstw i municypalności do obracania części funduszów z taks lokalnych na zakładanie kursów i szkół technicznych, a jednocześnie oddawała wypracowanie programatu wykładowego dla tych zakładów oraz ogólny nadzór nad niemi wydziałowi nauk i sztuk. Ten ostatni miał tedy odtąd podwójną misyę: prowadzić szkoły, które sam założył

w stolicy przy muzeum South-Kensingtonu, i dyrygować wszystkiemi temi, które się utworzą na przestrzeni zjednoczonych królestw, a które będą się do niego zgłaszać po subsydya, modele, programaty, patenty, dyplomy etc.

Ale jeżeli *Technical Educational Act*" 1889 r. można uważać, jako „*magna charta*" szkolnictwa specyalnego, jeżeli otwierał on na rozścież wrota oświacie, dotychczas po macoszemu traktowanéj, to nie dawał materyalnych środków do urzeczywistnienia planu. Rady hrabstw mogły tłómaczyć swą bezczynność brakiem środków materyalnych, i dobre zamiary inicyatorów mogły pozostać na długo martwą literą. Szczęśliwa okoliczność zażegnała jednak to niebezpieczeństwo. Budżet 1889 r. zamykał się znaczną zwyżką dochodów, i kanclerz skarbowości, p. Goschen, nosił się z myślą obrócenia jéj na wykup patentów szynkarzy. P. Acland zaproponował przeznaczyć ją na oświatę techniczną, i niespodziewanie projekt jego wszedł w życie. Sumę 743,200 f. szt. oddano do rozporządzenia wydziałowi nauk i sztuk, ażeby uorganizował szkoły techniczne we wszystkich hrabstwach, które się doń po zapomogę zgłoszą.

Teraz nareszcie stanęło się na silnym gruncie. Kraj nabył prawa spodziewać się, że będzie mu niezadługo daném walczyć z ościennymi współzawodnikami równą bronią. I oczekiwania te nie zawiodły. Jeżeli nie zrobiono wszystkiego, to zrobiono wiele. A rozglądając się w pokaźnych danych statystycznych, obliczając i liczbę szkół i ilość uczącéj się młodzieży, nie trzeba zapominać, że to dopiero początek, że to dopiéro dziesięć lat ubiegło od ich urodzin. Z takiego obiecującego dzieciństwa można nakréślić świetny horoskop dalszemu rozwojowi.

Jak widzieliśmy, wydział nauk i sztuk posiada w murach South-Kensingtońskiego muzeum dwa kolegia, z których jedno daje oświatę w przedmiotach z dziedziny nauk ścisłych, a drugie w przedmiotach natury estetycznéj i sztuki ozdobniczéj. Organizacya tych kolegiów da się sprowadzić do następujących rysów zasadniczych.

Królewskie kolegium nauk otwarte jest dla studentów przychodniów, szukających wykształcenia w naukach ścisłych. Program ułożony jest tak, aby wszyscy studenci otrzymali naprzód gruntowne ogólne wykształcenie, a następnie uzupełnili je specyalném, w jednéj albo paru gałęziach, którym poświęcać się zamierzają. Cały kurs, obowiązujący studentów ubiegających się o dyplom, trwa lat trzy. Kurs pierwszego roku, obowiązujący dla wszystkich studentów, obejmuje chemię, fizykę, fizykę astronomiczną, matematykę i rysunek. Przechodzi się na kurs drugi, po zdaniu egzaminu po upływie pierwszego roku studyów. Kurs drugiego roku obejmuje mechanikę, biologię, geologię oraz geometryę

opisową. Kurs trzeciego roku rozpada się na ośm specyalnych sekcyi: na mechaniczną, fizyczną, chemiczną, biologiczną, geologiczną, rolniczą, metalurgiczną i górniczą. Każda z tych sekcyi posiada co najmniéj dwie katedry i studentowi dano możność przyswojenia sobie najwyższych zdobyczy wiedzy w danéj specyalności. Każdy kurs rozpada się na dwa semestry, godziny lekcyi trwają od 10 do 1-15 i od 2 do 4 po południu z wyjątkiem soboty i środy, gdy popołudniowych lekcyi niéma. Opłatę pobiera sekretaryat od każdego przedmiotu oddzielnie stosownie do inskrypcyi studenta: wynosi ona od 1 do 13 f. szt. Ta ostatnia, niezaprzeczenie wysoka cena obejmuje laboratorya biologiczne, chemiczne, metalurgiczne, fizyczne etc. i tłómaczy się kosztownością przyrządów, materyałów i operacyi. Opłaty te zresztą są raczéj formalne aniżeli rzeczywiste, naprzód ze względu na znaczną liczbę stypendyów, a następnie przez ustanowienie niższéj raty opłat dla studentów, którzy są członkami „*Associateship*". Ci stowarzyszeni składają deklaracyę, że przez cały przebieg kursów będą słuchali wykładów w przepisanym porządku, że będą się stawiali do egzaminów i że pretendują o dyplom kolegium. Instytucya ta ma na celu ująć w karby metody naukowéj młodzież, która, rządząc się fantazyą, traci czas i siły, nie trzymając się wytkniętéj drogi: użyteczność jéj nie ulega wątpliwości. Trzeba dodać, że zarówno wykłady profesorów jak i laboratorya otwarte są dla oficerów, dla nauczycieli i dla wszystkich ludzi nauki albo bezpłatnie, albo za nominalną opłatą z tą szeroką gościnnością i uprzejmością, jaka odznacza cały świat naukowy angielski.

Królewskie kolegium sztuk uorganizowane jest podług tego samego wzoru i kształci studentów w rysunku, malarstwie, modelowaniu i rysunku ozdobniczym, niezbędnym dla budowniczych, przemysłowców, dekoratorów etc. Zbytecznėm zdaje się wzmiankować, że kolegia otwarte są dla studentów płci obojéj; *maximum* wieku, oznaczone dla kandydatów na 26-ty rok, nie jest ściśle przestrzegane. Rok szkolny rozpada się i tutaj na dwa semestry 5-o miesięczne, a lekcye trwają od 9 do 4 z półgodzinną przerwą na odpoczynek, a wieczorem od 6 do 9. Nie ma tu trzechletnich kursów, jak w kolegium nauk, i nie tylko, że nie trzeba wymagać takiego pobytu w kolegium sztuki, ale przeciwnie trzeba było pobyt w nim ograniczyć do czterech lat, po upływie których student zmuszony jest je opuścić i dać miejsce czekającym na nie kandydatom. Łatwo zrozumiéć powab, jaki ma pobyt w tém kolegium dla całéj rzeszy artystycznéj. Mają tam wyborne pracownie, obfitość modeli żyjących i nieprzebrane bogactwo martwych, objaśnienia i kierownictwo wyborowych profesorów, obfitą bibliotekę i zachowują jedno-

cześnie tę swobodę kierowania i dopełniania swych studyow, bez któréj artysta rozwijać się samodzielnie nie może. Kolegium okazuje swój liberalizm względem studentów nie tylko przez stypendya i osobiste zasiłki jednorazowe, ale i przez nadawanie nagród i premiów za prace dokonane na konkursach, przez zakupywanie celniejszych ich utworów na wystawach corocznie urządzanych.

Można mimochodem zrobić tu uwagę co do ogólnego charakteru kolegium sztuk. Metoda wykładów w niém istniejąca wywołała ostre krytyki i ma ono wielu zawziętych nieprzyjaciół w kołach artystycznych. Znaczna część czynionych mu zarzutów, nacechowanych tą gorączką imaginacyi, któréj od uprawiania sztuk pięknych odłączyć nie podobna, grzeszy przesadą. Nie można czynić kolegium odpowiedzialném za to, że nie stwarza Rafaelów i Fidyaszów. Przeciwnie wyrazić można żal, że poszło w rozbrat z istotną swą misyą i stawało się coraz bardziéj samowtórem szkoły istniejącéj przy akademii sztuk pięknych, a zaniedbywało sztukę ozdobniczą, sztukę zastosowaną do rzemiosł, do rękodzieł, do nieskończonych jéj użytków w życiu praktyczném. To wykolejenie się z właściwego toru doszło już na szczęście swego kresu. Dyrektorem kolegium sztuk świeżo mianowany został p. Walter Crane. Nazwisko to jest symbolem. Kto ma choć przybliżone wyobrażenie o odrodzeniu artystyczném, jakie nastąpiło w Anglii w ciągu ostatnich dziesięcioleci pod wpływem prerafaelityzmu i Ruskina, ten wie jaką rolę odegrał w niém Walter Crane, nieodłączny towarzysz Williama Morrisa. Pod jego energicznym kierunkiem kolegium sztuk zwróci przedewszystkiém swą działalność do pielęgnowania sztuki ozdobniczéj. Warsztaty tkanin artystycznych, kobierców, obić papierowych, rzniętych mebli, kutego żelaza, misternego złotnictwa, porcelany etc. etc. znajdą pod skrzydłem opiekuńczém kolegium wszystkie niezbędne warunki rozwoju. Zrobi ono w swym zakresie to, czego kolegium nauk od pierwszéj chwili robić nie przestawało: prawda, że miało ono w swym dyrektorze, kapitanie Abney, nietylko znakomitego uczonego i pierwszorzędnego inżeniera, ale jednego z tych uniwersalnych uczonych, jakich wyjątkowo tylko w świecie współczesnym napotkać można.

Wydział nauk i sztuk, oprócz swych własnych dwóch kolegiów, dyryguje wszystkiemi szkołami technicznemi na całem terytoryum zjednoczonych królestw, które się do niego udały po subsydya, bądź na budowę gmachów, uposażenie laboratoryów, bądź po programata wykładowe, wysyłanie do nich profesorów, egzaminowanie ich uczniów, udzielanie im świadectw i dyplomów. Nie można powiedziéć jednak, aby te szkoły były wyłącznie państwowemi, bo nieraz utrzymywane są jednocześnie przez ciała municypalne albo przez korporacye. Statystyka

ich nie daje pewności, czy się z jednemi i temi samemi instytucyami nie spotyka kilkakrotnie. W roczniku ogłoszonym przez wydział nauk i sztuk za rok bieżący znajduje się tablica porównawcza następująca, która daje możność ocenienia postępów dokonanych w epoce pomiędzy 1886 a 1896 r. co do szkolnictwa technicznego.

	Rok	Ilość zakładów	Ilość godzin wykładowych	Ilość wyegzaminowanych uczniów	Ilość przedłożonych referatów	Sumy wypłacone zakładom f. szt.
Szkoły techniczne . .	1886	1632	5862	54162	114432	73142
	1896	2439	9373	91300	132630	157916
Szkoły praktyczne przygotowawcze . .	1886	42	131	2638	3809	5132
	1896	62	269	4571	8439	10606
Szkoły uorganizowane przez wydział nauk i sztuk	1886	10	—	—	—	—
	1896	144	—	—	—	—

Niektóre punkta w téj tablicy wymagają objaśnienia.

Szkoły techniczne („*Schools of Science*") wciągnięte są do zakładów państwowych, dopiéro gdy odpowiadają pewnym nieodzownym warunkom. Powinna taka szkoła być pod dyrekcyą komitetu złożonego co najmniéj z 5 administratorów i miéć wykwalifikowanych profesorów. Warunek ten ma w Anglii doniosłe znaczenie praktyczne, gdyż wielu ludzi pozbawionych wszelkich kwalifikacyi naukowych i pedagogicznych otwiera szkoły średnie pod nazwą „*grammar schools*", albo szkoły techniczne, gdzie wyzyskuje bezczelnie rodziny uczniów, wywołuje skandale i kompromituje sprawę oświaty. Daléj, zanim szkoła techniczna zaregestrowana zostanie, powinna co najmniéj istniéć od dwóch lat i liczyć co najmniéj stałych 20 uczniów, pobierających naukę w godzinach dziennych: ten ostatni warunek ma na celu wyróżnienie szkoły technicznéj od kursów wieczornych, istniejących przy szkółkach elementarnych i przy niejednych zakładach przemysłowych dla robotników w nich zatrudnianych. Program wykładów w szkole technicznéj musi stać wyżéj od końcowego kursu szkół elementarnych, poświęcać nie mniéj jak 13 godzin tygodniowo naukom ścisłym, oprócz godzin poświęconych matematyce. Każda szkoła winna posiadać laboratorya chemiczne i fizyczne. Ażeby skutkiem przepełnienia klas nie szwankował postęp uczniów, liczba ich nie może przewyższać 40,

a w laboratoryach ograniczona jest nawet do 25 pracujących pod nadzorem profesora-asystenta. Zasługuje także na uwagę przepis, że żaden uczeń nie może otrzymać dyplomu i być przypuszczony do końcowego egzaminu, jeżeli nie posiada znajomości przynajmniéj jednego obcego języka.

Wszystkie powyższe warunki świadczą, że szkoły techniczne, których szybki wzrost dawał powód do podejrzeń, że zaimprowizowana ich organizacya zostawia wiele do życzenia, lekceważone być nie powinny: posiadają one wszystkie warunki do normalnego rozwoju.

Taki sam nadzwyczajnie szybki wzrost szkół artystycznych miał miejsce jednocześnie. Mam tu na myśli szkoły znajdujące się tak samo pod dyrekcyą kolegium sztuk, jak powyższe pod zwierzchnictwem kolegium nauk, i przygotowujące techników w innych nie mniéj ważnych specyalnościach. W 1896 r. istniało 275 szkół o 55 gałęziach i liczyło 56175 studentów, 1540 klas liczących 99,018 uczniów, 62 szkół przygotowawczych liczących 4,759 uczniów, 873 szkół wieczornych gdzie 40.459 uczniów ćwiczyło się w rysunku. Nie trzeba także spuszczać z uwagi, że w 20,161 elementarnych szkółkach 2,250,070 dzieci pobiera naukę rysunku. Ponieważ każda z tych szkół otrzymuje pieniężne zasiłki od wydziału nauk i sztuk po przedłożeniu referatów piśmiennych i prac dokonanych przez swych uczniów, zatém leży w interesie dyrektorów i komitetów nadzorczych, ażeby uczniowie czynili jaknajwiększe postępy. W 1896 r. zasiłki dla szkół technicznych artystycznych wzniosły się były do pokaźnéj cyfry 253,983 funt. szt.

Ogólna liczba uczniów, pobierających naukę w szkołach technicznych obu gałęzi znajdujących się pod zwierzchnictwem wydziału nauk i sztuk, podana jest w roczniku za rok bieżący jak następuje:

	w Anglii i Walii	w Szkocyi	w Irlandyi	Ogółem
Ilość uczniów sztuki. . .	113.954	14,525	3,808	132,287
Ilość uczniów nauk ścisłych	129,817	24,043	4,124	157,984
				280,271

280,271 młodzieży płci obojéj pobierającéj wykształcenie techniczne w zakładach znajdujących się pod zwierzchnictwem i nadzorem państwa, a to w kraju, który niedawno jeszcze nie brał w niém udziału i uważał całą tę sprawę za nienależącą do jego atrybucyi: oto rezultat istotnie niespodziewany.

II.

Szkoły techniczne municypalne.

Biorąc pod uwagę, że Anglia jest klasyczną ziemią samorządu i że każda część kraju, każda miejscowość nieledwie jest ogniskiem samodzielnego, odrębnego życia, wyrażającego się w instytucyach odpowiadających potrzebom miejscowym, można z góry przyjąć za pewnik, że szkoły techniczne przedstawiają tam typy różnorodne. Tak też rzeczy się mają istotnie i utrudnia to wielce ich zbadanie. Jak się trafnie wyraził p. Llewellyn Smith, specyalista w kwestyach pedagogiki i oświaty, szkoły średnie w Anglii, a przedewszystkiém szkoły techniczne czynią wrażenie kanalizacyi prowadzonéj bez żadnego systemu, wytwarzającéj kanały bez ujścia, bez powiązania jednych z drugiemi. Na całéj przestrzeni kraju inicyatywę do tworzenia szkół technicznych podejmowały osobistości prywatne, bogaci mecenasi i filantropi. Zdumienie ogarnia na widok olbrzymich wysiłków przez nich podjętych i olbrzymich rezultatów, jakie osiągnęli, Nie ma nikogo tą kwestyą się interesującego, któryby nie znał instytucyi mierniczych Birminghamu, Manchesteru, Liverpoolu, Bradfordu, Leeds, Edinburga, Glasgowa i t. d. Jak łatwo zrozumiéć, zakłady te powstające z inicyatywy indywidualnéj nie trzymają się jednolitego systemu. Po większéj części ich założyciele musieli łamać się z trudnościami, ażeby sama myśl szkoły technicznéj została przyjętą przez ich współobywateli. Fabrykanci, przemysłowcy i rzemieślnicy żywili do nich nieprzyjazne uczucia, uważając że nie teoryi, ale praktyki trzeba dla pracującéj pod ich kierunkiem młodzieży. Silnie uorganizowane stowarzyszenia robotnicze—*Trade's Unions*—które całą organizacyę pracy pragnęły wziąć w swą rękę, patrzały także nieprzychylnie na szkoły techniczne, których interwencya rewolucyonizowała istniejący w nich dotychczas sposób przygotowywania uczniów i czeladników. Trzeba było nie małych zachodów, aby te opozycye złamać, i jak to powiedzianém było wyżéj, świat wytwórczy angielski wziął się do szkolnictwa technicznego dopiéro, gdy tysiące praktycznych dowodów i przykładów wskazało mu, że się mylił i że dąży do swéj własnéj zguby, zaniedbując wykształcenie specyalne klas wytwórczych.

Ale były i innego rodzaju przeszkody. Niejeden zakład założony przez dalekowidzących ludzi przeszedł dwie fazy regularne: naprzód wielki napływ uczniów żądnych oświaty, a następnie stopniowy ich odpadek, który tu i owdzie do zamknięcia instytucyi doprowadził.

Takie niepowodzenia spotkały, między innemi, słynne przedsięwzięcia d-ra Birkbeck'a w pierwszéj połowie naszego stulecia. Powód był zawsze jeden i ten sam: uczniowie, pragnący pobiérać techniczne wykształcenie, nie posiadali żadnego elementarnego i przy braku takich przygotowawczych żywiołów spostrzegli niebawem, że szkoły techniczne nie przynoszą im oczekiwanych korzyści. Dopiéro obecnie, gdy system szkółek elementarnych uorganizowany jest na całéj przestrzeni kraju, gdy puścił już korzenie na gruncie narodowym od blisko trzech dziesiątków lat, gdy po nad szkółkami elementarnemi utworzone zostały szkółki wieczorne posuwające o jeden stopień wyżéj kursa wykładowe, dopiéro teraz szkoły techniczne znaleść mogą i istotnie znajdują kandydatów, co z ich wykładów korzystać mogą. Należy także dodać i tę okoliczność jeszcze, że Anglicy przezwyciężyli swój wstręt dawniejszy do egzaminów wstępnych i że obecnie nie przyjmują do szkół technicznych uczniów, którzy nie udowodnią, że posiadają należne wykształcenie przygotowawcze.

Skoro nakoniec szkoły techniczne zostały uznane za potrzebę pierwszorzędną narodową, to wolno było spodziéwać się, że municypalności poczują się do obowiązku swego pod tym względem. Dość jednak będzie zdać sobie sprawę, że każda municypalność w Anglii jest ciałem indywidualném, samodzielném, ażeby zrozumiéć, że nie mogły zająć względem szkolnictwa technicznego jednolitéj postawy. Są miasta bogate i są ubogie, są wielkie ogniska przemysłowéj działalności o wyrobionéj specyalności, a są inne, gdzie się wytwórczość nie skrystalizowała w pewnéj formie, są municypalności postępowe, idące z prądem czasu, a są inne w jakim zacofanym zakątku kraju, gdzie jeszcze ruch ożywczy się nie ujawnił. Wszystkie te okoliczności zewnętrzne, a często inicyatywa wybitnych osobistości, stojących na czele administracyi municypalnéj, wpłynęły stanowczo na jéj działalność. Dość będzie przytoczyć przykład Birminghamu. Gdy p. Józef Chamberlain był tam municypalnym „królem," municypalność, która zresztą miała do rozporządzenia swego znaczne sumy z fundacyi króla Edwarda, dała bezprzykładny popęd oświacie technicznéj i powstały tam jedne po drugich takie wzorowe instytucye, jak *Mason's College of science*, jak szkoła municypalna techniczna i szkoła municypalna sztuk.

Ale samo się z siebie rozumié, że nie można tak nadzwyczajnych wysiłków spodziéwać się od wszystkich miast prowincyonalnych. Wiele z nich nie miało w swym etacie żadnych funduszów na szkolnictwo. Kulała więc cała ta gałęź działalności municypalnéj aż do r. 1888, gdy utworzone zostały rady hrabstw. Instytucye te uorganizowały sa-

morząd prowincyonalny i ujęły całe życie danego hrabstwa w systematyczne karby. Rozwijanie oświaty znalazło w biurach szkolnych tych rad swoją sferę. Zawcześnie byłoby jeszcze rozpisywać się o tém, co już one zdziałały. Wogóle municypalności, gdy nie zakładają szkół technicznych samoistnych, dają roczne zasiłki tym, które już znajdują się w jego murach. Duże były potrzeby na gmachy, na laboratorya, na biblioteki, i rady municypalne bądź same, bądź w porozumieniu z radą hrabstwa, starają się je zaspakajać. Znajduję w książce p. Fryderyka Dolmana „Municypalności a dzieła" [1]) wykaz zasiłków udzielanych przez pięć municypalności na wykształcenie techniczne i na biblioteki oraz muzea w r. 1894

Birmingham	wydał na pierwsze	7.080	a na drugie	16.990	f. szt.
Manchester	„	17.935	„	27.217	„
Liverpool	„	12.744	„	15.714	„
Bradford	„	5,330	„	5.813	„
Leeds	„	6.245	„	6.842	„

Są to już sumy pokaźne i można pojąć, że szkoły techniczne podtrzymywane przez municypalności i zasilane jednocześnie przez wydział nauk i sztuk mogą rozwijać się pomyślnie. Przedewszystkiém jednak, polegają one po większéj części na funduszach swych założycieli i orędowników, a ofiarność angielska pod tym względem rywalizuje z amerykańską. Obok wielkich sum, składanych corocznie i regularnie przez fundatorów, znajdują się drobne subskrypcye w coraz większéj liczbie, napływające od warstw robotniczych, od dawniejszych wychowańców szkół i t. d. Te datki pokazują, jak głęboko te szkoły weszły już w użycie społeczeństwa, i pozwalają spodziéwać się, że municypalności coraz bardziéj podtrzymywane będą przez swych obywateli w ofiarności dla szkół.

Najbardziéj typową i najbardziéj interesującą jest jednak działalność municypalności Londynu w zakresie szkolnictwa technicznego. Samo się przez się rozumié, że gdy jest mowa o municypalności stolicy, nie trzeba pod tą nazwą rozumiéć lorda-majora londyńskiéj *City* i zgromadzenia sheryfów i aldermanów. To sławetne ciało jest specyalną własnością *City* i stanowi organizacyę średniowiecznych korporacyi, które przetrwały do dziś dnia i zachowały niejeden ze swych tradycyjnych przywilejów. O téj municypalności reszta Londynu, jako całość, nic nie wié i wiedziéć nie chce. Gdy będzie niżéj mowa o szkołach technicznych, ufundowanych przez ciała korporacyjne i przez jednostki, spotkamy się z zakładami, i to pierwszorzędnéj nawet wartości, które

[1]) Municipalities at work, London, Methuen, 1895.

zawdzięczają swój byt *City* londyńskiéj. Ale gdy się mówi o municypalności, to się przez nią rozumié rady hrabstwa londyńskiego, ciała ukonstytuowanego przez wybory całego, blisko 5-cio milionowego grodu, i z którego jedynie anachronicznie administrowana *City* jest wykluczona. Rada hrabstwa londyńskiego, zagrzana demokratycznym duchem, zwróciła baczną uwagę na szkolnictwo wogóle, a szkoły techniczne w szczególe. Zaledwie wyszedłszy z niemowlęctwa i rozpoznawszy grunt swéj działalności, rada municypalna w kwietniu 1892 r. ustanowiła komisyę do rozpoznania potrzeb Londynu pod tym względem i dała jéj na początek sumę 30.000 f. szt. Była to drobna tylko suma, bez zaprzeczenia, ale zapowiadała nową erę i zrywała z tradycyą, która troskę o szkolnictwo techniczne zwalała na towarzystwo dobroczynności (*Charity Commission*), albo na korporacyę *City*, w których interesie leżało ono więcéj aniżeli w czyjémkolwiek innéni. Z tego drobnego jądra wystrzeliła w krótkim przeciągu lat rozgałęziona organizacya o czerstwéj żywotności. Utworzone wtedy przy radzie hrabstwa londyńskiego biuro oświaty technicznéj znalazło się w tém rzadkiém położeniu, iż mogło systematycznie i jednolicie powołać do bytu całkiem nowe instytucye. Ale nawet to biuro, które słusznie nazwane zostało ministeryum oświaty Londynu, nie zaniedbało posługiwać się już uprzednio istniejącemi szkołami, klasyfikując je i dopełniając. Pierwszym jego krokiem było zbadanie, w jakich warunkach wypada mu dawać zasiłki i zapomogi zakładom szkolnym, znajdującym się pod kuratelą wydziału nauk i sztuk, gdyż oczywiście one stały na wyższéj stopie rozwojowéj, aniżeli czysto prywatne. Postawiono jako niezbędną kwalifikacyę do zapomogi municypalnéj, ażeby szkoła techniczna miała dyrekcyę jawną i kolektywną, w któréj atrybucyach leżałaby nominacya profesorów i dozór ścisły nad zakładem, gdyż nieraz się zdarzało, że jaki specyalista, założywszy szkołę, wytwarzał następnie pozorną dyrekcyę będącą bierném narzędziem w jego rękach. Postanowiono daléj, że profesorowie szkół technicznych powinni miéć stałą pensyę, za któréj regularną wypłatę dyrekcya była odpowiedzialną, i że nie mieli powodu oglądać się na subsydya udzielane po egzaminie szkolnym przez wydział nauk i sztuk, oraz przez biuro oświaty technicznéj, i które to zasiłki stawały się własnością szkoły, jako takiéj. Postawiono za zasadę, że liczba uczniów w klasie pod dozorem nauczyciela nie powinna przewyższać 20, i że szkoła powinna posiadać laboratorya, pracownie i dawać istotnie praktyczne wykształcenie uczniom. Biuro takie ciągle miało na oku, ażeby udzielano oświaty nietylko młodzieży szkolnéj, ale czeladnikom i rzemieślnikom już praktycznie pracującym, i tym to najszczodrzéj udzielane są stypendya. W ostatnim raporcie

rocznym biura oświaty technicznéj za rok szkolny 1897 i 1898 podana jest cyfra 20 szkół, których uczniowie otrzymali stypendya 20 f. szt., a 30 szkół, w których takież stypendum udzielone zostało czeladniczéj i rzemieślniczéj młodzieży, oraz 100 mniejszych stypendyów, 5 f. sz., dla téjże klasy społecznéj.

Na każdym kroku biuro oświaty technicznéj okazuje, że mu idzie o praktyczne wykształcenie młodzieży. Wymaga od nauczycieli wykładających w klasach jakikolwiek proceder, ażeby sami byli w nim biegli, ażeby umieli posługiwać się narzędziami, i do tego rodzaju klas nie są przyjmowani amatorowie, ale jedynie ci, którzy w tym danym procederze już pracują, albo pracować będą. To praktyczne kształcenie w szkołach technicznych w krótkim czasie zniweczyło niechęć, jaką pierwiastkowo uczuwali do tych „teoretyków" majstrowie i dyrektorowie warsztatów, a zrobiło z nich gorliwych stronników tychże szkół. Były liczne przykłady, że majstrowie, widząc jak 14-o letnie chłopcy umieją pracować w stolarstwie, tapicerstwie etc., ofiarowali im odrazu zarobek dorosłych robotników, a wszyscy uznają, że robotnicy wychodzący ze szkoł technicznych nieporównanie szybciéj umieją przyswoić sobie zwykłą robotę, zrozumiéć w czém leżą trudności, i jak je pokonać, aniżeli ci, co żadnego ogólnego wykształcenia nie pobiérali.

Była wyżéj uczyniona wzmianka o stypendyach udzielanych przez biuro wykształcenia technicznego. Jest to istotnie jedna z najważniejszych kwestyi, gdyż daje poniekąd możność kierowania wyborem zawodów odpowiednio uznanéj potrzebie społecznéj. Biuro daje rocznie 600 drobnych stypendyów dzieciom ze szkół elementarnych, nie liczącym jeszcze lat 13 i których rodzice nie mają więcéj jak 150 f. szt. rocznego dochodu: stypendyum to wynosi tylko 10 funt. szt. i trwa co najwyżéj przez półtrzecia roku. Chociaż nie wysokie, stypendya te oddają wielkie usługi uboższym rodzinom tém bardziéj, że stypendyści otrzymują bezpłatnie książki i narzędzia, i uwolnieni są od opłaty obowiązkowéj przy egzaminach. Znaczenie edukacyjne tych stypendyów polega przedewszystkiém na tém, że stanowią łącznik pomiędzy szkółkami elementarnemi a technicznemi. Drugą kategoryę stypendyów stanowią te, które wynoszą (oprócz książek, przyborów piśmiennych narzędzi, instrumentów i t. d.) 25 i 35 f. szt. rocznie, i udzielane są młodzieńcom od 16 do 18 lat wieku, którzy są przedstawiani jako kwalifikujący się do takowych przez szkoły przygotowawcze. Trzecią i ostatnią kategoryę stypendyów, wynoszącą 90 f. szt. rocznie otrzymują, młodzieńcy uczęszczający do centralnego kolegium technicznego, albo ci, którzy wysłani są do uniwersytetów zagranicznych. Liczba ich wynosi wprawdzie dotąd tylko pięć, ale jest kilka-

naście innych w wysokości 50 f. szt. i w obec pomyślnych rezultatów, jakie prace tych stypendystów dają, biuro wykształcenia technicznego otrzymało już obietnice od zamożnych obywateli Londynu, że złożą na jego ręce kapitały na tego rodzaju stypendya. Obawa przeciążenia czytelnika niniejszéj pracy wstrzymuje piszącego od rozszerzenia się nad stypendyami dla szkół artystycznych, dla szkół przygotowujących służących, ogrodników etc. oraz dla nauczycieli, którzy ubiegają się o stopnie naukowe. Cały ten kanał, którym biuro wykształcenia technicznego stara się zadaniu swemu odpowiedziéć, uderza swym racyonalnym układem i, gdy będzie miało większe kapitały do rozporządzenia, nie pozostanie mu, jak iść daléj po wytkniętéj drodze bez żadnéj zmiany kierunku.

Przejść teraz należy do szkół technicznych, które municypalność Londynu przez swój organ urzędowy, t. j. biuro wykształcenia technicznego, podtrzymuje regularnie, i do tych, które są w całkowitéj od niego zależności. Rozmiary téj działalności edukacyjnéj wyrażają się w jednéj zastanawiającéj cyfrze: jest 109 zakładów wykształcenia technicznego, które municypalność podtrzymuje albo utrzymuje! Pierwsza forma, w jakiéj się ten pomocniczy udział ujawnia, jest posyłanie do niższych instytucyi uczniów, za których biuro uiszcza wszelkie potrzebne opłaty i wydatki. Zauważyć należy, że wielu ze stypendystów biura wykształcenia technicznego przysłani są do instytucyi założonych przez korporacye *City* a fakt ten wskazuje, że nie ma najmniejszéj niechęci, najmniejszych uprzedzeń pomiędzy organizmami tak odmiennéj natury, jak korporacye i gildye, a rada hrabstwa londyńskiego. Myśl taka nie powstałaby nigdy w głowie praktycznych Anglików. Nie troszczą się o to, kto szkołę założył, a jeżeli ona jest tak doskonała, jak większa część tych, które ufundowane zostały przez bogate korporacye, to jest widoczną oszczędnością posyłać tam swych wychowańców, zamiast zakładać szkoły na własną rękę, a nawet, gdy to im uczynić przychodzi, biuro wykształcenia technicznego nie lubi czynić tego bezpośrednio, ale woli powierzyć założenie szkoły jakiemu towarzystwu, albo parafialnéj władzy téj lub owéj dzielnicy miejskiéj (*Vestry*), a potém dopiéro wziąć jéj finansowe ciężary na swoje barki. W téj długiéj liście 109 zakładów szkolnych znajduje się ośm kategoryi.

Do pierwszéj należą trzy kolegia uniwersyteckie (*Bedford*, *King's* i *University College*) i dziesięć politechnik, z których kilka przynajmniéj może być uważanych za wyższe zakłady naukowe. Sumy udzielone im przez biuro wykształcenia technicznego w ostatnim roku szkolnym 1897/8 wynosiły 35,711 f. szt.

Do drugiéj kategoryi należy sześć instytutów technicznych dla specyalnych gałęzi rzemieślniczo-przemysłowych, jak: budownictwa, rymarstwa, fabrykacyi mebli, drukarstwa, litografii, fotografii etc.

Do trzeciéj należą dwie szkoły centralne sztuk i rzemiosł całkowicie utrzymywane przez wspomniane biuro wykształcenia technicznego, a do czwartéj 11 szkół sztuki, którym udzielono w ostatnim roku szkolnym 5,669 f. szt. zasiłku.

Do następnych kategoryi należy 17 instytutów technicznych o mieszanych wykładach naukowych i artystycznych. Szkoła botaniczna, 47 szkół średnich, które kosztują biuro wykształcenia technicznego (zawsze w formie zasiłku, zależnego od liczby uczniów i pedagogicznéj wartości szkoły) 21,921 f. szt., i nakoniec 12 szkół kształcących w ekonomii domowéj i wszystkich wchodzących do niéj działach.

W sferze wyższéj oświaty i kolegiów uniwersyteckich finansowy udział biura wykształcenia technicznego miał na celu ulepszenie ich pedagogicznéj wartości przez otwieranie, rozszerzanie i wzbogacanie laboratoryów i pracowni oraz organizacyę dodatkowych katedr i wykładów. I tak *University College* posiada teraz wzorowe pracownie dla mechaniki i inżenieryi, *Bedford College* otrzymało laboratorya botaniczne i fizyologiczne, etc. Z inicyatywy i funduszów biura wykształcenia technicznego otwarte było przy tych kolegiach w ostatniém półroczu ośm kursów, każdy o 20 wykładach udzielanych wieczorami przez znakomitych profesorów i specyalistów w wyższéj matematyce, mechanice, elektryce, fizyce doświadczalnéj, architekturze. Wykłady te są zawsze połączone z praktyczną pracą i doświadczeniami w laboratoryach. Uorganizowało ono nakoniec specyalne wykłady w sobotę, t. j. dzień, w którym wszystkie zakłady szkolne są zamknięte, a znajdują się pomiędzy temi wykładami takie, jak: „o wytrzymałości materyałów," „o cieple," „o prądach magnetycznych," „o fizyologii praktycznéj" etc.

Największe znaczenie dla oświaty technicznéj mają tak zwane politechniki albo instytuty politechniczne. Gdy powstało biuro oświaty technicznéj, było ich w Londynie sześć. Obecnie jest ich jedenaście. Chociaż zakłady te zawdzięczają swe powstanie bądź prywatnym ludziom, bądź stowarzyszeniom, bądź nakoniec biurom parafialnym *(Vestry)*, to zamieścić je można w tym dziale, a to ze względu na udział finansowy, jaki w nich municypalność bierze. Istotnie w roku ostatnim wydział nauk i sztuk t. j. państwo wydało na politechniki 29,650 f. szt., a rada hrabstwa londyńskiego prawie taką samą sumę, bo 28,119 f. szt.

Gdy czytelnik spotyka się z nazwą politechniki, nie powinien myślić o żadném porównaniu z paryską szkołą politechniczną ani téż ze słynnemi zakładami w Niemczech albo Szwajcaryi. Zakres politechnik angielskich jest nader szeroki, wielce rozmaity, ale różniący się od owych typów. Gdy badamy ich organizacyę i gdy się nieraz dziwimy ich programatom naukowym, nie należy spuszczać z uwagi tego ważnego względu, że Anglia nie posiada szkół średnich państwowych, gdzieby klasa średnia i warstwy uboższe społeczeństwa kształcić się mogły, i że politechniki z początku postawiły sobie za cel niedostatkowi temu zaradzić, dając sposobność téj młodzieży zostawionéj saméj sobie dopełnienia swego wykształcenia tam, gdzie jego brak uczuwać się jéj dawał. Dopiéro następnie i stopniowo zrodziła się myśl wciągnięcia w obręb powyższych szkół tych technicznych wykładów, których potrzeba okazywała się naglącą. Ten brak systematycznego planu pierwotnego nie przeszkadza, ażeby obecnie te szkoły średnio-techniczne nie oddawały społeczności prawdziwych usług. Obecnie w murach politechnik londyńskich udzielane bywa teoretyczne i praktyczne wykształcenie we wszystkich działach chemii i fizyki, począwszy od najelementarniejszych do najwyższych stopni, przy pomocy laboratoryów zaopatrzonych w najdoskonalsze przyrządy; biologia, botanika, fizyologia, zoologia i wszystkie gałęzie nauk przyrodniczych tak samo, jak mechanika i elektryka, wykładane są równie starannie i zawsze zmierzając do uzdolnienia uczniów do praktycznych zawodów. W oddziale sztuki uczniowie pobiérają wykształcenie w rysunku, malarstwie i modelowaniu, snycerstwie, ze specyalném uwzględnieniem rysunku przemysłowego. Jednocześnie są tam wykłady obcych języków, matematyki elementarnéj, literatury, geografii i historyi, t. j. przedmiotów wchodzących w zakres szkół średnich. W dodatku niektóre politechniki mają jeszcze dział ekonomii domowéj dla kobiét i dziewcząt i uczą je szyć, krajać, prać, prasować, gotować i t. d. Program taki zdawać by się mógł już pełnym, ale biuro wykształcenia technicznego nie uznało go za taki i wprowadziło do niego cały dział rzemieślniczy. Uczą tedy tam ołownictwa, tynkarstwa, strycharstwa, mularki, ciesiołki, stolarki, meblarstwa, rzeźby na drzewie, tapicerstwa, drukarstwa, piekarstwa i t. d. Do kursów teoretycznych tych rzemiosł, połączonych z pracą ręczną, przypuszczeni są czeladnicy i uczniowie odnośnych zawodów. Z początku zdawało się śmiesznem ogółowi, żeby piekarczyk albo powroźnik mógł się czegoś użytecznego nauczyć w swym fachu w politechnice, ale, jak rzeczono już wyżéj, rezultaty okazały się tak dodatnie, tak niezaprzeczenie i jaskrawo dodatnie, że uprzedzenia pierzchły i obecnie nie ma gałęzi rzemieślniczéj, którąby

się nie dopominała o otwarcie wykładów w jéj specyalności. Nie znalezienie uczniów wprowadza dziś w kłopot te zakłady naukowe, ale znalezienie dla tych najrozmaitszych wykładów miejsca w swych gmachach, a potrzebują go wiele, gdyż każde rzemiosło wymaga warsztatów i nieraz nawet oddzielnych budowli.

Łatwo pojąć, że zakład szkolny o takim encyklopedycznym programacie roi się ruchem i życiem. Chłopcy i dorośli mężczyzni, dziewczęta i kobiéty napływają tam tłumem, a ponieważ rozmaite wykłady i prace trwają tam od 8-éj z rana do 10-éj godziny wieczorem, ponieważ przy każdéj politechnice są zawsze szkoły gimnastyczne, często szkoły pływania, wykłady muzyki, kursa śpiewu, tańców i t. d., zatém taka wielostronna działalność wymaga całego zastępu profesorów, nauczycieli, majstrów etc. Administracya nie jest atoli skomplikowaną i uderza w niéj brak dozorców i inspektorów: władze ufają rozsądkowi i osobistemu interesowi uczniów i ta taktyka samorządu szkolnego nie zawiodła położonéj w niéj ufności. Każda politechnika znajduje się pod zwierzchnictwem jednego dyrektora (*Principal)*, który ma przy sobie dla pomocy radę złożoną z szefów każdego specyalnego oddziału. Dziewczęta i chłopcy uczęszczają, podług amerykańskiéj metody, wspólnie na kursa, i nie ma powodu do najmniejszych skarg na takie urządzenie.

Rozwój tych instytucyi jest jednym z najciekawszych fenomenów życia angielskiego i jest wskazówką przewrotu, jaki się dokonał w wyobrażeniach i tendencyach społeczności. Pomiatali teoretycznėm wykształceniem dopóty tylko, dopóki nie obznajmili się z jego użytecznością. Obecnie ruch w tym kierunku panuje prawdziwie gorączkowy Nowo powstające politechniki nie stają na zawadzie dawniejszym a przeciwnie podbudzają je do energiczniejszéj i szerszéj działalności. Każda z nich staje się ogniskiem miejscowego życia intelektualnego. Wzrost nowo otworzonych pięciu politechnik w ciągu czterech lat ostatnich jest prawie niepojęty. Piszący, który był członkiem komitetu zajmującego się organizacyą politechniki w południowo-wschodnim Londynie (*Chelsea*), może mówić o tém z osobistego doświadczenia. Kosztorys gmachu wynosił 40,000 f. szt. Zaledwie lord Cadogan podarował na ten cel grunt wartujący 10,000 f. szt., składki posypały się szczodrze i piękna politechnika stanęła obok biblioteki publicznéj otworzonéj od lat kilku. Dwa lata upłynęły od otwarcia politechniki, a już jéj za ciasno w swych murach i zarząd odwołał się do rady hrabstwa londyńskiego i do publiczności, ażeby mu dostarczyły 12,000 f. szt. na wzniesienie nowych skrzydeł. I tak samo dzieje się w poli-

technice sąsiadującéj z *Chelsea* dzielnicy Battersea, wybudowanéj jednocześnie a zmuszonéj przystępować do budowli nowego amfiteatru i dodatkowych warsztatów.

Zakres działalności politechnik dąży do ciągłego rozszerzania się i do wciągnięcia nowych czynników składowych do swéj organizacyi. W chwili gdy kreślimy rzecz niniejszą, wyrabia się plan utworzenia politechniki dla młodzieży przeznaczającéj się do kupiectwa i handlu a prawie całkowicie pozbawionéj dotychczas środków naukowego przygotowania do swego zawodu. Nie ma wątpliwości, że tu szkoła techniczna znajdzie takie natychmiastowe powodzenie, jak otwarta od trzech lat szkoła ekonomiki i nauk politycznych. Znajdując się pod dyrekcyą profesora W. A. S. Hewius, wzrasta z każdém półroczem, a jéj wykłady statystyki, organizacyi dróg żelaznych, paleografii etc. pozyskały sobie rozgłos równie szybki, jak zasłużony.

Jak dalece te szkoły techniczne odpowiadają potrzebie mieszkańców Londynu, pokazuje najlepiéj liczba ich uczniów. Kilka przykładów wystarczy. Szkoła techniczna stanowiąca część składową téj słynnéj instytucyi „*People's Palace*" w najuboższéj dzielnicy miejskiéj, Whitechapel, otwarta została w 1888 r. i liczyła odrazu 3,000 uczniów, a w dwa lata późniéj, w 1890 r., liczba ta wzrosła do 10.000! Instytut politechniczny na „*Regent Street*", najdawniejszy z tego rodzaju zakładów w Londynie, który przed kilku laty, gdy ruch edukacyjny był mniéj rozwinięty, groził upadkiem, liczy obecnie do 12,000 uczniów na swych rozmaitych wydziałach. Politechnika w *Chelsea*, otwarta dopiéro od lat dwóch, o któréj szybkim wzroście uczyniona była wyżéj wzmianka, miała w ostatniém półroczu na dziennych lekcyach 870, a na wieczornych 3,162 uczniów.

Nie można wątpić, że działalność municypalności londyńskiéj, manifestująca się przez jéj organ, biuro wykształcenia technicznego, tchnęła nowego ducha w takowe. Nie jest ona bez zarzutu co do organizacyi w niejednych podrzędniejszych względach, ale pominiętemi być mogą tutaj. Najgłówniejszém jest nadzwyczajna jéj kosztowność. Budżet oświaty technicznéj na rok przyszły wynosi już nie mniéj, jak wspaniałą sumę 150,000 f. szt. Jest łatwém do przewidzenia, że będzie wzrastał z każdym rokiem i powtórzy się z téj okazyi ten powszechnie stwierdzony fakt, że w miarę jak kasa państwowa albo municypalna bierze na siebie finansowe utrzymanie instytucyi, słabnie i wysycha ofiarność indywidualna, która uprzednio o nią się troszczyła.

Tablica pokazująca wydatki municypalności londyńskiéj od utworzenia biura wykształcenia technicznego aż do roku bieżącego obejdzie się bez wszelkich komentarzy.

Przedmiot	Rok 1893/4 f. szt.	Rok 1894/5 f. szt.	Rok 1895/6 f. szt.	Rok 1896/7 f. szt.	Rok 1897/8 f. szt.	Razem
Wydział techniczny w politechnikach	1,000	11,494	23,230	26,679	27,313	89,716
Idem w szkołach średnich	—	9,105	14,049	35,573	20,236	78,965
Idem w szkołach wyższych	—	1,500	2,000	2,000	5,000	10,500
Stypendya	732	5,805	14,449	21,405	26,159	68,553
Wykształcenie w sztuce .	600	4,587	10,374	12,890	13,784	51,882
Technologia i prace ręczne	126	2,520	3,232	3,765		
Ekonomia domowa . . .	491	2,548	2,257	3,738	6,010	15,048
Wykształcenie handlowe .	—	—	250	1,150	1,200	2,600
Muzea techniczne. . . .	—	—	—	—	475	475
Szkoły techniczne specyalne	130	877	1,600	2,784	10,609	16,001
Wydatki na administracyę	1,446	3,559	5,115	5,547	6,953	22,622
Razem funtów szt. .	4,528	41,998	76,559	115,532	117,744	356,364

Przebiegłszy organizacyę i skreśliwszy obraz obecnego stanu szkół technicznych zależnych od państwa i od municypalności, nie wyczerpany został jeszcze przedmiot. Pozostaje jeszcze zapoznać czytelnika z zakładami ufundowanemi przez korporacye cechowe oraz przez prywatnych ludzi, a ta część przedstawi prawdopodobnie żywszy interes, gdyż pozwoli z schematu abstrakcyjnego przejść do funkcyonowania oryginalnych i w pełni rozwoju znajdujących się instytucyi.

(Dok. nast.). *M. E. Trepka.*



DEPUTOWANY.

Obrazek galicyjski z roku 1850.

Już od wschodu słońca schodzili się ludzie do Bartusiowéj chaty. Jaki taki odkrywał głowę, ociérał usta dłonią lub połą płótnianki i wchodził do izby, żeby popatrzéć na trupa, zmówić pacierz i podumać. Czulszego serca kobiéty zawodziły głośno i monotonnie recytowały lament, zaczynający się od rytualnych słów: „O! już ty nieboraczeńku nie będziesz więcyl" prała, międliła, opałała i t. d., zależnie od tego, która z gospodarskich czynności więcéj przemawiała do tkliwości mówcy. Ludu zgromadziło się pełno w chałupie, w sieni, na podwórzu, a dzieci zaglądały trwożne przez otwory podartego płotu. U wrót chaty leżał na przyzbie zwinięty w kłębek, czarny, zmizerowany pies i wodził po przybyszach smętném okiem, jakgdyby pytając, po co ich tu tylu przyszło. Przy węgle uwiązane cielę uwikłało się tak we własny powróz, że padło skrępowane na ziemię — jakiś chłopak z odkrytą głową wypadł z za węgła i począł je odmotywać z téj niespodziewanéj sieci, gdy nagle chwycił się za ciemię i wrzasnął okropnie. Przybiegli ludzie, skoczyło ciele z pęt uwolnione i z zadartym ogonem czmychnęło w pole, pies szczeknął i przypadł do wyrostka, któremu tymczasem dobyto z czupryny osę, przyczynę bólu i wrzasku. Zamęt mniéj przyzwoity w takiém miejscu wszczął się na podwórzu i w chałupie. Nagle ktoś krzyknął zza płotu:

— Cicho tam!

Zwrócili wszyscy oczy ku drodze i ujrzeli chłopa w krakowskiéj rogatywce, w błękitnym „żupanie,” o twarzy pełnéj, rumianéj, wygolonéj starannie, prócz wąsów, które téż, wbrew modzie ubieszyńskiéj, niepodstrzygane, stérczały mu nakształt rozwichrzonych krzaków. W całéj postaci tego człowieka widać było wielką zamożność i świadomość téj zamożności, pewność siebie, nadętość i jakąś podsędkowską wielmożność. Ni podstarości, ni to włódarz—zawsze jednak figura odrzynająca się od białego tłumu współobywateli. Stał za wrotami, a przy nim chuda, biała, czarnooka kobiéta, z miną wykolejonéj zakonnicy, lub kota, gdy głaskany patrzy zézem na gruszę za wróblami. Ta była w czarnym kaftanie, kilka sznurów korali wisiało jéj na piersiach; białe oszywki rękawów od koszuli, obramione koronką, wywinęła na rękawy kaftana, niby manszety. Takiż kołnierz u koszuli wyłożony na wierzch; spódnica czerwona i czarne trzewiki na nogach.

— Cicho! cicho!—powtórzyła pokornie gromada, zobaczywszy, skąd pochodziło wezwanie.

— Taż to nie politycznie nawet, taka kałamancya przy umarłym, —mówili niektórzy.

— Deputowany, deputowany—szepnęli sobie inni na ucho.

Jakoż wkrótce zrobiła się cisza; ludzie stojący przed chatą odkryli głowy i czekali przybysza w milczeniu i z pokorą.

Deputowany nie spieszył się wcale. Stanął na drodze i laską roztrząsał wióry od trumny, wyrzucone na znak, że w tym domu jest trup. Po chwili zażył tabaki, zadzwonił donośnie w wielką granatową chustkę do nosa i posunął naprzód, a za nim żona, spuściwszy głowę i błyskając od czasu do czasu z podełba na gromadę, jakgdyby badając dokładność i szczerość oznak uszanowania, oddawanych jéj i mężowi.

Deputowany nie pozdrawiał nikogo, nie witał się z nikim, nie uważał na postawę zgromadzonych, wszedł do chaty w czapce, bąknąwszy:

— Chwalany!—i odkrył głowę dopiéro nad trumną.

— Na wieki!—mruknęły głosy.

On zaś, stojąc w nogach trumny, sapnął głęboko na znak wzruszenia, spędził muchy z czoła ruchem, który mógł być wzięty za przeżegnanie się, kiwnął głową, patrząc w nieboszczkę—po chwili przeszedł w głowy trupa, zadumał się, kiwnął głową, sapnął znowu i obrócił się do Bartusia. Wdowiec miał już zwilżoną twarz i wąsy, nie trzymał się prosto na nogach i co chwilę przecierał oczy.

— A panie Podolcu! Pombóg wam to wynagrodzi, żeście się nie zbarali opatrzyć nieboszczki,— mówił ściskając w obu rękach wilgotną dłoń deputowanego i zniżając się mu do kolan.

— Pombóg nam dał takie reglama w zakonie, — rzekł Podolec, odchrząknąwszy—żeby umarłych odwidzić, a cysarz Franc szał pichotą za jednym tragarzem. To i ja przyszał na pogrzeb, a i moja także, choć ta ma w chałupie różne klinikajty do roboty — zwieczajnie, jak koło chałupy.

— Ha! niech wam ta Poniezus wynadgrodzi z wysoczyńkiego nieba, żeście ta nie pogardzili — mówił Bartuś, rozczulony zaszczytem i wódką. — A możebyście się tak napili... jedne... po starym obyczaju?.. hę? Święte to były obyczaje, co to nasi ojce więc więc jich sie trzymali, to i my ta stare przykazanie obserbujmy. Panie deputowany, do was!

Nalał cynową kwaterkę, wypił, splunął, i napełniwszy ją migiem, podał Podolcowi, mówiąc płaczliwie:

— A ta nieboszczyńka ni może ju wypić ani puchwatyrka... już ona nic nie mówi, ino ręce ma złożone, giembę zapartą i do Pana Jezusa poziera... oho! już i pary z ni nie puści! To my się za to napijma, kiedy się ta jeszcze palentamy po ty grzyszny ziemi... Za ji duszyczkę... Zdrowie!

Ale Podolec się żachnął:

— .Co nie idzie, to nie idzie, — tak mówił zawsze cysarz Franc, i dobrze mu było na świecie. Nihdy nie piół przy liajchu, ino szał do kantyny, jak se chciał chrobaki zalać w żołędziu. To i ja piół nie bede przy ty święty ji pamięci.

— A! już mi tego nie zrobicie; a! żebym nie wiedziéć co miał robić, to się musicie napić ze mną! Wszyćkie samsiady, krewne i znajome i z dalsza i z bliższa piły ze mną, a wy byście gardzili! Ha! mój somsiedzie najlepszy! ha nasz ojcze! nasz deputowany! tego mi ju nie zrobicie!

Oczy mu poczerwieniały, na strzyżonych wąsach osiadła rosa, a kiedy wymowy zabrakło, błagał go oczyma. Wreszcie z pijacką determinacją zawołał:

— A jak tak, to niech bedzie i tak! O joj! czemu ni ma być tak! Mam tu flaszczyne gorzaliny, to ją stłukę i gorzałkę wyleje—wy nie chcecie pić, to i nicht nie bedzie piół. Nie wam, to i nikomu. O joj! czemu nie?

Chwycił zza pieca flaszę graniastą, przynajmniéj trzylitrową, i zamierzył się rzucić o ziemię. Ale prędszy niż błyskawica deputowany

wyrwał mu ją z rąk. Zapewne obfitość treści usposobiła go inaczéj, bo zmięknął i zaczął łagodnie.

— Ależ sąsiedzie! kumie! nie o to idzie, żeby nie pić, ino o to, co idzie, a co nie idzie. Bo to ono nihdy nie trza pić przy umarłym. To ta jakby my sie radowali, że umar, a Poniezus nie kazał tak. Bo ja to wszyćkie befele i reglama Pana Jezusa znam i co stoi w dastamyncie i czego ni ma, co to i ksiądz lepi nie potrafi.

— Be! toż to kuždemu wiadomkiem, — mruknęły głosy z kątów izby.

— Ta! choć ta ono wy i niby uczony, i z książki umicie, i przepraszać tak rekuratnie, że to wielgiego trza kaznodzieje, żeby w to utraciół — rzekł Bartuś - ale wy ta mną nie pogardzicie, biédaczkiem, sierotą... tu wzniósł ręce do góry:—Pombóg wam to wynagrodzi z wysoczyńkiego nieba!

Opuścił głowę i umilkł, ociérając wąsy rękawem, a Podolec tymczasem pieścił miłosném spojrzeniem i uściskiem wielką graniastówkę.

— Wiécie co?—przemówił — chodźma chieba do sieni i żeby ji duszyczke janieli wzieni.

Podolcowa uśmiéchnęła się z zadowolenia, słysząc ten rym mężowski, a już całkiem pokraśniała, kiedy ludzie po kątach zaczęli szeptać do siebie:

— Jakie to układy ma nasz deputowany!

— Ho ho! co to za głowa!

— I taki przy umarłym nie chciał pić!

— Bo to ino proste ludziska tak robią, głupie ludziska, przez żadnego rychteru w głowie.

— Tać to prawda, że tak jakby my sie cieszyli z tego, że umarła.

— A bo co to z głupiem narodem gadać!

Podolcowa udawała, że nie słyszy, ale choć zajęta rozmową, chciwém uchem łowiła te słodkie słowa i połykała je wdzięcznie, jak specyały.

Nagle jakiś drzémiący w kącie człowiek wrzasnął:

— Z cysarzem gadał!

— Prawda! z cysarzem gadał, powtórzyli inni.

— Pańskie skasował.

— Tak je! pańskie skasował—powtórzyły echa.

— Ej! to cysarz skasował, wtrącił ktoś nieśmiało.

— Be! cysarz; ale z czyi porady, jak nie z jego?

— Juści, że z jego, nie z czyi inkszy.

— Cóż to, cysarz ni ma swoi głowy, cy co?—poderwał opozycyonista.

Pytanie było nieco za trudne, więc milczenie zaległo izbę. Wszelako niedługo urlopnik jeden, widoczny po białym „kabacie" z mosiężnemi guzikami, znalazł odpowiedź.

— Abo to cysarz może wszyćko widzieć, co się w jego kraju dzieje, cy co? Abo to jego kraj je taki, jak moje, abo wasze mizeractwo, co to wy se obejdziecie cy miedzą, cy brózdą, cy drógą? A taki tak jeszcze wam złodziéj szkode zrobi, udrze co, wypasie, abo i zabierze co w nocy—i tak go nie dopilnujecie. A cysarz? Co on dobra ma, to żeby całe życie jeździół i co noc w inkszych dobrach nocował, toby ich wszyćkich nie objechał i za sto lat.

Wyciągnęły się głowy ku stojącemu pod piecem mówcy, i wnet dyskusya zeszła na opisywanie cesarskich dostatków. Jedni mrużyli oczy i z miną świętoszków połykali ślinę, inni wzdychali, lub dziwili się, mówiąc: Mocny Boże! jedna osoba i tylo ma dobrów. Wszakże jeden starzec, który był aż na Kalwaryi za Przemyślem i widział wsi i ludzi nie mało, rzekł pełen niedowierzania:

— Ba! kiedy wszędzie ludzie były biédne i pod obuchem! To jakby to cysarz o tém nie wiedział.

— Ej! bo wy sie na tém nie rozumiécie — mówił urlopnik. — To pany cyganiły a mataczyły, że wszędzie je dobro, a żadnego człowieka nie dopuściły do cysarza, ino go pilnowały wszędzie. Przecie cysarz Franciszek to sie za dziada przebiérał, abo za żyda i chodziół po kraju.

— I patrzcie—mówił filozof, stary Czeszyk — za tyle dobrów cysarz ni mógł sie prawdy dowiedzieć, hej hej!

— Bajno! Jaż Podolec dostał sie do cysarza. Już ta pany są i śpekulanty, a on jich het oszwabiół i był jeszcze większy śpekulant.

Zaczém oburzenie na „panów" i politowanie nad smutnym losem monarchy wzmagało się. I tak rozmawiali, stojąc biali jak stado gołębi, pod czarnemi ścianami dymnéj chaty. Przez małe okienko, o uszkodzonych i zbrukanych szybach, wpadał żółty słup światła słonecznego wprost na głowę nieboszczki. Leżała Bartusiowa w białym czepcu, w koszuli i fartuchu z surowego płótna, z rękami złożonemi na piersiach. Twarz wyżółkła i pomarszczona, w obramieniu szpakowatych włosów i desek sosnowych, nabiérała w blasku słonecznym barw roztopionego wosku. Oczy zapadły w głąb, tylko z pod prawéj niedomkniętéj powieki przeświecał połysk lodowatéj źrenicy.

Trumna spoczywała na dwu poprzecznych ławach, pod któremi leżała na niezamiataném klepisku równa żytna słoma, jaką się podściela trupom. Wieko wsparte o ścianę wydawało się białe. Na niém krzyż, niezgrabnie węglem naczerniony, poglądał złowrogo na obecnych. W izbie

czarnéj, jakgdyby szmelcowanéj przez dym, w otoczeniu białych płótnianek mężczyzn i białych chust kobiet, w żółtym blasku słońca, po którym igrały ozłocone pyłki kurzu, ciało wyglądało dziwnie ponuro i strasznie. Płomyk lampki w głowach żółkniał i błękitniał na przemiany, trzaskając i skwiercząc. Duszno było w chacie; woń topniejącego wosku i płonącego tłuszczu obciążała atmosferę i robiła ją ckliwą i nieznośną.

Powoli ludzie wysuwali się do sieni, gdzie Bartuś już po raz setny ściskał Podolca i powtarzał: „Pombóg wam to wynagrodzi z wysoczyńkiego nieba", i zawracał oczyma, i wznosił ręce, i kręcił głową. A Podolec żegnał się nabożnie, oblizywał się, pił i dopowiadał:

— Żeby ta duszyczka wysłużyła się jak najprędzy u Pana Jezusa! Zdrowie kumie!

— A niech ta i wam da Poniezus jak najlepi, co se ino umyślicie. Pijcie zdrowi!

Wychylono. Podolec zaproponował:

— Jeszcze jeden.

— Jeszcze dwa.

Znowu wypito, i znowu Podolec przemówił:

— Źle samemu na świecie. Co dobre, parą chodzi.

— Pijcie zdrowi!

— A jeszcze jeden? Boh w Trojci probuwaje, jak mówią Rusiny.

— A niech wam ta Poniezus da tyle w dziesięcioro.

— A wasze zdrowie kumie? Tażeście ostali gdowiec i sierota niby ten ułymny, abo jaki krypel, co to je przez ręki abo przez nogi.

— Oj! święte wasze słowiczeńka. Już ta nicht taki głowy z układami ni ma, jak wy, panie de-do-du-da-putowany.

Ślinił się chłop, ocierał rękawem wąsy i oczy, a język już mu kołkiem stawał.

— A wasze dzieci? — mówił nieprzebrany w pomysłach Podolec. Taż ta nieboraczątka ostały przez matki, te biedne sierotki, pęczuszki, chrobaczki, niby jakie ciele, co to go odsadzili i ono je przez kapeczki mléka.

— Oj to to!—krzyknął Bartuś i obrócił pijane oczy dokoła—sierotyńki moje, parobki jedyne, dziewki mizerne; oj loboga, loboga, co ja pocznę z wami? I ryknął przeraźliwie.

Wszyscy stali w milczeniu, szanując boleść tak usprawiedliwioną, a wdowiec patrzył w koło iskrzącém, choć błędném okiem, aż dojrzał za progiem wyrostka, w brudnéj koszuli, rozchłestanéj od wierzchu, przez którą przeglądał brzuch obwisły.

— Tomek! jucho sobacza!—krzyknął—a pudziesz tu! Chyć pana Podolca za rękę, pana de... do... da... pana krzesnanka, za takie śliczne słowa, a unor mu oddej! słyszysz? Ty psia skóro bycza!

Przyszedł malec, jak dziki zwierz do klatki, ucałował tłustą rękę Podolca, otworzył usta, włożył w nie palec i w téj kontemplacyjnéj pozycyi pozostał, poglądając wytrzeszczonemi oczyma to na ojca to na deputowanego.

— U mnie—krzyczał Bartuś—dobre słowo piniądze warta. Co to piniądze? Więcyl niż piniądze, niż złoto, niż śrybło!

Bił się w piersi i patrzył w koło wyzywająco. Ale Podolec daléj poglądał na flaszkę zakochanym wzrokiem.

— A wasza biedna chudobyńka?—mówił—chto ją bedzie doglądał, a glańcował, a śtrajchował, kiedy nieboszczążteczka nima? Żeby wam sie chudoba wiedła kumie!

— Pijcie zdrowi!

— Do was, somsiedzie!

— I do was.

— Siła kropel, tylo fortuny.

— Niech ta i wam Pombóg da, co se ino umyślicie.

— Jeszcze jednê do wszyćkich somsiadów, co tu są.

— Jeszcze jednę.

— Żeby wam sie żytko rodziło i pszeniczka i jęczmień. Ze snopka korzec.

— Dej Boże i wam. Jeszcze jednę!

— Nie zawadzi! Niech wam sady zarodzą.

— I wam.

— I wam — powtarzali kolejno sąsiedzi. Każdy pił, wstrząsał się, spluwał i ocierał usta połą płótnianki. Bartuś co chwilę zwracał się do Podolca, ten zaś nalewał ostrożnie, nie roniąc ani kropelki, przepijał do każdego, lał w siebie, jak w otchłań, trzymał się prosto i mówił coraz układniéj i coraz słodziéj.

— Pánie kumie—rzekł słaniający się Bartuś—ono to raz na każdego przyjdzie okazyja, jak i na mnie nieboraczeńka (tu przeciągnął rękawem oczy). A jakbyście wy téż chcieli przepraszać przy wyprowadzeniu, to by to było, jak trza, jak to święty nasz krześcijański obyczaj każe... każe, bo każe... przeciek nie psa chowamy, ino świętą duszyczkę krześcijańską. He? co? Pombóg wam to wynagrodzi z wysoczyńkiego nieba...

Ale Podolec udał urażonego. Milczał chwilę, chrząknął, wytarł nos kraciastą granatową chustką z nieodzownêm w takich chwilach trąbieniem i począł cedzić:

— Bo to widzicie: maść chłopa łojem, a on śmierdzi gnojem. Że z wami gadam i troszke se porajcuje, to wybyście chcieli mną sie wysługiwać. Oho! Wara! Podolec to nie wy! Chcielibyście mnie wziąść na sznaps! Nic z tego! Co to je sznaps? Nic sznaps. Śmiecie sznaps. A dzie je gield? Macie gield? Co?

Ponieważ milczenie panowało wkoło, Podolec zaczął łagodniéj:

— Jak ja przepraszam przy umartym, to żaden kaznodzieja mi w to nie utrafi! Niech tu proboszcz przyjdzie, co powié? Hę? Słyszeliście w całym becyrku, czy chto tak przeprasza z układami, jak ja? co? Jagem przepraszał u Szczekota, u Wnęka, u Bochnaka, to jaż nud chytał wszyćkich. To mi i zapłacili, i zboża dali, i pić dali, ho ho! Trynk! trynk! To ja wam tak powiem: Wszyćko ma swój forszryft. Je taka abo siaka cyna i koniec. Spierać sie nima o co. Idźcie tiutioń kupować i targujcie sie ze żydem, cy wam go da tani. Nie! bo on ma forszryft od tego. A ksiądz? Od pokropienia je cyna, od ornatu je cyna, od kapy je cyna—i on wam nie spuści, ino powie: chcecie tylo dać, to ja wam zrobie pogrzeb nieprzeczwarny—ino pokropie; a chcecie, żebym na cmyntarz szał, to dejcie, siła reglama mówi.

Oszołomiony tą allokucyą, Bartuś słuchał z głupkowatym wyrazem twarzy i nie rozumiał nic, nie wiedział, dla czego Podolec się gniéwa, i stał jak człowiek, któremu nagle na głowę konew wody wylano. Odgadł tylko myśl przewodnią tego przemówienia, albowiem na wszelkie zaloty do swéj kieszeni był bardzo czuły.

— No, to siła chcecie? — zapytał. — Ja dam! Koszulę przedam a dam, abo to psa chowamy? nie świętą duszyczke krześcijańską?

Podolec wzbraniał się:

— E! to nie la was.

— Co nie la mnie? Jak to nie la mnie? Albo ja co gorszego niż Szczekot? Ino powiedzcie, siła chcecie: Ja dam, niech co chce bedzie, dam i stype wyprawie, jak sie patrzy, a niech ta ty duszyczce bedzie lecy na tamtym świecie.

— Bo to widzicie — mówił Podolec — na wszyćko je cyna, forszryft. To ja mam taki forszryft od samego cysarza, że mam za przepraszanie brać ryńskiego.

— A ja dam ryńskiego; co nimam dać? Abo to psa chowamy?

Powtarzał ciągle frazes, rozpasał trzos i dobył zeń szmatkę związaną. Zgrabiałemi palcami rozwikłał kilka węzłów, rozwinął kilka szmat, aż się dobrał do jądra zawiniątka i począł drżącemi rękoma przeliczać brudne szóstaki. Liczył długo, spocił się, usiadł na progu, a pieniądze dwoiły mu się i troiły w oczach. Przeliczył nareszcie, ścisnął w garści i, patrząc ciekawie Podolcowi w oczy, pytał nieśmiało:

— A dwa cwancygiery bedzie?

— Ani dudka mni. Abo dacie trzy cwancygiery na starą modę, abo ryński na nową.

— Bo ja tu haf ni mam ino pół cwancygiera jeszcze i jednego ósmaka.

— To mało.

— I dwa dutki.

— Mało.

— Jeszcze haf mam jednego ósmaka.

— Co to wy myślicie, że ja żyd, jud, judasz, żebym sie cytolół? Abo mi dejcie ryński, abo nie bede przepraszał.

Poskrobał się wdowiec w głowę, stęknął, dobył innéj szmaty z trzosa, wyciągnął kilka nowych, lecz zmiętych i zbrukanych banknotów, zmoczył palec w ustach i oderwał jeden papierek. Był to nowy „ryński śrybny".

Podolec natychmiast nabrał miny. Wszedł do izby i wkrótce dał się słyszéć głuchy stuk młotka, przybijającego wieko trumny; pisk dzieci, lament kobiét i krzyk wyrostków zerwał się nagle, jak burza, i wnet drzwi od izby rozwarły się szeroko, aby przepuścić niosących trumnę. Trzymając czapki w rękach, wsparli ciężar na progu chaty, stuknęli weń trumną na znak pożegnania trzy razy, poczém złożyli ją na wozie, wymoszczonym grochowiną.

Podolec stojąc przy wrotach chaty zaczął, żegnając się:

— W imie Ojca i Syna i Ducha św. Amen. Pochwalony Jezus Chrystus i Najświętsza matka, rodzicielka Jego.

— Szanowne somsiady, krewne i znajome, dzieci, syny, córki i ty biedny gdowcu! Przyśliście tu wszyjscy na ostatnią usługę tego ziemskiego padołu, chtórą ją robicie, ta jak Poniezus kazał i wszyjscy Święci, ty święty ji pamięci Rejinie. Płaczecie... i ty gdowcu płaczesz. Oj płaczcie, płaczcie, łzami sie zalewajcie, skruche se do serca bierzcie i nauke wielgą i kajajcie sie, boście grzyśni.

Była to starowna gospodynia i somsiadka. Pracowała ciągiem od świtu do nocy, a i w nocy ślęczała przy ożdżarku, to przy chudobie, to w studole i w kumorze, i w oborze i na polu. A co sie nastarała, żyto w czasie wyżąć, pszeniczkę sprzątnąć, krowom trawe przynieść, cieliczkę przysadzić i na pańskie póść. A wiela przyrobiła nowego, wiela sie dochowała: kurek i jajek i cielątek i przysadzków, a z tego była i swoja wygoda i zawdy świeży dudek. A czyi to głowy rozum był prosiaczka przychować i zabić na gody, abo na miesopust?

Ona tém wszyćkiém deręgowała.

A czyś ty, biedny gdowcu i sieroto, spatrzał biedy przy ni? Miałeś chléb i do chleba, i pradło białe jedno na drugie, i chwałabogu ci było. A wy dziateczki, sierotyńki frasobliwe! Umarła wam wasza matka, co was i żywiła i odziewała i o wiano sie starała. Płaczcie, bo już sie wam nie wróci. Oho! już po ni! Już ona wam koszulek nie wypierze, chleba z masłem nie da, jagódki nie urwie, ani głowy nie rozczesze. Płaczcie wszyćkie somsiady, kumy i kumeczki, bracia i siostry, siostrzeńce i bratanki, i wy wszyjscy, siła was tu je, krewne, znajome i przyjaciele! —

Tu lament, jak na dane hasło, wybuchnął w gromadzie, a sam mówca, poddawszy się wrażeniu, ocierał łzy, grube jak groch, wielką ciemno-granatową w kraty chustką od tabaki.

— Ona słyszy tam w trumnie, ino mówić nie może. Język ma zdrętwiały i usta zaparte. Ona gada do was:

Tu głos, monotonny dotąd, podniósł wyżéj:

— „Oto ja ide na męki i wieczne potępienie, bom grzyszna, bo my wszyjscy grzyśni. Tam mnie czeka ogień wieczny i kara wielga. Przepraszam was za wszyćko, com tu złego zrobiła. Przepraszam i ciebie mój myżu, izim cie kiedy nie posłuchała, abo marne słówko ci rzykła, i was, moje somsiady i kumy i krewne i znajome, isim wam wypasła, abo szkode zrobiła, abo kury biła, abo sady obtrzęsła, abo jakie złe słowo powiedziała. Przebaczajcie mi! przebaczajcie!"

Szlochanie, przyciszone uwagą, zerwało się jak zawierucha i buchnęło jękiem okropnym. A mówca, wstrzymawszy się chwilę, tak rzecz daléj ciągnął:

— „Już idę do Pana Jezusa na sąd jego święty. Nie zapuminajcie o mnie, dejcie na msze świętą, ochfiarujcie jamużne dziadom, bo mnie kara straszna czeka.

Siedemdziesiąt grzmotów zagrzmi, siedemdziesiąt pieronów bedzie biło, święty Michał zatrąbi na trąbie trzy razy, od wschodu słonka trzy razy i od zachodu trzy razy i od południa i od północy trzy razy—a duszyczki wstaną ze ziemi i pójdą na sąd Boży. Pombóg siędzie na zydlu złotym, źli pójdą na lewą stronę, a dobrzy na prawą. Tam bedzie i płacz i wisk i zgrzytanie zębów. Ojciec rozejdzie sie ze synem, matka z córką, siostra z bratem, mąż ze żoną, żona z myżem, krewni od krewnych, znajomi od znajomych, somsiady od somsiadów — a Poniezus bedzie sądziół."

Gdy Podolec się wstrzymał, zawodzenia buchnęły znowu; „ujuj-juj!" „oloboga", „najsłodszy panie Jezusieńku" odezwało się zewsząd. Mróz przeszedł po kościach obecnym, szczególniéj na wiadomość o tylu

grzmotach i piorunach, mających odezwać się razem. Mówca stopniował wrażenie.

— „Bedzie wtędy lament wielgi i płacz nieznośny. Dziecko bedzie wołać na ojca: „Czemuś ty mnie ojcze przykarantności nie dawał, do kościoła nie posyłał, inoś mi tak przepuszczał, żem sie bikowało, ojca, matki nie słuchało, na starszych rękę podnosiło?" A córka bedzie wołać na matke: „Matko, matko! wielgą ja pokute cierpie przez twoje niechcenie. Czemuś mnie pacierza nie uczyła, ojcu bić nie dała, jak pasa rozpasywał?" A matka bedzie wołać na syna: „Synu! ja ciebie wychowała, piersiami wykarmiła, majątek ostawiła. Daj mi choć krople wody, bo strasznie mi sie pić chce. Tobie je chwałabogu, masz wszyćkiego lusztykiem, jesz, pijesz i używasz, a matka twoja w ogniu sie smaży. Jedna kropelka wody, to wielgie pokrzepienie w tych ogniach czyścowych." A bogacz bedzie wołał: „Oj! czemu ja używał, sieroty i gdowy krzywdziół, z ludzki krzywdy żył, dziesięcine oszukował, postów nie obserbował, księdzu na msze żałował, dziadów szczuł psami, a teraz wieczne potępienie tu cierpię. Zlituj sie synu dziedzicu! Dej na kościoły, na ubogie gdowy i sieroty te ludzką krzywdę, com z ni żył".

Znowu przerwał, odsapnął, otarł pot z czoła, ale nikt nie śmiał drgnąć, tak wszyscy byli przybici zgrozą i przerażeniem.

— „Wszyćkie duszyczki zwrócą sie do Pana Jezusa: „Panie Jezu! poślij nas jeszcze raz na ziemie, bedziemy wiedziały, jak trza żyć". Ale Poniezus jim powie: „Ruszajcie przeklęci na ogień wieczny". Siedemdziesiąt siedem grzmotów zagrzmi, siedemdziesiąt siedem pieronów bedzie biło, święty Michał zatrąbi na wszyćkie sztyry strony świata. Wtedy piekło się przewróci, dusze sie wysypią i polecą na bezedne piekło. Jedna dusza se złamie rękę, druga nogę, trzecia głowę rozbije, czwartéj się kości rozlecą, piąta se skóre zedrze i polecą na bezedne piekło".

Jako muzyk biegły, który ujął swój temperament w kluby i wytrzymał pauzy mimo niecierpliwości smyczka, tak Podolec czekał i trzymał zgromadzenie w naprężeniu, aby tém silniéj werznąć w nie pamięć swoich słów:

— „Na takie męki ja idę, na taki sąd sie wybieram. Dziękuję wam, wszyćkie krewne, znajome i przyjaciele, żeście ta przyśli na ostatnią osługę tego ziemskiego padołu. Przebaczajcie mi wszyjscy, bo ja ide na straszne męki. Nie zapominajcie o mnie, nie zapierajcie sie, pacierz mówcie, jamużne dawajcie." — Tak mówi do nas ta duszyczka, jakby jeszcze mówić mogła. Odchodzi od was i ostawia wam pełne

kumory, nie próżne obory, chléb i do chleba, i czego ino potrzeba. Nie żałujcie na biednych i na kościoły dawajcie z pola i z chałupy i ze stodoły, żeby sie ta duszyczka wysłużyła i w niebie była, choć za tylo lat, siła liści na drzewie, siła piasku nad wodą, siła wody w morzu, siła gwiazd na niebie, siła ludzi na ziemi. Amynt.

Płacz już ścichnął; ludzie przeciągali swe członki, jakgdyby znużeni pracą uciążliwą, i ocierali rękawami oczy. Bartuś z odkrytą głową siadł na wóz przed trumną i krzyknął: wio! Dzieci uczepiły się półdrabków, aby w ten sposób matkę odprowadzić do grobu, Podolec zaintonował:

Już idę do grobu smutnego, ciemnego,

i ruszono przez wieś do kościoła. Kurz powstał na drodze, wiatr rozwiewał włosy pobożnych, którzy biegli spiesznie za wozem, śpiewając z głębi piersi, otuleni w tuman pyłu. Na zakręcie kalwakata znikła między chatami — jeszcze słychać było klekot rozeschniętego wozu i wrzaskliwy śpiew, ale po chwili i to ucichło. W opuszczonéj i otwartéj chacie została tylko słoma na ziemi, po któréj igrało światło słoneczne, w kącie przewrócona lampka i na przyzbie czarny pies, zwinięty w kłębek.

* * *

Po pogrzebie zeszli się zarówno goście zaproszeni, jak i nieproszeni do karczmy. Rozsiedli się w izbie główném wzdłuż odrapanych ścian za stołami niezwykłéj długości — niektórzy stojąc popijali lub rozmawiali, skupiwszy się gromadkami. Za stołem w środku siedział Bartuś, prawie nieprzytomny, otoczony dziećmi i krewnymi — tuż przy szynkwasie zajął miejsce Podolec. Rozmowa się nie kleiła, bo jedni byli jeszcze na czczo, inni już zbyt pijani. Jakiś godownik przyniósł z sobą chleb czarny jak błoto, krajał po kromce, nacierał czosnkiem, posypywał solą i jadł nadzwyczaj systematycznie — zadzielał téż i innych, którzy go naśladowali co do joty. Ale kiedy pod jedną ścianą zaczęło się mielenie chleba, głośne jak kłapanie zębami koni, stojących przy żłobie, obok Podolca zaczęto od czasu do czasu posyłać lotne słowa, próbując rozwiązać języki. Podziwiano więc deputowanego wbrew przysłowiu, że nikt nie jest prorokiem we własnéj ojczyźnie. Uwolniony niedawno od pańszczyzny, lud otoczył swego mniemanego wybawcę niezwykłą czcią. Dociskano się, żeby mu pomódz w robotach polnych za darmo; przy rewizyach za złodziejstwami, które się

wtenczas codziennie trafiały, omijano z szacunkiem jego dom — gdzie tylko się pokazał, pytano, chcąc mu zrobić przyjemność, o jego wizytę u cesarza.

I teraz znalazł się jeden ciekawy, który ośmielony wódką, zapragnął z własnych ust podróżnika usłyszéć opowiadanie. Obchodziło go to témbardziéj, że i on musiał przed trzema niespełna laty złożyć się na wyprawę deputowanego, którego gminy wysłały do Wiednia, aby u stóp tronu złożył skargi i żale ludu na pańszczyznę.

Podolec dzisiaj był dostępny i miły; wódka i spadły z nieba reński usposobiły go czule i wywołały na twarz wyraz wniebowziętego wieprza.

— To wyście byli jaż u cysarza, panie deputowany?

— A jakże. W samym burku byłem, jaż we Widniu.

— A daleko to ten Widzień?

— Ho ho! Sto mil za Przemyślem, a siedemdziesiąt siedem za Lwowem.

— O loboga! I gadaliście ze samym cysarzem?

— Bajno! Ta jak z wami nieprzymierkiem.

Jakiś odważniejszy, zapewne żołnierz z węgierskiéj wojny, wtrącił nieśmiało:

— Kiedy bo to pono cysarz po naszymu nie umi?

— Coby nie umiał? On wszyćkiemi mowami, co ino są na świecie, to tak gada jak wyuczony. To ju je taki dar od samego Pana Jezusa, żeby cysarz wszyćkim narodom wyrozumiał. Od czego cysarz? Ale ja z nim gadał po miemiecku, żeby nam pany nie rozumiały.

Znowu jeden nieświadom biegu rzeczy zapytał:

— To wy umicie szwargietać po miemiecku?

— Jeszcze lepi niż po naszymu. Bo to ja sługiwał jeszcze pastuchem i pogoniczem u Miemców w Gilarowy, [1]) tom sie tam z małego wdrożół i tagem sie wyrychtował, że mnie żaden Miemiec nie chyci, choćby zakałki na mnie szukał.

— Hej hej! co to znaczy głowa! — mówił chłop uszczęśliwiony łaskawością Podolca—to wyście se ta dopiéro u Pana Jezusa łaski zapopadli, że wam dał takie układy w głowie. A jak wy se z panami dali radę, kiedy powiadają, że pany do cysarza nie puszczą?

— Coby nie puściły?—żachnął się deputowany. — Jagem wzion po miemiecku szwargietać, to pany jaż sie za głowy brały, tak jim sie

---

[1]) Giedlarowa, wieś obok Leżajska. Część gruntów téj gminy zajęta jest przez kolonię niemiecką Gillershof.

to dziwno wydało, i myślały, że jaki obcy, co do cysarza idzie, i la tego mnie puściły.

— Aha! to może la tego z inkszych becyrków deputowane do cysarza nie doszły, że po miemiecku nie umiały?

— Juści, że la tego.

Więc piersi prawych Ubieszan wezbrały słuszną dumą. Wszak z pomiędzy tylu gmin, które deputowanych wysyłały, im jednym dano było, że ich wybraniec doszedł do celu. Jedyny ich wybór padł na człowieka, który dorósł zadaniu. Poczęły się więc szepty i mruki, parami lub co najwyżéj trójkami — a widomym znakiem tego, że w każdéj gromadce o ważnych gadano rzeczach, było kiwanie głów, głuche: hej, hej, mocny Boże! i tym podobne wyrażenia uczuć. Jeden Bartuś opowiadania nie słuchał i teraz wrzasnął, aż szyby zadźwięczały:

— Szaja psiakrew, wódki!

Poczém zwracając się do dzieci, monologował:

— Ty, psia skóro bycza, ty!... A niech ta!...

Reszta gromady, zgorszona tém niewytłumaczoném postępowaniem, otoczyła tém ściśléj deputowanego — z sąsiednich ław ludzie się zbliżyli i zaglądając ponad głowy siedzących, łowili uchem nieocenione słowa. Interlokutor aż się zarumienił, że jemu przypadło w udziele brać Podolca na pytki, i ciągnął:

— No! i jak was tam cysarz przyjon?

— Ba ta jakby?—mówił deputowany z miną człowieka, któremu takie drobnostki, jak pobyt u cesarza, są chlebem codziennym.—Ide ja se tam do burku, a tam strażników moc i wojsko do okoluteńka, jaż po mnie sitarki przeszły. A wszyscy to tak grają i strzylają, że jaż łuzgot. A ja tak ide i ide, nicht mnie ta nie zarywał, bo myśleli, że to jaki swój, kiedy tak odważnie sadzi do cysarza. Jażem przyszał do cymbry, dzie je cysarz. Tagem otworzół, czapkem zdjon i pod kolana go chyciółem, bo to przecie cysarz i uszanowanie trza wiedzieć, jakie mu dać.

— A co cysarz robiół?

— Ba! siedział na ławie plecami do dźwierzy, taj pozierał we złoty śpigiel na oknie i golół sie.

— Golół sie!...

— Bajno! golół sie. Razirmeser miał ze złota...

— A pieknie tam u cysarza?

— Ta pewnie, że nie tak jak u was, abo choćby i u mnie w chałupie. Co tam u cysarza dobrów je, to i napozierać sie ni można i w ślepiach sie jaż mieni. A wszyćko szczyre złoto.

— Szczyre złoto!

— Na ścianach świątki złote, pod ścianami ławy złote, a wszyćko przykryte pulankowemi płachtami, żeby sie nie walało.

— A pocóż ta jemu tylo złota? Jedna osoba! Żeby to tak mnie dał choć gwoździk ze ściany, abo noge od ławki...

— No to i co byście zrobili?—pytał Dudek, zły, że przerywają opowiadanie, tak słuchane i tak ciekawe.

— Ba, kupiółbym se nasz dwór — odparł niezmieszany, chcąc dowcipem zatrzéć niedobre wrażenie.

— No i cóżbyście we dworze robili? zapytał Podolec z politowaniem.

— Ta co? Dobrzebym jad, piół, drogi tiution kurzół, nic bym nie robiół. Kazałbym se do pokoju przynieść równy żytnianki jaż pod po powałe i leżałbym bez cały dzień.

Zaczém różne się posypały żarciki. Jedni szydzili z niewybrednego gustu mówcy, inni opowiadali, coby robili, gdyby zostali „panami". Tymczasem Podolec, który przez ciągłe powtarzanie nauczył się już swego opowiadania na pamięć, zagniewany, że mu przeszkodzono w deklamacyi, przerwał wynurzenia wzajemnie i rzekł:

— Mówicie, po co cysarzowi tyle złota? Ba, jakby można było poznać, że to je cysarz?

Argument był silny, więc wszyscy umilkli i natężyli uszy, a Dudek zapytał:

— I co wam cysarz powiedział?

— Ta coby? Jak mnie ino uźrał, tak pojada: „Wigiec Podolec", co to niby znaczy: jak sie macie Podolec?

— To was poznał? pytano z różnych stron.

— Ba jakże? Was toby ta żadnego nie poznał, ale mnie to zaraniuteńki poznał?

— Hej, hej! mocny Boże! powtarzano w koło, zazdroszcząc szczęśliwcowi.

— Tak potém zaraz gada — ino to wszyćko po miemiecku: „To wy" powiada „z Ubieszyna?" „A z Ubieszyna najaśniejsza munarcho". „I co tam?" powiada „dali pańszczyzne robicie?" „Ta robima panie cysarzu". „Sakra" powiada „krucyfiks, a co mnie tu te pany piszą, że już pańszczyzny nima". I tak sie wam zmarkociół, że jaż strach. Potém sie poźrał na mnie i powiedział, ale wam tak strasznie, że jażem sie zląk: „Ja tam" powiada „dam znać, żeby mi to w ty chwilo to wszyćko het do imienia było skasowane" powiada. „Ta ja tu je przysłany" mówie „żebym o to prosiół". Ale on mi gadać nie dał, ino powiada: „Nie potrzebujecie" powiada „o nic prosić, bo ja pada „sam wiem, co moim ludziom potrza" powiada. Tak ja mu sie znów do kolan skłoniół

i chce wyść, a on powiada: „Zaczkajcie" pada „bo wy z drogi, to możebyście co zjedli?" „Tać ja ta nie o głodzie" mówie mu „bom se wyszał po śniadaniu i chleba se kucek wzionem, masło mam", powiadam, „w przylipce, a ta i zakrzętów ze mna nima co wiela robić, żeby sie ta", mówie, „najaśniejsza munarcha fatygowała". I tagem sie wzion spraszać, bo to jak to u takiego pana jeść, co to i usieść bym przy nim nie śmiałował. A on do mnie ostro, że to niby je nie unor, jak on każe, żeby go nie słuchać. Tagem sie zląk, żeby mnie do heresztu nie kazał zamknąć za nieposłuch, bo to je niesubordynacyja wielga cysarza nie posłuchać. Taj powiadam: „co tam łaska wasza, najaśniejsza munarcho, to mi ta dejcie, co Poniezus dał". A on poszał do balkierza i woła: „Cysarzowo! cysarzowo! a chodź no tu. Ugotuj ta jaśnicy, bo tu" powiada „deputowany przyszał do mnie jaż z Ubieszyna, toby ta" powiada „i zełknął co". A cysarzowa wyszła, taka śliczniutka, jak obrazikjaki— jaż mi sie w oczach mieniło. I przyniesła mi jaśnicy na złotym talerzu i łyżke mi złotą dała—a chlebuś to tam taki bielusieńki jak wapno. Tagem se podjad, a potemem sie przeżegnał, bo to u takich panów, to trza wiedzieć, jak Boga pochwalić i za ten brzuch strawy. A cysarz już wyrychtował pismo i pieczęć z krajcem przybiół — bo to ino cysarzowi wolno mieć krajc na pieczątce. Inksze pany to mają jakiesi kryski i psy, abo koty, a cysarz ma krzyżyk.

Toście widziały chłopy i to pismo i tę pieczęć, co to jagem tu przynies, to pańskie ustało.

— Ta coby my nie pamiętali? — mówiono w koło — bedzie dwa roki i niedziel kila, jak pańskie zginęło, to se dobrze szatramy.

I tak po raz zapewne setny opowiadał Podolec swoje przewagi, a spragniona ludność, dumna ze swego współobywatela, nigdy się go dosyć nasłuchać nie mogła. Kiedy się ta uczta duchowa skończyła, każdy chwytał jakiś okruch specyału i unosił go z sobą. Ten, gdyby był na miejscu deputowanego, byłby poprosił cesarza o setkę, tamten byłby ukradł nóż, albo łyżkę, skoro były ze złota, ów byłby został przy cesarzu, aby mu „buty pucować". Dziwiono się również Podolcowi, że wróciwszy z tak zaszczytnéj podróży, chodzi pieszo i „nosa nie zadziera", bo ten by już odtąd kazał się nosić „na chordakach", tamten nawracałby bydło z konia. Jeden Bartuś krzywo patrzył na deputowanego, dawał pić najbliższym siebie i chwalił się buńczucznym pogrzebem, jaki żonie sprawił. Powtarzał co chwilę:

— A niechta! Ty psia skóro bycza! Żebym tak nie uważał!... Tu go czułość zebrała i zaczął płakać:

— Zmarło sie biedaczce, zmarło. Fik! i już ji ni ma!... I my pomrzemy... tak! tak.

— Oj tak! tak, powtórzył sąsiad.

— Kumie! napijma sie! Szaja! Szaja psiakrew! ty żydzie! wódki! jak mówie: wódki, to: wódki! rozumiesz?

Żyd uwinął się w lot, Bartuś opowiadał, jak był u kościelnego i zamawiał podzwonne. Krzyczał piskliwie, bił pięścią w stół, a głowa spadała mu na ramiona, lub na piersi, albo biła w ścianę, niby dynia na sznurku:

— Zwoń, psiakrew! a zwoń, jaż ciebie i ją dyabli wiezną!

Uśmiechnął się głupowato i kłócił się z kościelnym, którego nie było w karczmie.

— Trza piniędzy? dobrze. Abo ja nimam, cy co? Zdjonem krzos oto! tak—odpasał trzos—dobyłem piniądze—dobył je—i łup! mu w ślepie!—rzucił garść pieniędzy na stół.—Zwoń, psiakrew! a zwoń, jaż ciebie i ją dyabli wiezną!

Zaczął zbierać rozsypane pieniądze, ale cienka moneta nie dała się podjąć grubemi palcami, więc zmiótł je na dłoń jak śmiecie i ścisnąwszy w garści znowu krzyczał:

— Trza piniędzy? dobrze! Zwoń a zwoń, psiakrew, jaż ciebie i ją dyabli wiezną! I, łup mu w pysk!

Ale teraz pieniądze rozsypały się po stole i po ziemi. Pijany chłop rychło je zgarnął ze stołu, poczém wszedł pod stół i zaczął szukać pod nogami siedzących. Zgarnywał, przeklinał, rozciągnął się na podłodze jak długi, próbował pełznąć za miedziakiem, ale głowa mu się zachwiała, nosem uderzył o podłogę, jeszcze krzyknął:

— Trza piniędzy? bierz! A zwoń... a zwoń... a!... psiakrew!... i zasnął pod ławą.

Ne jego miejscu rozparła się wygodnie stara Wichta Gajowa, którą tylko krótki siwy Zalot oddzielał od Podolca. Gajowéj bardzo było przedtém niewygodnie, gdyż mając zwyczaj spluwać co chwilę za siebie, nie mogła tego uczynić ani razu, ściśniona przez dwu chłopów. Obecnie, gdy jeden się usunął, uczyniła zadość swojéj potrzebie, wytarła palcem usta, szczególniéj w kącikach, i daléj unosiła się nad mową pogrzebną Podolca:

— Siedemdziesiąt, pada, grzmotów zagrzmi, siedemdziesiąt, pada, (Panie Jezusie ochraniaj, żebym w złą godzinę nie wynurzyła naprzeciwko) pieronów bedzie biło...

— A kiedy to? — spytał Zalot — cy przed sądem, cy po sądzie?

— Widzi mi się, że po sądzie.

— Ale! Ja se dobrze miarkuje i tagem to wykarkulował, że po sądzie bedzie jaż siedemdziesiąt i siedem.

— Ale! co gadacie?—sprzeczała się baba.

— Ja wam gadam, Zalot wam gada, że tak.

— Nieprawda?

— Prawda!

— Załóżmy sie.

— A no! załóżmy sie!

Więc kłótnia powstała zawzięta; kilku się do niéj wmieszało, jedni biorąc stronę chłopa, drudzy baby. Wszyscy w tych teologicznych wątpliwościach poglądali skosem na Podolca; była to bowiem jedyna wyrocznia nieomylna, zdolna jedném słowem uchylić niepewność;—ale deputowany w nieprzystojne, karczemne gwary mieszać się nie raczył, zasunął grube powieki na oczy, wsparł tył głowy o ścianę i tak pozostał zadumany, czy śpiący.

Kiedy ci się tak kłócili, sąsiednia gromadka rozpamiętywała niedawną chwilę, w któréj Podolec z Wiednia powrócił i przyniósł pismo, że pańszczyzna zniesiona. Zdumiewano się nad złą wolą „panów" którzy, drwiąc z tego aktu, pędzili ludzi do roboty, i żałowano, że w roku czterdziestym szóstym tylko na czterdzieści ośm godzin było pozwolenie, aby panów bić. Przypomniano sobie opór, stawiany dworowi, i biédę, kiedy wojsko przyszło „po zakucyi" do Ubieszyna, do Tryńczy, do Dębna i t. d. Podolec już się wybierał po raz wtóry do Wiednia, aż tu nagle, we dwa miesiące po jego powrocie, „przyleciało akosi w maju" z Wiednia, że pańszczyzna zniesiona. Radowano się więc, że tak Wiedeń „chycił" panów za zanadrze.

W samym kącie niestary chłop w „kabacie" wojskowym wołał na syna, może dwunastoletniego:

— Jonek! Jonek! ty moneta przeczysta! ty drobna litera! ty dziedzic mój! chodź tu! napij sie wódki żałobny!

Przysunął się wyrostek, napił z ojcowskiego kieliszka, skrzywił się, splunął i dostał dłonią w łeb od ojca:

— Ty na to nie pluj! bo ty nie wiész, co dobre.

A kiedy chłopak się odsunął, ojciec znowu wołał:

— Chodź tu! moneto moja! dziedzicu! chodź tu! Chodź tu, psia krew, masz wódki żałobny!

Znowu chłopiec się przysunął, znowu napił i znowu wziął placka w łeb. I ten manewr powtarzał się kilka razy.

Za drugim stołem siedziało dwoje staruchów, małżonków. On ręce wziął za siebie i oparty grzbietem drzémał, ona pięści i łokcie ułożyła na stole, na pięściach wsparła brodę i drzémała. Długo trwało to spanie, aż obudził się stary, wyjął prawą rękę z poza siebie, przetarł oczy i krzyknął:

— Franka!

— A co? wrzasnęła, zrywając się ze snu, przerażona małżonka.

— A wiész ty, jak owce kują?

— A bo to owce kują?

— A kują.

— A jak?

— A tak: Sztyrech chłopów bierze owce i przewraca do góry nogami i tak ją trzymają. A potém do kużdy nogi przyłoży sie podkówkę i przybija gwoździkami.

— Przeciek owca nima kopyt, ino ratki.

— No to co? To ta są już takie podkówki śtuderne, co mają gwóźdź rozłupany na końcu i to się wkłada między ratki. Potém sie ten gwóźdź rozłupany, po wierzchu przykręci i przyklepie na dwie strony tak, żeby z ratek nie spadło.

— To ją to musi boléć?

— Ha! cóż robić? musi cierpieć.

— O lobożyńka.

I znowu baba ustawiła na stole obie pięści, wsparła na nich brodę i usnęła, a chłop włożył dłoń za siebie, aby go od ściany nie gniotło, zwiesił głowę i usnął. Ta rozmowa była jedyną, jaką prowadzili, od kilku lat małżonkowie w przerwach między spaniem, drzémiący zawzięcie w chałupie, w karczmie i w kościele.

Włódarz dworski wszedł do izby i wstydliwém okiem wodził dokoła. Ośmielono go wkrótce i zapytano, czy przychodzi na wódkę, czy po interesie?

— Te! i wódki sie napije, i jenteres by ta był, ino co nie bardzo śmiałuję.

— To powiedzcie!—wołano dokoła.

— Te! żeby ta wójt byli, abo podwójci, to bym ta prędzy powiedział.

— Wójta nima, wójt na weselu — ozwała się z pod pieca jakaś kobiéta niestara, ubrana nader przyzwoicie — ja tutajki na nich czekam. Wesele pewnikiem do karczmy przyjedzie, to zaczkajcie i wy głódarzu.

— A wy tu czego czekacie, Prasołowa?

Kobiéta nagle dostała ataku wymowy, bo zerwała się i zaczęła recytować, jak z pisma:

— A by jich ciężka choroba zadusiła, by jich nagłe nieszczęście trafiło, by sie nie dojedli, za moje krzywdę, za moje pracę; by jich porozsadzało...

— Kogo?—spytał włódarz ze zgrozą.

— Ba, złodziejów! Okradło mnie ty nocy...

Tu zaczęła płakać i, ocierając łzy, mówiła z szlochaniem:

— I żupan ślubny, i korale, com miała od mamuni... za sto śrybła bym jich nie dała... i kożuch nowiuteńki. Mój miał go cosik ino ze dwa razy na sobie do kościoła bez zimę... i spodnic dwie sukiennych, jedna czerwona, druga zielona... i koszul pulankowych sztyry, i dwie chustki do zaodziéwania... a!... moja praca, moja krwawica! I sadło nam wzieny jeszcze nie napoczęte i żyta pumacek... Że ja sie téż głupia nie pohadała. Nie szłam rano do kumory, a tam kłódka przekręcona—dopiérom sie teraz poszatrała — a co ja téż biedniuteńka poczne tera na świecie?

— A dzie są wasz?—pytał włódarz.

— Ta chodzi dokoła obeścia i śladów poziéra, ale bo ta co obaczy? To musiały przyść jeszcze przed rosą—a jak my sie popamiętali, het po ranu, to ju obeschło. A! żeby jich nieszczęście potkało, żeby jich nagła śmierć wytłukła, żeby jich siarczyste pierony wytrzaskały.

Mróz przeszedł po wszystkich na to najstraszniejsze z przekleństw; ocknął się deputowany i ozwał się surowo:

— Nie publikuj, kobiéto, nie wydziwiaj, nie szkaluj, nie rób szkandału, żeby się to na ciebie nie obróciło, co z przeklętnego pyska wypuścisz.

Podobały się ogólnie rozsądne słowa mówcy, kobiéta się zmitygowała, a włódarz znowu zapytał:

— Piniądze-ście mieli?

— Ta było pięćdziesiąt śrybła, i to psiekrwie zabrały, a żeby...

Ale Podolec przerwał:

— Ej! chieba jeszcze coś brakowało do pięćdziesiątki?

— A wy skąd wiecie?—zagadnął włódarz.

Zaczerwienił się Podolec i krzyknął:

— Ty mnie za słowa nie łap, pański podlizajku, żydowski parobku! Ja se tak prawie, żeby Prasołowa nie przeklinała.

Prasołowa tymczasem odrzekła zdumiona.

— Ta ino putora cwancygiera brakowało.

— A widzisz!—rzekł tryumfująco deputowany—nie przyczyniaj, bo cały sąd na nic. Bo isiś ty straciła pięćdziesiąt, to złodzieje, co ukradły czterdzieści dziewięć papiérków i putora cwancygiera, nie ukradły u ciebie, ino dzieś indzi. Pamiętaj-że to.

Do smaku wszystkim poszła ta roztropna nauka Podolca. Przypominali różne wypadki, kiedy sędzia odebranych złodziejom pieniędzy nie kazał oddawać poszkodowanemu, który dla okrągłości przyczynił sobie choć „siajny grejcar". Z tego rozmowa zeszła na trafiające się prawie codziennie kradzieże w Ubieszynie i okolicy i na bezkarność niewyśledzonych dotąd złodziei, którzy od kilku lat trudnią się nader

czynnie swojém przedsiębiorstwem. Daremnie rozstawiono warty gminne, daremnie czuwano po domach i psy czujne trzymano,—jakaś ręka niewidzialna wyłamywała skoble i kłódki, i zabiérała co się nadarzyło.

Podczas téj rozmowy nagle dał się słyszéć turkot wozów i tentent kopyt końskich. Zadudliły skrzypce, zżymnęły się basy, cymbały brzęknęły, zakwilił klarynet, i wesele z powrotem od ślubu spadło na karczmę. Wszyscy obecni stłoczyli się do okien, lub wyszli przed ganek, aby zobaczyć przybywających. Przodem galopowało dwunastu swatów parami, w błękitnych żupanach, w kapuzach baranich, na dwa łokcie wysokich, z harapami rzemiennemi w prawicy. Naczelny swat, Małek, miał w cholewie długą tykę, która ozdobiona u góry czerwoną chustką, stérczała mu nad głową wysoko i zastępowała chorągiewkę.

Za swatami daleko pędził wóz, wysłany grochowiną, na nim stała panna młoda w błękitnym żupanie z czerwoną podszewką, z wiankiem na rozpuszczonych włosach; dokoła niéj siedziały druchny i starościny, a w kielni czterech muzykantów. Za wozem konno pan młody z drużbą. obaj w błękitnych żupanach, obaj w kapuzach baranich, obaj przewiązani pasami materyalnemi — tylko panu młodemu powiewała z wiatrem biała chustka, końcem za pas wetknięta. W tyle inne wozy, pełne gości weselnych, śpiéwających krzykliwie, pędziły cwałem.

Przednik swatów, zbliżywszy się przed ganek, poprawił kapuzę na głowie, kropnął konia harapem, podał się wprzód tak, że głowa razem z nakryciem ułożyła się na końskiéj grzywie, skrzywił nogę tak, że tyka przyjęła poziome położenie, niby dzida do ataku złożona— a podjezdek wyciągnął się jak długi, dał susa i wpadł razem z jeźdźcem do sieni, potém przez otwarte drzwi do izby szynkownéj, gdzie na środku wstrzymał się, jak wryty.

Szaja wyskoczył zza pieca, trzymając w ręku ogromny dzban piwa. Taki poczęstunek, należy się wedle starego zwyczaju pierwszemu swatowi.

Tymczasem inni już poumieszczali swoje konie na karczemnym dziedzińcu, wyprowadzono wierzchowca z izby, weszła panna młoda przy dźwięku muzyki, otoczona druchnami i starościnami. Muzykanci pobiegli zająć miejsce pod oknem, jak każe roztropność. Wesele bowiem kończy się zwykle bijatyką, a muzykańci uciekają wtenczas przez okno, ratując instrumenta. Obecni rozeszli się po kątach, lub wtłaczając ze dworu twarze przez okno, przypatrywali się gościom i tańcom, które się zaczęły.

A kiedy tutaj tak się bawią, w alkierzu naprzeciw drzwi, aby miéć widok na to, co się dzieje w izbie, usiadł za stołem wójt między

dwoma posłusznikami, z których jeden ciągle rękawem płótnianki nos sobie ucierał. Zaczęły się sądy.

Stanęła do rozprawy stara, brzydka kobiéta, pomarszczona, jak suszona gruszka—w głębi zaś każdéj fałdy widać było cień, niby osad ziemi. Ta skarżyła na chłopa, grubego jak niedźwiedź, z ogromnemi barami, ogromną łapą i ogromną głową, z któréj wyglądały małe oczka, niby nasienne zagłębienia na kartoflu.

Kobiéta mówiła, raz po raz nienawistnie poglądając na olbrzyma:

— Przenajświętszy trybularzu! Panie wójcie! Ja je biédna gdowa i siérota, a ten psiskórnik, com go jeszcze małym najduchem zapamiętała, powiedział mi: „ty stara paprzyco, ty hadro!” Co ja za hadra? Jaka ja hadra? On sam je hader. Abo paprzyca? On se poszyderuje ze stary, on nie wié jakie uszanowanie trza dać staremu, ino pysk roztwiera, jak gromadzkie wrota. A pyskalisko ha! Upraszam ja téż przenajświętszy trybularz, żeby go ukarali, żeby wiedział, jaki ukłon ma dać komu. To je obraza unoru.

Wójt zwrócił się z pytaniem do olbrzyma, który stał, nic prawie nie rozumiejąc z tego, co się działo:

— Kumie Wójtyna! powiedzieliście Kurczykowy: „ty stara paprzyco i ty hadro?”

— Ba, ta powiedziałem, — odparł Wojtyna, skrobiąc się po płowéj, jak len, czuprynie.

— Szaja!—krzyknął wójt—dwie kwarty wódki! Jedna la mnie, a jedna la posłuszników. A wy, Bek (tu zwrócił się do posłusznika, siedzącego po prawicy) polecicie do kuma Wojtyny i przyniesiecie jaki fant la żyda. Co bądź: kożuch nie kożuch, siekiéra nie siekiéra. Jak se kum wykupią, to bedzie obsztrofunek. A tera, kumie! legajcie na ławe, dostaniecie pięć kijów za obraze unoru.

— Pombóg wam to wynagrodzi — mówiła Kurczykowa, płomieniejąc z radości — tageście panie wójcie rozsądzili, że i sam Salamun lepiby nie potrafiół.

Ale tu wmieszał się do rozprawy przednik Małek, cięty i bitny chłop:

— Aczemu ty tak powiedział Kurczykowy?—pytał Wojtyny.

— Ba, bo ona mnie nazwała bałą.

— Nieprawda!—wrzasnęła Kurczykowa.

— Ty, Małek, ty sie do rozprawy nie mieszaj!—rzekł Podolec.

— A czemu ja sie ni mam mieszać, jak wójt nie pytają, ino wierzą, chto jim co powié?

— Bo ja ci nie każę—mówił Podolec, kontent z dotychczasowego wyroku, bo nienawidził Wojtyny.

— A wy co mi macie do rozkazywania?

— Co?—wrzasnął deputowany — Ej! ja ci mówię, ty sie ze mną nie zarywaj, bo popamiętasz, po czemu łokieć maślanki!

— O wa! co mi to za puryc!

— Kuszuj!—wrzasnął spieniony i wściekły Podolec.

— A kuszuj i ty!—krzyknął Małek.

Poskoczyli do siebie z pięściami, ale tłum ich rozdzielił. Podolec usiadł w kącie, siniejąc i czerwieniejąc na przemiany, a Małek poszedł do izby pić i tańczyć.

Jakoż muzyka piszczała, kręciły się pary, tupała młodzież, kurz wzbił się w izbie, a w tym zgiełku przeraźliwym, złożonym z kwilenia wiejskiéj muzyki i z bicia obcasów w podłogę, odzywało się od czasu do czasu wrzaskliwe: ho-hop!

Wójt patrzył na tańce, a zarazem myślał, jak tu postąpić w tak zawikłanéj sprawie. Kurczykowa była jego ciotką, Wojtyna kumem—kogo ukarać? Prawda, że Wojtyna czasami mocno „nienamulny,” ale... Tymczasem Bek przyniósł już kożuch, zabrany jako fant. Oddano go natychmiast żydowi za wódkę, któréj cena stanowiła grzywnę.

Zanim tę sprawę skończono, Prasołowa po raz czwarty już przystępowała do wójta, prosząc o sprawiedliwość i wyrzekając na złodziei, z nieutulonym płaczem. Wójt jéj nie słuchał, skrobał się w głowę, nie wiedząc co robić z poprzednią sprawą. Ale fant był już wzięty, grzywna zapłacona, więc lepiéj się mu zdało nie zmieniać wyroku, zwłaszcza że przyznanie się do omyłki ubliżałoby jego powadze. Zaczém otarł usta z wódki i rzekł:

— Kumie, legajcie na ławe.

Zmiarkował Wojtyna, o co chodzi, więc zaczął prosić:

— A panie wójcie! a kumaszku mój złoty! Wybyście ni mieli przeciek sumienia bić swojego kuma. Przecieście dziecko u mnie trzymali. Przecieście kum.

Wójt poskrobał się w głowę:

— Chieba sie pogodzicie, to ino sztrof zapłacicie, a kijów nie dostaniecie.

Ale baba przerwała.

— A mój złoty wójcie! a sędzio sprawiedliwy! Żeby mi te kaczme pełne cwancygierów dawał, to ja sie z nim nie zgodze.

Wójt znowu zaczął szukać palcami w czuprynie rozumu i rzekł:

— Ha! to ni ma rady, ino trza legać.

Lecz Wojtyna prosił daléj. Zniecierpliwiło to deputowanego więc krzyknął:

— Bek! Wlazło!.. nima was? Nie złapicie go za kołnierz i o ławe z nim!

Przyskoczyli posłusznicy, chwycili Wojtynę za kołnierz i już go przywlekli do ławy, wystawionéj na środek alkierza. Zobaczył to jednak tańczący Małek, porzucił danserkę w środku izby i wpadł do alkierza, wołając:

— Wojtyna! aboś to nie worlepnik! Chto tu ma prawo cie bić? Niech cie do regimentu skarzą! A nie trzaśniesz Beka w pysk, Wlazła w pysk, a nie kopniesz ławy! Co to, ni masz siły?

Wszystkie polecenia „kamrata" spełnił Wojtyna z podziwienia godną akuratnością. Rozkrzyżował się i wnet, jak dojrzałe gruszki z potrząśniętego drzewa, odpadł od niego Wlazło, wrzasnąwszy przeraźliwie i trzymając się za twarz, odpadł Bek i poszedł wypluwać z ust krew przez okno; ława zaś odskoczyła w kąt, gdzie wsparłszy się o ścianę, stanęła jak wieko trumny. Małek ciągnął daléj:

— Baba z tobo zaczyna, a ty bedziesz brał kije! Psia krew! urząd gminny. Dwóch w jedny putlonce chodzi i w jeden rękaw nos ucierają, a do gospodarzów i worlepników beda sie brały! Chodź tu hulać i niech chto spróbuje palcem cie uciąć!

Poszli tańczyć do izby, gdzie Wojtyna, nabrawszy otuchy, zaśpiéwał przed muzyką:

A czyje to czyje
Stado giysi płynie?
A moi Kasieńki,
Moi gospodynie—

i zaczął bić w podłogę tak gwałtownie, że aż sęki z niéj wyskakiwały i ściany się trzęsły. Obudzony łoskotem, Bartuś wychylił głowę z pod ławy, dostał w czoło obcasem, wrzasnął, ale ten wrzask oddalił tańczące koła z téj strony tak, że świéży wdowiec mógł nareszcie wydostać się na ławę i usiąść. Przez chwilę mrugał oczyma; febra zaczęła go trząść, głowa mu chodziła, jak nowonarodzonemu dziecku—jednakże mimo czkawki mógł jeszcze wymówić, tylko już powolnym, grobowym głosem:

— A zwoń! a zwoń! a zwoń psia krew, jaż ciebie i mnie. . jaż mnie i ją... jaż ją i ciebie... wszyscy dyabli wiezną... Ale to wszyscy! — wrzasnął na całe gardło.

Febra go jednak dręczyła, więc po chwili zażądał wódki, wypił pół kwarty i uczuł się znacznie zdrowszym. Ciepło mu się zrobiło, spojrzał bezprzytomnie po tańczących i zapłakał:

— Umarła!... biédaczka moja!... umarła... fik! i już po ni!...

Patrzył daléj i w głowie poczęło mu szumiéć. Przed oczyma migały mu jakieś mamidła bez kształtu i wyrazu, zostawiając za sobą białą drogę w powietrzu, zanim przyszły błękitno-czerwone, ciągnące

gnące również kolorowe osłony za sobą. Ale Bartuś wnet w tym zmieszanym wirze dostrzegł Wojtynę, jak uwijał się z panną młodą tak siarczyście, że jéj żupan pod działaniem ruchu otulał ich oboje — i zazdrość mu się zrobiła. Rozejrzał się, otwarł usta i uchem uchwycił dźwięki wiejskiéj kapeli wskroś zgiełku, hałasu i tupotania. Wsłuchał się w melodyę: obertasa grają! A jemu już nogi zaczynają skakać i piersi się podnoszą do okrzyku. Już podniósł się z ławki, ale wnet usiadł, szepnąwszy sobie:

— Żałób.

Siedział i patrzył, a oczy mu się śmiały. Z każdym tancerzem biegał do koła izby, każdą tancerkę przyciskał do piersi — a tu nagle muzyka, „uczynek cy ki dyabli?" stała się tak wyraźna i donośna, jak nigdy przedtém, a tak skoczna, że chłop usiedzieć nie mógł, tylko bił pięścią w ławę, walił obcasami w podłogę, aż dudniło.

— Żałób, żałób—powtarzał sobie. Podnosił się, siadał, oczy mu się śmiały i serce bić zaczęło. Byłby wziął w ramiona pień drzewa i hasałby zapamiętale, ale tak, żeby aż usnął na wieki wśród obrotów. A tymczasem żałoba na niego, tańczyć nie wypada... co ludzie powiedzą?

— Żydzie, wódki!—zawołał, pragnąc tym sposobem rozjaśnić nieco przyćmiony rozum, zastanowić się dojrzale nad swém położeniem i zyskawszy na czasie, jak polityka każe, zadecydować dopiéro tak lub owak.

Tymczasem muzykanci, czy się podmówili, czy ich „zły" opętał, dość, że grają tak ślicznie, jak ich Bartuś jeszcze nigdy nie słyszał. Już chyba i w raju „dobitniejszéj" muzyki niema. Poprostu tony biorą go za barki i poruszają nogami, jak ukryte w ciele sprężyny.

Wypił wódkę i mruknął:

— Te! tać ta ono, co ji ta potém, choćbym i bez całe życie nie chulał? Ona se tam śpi, ręce ma złożone, do Pana Jezusa poziera... a my kiedy ta jeszcze po ty ziemi łazimy, to se ta pochulajmy.

Jakoż wstał z ławy i chwiejącym się krokiem zaszedł popod ścianą do kąta, gdzie sobie wybrał dziewczynę „jak niecółki", objął ją za szyję, mimo niejakiego oporu, podszedł do kapeli i rzucił w cymbały cwancygiera. Ucięli muzykanci, wstrzymały się pary, Bartuś ze swoją tancerką stanął i zaczął, przecierając oczy:

— Ono to na mnie dziś je żałób, a tu wesele i hulają, że jaż hej! To ja je taki: na pół smutny, a na pół wesoły. Zagrajcie mi tak: na pół smutno, a na pół wesoło.

Muzykanci stali zdziwieni, w tancerzach znać było niecierpliwość, bo rozpędzone nogi rwały ich naprzód — aż z tyłu ozwały się głosy:

— Zaśpiewajcie im, to może i zagrać potrafią.

— Kiedy nie umie — odparł Bartuś zafrasowany — a zresztą od czego muzyki, żeby nie wiedziały, jak grać? Zapłaciółem, to mi powinny tak zagrać, jak ja chce!

— Ja wam zaśpiewam, zawołał Małek, i stanąwszy przed grajkami, zaczął na nutę pogrzebową:

Wieczne odpoczywanie
Racz ji dać Panie!

poczém na nutę obertasa:

A światłość wiekowista
Niechże ji zaśwista! hop hop!

Tupnął zapamiętale, aż echo poszło do łóz nadrzecznych, muzycy chwycili ostatnią melodyę i zaczęli: ten smyczkiem drapać po strunach na całą długość ramienia, tamten drążkami biegać po drutach cymbałów, jakgdyby drążki dostały wścieklizny, klarynecista nadął się jak dynia, aż mu oczy krwią zaszły — tłum różnobarwny okręcił się w izbie jak trąba powietrzna, tuman kurzu wzbił się do góry i otulił płowym obłokiem tańczącą gromadę, a ze środka tego szalejącego wichru dobywał się łoskot tupotania, jakgdyby sto cepów waliło w podłogę. Przyśpieszone głośne oddechy mieszały się z szelestem spódnic i żupanów — co chwila ktoś wykrzykiwał: hop hop! lub piskliwym głosem wołał: i—ha! Zaledwie kiedy niekiedy kwilenie klarynetu lub pomruk basowy przedarły się przez tę zawieruchę szumu, tupotu i krzyku. Tańcząca gromada wydawała się jednym stukopytnym potworem, który oszalał, kręci się na miejscu, szumi skrzydłami, bije setką kutych nóg w podłogę i krzyczy i wyje. Cała karczma chodziła, jak żywa, ściany zdawały się dźwięczne, bo tempo i krzyki: hop hop! lub i - hu! rozchodziły się po całéj wsi.

Wesele szalało, bo już trzeba było iść na spóźniony obiad do rodziców panny młodéj.

Ale wójt przerwał uciechę, wezwawszy swatów, urlopników i wogóle całe młodsze pokolenie do alkierza. Siedział przy nim prócz posłuszników Podolec, poglądając z podełba na Prasołowę, która z wypiekami gniewu na twarzy, z nieoschłemi łzami na licach, stała milcząca i zawzięta. Deputowany zimny, sztywny, obojętny, popijał miód dla odmiany i tylko kiedy niekiedy łysnął piekielnym wzrokiem na skarżycielkę.

Naturalnie Małek był pierwszy, który na wezwanie naczelnika gminy się stawił. Za nim szli swatowie w błękitnych żupanach i młodsi gospodarze, nie biorący oficyalnie udziału w weselu, a każdy zgar-

niał wilgotne włosy w tył głowy, ocierał połą płótnianki czy żupana spoconą twarz i rozpinał koszulę na szyi.

Korzystając z téj chwili, włódarz ośmielił się prosić, żeby wójt zechciał zamówić szczególniéj biedniejszych gospodarzy na żniwo do dworu.

— Obo! za darmo już tam nicht nie pójdzie—rzekł Małek.

— Tać ta i pan za darmo nie chce — mówił włódarz.

— No to za co?

— Trzy szóstaki na dzień, na osobe.

— Co? Powiedz panu dziedzicowi, że jak przyjdzie do mnie żąć w jeden dzień, to ja do niego pójde na drugi, na odżyn. Ale za piniądze! Niech se pan piniądze schowa, bedzie jad w zimie.

Mimo tego wystąpienia Małka, wielu się zamówiło, że przyjdą, kiedy się żniwo zacznie.

Wójt, zajęty swemi myślami, nie słuchał téj kontrowersyi, lecz zagaił:

— Znoś ta jakiesi złe sie nalazło i okradło—o—Prasołowę.

— A kiż tam?—zawołano ze wszystkich stron.

— Taż to ju siedemnasta kradzież tego roku,—rzekł jeden.

— Od trzech lat nic sie nie wyjawiło—rzekł drugi.

— To jakiesi sztuderne złodzieje,—zauważył inny.

— Kara boska! — westchnęło kilku.

Milczenie zapanowało ogólne. Przerwał je deputowany, mówiąc z przekąsem:

— Bo tak trzęsiecie! Jak rewidować, to rewidować, to bym nie ino chałupy, ale i pola i krzaki przetrząs! A jakby nic nie było jeszcze wyniesione na insze wsi, abo do miasta, tobym nalaz.

Ale Małek obraził się przymówką:

— Ba! pewnie, że źle trzęsą, kiedy nihdy do was nie zazierają.

— Co? do mnie? do mnie? — wrzasnął Podolec.

— Do was! do was!

Na taki afront deputowany skamieniał. On, dotąd uważany za istotę wyższą nad wójta i radnych, on, któremu ulgi pewne z natury rzeczy się należą, on ma podlegać wszystkim ciężarom na równi z innymi. Zaczerwienił się, zsiniał, porwał się na Małka, potém siadł wyczerpany i mówił spokojnie:

— Ty ze mną nie wojuj, boś ty nie je mój równy!

— Ehe!—odparł Małek z ironią, nabrawszy animuszu przez wódkę — ano!stańcie, obróćcie się plecami, bedziemy sie mierzać, chto większy.

— Stul kusz! — warknął Podolec — cy ja z twoim ojcem świnie pas? cy co?

— Z tatuniem nie mogliście paść, bo tatuś paśli swoje własne bydło w Ubieszynie, a wyście Miemcom paśli w Gilarowy.

— Wójcie—zawołał zrozpaczony deputowany — wieście se tego najducha i zaknyblujcie mu pysk, bo ja nie od tego jezdem, żeby sie z nim swarzyć!

Jakoż wójt odwiódł Małka na stronę i radził po przyjacielsku, aby z deputowanym „nie zarywał". Lecz Małek już całkiem pozbył się pierwszéj lękliwości i nie myślał ustępować. Przed chwilą jeszcze, kiedy się ciął z Podolcem ząb za ząb, drżało w nim serce, bo mu się zdawało, że się „coś strasznego" stanie. Była to bądź co bądź odwaga niemała. Przed Podolcem wszyscy drżeli, sami nie wiedząc dlaczego. Widząc więc, że nic strasznego się nie dzieje, nabrał otuchy, a nawet zaciął się zrobić mu „publikę, niech fafuły nie zadziera". Zaczém zwrócił się do młodzieży i zawołał:

— A no chłopcy! trząść za złodziejstwem, ale za okółką, chałupa za chałupą, bez pardynu!

— Ino deputowanego nie naruszajcie, żeby potym jaka biéda sie nie stała, — upominał wójt.

— A na złość, piersze do Podolca idziema!—wołał Małek.

— Ej! nie deszkieruj! mówił naczelnik.

— A no chłopcy! na odwage!

— To se pójdziecie na własne rezyke, bo ja do tego spółką nie jest,—rzekł wójt, umywając ręce od wszystkiego.

Ruszyli wszyscy, ciekawi, co się stanie. I w nich serce biło i oni spodziewali się czegoś strasznego. Szli z daleka za Małkiem i pytali w duchu: odważy się, czy się nie odważy? Ej! chyba zawróci z drogi. Co ta z takim zarywać?

Małek szedł naprzód wsią, prosto do chaty Podolca. Ważność przedsięwzięcia otrzeźwiła go i zaczął rozumować, aby zagłuszyć trwogę. Cóż mu właściwie Podolec może zrobić? Zaskarżyć do sądu gminnego?—temu od Małka zasię, jako od urlopnika. Sądzić go może tylko regiment, a tam Małek się usprawiedliwi. Bo jeżeli Podolec może być wolnym od rewizyi, dlaczegóżby on, Małek, nie miał być od niéj wolnym? Alboż się na nim jaka plama dotąd pokazała? Albo wójt? Przecież i temu nikt kradzieży nie zarzuci, a i ten poddaje się rewizyi po to tylko, żeby nikt od niéj nie mógł się wyłączać. Do cesarza Podolec nie pójdzie, bo to kosztowałoby go zawiele. Jeszcze za dawną jego podróż wieś jęczy pod długami.

Mimo tego rozumowania, bał się coraz więcéj, im bardziéj się zbliżał ku domostwu deputowanego. Żal mu nawet było, że się na to odważył. Niechby lepiéj kto inny zabrał się do dawania Podolcowi lekcyi i moresu. Człowiek zawsze bywa głupi, kiedy sie za drugich ujmuje. Po co mu było tego? Mógł żyć spokojnie, dokuczać Podolcowi czasami, ale nie brać się z nim do wojny.

Wszelako cofać się już nie można. Śmieliby się z niego wszyscy. W każdym razie przytrze to trochę rogów Podolcowi. Bo albo ten, opiérając się na dotychczasowym przywileju, wypędzi rewidujących od siebie, a wtenczas Małek krzyknie, że się rewizyi lęka, czyli jest złodziejem—albo otworzy przed nimi wszystko, a wtenczas żadna rewizya następna już go nie pominie, czyli, że przynajmniéj raz na tydzień przetrzęsą mu chałupę, komorę, stodołę i stajnie. Już to Małka będzie w tém głowa, żeby żadna rzecz nie została na swojém miejscu. I radował się na samą myśl, jak wszystkie stroje niewieście, których wyobrażał sobie przynajmniéj dwie czubate skrzynie u Podolca, zostaną co tydzień wywrócone i zmięte. Będzież dopiero „prewatna" Podolcowa załamywać ręce i przeklinać! A więc: niech będzie co chce!

Z temi słowy wszedł na podwórze Podolca. Chałupa deputowanego naśladowała niezgrabnie dworek szlachecki. Ganek bez podłogi był w środku bielonego budynku, z obu stron sieni izby mieszkalne. Izba główna, czyli kuchnia, była dymna, jak wogóle wszystkie chałupy na wsi, ale miała wrotka słomiane, zamykające dolną połowę otworu drzwi, podczas gdy się paliło, aby nie wpuszczać dołem zimna wtenczas, kiedy dym uchodził górą. Powała i ściany były czarne od dymu i żużli sadzowych, jak długo używany kociołek. Wszelako na wysokość dwu łokci od klepiska dym nie czernił ściany. Pas ten, wylepiony starannie gliną, był upstrzony floresami, malowanemi wapnem. W wyższym rzędzie szły wzory zrobione przez uderzenie całą otwartą dłonią, umoczoną w wapnie—i te miały nieco podobieństwa do jakichś niesfornych stokroci. Niżéj biegły za sobą szeregiem niby kaczki, namalowane przez domorosłego adepta sztuki malarskiéj. Te robiło się umoczywszy w wapnie grzbiet niezaciśniętéj pięści. Zarówno to „kwiatkowanie" jak i wrotka słomiane były zbytkiem, na który mało kto sobie pozwalał. Zostawiano to dla „wielgich kmieciów".

Gorąco było w chacie, gdy weszli goście niespodziewani. Podolcowa właśnie układała w niecółkach wilgotną bieliznę, posypując każdy szczegół garderoby dokładnie i starannie białym wierzbowym popiołem, który wówczas zastępował miejsce mydła. Niecółki były już pełne i gospodyni oglądała się tylko za parobkiem, aby jéj pomógł włożyć je do rozgrzanego pieca, który potém zalepiano gliną na dobę.

Właśnie wszedł Małek, przy nim ogromny Wojtyna, za nimi Prasołowa, a dopiéro po chwili Podolec i reszta gromady. Małek zaczął:

— Chwalany!

— Na wieki, odparła Podolcowa, mierząc przybyszów podejrzliwym wzrokiem

Małek chrząknął, splunął na bok i otarł usta połą żupana. Wojtyna w też tropy za nim chrząknął, splunął w to samo miejsee i przecierał oczy. Obaj byli onieśmieleni.

— O czém?—spytała Podolcowa.

— Ta... my tu niby przyśli po trzęsieniu,—bąknął Małek, a miał ochotę przeżegnać się. Zarówno godność żony deputowanego, jak i jéj dostatek, odebrały mu zupełnie animusz. Ku wielkiemu zdumieniu, obaczył drzwi przy piecu, znak, że obok musiała być izdebka. Wydało mu się że jest w pałacu.

— Po jakim trzęsieniu?—pytała Podolcowa?

— Bo to niby — cedził Małek, przestępując z nogi na nogę — ty nocy okradło... niby... o... Prasołowe.

Gospodyni zrozumiała i skoczyła, jak oparzona.

— To ty do mnie przychodzisz szukać kradzieży? do mnie? A ty psia krew parobku kasztański! ty gałganie sobaczy! ty...—przerwała, zapłakała się i podjęła dyskurs z nowym ferworem—ty hoczargo! ty szewłogo ty! ty oszywcze parszywy!... A nie pódziesz mi stąd! Jak wiezne pociaska!... pakuj!

Ale Małek na kłótnię skręcił się jak piskorz w ukropie. Wszystko byłby puścił płazem, tylko wyraz: parszywy, wymagał zemsty. Więc krzyknął:

— Kuszuj złe nasienie! Jakbyś nie była złodziejka, to byś się nie zbarała przed trzęsieniem. Ano! chłopcy trząść! każdą niteczkę zrewidować!

— Co? ty złodzieju! ty mnie kradzież zarzucasz! — wrzasnęła Podolcowa.—Poczkaj chorobo! W kreminale zgnijesz! chrobaki cie roztoczą we Wiśniczy! Ty sie na mojego porywasz? Ignac! — zawołała na męża — a nie przetrącisz mu kuszy niewyparzonéj!

Podolec ocierał tylko pot z czoła wielką ciemnogranatową chustką, z któréj tumanem opadał pył tabaki, i drżący stał za drzwiami. Zaczęła się rewizya. Małek z Wojtyną otwarli skrzynię, napełnioną kobiecym statkiem, i zaczęli dobywać spódnicę za spódnicą, chustkę za chustką, oglądając bacznie każdą sztukę i pytając Prasołowéj, czy się do czego nie przyzna – poczém rzucali towar na ławę. Trwało to oglądanie może z pół godziny—tyle tam było bogactwa — aż nakoniec dno się pokazało w skrzyni. Nic jednak podejrzanego nie wykryto. Za-

tém obaj rewidujący chwycili manatki rozrzucone po ławach i wrzucili do skrzyni, jak co padło. Ponieważ zmięte zmieścić się napowrót nie chciało, więc przycisnęli ją wiekiem i usiedli na niém. Podolcowa szalała. Zarówno wściekłość na „publikę“, jak i rozpacz nad zmaltretowanemi chustami, dusiły ją jak zmora.

— No i co? Nalaześ? hę? Ty niewstydniku, ty zawłoko, ty chorobo przeklęta! Już ci dość? co? Czy jeszcze ci co pokazać? Chodź tu! pies, chodź tu! ciuciu na! pudź tu, ty psie parszywy! tu je izdebka, tam je druga skrzynia!

Płakała, targała włosy, drapała sobie twarz, skakała Małkowi do oczu, a ten kontent ze swéj sztuki, choć wiedział, że żadnéj kradzieży tu nie znajdzie, postanowił wszystko do góry nogami wywrócić. Przeszedł więc do izdebki, która ogrzewana bokiem pieca z kuchni, nie była dymna, lecz wybielona schludnie wapnem, dołem obciągnięta siwą farbką, a tak ładna, że Małek podobnéj przez życie nie widział. Dwa łóżka stały, wymoszczone poduszkami aż pod powałę, jak żydowskie bety, a między niemi z drzewa heblowanego komoda.

Małek zabrał się do przetrząsania łóżek i komody, w czém dzielnie pomagał mu Wojtyna, uradowany nad wyraz, że może spełniać tak poważną funkcyę. Podolcowa daléj wyklinała, siadała na łóżkach, nie chcąc dopuścić do przetrząsania, zastawiała sobą komodę—lecz Małek za ręce ją wyrzucał na środek izby i przewracał wszystko. Jako wieprz dziki, kiedy dostanie się na pole, zasadzone kartoflami, ryjem orze grządki, zagryza ziemniaki, nogami depce badyle, a potém wywraca się i tarza po zniszczonéj ziemi, tak Małek wywracał wszystko, miął w rękach, zsypywał do skrzyni i własnym ciężarem ugniatał chusty. Podolcowéj aż się szczęki trzęsły z rozpaczy i bezsilnéj wściekłości. Co chwilę powtarzała:

— A co nalaześ? he? ty gminny parobku! ty chamie śmierdzący! Ty salamunowa głowo! Mądrala! jaki mi tu! Gnój krowi o siedm łutów więcyl waży niż twój rozum. I wzion se jeszcze do pumocy takie ciele! tego niedojdę niedorobionego Wojtynę!

A Małek:

— Wojtyna! a ni masz pięści! nie zatkasz ji rozkłapany giemby! Ty po gminny służbie. Chto tu śmi pyskować na urzędnika?

Więc Wojtyna puścił się za Podolcową, wzniósłszy pięść do góry nakształt kowalskiego młota. Ta jednak nie czekała, lecz uciekła przed chatę, wyzywając piekła i nieba i klnąc, aż się po całéj wsi rozlegało.

Tymczasem ukończono już rewizyę po jednéj stronie sieni. Załatwiwszy się ze spiżarnią z drugiéj strony, Małek chciał wtargnąć do

komory, lecz Podolec klucze od niéj zgubił. Założono więc drąg za skobel i oderwano go razem z zamkiem. Szczupłe światło, wchodzące przez odemknięte drzwi, rozjaśniło licho wnętrze komory. Widać było tylko ogromne beczki, pełne zboża. Małek do beczek właził, chcąc napaść oczy cudzym dostatkiem, jego towarzysz do innych się gramolił, deptali zboże i rękoma przedzierali się aż do dna. Wojtyna spadł z beczki, jak ciężar bezwładny, i głuche dudnienie ozwało się pod jego nogami.

— Ho hop!—wrzasnął Małek, wyskoczył z beczki i daléj podskakiwać po klepisku, które dudniło coraz wyraźniéj.

— Ho hop! tam coś je! skrytka je pod ziemią.

Nagle deputowany wyskoczył z komory i zaczął uciekać.

— Łapaj!—wrzasnęli rewidujący. Ponieważ ludu zgromadziło się mnóstwo na podwórzu i na drodze, więc bez trudności schwycono dezertera i przyprowadzono do komory za kołnierz i za ramiona. Inni zajęli się Podolcową i trzymając za ręce i w pas, niby oblubienicę do ślubu, przywiedli ją razem z mężem.

— Światła!—zakomenderował Małek.

Przyniesiono smolne szczypy i zaczęto świecić, a Małek wrzeszczał, przyskakując do Podolca.

— Dzie je dziura? Chtórędy chodzisz?

Lecz deputowany milczał, jak zaklęty. Jeszcze raz próbując się wyrwać, zwinął jak węgórz i targnął się jak szczupak w sieci, lecz silne ramiona ścisnęły go tém potężniéj nakształt obcęgów — i stał zamrużywszy oczy, oświecony jak potępieniec czerwonawym płomykiem miącéj szczypy.

Po czterech ludzi zabrało się do wytaczania beczek ze zbożem do sieni, a kiedy wyprzątnięto całą komorę, pokazały się w rogu zatajone drzwiczki w klepisku. Odemknąć nie było ich można żadnym sposobem. Przyniesiono więc belek, kilka ramion wznosiło go w górę i spuszczając końcem, walono, aż drzwiczki pękły. Na dole w czarnéj czeluści pokazał się szczyt drabinki.

Zaczém Małek zszedł po niéj, wziąwszy kilka szczyp, za nim poszedł Wojtyna, potém jeszcze dwu innych z młodzieży. Po chwili Małek dźwignął w górę potężny tłomok, zawiązany w płachtę, a tak wielki, że przez otwór piwniczny należało go gwałtem ciągnąć z góry i popychać z dołu. Kiedy go rozwinięto, Prasołowa krzyknęła:

— To moje chusty, loboga!

— Ho hop!—krzyknął Małek—bedzie tam tego więcyl.

Jakoż co chwilę ukazywał się w otworze klepiska tłomok chust, kożuch, żupan—i co chwilę ktoś wołał:

— To moje! co mi zabrało, bedzie ju z puroka.

— A mnie ze dwie nidziele.

Tymczasem coraz to nowe pakunki szły ciągle do góry. Zgromadzeni w komorze wołali do szukających:

— A bierzcie wszyćko! Może ta i mój kożuch bedzie, co mi go wzieno, bedzie dwa roki okładem.

Zapełniono zdobyczą całą komorę, a ciągle jeszcze przybywały nowe. Podolec stał zdrętwiały, nie śmiejąc drgnąć, Podolcowa tamowała oddech, aby tylko nie zwrócić na siebie uwagi, ponieważ wszyscy, zajęci rewizyą, patrzyli tylko w otwór.

Wojtyna dźwignął do góry kociołek miedziany, zawiązany z wierzchu szmatą, i zapytał o wójta. Wójt, kiedy zauważył, że rewizya za długo bawi u Podolca, przyszedł na koniec nieśmiało i trafił właśnie na chwilę, w któréj dobyto z piwnicy chusty Prasołowéj. Szedł tu z zamiarem wypędzenia rewidujących i odzyskania łaski deputowanego, ale zastawszy tak piękne gospodarzenie, stanął w kącie cicho, myśląc w duchu: chtoby sie to spodziewał.

— Wójcie—mówił Wojtyna—wieście to przy świadkach, bo tam muszą być piniądze. Nieznośnie ten kociełek ciężki.

I uśmiechnął się głupowato.

Jeszcze przez pewien czas trwały wynosiny kiełbas, połci słoniny, szynek i t. d. W końcu wysunął się Wojtyna, niosąc sadło nakrojone.

— To moje—krzyknęła Prasołowa—po kleszczach poznam.

Po nim wyszedł Małek, niosąc małą skrzynkę. Za nim wysunęli się inni. Już nic nie było pod ziemią. Rozczarowanie zapanowało w części gromady, albowiem większa ich część nie odnalazła swojéj zguby. Zapewne rzeczy dawniéj skradzione zostały już sprzedane.

— Wódki! zakomenderował Małek, ocierając pot z czoła. Ktoś dopadł wiśni, fermentujących w okowicie z miodem, i odlał sok w półkwartek. Wszyscy chcieli Małkowi posłużyć, bo nagle wyrósł na bohatera. Wypił smacznie i wrzasnął:

— Związać ich oboje!

Dyby były u wójta daleko, więc chwycono tymczasem postronek i związano jednym końcem ręce Podolcowi, drugim jego żonie, nie szczędząc przytém kułaków, kopnięć i szyderstw. Ale w deputowanych zamarły głosy, żadne ani pisnęło.

Małek tymczasem otworzył skrzynkę i znalazł w niéj pliki papierów; w kącie leżał guzik kanonierski z krzyżem równoramiennym, żółty ale odymiony nieco.

Zawołano starego Czeszyka, który był w piśmie biegły, aby odczytał papiery. Staruszek z krzywym karkiem włożył na nos okulary i brał papier po papierze w drżące ręce:

— Nic mu wyrozumieć ni moge—mówił—bo tu cosik nakryszlane niby po miemiecku. Jakiesi łańcuszki taj tylo. Na dole je napisane: Widzień, i podpisane: cysarz. Pieczątka tyż je rekuratnie czarna, krzyż na ni, jak ma być.

— A przyłóżcie no ten guzik—rzekł Małek — do pieczątki, cy to ono nie je pieczątka zrobiona guzikiem?

— Rychtyk—powiedział Czeszyk—pieczątka je od guzika. Patrzcie wójcie i wy sąsiady, dokumentnie przystaje. Tak! i obrączka takutynięka i krzyżyk równy w okółkę, a szyrszy przy końcach. Czekajcie, przynieście no mi smolaka.

Przyniesiono łuczywo, starzec nad dymem okopcił guzik, rozłożył papier na kolanach i wycisnął pieczęć nową obok dawnéj.

— Pozierajcie sąsiady—ciągnął starzec—o... takutyńka pieczątka jak ta, co tu je. Ani chybi na włosek. No! pożryjcie sie!

Patrzyli wszyscy kolejno na obie pieczęci, a wielu pytało, która jest świeża, a która dawna, ponieważ obie były takie same. Nie ulegało wątpliwości, że dawna została wyciśnięta również guzikiem.

— Hale hale!—zawołał wójt, jakgdyby przypomniawszy sobie coś—taż to je ten sam papiér, co nam go deputowany pokazowali, jak przyśli z Widnia, że to niby od samego cysarza je pismo. Ja se dobrze uważam, choć ja ta nie je piśmienny, bo tu o... widzicie w rogu je żyd na papierze. To ja tego żyda widział, jak ono to pismo było przyniesione. To ten sam, co to ni kaczka, ni jajko, ino tak rozkiestrane, jakby z pióra kapło. Widzi mi sie, żeście wy przy tém byli, jak ja gadał, co mi się nijak widziało, żeby cysarz, co to niby pan je taki gnany we wszyćkich naukach, zrobiół tego żyda.

— A juści, że pamiętam—odparł posłusznik—to było jakosi, bedzie dwa roki i cosik.

— Prawda, prawda – mówili inni, przypominali sobie również — jeszczeście sie pytali, czy to naprawde od samego cysarza.

— Bajno!—mówił wójt—a deputowany sie jeszcze zmarkocili, co to niby im nie wiarujemy, i powiedzieli: To nie widzicie... tego... tego... ino ja to skompanować ni moge, jak to oni zmyśnie nazwali... to miało znaczyć tylo, co niby krzyżyk... jakże to było? A niechże cie skręci, że to ja se tego nie pamiętam...

— Może krajc? wyrwał się jeden z urlopników.

— Tak, tak, tak! Krajc—powiedział wójt.—Tak, tak, dobrze se przypuminam. To to! I to tak nam powiedzieli. Nie widzicie krajca? A chto to może mieć pieczątke z krajcem? To ino cysarzowi to wolno, a inkszym zasie.

— Tak, tak!—potwierdzili inni, a wójt tymczasem powtarzał sam do siebie: krajc, krajc, jakgdyby chcąc sobie zapamiętać ten wyraz na zawsze.

Tymczasem Czeszyk obracał papier w rękach, aż dopatrzywszy w środku dostępny ustęp, zawołał:

— Słuchajcie no gromada!

Uciszyli się wszyscy, a starzec zażył tabaki, przetarł oczy, osuszył dłonią postrzyżone wąsy i zaczął wygłaszać słówko po słówku, sylabizując naprzód półgłosem do siebie: de, o-do, en, a-na, je, a, eś-jaś, do najaś... i t. d. do najaśniejszego cysarza Fernata we Widniu. To je niby handrysa—objaśniał starzec—a tu dali je niby suplika.

Zaczkajcie!

I zaczął czytać, jak po grudzie, co następuje:

— „Pochwalony Jezus Chrystus i Matka Jego, Przenajświętsza Panienka, Ubieszyn dnia trzeciego marca roku pańskiego świętego jeden tysiąc osiem setek szterdziestego i piątego, najaśniejsza munarcho, panie cysarzu Fernacie, niby żydy w ejipski niewoli, tak nam je bieda, bo nas biją i katują, kucha chleba spokojnie wziąść do giemby nie dadzą ino holukają, a idź na robotę, a pracuj od świtu do nocy, a we wieczór legaj na ławę i bierz buki, nic sie nie ostoi ani kura ani dziewka, ino panu dej, a ony łachną i łachną te wilcze gardła nienapchane, to my ciebie prosimy najaśniejsza munarcho, żebyś nas wyswobodziła z tego byczego jarzma, ignacy podolec z ubieszyna. Ament.

— Ono tu je—ciągnął Czeszyk—dokumentnie wszyćko wynurzone, jak trza. I bieda nasza i prośba, jak ma być. Wszyćko rekuratnie i z przykładami, jak wielgi uczony nie potrafi.

— Ba, ba! wołali inni—ono to pismo było we Widniu ta jak wy, abo ja. Przeciek tu oszuśnictwo widać, jak krowę. Sam se prośbe nakryszlał i sam se odpisał niby rezolucyja. To ino, żeby nam oczy zaćmielić.

— Ej! dzieżby znoś śmiałował samego cysarza rękę udawać. Taż to je strach i kreminał wielgi. To jaż sitarki łażą po człowieku i włósi zdziéra na głowie—oponował nieśmiało Czeszyk, który wogóle dla każdego pisma miał najgłębszy szacunek.

Ale Małek burknął.

— Wam ta sitarki chodzą po ciele i włosy stają na głowie, bo sie nie lubicie myć ani czesać. Ale Podolec, co zawsze był wysztafircowany jak w zaloty i kąpał sie jak dziecko w ciepły wodzie na niecółkach, to on ta chieba sie nie strachał. Zresztą zara sie dowiema.

Tu rycerz bez trwogi podszedł ku Podolcowi i rzekł surowo:

— Otwórz giembe, jak nie chcesz, żeby my ci ją żelazem podważyli, i powiedz, cy to je podpis cysarski, cy nie? No! ajns... cwaj... draj!

Równo z ostatnim wyrazem dał się słyszéć trzask, niby ktoś kijanką w bagno uderzył, głowa się zachwiała deputowanemu, czapka spadła mu z czupryny, a na prawy policzek wystąpił mu ornament ścienny z jego własnéj chaty — naprzód koloru ciemno-karmazynowego, który powoli nabierał barw fioletowych, aż zsiniał nakoniec, a policzek cały nabrzmiał widocznie. Ale Podolec ust nie otworzył; z przymrużonemi oczyma stał drżący, bezbronny, złamany, z zatłumionym oddechem.

Małek czekał chwilę, po czém mówił z pasyą:

— Gadaj psiakrew, złe nasienie, bo cie z drugi strony zamaluję. No: ajns... cwaj...

Lecz Podolcowa, nie mogąc wytrzymać, rzuciła się jak osa i wrzasnęła:

— Ty jego, chamski cepaku, nie bij—boś ty nie wart jego buta, tyś niegodzień stąpić na to miajsce, dzie jego noga chodziła!...

Małek tymczasem wymówił wyraz: draj! rozległ się trzask i wkrótce twarz Podolca stała się dość dokładnie symetryczną. Podolcowa rzuciła się jak lwica i zasłoniła męża, krzycząc:

— A Panie Jezu! ni masz tam jaki cholery na to chamskie ścierwo za to, że śmi bić takiego, jak mój chłop. A ju chieba i w niebie sprawiedliwości nima, że taki gnojarz śmi bić Podolca!

— To niech powie, czyj to je podpis, rzekł Małek.

— A tobie co do tego? ty chamie przeklęty! Cysarz by do takich chamów pisał jak wy! La was to je za wielgi unor, jak mój do was napisze, a wybyście chcieli pisma od samego cysarza! A do wideł, do gnoju, do chlewa, tam je pisanie la was. A wy obmierźluchy, zatraceńce, ośle głowy, świńskie ogony wy! Od cysarza pisma chcą!... A mocny Boże i ty na to pozierasz, jak sie chamy ponoszą! La was guzik wojskowy ju powinien być jak mentalik najświętszy, boście chamy! Tak, tak! Mój wiedział, że ino guzik okopcić, to ju bedzie dość la was, bo wy i taką pieczątkę bedziecie całować, jaż se ryjaki powalacie! Do cysarza by za nimi chodziół?... A wy wszyćcy nie wartacie, żeby on krok la was zrobiół, choćbyście mu całą wieś złotem zasypali—boście chamy zatracone, a on je kmieć i pan!

Pogłupieli wszyscy na te bezbrzeżne upusty wymowy, które się nagle przerwały. Pierwszy opamiętał się Małek i zawołał:

— A toście słyszeli gromada, jak sie przyznała, że ji chłop podrobiół to pismo. Świadkamiście są. Wójcie! bedziecie wiedzieli, jak sądzić.

— Słyszelimy! — zawołało kilka głosów. Inni milczeli z rozszerzonemi oczyma i otwartemi usty. Trudno im było myśli posprzągać i zebrać. Cały świat wierzeń, z któremi się zżyli, przyzwyczaili i oswoili, runął w jednéj chwili. Złodziejstwo Podolca nie dziwiło ich, bo było bardzo „zmyśne i śmiészne". Ale odebranie wiary w jego pobyt u cesarza, to było dla nich za wiele. Tak przywykli do chlubienia się wobec innych wsi tém, że ich wybraniec był u samego monarchy, że jadł u niego śniadanie, tak sobie pięknie i dokładnie wyobrażali cesarza i jego otoczenie, że im się wierzyć nie chciało w fałszywość tych opowiadań deputowanego.

Podolcowa, usłyszawszy wnioski Małka, rzuciła się naprzód jak wąż, ale w jednéj chwili zacięła zęby i umilkła. Znać spostrzegła się, że powiedziała za wiele, więc mimo iż gniéw rozsadzał jéj piersi, postanowiła milczéć, jak skała.

Wójt zapamiętał sobie wszystkich, którzy słyszeli wyznanie. Wywiązując się z włożonego nań obowiązku sędziowskiego, zagaił rzecz w te słowa:

— Ono mnie się widzi i tak se to sumuje, że wszyćkie złodziejstwa, jakie się tu robiły, co to ani złodziejów, ani szkody my nie naleźli, to ta ju musi być Podolcowa sprawka. Jak deputowany sie do tego nie widzi ani czuje, niech mówi. Ale trza dowieść, chto pokrad.

Gromada milczeniem poparła bystrość uwagi, Podolec milczał, a Podolcowa zsiniała z wściekłości i zgrzytnęła zębami.

— A no! — mówił wójt, wznosząc laskę w górę — to ono Podolec nam zarutów nie robi, to to je tylo, jakby sie przyznał i to przy świadkach.

Milczenie wszystkich było aprobatą sylogizmu.

— No to wy, Bek, polecicie chałupa za chałupą po wsi, żeby z każdego umeru choć jedno przyszło do kaczmy skuzować, co komu zginęło i żeby rozpoznawali, co swoje. Tymczasem zasądzam Podolca, żeby co czwarta chałupa legał na drodze i na każdém miejscu dostanie dziesięć kijów, jaż do kaczmy zajdziemy. Wy, Wlazło, wieźniecie troche chust ze skrzyni od Podolca na zastaw la żyda.

*

* *

Słońce już się zniżało, kiedy goście weselni wrócili do karczmy na tańce. Z młodzieży był mało kto — wszyscy poszli do Podolca, zaledwie trzech swatów i drużba z panem młodym dotrzymali placu. Za to starcy zebrali się licznie. Wszyscy w stroju galowym, z kapuzami baraniemi na głowach mimo skwaru, z fajkami w zębach, wszyscy

w niezwykle szerokich pasach o kilku sprzączkach; przy każdym pasie była torébka z krzesiwem i hubką; przy każdym na rzemyku wisiał długi nóż w oprawie rogowéj. W obuwiu nie było téj jednostajności, ponieważ obyczaj dozwalał pod tym względem wiele swobody. Byli więc jedni w butach szytych z „prostéj" czarnéj skóry, inni w chodakach lub łapciach z kory, a nie brakło i bosych. Stary Wlazło, ojciec posłusznika, przyniósł w chustce buty pasowane z żółtego rzemienia i z obcasami, co wywołało sensacyę. Usiadł na ławie, zaczął jeden powoli wciągać na nogę, co mu szło z widoczną trudnością, a tymczasem inni z zarzuconemi „na opaszki" płótniankami podawali sobie drugi z rąk do rąk, skubiąc rzemień i powtarzając półgębkiem: „juszna skóra," „dobitny rzemień," „to żelazło," „ho ho! to was ta i w nich pochowają," „na węgierską modę," „zazuwne jak skrzynki" i t. d. Niektórzy dziwili się „przeczwarności" starego Wlazły, który zawsze uganiał się za nowością i oryginalnością, a nawet, ku publicznemu zgorszeniu, nosił koszulę w zgrzebnych szarawarach, zamiast ją opuszczać po wierzchu, skutkiem czego w dolnéj swéj połowie był podobny do tureckiego żołnierza. Nazywano go zwykle księdzem Matuszkiem, a to dla tego, że pasąc jednego razu bydło, już jako dorosły człowiek, zapragnął był bawić się w spowiedź z jedną dziewczyną. Nieszczęściem penitentka, zapewne lękając się zasadzki na cnotę, wyrywała się jak mogła, przy czém zapalczywy parobek podarł na niéj rantuch. Sprawa oparła się o sędziego dworskiego w Tryńczy, który zawezwawszy parobka, dał mu pięć kijów, mówiąc: „Topra ziewka, że sie nie kciala spofiatać, po ty jeszcze święcenie nie masz. Ja cie topiero fyśfięcę." Jakoż po tém pięciokijowém wyświęceniu Mateusz Wlazło został raz na zawsze księdzem Matuszkiem.

Wciągnął nareszcie buty, ale chodzenie w nich szło mu oporem. Tupał co chwilę, aby szerokie obuwie przystosować do nogi, przeszedł się jak chromy wzdłuż i wszerz izby, napił się araku i posunął ku ścianie, pod którą niby stado gęsi siedziały kobiéty w białych czepcach, rantuchach i fartuchach. Wybrał najpoważniejszą wiekiem Wichtę Gajową i poprosił do tańca.

— E! to nie la mnie, ja ju stara, dziebym ta hysała, jak młodziak—wzbraniała się kobiéta.

— Stara, ale jara—rzekł ksiądz Matuszek i tupnął dla fantazyi. Czy przysłowie, pełne głębokiéj myśli, czy też siła tupnięcia przemówiły do jéj przekonania, dość, że Gajowa splunęła raz jeszcze, ale ostatecznie i stanowczo za siebie, otarła usta i powstawszy wydłużyła ręcę, opiérając dłonie na ramionach tancerza. Ksiądz Matuszek również położył dłonie na jéj ramionach i tak oddaleni na długość rąk, wyszli

drobniutkim krokiem na środek. Muzykanci skończyli stroić, uszykowały się pary, a stary skrzeczącym głosem zaśpiéwał, przeciągając, ile mu oddech starczył, każdą zgłoskę:

Uważaj Zosiu,
Żeby ja sie nie porosiół,
Jak ja bede łączke kosiół.
Tede, tede, tede, tede!

Zarzępoliły skrzypce przeciągle i melancholijnie, posunął się łańcuch par, patrzących sobie w oczy na odległość, ozwało się powolne szastanie nogami, a gąsienica taneczników, drobiąc kroki, pochylając się w lewo i w prawo, kroczyła sennie przed siebie. Dziwny taniec, raczéj spacer z miarowém kołysaniem się par, posuwał się cicho, w towarzystwie drzémiącéj muzyki — rzekłbyś, w ziemi niedoli skazańcy wyprawiają sobie jednę z tych zabaw, raczéj przedrzeźnianie zabawy, któréj całym urokiem jest wspólne zebranie się, przy któréj należy sprawować się cicho, aby nie obudzić dozorcy. Giną już te tańce stare, tańce niedoli, i melodye, drapiące po sercu, jak zgrzebło.

Tańczono „starego".

W drugą parę szedł starosta weselny, który, zrównawszy się z muzyką, zanucił na inną melodyę „siudacza":

A wczora z wieczora
Szukała kaczora;
Ja szukałem koni
Zaszałem jaż do ni.

Oprócz krążenia do koła izby, pary poczęły obracać się na miejscu, przytupując od czasu do czasu.

W rogu izby siedział w krakowskim stroju Kornafel. Ten jeździł z furgonami księcia Czartoryskiego aż do Puław i do Lublina, pobiérając — co z zazdrością opowiadano — od konia dukata na milę. Bywał téż i na Węgrzech, odstawiając stamtąd wino dla dworu książęcego. Zwiedził więc świata niemało. Opowiadał téż cuda, szczególniéj o Puławach, gdzie widział „takie pokoje, co to nima w nim powały, ino u góry je sadzawka, a w ni ryby; poźrycie w górę, a tam chlup! chlup, pływają se rybki pozłacane i pośrybrzane." Podobno był nawet i w Krakowie, ale tém się nie chwalił, tylko nie przeczył, kiedy mu to podsuwano. Straciwszy konie i cały zapas pieniężny przed kilkunastu laty, z powodu niegodziwych dróg, osiadł we wsi i gospodarzył. Teraz, zachęcony przykładem przodowników, zakrzesał ognia, schwycił skrę na hubkę, zapalił fajkę i wziąwszy pannę młodą, zaśpiéwał na nutę „trambulanki":

Nima Jasia, nima,
Pojechał do Węgier,
Już wnet nie przyjedzie,
Zawadziół o węgieł.

Muzykanci jednak nie „sformowali”, zaczém po pierwszych tonach muzyka zmyliła, a i tanecznicy nie bardzo umieli dostosować się do téj nowości. Wstrzymały się więc pary i muzyka. Uratował wszystko Stach Bechta, „nie wielgie, ale zmyśne chłopiaga”, o którym mówiono, że kiedy się ubierze w kapuzę „równe pół człowieka je nad głową i równe pod głową”. Ten zaśpiéwał na nutę siudacza, adresując do księdza Matuszka:

Ksiyże wikarynie,
Nie rób browandyje,
Tyś je boski piaston
Dej pokój niewiastom.

Puszczono się zamaszyście, tylko wyzwany miał minę poważną, snać układał replikę, kręcąc się w koło.

Szczęściem, nie potrzebował sobie suszyć głowy, bo zaledwie zrobiono kilka kroków, otwarły się drzwi izby i cały tłum rewizyjny wpadł z hukiem i tartasem do karczmy. Małek wbiegł pierwszy, potém weszli Podolec z żoną w asystencyi posłuszników, dzierżących w ręku „nieznośne” kije.

Deputatowie byli związani postronkiem, którego środek trzymał podwójci, pędząc ich przed sobą, jak nierogaciznę na jarmark. Podolec był zsiniały, krew uciekła mu z twarzy, na któréj zostały ślady potu, pomieszane z prochem ulicznym, i wyraz bezgranicznego zgnębienia i wyczerpania. Szedł chromym krokiem, sztywny, nieruchawy, lękając się poruszyć, aby siińców i ran nie drasnąć dotknięciem koszuli. Odzież na nim była zmięta, na całych piersiach, brzuchu i kolanach pełna kurzu i wilgoci, widać, że kładł się plackiem po drodze i po murawie.

Szedł jak zbrodniarz, zdjęty z tortur, a przez ten krótki czas musiał wiele wycierpiéć, skoro widocznie się podstarzał. Ciało na policzkach, pełne brudu, pofałdowane, opadło mu ku dołowi, a zaokrąglony podbródek potworzył dziwaczne węzły i kłęby, niby nabrzmiałości skrofuliczne. Obok postępowała żona. Brwi czarne zsunęły się ku dołowi, od nosa ku górze poszła głęboka brózda przez całe czoło, oczy zapadły w głąb i ukrywszy się w cieniu brwi, rzucały tylko jaskrawe połyski, szczęki miała zaciśnięte. Widać było, że zamknęła usta na zawsze. Zbrzydła mocno przez ten czas, ale nabrała wyrazu jakiéjś

wściekłéj furyi, tak strasznie patrzyło jéj z oczu, taka potęga wściekłości zastygła w téj kamiennéj twarzy.

Wrzawa i zamieszanie zajęły się w karczmie. Przychodnie dźwigali tłómoki chust, kożuchów, kociołek z pieniędzmi i inne znalezione przedmioty. Starce skupili się na uboczu, aby sobie udzielać wzajemnie obserwacyi, jak Podolec „zepsiał i zczezł", lub jak Podolcowéj „paskudnie poziéra ze ślepi niby złe, abo jakie wilczysko". Kobiéty cisnęły się do alkierza, oglądać statek zdobyczny. Skrzypek, wzniósłszy do góry instrument jak pałkę, wyciągnął szyję jak mógł najdłużéj, wspiął się na palcach i patrzył ponad głowy innych przez drzwi do alkierza. Wszystko się tam zebrało. Ci, którzy nie mogli się docisnąć, patrzyli przez drzwi, a w oknach utworzyły się całe góry ciekawych głów, zbitych jedna przy drugiéj i jedne nad drugiemi, niby bukiet makówek, równo związanych.

Jeden cymbalista został w izbie pod oknem, obojętny, brzęczał w struny i niecierpliwił się, że ten nieład trwa tak długo.

Nagle rozerwał się, kłąb ludzi, stojących we drzwiach, zrobiła się ulica, przez którą widać było wójta w asystencyi posłuszników za stołem, przed nim stała nieodstępna księga ustaw w postaci graniastéj flaszki z okowitą, a z alkierza wypadł Małek, podskakując i wołając: „ho-hop! to ci wesele dopiéro"!

Śledztwo było ukończone. Z siedmnastu kradzieży pozostały ślady w piwnicy Podolca, świadczące niezbicie, że on je popełnił, a trzydzieści dwie niewyśledzonych należało jemu również przypisać. Zapewne już potrafił wysprzedać się ze zdobyczy. Jego zamożność została wyjaśniona.

Wójt ogłosił wynik badania i rzekł:

— Jutro pojedzie deputowany do cyrkułu do Rzeszowa. Wnęk, rychtujcie konie i wóz na jutro, pojedziecie za fruszpant.

Małek znowu krzyknął:

— Dzie je muzyka? Żydzie, psia krew, wódki!

Tłum wrócił do izby, wyprowadzono obwinionych, muzykanci się zebrali i tańce miały się zacząć. Podwójci przyniósł tymczasem nakrojone sadło Prasołowéj w kleszczach i uwiesił je u belka sufitowego w pośrodku izby. Bartuś i Wojtyna przywiedli Podolcową i kazali jéj uklęknąć i złożyć ręce, jak do modlitwy. Uklękła i wzniosła ku sadłu złożone ręce.

Małek wziął pannę młodą, stanął przed muzykantami i zaśpiéwał na nutę obertasa:

Hej, myślicie kmiecie,
Że mnie wybijecie;
Jak mnie wybijecie,
Marnie wyginiecie.

Zawinął się i z całéj siły trzasnął w twarz Podolca, stojącego ze związanemi rękami pod ścianą. Wrzasnęła muzyka, tupnęły podkute trzewiki urlopników,—wrzask, łomot i pisk rozległ się w jednéj chwili po całéj spokojnéj wsi. Rozhukane koła wiły się po izbie, okrążając klęczącą Podolcową, a każdym razem, kiedy wąż skręcony w kółko zbliżał się do Podolca, jedna ręka, niby żądło, wymykała się ku jego twarzy i znowu się chowała.

Nagle Bartuś przerwał taniec, wskoczyl w środek z harapem, wydartym jakiemuś swatowi zza cholewy i trzepnął nim Podolcową, po rękach, wołając:

— Ręce do góry! Bez całą noc tak musisz pacierz mówić do tego sadła, coś go napoczyna. Wiela razy ręce ci umgleją, tylo razy dostaniesz po łapach!

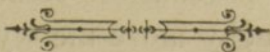
I znowu przyłączył się do tańczących.

Szał ogarniał godowników. Jak wściekli rzucili się do tańca, jak gdyby spragnieni wiru, hałasu, oszołomienia,—jak gdyby chcieli wszystką swą siłę, całą duszę wyrzucić w tych dzikich podskokach, w tych tupaniach i wykrzykach. Zatrzęsła się karczma w posadach; dzieci wtłoczone w okna od zewnątrz, przyciśnięte do ścian przez drugi szereg ciekawych wyrostków, biły w ziemię nogami i wrzeszczały do aktu: i-ha! Okna były podobne do jaskółczego gniazda, obramionego główkami piskląt, łakomych żeru.

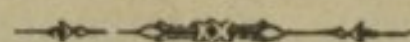
Za plecami dzieci potworzyły się ronda, tutaj chłopców, tam dziewcząt, które wirowały zapamiętale do koła karczmy po trawie, po drodze, po zagonach ugoru. Cała wieś była w karczmie lub pod karczmą. Miarowy tupot, rzempolenie muzyki, okrzyki radosne—wybuchały z karczmy, jak nagły pożar, i szły na pola, na łąki, daleko, aż się obiły o łozy nadrzeczne i wierzbinę graniczną, skąd echem wracały znowu do swego źródła. Zdawałoby się, że w karczmie jest otwór jakiegoś wiatraka piekielnego, i że mocy nieczyste wyprawiają swoje igrzyska.

Cisza robiła się na świecie. Na zachód szarzała jeszcze wieczorna zorza, a od wschodu wystąpił biały księżyc i obudził żaby w jeziorach. Ptaki posnęły w zaroślach—ale wrzask, echami zdwojony, obudził je; zarośla i drzewa i łany zbóż poczęły tupać i rzempolić i krzyczéć: „i-ha!" Ziemia oszalała, jak ci, którzy ją uprawiali, a łoskot i dzikie okrzyki zamąciły spokój nawet w kryształowych pałacach, gdzie gwiazdy z księżycem dumają

Jan Zamorski.



Społeczne podstawy Prawa i Państwa.



Michel-Ange Vaccaro.—Les bases sociologiques du droit et de l'etat.—Bibliothèque internationale.—XI.—Paris.—Giard et Brière.—1898.—LXI+480.

Mimo usprawiedliwionego przekonania, że prace na polu nauki o społeczeństwie nie są tak daleko posunięte, aby już dziś można było przystąpić do syntetycznego zestawienia całości téj nauki; mimo ogólnie rozpowszechnionego zdania, że materyał naukowy socyologii nie jest, ani zebrany w dostatecznéj ilości, ani należycie przez krytykę obrobiony,—pojawiają się od czasu do czasu usiłowania określenia praw zasadniczych rządzących życiem społeczeństw i—wedle staréj a jednak słusznéj zasady „*in magnis voluisse sat*" — odmówić im racyi bytu nie można.

Wnikając w ostateczne podstawy życia społecznego, zestawiając materyał w coraz to nowy sposób, prace takie mają za sobą coś więcéj, aniżeli zasługę „dobrych chęci" zbudowania gmachu; stają się bowiem one często cenną wskazówką dla pracujących u podstaw, zbierających materyał i opracowujących go monograficznie; — a jeśli nie są prostém naśladownictwem lub przeróbką już sformułowanych poprzednio zasad, jeśli usiłują znaleść prawdę na nowéj drodze, jeśli się opiérają na grutownéj znajomości poprzednio sformułowanych systemów i popełnionych w nich błędów, choćby może nie wyjaśniły praw zasadniczych

rządzących życiem społeczeństw ludzkich,—przynajmniéj zbliżą się ku téj prawdzie, i wskażą pewne pojedyncze zasady albo dotąd całkiem nieznane, albo niedostatecznie oceniane.

Jedną z takich prób jest praca Michała Anioła Vaccaro, dyrektora, wychodzącego w Rzymie „Przeglądu naukowego prawa". Zdaniem Vaccaro, zasadą kierującą życiem społecznėm jest „prawo przystosowania", prawo utrzymujące przy życiu w walce o byt nie najsilniejsze, ale tylko te indywidua ludzkie i te społeczeństwa, które mogą i potrafią jaknajlepiéj przystosować się do coraz to nowych warunków życia. Teorya ta niewątpliwie zostaje w ścisłéj łączności i w związku genetycznym z całym szeregiem teoryi społecznych, opartych na biologicznéj teoryi „walki o byt"; różni się jednak od nich zasadniczo tém, że nie przenosi zasad téj walki wprost do życia społeczeństw, ale sądzi, że śród jednostek ludzkich w zastosowaniu do życia społecznego walka ta przybiera zupełnie inny charakter, przybiera nowe cechy — posługuje się „hamulcami" i „środkami" światu zwierzęcemu nieznanemi. Hamulce te (*tempéraments*) i środki (*moyens*) w społeczeństwach ucywilizowanych, świadomych swoich potrzeb i celów, tak dalece mogą zmienić rezultat „walki o byt", że zwycięzcą w téj walce, utrzymującym się przy życiu, jest nie najsilniejszy bezwzględnie—ale ten, kto na próżną i bezcelową walkę o byt między ludźmi: wewnątrz i zewnątrz społeczeństw, jaknajmniéj sił tracąc, najwięcéj sił skierowywa na walki z naturą, na jaknajlepsze zużycie jéj sił, do jaknajpełniejszego zaspokojenia potrzeb, jaknajwiększéj ilości członków społeczeństwa. Teoryę swą popiéra Vaccaro ogromnym zasobem faktów, nie tylko etnograficznym (jakto czyni większość dzisiejszych socyologów)—ale historycznych, czerpanych z życia społeczeństw ludzkich, barbarzyńskich i ucywilizowanych. W pracy jego są niezawodnie niezgodności wewnętrzne, niejasności i sprzeczności; co do niektorych faktów historycznych i ich społecznego znaczenia można by się z autorem pokłócić, mimo to jednak praca jego wydaje się nam być jedną z najlepszych prac, dążących do wytłomaczenia całości rozwoju społeczeństw ludzkich. Główną jéj wadą, tak jak większéj części prac tego rodzaju jest przekonanie, że życiem społecznėm rządzi wyłącznie jakaś jedna, jedyna zasada, którą w jednėm prawie—w jednéj formule, streścić można, kiedy tymczasem, życie społeczne, jako rodzaj życia najbardziéj ze wszystkich złożony, prawdopodobnie rozwija się wedle całego szeregu praw wchodzących ze sobą w kolizyę a cała trudność leży nie tyle w odkryciu i sformułowaniu tych praw oddzielnych, ile raczéj w odkryciu praw kierujących w wypadkach ich wspólnego działania i wskazujących, jak w historycznym przebiegu dziejów, w różnych epokach, różne czynniki rozwoju nabierają

znaczenia, dochodzą do przeważnego wpływu, zanikają lub zjawiają się nanowo, stosownie do zmian w zewnętrzném, fizyczném otoczeniu społeczeństw i w psychologicznéj naturze indywiduów ludzkich.

W epoce, w któréj żyjemy, kwestye społeczne coraz więcéj zajmują miejsca w umysłowém i polityczném życiu społeczeństw i wymagają nieraz natychmiastowego, doraźnego rozwiązania, bez względu na to, czy nauka o społeczeństwie ma, czy niema gotowych, z naukową pewnością sformułowanych odpowiedzi w danéj kwestyi. Dla życia społecznego obojętne są spory naukowe: o zakresie i określeniu socyologii, o metodzie jéj badań i elementarném zjawisku społeczném, o znaczeniu dla socyologii faktów życia narodów pierwotnych i doniosłości badań psychologii narodów. Życie nie czeka — idzie naprzód, gromadzi coraz większą ilość „kwestyi społecznych", wobec których człowiek ucywilizowany nie może pozostać bez odpowiedzi, choćby „tymczasowéj", bo czuje że ma prawo i obowiązek, że musi kierować świadomie i wedle „najlepszego swego rozumienia", losem swoim i swojego najbliższego i najdalszego potomstwa, które pokutuje nieraz wiekami za błędy ojców i dziadów.

Obowiązkiem więc każdego z nas jest: starać się zdać sobie sprawę, o ile mu sił starczy, w jakim kierunku społeczeństwa ludzkie podążają, zbadać, czy i w jakim stopniu kierunek ten może świadomie zmianie ulegać, i o ile ten kierunek z jego etycznemi przekonaniami jest w zgodzie; i dla tego powinien poznać najważniejsze rezultaty prac naukowych w tym kierunku dokonanych, choćby nawet miały one wartość „prawd tymczasowych", byleby w zastosowaniu ich praktyczném nie zapominał o „tymczasowości" ostatecznych wyników téj nauki.

I.

„Wszystko na powierzchni naszéj ziemi ulega zmianom, a chociaż zmiany te są względnie do nas niesłychanie powolne, to gdy wpływ tych dokonywających się zmian oddziaływa koniecznie na rasy roślinne i zwierzęce, rasy te ulegają różniczkowaniu się bez przerw istotnych". W tych słowach Lamarcka wypowiedzianych w jego „Filozofii zoologii" (1809 r.) zawiera się podług Vaccaro zaród całéj teoryi ewolucyjnéj, którą Darwin tylko rozszerzyl i dopełnił. Dziś uważamy to już za prawdę niebotrzebującą dowodzenia, że w ciągu różnych epok geologicznych, jakie kula ziemska przechodziła, zmieniające się ciągle warunki fizycznego otoczenia, wytwarzały coraz to nowe warunki bytu organicznego i jednocześnie coraz to nowe formy życia roślinnego i zwierzęcego, „przystosowane" do nowych warunków, a usuwały te

formy, które się do nowych warunków przystosować nie mogły. Warunki zewnętrzne i dziedziczność są głównemi czynnikami, ciągle odbywających się przystosowań; prace Darwina przyłączyły jeszcze trzeci czynnik „dobór naturalny”, który za pośrednictwem „walki o byt” utrzymuje przy życiu osobniki najlepiéj przystosowane. Błąd Darwina, podług Vaccaro, polega na tém, że sądzi on, iż sam dobór naturalny przy współdziałaniu doboru płciowego wywołuje przemiany gatunków. Prawda jednak wynika dopiéro z połączenia obu teoryi: Lamarcka i Darwina, a przystosowanie organizmów ma miejsce pod wpływem 3-ch czynników: zmiany warunków zewnętrznych, dziedziczności i doboru naturalnego t. j. walki o byt.

Najpospolitszym błędem w socyologii, podług Vaccaro, jest przenoszenie wprost praw biologicznych przystosowania się organizmów do dziedziny stosunków społecznych: bezwątpienia człowiek zmuszony jest też przystosowywać się do zmieniających się ciągle warunków swego bytu—ale prawa jego przystosowania są, jako istoty społecznej, inne aniżeli prawa rządzące przystosowaniem się roślin i zwierząt. Większość dotychczasowych teoryi socyologicznych grzeszy nieuwzględnianiem téj prawdy, i nie rozbiera specyalnie, jakby to wypadało, praw przystosowania się człowieka do środowiska: kosmicznego, roślinnego, zwierzęcego i społecznego.

Wszystkie teorye oparte na darwinowskiém prawie „walki o byt”, nie uwzględniają téj okoliczności, że procesy historyczne są daleko więcéj złożone i zawiłe, niż procesy biologiczne, i że ewolucya postępowa nie wyczerpuje całego procesu ewolucyi, gdyż obok niéj odbwają się też w naturze i procesy ewolucyi wstecznéj (regresya). Teorye te przyjmują za pewnik: nieskończony i nieprzerwalny postęp, i nieuwzględniają: ani zjawisk pasorzytnictwa, tak pospolitego w sferze stosunków społecznych, ani rozmaitych środków doboru sztucznego w społeczeństwach t. j. doboru wynikającego z różnych instytucyi i zarządzeń ustanowionych przez ludzi, i nie mających żadnych analogii, ani w świecie roślinnym, ani w świecie zwierzęcym. Dla nich „walka o byt” nie bywa ani modyfikowaną, ani zawieszaną przez żadne wpływy uboczne; czemu fakta najoczywiściéj zaprzeczają.

Dla zwolenników teoryi H. Spencera przejście od niescałkowanéj jednorodności do scałkowanéj różnorodności tłomaczy wszystkie zjawiska społeczne, lecz przejście to tém mniéj tłumaczy i wyjaśnia, im zjawiska społeczne stają się bardziéj złożonemi. Spencer uznaje wpływ prawa przystosowania się, przypisuje wielkie znaczenie równowadze pomiędzy stosunkami wewnętrznemi i zewnętrznemi bytu organizmów i społeczeństw; rozważa środki zachowania téj równowagi i dzieli je na bezpośrednie i po-

średnie. To co on określa jako środki bezpośrednie, to są te same czynniki ewolucyi, które określił Lamarck;—środki pośrednie, to walka o byt, dobór naturalny i płciowy Darwina, tak, że co do ewolucyi biologicznéj — Spencer łącząc obie teorye: Lamarcka i Darwina przedstawia nam całość czynników ewolucyi. Ale błąd jego zaczyna się dopiéro wtedy, gdy wszystkie zjawiska społeczne probuje sprowadzić do zjawisk biologicznych i to z pominięciem faktów wyradzania się i pasorzytnictwa. Spencer wykazuje, że rozwój inteligencyi służy do lepszego przystosowania i zrównoważania czynności wewnętrznych i zewnętrznych, ale pomija całkiem znaczenie przyjemności i bólu, sądzi, że własności zbiorowiska ludzkiego zależą wyłącznie od własności jednostek, które to zbiorowisko składają, i stara się psychologię zbiorowisk ludzkich oprzéć na analogii z psychologią jednostki. Rozwój społeczny nazywa rozwojem nadorganicznym,—ale wyjaśnia go w sposób czysto biologiczny, nie widzi, że prawo przystosowania się przybiera inne formy w sferze zjawisk społecznych. Społeczeństwo dla niego jest organizmem, czy jestestwem analogiczném do organizmu—i kluczem do zrozumienia zjawisk życia społecznego, są zjawiska świata zwierzęcego, które „kopiuje" z praw ewolucyi zwierzęcéj. Wskutek tego zmuszony jest nieraz dociągać fakty do teoryi, i pozostawiać na boku wszelkie badania nad stosunkami wzajemnemi klas społecznych, chociaż są one faktami najbardziéj charakterystycznemi życia społecznego.

Dla Vaccaro teorye społeczne oparte na zasadach wygłoszonych przez Comt'a stoją wyżéj, niż teorye darwinistyczne i spencerowskie. Uwzględniają one wysoką złożoność zjawisk społecznych i ich odrębność od zjawisk życia organicznego. Punktem ich wyjścia jest ludzkość, bez ograniczenia w przestrzeni i czasie, przedmiotem badania: prawa ewolucyi, bez przesądzania, czy ta ewolucya jest postępem czy uwstecznieniem; przyznają one, że rozwój może być nie ciągłym, niejednostajnym w różnych sferach życia społecznego, i może nie odbywać się stale w kierunku jednéj linii prostéj, ale że zwykle waha się koło pewnego kierunku średniego. Widząc w ewolucyi świata zwierzęcego ciągły wzrost sił intelektualnych, Comte wziął za podstawę rozwoju ludzkości prawo „psychicznego, filogenetycznego i ontogenicznego rozwoju" opartego na przewadze najprzód instynktów zwierzęcych a potém instynktów społecznych. Rozwój jednostki i społeczeństwa odbywają się w jednakowy sposób: dążą one do poddania namiętności pod prawa inteligencyi, do podporządkowania instynktów jednostki instynktom społecznym i utożsamienia jednostki ze społeczeństwem. Pozostawiając na boku jedyną rzecz realną t. j. grupy społeczne, Comte bierze za punkt wyjścia ludzkość—pojęcie czysto abstrakcyjne—zwraca uwagę przede-

wszystkiém i prawie wyłącznie na nagromadzenie wiedzy i sądzi, że od rozwoju inteligencyi, zależy cały rozwój ludzkości, który podporządkowywa pod 3 epoki rozwoju umysłowego. W tém leży błąd zasadniczy Comte'a i jego szkoły, z któréj Vaccaro najwięcéj zasług przyznaje Bastian'owi.

Najbardziéj odbiegają od prawdy, zdaniem Vaccaro, wszystkie szkoły organistyczne wysilające się na stwierdzenie téj nieprawdziwéj prawdy, że społeczeństwo jest istotnym, realnym organizmem; — przytém często w stosowaniu zasad Darwina, idą daléj, niż Darwin, dowodząc (Nowikoff), że w walce o byt zawsze lepszy zwycięstwo odnosi. To co szkoła ta nazywa metodą analogiczną, jest „metodologiczną samowolą", stosującą do życia społecznego te prawa biologiczne, które uzna za właściwe zastosować, i odrzucającą inne prawa, które się jéj nie wydają odpowiedniemi. W gruncie rzeczy podobieństwo między społeczeństwem a organizmem jest czysto powierzchowne, a co do różnic, to na ilość ich sami zwolennicy téj szkoły zgodzić się między sobą nie mogą i wyliczają ich: 3 (Spencer), 2 (Worms), a czasem 12 (de Greef). Jeśli szkoła organiczna wypowiedziała parę trafnych uwag o społeczeństwie, to udało się to jéj, nie dzięki jéj teoryi, ale mimo téj teoryi, która ma w gruncie rzeczy charakter metafizyczny i łączy się bezpośrednio historycznie z teoryami Ahrensa, Krauzego, Herdera i Platona, a często wpada w błędy przedustawnéj organicznéj harmonii ludzkości.

Z pozostałych teoryi socyologicznych, które Vaccaro nazywa niezależnemi, najwięcéj uznania ma on dla Gumplowicza; sądzi jednak, że za wielki wpływ przypisuje on walce ras, którą badał specyalnie. Walce téj jednak, tak jak ją Gumplowicz pojmuje, brak pewnego gruntu, bo wielość pochodzenia ludzkiego, w którą tak mocno wierzy Gumplowicz, nie jest bynajmniéj ostatecznie dowiedzioną. Gumplowicz zaprzecza wszelkiéj możliwości postępu, sądzi, że suma eksploatacyi ludzi przez ludzi pozostaje zawsze ta sama, a moralny charakter ludzi i klas społecznych postępowi nie ulega, do nowych warunków się nie przystosowywuje. Tak, jak w zoologicznéj teoryi Agassiza, tak i w teoryi społecznéj Gumplowicza, rasa, w szeregu wieków, jest czynnikiem niezmiennym. Podział pracy wewnątrz społeczeństwa, nie uległego podbojowi rasy obcéj, zjawia się u niego ukradkiem („*en sourdine*") bez należytego wyjaśnienia przyczyn i wpływu tego zjawiska. Zlanie się różnych ras etnicznych w państwie w jedną całość — „narodowość" wchodzi na scenę, jak „*deus ex machina*", i wszystko to pozostaje w sprzeczności z zasadniczą niezmiennością ras i stałością nienawiści rasowych, które jakoby osłabieniu ulegać nie mogą. Gumplowicz za-

przecza, aby objawy pasorzytnictwa społecznego z biegiem historyi słabły, aby jednostka ludzka była zdolna przystosowywać się coraz lepiéj do coraz to nowych warunków uspołecznienia. Charakterystyczném jest w jego teoryi i to, że prawo powstaje dopiéro w państwie.

Zbadawszy błędy poprzedników, Vaccaro tłumaczy nam swoje zasadnicze poglądy, biorąc za punkt wyjścia rolę bólu i przyjemności w życiu organizmów.

II.

Każdy organizm jestto zbiór materyi posiadający życie. Aby życie trwało, musi istnieć pewna równowaga między siłami zewnętrznemi po za organizmem i wewnętrznemi w organizmie; wrażliwość i ruchliwość organizmu wywołują ciągle przejścia od jednego stanu równowagi do następnego. Według Spencera, życie jest ciągłem przystosowywaniem się organizmu do warunków zewnętrznych, do jego otoczenia.

Ewolucya form życia na ziemi pozostawała zawsze w ścisłym związku z historyą geologiczną kuli ziemskiéj; w miarę różniczkowania się warunków geologicznych i klimatycznych, formy życia stawały się coraz rozmaitsze; zawsze jednak pod wpływem zmian zewnętrznych organizmy ulegały zmianom wewnętrznym, a siły swe czerpały przyswajając sobie coraz to nowe cząstki materyi zewnątrz nich leżącéj. Śmierć organizmu—jest przejściem do równowagi mniéj złożonéj, i następuje z chwilą, gdy dalsze przystosowanie się lub przyswajanie materyi zewnętrznéj ustały. Mimo różnic indywidualnych, każdy gatunek ma swoją średnią długość życia, wytworzoną, jak się zdaje, przez przystosowanie się gatunku w ciągu całego jego filogenetycznego rozwoju.

W szeregu wieków warunki zewnętrzne danéj miejscowości ulegały zmianom. Pod wpływem tych zmian i formy organiczne zmieniać się musiały. Jeżeli zmiany otoczenia były zbyt wielkie, organizm, nie mogąc się przystosować do nich, umiérał; jeśli były nie wielkie, organizm przystosowywał się. Jeśli zmiana wytwarzała dla organizmu warunki istnienia dogodniejsze od poprzednich, przystosowanie odbywało się szybko i bez cierpień; jeśli nowe otoczenie było dla organizmu mniéj korzystne, przystosowanie odbywało się zwolna i połączone było z cierpieniem: życie organizmu stawało się krótszém, mniéj pewném a pełném cierpień. Dobór naturalny ma za jedyne zadanie przystosowanie organizmów do środowiska; to przystosowanie jest w każdym razie względnie do pierwotnego typu zwyrodnieniem, a ci którzy przeżyli nie koniecznie są lepszymi. Jeśli po nastąpionem zwyrodnieniu gatunek po-

wraca do lepszych warunków bytu, wtedy odczuwa ciężar zwyrodnienia i nie odrazu przystosowywuje się do tych dawnych, lepszych warunków.

Przystosowanie się organizmu do gorszych warunków życia pozostaje w ścisłym związku z emigracyą form życia organicznego, rozumié się tylko zwierzęcego.

Ruchy materyi zorganizowanéj mają miejsce w kierunkach najsłabszego oporu, pod wpływem wrażeń przyjemności i bólu, jakich w danéj chwili doświadcza organizm. Podług Bain'a przyjemność to uczucie wzrastania energii życiowéj, ból—to uczucie zmniejszania się téj energii. Podług Spencera ból jest odczuciem działania szkodliwego dla organizmu—przyjemność odczuciem działania sprzyjającego dobrobytowi organizmu. Nakoniec podług Sergi—łączącego teorye Spencera i Ardigo—ból i przyjemność są uczuciami powszechnemi i pierwotnemi, ostrzegającemi organizm, czego się ma strzedz a czego poszukiwać, zachowującemi organizm od śmierci.

Wszystkie te teorye opiérają się na przypuszczeniu pewnéj czynnéj tendencyi i pewnéj celowości w naturze, na gruncie zatém teleologicznym i nienaukowym, na pojęciach dobra i zla, pożytku i szkody zupełnie nieokreślonych.

Wszystkie poruszenia dobrowolne istot organicznych są określone przez uczucia bólu i przyjemności,—to jest istotne prawo ducha. Pytanie leży w tém, jak powstają dążenia do doświadczania przyjemności i do unikania bólu?

Vaccaro sądzi, że przyjemność sprawiają organizmowi wszelkie poruszenia dążące do utrzymania równowagi pomiędzy siłami wewnętrznemi i zewnętrznemi, a uczucie bólu jest tylko skutkiem poruszeń, które tę równowagę zrywają. Ból i przyjemność są tylko objawami prawa powszechnego, dynamicznego, objaśniającego, że każdy ruch skierowany jest do równowagi. To co nazywamy kierunkiem najsłabszego oporu, jest téż objawem tegoż prawa, kierunkiem ku równowadze; kierunek przeciwny, kierunek nie dążący do równowagi—jest kierunkiem największego oporu.

Prawo, które kieruje za pośrednictwem uczuć bólu i przyjemności poruszeniami zwierząt i ludzi, jest zatém tém samém prawem, które kieruje wszelkim rodzajem ruchu. W ten sposób życie każde jest nieprzerwaném pasmem uczuć przyjemności i bólu, kierujących organizmem aż do śmierci. Ból i przyjemność są najlepszemi kierownikami instynktu zachowawczego istot organicznych. W świecie zwierzęcym wrażliwość wzrasta i staje się coraz lepszym kierownikiem. Dobór naturalny sprawia, że życie z wrażliwością łączy się węzłami coraz ściślejszemi.

Związek ten jednak nigdy nie jest doskonałym. Nigdy równowaga nie jest związana doskonale z uczuciami bólu i przyjemności—i nigdy do zupełnéj doskonałości nie dojdzie. Podług Spencera, nie zupełne uzgodnienie tego związku wynika z przebytego już przez gatunek, w ciągu jego całego istnienia na kuli ziemskiéj, szeregu przystosowań i odstosowań w różnych, nieraz sprzecznych, warunkach bytu (*adaptation* i *réadaptation*). Gdyby środowisko organizmów w szeregu wieków przestało ulegać zmianom—wtedy, być może, organizmy powoli mogłyby się ostatecznie i doskonale przystosować do swoich warunków bytu, ale warunki te stale ulegają zmianom, przystosowanie się stale za nimi podąża, nim się jednak zupełnie i całkowicie do nich przystosuje, nowa zmiana warunków wywołuje nowy szereg przystosowań, przez co niektóre poruszenia, które kiedyś prowadziły do równowagi, a obecnie ją zrywają, lub są dla niéj obojętne, sprawiają organizmowi przyjemność,—inne zaś sprawiają ból, dla tego, że kiedyś wywoływały naruszenie równowagi, a obecnie przy zmienionych warunkach bytu są czy to obojętne, czy téż nawet wprost prowadzą do przywrócenia równowagi. Istnieje czasami pewna głęboka niezgodność — jakiś tajemny związek pierwotny pomiędzy równowagą organizmu i uczuciami bólu i przyjemności — któryby można nazwać związkiem odwrotnym—a pojęcie tego związku nieraz tłomaczono istnieniem Istoty Najwyższéj, karzącéj istoty ubiegające się za uczuciami, sprawiającemi przyjemność.

Uczucia bólu i przyjemności skierowywują każdą istotę organiczną ku coraz to dokładniejszemu przystosowaniu się do warunków zewnętrznych bytu. Zmysły grają tu rolę rozszerzającą ciało w przestrzeni,—tak jak pamięć rozszerza je w czasie. Rozwijając się w czasie o przestrzeni, działanie zmysłów staje się coraz bardziéj złożoném, specyficznem, pewném i skutecznem. Pamięć przebytych przyjemności i bólów nie ginie razem z pojedynczym organizmem, z indywiduum; część jéj przechodzi nieświadomie do pamięci potomstwa. Instynkt zwierzęcy, to zorganizowana pamięć gatunku—a pamięć indywiduum, to tylko, tak samo u z zwierząt jak i u ludzi, instynkt świadomy. Dwa te gatunki pamięci: pamięć gatunku i pamięć jednostki zachowują organizm od popełniania grubych błędów. Ale działanie ich czasami jest bezskuteczne, błędne i fałszywe, a przyczyna tego leży w zmianach warunków zewnętrznych.

III.

Jakkolwiek prawa przystosowania się organizmów do warunków bytu—do środowiska — są powszechne, to jednak prawa te, o ile doty-

czą istot ludzkich, ulegają pewnym modyfikacyom. Wobec natury człowiek jest istotą słabą, musi znosić jéj działanie, do niéj się przystosowywać pod grozą śmierci — i nigdy od tego działania wyswobodzić się nie może. Ciało jego jest garścią ziemi, i pod działaniem téj garści ziemi duch jego zawsze pozostaje.

Ludzie różnią się między sobą fizycznie i duchowo, ani ciała ich, ani umysły nie są jednakowe i nie są téż stale jednakowe w szeregu wieków, wśród ciągłych zmian tellurycznych. Usiłowania Kollmana, aby dowieść, że fizyczna budowa człowieka nie uległa zmianie w ciągu całéj epoki czwartorzędowéj—pozostały bez skutku.

Przy tém, odkąd człowiek wydarł naturze część téj władzy, jaką ona miała początkowo nad nim, jak nad wszelkiém zwierzęciem,—odtąd uległość jego prawom natury nie jest niezmienna i jego ciało przestało ślepo stosować się do zmian zachodzących na kuli ziemskiéj. Podług Wallac'a, ciała to jest odtąd w pewnym stopniu niezmienne, a za to umysł ulega zmianom większym i te zmiany w charakterze intelektualnym i moralnym pozwalają mu coraz lepiéj zabezpieczać się przed szkodliwemi dla ciału wpływami otoczenia. Jest to postęp, który nie tylko, że raz zdobyty, trwa daléj, ale nawet stale się nagromadza. Twierdzenie Wallace'a, podług Vaccaro, jest przesadą i ciało ludzkie ulega w dalszym ciągu zmianom pod wpływem zmiennych warunków tellurycznych,— ale zmiany te, zmiany fizyczne jego konstytucyi, jeśli mają miejsce, są niedostrzegalne — a cała sprawa przystosowania się człowieka do nowych warunków bytu odbywa się w sferze jego psychologicznéj natury.

Warunki bytu zewnętrznego muszą wywoływać zmiany i w konstytucyi fizycznéj i w konstytucyi intelektualnéj, które to ostatnie redukują się téż do zmian fizycznych w ośrodkach nerwowych, są dla nas niedostrzegalne i obserwować je możemy tylko w ich objawach. Jeśli zwierzę jest inteligentniéjsze niż inne—wierzymy, że jego organizacya nerwowa jest dokładniejszą, wrażliwszą, i lepiéj do warunków zewnętrznych przystosowaną. Człowiek niewątpliwie pod wpływem inteligencyi zajmuje śród zwierząt najwyższe miejsce a system jego nerwowy uległ największéj ilości przystosowań.

Jeśli to samo rozumowanie zastosujemy do różnych grup ludzkich, to musimy uznać: 1) że siły i wpływy wewnętrzne wywołują w człowieku szereg zmian fizycznych i psychicznych; 2) że te ostatnie—zmiany psychiczne są w człowieku najdaléj posunięte; 3) że dobór naturalny działa także na przymioty psychiczne i 4) że praca przystosowania się jest ta sama w człowieku co w zwierzęciu—z zastrzeżeniem

różnicy co do stopnia—rozszerzenia w czasie i przestrzeni—złożoności i specyalizacyi.

Zmysły dokładniejsze i lepsze, niż u wielu zwierząt, narzędzia przyrządy i maszyny, które sam zbudował; ubrania, domy i inne narządy ochraniając jego ciało,—umiejętność przerabiania materyału surowego na przedmioty użyteczne, — umiejętność zabezpieczenia się od szkodliwego wpływu pewnych sił przyrody przez przeciwstawienie im innych sił, również potężnych, lub jeszcze potężniejszych; wszystko to wpływa na zmianę praw przystosowania się człowieka. Ewolucya tych zmian jest z natury nieograniczona, nie może więc być ograniczoną w dalszym ich postępie—a przez to prawa przystosowania się człowieka tracą czysto biologiczny charakter.

Najogólniejsze zatém, najwyższe prawa socyologii, muszą być prawami przystosowania się społeczeństw do wszystkiego tego, co stanowi warunki zewnętrzne bytu człowieka: siły kosmiczne, flora, fauna i w końcu organizacya społeczna.

W krótkich rysach zastanawia się Vaccaro nad podstawami przystosowania się człowieka do świata zewnętrznego, do natury. Świat nieorganiczny, siły fizyczne i chemiczne, początkowo — wszystkie były jego wrogami, lub dla niego przeszkodami. Obecnie wiele z nich są mu pomocą i granice postępu w tym kierunku oznaczyć się nie dają. Dziś najcięższą do pokonania trudnością jest względna ograniczoność tych sił i przedmiotów natury i nierówny ich podział między różnych członków społeczeństwa; nadmiar u jednych i zupełny brak u drugich. W społeczeństwie cywilizowaném los nieposiadających jest gorszy, niż człowieka dzikiego w społeczeństwie pierwotném, które na ogół nic nie posiadało — bo ten ostatni do lepszego losu przyzwyczajony nie był, wzrosł wśród nędzy i do niéj już się przystosował.

Człowiek ujarzmił dziś prawie całkowicie świat zwierzęcy i roślinny;—z większéj części kuli ziemskiéj usunął zwierzęta szkodliwe—i jak obecnie najcięższą walkę stacza z temi organizmami chorobotwórczemi, które dzięki swéj niedostrzegalności usuwają się z pod jego wpływu. W różnych klimatach człowiek nabrał różnych wiadomości praktycznych i zdolności, a tam gdzie walka z warunkami klimatycznemi była cięższa, tam wyrobił w sobie charakter bardziéj energiczny i przedsiębiorczy. Nawet większa lub mniejsza odwaga, większa lub mniejsza cnota, wydają się nam być wypadkową środowiska, które zamieszkuje, lub zamieszkiwał w przeszłości.

IV.

Najzaciętsze walki, przystosowania się najbardziéj zawiłe, prawa rozwoju najszczególniejsze, wynikły z walk człowieka z człowiekiem, grupy ludzkiéj z grupą ludzką—z przystosowywania się człowieka do warunków socyalnych—społecznych. Żródłem tych walk jest względny brak, ograniczoność środków zaspokojenia potrzeb, która wiedzie za sobą usuwanie słabszych jednostek czy to bezpośrednio przez wyrzynanie, czy też pośrednio—na drodze konkurencyi. W gruncie bowiem rzeczy wyrzynanie się i konkurencya mają cel jeden—owładnięcie środkami zaspokojenia potrzeb na wyłączny użytek jednego indywiduum, lub jednéj grupy ludzi, z wyłączeniem pozostałych. W pierwszym wypadku słabszy ginie natychmiast, w drugim umiéra powoli, w skutek niedostatku pokarmów i choroby. W pochodzie cywilizacyi rzezie znikają coraz bardziéj—przeżytek ich jednak—wojna, trwa dotąd i nie można przypuszczać, aby rychło zniknęła zupełnie.

Walki człowieka i grup ludzkich między sobą można usystematyzować, dzieląc je na walki wewnętrzne—w danéj grupie między jednostkami i klasami społecznemi—i zewnętrzne między różnemi grupami społecznemi. Oba te szeregi walk i wynikłe z nich przystosowania oddziaływają wzajemnie na siebie i wpływają na przystosowanie się wzajemne indywiduów.

Człowiek jest niewątpliwie najdzikszém ze zwierząt;—zwierzęta jednego gatunku nie wytępiają się wzajemnie nawet w walkach o samicę. Jeden tylko człowiek zabija człowieka i pożéra go. Dopóki walka z naturą jest zacięta, dopóty walka między ludźmi jest słaba. Brak żywności rzuca człowieka na człowieka; dochodzi on do tego, że morduje dla przyjemności mordowania — poluje na istoty sobie podobne z zamiłowania. Społeczeństwa starożytne nie znają pokoju tylko zawieszenia broni, ani też innych umów międzynarodowych, jak poddaństwo. Bardzo późno powstał zwyczaj wypowiadania wojny,—w walce zaś z obcemi, wszelki podstęp był dozwolony, a i dziś nawet stosunki międzynarodowe nie odznaczają się prawością (lojalnością).

W epoce, w któréj przyrodzone płody ziemi były jedyném pożywieniem ludzi, wyłączném żródłem środków zaspokojenia potrzeb życia było terytoryum (ziemia) będące w bezpośredniém posiadaniu grupy. Zwycięzcy wypędzali zwyciężonych z zajmowanego kraju—zwyciężeni musieli się usuwać na terytorya mniéj żyzne, mniéj dogodne pod względem geograficznym i klimatycznym. Popadali oni zwykle w warunki bytu mniéj dogodne, do których musieli się przystosować. Wyradzali się, stawali się jeszcze słabsi liczebnie i fizycznie.

Miliony ludzi w ten sposób znikły z oblicza ziemi—niedobitki odsunięto na krańce świata zamieszkałego (Finnowie, Baskowie, Weddahy, Indyanie amerykańscy, Buszmeni).

Najczęściéj jednak w stadyach pierwotnych zjadano zwyciężonych. Ślady ludożerstwa spotykamy na całéj kuli ziemskiéj. Wyrzynanie zwyciężonych było jednocześnie najlepszym środkiem zabezpieczenia się na przyszłość — i ten środek radykalny stosowany był nawet w czasach względnie cywilizowanych; uznawali go za odpowiedni: Plato, Arystoteles i Alberic Gentili (w w. XVI). Wypowiedzenie wojny plemieniu było jednoczesném skazaniem go na wytępienie—a prawo kanoniczne wieków średnich akceptowało na wojnie i rzeż i rabunek.

Od takiego stadyum pierwotnego zaczyna się ewolucya walk między ludźmi. Z czasem te pierwotne formy walki stają się dla człowieka mniéj korzystnemi. Przystosowywuje się on więc do innych form, a cały ten szereg nowych form walki i nowych przystosowań wytwarza nowe formy społeczne, których ewolucyę kréśli Vaccaro w następnych rozdziałach, badając naprzód ewolucyę walk zewnętrznych, a następnie walk wewnętrznych w grupach społecznych.

Przyczyny wywołujące złagodzenie walk zewnętrznych dzieli Vaccaro na dwie wielkie grupy: przyczyn bezpośrednich i pośrednich.

Pierwszą z przyczyn bezpośrednich był powoli zaprowadzony zwyczaj zaoszczędzania w rzezi po zwycięstwie kobiét i dzieci zwyciężonych. Kobiéty służyły do zaspokojenia namiętności i jako pierwsze bydło robocze. Dzieci wychowane w niewoli obracano téż do posług domowych.

Drugą przyczyną był zwyczaj wymiany lub wykupywania niewolników po walkach, które nie kończyły się ostateczną zagładą jednego z plemion, z czego, gdy człowiek jako robotnik, nabrał ekonomicznéj wartości,—wyrodził się handel niewolnikami. Powstanie i rozszerzenie się rolnictwa wpłynęło stanowczo na wprowadzenie niewolnictwa i usunięcie mordowania zwyciężonych. Niewolnik był pierwiastkowo własnością osobistą zwycięzcy, a po wojnie zwycięskiéj niewolników rozdzielano między zwycięzców. Dopiéro późniéj zjawiła się własność państwowa niewolników, których przenoszono z kraju do kraju i osadzano na roli (Assyrya, Babylon, Egipt, Rzym).

Znacznie późniéj utrwaliło się przekonanie, że niewolnik daje się spożytkować najkorzystniéj wtedy, jeśli będzie pozostawiony na własnéj ziemi i zobowiązany do płacenia danin i podatków; jest to system terytoryalnych podbojów stanowiący duży postęp w rozwoju stosunków międzynarodowych (Assyrya).

Pierwsze próby takich podbojów, zwykle oparte na niesłychanie uciążliwych dla podbitych warunkach, wywoływały nieustanne bunty — wojny — i rzezie. Pierwsi Persowie zaczęli na terytoryach zdobytych pozostawiać załogi wojskowe i urzędników administracyjnych, satrapów—i dbać o połączenie prowincyi ze stolicą dobremi środkami komunikacyjnemi (poczta). Zwyciężonym pozostawiano ich język, religię i prawa zwyczajowe, ale starano się jednocześnie zaprowadzić zniewieściałość i rozpustę dla przyspieszenia zwyrodnienia plemienia. Kserkses budował domy rozpusty w Babylonie. Chciwość satrapów w Persyi nie dopuściła do skonsolidowania się państwa perskiego w jedno społeczeństwo; — wystarczyło paru bitew, aby cały ten gmach z podboju zrodzony w gruzy się rozsypał. Państwo perskie w historyi uspołecznienia ludzkiego jest pierwszym przykładem połączenia pod jedną władzą wielu różnych grup społecznych plemiennych, mających różne: religie, języki i obyczaje.

Następną formę panowania i ciągnienia pożytku ze zwyciężonych—ich eksploatacyi—spotykamy rozwiniętą w Rzymie. Budowano obozy ufortyfikowane, osadzono w nich załogi, a zwyciężonych łupiono i obdzierano z dobytku, przywiązywano do ziemi, nakładano na nich podatki, pozwalając co do reszty urządzać się jak im się podobało. Spotykamy tę formę u wszystkich ludów aryjskich, a naprzód u Greków. Rzymianie ją wydoskonalili stosując w całym świecie cywilizowanym starożytnym; zostawiali oni podbitym cień autonomii i niezależności. Rzym stał się miastem potężném i bogatém „*vi et armis*"—rozbojem politycznym,—stosowaniem metody politycznéj opiewanéj przez Vergilego „*parcere subjectis et debellare superbos*". Tępiono tém silniéj— im silniejsze było przywiązanie plemienne do wolności (Samnici, Iberowie). W porównaniu z innemi zdobywcami postępowano z umiarkowaniem: wymagano corocznie haraczu—*stipendium*, zabiérano na własność państwa całą ziemię lub, jak w Italii, część tylko; osadzano na niéj kolonistów, resztę wydzierżawiano miejscowym rolnikom za opłatą t. z. „*vectigal v. tributum*". Bunty uśmierzano z okrucieństwem dzikich;—wielu miastom Italii pozostawiono autonomię zastrzegając tylko, aby prawa przez nich stanowione nie były w sprzeczności z rozporządzeniami „ludu i senatu rzymskiego". Władzę senatu i ludu na prowincyi wykonywali prokonsulowie i propretorzy, z czasem brani z śród najwięcéj płacących. Podatki wydzierżawiano „publikanom". Był to najwspanialszy i największy przykład międzynarodowego politycznego „pasorzytnictwa", który zrodził i powstanie i upadek potęgi Rzymu. Po raz pierwszy odkąd człowiek doszedł do świadomości swego istnienia panował pokój „*pax romana*"—na tak wielkiéj przestrzeni; i po raz

to pierwszy tak liczne miliony ludzi pracowały w czoła pocie na nasycenie żądzy zbytku i rozpusty kilku tysięcy „pasorzytów" ludzkich, żyjących w centrum tego politycznego organizmu:—Rzymie.

V.

Przechodząc do przyczyn pośrednich, które wpłynęły na ewolucyę zewnętrznéj walki o byt między grupami ludzkiemi, Vaccaro na pierwszém miejscu stawia—odwrotny stosunek liczebnéj wielkości grup do natężenia walk zewnętrznych. Małe plemiona—żyjące w jednéj wsi, lub w kilku wsiach obok siebie leżących, są w stanie w ciągu kilku godzin wziąć się do oręża, zgromadzić się i rzucić na sąsiada. Im te grupy są większe, tém trudniejsze jest prędkie zgromadzenie sił, a tém samém już walki stają się rzadszémi.

Rzymianie zaprowadzili pokój w całym starożytnym świecie ucywilizowanym—a kiedy państwo Rzymskie rozsypywało się w gruzy, współcześni nie byli w stanie wyobrazić sobie co daléj nastąpić może i przewidywali koniec świata. Świat średniowieczny popadł na nowo w okres nieustannych walk i wojen—śród których idea powszechnéj monarchii powstawała niejednokrotnie (Papieże, Karol W., Karol V, Ludwik XIV, Napoleon). Usiłowania te jednak wywoływały szereg wojen morderczych, nie dając żadnego rezultatu prócz zmniejszenia się ilości państw niezależnych i powiększenia terytoryów państw pozostałych.

Już jednak i ten rezulat prowadzi za sobą konieczność zmniejszenia ilości wojen. Uruchomienie i zgromadzenie sił orężnych jest coraz trudniejsze; przeniesienie ich na jedną granicę coraz cięższém, a jednocześnie obawa napadu z drugiéj strony coraz większą (Chiny). W walce tylko część narodu może brać udział,—wytępienie całkowite po zwycięstwie jest niemożliwe, a obawa odwetu przy niepomyślnych konjunkturach politycznych coraz większa.

Drugą z przyczyn pośrednich wpływających na ewolucyę walk międzynarodowych, jest rozwój handlu, ogarniającego coraz to szersze przestrzenie, wiążącego węzłem wzajemnych interesów, coraz to liczniejsze narody. Kraje bogate boją się łupiestwa,—wojny w celu „łupów", stają się niemożliwe. Łupieżca może być złupiony, a chociaż zacządki handlu łączą się w źródłach z zaczątkami rozboju (głównie korsarstwa)—dziś niéma większego wroga wojny, jak handel. Wprawdzie czasami właśnie interesy handlowe wywołują wojny—ale odkąd A. Smith dowiódł narodom, że każdy z nich zarabia tylko na pomyślności

sąsiadów—niema już wojen, których celem miałoby być zubożenie, ekonomiczna ruina, sąsiada.

Tak samo wzrost przemysłu i międzynarodowy podział pracy, udoskonalenie narzędzi wojennych i ich kosztowność, sprawiają, że wojna, nawet szczęśliwa, połączona jest z ciężkiemi zaburzeniami w sferze życia ekonomicznego, na które narody coraz rzadziéj chcą się wystawiać. Wzajemna solidarność i zależność narodów wzrasta ciągle, a kapitalista lokujący swe funty szterlingi, franki lub marki w zagranicznych przedsiębiorstwach jest największym przyjacielem pokoju.

Wojna i podbój stały się zajęciem coraz mniéj produkcyjném, a coraz bardziéj niebezpieczném. Dawniéj żołdak sam sobie żołd wypłacał łupiąc i rabując kraj nieprzyjacielski. Okropności wojny 30-letniéj nie należą do historyi starożytnéj. Dziś państwo musi samo żywić armię, nawet w kraju nieprzyjacielskim, ponosić szalone koszta wojenne, które w związku ze stratami ekonomicznemi wewnątrz kraju z trudnością dają się pokryć zwrotem kosztów wojennych i kontrybucyami.

Łatwość porozumiewania się między rządami państw stanowi też przeszkodę do wojny, uniemożliwia zarządzenie niespodziewanéj napaści i złupienia sąsiada. Słabi łatwiéj niż przed laty wchodzą ze sobą w porozumienia przeciw silnym, a od czasów greckich, związki czasowe, ligi—przechodzą łatwo w związki stałe—federacje w celu wspólnéj obrony.

Stąd narodził się w świecie cywilizowanym t. zw. system równowagi politycznéj, który choć sam nieraz sprawił dużo złego ludzkości, nie pozostał jednak bez korzyści. Powstał on koło 1330 we Włoszech, rozdzielonych wówczas na setki politycznie niezależnych całości, i był między innemi, jedną z przyczyn trwania podziału Włoch i przeszkadzał zaprowadzeniu jedności włoskiéj. Od 1648 r. system ten zastosowany został do polityki międzynarodowéj w całéj Europie, — a chociaż nieraz używano go do popełniania gwałtów politycznych, to jednak trzyma on na wodzy chciwość, utrudnia podboje i poskramia żądzę zaborcze.

Vaccaro wierzy też w postęp moralności politycznéj; uważa tylko ten postęp za bardzo powolny. Nie bez wpływu na moralność polityczną, podług niego jest forma rządów w państwie. Sądzi on, że demokratyzowanie się społeczeństw, zmniejsza ich wojowniczość. Wprawdzie daleko to jeszcze do tego ideału, o którym Kant marzył, aby ile razy idzie o kwestyę wojny lub pokoju, każdemu obywatelowi państwa służyło prawo głosowania w téj sprawie, ale pamiętać należy, że dzisiejsza demokracya, w większości państw europejskich, jest bardziéj

fikcyjną niż rzeczywistą, że demokracya prawdziwa niewątpliwie ze swéj natury dąży do pokoju, i że przy rządach demokratycznych, w krajach istotnie oświeconych, wojny muszą się stać bardzo rzadkiemi.

Reasumując przeszłość walk zewnętrznych między grupami ludzkiemi, Vaccaro widzi, jak prawo przystosowania się modyfikuje rezultaty walki o byt przez udomowienie zwyciężonych, t. j. niewolnictwo, najprzód kobiet, potém dzieci a w końcu i dorosłych mężczyzn zwyciężonego plemienia. Z czasem niewola z instytucyi prywatnéj przeradza się w państwową, niewolnik osadzony na ziemi płaci haracz, podatek. Drogą naturalnego i sztucznego doboru z ras podbitych, utrzymują się przy życiu tylko te, które umieją zastosować się do zmienionych warunków bytu—niewoli, te, które się zastosować nie umieją, giną wśród buntów i powstań. Wstręt do niewoli zmniejsza się a jednocześnie sama niewola przybiera coraz to łagodniejsze formy. W końcu przymus moralny, obawa sama utrzymuje w posłuszeństwie zwyciężone plemiona i jedno miasto — Rzym, żyje sokami wyciskanemi z całego świata ucywilizowanego. To przystosowanie się do uległości, to usunięcie walki międzynarodowéj wewnątrz granic państwa rzymskiego, pozwala skierować większą ilość sił ku pracy produkcyjnéj, pozwala na lepszy podział pracy, wyższe wykształcenie sztuki wojennéj i na tém łacniejszy podbój ludów stojących poza państwem. Wytworzenie się w grupach ludzkich stanu wojowników prowadzi z konieczności do oddania ich dowódcom władzy najwyższéj w społeczeństwie, do ustanowienia królewskości. Rozszerzenie rolnictwa podnosi skłonności poddańcze, a jednocześnie: wzrasta bogactwo i wzmaga się żądza łupieży w barbarzyńcach. Wzrost handlu i przemysłu odejmuje wojnom charakter ekonomicznie korzystnego przedsiębiorstwa. Tylko zastarzałe nienawiści historyczne, fałszywy patryotyzm, głupota, chęć zemsty, i egoizm pobudzają dziś narody do wojen.

Z małemi wyjątkami wojny prowadzone były zawsze dla jakichś z góry określonych korzyści. Korzyści te jednak coraz są mniejsze i chociaż wojny trwać będą dopóty, dopóki trwać będzie chciwa drapieżność w ludziach, to jednak nie można zaprzeczać, że uczucie solidarności wszechludzkiéj wzrasta stale. Organizacya wewnętrzna społeczeństw staje też z biegiem czasu na przeszkodzie ciągłym wojnom i wymaga lepszego przystosowania się narodów do współistnienia na ograniczonéj przestrzeni. Nawet idąc za popędami egoizmu, człowiek staje się coraz mniéj wojowniczym, coraz mniéj skłonnym do napaści i łupieży; nabywa uczuć bardziéj ludzkich i woli pracować niż łupić z narażeniem życia. Sprzeczne interesy różnych grup społecznych dążą

do sharmonizowania się. Natura rzeczy zmusza ludzi do zgody, demokracya skłania ich do pokoju.

Twierdzenie Gumplowicza, że suma eksploatacyi człowieka przez człowieka w biegu epok historycznych zmianie nie ulega, nie jest faktami usprawiedliwione. Siły działające w społeczeństwie nie zmniejszają się, ale coraz większa ich część skierowaną jest produkcyjnie; pasorzytnictwo zmniejsza się, i postępy ludzkości w sferze walk międzynarodowych są wielkie. Z wszelkiém prawdopodobieństwem, podług Vaccaro, wojny będą się zmniejszać i w przyszłości i będą uważane za naruszenie zasadniczych podstaw godności ludzkiéj za *„crimen laesae majestatis humanae"*.

Możliwość stałego pokoju warunkuje się przedewszystkiém obfitością środków utrzymania i pewném ograniczeniem chciwości indywidualnéj, która dziś nie umié zakreślić granic namiętności posiadania. Stąd walki konkurencyjne, powolne wymiéranie słabszych — pośrednie ich usunięcie (*elimination*). Płynie w téj walce mniéj krwi może, ale niewątpliwie więcéj łez, i gdyby szanse téj walki były z obu stron równe, być może, iż zawsze lepszy byłby zwycięzcą. Ale zbyt wiele jest przyczyn ubocznych, przypadkowych, wpływających, na wynik téj walki, aby rezultatem jéj było utrzymanie się przy życiu lepszego, czy to w życiu indywidualném, czy téż społeczném.

Pewne ludy odnosiły zwycięstwa nad innemi dzięki zbiegowi okoliczności, lub szczęśliwym warunkom; inne upadły dla tych samych. przyczyn. (Miasta włoskie i odkrycie Ameryki). Te okoliczności poboczne sprawiają, że współubieganie odbywa się z szansami nierównemi. System np. protekcyjny poparty siłą oręża zmienia jéj rezultaty. Na walce dwóch—zyskuje zwykle trzeci, dlatego wzrost i upadek narodu może być dziełem przypadku. Dopiéro po zniesieniu tych przeszkód, po usunięciu wpływu okoliczności pobocznych, możnaby twierdzić, że najzdolniejszy zawsze w walce zwycięża, że usunięcie najzdolniejszych w walce jest niemożliwe. Nasi potomkowie dojdą może do przekonania, że lepiéj jest pomódz narodom mniéj zdolnym, niż ułatwiać im zniknięcie z oblicza ziemi. Naród nędzarzy jest ciężarem dla całéj ludzkości, źródłem wiecznego niebezpieczeństwa, zarodkiem chorób moralnych i materyalnych. Imigracya jego do krajów bogatych jest pociechą dla kapitalisty, ale klęską dla robotnika (Irlandya, Chińczycy).

Kiedyś dla pożytku i z interesu ludzie wyrzynali się i zjadali, w przyszłości dla korzyści i przez interes może będą sobie wzajemnie pomagać. Barbarzyństwo ustąpi miejsca humanitaryzmowi, a przepowiednie takie nie są, podług Vaccaro, tylko marzeniami.

VI.

Więcéj pracy i miejsca poświęca Vaccaro badaniu walki i przystosowania się wewnątrz grup społecznych, niż badaniom walk zewnętrznych. Jest to w dzisiejszéj dobie zaciętych walk klasowych zupełnie zrozumiałe.

Obyczaje pierwotnych grup społecznych są nam, mówi Vaccaro, nieznane; należy tylko przypuszczać, że po zwierzętach, od których bezpośrednio pochodził, człowiek oddziedziczył pewien instynkt towarzyskości, pewne skłonności społeczne. Zjawił się on na świecie już jako „*zoon politikon*" — zwierzę polityczne, społeczne. Pomiędzy temi pierwotnemi indywiduami ludzkiemi musiały też istnieć pewne różnice w budowie, skłonnościach, postępowaniu, obyczajach i zajęciach — w jedném nawet stadzie ludzkiém. W każdym razie i to pierwotne stado ludzkie ulegało prawu ludności, i jak tylko powstał brak środków pożywienia, jedne indywidua dążyły do usunięcia drugich, każdy osobnik dążył do zapewnienia sobie największéj sumy przyjemności, a zwalenia przykrości i bólów, na inne osobniki hordy; słabi musieli ulegać silnym. Ten peryod pierwotny był prawdopodobnie okresem życia niemal zwierzęcego, bydlęcego i tylko prawo naturalnego doboru wpłynęło na zmianę obyczajów. Stada, w których silni mniéj uciskali i mniéj wytępiali słabych, miały więcéj szans zwycięstwa, niż stada, w których siła nie była ograniczona żadnym obyczajem. W stadzie siła musiała być ograniczoną pod groźbą prędkiego wytępienia stada przez obcych.

To nieświadome dążenie do ograniczenia siły obyczajem, prawem, z czasem stało się dążeniem świadomem i dobrowolném, i doprowadzało do barbarzyńskiéj zasady, że lepiéj nie pastwić się nad jednoplemieńcami, aby tém więcéj znęcać się nad obcymi. Dla tego też opinia ogółu w stadzie oburzała się na napaść wewnętrzną, a chwaliła napaść na obcych. Siła i odwaga wzniecały uwielbienie; instynkta zwierzęce zwrócone przeciw obcym zyskiwały pochwałę. Zgniecenie sąsiadów polepszało warunki istnienia stada; przegrana w walce z nimi pogarszała te warunki, czyniła walki wewnętrzne bardziéj zawziętemi, wyłączała większą ilość słabych osobników i prowadziła za sobą rychłe osłabienie i zniknięcie stada.

W pewnym dość wczesnym peryodzie, twierdzi Vaccaro, musiały się tworzyć wewnątrz hord ludzkich pewne grupy jednostek czujących do siebie pewną sympatyę, oparte być może na poczuciu wspólnego pochodzenia, na węzłach krwi. Węzły takie prowadziły do wspólnéj pracy i wspólnego zamieszkania. W łonie hordy tworzą się wtedy jakby

jądra, grupy społeczne, wewnątrz których napaść jednych członków grupy na drugich jest stanowczo wyłączona, zakazana. Takie wyłączenie napaści musiało w bardzo prędkim czasie okazać całą swą użyteczność dla zachowania, wzrostu i powodzenia tych grup; dało im pewną trwałość i siłę, które w indywiduach pozostałych po za grupą wzniecało szacunek i obawę. Z czasem przy wzroście ludności, hordy stały się plemionami, a te zarodki grup społecznych rodami, klasami. Być może, mówi Vaccaro, iż rzeczywisty rozwój ludzkości postępował nieco inną drogą; w każdym razie obawa napaści z zewnątrz, zsolidaryzowała i utrwaliła związki wewnętrzne w hordzie i te hordy, które prędzéj przystosowały się do potrzeb takiéj solidarności, których członkowie łatwiéj przystosowali się do zgodnego wewnątrz hordy pożycia, te miały niewątpliwie więcéj zdolności do życia, więcéj szans zwycięstwa w zewnętrznych walkach o byt.

Fakta potwierdzają tę teoryę: wszystkie plemiona dzikie, które były naukowo obserwowane, lub o których doszły do nas o tyle o ile wiarogodne wzmianki, były, lub są przystosowane do zgodnego pożycia wewnątrz stada. Niektóre z nich uległy zatrzymaniu rozwoju i te żyją w stanie zupełnego bezrządu, bez żadnéj widocznéj władzy społecznéj. Na ziemi Ognistéj silni obdzierają słabych, mordują ich i nikt się temu nie sprzeciwia i nie dziwi. To sama zauważono u plemion Damara i Buszmenów. U Sioux'ów: gwałt, kradzież i podpalenie uważane były za środki odznaczenia się.

Pierwszą przyczyną osłabiającą walki wewnętrzne—zmuszającą silnego do hamowania swéj siły—jest obawa solidarnego działania rodu, obawa zemsty rodu za zabitego lub pokrzywdzonego członka; korzyści wynikające z takiego otamowania nadużyć siły rychło sprawiają, że ród staje się instytucyą powszechną i trwałą, że pod jego opiekę garną się i ci, których krew i pochodzenie z rodem nie łączą, tak że wkrótce wspólne pochodzenie rodu jest tylko fikcyą. Potęga rodu polega na ścisłém wykonywaniu zemsty rodowéj; opinia nikczemności grozi temu, który od wykonania zemsty się uchyla.

Z czasem do zemsty, jako podstawy rodu, węzła ród łączącego, przybywa wspólna religia, która uświęca zemstę i chociaż z czasem zemsta staje się przeszkodą dalszego postępu, w pierwocinach bytu człowieka na ziemi oddała ona wielkie usługi cywilizacyi. Jeśli nacisk plemion obcych z zewnątrz jest słaby, może ona trwać bardzo długo; pod silnym naciskiem walk zewnętrznych—rody łączą się w większe uspołecznienia, zjawia się władza polityczna, państwo, i wobec jéj powagi ród i zemsta rodowa znikają.

Aby zapobiedz wykonaniu zemsty przez ród pokrzywdzonego na całym rodzie krzywdziciela, wydają winnego rodowi obrażonemu. Winny pierwotnie bywa zabijany na miejscu; z czasem następuje rodzaj przystosowania się, zabicie zmienia się w niewolę, a zamiast wydania winnego ma miejsce wydanie niewolnika; w końcu niewolnik zastąpiony bywa okupem. Ostatnią formą znikającéj zemsty rodowéj jest sądzenie winnego przez oba rody wspólnie i wykonanie kary na jego osobie.

Drugim środkiem przystosowania się wewnętrznego jest powstanie władzy w rodzie i plemieniu. Zwykle potrzeba wojenna, obrona lub napaść, wywołuje w hordzie, rodzie lub plemieniu wybór wodza: najstarszego i najmędrszego. Niemniéj na osłabienie walk wewnętrznych wpływa podział rodu i rozszerzenie się na zajętem terytoryum. Wskutek tego podziału wzrasta możność zaopatrzenia się w środki żywności, a gdy powstaje rolnictwo, zbiory początkowo są wspólną własnością rodu i dzielone bywają na równi między jego członków. Kobiety są też w rodzie wspólne (?), odstępują się i pożyczają z łatwością, a tém samem usuwa się z łona rodu zazdrość, źródło częstych walk wewnętrznych.

Gwałty wykonywane przez silnych musiały być pierwotnie bardzo częste. Ofiarami gwałtu prawdopodobnie były przedewszystkiém kobiéty: one wykonywały najcięższe roboty, one ulegały stale kaprysom mężczyzn. Dzieci są własnością rodziców, i jako takie oddawane na ofiarę bogom i zabijane. Los starców nie o wiele był lepszy. Wiele jednak w obyczajach plemienia zależy od urodzajności kraju. Zbyteczne wytępianie słabych wstrzymuje jego wzrost liczebny, zbytek litości osłabia też siłę rodu; jego siła, jego obyczaje, muszą się przystosować do warunków zewnętrznych, w których łatwość zdobycia środków pożywienia gra najgłówniejszą rolę i przystosowanie to jest tém trudniejsze, im bardziéj ród co do środków pożywienia zależny jest wprost od działania sił natury. Dopiéro powstanie produkcyi pasterskiéj i rolnéj, zależność tę ludzi od natury zmniejsza.

Pod wpływem organizacyi rodowéj walki wewnętrzne słabną, ale nie ustają. Gdyby rody były sobie równe co do sił, walki między niemi byłyby krótkie; ale i między rodami są różnice co do ilości i jakości członków, i rody słabe z trudnością mogą osiągnąć sprawiedliwość przeciw rodom silnym. Dla człowieka pierwotnego śmierć nie następuje inaczéj, jak tylką za czyjąś sprawą. Stąd walki nieustanne między sąsiedniemi rodami, a rody silne z tych walk wychodzą jeszcze silniejszemi, wypędzając słabe z ich terytoryów, lub wytępiając je całkowicie. Dla uniknięcia walk rody jednego plemienia prędko docho-

dzą do wytworzenia rad starszych w plemieniu, rozstrzygających spory między rodami; rady te jednak nie są wzorami sprawiedliwości; rody silne mają w nich stanowczą przewagę. Równość, o której twierdzono, że istniała w pierwotnych ustrojach społecznych, nie istnieje śród nich w rzeczywistości. Nierówność między rodami nie jest wielka, tém niemniéj istnieje i wywołuje liczne nadużycia i gwałty.

Najsilniejszym jednak bodźcem rozwoju, przyczyną najsilniejszych i największych przystosowań się były zawsze walki zewnętrzne: bez wojen między plemionami zastój zupełny miał-by miejsce w uspołecznieniu człowieka. Punktem wyjścia każdego solidarnego współdziałania jest konieczność obrony lub chęć napaści. Bez okrucieństw wojny człowiek byłby pozostał umysłowo i fizycznie słabym. Wojna robi karność konieczną: nawet zwierzęta w walce umieją działać łącznie—słuchają starych samców, odważnych i silnych. Śród ludzi, chociaż dowódca, z ustaniem wojny, początkowo traci swą władzę, to jednak zachowuje i w czasie pokoju pewną powagę i przewagę, a gdy plemiona karne i uległe wodzom prędzéj i częściéj zwyciężają, niż niekarne i nieuległe, pierwsze trwają i zwiększają się liczebnie, drugie upadają i giną, lub wymiérają zwolna. W epokach, w których wojna pomiędzy plemionami jest stanem normalnym, przystosowania się ludzi do uległości wodzom musi się odbyć prędko, i wytępienie nieprzystosowanych następuje też szybko. Władza staje się tém samem stałą. Czynniki nadprzyrodzone i powaga przodków wpływają na wzmocnienie i ustalenie władzy dowódców, a tak: władzę i karność, uświęca tradycya.

W rozwoju jednak władzy uświęcone tradycye grają często rolę przeszkód. Naczelnik rodu jest przedstawicielem zmarłych przodków, inaczéj nie miałby mocy stanowienia praw. Dlatego też u niektórych narodów dzikich: Hottentotów i Meksykanów naczelnik obejmując władzę przysięgał [1]), że nie zmieni nic w ustanowieniach społecznych i prawach. Obyczaje przodków są nierzadko wynikiem nieświadomości i uświęcanie ich potęgą pojęć nadprzyrodzonych przyczyniło się niemało do utrwalenia nadużyć i przesądów. Często prawa są wynikiem przewagi silnych i dążą do zabezpieczenia ich interesów: uświęcanie ich jest więc nieraz uświęcaniem niesprawiedliwości.

Powaga zmarłych wzmocniła w każdym razie powagę władzy, a z czasem wzięta w monopol przez kapłanów wyrodziła między nimi

---

[1]) „*Pacta conventa*“ w Polsce były niezawodnie przeżytkiem czasów pierwotnych.

i dowódcami wojennemi rodzaj współki do eksploatowania plemienia. Często téż dowódcy wojenni dla tém większéj powagi bywali wielkimi czarownikami „*grands sorciers*”, wielkiemi kapłanami, i w tym charakterze zagarnęli dla siebie prawo tłomaczenia woli bogów, sądzenia, rządzenia i nakładania podatków. Jeśli słabi zdołali przystosować się do takiego rządu silnych, silni stali się przezto jeszcze silniejszymi, a słaby z czasem już ulegał dobrowolnie. W tych warunkach pewna grupa społeczna, z łatwością dochodzi do wszechpotęgi społecznéj i mała garstka ludzi jest w stanie przy pomocy cieniów zmarłych i uświęconych obyczajem praw despotycznie tyranizować znaczną większość społeczeństwa. Naczelnik rodu, stanu, czy grupy staje się wtedy monarchą absolutnym. Państwo, jak słusznie mówi Gumplowicz, jest panowaniem mniejszości nad większością, ale myli się on, sądząc, że państwo powstaje tylko drogą podboju. Powstaje ono i samorzutnie, pod naciskiem sił zewnętrznych przez silne zorganizowanie plemiona w celach obrony [1]). Podbój i wojna przyspieszają tylko powstanie państw i władzy politycznéj.

W społeczeństwach dzikich i barbarzyńskich władza utrzymująca hordę w karności musi być téż dzika i barbarzyńska; musi obdziérać, wyrzynać, łupić, a za pierwszy swój obowiązek musi uważać zabezpieczenie siebie od buntu przed własnymi poddanemi. Uczy się prędko nakładać podatki i prędko téż dochodzi do pojęcia o prawie własności panującego do wszelkiego majątku poddanych: ruchomości, ziemi i kobiet. Ofiary, jakie ponoszą ludy dzikie, na utrzymanie téj władzy, są przerażająco wielkie; znoszą je jednak, bo to jedno zabezpiecza je od stanu wiecznéj walki wewnętrznéj, i dlatego téż władza monarchiczna powstaje zwołna u wszystkich plemion barbarzyńskich a wojowniczych. Tylko silna i jednolita władza zapewnia im szanse powodzenia w walce o byt, i tylko przystosowaniem się do takiéj władzy unikają one niebezpieczeństwa zagłady w walkach zewnętrznych i wewnętrznych.

Wódz jest pierwiastkowo arbitrem (sędzią polubownym) w sprawach osobistych; z czasem zagarnia on prawo sądzenia i stanowienia praw; tylko późniéj nabiera przekonania, że jego własny interes wymaga sprawiedliwego sądzenia; że sprawiedliwość podnosi jego powagę i wzmacnia siły jego państwa. Władza sądowa daje mu prawo konfiskaty majątków i pobierania kar sądowych. W końcu, gdy uważa wszystkich poddanych za swych niewolników, poczuwa się do obowiązku obrony słabych przeciw silnym i znajduje korzyść w poniżaniu i osła-

---

[1]) Czechy. Polska.

bianiu tych drugich. Despotyzm jednego jest dla plemienia zawsze korzystniejszym od despotyzmu wielu.

Jak tylko władza monarchiczna nabierze dostatecznéj siły, związki rodowe słabną i rodzina zarówno ojcowska, jak i macierzysta zaczyna grać większą rolę. Początkowo rodzina nie ma funkcyi społecznych wyraźnych; być może, że związek ten stanowił podstawę pewnych spraw spadkowych do majątku zmarłego członka rodziny, majątku, który ogranicza się wówczas do broni i ozdób, i to o tyle o ile téj broni i tych ozdób ustalony zwyczaj nie kazał grzebać wraz z umarłym. Z czasem jednak rodzina wchodzi w prawa i obowiązki rodu: ona odpowiada za przestępcę, ona ma obowiązek zemsty, ona dziedziczy majątek. Kobieta—pierwotnie własność rodu—z czasem staje się własnością męzkich członków rodziny, potém, gdy rolnictwo czyni oddzielne domostwa koniecznemi, staje się własnością jednego mężczyzny (?), W miarę tego jak prawa spadkowe i obowiązki zemsty przechodzą na rodzinę, ród staje po za nią w tych prawach pomocniczo, a z czasem znika zupełnie. Własność indywidualna kobiét zjawia się najprzód jako atrybut naczelników lub znanych z siły wojowników, a przedewszystkiém odnosi się do kobiet zabranych na wojnie w niewolę. Odtąd ojcostwo staje się pewném, i rodzina patryarchalna powstaje, a gdy w rodzinie takiéj karność pod kierunkiem ojca jest większa, gdy ta karność przystosowuje ludzi lepiéj do uległości władzy i jedności w działaniu, nic dziwnego, że narody z silną władzą ojcowską, z wzrastającą rodziną patryarchalną wzięły górę nad innemi, a plemiona, które do tego porządku rzeczy przystosować się nie mogły, odsunięte, osłabione powoli zniknąć musiały.

Instynkt ojcowski istnieje u niektórych ras zwierzęcych. Patryarchalna rodzina ludzka, gdy raz powstała, musiała rozszerzyć się na wszystkie narody ucywilizowane, i stać się dla nich typem zasadniczym rodziny. Ojciec stał się panem, sędzią i przedstawicielem interesów rodziny, jéj władcą i kapłanem. Po śmierci ojca brat starszy obejmuje władzę, a karność rodzinna trwa śród dorosłych członków rodziny nieustannie, nawet po dojściu ich do dojrzałości.

Powstanie rodziny ojcowskiéj zmienia ekonomiczne i polityczne podstawy istnienia grup społecznych: za tą formą rodziny idzie zróżniczkowanie majątkowe, podział grupy na bogatych i biédnych, a podział ten prowadzi za sobą niechybną przewagę bogatych i uciemiężenie biédnych. Taki podział i taki ucisk spotykamy już u dzikich Polynezyi, u negrów afrykańskich i u monarchicznych czerwonoskórych plemion w Ameryce, przed pojawieniem się europejczyków. Jednocześnie zjawia się śród bogatych obawa złupienia ich przez biédnych. Stąd

poparcie, jakie bogaci dają istniejącemu porządkowi, stąd usiłowania zorganizowania są celem obrony majątków, wzięcie na swój żołd części biednych dla obrony przed resztą, i dążenie ze strony ubogich dostać się pod opiekę bogatych, zostać ich klientami. Śród tych stosunków „pasorzytnictwa" z jednéj strony, eksploatowania i uległości z drugiéj, obie strony ulegają zwyrodnieniu i obie nabywają cech charakterystycznych: przymiotów i wad właściwych patrycyuszom i plebejuszom. W ten sposób, bez najazdu i podboju z zewnątrz, grupy społeczne różniczkują się na klasy, i powstaje szereg grup społecznych złożonych, w których prawa walki i przystosowania się pod wpływem powstałego wewnątrz grupy pasorzytnictwa, ulegają nowym zmianom i modyfikacyom.

(D. n.) *Stanisław Piotrowski.*



ZAKŁADY GÓRNICZE

w Białogonie.



I.

Ktokolwiek ze stacyi Kielce koleją Dąbrowiecką ku Chęcinom wyrusza, musi naprzód zwrócić uwagę na górę Kadzielnią, którą pociąg od południa okrąża; daléj, na wznoszącą się po za nią w stronie północnéj Karczówkę, pokrytą lasem sosnowym, ponad który wystrzela wieża po-bernardyńskiego kościoła, a następnie, w znaczném zagłębieniu, na rozległą, zadrzewioną osadę, z murowanémi budynkami, które w otoczeniu olbrzymich lip, wierzb srebrnolistych i olch ciemnych, bielejąc, nadają jéj pozór dobrze zabudowanego miasteczka.

Jest to Białogon, miejscowość niegdyś głośna, nietylko w granicach kraju, ale i daleko po za jego obrębem, a dziś do tego stopnia obca nowemu pokoleniu, że w „Słowniku geograficznym", co do innych miejscowości tak dokładnym i wyczerpującym, zaledwie poświęcono jéj kilkunasto-wierszową wzmiankę; w „Encyklopedyi" zaś wielkiéj, pominięto zupełnie. Jest to tém dziwniejsza, że właśnie miejscowość ta przez długi czas była głównem ogniskiem górniczego u nas przemysłu i łączy się jak najściśléj z jego historyą.

Do napisania zresztą jéj monografii, nie trzeba było ryć się w aktach byłych komisyj: Spraw wewnętrznych, Przychodu i Skarbu, oraz b. Banku polskiego, gdyż wszystkie dane, odnoszące się do niéj,

znajdują się na miejscu. W naszych bowiem zakładach górniczych był ten zwyczaj chwalebny, że przy każdym utrzymywano księgę, do któréj, jak najskrupulatniéj zapisywano każdorocznie nietylko wszystkie szczegóły, odnoszące się do działalności fabrycznéj i jéj produkcyi, ale i rozporządzenia władz wyższych, zmiany, zachodzące w składzie urzędników górniczych, a nawet i wypadki losowe. Taką księgę, złożoną z kilkuset kart, utrzymywano i w fabryce białogońskiéj, a ma ona choćby z tego już względu źródłowe znaczenie, że każdorocznie naczelnik okręgu górniczego, zwiedzający zakłady, sprawdzał jéj zawartość i poświadczał zgodność z rzeczywistym stanem fabryki.

Z owéj też księgi, zatytułowanéj: *Opis geograficzno-historyczny i statystyczno-techniczny zakładów rządowych, górniczych w oddziale białogońskim*, przeważnie do naszego artykułu materyał czerpiemy.

Pobudką do jego skreślenia była zarówno chęć przypomnienia dzisiejszemu pokoleniu téj miejscowości, pominiętéj w dziełach, które wyczerpującym jéj opisem zająć się były powinny, jak i ta okoliczność, iż fabryka białogońska przechodzi z rąk rządu w długoletnią dzierżawę, która zamknie cały jéj okres 80-cio letniéj działalności, wielce pożytecznéj dla kraju.

Białogon od Kielc o wiorst 5 odległy, znajduje się tuż przy szosie, łączącéj Warszawę przez Radom, Kielce, Chęciny, Miechów i Michałowice—z Krakowem. Ta szosa téż, przed zaprowadzeniem u nas kolei żelaznych, była najgłówniejszą arteryą komunikacyjną w Królestwie. Położony zresztą w dolinie rzeki Bobrzy, biorącéj pod Samsonowem początek, oraz jéj dopływów: Strumienia niewachlowskiego i Silnicy i z trzech stron otoczony pasmami gór lesistych, liczy się Białogon do piękniejszych miejscowości, w które tak obfituje dawna ziemia sandomierska. Jakoż na północ od niego wznosi się pokryta lasem sosnowym góra *Stokowa*, u któréj stóp wytryskują obok siebie trzy źródła. Jedno z nich ma rozwalniające własności; o ile jednak wiemy, nikt dotąd składu jego wody nie badał. W tym samym kierunku, tylko bardziéj na wschód, po za Stokową i nieco w głąb' cofnione, ciągnie się pasmo *Dalnéj góry*, dziś już ogołoconéj z lasu, ale pamiętnéj odkryciem, przez gwarka, Hilarego Malę, ogromnéj bryły samorodnego ołowiu, z któréj wyrobiono posąg ś. Barbary, mający wysokości stóp 4 i cali 9, a umieszczony w jednym z bocznych ołtarzy w pobernardyńskim, na Karczówce, kościele. Było to w r. 1642. Na miejscu tego odkrycia do dziś dnia wznosi się słup kamienny, z wyrytym odpowiednim napisem. Szereg gór, od północy otaczających Białogon, zamyka Karczówka, na któréj w r. 1624 biskup krakowski, Marcin Szyszkowski, wystawił kościół, jako *votum*, po uśmierzeniu grasującego

w Kielcach powietrza i przy nim bernardynów osadził. Góra ta zawierała bogate pokłady rudy ołowianéj i dotąd jeszcze liczne zagłębienia wśród lasu wskazują na dawne szyby, dziś już zasypane doszczętnie. Od południa znowu, długiém pasmem, wyciągnietém na wschód, wznoszą się góry *Posłowskie*. Zachodni ich szczyt, zwany *Biesak*, pokryty lasem świerkowym, tworzy kraniec spadzisty stromo. U stóp jego przechodzi nasyp kolei, wkraczając w dolinę Bobrzy, która od mostu, przy wsi Zagrody przybiéra nazwę *Trupieńca* i łączy się z wodami Nidy. Nazwa ta, według podania, pochodzić ma od wielkiéj ilości trupów szwedzkich, w bitwie z Czarnieckim poległych. Czy tak było w istocie? Na to niéma historycznego dowodu. Za rzeką, przy szosie, przechodzącéj ku Chęcinom przez Zagrody, poczyna się nowe pasmo *Zgórskie*, ciągnące się na zachód wzdłuż łożyska Bobrzy. Było ono niegdyś pokryte prześlicznym lasem bukowym, tworzącym przeciwieństwo z świerkowém poszyciem Biesaku. Dziś las ten przetrzebiła już nieco spekulacya żydowska i, obnażając faliste gór szczyty, cały urok miejscowości odjęła. Właśnie z punktu, gdzie szosa stykając się z kolejowym nasypem, okrąża Biesak, zakréślając półkole, roztacza się najpiękniejszy widok przed okiem wędrowca. Dwa te pasma bowiem, oddzielone mniéj, niż półwiorstową przestrzenią, zachodząc jedno na drugie, wytwarzają łudzącą, iście dekoracyjną perspektywę, która pozwala domyślać się bardziéj jeszcze romantycznych widoków. Zdaje się bowiem, że wjeżdżasz do jakiegoś lesistego wąwozu, w którym i w dalszym ciągu towarzyszyć ci będą: z jednéj strony spady świerkami pokrytego Biesaka, z drugiéj owe góry ze stuletniémi bukami, przeglądającémi się w ciemnych falach Trupieńca. Złudzenie trwa jednak krótko. Góry się rozstępują, rzeka bukowy las opuszcza, by prozaicznie koła sąsiedniego młyna obracać, i przed tobą roztacza się najpospolitszy krajobraz, zawodząc wszelkie oczekiwania i rozwiewając ułudę.

W pobliżu owego zwodniczego punktu stała niegdyś karczma, zwana *Słowikiem*. Otóż po jéj zburzeniu, nazwę tę rozciągnięto na całą okolicę, tak, że przebywać na letniém mieszkaniu w Zagrodach, znaczy dziś tyle, co mieszkać na Słowiku. Właściwie nazwa ta może się jedynie odnosić do willi, zbudowanéj przez dr. Piątkowskiego z Radomia, a położonéj w bliskości owéj karczmy zburzonéj. Kto jednak chce jednym rzutem oka ogarnąć piękności całéj okolicy, a zarazem poznać dokładnie rzeźbę zagłębienia, w którém się znajduje Białogon, niech wstąpi na jeden ze szczytów Zgórskiego pasma, a wtedy rozwinie się przed nim tak wspaniały krajobraz, jakiego nikt się nawet nie domyśla, przebywając tę okolicę końmi, lub w wagonie. Bo naprzód, bez

względu na wyniosłe, piaszczyste, porosłe jałowcem wzgórza, które, stanowiąc wschodnie odnogi góry Stokowéj, otaczają od północy Białogon; cała pięciowiorstowa przestrzeń, poczynając od górskiego szczytu, do stóp czerniejącéj borem Karczówki, układa się do równéj powierzchni i roztacza różnobarwną mapą łąk, pól pokrytych rozmaitém zbożem, plamami zarośli i girlandami wierzb i olch nad Bobrzą i równoległym do niéj kanałem wyrosłych. Owe pagórki, widziane z téj wysokości, rozpłaszczają się, nikną, zagłębienia wypełniają i tylko pozostaje równina z otaczającemi ją górami. Jedynie pasmo gór Szewskich, wyżyna Piekoszowska, otaczająca dolinę Bobrzy od zachodu i Kadzielnia z nieprzebranemi pokładami wapienia i dolomitu, zamykająca zagłębienie od wschodu, nic ze swych kształtów nie tracą. Wszakże jeden szczegół jeszcze bardziéj piękność tego krajobrazu podnosi. Za Białogonem, który swemi budynkami szeroko rozpostarł się na téj równinie, błękitnieje wśród ogólnie panującéj tu zieloności, olbrzymiego stawu zwierciadło, który, zasilany wodami, płynącéj kręto Bobrzy, zarosły tatarakiem i trzciną, rozlewa się na wiorstowéj przestrzeni, dosięgając aż do góry Stokowéj.

Jak wiele wsi i osad w bliskości Kielc położonych, tak i Białogon należał do uposażenia biskupstwa krakowskiego i od czasów niepamiętnych był osadą górniczą. Jakoż biskupi krakowscy z gór okolicznych wydobywali miedź i ołów już to sami, już wypuszczając kopalnie prywatnym przedsiębiorcom za tak zwaną *olborę*, czyli roczną dzierżawę. Nie ulega też wątpliwości, że w Białogonie oddawna istniała huta i hamernia. Ale skąd jego nazwa pochodzi?... Nad jéj wyjaśnieniem łamało sobie głowę wielu. Nam się jednak zdaje, że kwestyę tę zarówno nazwa rzeki, jak i składowe części denominacyi osady rozstrzygają stanowczo.

Jakoż nie może wątpliwości ulegać, że niegdyś nad jéj brzegami musiały być liczne bobrów osady, które spowodowały jéj nazwę.

Z drugiéj strony w dawnéj polszczyznie d r z e w e m b i a ł é m nazywano lasy liściaste, w przeciwstawieniu do lasów iglastych, które nosiły miano d r z e w a c z a r n e g o. Że Białogon od zachodu był otoczony bezpośrednio lasem, dochodzącym do samego łożyska Bobrzy, to pewna. Ostatni jego szmat w oczach naszych uprzątnęła przed kilku laty spekulantów siekiera; ludzie zaś wiekowi zachowali w pamięci większe jego obszary. Mógł to być las nietylko sosnowy, lecz mieszany, lub przeważnie liściasty. Wszak tyle wierzb, olch i innych drzew tego rodzaju ocienia od téj strony fabrykę, dla czegóżby i dawniéj ziemia nie była zdolną ich wydawać? Jeżeli przypuścimy, że

prawy brzeg Bobrzy był drzewem białém pokryty, to już nam się część pierwsza nazwy Białogon wyjaśni. Co do drugiéj, pochodzenie jéj stanie się tém oczywistsze, gdy zwrócimy uwagę, iż w staréj polszczyznie wyraz gon, oznaczał gniazdo bobrów. Nazwa przeto pierwotna biały gon dla odróżnienia od czarnego, położonego w lesie iglastym, przeniesioną została i na powstałą tu późniéj, osadę. Forma jéj przysłówkowa była tylko przystosowaniem się do nazw podobnie złożonych, jak Kurozwęki, Moczodoły, Czarnolas i w. in.

II.

W jakim stanie znajdowały się fabryki w Białogonie za czasów ostatniego zarządu biskupiego, nie mamy żadnych wskazówek. W każdym razie nie stały wyżéj od królewskich zakładów w sąsiednim Niewachlowie i Miedzianogórze za Stanisława Augusta.

Po roku 1795, rząd austryacki zabrał na skarb dobra biskupie, lecz widocznie nie wiele obiecywał sobie z huty białogońskiéj korzyści, skoro główną uwagę zwrócił na eksploatacyą królewskich w Miedzianogórze zakładów. Jakoż w r. 1805 utworzył główną dyrekcyę górnictwa na Galicyę wschodnią w Kielcach, którą składali: dyrektor Karol Lill von Lillienbach, asesorowie: Schwabi i Frydmański, markszajder (inżynier górniczy) Přibila starszy, oraz probierz Přibila młodszy.

Pod dyrekcyą tą rozpoczęto dobywanie i przetapianie miedzi, z użyciem, jako motoru: w Hucie Miedzianogórskiéj—kieratu, w Niewachlowskiéj—wody. Wszystko to jednak trwało lat cztery. W roku bowiem 1809 kopalnie położone w b. województwach: krakowskiém i sandomierskiém do Księstwa warszawskiego przyłączone zostały.

Nie od razu w niém jednak przystąpiono do zreorganizowania nowego zarządu górnictwa. Zaledwie w następnym roku utworzono t. z. Zarząd centralny w Kielcach, w którym na stanowisko dyrektora, na miejsce Lillienbacha, powołany był Aloizy Kraus, na sekretarzów, zastępujących dawnych assesorów: Wilhelm Tübich i Eliasz Kisielewski. Nadto przy ministeryum spraw wewnętrznych ustanowiono dwóch komisarzów: Herdera, b. radcę górnictwa w Saksonii i Ludwika Haukego, którzy zająć się mieli organizacyą kopalń. Projekta wszakże przez nich przygotowane nie mogły się urzeczywistnić na razie, skutkiem braku w skarbie pieniędzy, obracanych na potrzeby wojenne. Dokonano tylko jednego: nie poprzestając na hutach, istniejących w Niewachlowie i Miedzianogórze, założono jeszcze trzecią w Białogonie,

w miejscu, gdzie dziś wznosi się główny budynek, obejmujący warsztaty mechaniczne. Było to w r. 1814. Dopiéro z utworzeniem Królestwa kongresowego, rozpoczyna się istotny wzrost górnictwa krajowego, a dla Białogona, jako jego ogniska, nastaje epoka niebywałéj świetności. Postanowieniem bowiem namiestnika królewskiego, ks. Zajączka, wydaném w d. 20 lutego 1816 r., utworzono Dyrekcyę główną górniczą w Kielcach, która pozostawać miała pod ogólnym dozorem Komisyi spraw wewnętrznych, a szczególném zwierzchnictwem członka, kierującego wydziałem górniczym". Na to stanowisko zaś powołany był Stanisław Staszyc, mąż, który przez swe badania geologiczne Alp i Apeninów, oraz rodzinnych Karpat i turni tatrzańskich, najwięcéj się na nie zalecał.

Usuwany za czasów rzplitéj od wszelkiéj działalności publicznéj z przyczyny swego mieszczańskiego pochodzenia; nie mogąc służyć krajowi za czasów rządu pruskiego, który Niemcami wszystkie stanowiska obsadzał; teraz, powołany na dyrektora wydziału górnictwa i przemysłu w 61 roku życia, rozwinął cały zasób niezwykłéj energii i wiedzy, długoletniemi studyami zdobytéj, by wydrzéć ziemi ukryte w jéj łonie skarby i obrócić je na pożytek krajowy.

Dyrekcya główna w Kielcach bezpośredniemu kierunkowi jego poddana, składała się: I) z dyrektora głównego (był nim Jan Ulmann do r. 1826); II) z nadzorców okręgów (dozorów) górniczych, których początkowo ustanowiono 5, mianowicie: 1) Miedzianogórskie, 2) Olkusko-Siewierskie, 3) Suchedniowskie, 4) Samsonowskie i 5) Pankowskie; III) z nadzorcy ekonomicznego dóbr narodowych, przeznaczonych na uposażenie górnictwa, jak: Kielce, Iłża, Bodzentyn, Suchedniów, Samsonów, Sławków, Bobrownik i Sulików, a stanowiących niegdyś część dóbr biskupstwa krakowskiego i nakoniec IV) z syndyka, czuwającego nad ścisłém wykonywaniem praw i urządzeń górniczych, który sprawował nadto obowiązki sekretarza dyrekcyi.

Tém samém postanowieniem namiestnika utworzono w Kielcach szkołę akademiczno-górniczą, zostającą pod bezpośredniém kierownictwem dyrektora głównego. Uczniowie jéj nosili nazwę *Elewów* górniczych i dzielili się na trzy klasy, odróżniające się szczegółowemi oznakami umundurowania. Pierwszą składali t. zw. Przypuszczeni (*admissi*), tworzący klasę przygotowawczą; przyjmowano do niéj młodzież, która przynajmniéj klas pięć szkół wojewódzkich skończyła i wykazała dokładną znajomość języka niemieckiego, w którym wykładano wiele przedmiotów. Profesorami bowiem przeważnie byli Niemcy, sprowadzeni z Saksonii. Nadto od wstępujących wymagano, by mieli lat 16 skończonych i w świadectwie szkolném przyznane sprawo-

wanie się wzorowe. Klasę drugą składali t. zw. Ekspektanci (wyczekujący), trzecia zaś najwyższa nosiła nazwę klasy Akademików. Celem szkoły, jak mówi ustawa, było „kształcenie zdatnych do kopalni urzędników i oficyalistów", skład zaś w niéj profesorów, podług artykułu Feliksa Rybarskiego, (Szkoła akademiczno-górnicza w Kielcach, 1816—1827, Gazeta Kiel., 1885, N.N. 29, 30, 31, 32), był następujący: „Graff Jakób wykładał: inżynieryę górniczą („*Markszeidenkunst*), oraz rysunki, Kossowicz Andrzej—prawo górnicze; Kaden Henryk docymazyą (δοκιμασία rozeznawanie) czyli probierstwo: dziś nazwanoby to analizą; Krumpel Karol—inżynieryę górniczą; Lempe Fryderyk-Wilhelm—matematykę czystą i stosowaną, fizykę i maszyneryę górniczą; Pusch Jerzy—chemię ogólną, hutnictwo i budownictwo górnicze; Tomaszewski Józef—mineralogię i geognozyę; Ueberschauer Jan-Fryderyk — praktyczne gospodarstwo leśne, wreszcie Spleszyński Aleksander—rysunki.

Wykłady te prowadzono przez 4 dni w tygodniu, od 8 — 12 i od 2—4; w sobotę zaś kończono je o 12, gdyż czas popołudniowy przeznaczano na pisanie dziennika, w którym każdy uczeń obowiązany był zdawać sprawę z całotygodniowych zajęć szkolnych i poza szkolnych, co wszystko ulegało najściślejszéj kontroli; w poniedziałek zaś odbywano wycieczki naukowe do poblizkich kopalń i zakładów fabrycznych. Nadto kończący szkołę obowiązani byli do dwuletniéj praktyki w jednem z pięciu dozorstw fabrycznych i dopiéro po jéj ukończeniu mogli posadę etatową otrzymać.

Nie na tém wszakże ograniczała się organizacya górnictwa. W r. 1817, na przedstawienie hr. Tadeusza Mostowskiego, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych i policyi, dekretem cesarza i króla Aleksandra I, w d. 12 marca t. r. wydanym, utworzony został królewski korpus górniczy, do którego należeli wszyscy, zostający na służbie, oraz młodzież, uczęszczająca do szkoły górniczéj w Kielcach [1]).

---

[1]) Mundur dyrektora górnictwa, należący do klasy I, był granatowy, ze stojącym, na haftki zapinanym kołnierzem, z haftem srebrnym, wyobrażającym dwa rogi obfitości w otoczeniu liści dębowych z żołędziami i obwódką srebrną, naszywaną w ząbki dokoła. Taki sam haft zdobił i mankiety rękawów. Dziewięć guzików srebrnych, z wyobrażeniem orła białego, na jeden rząd zapinało mundur, którego poły, bramowane wypustką karmazynową, odwijały się z przodu. Również po trzy guziki znajdowało się na klapach kieszeni bocznych, dwa zaś przystrajały stan nad kieszeniami tylnemi. Do tego munduru należały nadto dwie szlify z wierzchem karmazynowym, sukiennym, obszytym srebrnym galonem, w którego środku widniał wyhaftowany orzeł srebrny, trzymający w szponach na krzyż złożone młotek i motykę. Nadto dolną część szlif okalał potrójny sznurek srebrny i podtrzy-

Korpus górniczy miał nadaną chorągiew barwy karmazynowej, z orłem białym z koroną, trzymającym w szponach krzyżujące się młotek i motykę. Używano jéj we wszystkich uroczystych występach, a obowiązki chorążych sprawowali uczniowie szkoły górniczéj, zwłaszcza z klasy akademików. Korpus ten posiadał nadto dobrze zorgani-

---

mywał wiszące srebrne buliony. Na dni powszednie miały być noszone spodnie granatowe gładkie, w dnie uroczyste białe. przy butach pół palonych, zachodzących cholewami ponad kolana, z ostrogami srebrnemi, zapinanemi na sprzączki. Nakryciem głowy był kapelusz stosowany, bez pióra, z srebrnemi kordonkami, kokardą i bulionem, spiętym na guzik biały z orzełkiem. Do tego szpada z rękojeścią srebrną, gałką pozłacaną i felcechem srebrnym.

Mundur ten nadawał rangę generalską.

Uniform urzędników wyższych i profesorów szkoły górniczéj należał do klasy III i wyróżniał się od pierwszéj haftem na kołnierzu i mankietach o wiele prostszym, bo z jednego rogu obfitości złożonym, z obwódką srebrną przy dolnéj tylko części kołnierza, a ząbkowaną u haftek przez całą jego szerokość. Również buliony u szlif były krótsze, miejsce zaś orła zajmowały wyszyte srebrem młotek i motyka. Wreszcie u kapelusza, zamiast bulionu, przy kokardzie tylko srebrny galonek.

Ekspektanci i Akademicy nosili mundur klasy VI, ale nie bez wyróżnień w szczegółach. Był on także granatowy ze stojącym kołnierzem, lecz jedynie bramowanym galonkiem srebrnym. Od przodu zapinany w jeden rząd na 9 gładkich guzików, był krótki, od dołu ścięty okrągło i dochodzący do bioder. Z prawego ramienia, przypięty białym guzikiem, przechodził na piersi i plecy pas z sukna karmazynowego, służący do podtrzymania pendenta. Na nim zawieszony był kordelas z felcechem z jedwabiu białego dla Akademików, bez niego, dla Ekspektantów. Spodnie granatowe gładkie spadały na buty, wreszcie, jako nakrycie głowy, szako czarne, z młotkiem i motyką z białego metalu na przodzie.

Dodatkiem wcale nieestetycznym do tego ubioru był fartuch czarny skórzany (*Lederwerk*), od dołu zakończony owalnie, a zwieszający się z tyłu u pasa, do którego z przodu przyczepioną była ładownica na 9-ym guziku, dla Ekspektantów gładka, dla Akademików z białym orzełkiem.

Mundur wreszcie klasy VII nosili Przypuszczeni, oraz giserzy, mierzacze (?), pierwsi hutnicy, majstrowie hamernicy, instruktorowie i maszyniści. Mundur ten od klasy VI têm się jedynie wyróżniał, że zamiast kordelasa noszono na pendencie młotek, lub inne górnicze narzędzia.

Umundurowanie wreszcie robotników górniczych, zajętych w hutach i kopalniach, składało się z bluzy czarnéj, latem kamlotowéj, zimą sukiennéj, ze stojącym, na haftki zapinanym kołnierzem, mającym z obu ich stron z białego metalu młotki z motykami na krzyż złożone. Bluzy te, z rękawami bufiastymi, a obcisłym mankietem u dłoni, miały przy ramiączkach półokrągłe klapki oraz dwie na piersiach kieszonki. Ściśnięte pasem czarnym, skórzanym, dochodziły po niżéj bioder. Wreszcie spodnie czarne, opuszczone na buty, lederwerk z cielęcéj skóry, zwrócony sierścią na zewnątrz i kaszkiet z młotkiem i motyką z białego wyrobione metalu, dopełniały uniformu. (Por. F. Rybarski: Szkoła).

zowaną muzykę z samych górników złożoną; należący do niego byli wolni od służby wojskowéj.

Jakkolwiek każde dozorstwo miało główne swéj działalności ognisko, to jednak Białogon, jako miejscowość, znajdująca się w najbliższém sąsiedztwie zarządu, od pierwszéj chwili zorganizowania górnictwa, otrzymał nad innemi pierwszeństwo. Jakoż w r. 1816 dawna huta białogońska zmieniła nazwę na hutę Aleksandra I; w roku zaś następnym oddzielono Białogon od dozorstwa Miedzianogórskiego i utworzono nowe, białogońskie, które pod swym zarządem miało huty: Aleksandra I, Stanisława w Niewachlowie, oraz cegielnie i łomy wapienne w górze Kadzielni pod Kielcami. Do składu zarządu należeli: Klemm, jako nadzorca okręgowy, Kaden Ernest, jako zawiadowca huty Stanisława w Niewachlowie, wreszcie Funkhennel, jako zawiadowca huty Aleksandra. Gdy w dozorstwach: Suchedniowskiém, Samsonowskiém i Pankowskiém, a po zniesieniu w r. 1819 zgromadzenia Cystersów, Starachowickiém i Wąchockiém zajmowano się tylko eksploatacyą żelaza; w hucie Aleksandra zwrócono głównie uwagę na dobywanie miedzi, srebra i ołowiu. Tak różnorodne też czynności wymagały wielu nowych budynków, które, w krótkim czasie wzniesione, zupełnie inną postać Białogonowi nadały.

Przedewszystkiém rozszerzono dawną hutę, nadając jéj kształt wydłużony, jaki do dziś dnia ten budynek zachował. Tu trzy koła wodne wprawiały w ruch miechy piecowe, oraz stępy, do tłuczenia rud kruszcowych, gdy do ich prażenia zbudowano murowaną rusztownią, którą obecnie na magazyn zajęto.

Przecież w Białogonie nie ograniczano się na samém wytapianiu miedzi, ale zamierzono przerabiać ją na miejscu. W tym celu, w r. 1819 wzniesiony został, według planu nadzorcy budowli i hut Moritza, nowy pawilon z lewéj strony budynku hutniczego. W pawilonie tym pomieszczono hamernię i walcownię. W pierwszéj dwa koła wodne poruszały: jedno miech skórzany, przeznaczony do rozniecania hamerniczego ogniska,—drugie młot hamerniczy. W walcowni znowu, nadawało ruch maszyneryi trzecie koło wodne, które, za pośrednictwem dwóch trybowych, zębatych, wprawiało w bieg tak zwane koło szalone („*Schwung-Rad*), które już wprost obracało walce gniotące, o systemie uprzęży filarowéj, a pojedynczém złożeniu.

Rzeka Bobrza, zasilająca obficie staw, o którym mówiliśmy powyżéj, była wystarczającym do poruszania tych sześciu kół motorem. Oprócz odpływu upustem do przerwanego stawem łożyska, wody jéj, po ich zużytkowaniu na koła, odpływały jeszcze kanałem, który w odległości blizko wiorstowéj, łączy się z jéj naturalnym korytem. Wyrosłe

nad nim olchy, wierzby płaczące i topole nadwiślańskie, tworzą dziś nader malownicze tło dla budynków fabrycznych.

W tymże pawilonie wystawiono jednocześnie 5 pieców do topienia mosiądzu, a w następnym roku 1820 urządzono gisernię do lań kunsztownych zarówno z tego aliażu, jak i z żelaza w połączeniu z posrebrzaniem i złoceniem.

Zawiadowcą hamerni, walcowni i odlewni był Wojciech Krygar, którego Staszyc wysłał na koszt rządu do Berlina dla wyuczenia się robót formierskich i pozłacań. Sprowadzono nadto za staraniem Staszyca kosztowne modele z Berlina, Glewic, oraz innych miejscowości fabrycznych, wraz z uzdolnionymi formierzami i modelownikami. Również tygli do topienia mosiądzu dostarczała zagranica, dópóki nie odkryto w Przysusze glinki, która z dodaniem w połowie masy ze starych tygli passawskich, wybornie nadawała się do ich wyrobu.

Pomyślny rozwój zakładów górniczych w Białogonie skłonił nadzorcę budowli, Moritza, do zaprojektowania drugiej walcowni. W tym celu wzniósł on nowy pawilon od strony prawéj budynku hutniczego. Ponieważ jednak z przyczyny samego położenia nie podobna było wprost ze stawu zwrócić wody na koło, mające nadawać ruch walcowni; przeto wykopano przez cały dziedziniec fabryczny szerokie i głębokie kanały wodne; gdy jednak przekonano się, że wykonanie tych planów nadmierne za sobą pociągnie wydatki, zasypano kanały, a nowowzniesioną budowlę przeznaczono na warsztaty mosiężnicze. Tym sposobem wytworzyła się owa symetryczność w rozmieszczeniu budynków fabrycznych, ktora w zakładach białogońskich tém miléj oko uderza, że je otaczają przepyszne, sadzone w rzędy kasztany.

Nie tu był wszakże kres działalności budowlanéj w Białogonie. Nie naruszając symetryi, jaką osiągnięto w rozmieszczeniu budynków głównych, stawiano w miarę potrzeby poza niemi nowe, rozszerzając coraz więcéj obręb fabryczny. Tak, za warsztatami mosiężniczemi wzniesiono jeszcze jeden pawilon przeznaczony na kotlarnię miedzianą do wyrobu aparatów gorzelnianych. Nadto z polecenia Staszyca, chemik Klauer wzniósł za stawem, u stóp góry Stokowéj jeszcze jeden budynek, w którym dwa laboratorya urządził. W jedném wyrabiał kwas siarczany, w drugiém otrzymywał inne przetwory chemiczne.

W tych budynkach życie górnicze po raz pierwszy na początku r. 1817 puszczeniem w bieg huty Aleksandra zawrzało.

Działalność rozpoczęto od eksploatacyi miedzi, któréj rud dostarczały kopalnie w Miedzianéjgórze i Miedziance. Była ona dwojakiego rodzaju: otrzymywana z płuczek (*Wasche-Erz*), oraz dobywana z szybów, zwana Czernianem miedzi (*Schwartz-Kupfer-Erz-*

Stufen). Do oznaczenia jéj procentowości urządzono przy hucie Aleksandra probiernią, zostającą pod kierunkiem Henr. Kadena, gdzie także uczniowie Szkoły górniczéj zaznajamiali się praktycznie z docymazyą. Otóż, z licznych prób, dokonywanych przezeń i jego pomocników: Stanisława Żychowicza i Romańskiego, drogą suchą przez ogień (*via sicca*), przekonano się, iż ruda płuczkowa N. 1-szy zawierała kruszcu od 8 do 12%; N. 2-gi od 6 do 7%; N. 3-ci od 5 do 6%; ruda zaś Czernianu-miedzi: N. 1 od 25 do 27%, N. 2 od 18 do 19%, wreszcie N. 3 od 12 do 13%. W téj ostatniéj znajdowały się cząstki srebra, które oddzielano od niéj drogą właściwą.

Rudę miedzianą wytapiano sposobem metalurgicznym, który wobec dzisiejszego stosowania metód elektro-chemicznych, był nader uciążliwym i żmudnym: zawiele bowiem czasu i pracy pochłaniał, nie dając możności wydzielenia z rudy całego bogactwa kruszcu, który z żuzlem w znacznéj części odpływał.

Do wytapiania miedzi w hucie Aleksandra używano t. zw. pieców wysokich (*Hoch-Ofen*), mających naówczas zastosowanie powszechne przy otrzymywaniu surowca, czyli, mówiąc językiem hutników, „*Rho-Lechu*". Budowano je zaś w formie trapeza, w którego boku krótszym, znajdował się spust dla odpływania lechu do dwóch tyglów, wyrobionych z mieszaniny gliny z miałem węglowym, gdy przeciwległym, zatém szerszym, przez t. zw. f o r m ę, umieszczoną w samym środku jego szerokości, na 16 cali powyżéj spodu wewnętrznego pieca, wpadał silny prąd wiatru, wytwarzany przez dwa miechy skrzynkowe. Forma miała „wylot" pochylony na spód pieca (*Sohle*) pokryty warstwą gliny wysuszonéj i ubitéj z miałem węglowym, o spadku 2 do 3 cali, by ściek lechu do tyglów, ustawionych na przedpiecku, ułatwić.

Takich pieców w hucie Aleksandra było dwa. Bieg ich trwał około dwóch miesięcy bez przerwy.

Do każdego z tych pieców zasypywano odpowiednio przygotowaną rudę, przez t. zw. g i c h t ę, czyli otwór górny. Wiadomo jednak, że ruda nie jest łatwo topliwą, jeżeli jéj nie dodamy odpowiedniéj przymieszki. Otóż i tu sypano naprzód węgiel drzewny w stosunku 1—3, następnie żuzel, otrzymany z poprzedniéj produkcyi, w końcu zaś rudę miedzianą w stosunku do żuzla, jak 1—2, powtarzając tę czynność kolejno, aż do zapełnienia pieca do pewnéj wysokości. Mieszaninę te pokrywano nadto f l u s e m, czyli wapnoskałem z w a r p, t. j. z ziemi, wyrzuconéj z szybów ołowianych na Karczówce, w stosunku 25 do 30 na 100 centnarów rudy i 200 centnarów żuzla.

Z téj mieszaniny pod działaniem ognia otrzymany surowiec, tłuczono na miał po ostudzeniu w sześciu stępach, poruszanych jedném

kołem wodném; następnie, po przesianiu go przez rafy i sita metalowe, poddawano 24-o godzinnemu działania ognia w rusztowni, w celu oczyszczenia miedzi z siarki i innych przymieszek. Piece rusztowe (*Reverberier-Ofen*) były tak urządzone, iż płomień nie dochodził bezpośrednio do lechu, lecz z czeluścia dostawał się do kanałów, przeprowadzonych pod sklepieniem, na którém miał był złożony. Cały ten więc proces był właściwie prażeniem. By zaś nie dopuścić do stopienia lub zbrylenia miedzi, otrzymanéj w téj formie, mieszano ją żelaznemi grabiami i ogień podsycano wolno.

Dla otrzymania miedzi czarnéj, miał, dobyty z rusztowni, poddawano nanowo silnemu działaniu ognia w piecach Hochofen, mieszając go z żuzlem w stosunku 100 – 150. Ściekająca spustem miedź do tyglów, tworzyła teraz krążki, które dla tém dokładniejszego oczyszczenia z żuzli, siarki i arszeniku wkładano do pieców, zwanych *Dahr-Ofen*. Mieściło się w nich od 80 do 100 centnarów miedzi. Proces, przez jaki tu przechodziła, był wielce podobny do działania pieca rusztowego. I tu bowiem od ogniska na ruszcie szły kanały, przez które ciągnął płomień, nie stykając się bezpośrednio z krążkami, ułożonémi na sklepieniu kanałów. Oddzielone z miedzi części obce, wydostawały się w stanie lotnym przez komin, połączony z tym piecem; żuzel zaś opadał do rusztu.

Po 30 lub 40 godzinach takiego oczyszczania, przystępowano do g a r o w a n i a miedzi. Dokonywano zaś tego w dwóch piecach, zwanych wytapiającemi („*Gahr-Ofen*”). Urządzenie ich podobne było do ogniska hamerniczego. To znaczy, że na wewnętrzne ognisko, na które była zwrócona forma wiatrowa, na dwa cale od jego poziomu nachylona swym wylotem, sypano węgle i za pomocą miechów rozniecano je silnie. Na nie rzucano krążki miedziane i przetapiano na nowo. Ale wiatr, dmący na ognisko, nietylko krążki w stan płynny zamieniał, ale burząc i bałwaniąc rozpuszczony metal, oddzielał od niego części obce i oczyszczenie z nich ułatwiał. Dla przyspieszenia ugarowania miedzi, rzucano w masę jéj roztopioną kawałek glejty lub ołowiu, które łącząc się z pozostałą obcą przymieszką, wyzwalały ją od niéj zupełnie. Wreszcie drewienkiem, osadzoném na końcu żelaznego pręta, ściągano z jéj powierzchni resztki żuzla i pokrywano węglem dopóty, aż przekonano się z wziętéj próby o zupełnéj czystości metalu. Przyrząd probierczy był nader prosty i składał się z cienkiego żelaznego wałeczka, którego jeden koniec zanurzano w roztopionym metalu. Jeżeli miedź była czysta, to po jego wyciągnięciu, barwa, przylegającéj do niego masy, była czerwona i na końcu tworzyła dzióbek śpiczasty; jeżeli przeciwnie miała barwę żółtą i zwisała z końca wałka formując kulkę, to znaczyło, że

miedź niedość jeszcze była ugarowana i że należy ją poddać dalszemu procesowi czyszczenia. Po ostatecznéj próbie, przerwano działanie miechów, miedź spuszczano do tyglów, w których nanowo przybiérała kształt krążków, poczém dla nadania większéj spójności i ostudzenia, skrapiano ją wodą, ściągano za pomocą grabek żelaznych i oddawano dla dalszéj przeróbki do hamerni lub walcowni.

Tym sposobem od r. 1817 do 1819 produkowano rok rocznie od 200 do 800 centnarów miedzi. W hamerni przez kucie na gorąco przygotowano ją do wyrobu kotłów gorzelanych, w walcowni wyrabiano z niéj blachę, którą pod względem wartości na trzy klasy dzielono. Za centnar pośledniejszy, czyli kl. I, brano zł. 180; za centnar kl. II, zł. 200; wreszcie za blachę wyborową, zatém kl. III, zł. 220. Nadto znaczną jéj część wysyłano do mennicy warszawskiéj, gdzie wybijano z niéj grosze i trzygroszniaki z napisem: „Z miedzi krajowéj".

Oprócz blachy miedzianéj, wyrabiano tu także początkowo blachę cynkową, dopóki w Sławkowie nie urządził oddzielnéj walcowni Jacek Lipski, który hutę w téj miejscowości prowadził. Późniéj wzięto się do produkowania blachy mosiężnéj i żelaznéj. Centnar blachy mosiężnéj sprzedawano po 250 zł; cynkowéj: od 40 do 50 zł. Ciekawą także jest ówczesna płaca robotnika. Od wyrobu centnara blachy cynkowéj płacono zł. 2, miedzianéj od 2 do 3; mosiężnéj zł. 10, żelaznéj 4. Różnica zależała od ciągliwości metalu, zatém od większéj lub mniejszéj w wyrabianiu blachy trudności. Kruchy, łamliwy o wiele ich więcéj nasuwał.

Nie mamy odpowiednich danych co do mosiądzu, ale porównanie żelaza z miedzią da przybliżone pojęcie. Na 100 funtów żelaza wyrabiano blachy funtów 70, gdyż na obcinki tracono 24, a w ogniu funtów 6; tymczasem na centnarze miedzi ponoszono ubytku zaledwie funtów 4.

Mówiliśmy wyżéj, iż miedź czarna zawierała w sobie pewien procent srebra i że w hucie Aleksandra zajmowano się jego odciąganiem. Dokonywano tego w piecu zwanym płomienisty (*Flamm-Ofen*), opalanym drzewem, z odpowiednio urządzoném ogniskiem. Miedź połączona z ołowiem srebrnonośnym, którego dostarczały szyby olkuskie, przetapiano w nim i spuszczano do tyglów, w których, powstała stąd mieszanina, tworzyła kręgi, wynoszące od 4 do 5 centnarów. Dla oddzielenia ołowiu ze srebrem od miedzi, poddawano je działaniu ognia, w tak zwanym piecu zajgrowym (*Seuger-Ofen)*, w którym, nad kanałami, przeprowadzającemi płomień do jego wnętrza, ustawiano z obu stron ukośnie kręgi mieszaniny i zasypywano je węglem. Roztopiony ołów ze srebrem spływał wówczas przed ogniskiem do tyglów, tworząc w nich

krążki od 25 do 30 funtów wagi, a miedź pozostawała na blasze kanałowéj i szła potém na piec garowy, jak każda inna miedź czarna.

Odciąganie srebra od ołowiu odbywało się w piecu trajbowym („*Treib-Ofen*”), mającym formę okrągłą. Piec taki zaprawiał się popiołem wilgotnym, powstałym z oczyszczonych przez płukanie i spalenie kości baranich, i ubitym mocno na spodzie pieca, by tworzył masę twardą i stałą. Na tak przygotowany spód kładziono owe srebrno-ołowiane krążki, puszczano silny płomień i nanowo je topiono. Gdy zaś mieszanina była do najwyższego stopnia rozgrzaną, puszczano do pieca wiatr, dwiema na wprost skierowanemi na nią formami. Wiatr strącał glejtę, jaka się na ołowiu stopniowo tworzyła, do rynny wyrzniętéj w popielnéj zaprawie pieca, aż gdy się tym sposobem wszystek ołów w glejtę zamienił, otrzymywano na spodzie pieca krążek srebra surowego, które następnie oczyszczano w ognisku kowalskiém, ubitém ze spalonych kości baranich. Proces ten zaś powtarzano dopóty, dopóki nie sprawdzono drogą docymazyi jego próby 16-éj.

Takie srebro krystalizowało się przy stygnięciu, a w kuciu było ciągłe i nie pękało. Z jednego centnara miedzi otrzymywano zwykle 2 do 3 łutów srebra. Dla zbadania, czy miedź zawierała je w sobie, używano przy próbach docymazyjnych ołowiu probierczego (*Probier-Blei*), który sprowadzano z Gór Tarnowskich na Szlązku. Był to biały węglan ołowiu (*Weissblei-Erz*). Ołów' krajowy, zwłaszcza olkuski, o wiele znaczniejszy procent srebra zawierał. Z jednego centnara ołowiu otrzymano 6 do 8 łutów. Od r. 1817 do 1824 wyrobiono go 747 grzywien. Z niego to w mennicy warszawskiéj bito złotówki i pięciozłotówki z napisem: „Ze srebra krajowego”. Z najpierwszéj zaś, wyprodukowanéj w Białogonie bryły, wybito kilkadziesiąt medali $2^1/_4$ cala średnicy, z wyobrażeniem: z jednéj strony huty Aleksandra w płaskorzeźbie z dwiema po bokach górami, nad któremi wschodziło słońce z napisem w górném półkolu: „I kruszcom Polski zajaśniało słońce”, gdy w dolném widniał napis: „Huta Aleksandra w Białogonie, r. 1817; na drugiéj zaś umieszczono popiersie Aleksandra I, z napisem w górnem półkolu. „Dawca pokoju—Wskrzesiciel Polski”. Wartość medalu oznaczono na złp. 20. Dziś w zbiorach numizmatycznych należy do rzadszych okazów.

W pół roku, po puszczeniu w ruch huty Aleksandra, zajęto się w Białogonie eksploatacyą ołowiu, którego rud dostarczały szyby kopalniane na Karczówcze, z Kolejówki pod Czarnowem, z Machulorskiéj szpary pod Miedzianągórą, ze Szczukowskich górek, z pod Olkusza, oraz z prywatnych kopalń hr. Tarły z Jaworzni. Z tych ostatnich

ruda była najbogatsza w kruszec. Z płuczek bowiem otrzymywano z niéj od 20 do 30%, z szybów od 45 do 60% ołowiu.

Dla otrzymania go w stanie czystym, po wyprażeniu, potłuczeniu i wypłukaniu rudy, topiono ją w zwykłym piecu wysokim, z przymieszką żuzla, granalów (surowizny żelaznéj), trochy flusu (wapnoskał) lub szlaki ołowianéj. Na jeden centnar rudy dodawano 14 do 26 funtów granalu, który przez większą łatwość łączenia się z siarką, oddzielał ją od ołowiu, gdy inne przymieszki ułatwiały topienie. Doprowadzona ruda do stanu płynnego, ściekała do tyglów, w których na wierzchu tworzyła się pokrywa, z t. zw. kamienia ołowianego. Kamień ów zdejmowano w sposób mechaniczny, a ołów wylany do form stanowił surowiec, który należało poddać zajgrowaniu, by od niego srebro odciągnąć i zupełnie je oczyścić. Kamień ołowiany jeszcze raz poddawano prażeniu w rusztowni i topieniu w piecu wysokim i tym sposobem z centnara otrzymywano 8 do 10 funtów ołowiu. Szlaka (żuzel) na centnar wydawała go 6 funtów.

Tak rozwinięta w hucie Aleksandra działalność, zwracała na Białogon oczy całego kraju, który, zniszczony długoletniemi wojnami, wierzył, iż w produkowaniu tylu metali odkryto niewyczerpane bogactwa. Szczególniéj schlebiało miłości własnéj narodu bicie z nich monety krajowéj, która, w powszechnym zostając obiegu, dawała w najodleglejszych zakątkach o tém bogactwie dotykalne świadectwo. Nic téż dziwnego, że od chwili puszczenia w bieg huty Aleksandra, zaczęły zwiedzać Białogon co najpierwsze w kraju osobistości.

Przedewszystkiém epokowe dla niego znaczenie miało przybycie w d. 4 lipca 1818 r. namiestnika, ks. Józefa Zajączka, który pragnął naocznie przekonać się o stanie zakładów górniczych, powołanych przezeń do życia. Towarzyszyli mu: dyrektor główny górnictwa, Jan Ulmann, komisya wojewódzka z prezesem swym, Kacprem Wielogłowskim, i komisarzem obwodu kieleckiego, Antonim Walewskim, późniejszym gubernatorem, na czele. Nadto z osób zostających przy boku namiestnika, obecnymi byli: adjutant Józef Mieroszewski, Albert Grzymała, wice-referendarz stanu, oraz generał hr. Małachowski, kasztelan. Wobec nich odciągano srebro i zaznajamiano ze wszystkiemi czynnościami zakładu. Odjeżdżając téż ks. Zajączek w księdze pamiątkowéj na pierwszéj karcie zapisał: „Namiestnik królewski oświadcza górnictwu swoje ukontentowanie z złożonych prac i całéj operacyi, którą widział. 4/7 1818. Xiąże Zajączek". Poczém następują podpisy wszystkich obecnych. Nie dość na tém na pamiątkę téj bytności w Białogonie, umieszczono w hucie marmurową tablicę ze złoconym napisem: „Huta Aleksandra srebrna, miedziana i ołowiana, ukończona w r. 1817,

przez namiestnika królewskiego w r. 1818 odwiedzoną została". Dziś niéma po niéj nawet i śladu. Nie była to jednak pierwsza i ostatnia ze strony namiestnika wizyta. Zjeżdża on tu jeszcze dwa razy: w d. 16 maja 1820 r. w towarzystwie dyrektora generalnego poczt, Sumińskiego i 30 lipca 1822 r. Od tego jednak czasu księgę pamiątkową coraz częściéj zapełniają zwiedzających podpisy. Tak w d. 20 lipca 1818 r. wizytuje zakłady białogońskie Lange, inspektor generalny budownictwa komunikacyi lądowych i wodnych, a oprócz niego przeszło 100 osób różnych powołań i stanowisk. Pomiędzy innemi spotykamy się z podpisem głośnego na ówczas Jana Olrycha Szanieckiego, dziedzica Pińczowa i radcy województwa krakowskiego, oraz z nazwiskami: Tarłów, Wielogłowskich, Oraczewskich, Michałowskich, Bystrronowskich, Dembowskich, Sołtyków, Lanckorońskich, Mecińskich i Darowskich.

W roku 1819 zwiedziło Białogon osób 95. Z nich zasługują na wzmiankę: Józef hr. Sierakowski, radca stanu, Ludwik hr. Plater, oraz Stanisław Staszyc, który w d. 29 lipca bytność swą w hucie Aleksandra, podobnie, jak ks. Zajączek, dłuższą zapiską w księdze pamiątkowéj zaznaczył. „Zwiedzając, pisze on, wszystkie zakłady górnicze przy murowaniu walcowni i przy sprowadzaniu dla niej (*sic*) wód potrzebnych, byłem obecny".

Walcownia, jak wiemy, powstała według planu Moritza; ale łatwo pojąć uczucie zadowolenia, jakiego doznał autor Ziemiorodztwa Karpat na widok rosnących zakładów białogońskich i prac, które były jego kierującéj myśli wcieleniem.

Najliczniejszą wszakże frekwencyą odznacza się rok 1820. W ciągu niego zwiedziło Białogon 200 osób, pomiędzy któremi znajdujemy wielu duchownych świeckich i zakonnych, wojskowych różnych stopni, nauczycieli szkół wojewódzkich, prawników i urzędników wszelkich dyskasteryj, właścicieli ziemskich, studentów wyższych zakładów naukowych, a nawet cudzoziemców, wiedzionych ciekawością poznania nowopowstałego ogniska pracy górniczéj. Byli to górnicy z Gór Tarnowskich: Schuhnagel i Güntzel, oraz Juncke ze Szczecina.

W r. 1821 było zwiedzających 130 osób, między innemi: Roman hr. Sołtyk, Józef hr. Załuski, Adam hr. Plater, Christiani, dyrektor generalny w zarządzie dróg i mostów, oraz O. Chłapowski, z Poznańskiego.

W roku następnym w księdze pamiątkowéj znajdujemy nazwisk 98. Białogon zwiedzają: ks. Jakób Falkowski, rektor Instytutu głuchoniemych, Kołaczkowski, podpułkownik inżynieryi, dyrektor Szkoły aplikacyjnéj wraz z 27 jéj uczniami, ks. Wojciech Szwejkowski, rektor uniwersytetu, wreszcie generałowie: Hauke i Bontemps.

Ale już rok 1823 ze względu na liczbę osób, zwiedzających zakłady białogońskie, przedstawia rażące, odnośne do lat poprzednich zjawisko. Księga zapisowa wykazuje ich zaledwie 18!... A pomiędzy niemi występuje jedna, jedyna wydatniejsza osobistość: Tomasz Święcki, mecenas, członek Towarzystwa przyjaciół nauk, znany w szerokich kołach, autor: Starożytnéj Polski. W roku 1824 jest zwiedzających niby trochę więcéj, lecz zawsze liczba uderzająco mała, zaledwie 32 osób, a z wydatniejszych tylko Karol Lill von Lilienbach, dawny dyrektor górnictwa za rządów austryackich, oraz Stanisław hr. Grabowski, minister oświecenia i wyznań. Ale w roku następnym liczba ta spada znów do 27, a w r. 1826 jest tylko jeden zwiedzający i to przybyły z Galicyi. [1])

Więcéj powiemy. Od roku 1826 do 1839 w księdze pamiątkowéj znajdujemy niczém nie zapełnioną przerwę. Nie zapisano w niéj ani jednego nazwiska. Czyby karty wydarto?... Bynajmniéj! Tylko w tym przeciągu czasu w zakładach białogońskich i całém górnictwie nastąpił przewrót, którego nikt się nie mógł przed rokiem 1823 spodziewać. Rzecz jednak była prosta. Ten stan świetności huty Aleksandra, który budził podziw w zwiedzających, a nie uchronił od złudzeń i samego Staszyca, był daleki od téj skali, jaką mierzyć go chciano. Nie dał się jednak nim olśnić Ksawery ks. Drucki-Lubecki, ówczesny minister skarbu. Działalność huty była różnorodna, budynki jedne za drugiemi wyrastały, jakby z pod ziemi, lecz produkcya nie odpowiadała nakładom. Jakoż rubryka dochodów z górnictwa była najsłabszą stroną ogólnego budżetu.

Bystry też umysł Lubeckiego od razu spostrzegł, iż górnictwo z samego początku weszło na drogę nieprodukcyjną, fałszywą. Zamiast rozwinąć na wielką skalę eksploatacyą żelaza, mającego obszerne zastosowanie w fabrykach, rolnictwie i codziennych potrzebach życia

[1]) Że w całym tych lat przeciągu w zwiedzaniu zakładów białogońskich brały udział i damy, byłoby mówić rzeczą zbyteczną. Czy wszystkie interesowały się w równéj mierze garowaniem miedzi, lub odciąganiem od niéj srebra i ołowiu, o tém wątpić należy: przynajmniéj jedna z nich wypowiedziała w księdze pamiątkowéj, co ją zajmowało najwięcéj: „*J'ai vu*—pisze ona—*de jolis garçons à Białogon*". Odnosiło się to zapewne do praktykantów. Niektóre i to noszące dość głośne imiona, podlegają znów roztargnieniom innego rodzaju. Piszą np., że „były z curkami, albo kładą swe imię w formie: Chelena. Uwagi mężczyzn są niemniéj ciekawe. Jeden np. wyraża się: „przytomny zawsze zakładów chwalebnych" (*sic*). Pewien znów kapitan „czuje się szczęśliwym, że w ojczyźnie swojéj widzi wzrost fabryk, skąd więcéj zapewne w kraju nadal pozostanie gotowizny"!

i którego bogate pokłady rozciągały się na ogromnéj przestrzeni kraju; zajmowano się produkowaniem mniéj potrzebnych metali, szukając w tém chluby, że z własnego srebra i miedzi możemy wybijać pieniądze. Było to jednak zbyt kosztowne dla skarbu i na tém większe narazić go mogło straty w przyszłości, że kopalnie miedzi i ołowiu z każdym rokiem swą wydajność zmniejszały. Na to niebezpieczeństwo oddawna wskazywał Lubecki, ale głos jego nie znajdował u Staszyca posłuchu. Owszem, to jego mieszanie się do spraw górnictwa on, z wielu innymi, za chęć przewodzenia w komisyach uważał. Według niego, jeżeli kopalnie wyczerpaniem groziły, to z rozszerzeniem ich pola, mogły się odkryć nowe, bogatsze jeszcze pokłady. W każdym razie wszelkie zmiany w dotychczasowym systemie eksploatacyi za szkodliwe dla górnictwa, zaledwie powstającego z pieluch, uznawał.

Innego wszakże zdania był Lubecki. Jako finansista i wytrawny mąż stanu, wiedział, iż półśrodkami nie dokonywa się niczego i, nie mogąc działać zgodnie z Staszycem, popieranym przez Tadeusza Mostowskiego, postanowił sam ratować zagrożoną gałąź przemysłu. Jakoż, w raporcie swym, złożonym za r. 1823 na ręce ministra-sekretarza stanu, przedstawił cesarzowi istotny stan górnictwa w Królestwie, żądając ze względów finansowych zaprowadzenia w niém zmian koniecznych, a przedewszystkiém zwrócenia punktu ciężkości do eksploatacyi żelaza, jako produktu najściśléj związanego z rozwojem ogólnego przemysłu. Raport ten wywarł wielkie na cesarzu Aleksandrze I wrażenie. Następstwem jego było wydanie w d. $^{2}/_{14}$ grudnia 1824 r. postanowienia, który górnictwo od d. 1 stycznia 1825 r. pod zarząd ministeryum skarbu poddawał. I to tłómaczy tak nagłe zmniejszenie się od r. 1823 liczby zwiedzających Białogon. Krok ten bowiem Lubeckiego, w gruncie uzasadniony, powszechne w kraju oburzenie wywołał, a ugodził w samo serce Staszyca. Człowiek ten, zaledwie na schyłku życia znalazłszy odpowiednie pole działalności dla siebie, włożył całą duszę w górnictwo; tymczasem, gdy zaledwie zaczął zbiérać swoich trudów owoce, burzono jego dzieło i samego spychano ze stanowiska, na którém do ostatniego tchnienia życia chciał dla kraju pracować. Dotknięty też krokiem ks. Lubeckiego głęboko, podał się natychmiast do dymisyi ze wszystkich zajmowanych urzędów i postanowił się na zawsze z życia publicznego wycofać. Zaledwie wdanie się namiestnika i ministra oświecenia, Stanisława hr. Potockiego, powstrzymało rozżalonego starca od tego kroku. Przyjął więc ofiarowane sobie miejsce w Radzie stanu i w Komisyi oświecenia na zajmowaném dawniéj stanowisku pozostał.

Ale cios doznany nazawsze jego zdrowie podkopał i w znacznéj mierze przyczynił się do jego zgonu, który w dniu 20 stycznia 1826 r. w skutek apopleksyi nerwowéj nastąpił.

III.

Po śmierci Staszyca dokonano reorganizacyi górnictwa. Jakoż postanowieniem namiestnika z d. 6 grudnia 1826 r. zwinięto naprzód Dyrekcyą górniczą w Kielcach, następnie w r. 1828 i Szkołę przeniesiono do Warszawy. Był to krok niewłaściwy, gdyż tym sposobem pozbawiano uczniów jednoczesnéj praktyki górniczéj. [1]) Nadto wydział górnictwa oderwany od Komisyi spraw wewnętrznych, przyłączono do Komisyi skarbu i na jego dyrektora powołano radcę stanu, Ludwika Haukego, b. komisarza do organizacyi min za czasów Ks. warszawskiego.

Wydział ten odtąd miał się znosić bezpośrednio z naczelnikami okręgów górniczych.

W dozorstwie białogońskiém z dawniejszych osobistości pozostali w zarządzie: Jan Klemm, radca hutniczy, w charakterze inspektora zakładów, Ernest Kaden, jako zawiadowca hut; Wojciech Krygar, jako dozorca hutniczy. Przybyli zaś: sztychmistrz, Fran. Protschkar, i zawiadowca ekonomiczny huty, Eliasz Kisielewski; ustąpił zaś ze swego stanowiska. Funkhennel.

Pomimo jednak dokonanéj reorganizacyi zakłady białogońskie nie były czynne. Stało się bowiem to, co przewidywał ks. Lubecki. W r. 1826, w skutek zalewu szybów Miedzianogórskich, zabrakło rudy miedzianéj.

Teraz minister skarbu zamierzył przeprowadzić własne pomysły. Przedewszystkiém zniosł hutę Aleksandra, a na jéj miejscu utworzył w Białogonie *Warsztaty mechaniczne*. W nich dla osuszenia kopalń olkuskich miano zbudować 10 maszyn parowych, o sile 100 koni każda, za pomocą których nieustannie pompowanoby wodę. Jakoż maszyny te, ustawione późniéj przy sztolni, wybitéj pod Olkuszem, przez długi

---

[1]) Skład téj szkoły obecnie był następujący: mineralogią i geognozyą wykładał: Józef Tomaszewski; chemię, hutnictwo i górnictwo: Jerzy Pusch; matematykę i budowę maszyn: Fryderyk Lempe; prawo górnicze i naukę stylu: Andrzej Kossowicz; markszajderyę: Fryd. Krumpel. Ci wszyscy mieli przyznany tytuł profesorów. Nadto w charakterze nauczycieli wykładali: docymazyę: Henryk Kaden, rysunki i geometryę wykreślną: Aleks. Spleszyński

czas swoję funkcyę spełniały. Główniejsze do nich części, jak: cylindry, pompy, parallelogramy, sprowadzono z Anglii; grubsze wyroby, jak: balansyery, kotły, koła zębate i szalone miały wyrabiane być w kraju.

Do wykonania tych pomysłów powołany został inżynier-mechanik William Preacher, którego ks. Lubecki przed rokiem sprowadził z Anglii na kiérownika do założonéj przez siebie fabryki machin na Solcu w Warszawie.

Tak więc, po okresie rozwijającym się pod wpływem górników saskich nastąpił dla Białogona drugi, mający się rozwijać pod wpływem inżynieryi angielskiéj. Jakoż Preacher zabrał się energicznie do spełnienia swego zadania.

Przedewszystkiém na pomieszczenie warsztatów wybrał budynek główny, w którym się huta Aleksandra mieściła, ale ten wymagał bardzo wielu przeróbek. Zburzono więc dawne piece i mury wewnętrzne, oddzielające huty: miedzianą, srebrną i ołowianą; zniesiono dawniéj działające w nich koła wodne, a natomiast zbudowano jedno, nowszéj konstrukcyi, o sile 12 koni. Było ono drewniane, z żelaznemi ramiennikami (szprychami) i takimże regulatorem i stawidłem. Miało zaś średnicy stóp 17, na 6 stóp i 9 cali szerokości, o 42 korcówkach. Koło to, za pomocą innego koła zębatego, osadzonego poziomo na wale, ustawionym pionowo wewnątrz budynku, rozsyłało za pomocą innych kół zębatych, kątowych, ruch całemu systemowi walców, umieszczonych w górze, pod powałą, a mających kształt bębnów, na których osadzone pasy transmisyjne udzielały siły obrotowéj tokarniom i wszystkim warsztatom mechanicznym, umieszczonym na dole.

Rzecz naturalna, iż wszystkie części składowe warsztatów mechanicznych, jak tokarnie, heblarnie, gwintownie, śrubsztaki, kowadła, pilniki—musiano sprowadzać z Anglii. Dostarczały ich pierwszorzędne fabryki: manchesterskie Sharp Roberts et Son, oraz fabryka Fox'a z Derby. Było to koniecznością, by warsztaty od pierwszéj chwili postawić na stopie europejskiéj. Inne ich części wyrabiano w kraju, bądź w fabryce machin na Solcu, bądź na miejscu pod kierunkiem naczelnego inżyniera, Preachera, mechanika John Peesa, oraz Wiliama Mac Connola, który początkowo kierował robotami kowalskiemi, następnie zaś wyłącznie zajmował się budową kotłów parowych.

Nadto sprowadzono z Anglii majstrów tokarskich i formierskich, którzy jednak czy to w skutek jakiegoś zajścia z władzami kierującemi, czy niemożności przystosowania się do warunków miejscowych, powrócili wkrótce do swego kraju. Również nie wrócił inżynier Thomas,

wyprawiony do Anglii dla zakontraktowania nowéj partyi majstrów, na miejsce wybyłych i zakupienia różnych części do maszyn parowych. Brakowi temu jednak umiał zapobiedz Preacher, kształcąc miejscowych majstrów i robotników.

Po urządzeniu i wprawieniu w ruch warsztatów mechanicznych, co nastąpiło pod koniec r. 1828 lub na początku 1829, Preacher zajął się w dalszym ciągu rozwinięciem innych części zakładu. Przedewszystkiém przedłużył pawilon z prawéj strony wzniesiony i urządził w nim od strony stawu kuźnią z 10 ognisk złożoną, gdy drugą jego połowę przedzielił dwiema ścianami na trzy części, przeznaczając je na pomieszczenie warsztatów stolarskich, modelownią i budowę machin.

Jednocześnie Ernest Kaden, pełniący obecnie obowiązki zawiadowcy, zbudował dom mieszkalny dla siebie, który po dziś dzień w pierwotnym kształcie istnieje. Uderza on przedewszystkiém grubością murów, okratowaniem okien i masywnemi drzwiami, jakby w jakiéj fortecy. Pochodziło to stąd, iż nie było osobnego pomieszczenia na kasę, i że w domu zawiadowcy składano każdodzienny dochód fabryczny oraz sumy, wyznaczone na przebudowę zakładów.

Istotną jednak chwałę Preachera stanowi urządzenie walcowni nowéj, podług najlepszych wzorów, jakie znaleźć mógł w Anglii. Dawna, z przestarzałym systemem, nie tylko nie odpowiadała wymaganiom techniki postępowéj, lecz i ze względu na rozszerzoną produkcyę żelaza nie była wystarczającą. Powiększono więc drugi pawilon, lewy, w ten sposób, iż część przybudowaną wysunięto po za kanał, który teraz pod budynkiem przepływał; wewnątrz zaś urządzono nad nim koło wodne, nader kunsztownéj budowy, która dziś jeszcze podziw znawców obudza. Osadzone na wale żelaznym, miało średnicy stóp 23 i cali $3^1/_2$ w świetle, przy szerokości stóp 12, cali $7^1/_4$, oraz 48 korcówkach, głębokich na cali 19. Pomimo dość wielkich rozmiarów odznaczało się ono iście filigranową robotą i lekkością, którą przedewszystkiém zawdzięczało temu, że obwód koła z walcem łączyły trzy tylko ramienniki, zewnętrzne z drzewa, wewnętrzne ze sztab żelaznych, które odejmując masywność, nadawały moc i trwałość budowie. Koło to o sile 40 koni wprawiało w ruch za pośrednictwem kół trybowych i koła szalonego jednę uprząż walców blachowych; następnie za pomocą łączników (*Mittel-Stück)*, poruszało drugą uprząż do blach małego formatu, oraz walce gładzące (*Polier-Wälze*). Nadto kanał odpływowy ujęto w ciosy i opatrzono stawidłem żelazném, mechanicznėm.

Ustawieniem walcowni zajmował się mechanik John Pees przez cały rok 1830, i część roku następnego i właśnie, gdy mógł z dumą

spoglądać na ukończone swe dzieło, nieszczęście chciało, iż pierwszą próbę puszczenia w ruch walcowni, własném życiem przypłacił.

Było to w samą wielką środę 1831 r. W następny dzień miano puścić w ruch walcownią w obec komisyi, na któréj czele stał Piotr Michałowski, radca hutniczy, kierujący warsztatami mechanicznemi w Białogonie, który późniéj, jako artysta, genialnemi akwarelami zasłynął. Z nim przybyć miało wiele innych osób, pomiędzy niemi i ks. Leon Sapieha, obecnie radca honorowy w zarządzie górnictwa, późniéj marszałek długoletni sejmu lwowskiego. Nic też dziwnego, iż w wigilią tego dnia John Pees, pragnąc przekonać się o prawidłowém działaniu maszyn, kazał wieczorem podnieść stawidło i puścił w ruch walcownię. Maszyny funkcyonowały dobrze; ale na swe nieszczęście zauważył, iż się w jednéj z nich obluzowały niektóre części. Zamiast jednak ruch koła wodnego powstrzymać, on wszedł między koła trybowe i, zaleciwszy stojącemu za nim ślusarzowi, trzymać poły swego surduta, zaczął klinami rozluźnione części umacniać. Lecz właśnie, gdy po skończonéj robocie, miał już przebyć zagrodę, oddzielającą maszynę od reszty budynku, ślusarz zawcześnie wypuścił z rąk trzymane poły i spowodował straszny wypadek: tryby bowiem pochwyciły je swemi zębami i w mgnieniu oka zmiażdżyły nieszczęśliwego John Peesa.

Śmierć jego rzuciła cień na uroczystość dnia następnego, a o sile wywartego wrażenia świadczy obszerna o tym wypadku zapiska, oraz żywa tradycya, która do dni naszych przetrwała. Było to tém smutniejsze, że walcownia wprawiona w ruch kosztem życia uzdolnionego mechanika, wkrótce funkcyonować przestała. Rok bowiem 1831 bynajmniéj nie sprzyjał rozwojowi robót górniczych. Z wyjazdem do Petersburga ks. Lubeckiego, który już więcéj na swe stanowisko nie wrócił, wykonanie szerokich jego zamysłów nadługo zawieszone zostało. W warsztatach mechanicznych nie było żadnych zamówień: wyrabiano w nich tylko broń sieczną i palną; co się zaś tyczy walcowni, to o jéj produkcyi w księdze pamiątkowéj przez lat dwa niéma najmniejszéj wzmianki.

Wogóle cały okres działalności górnictwa pod zarządem Komisyi przychodów i skarbu uważać należy jedynie za przygotowawczy, przejściowy. O ile ks. Lubecki miał trafne na jego rozwój poglądy, o ile zresztą osuszenie kopalń olkuskich byłby doprowadził do skutku, to dopiéro miała przyszłość wykazać. Tymczasem jego usunięcie się z zajmowanego stanowiska w chwili, gdy jeszcze nie przeprowadził swych zamysłów w całości, nie pozwala jego zasług w tym kierunku ocenić. Bądź co bądź dla Białogona z r. 1831 skończył się okres dru-

gi;—trzeci rozpoczyna się w r. 1833, gdy górnictwo przeszło pod zarząd b. Banku polskiego.

Naczelny nad niém kierunek objął teraz jego wice-prezes Henryk hr. Łubieński, który jasném zrozumieniem potrzeb krajowych, najwięcéj przyczynił się do wzrostu i rozwoju górnictwa. Obejmując je spadkiem po ks. Lubeckim, musiał liczyć się z dokonanemi przezeń robotami, i plany jego uwzględniać; ale, mając na oku, równie jak on, produkcyę żelaza, nadał jéj praktyczny i właściwszy kierunek.

Przedewszystkiém, pragnąc silniejszy nadzór nad górnictwem rozciągnąć, ustanowił na miejsce zniesionych przez ks. Lubeckiego dozorstw bezpośrednie zarządy, dzieląc górnictwo na trzy okręgi: *wschodni* w Suchedniowie, *zachodni* w Dąbrowie Górniczéj, oraz *północny* w Ciechocinku. Nad niemi zaś, jako zarząd główny, utworzył przy Banku wydział górniczy, w którym obowiązki dyrektora sprawował radca Lempe.

W tak zorganizowaném górnictwie, Białogon ze względu na swe położenie geograficzne, wszedł w skład okręgu wschodniego. Naczelnikiem jego był Łukasz Reklewski; na stanowisko zaś zawiadowcy naczelnego nad zakładami białogońskiémi powołany został Preacher.

Nie odejmując téż Białogononowi charakteru głównego ogniska górniczego przemysłu, hr. Łubieński posunął się o krok daléj i jego zakłady zrobił dźwignią krajowego rolnictwa: słowem, z warsztatami mechanicznemi połączył fabrykę narzędzi rolniczych. Pomysł był arcyszczęśliwy, zwłaszcza, że w latach 1831 i 1832 zbudowano szosę, która, łącząc Warszawę z Krakowem, przechodziła tuż około białogońskich zakładów i jako główna arterya komunikacyi lądowéj, za pomocą dróg bocznych, ułatwiała sprowadzanie wyrabianych tu machin i narzędzi w najdalsze okolice kraju.

Że założenie téj fabryki odpowiadało jego potrzebom ekonomicznym, dowodzą liczne zamówienia, jakiemi zakłady białogońskie od pierwszéj chwili rozpoczęcia w nich robót, zarzucone zostały. Pomiędzy obstalunkami najwięcéj spotykamy: młockarń, sieczkarń, młynków do wiania i czyszczenia zboża, młynków do mielenia kartofli w gorzelniach, słodu w browarach, wreszcie tartaków i kieratów.

(*D. n.*) *Roman Plenkiewicz.*



Listki z pola wiedzy.

I.

TREŚĆ: Odkrycie trzech nowych pierwiastków, wchodzących w skład powietrza atmosferycznego. — Klasyfikacya pierwiastków chemicznych. — Prace na tém polu chemików i podawane systemata. — Chemiczne „prawo oktaw" Newlands'a, odpowiadające oktawie muzycznéj. — System „peryodyczności pierwiastków" w chemii, analogiczny z prawem Bode'go w astronomii.—Przedstawienie tego systemu w sposób poglądowy. — Bliższe szczegóły prac prof. Ramsaya. — Rozbiór widmowy nowych pierwiastków. — Ogólny rzut oka na rozwój elektryczności w ostatnich latach. — Niepodzielne jéj panowanie w przyszłości. — Zastosowania elektryczności w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj. — Najnowsze badania. — Prace prof. H. Hertza. — Telegraf bez przewodników. — Telektroskop Szczepanika.

W świecie handlowym istnieje godny naśladowania zwyczaj zestawiania, w dłuższych lub krótszych odstępach czasu, bilansu dokonanych czynności, z któregoby można było odrazu, na pierwszy rzut oka poznać prawdziwy stan rzeczy, zoryentować się w położeniu.

Ten sam system z korzyścią może być stosowany i w dziedzinie nauki, na polu któréj ruch wcale nie ustępuje handlowemu, i z tego powodu specyaliści zmuszeni są nieraz cofać się w przeszłość, wchodzić niejako w samych siebie, w prace swoje dawniejsze, aby zoryentować się w położeniu obecném, rozpatrzéć uważnie co dotąd zrobiono oraz co obecnie robić należy.

Obserwując ten ruch, to wnikanie w samych siebie ze strony nowych badaczy, i sprawozdawca popularny, chcąc przedstawić czytelni-

kom obraz ruchu na polu nauk, musi wchodzić w samego siebie, naśladując powyższy zwyczaj, i podając czytelnikom wiązankę faktów naukowych, zastanawiać się, co w danéj gałęzi wiedzy zrobioném już zostało dla nauki a co jeszcze stosunkowo do zrobienia pozostaje.

Niektóre z tych faktów, znaczące pojedyńcze etapy w rozwoju danéj nauki, pozostające tylko w zakresie teoryi, mogą mieć znaczenie tylko dla specyalistów, a to między innemi z tego względu, że byłyby nieprzystępne dla ogółu; inne kwalifikują się do zaregestrowania w sprawozdaniu popularném, mogą stanowić pokarm naukowy dla przeciętnego czytelnika.

Nie powinni się zatém dziwić czytelnicy, jeżeli w sprawozdaniach tego rodzaju dostrzegać czasem im się zdarzy luki, jeżeli zauważą, że pewne działy naukowe są za obszernie traktowane, inne przeciwnie, jak gdyby z umysłu pomijane; szczegółowsze bowiem sprawozdanie w jednych a pewne braki w innych gałęziach wiedzy są nieraz więcéj pozorne niż rzeczywiste.

Przechodząc do ważniejszych i wydatniejszych rezultatów, osiągniętych w czasach ostatnich w rozwoju nauk, właściwie pierwsze miejsce możeby należało poświęcić astronomii—téj królowéj nauk, jak ją nazywał wielki nasz matematyk, Jan Śniadecki. Musimy jednak w danym razie zrobić wyjątek od téj zasady i zaczniemy od chemii i fizyki, które w ostatnim roku, zwłaszcza pierwsza z tych nauk, zrobiły olbrzymi krok naprzód w swoim rozwoju.

Mamy tu na myśli między innemi odkrycie trzech nowych pierwiastków chemicznych. Pierwiastki te są: krypton, neon i metargon. Specyalne pismo angielskie „Przemysł i Żelazo" [1]. podaje niektóre szczegóły o odkryciu pierwszego z wymienionych pierwiastków, a mianowicie kryptonu. Wbrew zwykłemu porządkowi rzeczy, sprawozdanie o tém odkryciu złożył najprzód francuzkiéj Akademii Nauk Berthelot i dopiéro w następstwie zakomunikował o tém „Towarzystwu Królewskiemu" (*Royal Society*) chemik angielski Ramsay, który właśnie odkrył ten pierwiastek gazowy. Krypton został odkryty, jak powiedziano w sprawozdaniu, w zagęszczoném (t. j. skroploném czyli płynném) powietrzu w chwili, gdy to ostatnie przechodziło znowu, wskutek parowania, w stan gazowy, po usunięciu z niego innych znanych poprzednio jego składników. Otrzymano go zaś w sposób następujący:

Ramsay i Traverse wzięli 750 cent. sz. płynnego powietrza, odparowali do objętości 10 cent. sz. i zebrali gaz w rurkę szklaną. Otrzy-

[1] „*Industry and Iron*".

many tym sposobem krypton oczyścili od przymieszek obcych. Przedewszystkiém oddzielili tlen za pomocą miedzi metalicznéj; następnie azot za pomocą iskier elektrycznych; resztki zaś tlenu, jakie znajdowały się zatrzymane przez krypton, zostały ostatecznie usunięte przez przepuszczanie go nad mieszaniną magnezyi i czystego wapna.

Otrzymany po dokonaniu téj operacyi gaz, oprócz słabego widma argonu, znanego już dawniéj, dał drugie widmo, zupełnie nowe. To ostatnie składa się z dwóch niezwyczajnie jasnych linii, z których jedna prawie schodzi się z jasno-żółtą linią helium, druga zaś, zielona, może być porównana z zieloną linią helium. Ciepło gatunkowe tego gazu prawie takie, jak helium i argonu, skąd wynika, że krypton jest pierwiastkiem jednoatomowym.

Takim sposobem atmosfera nasza zawiéra, oprócz tlenu i azotu, nietylko argon, ale jeszcze jeden nowy gaz, nazwany kryptonem, który jest cięższy od argonu, a mniéj lotny, niż trzy inne znane składniki powietrza atmosferycznego. Ramsay nazwał go kryptonem (z greckiego, to co ukryte) ponieważ dłużéj niż pozostałe gazy w naturze był ukryty dla nauki, a nie mógł być prędko odkryty dlatego, że się znajduje w powietrzu w bardzo małéj ilości ($^1/_{200}$ %, t. j. 1 część kryptonu na 20,000 części powietrza).

Okazało się jednak w następstwie, że powietrze atmosferyczne, oprócz czterech pierwiastków (tlenu, wodoru, argonu i kryptonu), zawiéra jeszcze dwa inne elementy. Uczeni chemicy Moisson i Délandre przedstawili francuskiéj Akademii Nauk zamknięty pakiet; akademia otworzyła go i zakomunikowała o jego treści prof. Ramsayowi, który, w odpowiedzi na to, zawiadomił o stanie swoich prac, prowadzonych razem z Traversem, przyczem sprostowaném zostało, że ci dwaj chemicy odkryli krypton nie w chwili przejścia płynnego powietrza, drogą parowania, w stan gazowy, jak to było poprzednio ogłoszone w pismach, ale przy badaniu własności ciekłego argonu. Ramsay i Traverse pracowali całą zimę nad tém, aby wydzielić z płynnego powietrza płynny argon w objętości dostatecznéj do przeprowadzenia badań i właśnie w tym izolowanym argonie znaleźli krypton.

Ale oprócz tego odkryli inny gaz, który pod wpływem prądu elektrycznego zapala się w rurce szklanéj i płonie bardzo pięknym kolorem pomarańczowym. Ten nowy gaz dał i nowe widmo, różne od widma argonu, i nazwany został przez Ramsaya „neonem" (gazem nowym). Kiedy przejście w stan pary płynnego argonu zbliżało się do końca, w pozostałości znaleziono inne ciało, ulatniające się nadzwyczaj powoli. Odosobnienie tego gazu nie przedstawiało wielkich trudności. Ten szósty składnik powietrza atmosferycznego nazwał Ramsay „me-

targonem". Zbadanie własności 3-ch nowo-odkrytych gazów (kryptonu, neonu i metargonu) jest obecnie tylko kwestyą czasu.

Zupełnie niespodziewane odkrycie argonu, wobec tego, gdy otaczająca nas atmosfera była bardzo wiele razy badana, w ciągu ostatnich stu lat przez uczonych wszystkich krajów, jak powiadają pp. Ramsay i Traverse w swojém sprawozdaniu złożoném „Towarzystwu Królewskiemu", nie mogło nie zaambarasować specyalistów. Pomimo woli powstała wątpliwość co do dokładności poprzednich metod badania powietrza, a tém samém i otrzymanych rezultatów.

Przy pracach nad odkryciem nowych pierwiastków chemicznych wielką pomocą i ułatwieniem tych badań a jednocześnie i zasadą, któréj się trzymać i podług któréj oryentować się mogli uczeni chemicy, była t. z. „peryodyczność pierwiastków chemicznych, dla wyjaśnienia któréj musimy kilka słów powiedziéć, cofając się na chwilę w przeszłość.

Dawno już bardzo Döbereiner spostrzegł, że niektóre ciała proste, czyli pierwiastki chemiczne, mogą być ustawione w grupy, składające się z trzech elementów. Wyboru tych elementów dla tworzenia tego rodzaju potrójnych związków dokonywano na zasadzie pewnego podobieństwa ich własności oraz pewnego następstwa wielkości ich ciężarów atomowych. Tak np. wapń, stront i bar tworzyły jednę z podobych grup, ich zaś tlenki, czyli niedokwasy, (wapno, stroncyana i baryta), rozpuszczalne w wodzie, tworzyły wodę wapienną, barytową i stroncyanową. Ich siarczany są, jak wiadomo, wszystkie mało rozpuszczalne. Zauważono również podobieństwo między ich chlorkami i azotanami (czyli saletranami). Ta prawidłowość dawała się dostrzegać w ich ciężarach atomowych. Przyjęte podówczas liczby były: 20,42.5 i 65. Otóż ciężar atomowy strontu stanowił średnią arytmetyczną pomiędzy ciężarami atomowemi dwóch pozostałych pierwiastków. [1]). Grupy te, ustanowione dla innych pierwiastków, nazywano tryadami Döbereinera.

Drugi system klasyfikacyi pierwiastków, oparty również na podstawie ich ciężarów atomowych, zaproponowany był przez Pettenkofera, Cooka i innych uczonych. Polegał on na wynalezieniu wyrażenia algebraicznego, któreby przedstawiało różnice pomiędzy ciężarami atomowemi pokrewnych pierwiastków. Tak np. różnica między ciężarem atomowym litu (7) i sodu (23) jest 16. Ta sama różnica 16 istnieje również między ciężarem atomowym sodu (23) i potasu (39). Prawidłowość jednak tego systemu nie zawsze była widoczna.

W następstwie Dumas wynalazł dosyć złożony wzór, przedstawiający do pewnego stopnia prawidłowość, z jaką zmienia się ciężar ato-

---

[1]) Jakoż (20+65) : 2=42.5.

mowy przy przejściu od fluoru do chloru, bromu i jodu, a także przy przejściu od azotu do fosforu, arsenu, antymonu i bizmutu.

Dalszym ciągiem tych usiłowań odkrycia prawidłowości, przejawiającéj się w zmianie ciężarów atomowych, są prace Johna Newlanda, który w r. 1894 ustanowił tak zwane „prawo oktaw". Badacz ten, ułożywszy pierwiastki w grupy ośmiowyrazowe, znalazł, że przez ustawienie ich w porządku ciężarów atomowych „każdy ósmy pierwiastek, bez względu na to, od którego z nich rozpoczniemy liczenie, przedstawia w pewnym rodzaju powtórzenie pierwszego, zupełnie tak samo jak ósma nuta w oktawie muzycznéj!" I dla tego właśnie prawidłowość tę nazwał „prawem oktaw".

Dalszy rozwój téj zasadniczéj myśli nauka zawdzięcza profesorowi M. Meierowi i Mendelejewowi. Ustanowili oni t. zw. „prawo peryodyczności pierwiastków" w nauce chemii, do pewnego stopnia analogiczne z prawem Bode'go w astronomii. [1])

Ten związek pomiędzy ciężarami atomowemi można przedstawić w najprostszy sposób przy pomocy cylindra rozdzielonego na ośm odcinków liniami, równoległemi do jego osi; linia śrubowa, przeprowadzona po powierzchni cylindra, przetnie ośm razy te linie w ciągu jednego swojego obrotu. Ustawiwszy cylinder pionowo, piszemy nazwę pierwiastka i jego ciężar atomowy na każdém przecięciu się spiralnéj z linią prostą, trzymając się rosnącego porządku ciężarów atomowych. Wtedy, jak powiadają wymienieni wyżéj chemicy, pierwiastki znajdujące się pod sobą na jednéj linii pionowéj stanowią klasę naturalną, posiadają własności podobne, tworzą związki jednego typu, wykazując pewne stopniowanie w zmianie swoich gęstości, punktów topliwości i wielu innych cech. Wszakże jedna z tych kolumn różni się od innych tém, iż na niéj znajdują się trzy grupy, z których każda składa się z trzech pierwiastków o stosunkowo równym ciężarze atomowym. Pierwiastki te są: żelazo, kobalt i nikiel; pallad, rod i ruten; platyna, iryd i osm. Rzecz jasna, że w téj kolumnie jest jeszcze miejsce dla czwartéj grupy z trzech elementów, a nawet i dla piątéj.

Że odkrycie takiéj grupy jest prawdopodobne, dowodzi tego fakt, iż kiedy tablica ta była ułożona po raz pierwszy, prof. Mendelejew odrazu wskazał na pewne puste miejsca w téj tablicy, które w następstwie

---

[1]) Jak wiadomo, prawo to, podług którego obliczyć można odległości planet od słońca, pozwoliło astronomom Leverrier i Galle odkryć w swoim czasie nieznaną poprzednio planetę, Neptuna, któréj istnienia domyślali się na zasadzie pomienionego prawa.

zostały zapełnione przez odkrycie pierwiastków, jakiemi są: gal, german i inne.

Wskutek odkrycia argonu, prof. Ramsay zwrócił uwagę na jego położenie w téj tablicy. Ponieważ gęstość jego jest 20, to gdyby argon był gazem dwuatomowym, jak tlen, musiałby w tym systemie peryodycznym następować po fluorze. W pierwszéj chwili Ramsay sądził, że argon, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przedstawia mieszaninę trzech gazów, z których każdy ma prawie jeden i ten sam ciężar atomowy, jak np. żelazo, kobalt i nikiel. Gdy jednak okazało się, że drobiny, czyli cząsteczki (molekuły), argonu składają się z jednego atomu, to koniecznem było przyznać mu ciężar atomowy 40 a nie 20, czyli pomieścić argon w tablicy tuż za chlorem, nie zaś za fluorem.

Ale powstały tu nowe trudności, których nie możemy rozbierać w popularnym artykule. Powiemy tylko, że trudności te zostały pokonane i że bardzo dokładnie przeprowadzone doświadczenia przez Ramsaya i innych chemików dowiodły, iż argon jest ciałem prostém, nie zaś mieszaniną pierwiastków. Odkrycie pierwiastku helium rzuciło nowe światło na tę kwestyę i skłoniło chemików do dalszych poszukiwań na tém polu.

Poprzestajemy na tych wyjaśnieniach, które wykazują dostatecznie, w jaki sposób postawiony system peryodyczności pierwiastków może przyczynić się do odkrycia nowych nieznanych w nauce elementów i ułatwić uczonym badanie na tém polu.

Powróćmy do głównego naszego zadania. Jakeśmy wyżéj zaznaczyli, powstała tu kwestya treści następującéj:

Jeżeli po niezliczonych, w ciągu całego roku prowadzonych doświadczeniach, w powietrzu mógł okazać się, oprócz dawno znanych pierwiastków tlenu i azotu, jeszcze inny gaz-argon, to dlaczego nie moglibyśmy przypuścić, że skład atmosfery ziemskiéj jest daleko więcéj skomplikowany i nie ogranicza się na tych trzech elementach?

Podobna myśl powstała jednocześnie w głowie wielu chemików angielskich i francuskich, którzy energicznie wzięli się do pracy, i oto w roku bieżącym, w ciągu kilku tygodni, wiadomém się stało zdumionemu światu specyalistów o istnieniu w składzie atmosfery ziemskiéj trzech nowych elementów gazowych: kryptonu, neonu i metargonu. Odkrycie dwóch ostatnich gazów, neonu i metargonu, nastąpiło zupełnie przypadkowo, dzięki téj okoliczności, że przed kilkoma miesiącami Ramsay odkrył sposób otrzymywania argonu w wielkiéj ilości z powietrza atmosferycznego. Otrzymawszy przeszło 18 litrów tego rzadkiego w naturze gazu, Ramsay postawił sobie za zadanie rozłożyć argon na części składowe, gdyż przypuszczał, że to jest ciało gazowe złożone.

W tym celu przefiltrował argon przez płytę glinianą, ale przecedzony tym sposobem gaz okazał się niezmienionym. Wtedy, łącznie z Traversem, postanowił Ramsay przedsięwziąć szereg nowych doświadczeń przy pomocy płynnego powietrza użytego w znacznéj ilości.

Dla tego to, przeprowadziwszy dostateczną ilość powietrza w stan ciekły, naturaliści pomienieni zmniejszyli ciśnienie, wskutek czego rozpoczął się odwrotny proces, t. j. przejście płynnego powietrza, za pomocą parowania, w stan gazowy; jednocześnie wszakże zagęszczał się, łatwo i szybko, zawarty w rozrzedzającém się powietrzu argon.

Dla zwiększania skutku, argon przepuszczany był, przy pomocy syfonu szczególnéj budowy, przez długą i cienką rurkę, oziębianą zewnątrz ciekłém powietrzem. Ten aparat syfonowy opatrzony był w wanienki z merkuryuszem oraz w pompki, przy pomocy których przedewszystkiém usuwane było zawarte w cienkiéj rurce powietrze.

Obserwując oddzielający się płynny argon, Ramsay zauważył, że jednocześnie z nim oddzielało się w znacznéj ilości jakieś inne ciało nierównie większéj konsystencyi, które już to osadzało się na wewnętrznych ściankach rurki szklanéj, już to unoszone było prądem płynnego gazu.

Po wydzieleniu około 14 litrów płynnego argonu, chemicy nasi zamknęli kran i w ciągu kilku minut utrzymywali nizką temperaturę w tym celu, aby przywrócić równowagę pomiędzy płynem i parą w samym aparacie.

Podczas gdy to się odbywało, za pomocą pompki merkuryuszowéj starannie usunięto z syfonu zebrane w nim powietrze, a następnie, po otworzeniu kranu, wpuszczono tam nieznany gaz, który zebrał się w rurce nad powierzchnią płynnego argonu w objętości 100 do 120 cent. sz. Gaz ten zauważony już był dawniéj przy poprzednich doświadczeniach.

W następstwie ciśnienie atmosferyczne zostało znowu znacznie zwiększone i pod wpływem tego ciśnienia odbywała się dalsza dystylacya płynnego argonu do osobnego odbieralnika dotąd, dopóki na ściankach i na dnie rurki pozostała tylko sama wspomniana wyżéj substancya. Po skończeniu dystylacyi, pozostałe w rurce tylko jedno ciało stałe przeprowadzono do osobnego odbieralnika gazów i usunięto ciśnienie; wtedy zaczął się bardzo powolny odwrotny proces, t. j. przechodzenie substancyi stałéj w gaz, którego zebrało się 140 do 150 cent. sz.

Doświadczenia te były wykonane znakomicie, z zupełném powodzeniem. Wtedy jasną stało się rzeczą, że pomienieni badacze posiadają oprócz argonu dwa nieznane gazy w stanie izolowanym.

Potrzeba było tylko zbadać te gazy. Rozpoczęto badanie od lżejszego ciała gazowego, które zebrało się w rurce, nad powierzchnią

płynnego argonu. Gaz ten przeprowadzony został do rurki szklanéj, z któréj powietrze poprzednio usunięto, dla oznaczenia widma, wykonywając ogrzewanie za pomocą zmiennego prądu elektrycznego; w skutek tego otrzymane zostało widmo, w którém zwracało szczególniéj uwagę kilka czerwonych linii, wśród nich zwłaszcza jedna nadzwyczaj świetna, a oprócz tego jedna jasno-żółta linia, podczas gdy linie zielone i błękitne, chociaż ich było wiele, nie przedstawiały nic godnego uwagi. Największą uwagę zwracała na siebie wspomniana linia żółta, ponieważ widma metalu sodu, helium i tylko co odkrytego kryptonu również zawierają jasną żółtą linię. Ale bliższe badanie dowiodło w zupełności, że linia żółta tylko co odkrytego nowego gazu, jakkolwiek jest téj saméj mocy, to jednak bardzo różni się od podobnych do niéj z koloru linii ciał wymienionych.

Ostatnia jednak wątpliwość co do tego nowo odkrytego pierwiastku znikła, kiedy nasi uczeni przystąpili do obserwowania go w próżni. Okazało się wtedy, że ten nowy gaz, który nazwali „neonem”, nie tylko odróżnia się swojém widmem i gęstością, w przeciwieństwie do helium, argonu i kryptonu, ale będąc wprowadzony do rurki szklanéj, z któréj usunięte zostało powietrze, wywołuje zjawiska świetlne pod działaniem prądu elektrycznego, przechodząc od koloru karminowo-czerwonego do bardzo jasnego pomarańczowego, która to okoliczność poprzednio nie była spostrzeżona przy żadnym gazie.

Po wydzieleniu neonu i oznaczeniu jego własności, Ramsay i Traverse przystąpili do badania drugiego gazu, otrzymanego w rurce szklanéj w przestrzeni pozbawionéj powietrza, z wyżéj wspomnianego ciała stałego barwy białéj. Przy rozbiorze widmowym gaz ten dał bardzo różnorodne złozone widmo, które ogólnie zbliżało się do widma argonu, ale w szczegółach różniło się bardzo od widma tego pierwiastku. Przy słabém rozproszeniu kolorów, otrzymywało się zwyczajne widmo ze zwykłym rozdziałem linii, gdy tymczasem przy wzmocnioném, za pomocą siatki, występowało mnóstwo oddzielnych linii jasnych, prawie w równéj odległości jedna od drugiéj. Zresztą przy bliższém badaniu, odległości pomiędzy jasnemi liniami okazały się wypełnione takiemi samemi licznemi liniami, dostatecznie widzialnemi. Tych jasnych linii było 11, z których 5 leżało w zieloném polu widma, a 6 w niebieskiém. Przy mierzeniu długości fal okazało się, że zgadzała się ona z długością fal odpowiednich linii w widmie argonu, ale nie schodziła się z długością fal pozostałych linii. Linie czerwone, w skutek nadzwyczaj bladego zabarwienia, nie były mierzone. Pojawienie się w widmie podwójnéj linii czerwonéj dowodziło, że ten nowy gaz nie był wolny od przymieszki argonu. Drogą badania długości fal głosowych w tym gazie

dowiedzioném zostało, że gaz ten jest pierwiastkiem jednoatomowym. Wskutek bardzo znacznych różnic widma nowego gazu od widma argonu, a również z tego powodu, że przechodzi on w stan stały przy takiéj temperaturze, przy któréj powietrze pozostaje płynném, nie można go nie uznać za pierwiastek nowy, poprzednio nieznany.

Z drugiéj strony jego blizkie pokrewieństwo z argonem było powodem, że wymienieni wyżéj chemicy nazwali go „metargonem”. Ramsay i Traverse zwrócili uwagę na tę okoliczność, że metargon pozostaje w takim stosunku do argonu, jak nikiel do kobaltu. Oba te pierwiastki mają jednakową wagę atomową przy różnych własnościach.

Takie są ogólne rezultaty badań dwóch wielkich chemików. Rozszerzyliśmy się cokolwiek nad temi badaniami, poprzedzając je dorywczym szkicem klasyfikacyi pierwiastków, ze względu na ich nadzwyczajną działalność. Dziś trudno przewidziéć następstwa tych odkryć. Ważny krok na tém polu badań zrobiony zostanie w chwili, kiedy się uda uczonym zagęścić wodór *w wielkich ilościach*. Wtedy bowiem będą mieli do swego rozporządzenia jeszcze niższą temperaturę, tak potrzebną przy tego rodzaju badaniach.

* * *

Znany elektro-technik, inżynier E. Thomson, pomieścił w dzienniku „*Forum*” ciekawą pracę, obejmującą rzut oka na rozwój elektryczności w ostatnim dziesiątku lat, oraz najrozmaitsze zastosowania téj gałęzi wiedzy do praktycznych celów w życiu codzienném w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj. Wyjmujemy z tego sprawozdania niektóre dane.

W r. 1887, na zgromadzeniu specyalistów interesujących się sprawą dróg żelaznych miejskich, wszelkie próby zastąpienia siły pociągowéj konia przez siłę elektryczną uważane były za bezużyteczną stratę czasu. Natomiast na zgromadzeniu członków tego samego towarzystwa, odbytém w początku roku bieżącego, wyrażono opinię o możliwości ogólnego zastosowania siły elektrycznéj, jako siły pociągowéj, nietylko po drogach miejskich, ale i pomiędzy miastami. Pewną jest rzeczą, jak powiada E. Thomson, że w niedalekiéj przyszłości męczenie koni na kolejach konnych należéć będzie do dziedziny podań i wspomnień. Przy sile pociągowéj elektrycznéj otrzymano przyśpieszenie ruchu i ulepszenie ekwipaży, oświetlanych i ogrzewanych elektrycznością, co przyczynia się do zachowania czystości i przedstawia udogodnienia, niemożliwe przy innych rodzajach siły pociągowéj. Łatwość, z jaką może być wprowadzona elektryczność na drogach przeznaczonych pierwotnie dla siły pociągowéj parowéj, dowodzi już samo przekształcenie służby kolejowéj. Wagony mogą poruszać

się stosunkowo bezpiecznie przy prędkości przeszło 90 kilometrów na godzinę. Zbudowanie kilku wielkich lokomotyw elektrycznych pokazało, że lokomotywy te siłą swoją przewyższają siłę lokomotyw parowych i mogą poruszać najcięższe pociągi z jednakową, a nawet większą prędkością od lokomotyw parowych. Zdaniem Thomsona, z biegiem czasu lokomotywy parowe zastąpione zostaną w zupełności silnikami elektrycznemi, obracającemi osie wagonów tak, jak to się dzieje w tramwajach ulicznych.

Przed dziesięciu laty istniały już wprawdzie sieci telefonów, ale nie było komunikacyi na dalekie odległości. Obecnie mamy komunikacye telefonowe z wielu miastami, oddalonemi od siebie na setki kilometrów.

Przed rokiem 1887 oświetlenie elektryczne spotykało się tylko w wielkich miastach. Obecnie i mniejsze miasta posiadają swoje stacye elektryczne, lampy łukowe do oświetlania ulic, lampy żarowe do ogólnego użytku. Te ostatnie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj liczą się na miliony, a samych stacyi elektrycznych jest kilka tysięcy, co reprezentuje kapitał 500 milionów dolarów, czyli miliard rubli.

Znakomite jest zastosowanie elektryczności na Niagarze, przedstawiające dotykalnie znaczenie przemysłowe taniéj i pewnéj siły, otrzymywanéj skutkiem spadku wody. Siła wielkich kół wodnych udziela się potężnym maszynom dynamo-elektrycznym, które znowu służą do rozwoju energii elektrycznéj. Od siły, udzielanéj w ten sposób przez wodę, znajdują się w zależności oświetlenie i drogi elektryczne w samém mieście Niagarze, a także i niektóre zakłady przemysłowe tego miasta. Przedstawia się tu możliwość udzielania siły na wielką odległość po linii wysokiego naprężenia do Buffalo, gdzie otrzymuje się potrzebny zapas energii elektrycznéj dla stacyi miejscowéj.

Zasługują również na uwagę zastosowania prądu elektrycznego do ogrzewania i metalurgii. Tą drogą wyrabiają się akcesorya czyli części zapasowe ekwipaży, osi, obręcze, części welocypedów, różne narzędzia, topi się wszelkie metale i wykonywa wiele innych robót.

Znaczenie elektryczności dla metalurgii otrzymało niedawno nowy dowód w Niagarze, gdzie cena glinu, która przed kilkoma laty wynosiła jeszcze 2 dolary za uncyę, jest obecnie niższą od ceny mosiądzu. Pomijamy prace wykonywane dla otrzymania sodu i innych metali, oczyszczanie miedzi drogą elektrolizy i inne praktyczne zastosowania elektryczności.

Od tych zastosowań elektryczności w przemyśle, przechodząc na pole naukowe, między innemi podnieść musimy przedewszystkiém wykonanie doświadczenia przesyłania znaków na wielkie odległości bez

pośrednictwa przewodników metalowych, jedynie za pomocą fal elektrycznych.

Budowa telegrafu bez drutu opiéra się na prawie fizyczném falistego ruchu elektryczności. Zjawisko wibracyi elektrycznych, które teoretycznie odgadł Maxwell, było zbadane szczegółowo przez Henryka Hertza, profesora uniwersytetu w Bonn. Doświadczenia jego z tak zwanemi „wibratorami elektrycznemi" dowiodły, że elektryczność, podobnie jak światło, rozchodzi się w powietrzu według praw ruchu falistego. Dla wykonania tych doświadczeń użył on cewki (bobiny) Rumkorfa, dającéj pod wpływem prądu elektrycznego nieustający szereg iskier. W odległości około dwóch metrów od przyrządu, który prof. Hertz nazywał „wibratorem elektrycznym", ustawiał on drut metalowy, zgięty w koło, z wązką przerwą między jego końcami, przyczém pomienione koło w stosunku do prądu spełniało rolę rezonatora, zupełnie tak samo, jak kamerton. Profesor Hertz wprawiał wibrator w ruch, a między końcami zgiętego w koło drutu pokazywały się natychmiast iskry, pomimo odległości oddzielającéj go od wibratora i braku wszelkich przewodników komunikacyjnych. Zjawisko to dowodzi, że elektryczność rozchodzi się rzeczywiście według praw ruchu falistego, podobnie jak to ma miejsce przy zjawiskach świetlnych i głosowych.

Następne doświadczenia profesora Hertza jeszcze więcéj potwierdziły analogiczność ruchu fal elektrycznych z ruchem drgań światła i dźwięku. Prof. Hertz pomieszczał swój przyrząd elektryczny w ognisku zwierciadła parabolicznego z blachy cynkowéj, i zagięty w koło drut, znajdujący się na przedłużeniu osi optycznéj takiego reflektora, dawał natychmiast iskry w odległości sześciu lub siedmiu metrów, gdy tymczasem w stronie od zwierciadła, nawet w bardzo blizkiéj odległości od wibratora, drut nie dawał wcale iskier. Rzecz jasna, że w danym razie zwierciadło wklęsłe odbijało fale elektryczne w kierunku równoległym, nie pozwalając im rozchodzić się na pewnéj przestrzeni. Prof Hertz pomieszczał zgięty w koło drut między dwoma zwierciadłami, ustawionemi naprzeciw siebie, i drut dawał iskry nawet na znacznéj odległości od wibratora. Te i tym podobne doświadczenia przekonały obserwatora, że elektryczność w przyrodzie jest ruchem falistym, nie mającym żadnych przeszkód w swém rozchodzeniu się, jakiemi są np. mury, ściany i t. p.

Rzecz jasna, że doświadczenia te położyły podstawę dla dalszych badań skonstatowanych zjawisk, które z kolei doprowadziły do zbudowania telegrafu bez drutów.

Poprzestając na tém teoretyczném wyjaśnieniu kwestyi, przechodzimy z kolei do drugiego wielkiego wynalazku, a mianowicie zbudo-

wania przez rodaka naszego, Jana Szczepanika, aparatu, służącego do przesyłania obrazów na odległość, t. j. tak zwanego telektroskopu.

Od czasu, jak w Ameryce zbudowany został pierwszy telefon, od czasu, jak człowiek był w stanie przesyłać na znaczne odległości drgania głosowe, wynalazcy wszystkich krajów i narodów zaczęli myśléć o budowie aparatu, który byłby tém dla światła, czém dla dźwięku jest telefon. Pojawiały się w czasopismach wiadomości o wynalezieniu różnych telefonów, fototelegrafu i innych tego rodzaju przyrządów, ale po upływie pewnego czasu tak sam aparat, jak i nazwisko wynalazcy, były uważane za płód fantazyi reporterów i skazywane na zapomnienie.

Z tego powodu pierwsza podana przez niektóre pisma wiadomość o wynalezieniu przez polaka, Jana Szczepanika, nowego telektroskopu przyjęta została z początku z pewną nieufnością. Okazało się jednak niebawem, że chodzi tu o sprawę bardzo poważną. Pisma naukowe zagraniczne podawać zaczęły różne szczegóły i rysunki, odnoszące się do téj kwestyi, i nakoniec ogłoszoném zostało, że departament handlu i przemysłu ministerym finansów w Petersburgu wydał J. Szczepanikowi i L. Kleinbergowi (bankierowi wiedeńskiemu, który dostarczał Szczepanikowi potrzebnych środków) przywilej na wynaleziony przez pierwszego z nich sposób mechanicznego przesyłania obrazów na odległość. Okazało się tedy, że telektroskop Szczepanika nie jest czczą chimerą, fantazyą efemeryczną, ale faktem rzeczywistym.

Telektroskop Szczepanika składa się z dwóch aparatów, zupełnie różniących się między sobą, z którychjeden znajduje się na stacyi wysyłającéj, drugi—na stacyi odbierającéj, czyli stacyi przeznaczenia. Działanie tych dwóch aparatów polega na rozłożeniu przesyłanego obrazu na oddzielne punkty, na przekształceniu tych punktów w prąd, ciągle zmieniający swoją siłę stosownie do siły zabarwienia świetlnego każdego punktu oddzielnie, i na nadzwyczaj szybkiém odtworzeniu z tych oddzielnych punktów całego obrazu. Podobna reprodukcya możliwa jest wtedy, kiedy szybkość jéj będzie taka, iż nie pozwoli oku ludzkiemu zauważyć oddzielnego pojawiania się jednego punktu za drugim, przedstawiając cały obraz prawie odrazu.

Wszelki przedmiot, żywy czy martwy, który chcemy przesłać za pomocą telektroskopu, odrzucany bywa przy pomocy szkieł optycznych na zwierciadło, znajdujące się przy przedniéj ściance aparatu. To ostatnie, umocowane na osi i wprawiane w ruch wahadłowy około swojéj osi za pomocą elektromagnesu, pokryte jest na całéj powierzchni czarną farbą, nieprzenikliwą dla światła, i tylko jedna linia, idąca w kierunku osi, pozostaje niepokryta i odbija padające promienie.

Podczas wahania się zwierciadła kołysze się ciągle kąt, jaki toż zwierciadło tworzy z płaszczyzną obrazu, i dlatego na linię zwierciadła dostają się jedna za drugą wszystkie linie obrazu. Ponieważ linia zwierciadła nie zmienia swego położenia w przestrzeni, to wszystkie linie obrazu odrzucane są przez nią w jedno i to samo miejsce, na jednę i tę samą linię, znajdującą się na tylnéj ściance aparatu.

Na téj linii przymocowana jest oś drugiego zwierciadła, przygotowanego w zupełnie taki sam sposób, jak pierwsze, ale różniącego się od niego tém, że kierunek linii zwierciadła nie schodzi się z kierunkiem osi, lecz nachylony jest do niego pod kątem prostym; wskutek tego z całéj téj linii, którą w jakiéjkolwiek chwili pierwsze zwierciadło odrzuci na drugie, tylko jeden punkt padnie na powierzchnię zwierciadła i odbije się od niéj; wszystkie pozostałe punkty padną na warstwę czarnéj nieprzenikliwéj farby i zostaną przez nią pochłonięte. Ale i to drugie zwierciadło wprawiane zostaje w ruch wahadłowy około osi przez taki sam elektromagnes, jak i pierwsze, tylko z szybszemi przerwami, to drugie zwierciadło zwolna odbije od siebie z kolei wszystkie punkty obrazu. Oś zwierciadła drugiego nie zmienia swego położenia w przestrzeni, i wszystkie punkty, na które rozkłada się obraz w drugiém zwierciadle, będą przez toż zwierciadło odbite na jeden i ten sam punkt, znajdujący się na górnéj ściance aparatu.

Na tym punkcie, przez który przechodzą zwolna wszystkie punkty obrazu, przymocowany jest kawałek selenu.

Selen, nieodróżniający się żadnemi szczególnemi zaletami pod względem chemicznym, posiada jednocześnie zadziwiającą własność fizyczną, iż zmienia swoje przewodnictwo elektryczne w zależności od siły padającego nań światła. Kiedy jest ciemny (nie oświecony), prąd prawie zupełnie nie może przezeń przechodzić; a im więcéj promieni pada na selen, tém prąd przechodzi swobodniéj.

Ponieważ selen, przeniesiony z jasnego (oświetlonego) pomieszczenia do ciemnego, nie odrazu zmienia swoje przewodnictwo, ale potrzebuje na to pewnego czasu, co byłoby szkodliwe dla dokładnéj reprodukcyi obrazu, to niedogodność tę usuwa Szczepanik za pomocą bardzo dowcipnego przyrządu. Nadaje on selenowi kształt pierścienia, wprawianego w szybki ruch za pomocą mechanizmu zegarowego. Co chwila inny punkt pierścienia selenowego atakowany jest przez punkta świetlne obrazu, i dla tego prąd idący po linii kołysze się w swojéj sile, zupełnie odpowiednio do siły światła i koloru każdego oddzielnego punktu obrazu.

Taki jest aparat odbierający. Przesyłany obraz rozłożony jest na punkty i przedstawiony przez prąd, ciągle zmieniający swoją siłę.

Zobaczmy teraz, jak pomieniony odbieralnik reprodukuje z tych kołysań elektrycznych pełny obraz.

Na górnéj jego ściance przymocowane jest jakiekolwiek źródło światła, np. lampka elektryczna, nie pozostająca w żadnéj zależności od prądu, który wychodzi ze stacyi wysyłającéj. Źródło to z dwóch stron zakryte jest dwoma ekranami, w których zrobione są dwa maleńkie otworki (po jednym w każdym). Ekraniki te wprowadzane są w szczególnego rodzaju ruch wahadłowy, którego udziela ciągle kołyszący się prąd, idący ze stacyi wysyłającéj. Wiązka promieni światła, wychodzących z pomienionego źródła, pada na szkło podwójnie wypukłe, które zbiera pojedyńcze promienie i daje w swojém ognisku punkt świecący.

W ognisku szkła podwójnie wypukłego pomieszczone jest zwierciadło, podobne do drugiego zwierciadła stacyi wysyłającéj. Składa się ono z oddzielnych punktów linii, które odbija na drugie zwierciadło, odpowiadająee pierwszemu zwierciadłu stacyi wysyłającéj. To ostatnie składa z oddzielnych linii cały obraz, który przedstawia nam na matowém szkle, znajdującém się na przedniéj ściance aparatu.

Ta reprodukcya, powstała z odzielnych punktów całego obrazu, trwa nie więcéj nad $1/_{10}$ sekundy, a oko nie może otrzymać wrażenia zjawisk świetlnych, trwających mniéj niż $1/_5$ do $1/_7$ sekundy; wskutek tego jasną jest rzeczą, że nie możemy widziéć stopniowego pojawiania się pojedyńczych punktów i linii, ale cały obraz odrazu.

Taką jest teorya telektroskopów wogóle, a w szczególności telektroskopu Szczepanika, posiłkującego się jeszcze przy użyciu aparatu dwoma pryzmatami, z których jeden, na stacyi wysyłającéj, rozkłada wszystkie barwy na pojedyńcze; drugi, na stacyi odbiérającéj, odtwarza z barw pojedyńczych barwy złożone.

Jak działają te pryzmaty? tego nie wie nikt, chyba sam wynalazca, jak się dowcipnie wyraził jeden ze sprawozdawców.

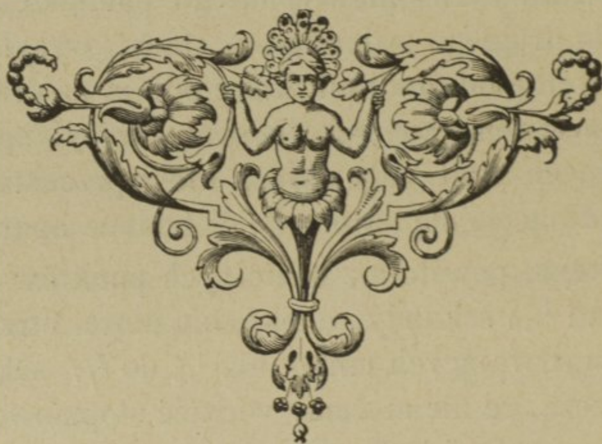
Nadmieniamy przy téj sposobności, że większa część sprawozdań o tym wielkim wynalazku naszego rodaka zredagowana jest już to ciemno, niezrozumiale, już niedorzecznie tak, że niewiadomo co wybrać z téj powodzi opisów.

Według sprawozdań pism wiedeńskich, próby zastosowania telektroskopu Szczepanika do przesyłania obrazów na odległość były wykonane w Wiedniu w obecności uczonych specyalistów i w Paryżu

w obecności specyalnego komitetu wystawy powszechnéj r. 1900. Próby te dały świetne rezultaty. Jedyną wadą tego nowego wynalazku jest pewne kołysanie się obrazu na szkle matowém odbieralnika, przypominające kołysanie się obrazów kinematografu. Odległość, na jaką działa telektroskop, ma być taka, jak przy telefonach.

Można się spodziewać, że w krótkim czasie z takąż samą łatwością będziemy widziéć na znaczną odległość, z jaką obecnie możemy słyszéć i rozmawiać.

T. Skomorowski.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Dzieje narodu polskiego“, wykład popularny na podstawie ostatnich badań naukowych z przedmową *Władysława Smoleńskiego*. (Biblioteka dzieł wyborowych: N. 52, 53, 54, 58). Tom I—IV. Warszawa, 1898.

Prawdziwą usługę oddali nam kierownicy wydawnictwa „Biblioteki dzieł wyborowych”, wybiérając do popularyzowania wśród szerszych warstw ludności niniejszą pracę. Myśl to ze wszech miar chwalebna, choćby z tego względu, iż w literaturze naszéj brak właśnie tego rodzaju dziełka, przystępnego tak ze względu na cenę, jak i sposób traktowania przedmiotu; tém bardziéj, iż jest to kompendyum dziejów naszych od czasów najdawniejszych do chwili niemal obecnéj. W przedmowie pióra znanego historyka, Władysława Smoleńskiego, szanowny autor „Przewrotu umysłowego w Polsce w w. XVIII” zaznacza cel i metodę niniejszego podręcznika. „Autor odrzucił materyał anegdotyczny i pominął to wszystko, co nie ma związku z tematem wykładu naukowego”;—powiada tu p. Smoleński—„podjął zaś zadanie przedstawienia nie tylko dziejów politycznych, lecz i zmian, jakich w kolei czasu doświadczył ustrój państwowy i społeczny, t. j. tego, co pospolicie nazywają historyą stosunków wewnętrznych”. Przedstawienie wewnętrznego rozwoju narodu i państwa w popularnym podręczniku jest rzeczą nader pożądaną, gdyż właśnie ta strona dziejów była tam zwykle pomijana milczeniem, a rozwodzono się natomiast zbyt szeroko o stosunkach polityki zagranicznéj, tak, iż przy tego rodzaju traktowaniu przedmiotu historya, jak to często daje się słyszéć z ust socyologów, prze-

staje być historyą, a staje się biografią wielkich ludzi. Wprowadzenie do wykładu dziejów znamienniejszych rysów ewolucyi prawno-państwowéj jest najświetniejszą zdobyczą nauki o społeczeństwie w ostatnich dziesiątkach lat.

Nie zapomniał o tém autor „Dziejów narodu polskiego" i poświęcił stosunkom wewnętrznym względnie dużo miejsca, szczególniéj w pierwszych dwóch tomach swéj pracy. Nie bawiąc się w podział na okresy, który zawsze był kamieniem obrazy dla jednych historyków, kością niezgody dla innych, o czém możemy się dowodnie przekonać chociażby ze wstępu do „Dziejów Polski" Bobrzyńskiego, autor odrazu przystępuje do wykładu, podzieliwszy treść, zawartą w I tomie na 4 rożdziały: I—„Słowiańszczyzna"; II—„Kształtowanie się państwa polskiego monarchicznego"; III—„Upadek władzy monarchicznéj" i IV—„Kształtowanie się rzeczypospolitéj szlacheckiéj". II i III z tych rożdziałów w myśl zasady, zaznaczonéj we wstępie, składają się z dwóch części: w pierwszéj z nich autor podaje krótki rys historyi politycznéj narodu w danéj epoce, w drugiéj—rzuca szkic ustroju społecznego i instytucyi społeczno-politycznych jako to: władzy królewskiéj, klasy urzędników, oddzielnych stanów i t. d. Podział ten nie jest już wytrzymany w IV rozdziale, chociaż traktuje on o stopniowym wzroście szlachty, jako przeważającego pierwiastku w życiu polityczném Polski od Władysława Łokietka do Stefana Batorego; ogranicza się autor tylko na wymienieniu w spisie rzeczy główniejszych ustaw i konstytucyi, na których ugruntowała się polityczna potęga narodu szlacheckiego, od uchwały koszyckiéj do ustanowienia trybunałów. Wprawdzie wskazane tu są stronice tomu, gdzie można znaleźć rzecz o tych znamiennych faktach z historyi naszego parlamentaryzmu, ale to nie wystarcza. Należało dzieje instytucyi przedstawicielskich postawić oddzielnie, by ułatwić tak samoukowi, jak i pedagogowi, możność łatwiejszego oryentowania się w historyi rozwoju rzeczypospolitéj szlacheckiéj XVII wieku.

W następnym tomie widzimy tę rzeczpospolitę już ukonstytuowaną. Dwa rożdziały tego tomu obejmują: V—„Organizacyą Rzeczypospolitéj szlacheckiéj" i VI—„Rządy stanów Rzeczypospolitéj". Pierwszy z nich jest wielce pożyteczny i po części wynagradza braki poprzedniego: znajdujemy tu zupełny i wszechstronny obraz stanu wewnętrznego Polski z wieku XVII—XVIII. Więc podział Rzeczypospolitéj na prowincye i województwa, więc atrybucye króla, stanu senatorskiego i sejmu, więc poczet urzędników, stan duchowieństwa, mieszczaństwa, żydów, więc wreszcie sądownictwo, wojsko i skarb. Powtarzamy, rożdział ten jest wielce pożyteczny, tak dlatego, iż w innych podręczni-

kach kwestye te zaledwie są zaznaczone i to w chaotycznéj spójni ze sprawami polityki zewnętrznéj, jak i z tego względu, iż, jak słusznie zauważył p. Smoleński w przedmowie, „tylko dokładne przestudyowanie jego da możność zrozumienia stosunków wieku XVII i XVIII".

Szkoda, iż autor w następnych tomach nie poszedł tym samym torem i stosunków wewnętrznych nie uwzględnił. Tom III np. zawiera jeden tylko rożdział: „Próby reform i upadek Rzeczypospolitéj". Jest to historya polityczna Augusta III (na 30 stronicach) Stanisława Augusta Poniatowskiego (na 160—pozostała część tomu). Widzimy więc, iż III tom stanowi monografię epoki, „prób reform i upadku" państwa, monografię wprawdzie umiejętnie bardzo napisaną, z wielkim zapasem erudycyi, ciekawą i zajmującą. ale jak na podręcznik, może zbyt obszerną i drobiazgową. Przytém dzieje wewnętrzne, wbrew metodzie, przyjętéj w poprzednim wykładzie, autor włącza w ogólny wykład panowania: jest tu przeobrażenie poglądów i umysłowości polskiéj w drugiéj połowie XVIII w., rozwój szkolnictwa, wzrost przemysłu i handlu, dane statystyczno-ekonomiczne i t. d.

IV tom „Dziejów" jest prawdziwie cennym nabytkiem w naszéj literaturze historycznéj. Oddawna czekaliśmy już na treściwy rys stulecia naszych dziejów porozbiorowych, które znaliśmy tylko częściowo, z pamiętników i monografii, odznaczających się zawsze pewném zabarwieniem partyjném. Praca więc niniejsza zapełnia poważną lukę w naszém piśmiennictwie i oddać może niepospolite usługi, tém bardziéj, że czas już przedmiotowo spojrzéć na ubiegłe stulecie naszych dziejów. „Czasy porozbiorowe" w naszém dziele malują nam stan prowincyi polskich, historyę Księstwa Warszawskiego i Królestwa kongresowego, oraz dzieje ruchów rewolucyjnych od 1830 — 1863 roku. Kończą się „Dzieje" mniéj więcéj na siódmym dziesiątku lat XIX stulecia; szkoda, że ostatnia ćwierć wieku nie mogła być uwzględnioną. Ale i bez tego tom ten, podając materyał historyczny, krytycznie sprawdzony, może wyrugować wiele mylnych sądów i mniemań co do ostatnich wypadków z naszéj historyi. Stanu wewnętrznego w tym tomie autor nie uwzględnił, zapewne z tego powodu, iż w każdéj z trzech dzielnic życie polityczne toczyło się inném korytem.

W końcu tego tomu autor podaje „Literaturę historyczną" t. j. wykaz główniejszych opracowań, tyczących się naszych dziejów, tak ogólnych, jak i specyalnych monografii, wreszcie, „indeks osobowy" i „miejscowości" w porządku alfabetycznym. Ilustrują również wykład mapy historyczne (w I tomie jest ich 5, w II, III i IV—po jednéj), oraz tablice genealogiczne. Tych ostatnich w I tomie znajdujemy 9,

w II—3, w III—również 3: „familii" Czartoryskich, Poniatowskich i Potockich, w IV wreszcie—jednę: Zamojskich. Szkoda tylko, iż mapki nie są staranniéj i wykwintniéj odrobione.

W całéj pracy znać wielką erudycyę, obejmującą najnowsze zdobycze nauki, i umiejętne z nich korzystanie, wykład żywy i jasny, przystępny i zrozumiały, co wszystko razem wzięte nadaje dziełu wartość niemałą w nauczaniu dziejów. Żałować tylko należy, iż autor nie zwrócił baczniejszéj uwagi na wymagania pedagogii względem wszelkiego rodzaju podręczników; starał się on, jak powiada p. Smoleński w przedmowie, „skonstruować całość dziejową spoistą, według pomysłów metodycznych, odpowiadających potrzebom dydaktycznym"; ale wysuwając na pierwszy plan ową „spoistość", nie uczynił zadość wszystkim „potrzebom dydaktycznym". Podzieliwszy np. całość dziejów na wielkie działy, wyżéj wymienione, a obejmujące czasem całe tomy, nie postarał się o dalszy podział na panowania, ustępy i paragrafy. Ucierpiałaby na tem wprawdzie ciągłość wykładu, ale zyskałoby się na wartości pedagogicznéj. Wszak pamięć ucznia musi się na czémkolwiek zatrzymać, chociażby na tytule rozdziału czy paragrafu, z którym kojarzą się wyobrażenia, połączone z jego treścią; a i pedagogowi łatwiéj się oryentować w wyborze materyału, potrzebnego mu do wykładu, gdy widzi go ograniczonym w sferze jakiegoś ważnego wypadku historycznego, panowania, czy strony życia społeczno-politycznego.

Nie będziemy wyszukiwać poszczególnych błędów i usterek, zostawiając to fachowéj krytyce. Zaznaczymy tylko jedno, zaraz na pierwszéj stronicy „Dziejów", rzucające się w oczy przeoczenie. Mówi tu autor, iż język Słowian „należy do rodziny języków, powstałych z sanskrytu" (Tom I, str. 11); otóż wszystkie języki aryjskie, a między innemi i słowiański, powstały wprawdzie z jednego pnia, ale nie z sanskrytu, który jest tylko najstarszą odnogą drzewa genealogicznego języków aryjskich, ale z domniemanego języka praaryjskiego, którego formy językowe możemy wskrzesić, porównywając pomiędzy sobą wszystkie języki aryjskie, a między innemi i sanskryt. Żałować również należy, iż autor, znowu zapewne w celach „spoistości", trzymał się porządku chronologicznego i nie wysunął z ogólnego tła dziejów takich przełomowych objawów życia narodowego, jak reformacya, reakcya katolicka lub ruch polityczno-filozoficzny z drugiéj połowy XVIII w., włączając poszczególne objawy tych ruchów w ogólny ciąg dziejów, przez co nie występują one dla czytelnika z dostateczną wypukłością.

Zaznacza p. Smoleński w przedmowie, iż autor niniejszego dzieła „nie okazuje predylekcyi do pewnych kierunków historyozoficznych;

nie wyrokuje o przeszłości ze stanowiska jakiejkolwiek doktryny politycznéj, społecznéj lub religijnéj: ogranicza się na samém konstatowaniu faktów, które poczytał za niezbędne do odtworzenia procesu dziejowego, usiłował być objektywnym w przeświadczeniu, że z nauką nie godzi się kojarzyć jakichkolwiek celów ubocznych". To też owa ścisła objektywność, cofająca się przed używaniem historyi za narzędzie do szerzenia takich lub innych przekonań lub poglądów, to wybitna cecha naszego podręcznika. Autor podaje nam materyał dziejowy w formie skończonéj, dogmatycznéj, nie wdając się w żadne polemiki, ani przycinki pod adresem stronników przeciwnego obozu historycznego czy politycznego; unika starannie wszelkiéj dydaktyki, wszelkich uwag moralizatorskich na temat ludzi dawno zmarłych, lub wypadków, które się już odrobić nie dadzą.

W téj skrupulatności dochodzi autor do tego, iż powstrzymuje się nawet z wypowiadaniem sądów i ocen co do osób historycznych i ich działalności politycznéj; zrzadka tylko daje nam krótkie charakterystyki dziejowych jednostek, i to zupełnie przedmiotowo. To samo można powiedziéć co do sposobu przedstawiania epok, prądów, kierunków i całych warstw politycznych; i tu téż autor nie wychodzi po za granice ścisłéj przedmiotowości, o ile tylko osiągnięcie takiéj przedmiotowości jest możliwém dla każdego historyka, którego „ja" czasem mimowoli może się zdradzić ze swemi upodobaniami. Jednèm słowem— niéma w téj książce tego, co zarzuca nasz autor Bobrzyńskiemu, mówiąc, że „jego Dzieje Polski w zarysie dają same poglądy bez podkładu faktycznego" i dla tego, mogą być czytane bez szkody tylko przez ludzi, dobrze obeznanych z przeszłością i mających wyrobiony sąd w sprawach politycznych".

Być może, iż znajdą się tacy, co będą naszemu historykowi za grzech poczytywać tę jego przedmiotowość w traktowaniu naszéj przeszłości. My jednak przeciwnie, skłonni jesteśmy miéć mu to za zasługę. Po sielankowym idealizmie jednych, po rozpaczliwych jeremiadach nad zmarnowaną przeszłością u innych autorów, przyszła koléj na beznamiętne, krytyczne obejrzenie się po za siebie, na rozważenie ubiegłych wypadków trzeźwo, *sine ira et studio*, bez zbytniego optymizmu, ale i bez gorzkiego pesymizmu. Należy się więc autorowi wdzięczność za przedmiotowy podręcznik dziejów ojczystych, a wydawcom „Biblioteki dzieł wyborowych" za jego rozpowszechnienie.

H. Galle.

Gaudeamus! Pieśni wędrownego grajka. Z Rudolfa Baumbacha, Wiktora Scheffla i Juliusza Wolffa przełożyli Czesław Jankowski, Julian Łętowski, Wład. Nawrocki, Andrzéj Niemojewski i Włodzimierz Zagórski. Warszawa, 1899 r., in 16-o str. 107.

Zdawałoby się, że po zejściu z widowni tytanów poezyi niemieckiéj: Goethego, Schillera i Heinego zamilkła i muza germańska... tak cicho dziś o niéj między nami. Nie zamilkła, żyje wciąż, lecz oczy nasze, olśnione blaskiem wielkiéj epoki poprzedniéj, nie widziały, czy też nie chciały widziéć, co się działo w ostatniéj dobie — przed kilku i kilkunastu laty. Poprzednia epoka znana jest naszemu ogółowi z licznych przekładów; autorów nowéj tłómaczono bardzo mało. Zresztą nasi poeci ostatnich czasów zwracali się więcéj do liryki francuskiéj oraz belgijskiéj i na jéj wzór subtylizowali—czasem aż do chorobliwości—psychiczne momenty i poruszenia.

Verlaine, Heredia, Maeterlinck i inni mają dla nich więcéj powabu, niż naprzykład Baumbach, albo jowialny Scheffel, którego lutnia przeżyła śpiewaka i wesołym brzękiem, szczerym śmiechem, żartem i humorem porywa ciężkich mieszkańców Germanii, z trudem trawiących ironię i sarkazm Heinego i licznych jego naśladowców. Natomiast o tak wybitnych pisarzach, jak Bodenstedt, Greif (Hermann Frey), Wolff, Geibel, Reiniek, i o całym zastępie innych dużych talentów wiemy bardzo niewiele. To téż z przyjemnością witamy pojawienie się w naszéj literaturze takiego zbioru, jak „*Gaudeamus*".

Pod tym tytułem wyszedł niedawno z pod prasy drukarskiéj zbiorek przekładów z Rudolfa Baumbacha [1]), Wiktora Scheffla [2]) i Juliusza Wolffa [3]). Książka ta, podzielona na pięć działów, stanowi, pomimo

---

[1]) Urodził się w Kranichfeld (S.-Meiningen) w roku 1842. Po odbyciu studyów przyrodniczych podróżował aż do roku 1870, kiedy osiadł na stałe w Tryeście. Stąd w roku 1885 przeniósł się do Meiningen. Wydał: „*Irlatorog*" (poemat); zbiorki drobnych utworów: *Lieder eines fahrenden Gesellen; Neue Lieder e. f. G. Abenteuer und Schwänke; Spielmanslieder; Mein Frühjahr; Von der Landstrasse; Wanderlieder aus den Alpen; Krug und Tintenfass; Tühringer Lieder.*

[2]) Józef Wiktor Scheffel urodził się w Karlsruhe w roku 1826. Na uniwersytetach Heidelbergskim, Monachijskim i Berlińskim studyował prawo. W 1872 r. osiadł w Radolfszell nad jeziorem Konstancyeńskiém. Zmarł w 1886 r. w Karlsruhe. Najwybitniejsze utwory: *Trompeter von Säckingen; Frau Aventiure; Gaudeamus; Bergpsalmen; Waldeinsamkeit.*

[3]) Urodził się w r. 1834 w Quedlinburgu, Studyował w Berlinie filozofię i dyplomacyę. W 1869 r. założył pismo „*Harz-Zeitung*", poczem osiadł w Berlinie, gdzie dotychczas zajmuje się pracą literacką. Wydał: *Aus dem Felde; Singuf, Rattenfängerlieder*; poematy: *Till Eulenspiegel redivivus; Der Rattenfänger von Hameln; Der wilde Jäger; Die Pappenheimer; Tannhäuser; Lurlei; Renata; der Fliegende Hollender.*

różnorodnéj treści drobnych utworów, całość, związaną dewizą Marcina Lutra, przytoczoną, jako motto: „*Wer nicht liebt: Weib, Wein und Gesang*” i t. d. Otóż po prologu i paru wierszach „Z kopalnego Romansero” następują odpowiednie działy, poświęcone kobiecie, winu i pieśni, a na końcu jeszcze jeden, pod tytułem „...i znów kobiéta”, mówiący nam, że jest ona alfą i omegą w życiu wędrownego grajka, który z pomiędzy kart książki ukazuje nam ciągle swoją pociągającą, junacką postać i twarz często wesołą, czasem przez łzy uśmiechniętą, a nieraz smutną i poważnie zamyśloną. Nie jest to dawny rycerz pieśni z czasów średniowiecznych, o wielkiém sercu, jak pochodnia gorejącém wielką miłością do wzniosłego ideału, do którego szedł przez ciernie i któremu był wierny przez całe życie, a nawet po śmierci — ale żywy, więcéj pokrewny naszym artystom, człowiek, na jutro niebaczny, w piersiach noszący głownię — nie serce, a na tarczy, jak mówi w prologu Baumbach, taką dewizę:

„Gorąca krew, wesoła myśl,
Co przeszło raz — z regestru kréśl“.

Bez troski idzie grajek w obce strony, by zdobywać serca i szukać wrażeń. W wierszu Baumbacha, pod tytułem: „Na obczyźnie”, powiada:

„Gdy w daleki pójdę kraj,
W obce grody, sioła,
To mi życie! To mi raj!“

I wędruje grajek w świat daleki, nie oglądając się po za siebie. Gdy zapylony stanie na wieczór u wrót gospody, czeka go pełny puhar, co myśl rozwesela, czeka go słodkie dziewczę, która po odejściu śpiewaka często rachunek ze drzwi fartuszkiem ściéra.

Kobiéty bohaterki pieśni i piosenek, zawartych w zbiorku, pochodzą z różnych sfer — królowa, przeorysza, albo dziewczyna z oberży, nalewająca pieśniarzowi wino do kielicha — lecz wszystkie one, o czém zresztą już wiemy z dwuwiersza Byrona:

„W rzeczach miłości największa królowa
Jest tyle warta, co i pokojowa“,

mają jednakowe serce, którego utrzymać na wodzy nie umieją. Wszystkie kochają namiętnie, szczerze, lecz krótko. Niéma tu wzdychań do kochanka, przybywającego z kraju snów letniéj nocy miesięcznéj, z kwiecistych pól dziewiczéj wyobraźni — tu niéma snów, ani nerwowéj chorobliwéj tęsknoty, tutaj jest życie, płynące gorącą falą, tutaj uczucie różami na twarze wykwita, bo w sercach płynie krew żywa, a tęsknota rodzi się tylko z rozstania.

Piosenki, głoszące chwałę winu, wrą życiem, burszostwem i junactwem, lecz niéma w nich przesytu —jest tylko lekko wesoły nastrój satyra z plączącemi się nieco nogami i skrzywionym nieco na bakier wieńcem winogradu na głowie.

Pod koniec książki gasną iskry podniecanego winem humoru, gaśnie uśmiech życia; śpiew wesoły milknie i lutnia pieśniarzy minorowo brząkać zaczyna. „Zmierzch wieczorny blisko" Baumbacha ma w sobie wiele melancholii. Wiersz „Ślę moje oczy stęsknione" Wolffa nosi znamię prawdziwéj tęsknoty, dla któréj niéma wyjścia, bo choć zna ona dróg tysiące, lecz „nie połączy dusz". Wiersz „Wysłuchaj mnie! tak smutno mi! tak ciemno!"—tegoż autora w przekładzie Nawrockiego wybucha głośną skargą i żalem, że znikł spokój z duszy śpiewaka. I nie wie on, co uczyniła z nim ta, która jest przedmiotem jego pragnień, jego tęsknoty. I wzywa tę „błogosławioną" i obiecuje wznieść ją do gwiazd „w szczęścia śnie", jeśli go tylko wysłucha. Daléj idzie pełna smutku i rezygnacyi prześliczna „Pieśń Wernera" (z poematu „Trębacz z Säckingen") Scheffla, w któréj każda zwrotka kończy się znanym w całych Niemczech refrenem:

„Bóg z tobą! raj to, raj byłby na ziemi,
Bóg z tobą, dziewczę, los inaczéj chciał".

Ostatnia strofa z włoskiego obrazka Scheffla, smutna, jak odblask zorzy wieczornéj po dniu pogodnym, stanowi epilog książki. Jest w nim żal za młodością i życiem, żal za niebem italskiém, ku któremu tak silnie ciążą wszyscy poeci niemieccy, zaczynając od przedstawicieli romantyzmu. W końcu opuszcza śpiewak na piersi zmęczoną głowę i, czując się bliskim progu wieczności, mówi z żalem, że „kości wędrowca niedługo już zbieleją i mchem porośnie grób nad niemi". Jest w tém naturalny smutek, w niczém nie dający się porównać do mniéj lub więcéj szczerych pesymistycznych narzekań. Tutaj powodem niezadowolenia jest pragnienie życia, tam życie bywa ciężarem, a owocem jego—przedmiot westchnień liryków —nirwana.

Etyka miałaby wiele do zarzucenia niektorym typom, odmalowanym w „pieśniach wędrownego grajka". Tak naprzykład „Przebiegły Opat" Baumbacha mógłby być pociągniętym do odpowiedzialności za to, że niektórzy mnichowie zostali „zawiani", senat, stary pedel i studenci—za pijaństwo w złotéj zgodzie; przeorysza z Wendhusen Wolffa—za naukę łaciny wraz z posłem od opata Jana z Michelstajnu. Antorowie jednak, a za nimi i niejeden czytelnik, nie czują do nich odrazy, bo w ich grzechach jest jakaś wesoła sympatyczna nuta, zawsze mówiąca o szczęściu. Tutaj się czuje, że występek wobec reguły nie jest jeszcze

śmiertelnym grzechem wobec życia. Zresztą nasi autorowie dalecy są wogóle od tendencyi moralnéj. Kochają oni życie tak „*in natura*", jak nauczył ich kochać duch wielkiego poganina z Weimaru, i malują go takiém, jakiém jest, jakiém byćby mogło, lecz nie takiém, jakiém być powinno. Z życia czerpią materyał dla poezyi, potęgując wyraz charakteru i piękna—stosownie do zadań sztuki. To też przebiegłemu opatowi wybaczają winę za pomysł, jakim wywiódł w pole celnika, przeoryszy za „ciemne oko, ciemną brew", za wzrok, co, nakształt noża, serce przeszywał, darują naukę łaciny, jak niegdyś w kraju muz i laurów darowano pięknéj Fryne z Eleusis gorsze jeszcze winy — za piękność.

Przeważna część piosenek w „*Gaudeamus*" należy do Baumbacha. Cechują go: optymizm, zdrowie, prostota, połączona z wielkim artyzmem, lekki humor i świeżość, którą Hammerling porównywa do młodéj zieleni rozwiniętych świeżo pączków na drzewie.

Zostało nam jeszcze dorzucić kilka słów o przekładach. Oprócz niektórych utworów, przełożonych przez Łętowskiego dość szorstko i niezgrabnie, reszta jest bardzo dobra. Najpiękniejszemi są przekłady Czesława Jankowskiego i Nawrockiego. Cechą pierwszego — klasyczna czystość wiersza, drugi ma w swoich strofach nadzwyczajny wdzięk i muzykę, przy bardzo prostym doborze słów, co jednak pozwala mu prawie dosłownie trzymać się formy i treści oryginału. Niemojewski dał do zbiorku tylko krótką lecz po mistrzowsku przełożoną „Hulankę" z Baumbacha.

K. Gr.

Michał Bałucki: „Zamki na lodzie". (Powieść z naszych czasów. Petersburg. Nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego, 1898, str. 327).

Szaro przedstawia się świat w powieściach Bałuckiego, pisanych na tle społecznéem. Arystokracya — spróchniała, szlachta ulegająca rozkładowi, a lud, ten lud ukochany—pozbawiony odrobiny jakichkolwiek uczuć i miłości, którego myśli obracają się około jednego tylko słowa: pieniądz. Nawet pobożność tego ludu—mówi autor, jest handlem zamiennym ze Stwórcą...

W dawniejszych utworach swoich ośmiészał Bałucki drobne mieszczaństwo; lecz był to śmiech pobłażliwy, choć bynajmniéj nie subtelny, gdyż humor autora, polegając przeważnie na konceptach, jest rubaszny. Inne powieści były gryzącą arystokracyę satyrą. Dziś zstępuje autor do niższych warstw, wykazując ich strony ujemne.

Pomijając ten „zgrzyt żelaza po szkle" na niekorzyść ludu (str. 70), zgrzyt pełen niechęci, p rzesadny i niezrozumiały,—a bezpośrednio ważnéj roli w powieści nie odgrywający,—wypada mi zapoznać czytelnika z treścią omawianego utworu.

Rzecz dzieje się—jak zwykle u Bałuckiego—w Krakowie i jego okolicy. Szlachecka rodzina Kalińskich, z czworga osób złożona, „budując zamki na lodzie", oddaje się różowym złudzeniom na przyszłość, a tymczasowy ciężar istnienia zwala na głowę rodziny, który w określeniu autora (niedobierającego zresztą porównań) zwie się „wołem roboczym". Jego obowiązkiem jest zaspakajać liczne potrzeby żony, córki i syna.

Syn, słuchacz praw, kształci się łata całe, lecz o zarobku z jego strony mowy być nie może. Nadzieja jego—w bogatém zamążpójściu siostry, zupełnie przekonanéj o takiém zakończeniu swego panieństwa. Matka ma jeszcze nadzieję wygrania na loteryi, lub — świetnéj partyi, jaką jéj syn winien zrobić...

Przypadek zdarzył—do domu Kalińskich zawitał młody i bogaty hrabia, a oczarowany pięknością Ireny, ponawia odwiedziny. Panna mu sprzyja, pozwala zbyt łatwo na uściski i pocałunki, których matka jej stara się nie spostrzegać, czekając z bijącém sercem chwili oświadczyn ze strony hrabiego, będąc ich pewna, również jak Irena i jéj brat, Karol. Nawet stary Kaliński daje się przekonać, że hrabia stanowczo poślubi jego córkę.

Jeden tylko czytelnik — uprzedzony tytułem powieści — nie ma złudzeń. Hrabia spostrzegłszy, że Kalińscy liczą na małżeństwo, opuszcza ich dom gościnny na zawsze, bez słowa pożegnania.

Takie zakończenie dał autor tym pierwszym zamkom na lodzie (będzie ich jeszcze kilka) rozmyślanie, aż nadto niechętny swym bohaterom.

Głucha cisza zapanowała we dworze Kalińskich. Wśród niéj występuje na widownię działań — Karol. Pełen dobrych myśli, podejmuje wyprawę po złote runo, lecz zgrawszy się w Monaco, powraca do wsi w nędzy. Nie chcąc martwić rodziców swym opłakanym widokiem, by zaspokoić pierwsze potrzeby, pożycza od karczmarza pieniędzy na sfałszowany weksel, który w niedalekiéj przyszłości przyprawi o śmierć starego Kalińskiego.

Pani Kalińska, zawiódłszy się na losach loteryjnych, (których miała pełną torebkę) wszelkiemi środkami zapobiega ruinie, lecz daremnie: z chwilą śmierci jéj męża nadszedł i upadek.

Wieś kupił żyd, niegdyś pachciarz Kalińskich.

Po têm bankructwie, matka z córką—syn w łeb sobie palnął—zjeżdżają do Krakowa, by tu ratować się za okruchy dawnego mienia... Irena jeszcze piękna—może wyjść za mąż, a matka — ona poprzestanie na małem...

W rzeczywistości Irena na zebraniach u ciotki swéj, hrabiny, podobała się ogólnie, zwróciwszy na siebie uwagę mężczyzn. Pewien niemłody baron oświadczył się o jéj rękę, lecz i tu los nienawistny nasuwa przeszkodę w nagłym obłędzie narzeczonego. Zepsuta Irena nie daję za wygranę: poślubi choćby szaleńca dla jego pieniędzy!... Ale przeszkodziła temu rodzina barona...

Runął i ten zamek złudzeń, jak runie jeszcze niejeden—drobniejszy, aż w końcu Irena, uboga i odarta z pięknych kształtów i rysów, osamotniona przez śmierć matki, żyć zacznie — z miłosierdzia drugich.

Biedna ona: los nie oszczędził jéj ani spotkania z hrabią, na którego niegdyś tak bardzo liczyła, los nasunął jéj na oczy i młodego lekarza, który „żywił do niéj bałwochwalczą cześć prawie", a którego odrzuciła, gdyż był synem chłopa... Słowem, ze wszystkich kątów los-prześladowca zdaje się wołać: zemsta ci!...

Tak straszny koniec zgotował autor bohaterom swéj powieści, wykazując ich zepsucie moralne, ich nizkie instynkty, mające źródło w próżniactwie i chęci używania.

Pomimo ich wady, niechęć osobista autora i przesada zbyt łatwo dają się zauważyć i zauwazyć; po ich usunięciu tło się rozjaśni, a ludzie przestaną rzucać tak przerażające cienie na swą biedną ziemię... Bo gdyby postaci powieści były uogólnieniem—ujrzelibyśmy przed sobą pustkę i zagładę, gdyż tam, gdzie szczeble spróchniałe, drabina nie runie z trzaskiem, ale stoczy się wolno, bezsilna W drabinie społecznéj przez Bałuckiego kreślonéj tylko drobne filisterskie mieszczaństwo jest szczeblem zdrowym; lecz nie mając warunków i mocy do poprawy lub podtrzymania innych klas — samo na nędzny i krótki żywot byłoby skazane...

Na szczęście — są to pesymizmu pełne „zamki na lodzie"...

Jest bezwątpienia wiele błota w każdém społeczeństwie, lecz wśród każdego i we wszystkich warstwach znajdzie się ogrom siły, zdrowia i cnót obywatelskich, któremi społeczeństwa stoją. I jeżeli zmienią się warunki bytu inteligencyi, wzmocnią się nerwy klas pracujących umysłowo; zdrowaoświata zmusi szare tłumy do podnioślejszego życia, u ludu przestanie być „komedyą"—jak się wyraża Bałucki.

Powyższą uwagę nasunie myśl każdemu czytelnikowi „Zamków na lodzie", które są niezaprzeczenie lekturą zajmującą—choć w szcze-

gółach nie nową — gdyż autor umiejętnie potrafi rozwinąć nić intrygi przy nadzwyczajnéj łatwości opowiadania.

Te zalety mają dość groźnych przeciwników w zaniedbaniu stylu i języka, na które autor zdaje się żadnéj nie zwracać uwagi, zapominanając, że utwory jego przy lepszém opracowaniu zyskałyby znacznie na wartości.

Takich uchybień jak: „...nie marudźcie po próżnicy, tylko marsz do piwnicy“ (str. 34) — „I nawet nie pożegnał się z nami — odezwała się Irena głosem przesiąkłym łzami“ (str. 83) — „Koń z nogami *obluzowanemi w zawiasach*“ — (str. 11) — „Był wygłodzony, *zmachany*“ (str. 17) — łatwo byłoby uniknąć autorowi utalentowanemu i nie od dziś dzierżącemu pióro.

L. Rutkowski.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

W szkołach zaczęły się lekcye. We wszystkich domach, w których spotkać się można z uczniem lub uczennicą, kwestye pedagogiczne były przez kilka tygodni na porządku dziennym. Powtarza się to co roku o téj porze. Warszawa zamienia się w jakieś wielkie kolegium, rozprawiające o nauce szkolnéj i domowéj, o systemie gimnazyalnym i realnym, o przeciążeniu i ćwiczeniach fizycznych. Przysłuchując się zdaleka, rzecby można, że jesteśmy plemieniem pedagogów, że nigdzie na kuli ziemskiéj społeczeństwo nie otacza młodego pokolenia taką pieczołowitością, że znajomość dydaktyki i pedagogiki nigdzie nie jest tak rozpowszechniona, jak u nas. Czy jest to może tylko pieczołowitość udana? O nie, społeczeństwo nasze myśli o swéj dziatwie więcéj niż o czém innem. W budżecie rodziny wychowanie dziecka wynosi w Warszawie bez porównania więcéj, niż w Berlinie, Paryżu lub Kopenhadze. W literaturze polskiéj pedagogia roztacza coraz szersze kręgi. Nie można nam zarzucić, że nie zajmujemy się młodém pokoleniem. Inna rzecz, czy w tém zajęciu się jego losami jest dosyć konsekwencyi, wytrwałości, panowania nad sobą i godzenia praktyki z teoryą. Smutnoby było, gdyby to wszystko, co się drukuje, a czego przecież część jakaś się czyta, pozostało frazesem, niezamienionym w czyn, nieskrystalizowanym w objaw realnego życia, nieodźwierciadlającym się ani w umyśle, ani w duszy młodego pokolenia....

Pozostaje atoli współczynnik drugi, nie mający równych praw i przywilejów, nie rozporządzający równym arsenałem środków, ale natomiast mający przewagę, jaką nadaje mu to, iż rozpoczyna wywierać wpływ na umysły wówczas, gdy jeszcze dziecko nie przekroczyło progu szkolnego, a działa jeszcze i wtedy, gdy już wpływ szkoły ustaje. Współczynnikiem tym jest dom i opieka domowa. Szkoła nie sieje ziarna na roli nieprzygotowanéj. Pierwszą skibę wyorało już otoczenie rodzinne, a choć wpływ tego otoczenia może chwilowo słabnąć, ma on niewyczerpane źródło w téj nieprzerwanéj ciągłości, która starczy za wiele.

Jakże więc społeczeństwo używa tego czynnika, którym rozporządzać może swobodnie? Chęci ma niewątpliwie dobre. Informuje się, gdzie może, bada, pyta, zagłębia się w teorye. Czy atoli postępki dorównywają tym chęciom? Czy ci, których widzimy dziś w mundurkach, będą mogli kiedyś powiedziéć, że w domu uzbrojono ich w to wszystko, czego zapotrzebowali późniéj w walce z życiém? Czy ościenni, patrząc na nich, będą im zazdrościli zasobów, wyniesionych z domu? Czy wobec rezultatów, któremi dom się dziś poszczycić może, cały ten czas poświęcony kwestyom wychowawczym, nie jest stracony?

Stracony nie jest, bo chcąc coś zdziałać dla istot bliskich i drogich, trzeba zastanawiać się nad tém przez niejedną godzinę; mógłby jednak może być zużytkowany lepiéj.

W całéj Europie szerzy się żałosny a usprawiedliwony niestety głos o przeciążeniu uczniów w szkołach publicznych. Skarżą się na to rodzice naszéj dziatwy szkolnéj, skarżymy się wszyscy. Zdawałoby się, że wobec tego dom rodzicielski unika skwapliwie wszystkiego, coby obarczonemu umysłowi dziecka narzucało nowe ciężary, zdawałoby się, że rodzice, wiedząc, iż malec będzie musiał niebawem podołać wątłem, siłami ciężkiemu zadaniu, zechcą mu oszczędzić wszelkiego zbytecznego trudu, zdawaćby się mogło, że nie narzucą mu nic, coby te siły przedwcześnie nadwérężyło i stargało. Czy rzeczywistość odpowiada tym oczekiwaniom? Czy uczeń, czując brzemię obowiązków szkolnych, nie ugina się równocześnie pod systemem wychowania domowego? Chcielibyśmy na oba te pytania odpowiedziéć przecząco, a nie możemy tego uczynić. Przeciążanie małéj, drobnéj, niemal z pieluch wydobytéj dziatwy jest u nas zjawiskiem codziennem. Roztkliwiamy się na myśl o pracy, jaka spadnie na dziesięcioletniego chłopca w szkole, ale zamiast przysposobić go do podołania jéj przez zaoszczędzenie jego zdolności, każemy mu targać kiełkujące siły umysłowe w przedwczesném uczeniu się liter, w popisach przed krewnemi i gośćmi. Obok przeciążenia szkolnego wytwarzamy przeciążenie domowe. Oddajemy szkole chłopca znużonego i po niewczasie żałujemy własnéj nierozwagi.

Ale zmęczenie nauką szkolną staje się podwójnie dotkliwe dla młodocianego organizmu, gdy organizm ten nie rozwija się należycie pod względem fizycznym, gdy nie hartuje się stale, gdy nie nabywa wytrzymałości na wszelkie wpływy zewnętrzne. Kto miał sposobność słuchać ulubionych naszych narzekań na ten temat, a równocześnie przypatruje się naszym rautom, balom, wintom i kolacyjkom, ten wyobraża sobie zapewne, że społeczeństwo, umiejące tak wymownie opisywać grozę zwyrodnienia fizycznego, a pozwalające sobie jeszcze na niejedną rozrywkę, postarało się przecież o to, ażeby ta młodzież o któréj losie tyle rozprawia, nabiérała dzielności cielesnéj. Mniemać by można, że rodzina ubolewająca nad nierównomiernością między wychowaniem umysłowém a cielesném, robi ze swéj strony wszystko, by tę nierównomierność wyrównać; mniemaćby można, że Warszawa posiada niezrównane sale gimnastyczne, że ma urządzone wybornie place zabaw, że młody Polak jest znakomitym, jeźdźcem, gimnastykiem, pływakiem, że jak niegdyś Soplica „na koniu śmiało jeździ, pieszo dzielnie chodzi", że godziny wolne od nauk spędza tak, żeby ćwiczenia cielesne zabijały w nim odziedziczone zarodki chorób, a przyspasabiały organizm do niepoddawania się otaczającym go zarazkom. Tak rozumować mógłby cudzoziemiec, sądząc, nas podług rozmów, którym przysłuchiwał się w salonach. Tak sądzić mógłby każdy, kto czyta w naszych pismach narzekania na upadek sił fizycznych i wzdychania do czasów, w których mięśnie polskie słynęły z wytrzymałości i siły. Krótki pobyt między nami wyleczyłby naiwnego cudzoziemca z jego złudzeń.

Wiek nasz pochlubić może się tém, co ludy cywilizowane robią dla wybawienia młodych pokoleń z przepaści, w jaką je spycha to wszystko, co zdrowiu i rozwojowi fizycznemu stoi na zawadzie. Do walki ze straszną klęską skarłowacenia pierwsi stanęli Anglicy. Odparli ją oni zwycięsko i stworzyli typ człowieka nowożytnego o grubych kościach i sprężystych muskułach, umiejącego dziś dosiąść konia, a jutro wyprosić Francuzów z Faszody, nielękającego się ani bałwanów morskich, ani lodowców alpejskich, ani niezliczonych tłumów Mahometan i Hindusów w Indyach. Za Anglikami poszli Francuzi i Niemcy. Niema w Niemczech miasteczka, posiadającego zakład naukowy, w którémby za staraniem obywateli nie powstał plac lub ogród publiczny, zaopatrzony za przykładem Anglików w przyrządy potrzebne do igrzysk i zapasów młodzieży. A u nas? Porównajmy to, co się przegrywa w totalizatora lub winta, z tém, co się łoży na walkę z charłactwem. Inni pracują nad odradzaniem pokoleń: my rozprawiamy tymczasem o zwyrodnieniu.

Gdyby przynajmniéj nie było gorzéj. Rzućmy okiem do koła a przekonamy się, że zamiast zachęcać młodzież do próbowania sił,

sami powstrzymujemy ją od tego. Opanowała nas jakaś parafiańska obawa nowości, jakaś dorobkiewiczowska żądza fałszywéj dystynkcyi, wyobrażamy sobie, że chuchając na chłopca i wychowując go na zniewieściałego niedołęgę, dajemy tém dowód wykwintnego smaku i wielkiéj dbałości pedagogicznéj. „Nie biegaj, bo upadniesz; nie dźwigaj—bo się zmęczysz; nie wyłaź, bo się rozbijesz; nie mocuj się, bo oberwiesz guza”,—oto nieprzerwany szereg zasad zbawiennych, wpajanych w duszę przyszłych filarów społeczeństwa. Co dzień mówimy, że jest źle i codzień staramy się, żeby jutro było jeszcze gorzéj. Śmiejemy się z głupoty Anglików i Niemców, narażających się na kalectwo lub śmierć w niebezpiecznych wyprawach na szczyty alpejskie, a zapominamy, że ta ich lekkomyślność jest tylko przesadnym wyskokiem téj krewkości męskiéj, która wiodła nas niegdyś w knieje dla borykania się z dzikim zwierzem, a która, gdy ją żądza wiedzy ujarzmi, wiedzie podróżnika ku lodom podbiegunowym i pozwala mu szydzić z samotności, nocy, wichrów i widma śmierci głodowéj. Zapominamy także o tém, że z tylu setek Polaków, przejeżdżających przez Szwajcaryę, nieraz przez rok cały żadnego z nich, w najdosłowniejszém znaczeniu—żadnego, nie zbierze ochota wysiąść z wygodnego wagonu i zobaczyć, jak te doliny i przepaści wyglądają z nad krawędzi urwiska, gdzie tylko własna zręczność i siła chronią nas od zguby. Należemy do grupy społeczeństw, najbardziéj fizycznie zgnuśniałych, choć o potrzebie ratowania się umiemy rozprawiać nie gorzéj od narodów, kroczących na czele współczesnego ruchu ku odrodzeniu.

A cóż robi dom dla kształcenia charakteru, dla wyrabiania woli, wytrwałości i uczuć obywatelskich w przyszłych obywatelach kraju?

I tu narzekań nie brak. Narzekaniem, podejrzeniami drażnimy młodych, a często wprawiamy ich w stan gorączkowy, czyż jednak obok tego widzim tę ciągłą, stateczną, do świadomego celu zmierzającą działalność, któraby świadczyła o tém, że społeczeństwo zdaje sobie sprawę z ostatecznych rezultatów wychowania, że wié, jakim być ma przyszły pracownik na téj wspólnéj niwie, i że do tego ostatecznego wyniku każdy dom dąży równolegle w miarę możności?

Cóż moglibyśmy jeszcze robić dla synów naszych, prócz tego, co robimy dzisiaj? Jeżeli żyjemy w biedzie, posyłamy ich w świat z radą, by przebijali się przez życie, a jeżeli środki nam pozwalają, skupujemy im naprzód drogie zabawki, potém drogie książki z obrazkami, przyjmujemy do nich po kolei Niemkę, Francuzkę, Angielkę, każemy ich uczyć tańczyć, prowadzimy na balet i do cyrku, jedném słowem robimy to wszystko, co robią znajomi z naprzeciwka.

Zapewne. Szkoda jednak, że nie można ułożyć statystyki tych

domów, które powiedziały sobie, że czasem trzeba się zdobyć na ofiarę większą. A przecież prosty rozsądek powiada nam, że między atmosferą domową, a młodziutką duszą, ktora w tej atmosferze wyrasta, jest związek nierozerwalny, a przecież na pierwszy rzut oka jest widocznem, że z tego kłębka, w którym się wylęgła, snuć ona będzie nitkę przez całe życie, snuć ją będzie nawet wówczas, gdy sama straci świadomość téj łączności. W ognisku domowém, w którém panuje próżność, żądza używania, chęć dorównania możniejszym,—nie wyrasta pokolenie, umiejące odmawiać sobie rozkoszy, umiejące poprzestawać na małém. Chcielibyśmy wiedzieć ile rodzin w Warszawie powiedziało sobie, iż dom, który jest szkołą i szkołą być musi, powinien zarazem pozbywać się zwolna wszystkiego, co sprawia nam przyjemność, co nęci i bawi, ale z pedagogią pogodzić się nie da; chcielibyśmy wiedzieć, w ilu domach powiedziano sobie, iż przez wzgląd na młodzież trzeba zmniejszyć liczbę wieczorów karcianych, trzeba zaniechać plotek i obmowy, trzeba być oględnym w dobieraniu towarzystwa, trzeba dać przykład uszanowania pracy nawet pod wytartą suknią, trzeba z pogodnym umysłem wyrzec się czasem jakiegoś wyrafinowanego bawidełka.

Narzekamy bardziéj, niż którykolwiek inny naród na butę, arogancyę, pyszałkowatość tych, których nic uleczyć nie zdołało, ale sami nie przyczynimy się do wyplenienia tych wad, skoro tłomaczymy co dzień chłopcu, gdy idzie do szkły, by przy zawieraniu stosunków koleżeństwa zważał na różnice społeczne. Irytujemy się na Podfilipskich a sami wychowujemy drugie, czy dziesiąte ich pokolenie, oswajając młode ucho z nieustanną powodzią oskarżeń, potwarzy, zmyślonych zarzutów i potwornych baśni, którą z niezrównaném zamiłowaniem wylewamy na własne społeczeństwo; zaciskamy pięść, gdy nam się przywidzi, że ktoś niema dostatecznego uznania dla naszéj uczciwéj pracy, ale pielęgnujemy sami instynkta dorobkiewiczostwa i próżności, wszczepiając teoryę, że praca o tyle jest godna szacunku, o ile jest złączona z intratną posadą.

Dom taki, jaki na szczęście bywa jeszcze, choć rzadko, w naszém społeczeństwie—to instytucya potężna i wspaniała. Od samego społeczeństwa zależy, żeby był nie wyjątkiem, lecz regułą.

Tadeusz Smarzewski.

Wydawcy: *Wł. Spasowicz* i *St. Łaguna.*
Redaktorowie: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

Дозволено Цензурою. Варшава 24 Октября 1898 года.

Qui amant...

(KTÓRZY KOCHAJĄ...)

Pannie Anieli A..wiczównie z Ladawy.

I.

Ucisz się ziemio... niech mi nic nie zmąca
Tego snu duszy... Gdzieś za okrąg słońca
Zszedłem, gdzie światło przejrzyste i senne
Jak szklanną gazę niebo rzuca z góry
I jakieś wielkie obszary przestrzenne
W krąg się rozlały bez końca, bez końca...
A morze, z kwiatów bieli i purpury,
Toczy się w bezmiar falami wielkiemi
I nic prócz pustki niéma dookoła,
I nic prócz kwiatów nie widać na ziemi.

Pustynia, głusza, a jednak coś woła:
Coś w mojéj duszy odzywa się zcicha,
Coś tak cichego, jak kwiat, gdy oddycha.

Słucham i słyszę. Jestto jedno Imię:
Leci przez świata roztocze olbrzymie,
W przejrzystém świetle brzmi, przez kwiatów morze
Płynie—w dal płynie, jak łódź po jeziorze.
Widzę jak na nich kołysze się zwolna,
Jak się te kwiaty chylą, gdy przechodzi;
One Je czują, kiedy po ich toni
Płynie, podobne do rozchwianéj łodzi.
Żadna muzyki téj wygrać niezdolna
Lutnia ni cytra, jaką owo Imię
Wokoło siebie rozrzuca i dzwoni...
Pustynie od niéj zabrzmiały olbrzymie,
I gaza światła zabrzmiała po cichu,
Jak rój much złotych w liliowym kielichu.

*
* *

Zamykam oczy... Przed oczyma memi
Obraz dalekiéj rozwija się ziemi:
Wielkie jezioro błękitną przestrzenią
Odbija niebo; nad niém się zielenią
Mirty i róże z kwiatami białemi,
A gór dalekich śnieg, co w niebo wzlata,
Jest jakby wzlotném zadumaniem świata,
Jest jakby świata zachwyceniem cichem,
Jest jego pieśnią, modlitwą, uśmiéchem...
Na błękit wody zchodzi cisza śniegów,
Złocista cisza podobna bogini,
A fala dzwoniąc u zakwitłych brzegów,
Grające stopom jéj sandały czyni,
I po muzyce wodnéj śnieżne cisze
Stąpają zwolna i idą błękitem — —
Na brzegu gaj się różany kołysze
I mirt w toń kwieciem prószy srebrnolitém.

*
* *

Nad wodą ową, nad jeziorem owém,
Nad owém niebem ziemi szafirowém,

W które się z gajów kwiat pachnący prószy;
Nad szklanną szybą téj cichéj otchłani:
Tam chodzi Pani jasna, cudna Pani,
Tam chodzi Pani, Pani mojéj duszy.

*
* *

Pani méj duszy gdzie obróci oczy
Czystość i cisza rodzą się z Jéj oczu.
Łabędź tak biało skrzydeł nie roztoczy,
Jak Ona myśli rozpościéra czyste.
Róże, co tkwiły w Jéj ciemnym warkoczu,
Pod Twoje stopy godne upaść, Chryste...

*
* *

Wśród ciemnych świerków jest kapliczka z drewna,
Mała kapliczka w podgórskiéj ustroni.
Tam, jak cudowna z legendy królewna,
Przyszła, uklękła i śliczną twarz w dłoni
Ukryła klęcząc. Było rano: świeże
Srebrzyły rosy gałęzie i trawę;
Daleko góry błyszczały jak wieże
W szafirze nieba ciemne i złotawe.
Przez drzewa słońce przeświecało z boku
Pękami jasno różanych promieni,
Lub do złotego podobne potoku,
Lało się z gąszczu po ziemnéj zieleni.
Rzeźwy szedł powiew od gór. W téj kaplicy
Półmrocznéj, światłem rozwidnionéj słońca
I blaskiem smutnéj w ołtarzu gromnicy:
Ona, ze skronią na dłoniach klęcząca,
Duszą wzniesiona w niezmierne niebiosy:
Wydała mi się snem, widzeniem, zjawą— —
I nigdy tego rana nie zapomnę,
Tych gór w przestworzu świecących złotawo,
Jak piramidy i gmachy ogromne,
I Jéj klęczącéj i téj świeżéj rosy.

*

* *

Byliśmy razem w kamiennéj dolinie,
Gdzie się piętrami ścieżka w górę winie,
Wbiegając wężem na ścięte urwisko.
Na dole głazy, a w otchłani nizko
Staw, ciemna bezdeń, tak ponura oku,
Jak las o późnym przeddeszczowym mroku.
Wokół złom, dzikie poszarpane skały
Podobne fali huraganu w biegu
Zaklętéj w kamień. Na urwiska brzegu
Głaz, prosto w przepaść pochylony cały.
Tam, po tym progu skalnym, co ucieka
Z pod nóg i z sobą porywa człowieka,
Patrząc Jéj w oczy, przewiodłem Ją, w ręku
Czując Ją całą, pełną zaufania,
A razem pełną niewieściego lęku.
Tam czułem serce Jéj przy sobie blizko,
Serce przy sercu... W górze się rozsłania
Mgła, płyną szczyty... Skalne uroczysko
Zdaje się lecieć w strop... Królewno moja!
Jabym Cię jeszcze poprowadził wyżéj,
Gdzie wieczne Światło słonecznego zdroja
Przez złote kłęby się zlewa obłoku;
Na łąkę taką, gdzie się nie przybliży
Nic, co się w Światła nie skąpie potoku.
Tam ciała nikną, lub stają się raczéj
Duchami: Ognia przepalone błyskiem
Nędz, brudu, wstrętu nie są już siedliskiem,
Ani przyczyną śmierci i rozpaczy.
Królewno moja! Na Mistycznéj Łące,
W tym duszy mojéj ogrodzie tajemnym,
Patrząc na mgłami przesłonięte słońce,
Daleki klęskom i boleściom ziemnym:
Gdybym u kolan Twych mógł oprzéć czoło
I na świat patrząc z daleka, z daleka,
Zapomniał o tém, że jest życie w koło
I że w méj piersi jest serce człowieka...

*

* *

Ciszo! Przestrzeni! Światło! O wy święte
Miłości duszy méj, nieogarnięte,
Nieokrężone żadną zmysłów siłą,
Najwyższe, czyste; wy, w których geniusze
Czaru dom mają i ojczyznę świętą:
Oto mi serce znów w piersi zabiło,
Jak ku wam bije, kiedy w górskie głusze
Wtopiony cały duchem, z piersią wzdętą
Niewysłowionych uczuć płomieniami,
Wchłaniam Was w siebie, żyję w Was i z Wami!
Wyście méj duszy życiem!... Ile zdolna
Ma dusza kochać Cię, Przestrzeni wolna,
I Ciebie, Światło! i Ciebie, o Ciszy!
Ile tęsknoty wybucha z jéj wnętrza
Ku wam, gdy w więzach i okowach dyszy,
W jarmarcznym gwarze i w toni ciemnoty:
Tyle miłości i tyle tęsknoty
Teraz się w potok w niéj szalony spiętrza!...

*

* *

Patrzcie na twarz Jéj! Czyście Ją widzieli?
Tak piękną duszę Bóg raz tylko stwarza.
Wierzę, że mogą być w niebie anieli
I że Bóg kształt ich na ziemi powtarza
W wybranych duszach. Wierzę, że są kwiaty,
Które się rodzą z spojrzeń ludzkich oczu;
Wierzę, że krążą po nad ziemią światy
Tęskniące ku niéj w niezmierném przezroczu.
Wierzę, że jedno ludzkie krótkie życie
Może za sobą poprowadzić ludy;
Wierzę w natchnienia z ognia, wierzę w cudy
I wierzę w Bóstwo z promieni w błękicie...

*

* *

Kocham Cię za to, że Cię kochać muszę,
Kocham Cię za to, że Cię kochać mogę,
Kocham Cię za to, żeś Ty mi jedyna
Piękną kobiecą objawiła duszę,

Że się przed Tobą kolano ugina
I myśl o Tobie każda niesie trwogę
I niepokoi się tém i pamięta,
Żeś może dla niéj za czysta za święta.

*
* *

Morza pięknością, gór i łąk urokiem
Chciałbym zasłonić świat przed Twojém okiem.
Niech nigdy Prawda swojéj strasznéj twarzy
Przed Twoją jasną nie stawia źrenicą;
Niechaj Ci życie będzie tajemnicą,
Niech Ci się tylko śni i tylko marzy...
W zaczarowanym Swéj duszy ogrodzie
Żyj, jak królewna od świata odcięta.
Niech Ci na czoło kwiatem mirtu prószy
Psyche, ta, któréj zmysłem niedotknięta
Dusza ni jednéj zmazy nie pamięta.

*
* *

Bo chciałbym Ciebie widzieć zawsze Panią
Błękitnych myśli państw i snów z kryształu;
Chciałbym byś jasno szła i tylko za nią,
Za tą, co wziąwszy panowanie ciału
I najpiękniejszą duszę biorąc w siebie,
Najczystszą była na ziemi i w niebie.
Przez mistrzam widział wykute jéj lice;
Schylone na dół łagodne źrenice
I głowę cicho ku piersi schyloną,
Ku piersi, gdzie się światło rodzić może,
Objętéj białą, dziewiczą zasłoną;
I usta czyste, jak kwiat na jeziorze,
I czoło niebu podobne, gdzie ciągiem
Złotym obłoki suną się powoli.
Tak mistrz ją w piękna zamknął aureoli
Na wieki wieków... Przed owym posągiem
Zbudujmy ołtarz i w blask owionięta,
Bądź mi kapłanką jéj, Ty moja Święta!...

II.

Kocham Cię! tęsknię! wołam Cię do siebie!
Świat cały Twojém nazywam Imieniem!
Tyś mi jest wiarą na wysokiém niebie,
Tyś mi jest całéj ludzkości wcieleniem.
Przez Ciebie kocham, nienawidzę... w Twojem
Istnieniu źródło mojego istnienia;
Ty jesteś mojém sercem, krwi méj zdrojem
I duszy mojéj Tyś harfą z płomienia!

*
*   *

Śpiewaj mi, śpiewaj!... Nie! Niéma przestrzeni!
Widzę Cię! Słyszę!... Cóż choć między nami
Kraje są całe? Myślą połączeni
Jesteśmy razem! Śpiewaj... tu w méj duszy,
Głos Twój brzmi, dźwięczy, drży nabrzmiały łzami...
Śpiewaj—jak wówczas... Głos Twój mię przenika
Wskroś, wskroś przez serce... On mnie rwie i kruszy!
W las jakiś rzuca mię wznak ta muzyka!
W otchłań, co dyszy za memi plecami...
Śpiewaj, ach śpiewaj! Głos Twój świeci łzami,
Głos Twój się cały błyszczy łez strumieniem,
Jak sznur ze złota wstęgą dyamentów...
Śpiewaj! siéj łzami!... Nad lasu milczeniem,
Nad straszną głuszą przepastnych odmętów,
Nad straszną nocą i grozą otchłani:
Śpiewaj—straconych i ginących Pani!...

*
*   *

Jak Demon śpiew Twój krąży mi nad głową,
Jak Demon z ognia rozpościéra pióra,
Chmurą mię żaru owija ogniową,
W bezmiar mię, w zaświat porywa ta chmura —
Ah! Gdyby rzucić te cielesne pęta!
Ojczyzna nasza, patrz! nieogarnięta!

Ojczyzna nasza, patrz, te wichry kwiatów!
Te kłęby tonów, te światła orkany!
Ojczyzna nasza ocean wezbrany
Wszystkim płomieniem, wszystkiém piękném światów!
Pójdź! Niech się wali na druzgi strzaskany
Krąg ziemi! Niech się w proch zapada cała!
Pójdź! Ramionami owinę Cię, biała — —
Pójdź ze mną... w niebo czy w przepaść podziemną,
Serce przy sercu, w dłoni dłoń—pójdź ze mną!...

*
* *

Śpiewaj... błękitu kołyszą się fale...
Jak słodko usnąć... ciche, jasne pola...
Błękit je falą słoneczną okola...

Jak słodko usnąć... Po kwietnéj dąbrowie,
Pomiędzy krzewy zawisłe omdlale,
Spokojnéj śmierci idą aniołowie...

*
* *

Pod gorzkim smutkiem opada mi głowa —
Weź ją w Twe ręce, w białe ręce Twoje,
Patrz na mnie słodko... Świat we mgłę się chowa
I wieją po nim niebieskie pokoje
I tonie cały w głąb cichego dźwięku,
Jak w blask księżyca. Bez żalu i lęku
Oddałbym ducha mego w ręce Twoje.

*
* *

Pamiętasz świerków tę aleję ciemną,
Gdziem Ci do ręki usta me przycisnął?
Na moim krzyżu jam wówczas zawisnął
Bolesném sercem. Tam skrzydła nademną
Roztoczył anioł bólu ciemnopióry
I twarz milczącą mi ukazał w zmroczach,

A jam, źrenice podniósłszy do góry,
Na wieczność mu się ofiarował cały
I dał mu palcem dotknąć mego czoła.
Tyś niewidziała, ale w twoich oczach
Dwie łzy zabłysły, dwa smutne kryształy—
Tyś nie widziała, lecz zgadła anioła.

*
* *

Z łez, które dla mnie mgliły Twoje oczy,
Różaniec w mojéj uwiłem pamięci.
Kiedy mię cisza wieczorna otoczy
I spokój lasów tatrzańskich okoli:
Idąc, jak ludzie od świata odcięci
Ofiarą duszy i Bóstwa miłością,
Pod cieniem lasów i nieba cichością
Różaniec z łez Twych przesuwam powoli.

*
* *

Na niebie gwiazdy. Las ciszą objęty,
Stoi spokojny, głuchy i zaklęty,
Ni jeden powiew wiatru go nie trąca.
U skraju lasu świécą oniemiałe
Drzewa pół jasne, błękitnawobiałe,
Zda się posągi drzew w blasku miesiąca.
Nad góry wschodzi powoli Syryusza
Błękitna gwiazda. Martwota i głusza.
Suchemi liśćmi tylko szemrzą gaje
I szum strumienia w księżycu migota.
Za mną kaplica z drewna. Zwolna wstaje
W méj piersi cicha, głęboka tęsknota..
Patrzę na leśną milczącą ciemnicę,
Na białych świerków posągi olbrzymie;
Patrzę na świata wieczną tajemnicę,
Którą na gwiazdach niemi aniołowie
Dzierżą przykutą... Patrzę na to imię,
Co w sobie całą wszechistność zamyka,
Na wszechmoc w jednem utajoną Słowie...

Patrzę na światów obrotu potęgę
I na ćmę leśną, co cicho przemyka...
Na mlecznéj drogi niezmierzoną wstęgę
I spadającéj gwiazdy złotą pręgę ..
Słyszę, jak owad u nóg moich szepce
I jak wre ogień w czarném wnętrzu ziemi;
Jak czas po grobach niezliczonych depce
I w tajemnicę zstępuje bezdenną,
Którą na gwiazdach aniołowie niemi
Dzierżą przykutą... Pod ciszą kamienną
Granitów: patrzę, słucham... Już jaśnieje
Księżyc nad lasem i srebrem go rosi...
Tęsknota moja rośnie, olbrzymieje,
Na cały przestwór świata się podnosi...
Pusto... Gaj prószy liściami suchemi,
Srebro księżyca lśni na świerków korze—
W taką noc niegdyś pomyślałeś Boże:
Źle człewiekowi samemu na ziemi...

*
* *

Szukałem Ciebie pośród kobiét roju,
Czekałem Ciebie o każdéj godzinie
I pełen byłem trwóg i niepokoju,
Że zanim przyjdziesz, życie moje minie.
Bo nie wątpiłem, że jesteś, że moje
Oczekiwanie nie jest czczém złudzeniem,
Że niedaleko gdzieś od Ciebie stoję
Z tęsknotą moją, z nadzieją, z pragnieniem...
Od lat już całych niewidzialnym cieniem
Byłem przy Tobie, szukając daremnie
W kobiétach Ciebie, coś istniała we mnie.
Ciebie przeczułem w ową noc przed laty,
Gdy głos mi słodki zabrzmiał ponad głową,
I zdało mi się, że się sypią kwiaty,
Że kwiatem na mnie pada każde słowo.
Lata tęskniłem za taką rozmową,
I latam czekał, aż się znów powtórzy—
Przyszła—przebrzmiała, jak więdnie liść róży

Z kochanéj ręki, który barwą bladą
Długo swój dawny szkarłat przypomina,
Z którym się kończy dzień i dzień zaczyna
I z którym wreszcie na sercu w grób kładą.

*

* *

Bronzowy księżyc lśni wśród mgieł powodzi...
Zda mi się, płynę w kruchéj, małéj łodzi
Przez wielkie morze w noc ciemną i niemą—
Fala z szelestem pod łódź mą podchodzi
I znów się pod nią rozpościéra niemo.
Przeciągły wicher w żaglu moim wieje—
Płynę przez morza głębokie rozchwieje...
Za mną, przedemną nie widać wybrzeży;
Pustynia wody... wiatr łódkę popycha:
Posłuszna idzie zadumana, cicha—
Ster mój i wiosło nieruchomo leży.
Za mną, przedemną: ciemność. Mgła z ołowiu
Wilgotna, ciężka, po wodném pustkowiu
Błądzi i w smutne wije się obrazy,
Jakby nad tonią groźne i ponure
Leciały błędne anioły zarazy
I strasznéj śmierci... Płynę w mar tych chmurę — —
Płynę, a one biorąc się za ręce
Straszliwe wiążą koło łodzi wieńce...
Płynę, w dantejski jakiś krąg rzucony—
Z mgieł księżyc wydarł się krwawo-czerwony
Z twarzą szatana, co przeklina... Płynę...
Tam, dokąd łódź ma po przestworzu zmierza,
Altana z bluszczu stoi u wybrzeża
O skał oparta łagodną ruinę.
W altanie święta, jasna, marmurowa
Ziemi i Nieba Pani i Królowa,
Biała Madonna. U Jéj stopy płonie
Oliwna lampka o blasku różowym;
Złożone trzyma do modlitwy dłonie,
Róże Jéj wieńczą dyadem i skronie,
Bóstwo w uśmiéchu świéci marmurowym.

W nogach od kolan wyżłobiona płyta
I pęki kwiatów.—Tam, kogo doniesie
Łódź i różowa lampka go powita:
Serce mu z piersi w zachwyceniu rwie się!
I na kamienne rzucając się progi
Całuje święte marmurowe nogi,
A potém w kwiaty i we łzy je wieńczy...
Tam płynę... Wicher w żaglu moim jęczy—
Płynę, lecz lampki zobaczyć nie mogę—
Wiem tylko, że jest i wskazuje drogę;
Wiem tylko, że tam, promienna i cicha,
Madonna ludzkim sercom się uśmiécha
I błogosławi anielstwem swéj twarzy
Łódź, co u stóp Jéj na morzu się waży
I odpoczywa po długiéj podróży.
Wiem to—a wkoło ciemny bezkres wody,
Wilgotnych mgławic straszne korowody
I cisza grobu, straszniejsza od burzy.
Płynę—na piersi głowa mi się skłania,
Źrenice mi się zamykają zwolna—
Łódź moja w całun widm i mar się słania,
Fala nią chwieje czarna i powolna
I szepce wieści o bezdennéj głębi,
Która się pod nią przewala i kłębi...
Przeciągły wicher w żaglu mym zawodzi —
Zda mi się, płynę po śmierć w mojéj łodzi...

*

* *

Lecz choćbym wrócić mógł z ciemnego morza,
Nie wrócę, pójdę za złowieszczą falą;
Ani mię słońca już nie nęci zorza,
Ani mi gwiazdy, gdy się w noc zapalą,
Nie biorą więcéj duszy między siebie
I nic na ziemi, ani nic na niebie
Serca mojego zachwycić nie zdoła.
Głos Twój mię tylko tam za morze woła,
Głos gdzieś na przestwór w ciemnościach rzucony,
Głos, co mi serce wraz z życiem wyrywa.
Myślę, na przeszłość twarzą odwrócony,
Czy to się miłość, czy śmierć tak odzywa?

*

* *

I zakochałem się w téj myśli smętnéj,
Że ona z Tobą razem idzie w parze,
Że z walki życia ponuréj i wstrętnéj,
Wyjdę przez Twoje wyjść zmuszony oczy.
Bez żalu o tém i spokojnie marzę—
I jedno tylko mam w sobie pragnienie:
Aby mię głos Twój prowadził uroczy
Na Wieczną Ciszę i Wieczne Milczenie.

*

* *

O gdybyś przyszła! Raz jeszcze dziewicze,
Czyste i jasne ujrzeć Twoje oczy!
Raz jeszcze fale uczuć tajemnicze
Widzieć w Twéj piersi i z Twoich warkoczy
Wetchnąć woń kwiatów... Raz jeszcze Twe ręce
Do ust przycisnąć... Raz jeszcze łzy Twoje
I Twoje ciche zobaczyć rumieńce...
Raz jeszcze z ust Twych słyszéć imię moje,
Raz jeszcze tylko!...

*

* *

Szczęśliwi, którzy wierzą, że po skonie
Duchami pójdą w elizejskie błonie
I tam spotkają tych,· których kochali.
Gdybym tak wierzył, chciałbym choć z oddali
Patrzéć na Ciebie i pod Twoje stopy
Za pieśnią rzucać pieśń, jak kwiatów snopy,
I takim hymnem owieńczyć Cię, droga,
Ażby z błękitu przejrzała twarz Boga...

*

* *

Gdybym tak wierzył... Serce mi się zrywa—
Odwróć odemnie twarz i bądź szczęśliwa!...

Kaz. Przerwa-Tetmajer.

Wędrówki Iberyjskie.

I.

Czy warto jechać do Hiszpanii?

Znajomość geografii bywa zwykle poczytywaną za niezbędny warunek wykształcenia, choć najmniéj chyba rozwija umysł. Jeśli ktoś zdradzi się z tém, że Amsterdam poczytuje za stolicę Belgii, to wywoła śmiech lub współczucie, a jednak tak nieznaczna część naszych czynów może zależéć od dokładnéj znajomości nazwy stolic rozmaitych krajów! Zdaje się, że ta doniosłość towarzyska elementarnéj wiedzy geograficznéj polega na pewnéj mylnéj identyfikacyi symbolu z samym przedmiotem przez ten symbol oznaczanym. Nazwy geograficzne są symbolami miejscowości, i nieznajomość tych nazw wydaje się dowodem stanowczéj nieznajomości obcych krajów, skąd wynika brak cennego doświadczenia. Jednak w geografii, tak jak jéj nas uczą w szkołach, mało znajdujemy materyałów bogacących nasze doświadczenie życiowe. Natomiast podróże uchodzą w oczach tych, co doskonale wyuczyli się na pamięć szczegółów geograficznych, za rozrywkę niedostępną dla ogółu za przywiléj najbogatszych, szczególniéj gdy chodzi o kraje tak odległe jak Hiszpania lub Portugalia.

Tymczasem, ktokolwiek umié się wznieść po nad pewne uprzedzenia, może zwiedzić niektóre bardzo ciekawe zakątki Hiszpanii i Portugalii za 150 rubli, licząc w tém podróż i zupełne utrzymanie przez kilka miesięcy oraz powrót z Hiszpanii do Warszawy. Podróż taka dla młodego człowieka byłaby miłém wspomnieniem na starość, zbiorem

bardzo ciekawych wrażeń i doświadczeń, bogatém zródłem rozwoju umysłowego i kuracyą od wielu niedomagań fizycznych. Ten, co się odważy ją przedsięwziąć, będzie liczył o jedną zimę mniéj w swojém życiu, a starczy mu materyału na opowiadanie w ciągu lat wielu.

Przedewszystkiém trzeba naturalnie zacząć od nauczenia się po hiszpańsku. Nie trudny to język, byle tylko stosować właściwą metodę do nabycia go. Nie należy się oddawać w niewolę Ollendorffa, ani żadnego podobnego Niemca, tylko sprowadzić sobie za kilkadziesiąt kopiejek kilka dramatów Echegarraya w hiszpańskim oryginale, wybiérając takie, które są tłómaczone na jaki dostępny dla przyszłego podróżnika język. Ponieważ wiele tych dramatów tłómaczono już na język niemiecki, francuski, a nawet polski, więc wybór będzie nie trudny. Radzę zaś Echegarraya, bo dyalog tego autora jest łatwy i zajmujący, a treść patetyczna szczególniéj nadaje się do czytania głośnego. Wymawianie języka hiszpańskiego nie przedstawia najmniejszéj trudności. Wymawia się, jak się pisze—z nielicznemi wyjątkami, łatwemi do zapamiętania. Naprzykład, zawsze *j* wymawia się, jak polskie *ch*, zaś hiszpańskie *ch*, jak polskie *cz*. Zaś *g* przed *e* lub *i* także wymawia się jak *ch*; przed innemi samogłoskami jak *g*. Podobnie *c* ma podwójne wymawianie. Przed *e* lub *i* wymawia się prawie jak *s*, lub jak ostre angielskie *th*—zaś przed *a*, *o*, *u* jak *k*.

Mając tekst oryginalny i tłómaczenie, czytelnik z łatwością zrozumié większość zdań, wcale nie troszcząc się o gramatykę ani słówka. Nie jest bynajmniéj koniecznem zrozumiéć wszystkie zdania. Za pierwszém czytaniem i wysiłek skierowany ku temu byłby stracony. Przyjdzie to samo przez częste powtarzanie. Proszę tylko spróbować następnéj metody wybróbowanéj przezemnie na wielu językach i kilku osobach.

Pierwszego dnia proszę przeczytać uważnie kilka stronic po hiszpańsku, usiłując je zrozumiéć z pomocą tłómaczenia. Czytać je należy kilkanaście razy z rzędu głośno, z przejęciem się treścią, deklamując patetycznie i wchodząc w rolę osób, których słowa się czyta. Takie czytanie oswoi czytelnika z zewnętrzną stroną języka z początku, a potém z jego duchem, i coraz mniéj zdań pozostanie niejasnych. Drugiego dnia kilka razy powtórzyć trzeba jeszcze przeczytane stronice i znowu posunąć się o kilka stronic daléj. W ten sposób co dzień posuwając się, trzeba powtarzać uparcie i wytrwale tekst poprzedni, aż każda stronica będzie przeczytana kilkadziesiąt do stu razy, zależnie od zdolności, bo chodzi o to, aby przez częste powtarzanie dojść do zupełnie biegłego czytania i bezpośredniego rozumienia tego, co się czyta. Ten cel osiągnięty zostanie tém rychléj, im z większém przejęciem się rzeczą kto czytać będzie. Najważniejszą zasadą przy uczeniu się

obcego języka jest koncentracya pracy. To znaczy, że więcéj można zrobić, pracując przez miesiąc po trzy godziny dziennie, niż pracując przez trzy miesiące po godzinie na dzień. Przy takiéj koncentracyi pracy mniejszego wysiłku potrzeba dla utrzymania całego tekstu w pamięci i oswobodzenia się od naturalnéj skłonności do tłómaczenia w myśli obcego tekstu na własny język. Każdy język należy pojmować tak bezpośrednio, jak język ojczysty, bez pomocy tłómaczeń: dopiéro wtedy można nim owładnąć.

Gdy kilka dramatów kto w ten sposób obrobi, że będzie mógł je płynnie czytać i rozumiéć bez tłómaczenia, to nagle spostrzeże, że się w jego duszy obudziła nowa zdolność, nowa siła: rozumienie hiszpańskiego języka. Zamiast budować obcy język ze słówek i zasad gramatycznych, trzeba się przejąć tym narodowym duchem, który stworzył i słówka i gramatykę, a wtedy obcy język stanie się nie martwym symbolem, ale żyjącą częścią treści duszy, istotnie nową władzą, nowym zmysłem, rozszerzającym widnokręgi umysłowe. Wtedy dopiéro, gdy kto może biegle czytać hiszpańskie dzieła, warto poznać trochę zasady gramatyczne tego języka.

A doświadczenie przekona, że płynność i łatwość czytania kilku dramatów z wielką łatwością przenosi się na inne teksty. Jeśli pierwszy dramat musiał kto przeczytać sto razy, to dla zupełnego zrozumienia drugiego wystarczy pięćdziesiąt powtórzeń, na trzeci trzydzieści, na czwarty dziesięć, a piąty lub szósty dramat tegoż autora będzie rozumiany odrazu. Ilość powtórzeń, potrzebna dla osiągnięcia celu, zależy od zdolności uczącego się i od trudności języka. Ponieważ szybkość czytania z wprawą się wzmaga, więc po dłuższéj wprawie starczą na przeczytanie całego dramatu dwie godziny czasu, mniéj niż trwa przedstawienie na scenie. Jeśli początkowe czytanie było dziesięć razy wolniejsze, to cały powyższy program da się uskutecznić w ciągu czterech miesięcy, po trzy godziny dziennie. Warto tyle czasu poświęcić, aby otworzyć sobie możliwość poznania jednéj z najbogatszych i najpiękniejszych literatur świata.

Jeśli kto pozna język hiszpański, to dla odbycia za sto pięćdziesiąt rubli podróży z Warszawy do Hiszpanii i z powrotem trzeba jeszcze złożyć kilka ofiar na ołtarzu piękna i wiedzy. Najgorsze uprzedzenie ma ogół ludzi co do potrzeby wielkiéj rozmaitości w jedzeniu. Proszę przeczytać Sieroszewskiego powieści jakuckie, by się dowiedzieć, jakim przysmakiem jest ten chléb zwyczajny, którym w kraju zboża gardzimy. Chlebem sérem i owocami można żyć kilka miesięcy, nie nadwyrężając bynajmniéj zdrowia, a nawet oczyszczając krew od wielu niepotrzebnych przymieszek, szczególniéj w klimacie południowym, gdzie samo słońce karmi przybysza z północy. Strawa taka kosztuje około

trzydziestu lub czterdziestu kopiejek dziennie prawie we wszystkich krajach Europy. Aby lepiéj smakowała, wystarczy wyobrazić sobie, że jesteśmy zamknięci w ciemnym lochu i potém otworzyć oczy, spoglądając na piękne niebo i morze południowe. Jak wtedy chléb i sér smakować będą! Przecież nasi chłopi zadawalniają się przez cały rok jeszcze skromniejszém jadłem, bo więcéj mają kartofli, niż chleba, a owoców mało przechowują na zimę. Dlaczegóż mamy być lepszymi, niż oni i więcéj potrzebować? W ten sposób o chlebie i serze odwiedziłem po raz pierwszy Hiszpanię i w ten sam sposób kilka lat późniéj podróżowałem po Stanach Zjednoczonych Ameryki, czując się zdrowszym, niż kiedykolwiek. Słońce, dobry humor, rozmaitość nowych wrażeń to są najlepsze przyprawy do skromnego wiktu.

Kto chce tanio podróżować, ten musi w podobny sposób uprościć swój bagaż, aby go mógł zawsze sam unieść. Wystarczy tornister nieprzemakalny zawiérający jedną zmianę ubrania, pantofle, kilka zmian bielizny, igły, szpilki, nici, mydło, kilka ręczników i kajet małego formatu do zapisywania wrażeń — ale broń Boże żadnych książek, bo to w podróży ciężkie i nieprzydatne. A co do ubrania, to najlepsze jest ubranie robotnika, prosta bluza, która w Hiszpanii nie przeszkodzi serdecznemu i życzliwemu przyjęciu nawet ze strony wielkich właścicieli ziemskich. Polak dobrze zrobi, jeśli nawet przy tak skromnym bagażu weźmie małą poduszeczkę puchową w drogę do Hiszpanii, bo tamtejsze twarde wełniane wałki używane pod głowę mogą być przykre, dopóki się do nich nie przyzwyczai. Także ciepły pled umocowany do tornistra przyda się, bo noce na wiosnę i jesienią bywają chłodne.

Co do czasu podróży, to najlepiéj w jesieni wczesnéj, np. we wrześniu, jeśli chodzi o krótki pobyt, a trochę późniéj, np. w Listopadzie, jeśli ktoś może zostać do wiosny. Najtańsza droga wiedzie przez Bremę. Z Warszawy do Bremy można zajechać za 20 rubli trzecią klasą. Z Bremy do La Coruña z powrotem przez Vigo kosztuje bilet trzeciéj klasy z utrzymaniem 123 marki, czyli 58 rubli. Zatém z budżetu 150 rubli na tę podróż zostaje przeszło jedna trzecia na wędrówkę po Hiszpanii, naturalnie pieszo. Licząc tanie utrzymanie wędrownego rzemieślnika, starczy na przeszło dwa miesiące, w ciągu których można zwiedzić pieszo Santiago, Pontevedra, Vigo, Oporto, spacerując przez okolice należące do najpiękniejszych na świecie.

Podróż statkiem z Bremy do Coruña, trzecią klasą nie powinna nikogo przerażać. Ma się wygodny nowy siennik i ciepłą zupę z chlebem, a jedzie się wygodniéj daleko, niż trzecią klasą na kolei. Oprócz tego statki te wiozą emigrantów do Brazylii i Argentyny, co daje ciekawą sposobność do studyów ekonomicznych, bo każdy taki emigrant chętnie

opowiada szczegóły swego życia, pobudki emigracyi, a częstokroć jedzie nie po raz pierwszy, więc umié coś powiedziéć i o zamorskich krajach. Jeśli ktoś do skromnych warunków życia pasażerów takich nie przywykł, to poznanie ich będzie dla niego nadzwyczaj pouczającém, bo otworzy mu oczy, na życie ogromnéj większości ludzi, stanowiące tajemnicę dla uprzywilejowanéj mniejszości. Gdyby każdy z naszych przemysłowców lub obywateli ziemskich odbył taką podróż, możeby wstydził się późniéj zbytku, myśląc o swych dawnych towarzyszach podróży, i oszczędziłby wiele tysięcy rubli na wydatkach osobistych, przeznaczając te kwoty na pomoc dla potrzebujących.

Istotnie żadnego wyjątkowego poświęcenia bynajmniéj nie potrzeba, żeby jechać kilka dni trzecią klasą na wielkim statku parowym. Jeden ważny warunek życia, którego biedni w miastach są pozbawieni, ma się na statku zapewniony: czyste, zdrowe morskie powietrze. Chleba także nie brak, a zupa mięsna wyda się głodnemu smaczna. Taka podróż otwiéra tym, co do zbytków przywykli, nowy świat wrażeń, z początku przykrych, a po namyśle pouczających, a nawet rozkosznych. Dla wiejskiego panicza, który pięć razy na dzień jada i przy tém nic nie robi, podróż z Bremy do Koruni zmieni punkt widzenia na życie. Okaże mu się, że to, co on traktował, jako rzecz zwykłą i należną mu, nie zasługującą prawie na uwagę, pierwsze i drugie śniadanie, obiad, podwieczorek, kolacya, to są czynności wyjątkowe, wkładające nań obowiązek wyjątkowéj także pracy. Dowié się przytém o wewnętrznych wrażeniach i uczuciach tych ludzi, którzy go otaczają, jako słudzy i pomocnicy, gdy dozna zazdrości względem pasażerów wyższéj klasy na jednym i tym samym statku jadących.

Podróż morzem ma jeszcze oprócz tego wielkie znaczenie moralne. Ten okręt, kołyszący się pod nogami, daleko wierniéj nam przedstawia życie ludzkie, niż twarda ziemia, po któréj chodzimy. Wprawdzie na stałym lądzie różne nieoczekiwane wypadki, pozbawiające zdrowia i życia, nie są bynajmniéj rzadsze, niż na morzu, ale kto do stałego lądu przywykł, ten dopiéro na oceanie może wzbudzić w sobie pełną świadomość niepewności naszych przedsięwzięć. Nie potrzebuje to osłabiać naszych sił, i owszem ta właśnie oczywista niepewność powiększa jeszcze odwagę, gdy się pojmie, że największe niebezpieczeństwo jest prawie równie blizkiem przy największéj śmiałości, jak i przy hańbiącém tchórzostwie. W razie takiego niebezpieczeństwa, nie stanowi żadnéj różnicy, czy kto bogaty, czy biédny, czy chłop, czy szlachcic lub magnat, natomiast ten, co się nie boi śmierci, ma największe szanse pozostania przy życiu.

Choroba morska jest także doświadczeniem bardzo pouczającém, bo nie grozi na seryo zdrowiu, a daje tanim kosztem poznać wysoki

stopień cierpienia fizycznego, bez wyraźnego bólu w żadnéj części ciała. I tutaj znowu śmiałość i odwaga bywa nagradzaną. Kto się słabości poddaje i leży bezczynnie, ten cierpi dłużéj, niż ten, co wbrew téj słabości używa ruchu, przechadzając się najwięcéj po pokładzie.

Podróż do Hiszpanii z pomiędzy mniéj odległych podróży morskich, jest dla nas najciekawszą i daleko milszą, niż wycieczki na północ. Mało słońca widzimy jesienią u nas i stopniowe posuwanie się na południe, ku światłu i ciepłu, dziwnie orzeźwia i odmładza. Zresztą Hiszpania daleko więcéj zasługuje na naszą uwagę, niż niektóre bliższe kraje, np. Szwajcarya lub Włochy. O krajach tych zbyt wiele słyszeliśmy, żeby nie doznać rozczarowania, gdy je odwiedzamy. Przytém Szwajcarzy i Włosi wcale do nas nie są podobni, i trudno jest nam do nich się zbliżyć serdecznie. Natomiast Hiszpanie, jeszcze nie zepsuci przez turystów, przyjmują każdego cudzoziemca z wielką życzliwością i serdecznością, nawet choćby się zbliżał w bluzie i z tłomokiem w ręku.

W Hiszpanii spotykamy ludzi niezmiernie pod wieloma względami do nas podobnych, a przytém tak, jak my serdecznych i gościnnych. Wyzysk, który kwitnie w krajach często odwiedzanych, tam jeszcze nie rozwielmożnił się tak, jak w środkowéj Europie. Literatura bogatsza jest i dawniejsza, niż literatury innych narodów. Krajobrazy przedstawiają daleko większą rozmaitość, niż we Włoszech lub Szwajcaryi. A co najważniejsza, Hiszpania jest zawsze jeszcze tak mało znana i opisywana, że z książek i rysunków trudno jest sobie o niéj wytworzyć tak dokładne wyobrażenie, jak o bliższych krajach.

Dla wszystkich tych powodów godzi się gorąco zalecać młodzieży tanią wycieczkę do Hiszpanii, nawet jeśli środki nie pozwolą na obszerniejsze wędrówki. Północno zachodni zakątek Galicyi hiszpańskiéj, od Coruña do Vigo, jest krajem tak pięknym i oryginalnym, że nawet, jeśliby ktoś miał poprzestać na zwiedzeniu téj Galicyi hiszpańskiéj, podróż by mu się opłaciła sowicie. Wskutek obecnego urządzenia środków komunikacyi, Galicya hiszpańska, jakkolwiek na mapie jest bardzo odległa, w rzeczywistości jest najbliższą dla nas, bo najtaniéj można do niéj morzem zajechać, gdy tymczasem podróż np. do Barcelony lub Madrytu jest dwa razy droższa.

Odwiedziwszy Hiszpanię, w ciągu ostatnich dwunastu lat dziewięć razy, i bawiąc tam lata całe, zebrałem wiązkę wrażeń osobistych, które chciałbym udzielić czytelnikom, unikając wszelkich fałszywych uogólnień. Z takich osobistych świadectw składa się dopiéro pewien objektywny obraz kraju i narodu, przez różnych podróżników opisywanego. Zastrzegam wyraźnie, że nie występuję, jako geograf ani etnograf, tylko

jako podróżnik, spisujący po kilkunastu latach swoje wspomnienia i wrażenia, ze szczerą chęcią pozostania w granicach ścisłéj prawdy.

II.

Pierwsze wrażenia iberyjskie.

Pierwszy raz zetknąłem się z Hiszpanią w Dorpacie w 1884-ym r. Wracał wtedy z Hiszpanii docent uniwersytetu Woldemar Masing i zapowiedział wykłady o języku i literaturze hiszpańskiéj. Wykłady te zaciekawiły mnie szczególniéj dla tego, że Masing przyznawał Hiszpanom pierwszeństwo wśród wszystkich narodów Europy na polu najdojrzalszéj formy literackiéj, dramatu. A że oprócz tego czytałem w dzieciństwie Don Kichota, więc miałem szczególną sympatyę do Hiszpanów i pragnąłem ich bliżéj poznać. Z pomocą Masinga nauczyłem się po hiszpańsku, a okoliczność ta nawet wpłynęła po części na to, że po ukończeniu uniwersytetu udałem się do Paryża na wydział romańskich języków i literatur w *Ecole des Hautes Etudes*.

Jako student téj szkoły pod kierunkiem Gastona Paris'a, poznałem kilka innych narzeczy romańskich, oprócz hiszpańskiego i włoskiego, dawniéj mi znanych. Na wiosnę 1896-go roku otrzymałem z domu wezwanie, żeby już skończyć studya i wracać najrychléj do kraju a zabrać się do pracy zawodowéj. Widząc się zagrożonym taką niewolą, postanowiłem na pożegnanie poznać jaki nowy kawałek ziemi. Miałem zaoszczędzone w ciągu studyów około czterystu rubli i zapragnąłem z pomocą téj kwoty zajechać tak daleko, jak tylko można, choćby wypadło podróżować o chlebie i wodzie.

Wyruszyłem najprzód do Londynu, aby tam plan dalszéj podróży obmyślić. Marzyłem o Ameryce, Afryce, Australii, ale jak zacząłem rachować, przekonałem się, że żadną miarą daléj nie zajadę, jak do Gibraltaru. Zdecydowałem się tedy na Hiszpanię i wyruszyłem w drogę statkiem towarzystwa Hall et C., idącym do Lizbony. Są to statki towarowe, i byłem jedynym pasażerem. Po angielsku mówiłem tak, że Anglicy mnie wcale nie rozumieli, a ja nawzajem ich nie rozumiałem, gdy oni do mnie przemawiali. Więc w ciągu kilku dni między Londynem a Lizboną mogłem się oddać samotnym rozmyślaniom i spacerom po pokładzie statku, który się nazywał Gibraltar.

Pomimo téj samotności, nie brakło ciekawych widowisk. Szczególniéj zachód słońca na morzu co dzień był inny i co dzień wspaniały. Rozmaity układ chmurek na horyzoncie, lub lekka mgła nawet pozba-

wiająca słońce blasku, stan morza — wszystko wpływało na urozmaicenie tego widoku. Szczególniej gdy wschodni wiatr pędził obfity dym, unoszący się z kominów statku na zachód, i tworzył czarną chmurę zasłaniającą część zachodniego horyzontu, kontrast kolorów czerwonych i zielonych chmurek stawał się uderzającym i za każdym ruchem obłoku czarnego zmieniały się pozory światła tak, że cały horyzont przedstawiał jakąś walkę czarnego świata szatanów z armią różowych i zielonych duchów, przy czém nieuchronnie ciemności zwyciężały, a światło musiało pierzchnąć. Kto nazajutrz dosyć rano się obudził, ten był świadkiem odwetu. Czasem nieba od morza nie podobna było odróżnić, tak się zlewały lekkie chmurki z odległemi bałwanami. Wtedy łuna świetlana trwała długo po zachodzie słońca, tworząc fantastyczne szczyty gór, przepaście, jeziora, gdy po drugiéj stronie widnokręgu panował już mrok zupełny.

Nikt na statku nie zwracał uwagi na te piękności. Anglicy grali w karty lub pili *whisky*, jeśli nie mieli okrętowych obowiązków do spełniania.

Po pięciu dniach podróży, d. 6 Maja 1886 roku, przybyliśmy do Lizbony. Z początku widać było skały Cabo Roca najbardziéj zachodniego przylądka Europy—potém dostaliśmy się na żółte, brudne wody Tagu, i nareszcie na przeciwko miasta statek stanął, zarzucając kotwicę w niewielkiéj odległości od brzegu. Zaczęła się licytacya przewoźników, którzy nie mają stałéj taksy za odwiezienie pasażerów do miasta. Żądają cen bajecznych, np. 4,000 reisów, czyli przeszło ośm rubli za przejazd trwający pół godziny. Po długim targu zgodził się jeden z nich za połowę téj ceny—a kapitan, który nie dba o kieszeń pasażerów, upewniał, że to cena zwyczajna, choć dowiedziałem się późniéj, że można było daleko tańszą łódkę dostać. Łódka taka niewielka jest poruszaną 8-ma wiosłami przez czterech marynarzy, choć jeden lub dwóch niewątpliwie by mogli podołać téj pracy. Razem z pasażerem siada do łódki urzędnik celny, żeby dopilnować wylądowania przed komorą. Silny prąd wody od morza w górę rzeki utrudniał ruchy łódki, i trzeba było najprzód oddalić się w kierunku morza, by potém wylądować naprzeciw okrętu.

Lizbona jest miastem prawie równie pięknem, jak Neapol, tylko zamiast błękitu morza Śródziemnego ma się tu wody złotego a raczéj brudno-gliniastego Tagu. Za to więcéj pięknych placów, pełnych wonnych kwiatów, i daleko większa czystość niż w Neapolu. Położenie jest także bardziéj urozmaicone dla tego, że Lizbona wznosi się na kilku wzgórzach, tworząc więcéj wklęsłe amfiteatry, niż ogólny widok Neapolu. Koleje zębate wiozą podróżnych za kilka kopiejek na te

wzgórza, podobnie jak w Szwajcaryi wjeżdża się na Rigi. Na wielu bardzo ulicach trotuary są ułożone z małych różnobarwnych kamyków, tworząc mozaikę świadczącą o wielkiém zamiłowaniu Portugalczyków do starannego obrobienia drobiazgowych szczegółów.

Mają oni téż zamiłowanie do wielkich cyfr. Naprzykład, za jedność monetarną obrali sobie reis wartości piątéj części kopiejki i przy pewnych wyjątkowych kursach, np. w czasie ostatniéj wojny hiszpańsko-amerykańskiéj, reis spadł do wartości dziewiątéj części kopiejki. Licząc na reisy, Portugalczyk patetycznie wygłasza wielkie cyfry reisów, zapłacone za małe przedmioty. Np. kurs dorożki kosztuje w Lizbonie często tysiąc reisów a najmniéj czterysta reisów, loże w teatrze do 12,000 reisów, zaś abonament na dziewięćdziesiąt przedstawień,—przeszło milion reisów. Tak samo, jak pieniądze, Portugalczycy rachują także inne przedmioty. Naprzykład w wojsku kawalerya nie liczy się na ilość koni, lecz na ilość kopyt końskich — więc nie mówi się: tysiąc jeźdźców—tylko cztery tysiące kopyt końskich. Na wielu ulicach zamiast domów są numerowane okna, aby w ten sposób osiągnąć wysokie cyfry numeracyi. Np. dowiaduję się, że ktoś mieszka pod dziewięćsetnym numerem na jakiéjś ulicy i myślę, że będę musiał iść kilka kilometrów, nim tak daleko zajdę—a to jest zaledwie odległość kilkudziesięciu domów od początku ulicy.

Podobnie jak Włosi, Portugalczycy lubią stawiać pomniki swoim wielkim ludziom, ale otaczają te pomniki taką ilością kwiatów i roślin podzwrotnikowych, że przybysz obcy, widząc marmury w pachnących ogrodach, doznaje wrażenia jakiegoś dziwnego oderwania od pospolitéj rzeczywistości. W żadném mieście takiéj obfitości kwiatów na placach publicznych nie widziałem, jak w Lizbonie.

Napatrzywszy się na tę zewnętrzną piękność miasta, udałem się z pomocą planu do mieszkania pana Teofilo Braga, profesora literatury portugalskiéj w Curso Superior de Letras, to jest w zakładzie wzorowanym na paryskiém Collége de France. Miałem do niego list polecający od jednego Portugalczyka, którego poznałem w Londynie. Teofilo Braga jest pisarzem zdumiewającéj płodności w zakresie krytyki literackiéj. Napisał historyę literatury portugalskiéj w kilkunastu tomach, a oprócz tego jeszcze kilkadziesiąt tomów monografii o różnych autorach.

Jaki jest stan rynku księgarskiego w Portugalii, widać ztąd, że autor ten, powszechnie ceniony przez swoich ziomków, pracujący od czterdziestu lat w zakresie literatury i krytyki portugalskiéj — dotąd wydaje dzieła nie otrzymując żadnych honoraryi autorskich, prócz

skromnéj liczby bezpłatnych egzemplarzy, rad, że nakładca francuski, osiadły w Oporto (E. Chardron), ponosi koszta druku!

Teofilo Braga, jako bezinteresowny pracownik na polu literatury portugalskiéj, zasługuje na uznanie, choć używa całéj swéj wielkiéj energii i wytrwałości dla niewolniczego szerzenia przekonań obcego pisarza, Augusta Comte'a. Jest zapalonym pozytywistą i to go pozbawia nawet w znacznym stopniu bezstronności sądu. Jednak nawet ten ślepy pozytywizm jest zasługą w kraju, gdzie oddawna panowała wielka obojętność na wszelkie objawy myśli niezależnéj. Życie historyka literatury portugalskiéj nie było wcale usłane różami i dziś jeszcze wyda się nędzném w porównaniu z życiem naszych historyków. Urodził się na wyspie San Miguel de Acores w 1843 roku, jako syn oficera artyleryi, który po opuszczeniu służby wojskowéj został nauczycielem logiki i matematyki w liceum miasta Ponta Delgada na San Miguel. Mając trzy lata, utracił Teofilo matkę a dostał się pod opiekę macochy wraz z liczném rodzeństwem. W czternastym roku życia został zmuszony do samodzielnego zarobku i wstąpił do drukarni, jako zecer, poświęcając wszystkie chwile wolne czytaniu klasyków swego narodu. W piętnastym roku życia wystąpił, jako autor, z książeczką wierszy, pod tytułem: *Folhas verdes* (liście zielone), z któréj wieje nienasycone pragnienie wiedzy. Tęsknił do szerszego świata i w ciężkiéj pracy ręcznéj zarobił sobie środki na podróż do Europy, którą uskutecznił w 1861 roku, mając lat ośmnaście. Udał się do dawnego uniwersytetu w Coimbzea i tam rozpoczął studya, zarabiając jednocześnie na swoje utrzymanie lekcyami. W roku 1864 wydał nowe dzieło, p. t. *Visão dos tempos* (Wizya historyi), w którém wierszem usiłuje przedstawić główne epoki przeszłości z wielkim zapałem i silną wiarą w postęp ludzkości. Od tego czasu już bezustanku pisał nowe dzieła przeważnie treści historyczno-krytycznéj, czasem po kilka tomów na rok, w sposób zdradzający samouka i polemistę raczéj, niż bezstronnego uczonego.

W roku 1868 skończył wydział prawny uniwersytetu w Coimbrze i zaczął pracować nad swą Historyą Literatury Portugalskiéj, obejmującą najobszerniejszy inwentarz piśmiennictwa tego narodu, a w r. 1872, mając lat dwadzieścia, dziewięć został profesorem ojczystéj literatury w Curso Superior de Letras. Od tego czasu ciągle pisał, wykładał i czytał, popularyzując pozytywizm Comte'a w Portugalii i zarazem domagając się reform politycznych zasadniczych w celu ustalenia wolności prasy, wyznań, nauczania, zebrań, handlu, i przemysłu. Braga pracuje bezustanku i odznacza, się dziwną bezstronnością pod względem materyałów, które przerabia, przy równie dziwnéj jednostronności swego punktu widzenia, zapożyczonego od Comte'a.

Do tego pracownika udałem się wkrótce po przybyciu do Lizbony i zostałem nadzwyczaj gościnnie przyjęty. Do późnéj nocy rozmawialiśmy, przy czém w rozmowie brała czynny udział piętnastoletnia córka poety, Maria da Graça, wyglądająca na dziesięcioletnią dziewczynkę, a rozprawiająca o politycznych i literackich kwestyach, jak dojrzały mężczyzna. Dziwny był los tego dziecka, które stało się ofiarą błędu pedagogicznego swego ojca. Pamiętając o trudnościach, z jakiemi musiał walczyć dla zdobycia wiedzy, Braga chciał najstarszą córkę swoją od dzieciństwa uposażyć w największy zasób wykształcenia. Maria da Graça nigdy nie bawiła się, jak dzieci, tylko uczyła się i czytała. Ciągła praca umysłowa powstrzymała rozwój ciała, i widok tego uczonego dziecka kłam zadawał teoryom pozytywistycznym ojca, bo dusza rozwinęła się, kiedy tymczasem mózg prawie zanikał i nie mógł nawet ciała doprowadzić do dojrzałości. Skazana była przez takie wychowanie na śmierć przedwczesną, która wtedy, kiedy ją widziałem, już się zbliżała, bo nastąpiła kilka miesięcy późniéj. I nie było tu nawet rzeczywistego przepracowania. Dziecko to uczyło się z wielką chęcią, rwało się do nauki, odziedziczywszy po ojcu i wysoce ukształconéj matce to niepohamowane pragnienie wiedzy, które usuwa w cień wszelkie inne dążenia. Zapominało ono o ciele, i ciało też powoli umiérało, kiedy dusza coraz to więcéj oddalała się od spraw tego życia, wędrując z ojcem przez dawne epoki historyi i różne nauki.

Z portugalskim apostołem pozytywizmu nie próbowałem nawet wszczynać dyskusyi o istocie zjawisk, bo słysząc jego zdania wygłaszane z wielką siłą, jasno pojmowałem, jak nieuleczalnie wierzy w swego mistrza. Zresztą ten portugalski pozytywizm tak wielki kładzie nacisk na postęp umysłowy ludzkości, tak pełen jest siebie i tak mało wié o innych drogach, że nie wydaje się tak pretensyonalnym, jak gdzieindziéj. Wprawdzie Braga ma słabość do energicznego potępiania kleru, ale duchowieństwo portugalskie w mniejszym stopniu zasługuje na poważanie, niż nasze, a w większym stopniu przeszkadza wszelkiemu postępowi, co tłómaczy zapamiętałość walki.

Następnego dnia (7 Maja 1886 r.) wybrałem się piechotą o cztery mile na zachód od Lizbony, do Cintry, miejscowości opiewanéj przez Byrona, jako raj ziemski, i dla tego wzbudzającéj moją ciekawość. Do raju tego prowadziła droga przez piekło, bo trzeba było po szosie pełnéj kurzu iść 27 kilometrów przy tyluż stopniach ciepła. Po drodze mija się wiele wspaniałych willi otoczonych kwiatami i pomarańczami, a rażąco odbijających na tle nędznych lepianek robotników rolnych. Przy południowém słońcu zbytek bogatych więcéj kłuje w oczy, niż pod chmurném niebem północy. Blask marmurów świéci zdaleka, rzeź-

by w kąpieli światła olśniewającego nabiérają życia, nawet metaliczne sztachetki i bramy wydają się jakby wysadzane klejnotami w oczach przybysza z Północy.

Cintra jest miejscem letniego pobytu dla bogatych obywateli Lizbony. Na górze wysokiéj wznosi się starożytny zamek królewski odrestaurowany, a poniżéj ruiny dawniejszych baszt i budowli. Zamek otoczony jest parkiem pełnym pomarańcz, cytryn, laurów i kwiatów. Na pochyłości góry wije się szosa, prowadząca w dół od zamku do miasteczka, z widokami z jednéj strony na Ocean Atlantycki, w innych miejscach na żółte wody Tagu. Cała góra usiana fantastycznych kształtów głazami, które leżą tak jakby zostały strącone przez jakiegoś olbrzyma, czasem wiszą nad szczelinami, utrzymując się od upadku w dolinę niewiadomo jaką siłą. A z pośród tych wielkich kamieni, nawet czasem na nich, wszędzie rośnie bujna roślinność, wydająca najmilsze zapachy i zdobiąca granit najpiękniejszemi barwami. Byron miał racyę, wychwalając piękności Cintry: chodzi się po tych górach, jak w krainie czarów, szczególniéj w Maju, kiedy napływ miejskiéj ludności jeszcze się nie zaczął. Co roku mnóstwo Anglików odwiedza to miejce—krótka wzmianka o niém w Don Juanie Byrona zrobiła zeń cel pielgrzymek dla wielu wielbicieli wieszcza.

Wróciwszy z Cintry wieczorem, spotkałem znowu Teofila Bragę, który mnie zapoznał w klubie z kilkoma literatam, i uczonymi portugalskimi. Ludzie ci z wielką łatwością rozprawiają o wszystkiém i słuchając ich, możnaby wierzyć, że posiadają niewyczerpane skarby szczegółowéj wiedzy. Przy bliższém zbadaniu, prawie zawsze się okazuje, że wiedza ta czerpana jest z francuskich podręczników lub encyklopedyi, które uchodzą za wyrocznie. Z ciekawością wypytywali się o ten kraj odległy, z którego przybyłem, i zdarzały się wątpliwości, czy tam mówią po niemiecku, czy po austryacku. Trzeba przyznać, że jednak wątpliwości te zostały usunięte bez mojéj pomocy przez miejscowych lingwistów, którzy słyszeli, że polski język jest narzeczem mowy rosyjskiéj. Gdy wyjaśniłem, że różnią się te dwa języki więcéj, niż hiszpański i portugalski, zdziwienie było prawie powszechne.

Po dwudniowym pobycie w Lizbonie, wróciłem na statek Gibraltar, żeby daléj jechać do Gibraltaru. Podróż ta trwała nie cały dzień, i ukazały się naszym oczom brzegi Afryki. Gibraltar położony u stóp wysokiéj skały, z któréj wyglądają armaty angielskie umieszczone wewnątrz galeryi w téj skale wykutych, jest miasteczkiem międzynarodowém. Gdy się zapytałem marynarza gibraltarskiego, mówiącego po hiszpańsku i prawdopodobnie pochodzącego z Hiszpanii, czy nie wolałby panowania hiszpańskiego w Gibraltarze, zamiast władzy Anglików,

odrzekł stanowczo, że z dwojga złego woli Anglików, ale że on nie jest ani Anglikiem ani Hiszpanem, tylko Gibraltarczykiem i że najchętniéj wygoniłby wszystkich cudzoziemców, co się na jego rodzinnéj skale rozgościli. Takich autonomistów potém często spotykałem i w innych miejscowościach Hiszpanii.

Wkrótce po przybyciu do Gibraltaru wdrapałem się na skałę, a raczéj górę El Hacho (wymawia się: elaczo), wznoszącą się nad Gibraltarem na 400 metrów wysokości. Widok ze szczytu należy do najpiękniejszych, jakie można sobie wyobrazić. Z jednéj strony morze Śródziemne, nad którém widać wysokie góry, aż do Sierra Nevada, przeszło 200 kilometrów odległego pasma w Andaluzyi; na południe wybrzeża Afryki, poczynając od miasteczka Ceuta, które widać bardzo wyraźnie choć jest odległém o dwadzieścia kilka kilometrów.

Góry afrykańskie za Ceutą są bardzo skromne i mienią się dziwnemi kolorami, pasami fioletowemi i purpurowemi wywołanemi jakąś grą światła. Na zachód widać zatokę, nad którą różne wioski i miasteczka bieleją, jak gniazda jaskółek — a wdali Tangier nad Atlantyckim oceanem. Na północ góry Ronda, zasłaniające okolice Sewilli. Widok ten przypomina widok włoskich jezior z San Salvatore nad miastem Lugano, ale o wiele przewyższa go rozmaitością i szczególniéj rozciągającym się po za zatoką horyzontem oceanu. Także bujna i wonna roślinność upaja widza i, patrząc po raz pierwszy na krajobraz afrykański, doznałem nadzwyczajnéj rozkoszy. Tu wszelki pesymizm ustaje: ta energia życia tylu kwiatów i krzewów na nieurodzajnéj skale narzuca się swoją potęgą i woła do widza, że życie może być piękném. Patrząc na te rajskie okolice, gdzie bez pracy, bez zachodu ziemia wydaje palmy, wystarczające swym plonem daktyli dla wyżywienia mieszkańców, można się zamyśléć, co mogło skłonić naszych praojców do opuszczenia ciepłych krajów i do szukania pod północném chmurném niebem nieurodzajnéj ziemi i trudną pracą okupywanych zbiorów? A jednak, gdy dłużéj pobyłem na południu, zrozumiałem, że nie chciałbym na zawsze pozostać w tym raju, w którym rozkosz odejmuje siły do pracy i czynu. Wolę zimne poddasze, oświecone łojówką a pełne myśli, niż to niewolnictwo wrażeń, do których człowiek przykuty, staje się tworem przyrody, nie jéj panem. Za wiele piękności rozmarza i osłabia; dopiéro, gdy brak zadowolenia dla zmysłów, budzi się myśl i wznosi w świat idei niewidzialnych, nietykalnych, a jednak piękniejszych, niż wszystkie tęcze barw, niż harmonie dźwięków. Na południu życie najnędzniejszego człowieka ma jeszcze zbyt wiele uroku, by wzbudzić tę litość bezbrzeżną i chęć przemian wielkich, jakie powstają w obcowaniu z nędzą naszych miast i wsi.

Jednak człowiek nie może mieć pojęcia o tém, co się mieści w ludzkiém życiu, jeśli nie poznał południa, szczególniéj Hiszpanii, gdzie życie jeszcze płynie prawie tak samo, jak tysiąc lat temu, kiedy półwysep ten doświadczył ostatniego najścia barbarzyńców. We Włoszech zbyt wiele ludów z Północy wywierało swój wpływ i pozostawiało swoje ślady—tak, że tam nie mógł się utrzymać typ prawdziwego południowca, jak na południu Hiszpanii, napojonéj krwią arabską. Włoch częściéj rozmyśla o życiu, zaś Hiszpan, szczególniéj w Andaluzyi, żyje o nic nie pytając i niedbając o jutro, poprzestając na zmianie wrażeń i nie dążąc do urzeczywistnienia idei.

Napatrzywszy się na morze i góry ze szczytu El Hacho i doznawszy istotnie południowego zachwytu nad pięknością krajobrazu rozciągającego się pod niebem bez chmur, zacząłem schodzić z drugiéj strony góry, to jest od morza Śródziemnego aby dłużéj widzieć śnieżne wierzchołki wznoszące się nad Granadą. Ścieżka, wązka i mało uczęszczana, prowadzi nad przepaścią, a cała przepaść wysłana najbujniejszą roślinnością, wyrastającą z twardéj skały i odurzającą przechodnia swą niezrównaną wonią. Niczém kwiaty alpejskie wobec tych lotnych olejków, wyrabianych przez gibraltarskie kwiaty z powietrza, pod wpływem słońca. Te zapachy, wytworzone przez intensywne życie roślin, budzą marzyciela do życia i szepczą najgorszemu pesymiście, że czasem jednak warto żyć.

Po drodze spotkałem kilka małp, które podobno nigdzie po za skałą gibraltarską w Europie dziko nie żyją. Tutaj doznają opieki rządu angielskiego, który dba o utrzymanie ich, aby wiedziano, że nawet małpom dobrze jest pod flagą Wielkiéj Brytanii. To téż nie boją się one ludzi i można się im dobrze przyjrzéć. Zwierzęta te robią wrażenie najprawdziwszych południowców: żyją, rozkoszują się życiem, nie pracują i nie filozofują. Ścieżka, prowadząca nad morzem Śródziemném ze szczytu *El Hacho* na dół, wije się nad tak prostopadłą skałą, że za każdym zakrętem wydaje się, jakby daléj iść nie mogła. Jednak zwraca się i przechodzi, wykuta w skale, o kilka metrów niżéj, niż przy wyższym zakręcie. A na całéj drodze ta sama bujna roślinność, cierniste krzaki, zatrzymujące przechodnia, i ciągle daleko w dole piana morska, rozbijająca się o tę skałę, wzdłuż któréj się idzie. W niektórych miejscach przechodzi się przez tunele, a na całéj drodze nie spotkałem żywéj duszy. Spotkanie byłoby dosyć niemiłém, bo ścieżka zbyt wązka, aby można się wyminąć bez niebezpieczeństwa upadku w przepaść, nad którą się idzie.

Po zejściu z góry trafiłem do ogrodu publicznego Alameda, gdzie właśnie dawano koncert bezpłatny. Ogród ten, wspaniale utrzymany

jest jakby wycięty z wysp Boromejskich, tylko że jeszcze więcéj w nim kwiatów i roślin, a co ważniejsza tylu ludzi w tak ciasném miejscu zebranych nigdzie nie spotkałem. Ogród wznosi się nad zatoką *Algeciras* pięknemi tarasami, i widać w nim podczas koncertu mieszkańców dwóch części świata zgodnie używających odpoczynku. Obok wystrojonych w kosztowne koronki Angielek są bosi Negrzy; obok Arabów w turbanie— sztywni Anglicy w mundurach wojskowych; Berberzy, Hiszpanie, Żydzi spacerują po tych alejach, tak starannie utrzymanych, jak gdyby były przeznaczone dla gości wyborowych. Kobiét wschodnich nie widać, ale dwie białe rasy przeciwległe mają tu swe przedstawicielki najrozmaitsze: pełne wdzięku i prostoty Hiszpanki obok śmiesznie napuszonych i niezręcznych Angielek. Jak zewnętrzny wygląd, tak i treść rozmów, których wyrazy dolatują przechodnia, bardzo rozmaita bywa. Po hiszpańsku najwięcéj słychać zdań miłosnych, po angielsku częściéj brzmią wyrazy, oznaczające pojęcia abstrakcyjne. Rzecz dziwna, że żyjąc razem Hiszpanie i Anglicy tak mało na siebie wywierają tu wpływu: po większéj części gardzą sobą wzajemnie dla różnych powodów. Ta sama pogarda panuje także między Europejczykami a Afrykanami, którzy się tu spotykają, i między rozmaitemi odmianami ras afrykańskich. Negr gardzi Arabem a Arab Negrem—i nikt nie uznaje bezwarunkowéj wyższości innego. Patrząc na objawy téj wzajemnéj pogardy i nienawiści, ukrytych pod pozorami grzeczności, a czasem brutalnie ukazujących się, gdy namiętności zapanują nad rozumem — możnaby zwątpić o rozwoju ludzkości. Jeżeli woń kwiatów i piękne widoki ze szczytu *El Hacho* mogą służyć za lekarstwo na pesymizm, to znowu dziwnie mieszana gromada ludzka u stóp skały, choć jednozgodnie wesoła i zadowolona, musi nasuwać ponure myśli bezstronnemu podróżnikowi.

Chcąc poznać bliżéj te rasy niższe, które kiedyś panowały w Hiszpanii, a dziś podrzędne zajęły stanowisko w Marocco, wybrałem się z Gibraltaru do Tangeru (wymawia się Tancher), dokąd się jedzie statkiem cztery godziny. Tam już zaczyna się inny świat. Domy bez okien i bez dachów, a raczéj z płaskiemi dachami i z oknami od wewnętrznego podwórza, zewnętrznie cechują życie wschodnie. Wązkie uliczki bez trotuarów wiją się i nigdy nie prowadzą prosto. Po nich ludzie, osły, wielbłądy razem wędrują powolnym krokiem. Niéma nazw ulic, ani numerów na domach—widać, że nie dbają mieszkańcy o cudzoziemców. To też mnóstwo przewodników narzuca swoje usługi każdemu Europejczykowi, co wyląduje, wabiąc go obietnicami różnych wschodnich widowisk, szczególniéj tańców, mających naśladować rozkosze oczekujące wiernych w raju Mahometa—wykonywanych najczęściéj przez młode żydówki.

Ciekawy widok stanowiła dla mnie karawana wracająca z Fezu i obozująca za miastem. Arabowie odpoczywali, siedząc na ziemi z nogami podciągniętemi pod siebie, i wielbłądy podobnie spoczywały na brzuchu, zupełnie bez ruchu żadnego. Nawet te wielbłądy, które jeszcze stały, niczém nie zdradzały życia: szyja wyciągnięta, oczy przymrużone od piasku pustyni, na grzbiecie stosy towarów, które wytrwałe te zwierzęta niosły przez całe tygodnie, nie mając napoju ani jadła. Przyglądałem się z zajęciem téj karawanie wielbłądów, która w Afryce zastępuje koleje. Ze szczególną powagą klęka wielbłąd stojący, nim zapadnie w ten stan zadumy i nieruchomości tak odpowiedni dla mieszkańca pustyni.

Zresztą wszędzie, na ulicach, w podwórzach wewnątrz domów widać ludzi siedzących tak, jak wielbłądy, to jest robiąc z własnych nóg rodzaj stołka, czy łoża. Niektórzy sprzedają rozmaite przedmioty, ale z powagą i spokojem nieznanym w sklepach Europy. Mówią językiem, w którym można czasem poznać wyrazy angielskie, francuskie lub hiszpańskie, przerobione na sposób marokański. Nawet żebracy mahometańscy dziwną się odznaczają powagą. Kilku leżało blisko fontanny. Jeden z nich, zobaczywszy mnie, podniósł rękę i wskazał niebo, dając mi do zrozumienia, że zapewni mi opiekę Allaha, jeśli go wspomogę. Jałmużna jest tu jednym z głównych obowiązków religijnych tak, że przyjęcie jéj stanowi dla dającego prawie taką samą łaskę, jak udzielenie dla potrzebującego.

Każdy datek jest jakby zadatkiem na bilet wejścia do raju, okupiony miłosiernėm i cnotliwém życiem. Ubóstwo nie jest tu przedmiotem wzgardy, jak u chrześcian, którzy zapomnieli o wielbłądzie, mającym przejść przez ucho igielne. U nas bogactwo nie ciąży nikomu tak dalece, żeby czuł potrzebę pozbawiać się znacznéj części tego, co ma, na korzyść biedniejszych. U mahometan, jak zresztą i w dawnéj Grecyi, biedni mają przywileje i żądają od bogatych jałmużny, jako należności. Pogląd taki zgadza się z południowemi warunkami życia, przy których bogactwo rzadko bywa wynikiem własnéj pracy. Dopiéro tam, gdzie przewaga ekonomiczna osiąga się wysiłkiem i pracą, budzi się prawdziwe poczucie własności osobistéj i prawa rozporządzania tą własnością. Dla południowca wszystko jest darem Bożym i komunizm stąd wynika, jako obowiązek.

Wielki kontrast z brudném i ciasném miastem stanowią angielskie hotele w Tangerze, urządzone z całym komfortem europejskim i pobiérające też od podróżnych odpowiednie ceny. W takim hotelu przenocowałem i nazajutrz wracałem statkiem Herkules do Gibraltaru. Na po-

kładzie spostrzegłem dziwnie swojską twarz jakiegoś dygnitarza, noszącego turban fioletowy i barwne szaty. Zdziwiony zbliżyłem się do téj osoby i zapytałem, co oznacza jéj ubiór i pokorna usłużność widoczna w tych, co go otaczali. Nie łudziło mnie pierwsze wrażenie—dygnitarz był rabinem z pod Grodna, który odznaczył się znajomością talmudu i teraz podróżuje po świecie, jako nuncyusz żydowski, błogosławiąc żydów w rożnych krajach i zbierając od nich składki na utrzymanie synagogi jerozolimskiéj. Podróżuje on w szczególny sposób, zupełnie bez pieniędzy. Składki zebrane na skutek jego kazań są wysyłane osobno do Jerozolimy — a on jak prawdziwy apostół żyje w ubóstwie. Gdy opuszcza jakie miejsce, gmina w któréj na ostatku przebywał kupuje mu bilet do miejsca, gdzie jest następna gmina żydowska, którą ma odwiedzić, a wielu wiernych towarzyszy mu i opiekuje się nim. Najbogatsi uważają sobie za zaszczyt, jeśli zechce przyjąć ich gościnność, i ofiarują mu ubranie lub obuwie, jeśli potrzebuje. Lud żydowski całuje go po rękach, jak u nas biskupów. Gdzie przybędzie, zgromadza rabinów miejscowych i tłómaczy im Pismo, a czasem daje też rozkazy treści politycznéj i innéj. Przemawia do ludu w synagogach po hebrajsku; a choć większość nie rozumie jego słów, słuchają go z uszanowaniem. Ucieszył się, gdym mu powiedział, że jestem z Polski, i rozmawialiśmy po niemiecku, bo po polsku zapomniał, a może się nie uczył. Zapytałem się go, jaki jest najmędrszy rabin na ziemi. Powiedział mi jakieś nazwisko rabina stale przebywającego w Warszawie i dodał z dumą: to mój wuj! Widać, że i ten apostół nie był wolnym od rodzinnéj próżności. Upewniał mnie, że podobni do niego emisaryusze podróżują też po Rosyi, ale starannie ukrywają swą wysoką godność.

Powróciwszy do Gibraltaru, znowu tym samym statkiem, co mnie przywiózł z Londynu, pojechałem 12-go maja daléj, do Malagi. Teraz już nie było pusto: mnóstwo pasażerów wsiadło w Gibraltarze i toczyła się ożywiona rozmowa. Miałem tu ciekawy przykład kontrastu między Anglikami a Hiszpanami. Ktoś opowiadał bardzo nieprawdopodobne awantury morskie, co wywołało z mojéj strony mimowolny okrzyk: *It is impossible*" (To jest niemożliwe!). Jeden z Anglików, słuchających dotąd biernie rozmowy, natychmiast odciął mi: „*There is nothing impossible, Sir*" (Niéma nic niemożliwego, mój panie). Trzeba było słyszéć świst tych nagromadzonych współgłosek, wykrztuszonych z energią przez barczystego marynarza, aby pojąć całe znaczenie, jakie w jego ustach miało to zdanie. Nic niéma niemożliwego dla Anglika, bo czuje on w sobie siły, by wszystkie przeszkody zwyciężyć, i obmyśla ciągle nowe środki dla osiągnięcia swoich celów. Śmiało wyzywa nieskończoność ten prosty obywatel Wielkiéj Brytanii, bez wielkiego wykształ-

cenia, może nawet bez osobistego doświadczenia usprawiedliwiającego to śmiałe wyzwanie. On nie w swojém tylko imieniu twierdzi, że nic niéma dla człowieka niemożliwego; w imieniu całéj rasy anglosaksońskiéj dumnéj i niezwyciężonéj, powołuje się na dawne zwycięstwa. To krótkie zdanie przypominało mi wszystkie dziwy energii ludzkiéj, jakie oglądałem w Londynie. Zaniechawszy dyskusyi z Anglikiem, zwróciłem się z rozmową do kilku Hiszpanów obok siedzących. Tu znowu jakaś fantastyczna opowieść wywołała moje powątpiewanie. Wtedy młoda i pełna wdzięku Hiszpanka, pierwsza przezemnie spotkana córka Andaluzyi, zwróciła ku mnie swe błękitne oczy pełne marzeń i rzekła: „*Quien sabe*" (kto wié?). To „*Quien sabe*" nie brzmiało, jak energiczne „*There is nothing impossible*" Anglika. To było melodyjne westchnienie, świadczące, że i dla Hiszpanki wszystko jest możliwém, ale inaczéj możliwém, niż dla Anglika. Wierzy ona w możliwość wszystkiego, nie żeby śmiała to wszystko przedsięwziąć, ale że jéj wyobraźnia żywa wszystko sobie umié przedstawić. Często potém słyszałem w Hiszpanii to rozmarzone i ciche: „*Quien sabe?*", jako protest uczucia i wyobraźni przeciwko ograniczeniom możliwości, stawianym przez rozum. Nie jest to wyraźne zaprzeczenie jakiéjkolwiek niemożliwości, ani wyzwanie skierowane nazewnątrz, tylko nieśmiałe wewnętrzne uchwycenie się nadziei, że wszystko to, czego nie mamy ani zdobyć nie umiemy, będzie nam dane przez zrządzenie losu. Dlatego w Hiszpanii i we Włoszech tak powszechny jest udział najuboższych ludzi w olbrzymich loteryach państwowych, których ciągnienie odbywa się kilka razy na miesiąc, a główna wygrana wynosi na Boże Narodzenie miljon pezet. (Pezeta równała się frankowi przy normalnym kursie; ale w ciągu ubiegłych kilku lat wskutek wojny na Kubie kurs pezet ulegał wielkim zmianom tak, że w pewnych epokach miewały zaledwie dwie trzecie nominalnéj wartości). Ten milion pezet spadający znienacka na biedną rodzinę— bogaci rzadko kupują losy na loteryę—urzeczywistnia tak wiele marzeń bez trudu i wysiłku, że wszystko wydaje się możliwém.

Opowiadano mi charakterystyczny fakt o téj sile nadziei, cechującéj mieszkańców Andaluzyi. W pewnym kościele co dzień gorąco modliła się jedna cyganka, głośno błagając Matkę Boską o cud. „Zrób cud, Najświętsza Panno, błagam Cię dokonaj cudu, a postawię Ci katedrę piękniejszą niż Sewilska; pokaż twoją siłę i zrób cud dla biednéj cyganki, a ona Ci będzie wdzięczną całe życie"... Organista, co dzień patrząc na te modły ciągle domagające się cudu, słysząc czasem głośne wyrzuty i jęki, skargi na zatwardziałość Matki Boskiéj, że cudu nie czyni—zbliżył się do cyganki i zapytał się, czemu wyraźnie Matce Boskiéj nie powie, jakiego cudu żąda.—„Jakże Matka Boska nie miałaby

wiedziéć, jakiego? Naturalnie, żebym wygrała wielki los na loteryi. — A jaki macie numer?—Cóż to ja mam tracić pieniądze na numera, to nie byłby wcale żaden cud, żebym wtedy wygrała, ale ja chcę wygrać z pomocą Matki Boskiéj, nie kupując żadnego numeru". Na takie cuda wszyscy w Hiszpanii po trochu liczą i dla tego tak mało sami się przyczyniają do cudów postępu. Wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe przeważnie są w ręku cudzoziemców, a młodzież nie szuka innego fachu, jak miłość. Ta miłość u Hiszpanów dziwnie dużo czasu zajmuje, bo nie prędko dąży do urzeczywistnienia swoich celów. Młody człowiek umié lata całe ubóstwiać platonicznie pannę, którą spostrzegł po raz pierwszy na ulicy i o któréj z początku nic prócz jéj zewnętrznego wyglądu nie wiedział. Rozmawiają z sobą wieczorem przez kraty żelazne, przed któremi stoi na ulicy aspirant, kiedy panna ostrożnie za niemi wewnątrz domu stoi lub siedzi. Czasem tak rozmawiają z drugiego piętra i nikt im nie przeszkadza, ani téż oni się nikogo nie wstydzą. Ten stosunek dziwny ma odrębną nazwę, nie odpowiadającą pojęciom innych narodów. Kochanek nazywa się *novio*, kochanka *novia*, i wcale przez to jeszcze nie są narzeczonymi, ani téż nie uważa się za pewne ich małżeństwo. *Novio* prawi o swéj miłości, jako o uczuciu oderwaném od życia, a *novia* przyjmuje hołdy, nie zobowiązując się do niczego, tylko dając po prostu okazyę swemu wielbicielowi do wykazania wymowy, trwałości uczuć i innych zalet. Jeśli po krótkiéj lub długiéj próbie uznają, że sobie nie odpowiadają, to stosunek ustaje i przez to panna nic nie traci na reputacyi, gdyż nigdy sam na sam ze swoim *novio* nie była, a poufne rozmowy prowadzili przez kraty. Czasem *novio* w ten sposób przez długi czas przestaje ze swoją *novią*, wcale nie dążąc do tego, żeby zostać przedstawiony jéj rodzicom. Cały stosunek dwojga młodych osób nie jest żadną tajemnicą: wiedzą o nim wszyscy ich znajomi i nie naglą do ostatecznéj decyzyi. Gdy *novio* zostanie wprowadzony do domu rodziców panny, nie pytają go się natarczywie o zamiary. Pozwalają kochać się, ile zechce, bo wiedzą, że lepiéj będzie, jeśli się młoda para doskonale pozna, nim postanowi wspólne pożycie. Panny bardzo rzadko dostają posag, nawet gdy pochodzą z bogatego domu, więc interesowność jest wykluczona ze starań matrymonialnych. Bogata panna, gdy za mąż wyjdzie, dostaje najczęściéj od swego ojca drobną kwotę corocznie na osobiste swoje fantazye, a mąż jéj musi zapewnić wszystkie potrzeby. Trafiają się naturalnie wyjątki, ale w większości wypadków kawaler, który odważyłby się zagadnąć przyszłego teścia o posag, jak to u nas bywa, zostałby odprawiony bez posagu i bez panny, a w dodatku zwymyślany i może nawet fizycznie uszkodzony za chciwość swoją.

Powyższe wiadomości, usłyszane na statku między Gibraltarem a Malagą, zostały potwierdzone przez wiele późniejszych świadectw, zebranych w różnych okolicach Hiszpanii. Rozmyślając, o nich, marzyłem już o tém, żeby w tym poetycznym kraju znaleźć dozgonną towarzyszkę i wywieźć sobie w tym kształcie trochę tego światła i ciepła południowego na Północ.

Statek zbliżał się do Malagi, i miasto rozłożone u podnóża wysokich gór ukazało się naszym oczom. Góry te zapewniają Maladze klimat niezrównany, chroniąc ją zupełnie od północnych wiatrów. Szkoda tylko, że brak zupełny lasów nadaje tym górom wygląd szczególnie martwy. Widać gdzieniegdzie drzewa figowe, winnice, pola trzciny cukrowéj, kaktusy, aloesy i wiele innych roślin.

Wstępując po raz pierwszy na ziemię hiszpańską, zaraz natrafiłem na te objawy, które mi potém często dolegały: zupełne lekceważenie czasu podróżnika i przygnębiająca formalistyka przedstawicieli władzy. Mały mój pakunek rewidowano trzy razy z rzędu. Najprzód odbyła się rewizya celna w imieniu króla Alfonsa; potém rewizya municypalna, by się przekonać, czy do miasta nie wwożę jakich produktów spożywczych; nareszcie kontrola poprzednich rewizyi, by udowodnić, że nie przekupiłem pierwszych rewizorów. Za każdym razem przerzucili wszystko, a nie wiedziałem wtedy jeszcze, że za jedną pezetę mogłem kupić sobie spokój. Kto chce z przyjemnością podróżować po Hiszpanii, ten musi dokonać psychologicznéj metamorfozy czasowéj, by stać się do Hiszpanów podobnym: utracić wszelkie poważanie czasu, uzbroić się w arabską obojętność na przeciwności, nie brać na seryo wymagań, które mu stawiają, i żartować przyjaźnie z tymi, których w duszy przeklina. Trzeba nie dbać o dalsze cele, upajać się powietrzem wonném i widokiem gór i morza, i żyć w czasie teraźniejszym bez rozmyślań o przeszłości, ani też bez obaw o przyszłość. Wtedy dopiéro poznanie Hiszpanii otworzy nam ciekawe nowe horyzonty, które wzbogacą nasze doświadczenie, wcale nie narażając nas na stałe zhiszpanienie. Zresztą dla Polaka nie trudno udawać Hiszpana, bo i my lubimy mówić „jakoś to będzie".

W jednéj Hiszpanii wśród wszystkich łacińskich narodów utrzymały się zabawy ludowe dawnych Rzymian w postaci walki byków. Na wstępie do Hiszpanii spotkałem się z tém widowiskiem. Ośm byków i kilkanaście koni było zabitych; nawzajem jeden torero niebezpiecznie raniony. Tłumy zalegały obszerną arenę, choć najtańsze miejsca kosztowały dziesięć pezet od osoby. Zwycięzcy toreros byli odprowadzani przez lud do domu z okrzykami zapału, jak gdyby wroga z ojczyzny wygnali co najmniéj. Ta namiętność do krwi rozlewu ma swoich

wymownych obrońców. Według ich zdania, jest to kult odwagi, zręczności i śmiałości — a dodajmy, że jest to także, jak było w Grecyi, kult kształtów płci brzydkiéj—bo matador występuje w obcisłym stroju, uwydatniającym potężne muskuły, i bywa zarzucany kwiatami, ciskanemi z drobnych rączek płci pięknéj. Strój cały lśni od srebra, złota i jedwabiu—prawdziwe brylanty zdobią szyję lub piersi bohatéra—bo dobry matador zarabia więcéj, niż tenor, i może sobie pozwolić na wszelkie zbytki. Na ogół są to ludzie bez ogłady towarzyskiéj, tylko wielkiéj siły fizycznéj. Jeśli który jest żonaty, to żona jego modli się przez cały czas walki, by uchronić go od nieszczęścia. Jednak, sądząc z ilości poważnych uszkodzeń, niebezpieczeństwo to nie jest tak wielkie, i większość matadorów umiéra nie na placu bitwy, lecz w łóżku, jak marynarze. Co mnie najwięcéj dziwiło, gdym patrzył na walki byków w Hiszpanii, i co chyba każdego przybysza z Warszawy musi szczególniéj dziwić, to zupełny brak totalizatora przy tych zabawach. Choć wszyscy tak się przejmują widowiskiem, nie przychodzi im na myśl zakładać się o ilość minut, w ciągu których każdy byk zostanie zabitym, lub o ilość koni, które weźmie na rogi. Hiszpanie są widzami bezinteresownymi i nie chcą robić pieniędzy na powodzeniu lub niepowodzeniu byków, koni lub toreros. Wstrzemięźliwość ta jest wielce godną uwagi w kraju, gdzie wszyscy prawie grają na loteryi. Wykształceni Hiszpanie potępiają zwyczaj narodowy walki byków, jako barbarzyństwo, lecz głos ich przebrzmiewa bez echa, bo te krwawe walki mają jeszcze więcéj namiętnych zwolenniczek niż zwolenników. Hiszpanka stroi się na walkę byków ze szczególném upodobaniem, bo tam lepiéj, niż gdziekolwiek, może być zauważoną i podziwianą, a czasem pozyskać hołd matadora, który zabija często jakiegoś byka na cześć i zdrowie najpiękniejszéj damy. Samo widowisko nie może robić wrażenia wielkiego na cudzoziemcu, który widział jatki. Zarznięcie wołu koszernym nożem nierównie jest krwawsze, niż zakłucie go sztyletem przeszywającym kark. Amatorzy byków mają tu sport odrębny, trudny do zrozumienia dla cudzoziemca. Znają oni doskonale różne gatunki ruchów wobec rozjuszonego zwierza i dokładnie oceniają trudność każdego poruszenia, jak wytrawni szachiści zapatrzeni w grę dwóch mistrzów. Łakną oryginalności bądź w ruchach byka, bądź w ruchach matadora i jego pomocników: oklaskują takie oryginalne zwroty za to, że są nowe, czego cudzoziemiec nie spostrzeże. Jak w każdém ćwiczeniu, wytwarza się tu zawiła technika. Komu te tajemnice nie są znane, ten patrzy na walkę, jak na grę w ślepą babkę, bo byk jest oślepiony przez krzyki, nagłe światło i rany otrzymane.

Znawcy wiedzą, że i byk ma duszę, która go od innych byków różni i czasem przykre niespodzianki sprawia przebiegłym zabójcom, czyhającym na jego śmierć. Żeby byk miał rozum ludzki, niewątpliwie pozabijał by wszystkich swoich przeciwników, choć oni w stal uzbrojeni, a on ma tylko rogi i kopyta. Śmiertelne pchnięcie jest trudne do uskutecznienia, bo punkt karku, gdzie trafić trzeba, jest jeden tylko, a ten sam nóż nie wiele uszkodzi, gdy trafi gdzieindziéj. Cała więc wyższość matadora polega na tém, że jest on ciągle chroniony przez kilku toreros, zręcznie odwracających uwagę byka—gdy tymczasem biedny byk sam jeden walczyć musi przeciwko całéj zgrai ludzi i koni. To też bardzo rzadko udaje mu się gruntowne ubodzenie któregokolwiek z przeciwników, i mając statystyczne dane takich wypadków, trudno jest na seryo wierzyć w niebezpieczeństwo grożące zabójcom. Ale publiczność na takich zebraniach o statystyce nie myśli, tylko cała tonie w bezpośrednich swoich wrażeniach: wzrusza się, gdy byk draśnie matadora; oburza się, gdy matador nie trafi byka; śmieje się, gdy go źle trafi; płacze, gdy byk zabije matadora; klaszcze, gdy matador zabije byka. Wierny to obraz wielu innych wystąpień publicznych, w których na opinię ludzką działają pozory, nie zaś to, co za pozorami się ukrywa.

Tegoż dnia miałem inny przykład południowego zamiłowania pozorów i zjawisk, wrogich filozoficznym dążeniom ku istocie rzeczy. Wieczorem nadbrzeżny bulwar miejski, tworzący półkole od latarni morskiéj do gmachu celnego, długości mniéj niż kilometr, roił się od ludzi. Jedna nieprzerwana ława kamienna nad morzem, ciągnąca się przez całą długość bulwaru—była zajęta przez widzów. A widowisko było szczególne. Mnóstwo powozów jechało rzędami, a gdy który dojechał do blizkiego końca, zawracał i znowu jechał napowrót, powtarzając ten manewr z powodu krótkiéj odległości co dziesięć lub kilkanaście minut. W powozach siedziały wystrojone panie i mężni panowie. Widocznie towarzystwo to woli stępa jechać w kółko na uprzywilejowanym modnym bulwarze, niż pojechać sobie kłusem za miasto; mając wypasione konie i zbytkowne powozy, najbogatsi malażanie wolą, żeby się na nich pieszy tłum gapił, niż żeby oni mieli podziwiać naturę, oddychać powietrzem bez kurzu i urozmaicać tradycyonalny spacer.

Wszak widać coś podobnego i w Warszawie w pewnych okazyach — ale tutaj jest to sport codzienny, jakby nabożeństwo jakie, i przy szczupłości miejsca to kręcenie się w kółko nad morzem szczególniéj bije w oczy.

Po ciszy i samotności oceanu, tłumy te nużyły mnie i wzbudzały chęć ucieczki. Wybrałem się za miasto, by przyjrzéć się okolicom,

i szukałem miejsca, gdzieby można się wykąpać w morzu. Choć już zaczynała się druga połowa Maja, a słońce piekło więcéj, niż u nas w najgorętszym Lipcu, miejscowi mieszkańcy nie myśleli jeszcze o kąpielach, a zanurzenie ciała w morzu w téj wczesnéj porze roku uważali za czyn większéj odwagi, niż stawienie czoła bykowi. Ostrzegali mnie nawet rybacy, że narażam się na śmierć pewną, kąpiąc się tak wcześnie,—ale doświadczenie okazało, że te obawy były płonne, a późniéj nawet na północy Hiszpanii zdarzało mi się kąpać w morzu w styczniu, bez żadnéj szkody dla zdrowia. Po kilku dniach pobytu w Maladze, postanowiłem wyruszyć w dalszą drogę ku Granadzie, by poznać Alhambrę, któréj część widziałem odmodelowaną w Pałacu Kryształowym w Londynie.

III.

Granada.

Droga żelazna z Malagi do Granady prowadzi przez wysokie góry i należy do najpiękniejszych dróg górskich. Rozmaitość widoków i dzikość krajobrazu oraz bujność wegetacyi robi tę podróż o wiele ciekawszą, niż przejazd przez Semmering lub Brenner, jeśli chodzi o porównanie ze znanemi u nas i mniéj odległemi kolejami. Z początku droga wznosi się znacznie nad poziom morza, ukazując krajobrazy wybrzeży, potém przecina pasmo gór przechodząc przez wiele tuneli i wiaduktów, nareszcie wchodzi w dolinę rzeki Genil, która płynie ze Sierra Nevada i rzuca się o kilkaset kilometrów daléj do Guadalkwiwiru. Dolina ta, nadzwyczaj urodzajna, przypomina dolinę Adige pod Meranem, bo tu i tam widać trzy piętra wegetacyi jedno nad drugiém. Najwyżéj wznoszą się drzewa owocowe, które pod Meranem dają jabłka, a pod Granadą pomarańcze, granaty i inne owocowe. Pod temi drzewami ciągną się rozpięte na nizkiém rusztowaniu krzewy winne, a nareszcie starczy jeszcze słońca na trzeci rząd plonów jarzyn bezpośrednio pokrywających powierzchnię ziemi. Pod tym względem wyzyskania gruntu, powietrza i słońca obie doliny są do siebie podobne, ale pod Meranem więcéj tkwi w tém pracy ludzkiéj, pod Granadą więcéj korzystnych warunków klimatycznych. Przytém dzisiejsi mieszkańcy doliny Genilu i wielu innych okolic Hiszpanii korzystają jeszcze z olbrzymich prac Arabów, wykonanych blizko tysiąc lat temu dla równomiernego podziału wody z gór spływającéj za pomocą godnego podziwu systemu irygacyi. Deszcze są tu latem bardzo rzadkie, w wielu latach od Czerw-

ca do Września jest zaledwie trzy lub cztery dni deszczu, więc bez irygacyi umiejętnéj słońce by wysuszyło wszystkie plony.

Tymczasem przy pierwotnéj irygacyi arabskiéj, bardzo mało udoskonalonéj przez współczesnych rolników, urodzajność gleby jest zdumiewająca. Na niektórych polach zbiéra się kilkanaście plonów do roku, a ziemia nigdy nie próżnuje. W zimie temperatura dochodzi w dzień do ośmnastu lub dwudziestu stopni ciepła, a nigdy w nocy nie upada do zera. Za to w lecie bywa czasem trzydzieści siedm stopni Celsiusza, a w Sierpniu często przeciętna temperatura miesięczna wynosi dwadzieścia dziewięć stopni, co trudno wytrzymać, jeśli kto w tym klimacie nie wyrósł.

Przybywałem do Granady w drugiéj połowie Maja, kiedy jeszcze skwary nie przeszkadzały zwiedzać okolicy, ale cała uwaga odrazu została pochłonięta przez Alhambrę. Ten pałac arabski, którego początki sięgają IX-go wieku, a większa część została zbudowana w XIII i XIV stuleciu, dziś jeszcze olśniewa każdego przybysza, choć od czterystu lat był niszczony przez chrześcian, po ustąpieniu Arabów w 1492 roku. Francuzi gościli tu w 1810 roku i następnych, obracając dawne mieszkania kalifów na koszary wojskowe i magazyny amunicyi. Przy téj okazyi zniszczyli maurytańską świątynię z XIV-go wieku, słynącą dawniéj jako jedna z najwspanialszych na świecie.

Dopiéro w 1842 roku rząd hiszpański zajął się odnowieniem Alhambry, na co z początku przeznaczono tylko sześćset rubli złotem. Od 1862 roku wielki znawca sztuki maurytańskiéj, Rafael Conbreras, zużył na to odnowienie wszystkie swe siły przez kilkadziesiąt lat i dokonał cudów. Ale któż powróci zrabowane w ciągu wieków drogie kamienie, złocenia, marmury, jedwabie, rozkoszne łoża, wszystko co fantazya samowolnych władców kiedyś zamknęła w tych murach, pokrywających przeszło włókę gruntu. Dzisiejsze szczątki zajmują jeszcze około dwóch morgów i dają wyobrażenie o zbytku, jaki tu kiedyś panować musiał. Niczém mozaiki weneckie katedry św. Marka w porównaniu z temi salami, w których każdy cal ściany i sufitu świadczy o długotrwałéj pracy artystów. Obok widać ruiny pałacu Karola V, rażące swą prostotą wobec wyrafinowanego bogactwa ozdób arabskich.

Alhambra wznosi się na wysokiém wzgórzu nad Granadą, między dwiema rzekami, które u stóp wzgórza się łączą, a cały pałac i otaczające ogrody zasilają wodą. Z jednéj strony płynie Genil, z drugiéj Darro: bystry prąd obu potoków spływających z sąsiednich wysokich gór wyżłobił urwiste doliny po obu stronach wzgórza Cerro del Sol, na którém stoją ruiny Alhambry. Za temi dolinami widać dalsze szczyty, wioski, drogi, a wszędzie najbujniejszą roślinność. Do tego raju Ma-

hometa prowadzą cieniste aleje ogrodów, poprzerzynanych setkami sztucznych strumyków, a raczéj ukrytych pod zielonością kanałów odprowadzających na dół wody Alhambry. Szmer tych strumieni miesza się ze śpiewem słowików, których pełno w tych gajach—i baje dziwne baśni, temu, co się wslucha w te monotonne dźwięki. To tętno życia, które tak widoczne było w wybujałéj roślinności suchéj skały gibraltarskiéj—tutaj bije głośniéj daleko i upaja miękką rozkoszą. To nie nasze młyny wodne karpackie, które do pracy wzywają swoim energicznym łoskotem. To szelest szat niewieścich, odgłos pocałunków, echo namiętnych oświadczeń, przypomnienie zdradliwych zbrodni, a wszystko ciągle mówi o bezpośredniém użyciu, o pełnéj czarze żywota, o kapryśnych zachciankach, bez pracy ni myśli. Pracować musieli i myśléć za tych lubieżnych panów ich liczne sługi, ofiary ich grabieży.

Wszystko w tym pałacu ku rozkoszy zmierzało i płodziło marzenia. Jeszcze dziś, po tylu stratach, niema wspanialszéj komnaty na ziemi, niż sala posłów (*sala de los Embajadores*) ze swém sklepieniem naśladującém niebo pełne gwiazd i dziwnych chmurek, z oknami otwierającemi przez misterne sklepienia widoki w trzech różnych kierunkach, ze ścianami pokrytemi nieskończoną rozmaitością wypukłych i różnokolorowych ozdób kamiennych naśladujących koronki. Podziw wzrasta przez trudności oryentacyi w tym labiryncie wskutek tego, że różne sale znajdują się nie na jednym poziomie. Nieznacznie przechodzi się z jednego piętra na drugie bez wschodów i również nieznacznie schodzi się niżéj, co wywołuje zdziwienie, gdy się tę różnicę spostrzeże. Nigdzie też prawie niéma naszych prozaicznych sufitów, ani nawet pospolitych sklepień. Każde sklepienie tu jest dziełem sztuki—to zwieszają się rozmaite stalaktyty z alabastru, to lśnią się rysunki różnokolorowe, wykonane w rozmaitych materyałach, to łuki mają formy szczególne, pociągające oko. Tak samo ściany pełne ozdób, podwórza z fontannami, rzeźbami, lasem kolumn i pachnącą roślinnością, która się w sadzawkach odbija. Któż zdoła wszystkie te zbytki opisać? A gdyby nawet ich inwentarz sporządzić, to nie zastąpiłby wrażenia, jakie robią spacery przez te sale, podwórza, ogrody — szczególniéj jeśli komuś się uda tak dobrze, jak mnie się udało, com przez kilkanaście dni z rzędu był jedynym odwiedzającym te ruiny przybyszem. Od przewodników naturalnie zdołałem się uchronić. Cóż mi pomoże wiedziéć, że w jednéj sali jakiś kalif zarznąć kazał swoich gości; w innéj utopił niewierną kochankę; z trzeciéj spuścił się na sznurze w przepaść, by ujść zemsty wroga. To są bagatele. Chodząc po tych ruinach, oddychając wonią pomarańcz, patrząc na arabeski, otaczałem się cieniami tych władców dawnych Alhambry, przenikałem się ich pożądaniami i zado-

woleniami, żyłem ich życiem odmiennném od mego, by się dowodnie przekonać, jak żadna z tych przyjemności na długo nie zdoła ujarzmić ducha. Porównywałem rozkoszne noce, które widziały te mury, z dusznemi dniami w czytelni *British Museum* i pojmowałem różnicę dwóch światów — raju doczesnego Mahometa i raju, myśli i czynu Mickiewicza. Mahomet wobec Mickiewicza wydawał mi się wtedy małym i śmiesznym—jego rozkosz nikłą i wstrętną, a Mickiewicz rósł w moich oczach, jak olbrzym.

Dobrze jest przechowywać relikwie ludzi, co żyli dla samych siebie, aby sceptyków przekonać, że idziemy naprzód, i że ideały naszych poetów są lepsze, niż te widzenia, jakie dziś jeszcze dać może Alhambra. Kiedy starczy podobnych pałaców dla wszystkich, kiedy zawiści niczyjéj wzbudzać nie będą, wtedy ich piękno zmysłowe nie będzie hamować działalności myśli. Tymczasem kosztem pracy i łez wielu poddanych musieli władcy Granady pokazać, jak można udoskonalić zewnętrzną stronę życia; gorzkiém swém doświadczeniem musieli wykazać, jak mało taka doskonałość zadawalnia naszych potrzeb, jak łatwo stracić takie skarby.

Gdym się napatrzył na arabeski, fontanny, kwiaty, rzeźby, kolumny, gdym się nasłuchał szmeru strumyków i śpiewu ptastwa—gdym się napoił tą wodą płynącą ze Sierra Nevada, prawie tak smaczną, jak źródła z pod Giewontu tryskające — zatęskniłem do ludzi — i zacząłem w mieście się pytać o uniwersytet. Wskazano mi gmach, w którym uwijało się dużo kleryków i księży, a także trochę świeckich studentów w strojach, które więcéj niż wiedza różnią ich od gminu.

Dotarłem do biblioteki, gdzie mnie bardzo gościnnie przyjęto i pozwolono przeglądać katalogi. Poznałem dziekana fakultetu filozoficznego, osobę duchowną, podobnie jak wiele innych profesorów. Dzieł Darwina tu czytać nie wolno, bo panuje mniemanie, że mogłyby zaszkodzić umysłom młodzieży. Młody profesor literatury; zapytany przezemnie, czy zna nowszych poetów francuskich, oświadczył mi sumiennie, że sumienie mu nie pozwala czytać większości tych poetów. Zresztą wszyscy bez pretensyi przyznają, że są bardzo zacofani, a wielu jeszcze dziś z przyjemnością spaliłoby heretyka. Prawie każdy się pytał, czy jestem dobrym katolikiem rzymskim apostolskim, a wszelka wątpliwość pod tym względem wielce utrudniłaby stosunki. Na czém polegają studya i wykłady, łatwo sobie wyobrazić, gdy się dowiemy, że uniwersytet w Granadzie na dzieła wszystkich nauk wydaje tysiąc pezet, czyli według obecnego kursu dwieście pięćdziesiąt rubli rocznie.

Chodziłem kilkakrotnie do biblioteki i prawie zawsze zastawałem

pustki. Raz spotkałem profesora literatury hiszpańskiéj, Don Leopoldo Eguilar, do którego miałem list polecający od Teofilo Braga. Przyjął mnie nadzwyczaj serdecznie i zaraz zaprosił do siebie, mówiąc: „Na ulicy Carrera del Darro ma pan swój dom", co znaczy, że ofiaruje mi go do mego użytku. Utarty ten frazes hiszpański nie znaczy nawet, żeby gość miał zamieszkać w ofiarowanym sobie domu. Ludzie, którzy się prawie wcale nie znają i po raz pierwszy gdzieś spotkają, często sobie wyświadczają w Hiszpanii tę grzeczność, że ofiarowują sobie wzajemnie swoje domy i potém wcale z tego nie korzystają.

Jednak, gdy z takiego zaproszenia skorzystać, to odbywa się w wielu wypadkach formalna ceremonia wprowadzenia w posiadanie gościa. Pokazują mu wszystkie pokoje, komórki, wygody — otwierają nawet sypialnie panien, śpiżarnie, wszystkie pomieszczenia, tak jakby gość miał na stałe osiąść w tém mieszkaniu i potrzebował się namyślić, jaki użytek z każdego pokoju miéć będzie. W takiéj procesyi idzie za gościem najczęściéj cała rodzina gospodarza, a gdy nareszcie wszystko obejrzano, gospodarz mówi wyraźnie: „*Usted ha tomado posesson de su casa*" (Objął pan w posiadanie swój dom)—a jednak gość, jeśli własnego domu nie ma, wraca do hotelu i nie myśli o przenosinach do ofiarowanego sobie darmo mieszkania.

Tak pokazywał mi swój piękny starożytny dom Don Leopoldo, człowiek pomimo swych sześćdziesięciu lat nadzwyczaj żywy i prawdziwie młody. Jest on zapalonym karlistą i twierdził, że partya ta w przeciągu kilku dni może zebrać liczne wojsko dla przeprowadzenia swoich celów. Jednak nie mogłem wcale pojąć, co kraj by na tém zyskał i z wszystkich rozmów wynosiłem wrażenie, że tu chodzi nie o naród, tylko jedynie o osoby. Don Karlos obiecuje pewnéj ilości osób mu sprzyjających wysokie urzędy, a osoby te znowu pociągają swoich przyjaciół za sobą, i tak się tworzy partya polityczna, pozbawiona wszelkich celów politycznych.

Don Leopoldo jest człowiekiem światowym i bywał nawet po za granicami swego kraju. Mówi on chętnie o wszystkiém i szczególne ma zamiłowanie do dawnych zabytków sztuki. Inny typ przedstawia jego kolega, profesor języka arabskiego, Don Francisco Simonet. Odwiedzałem go w zakurzonéj jego pracowni, pełnéj książek, rękopisów i obrazów świętych. Od dwudziestu lat pracuje on z wielkim zapałem nad słownikiem wyrazów arabskich, pochodzących z hiszpańskiego języka. I ten uczony ma raczéj cel polityczno-religijny, niż naukowy. Pokazywał mi obrazy świętych, którymi się otoczył, wychwalał zasługi każdego z osobna i zapytywał mnie, czy równie są wielbieni we Fran-

cyi. Francya dla niego to pojęcie ogólne, obejmujące wszystkie kraje po za Hiszpanią, bo ten nabożny staruszek nigdy nie podróżował. Pokazywał mi rękopis swego dzieła i mówił: — „Wszak pan wié, że każdą pracę należy przedsięwziąć dla chwały Boskiéj, a nie dla ludzkich pochwał, bo chwała Boska jest wieczna, a ludzkie uznanie rychło mija. Słysząc, jak francuscy uczeni obrażają Boga, twierdząc, jakoby cywilizacya arabska miała być wyższa kiedykolwiek, niż nasza, i jakobyśmy źle zrobili, wypędzając Arabów z Hiszpanii, postanowiłem dowieść ich błędu w sposób oczywisty, jasny dla każdego dziecka. W mowie każdego narodu jest złożone świadectwo jego rozwoju umysłowego, i oddawna spostrzegłem, że wiele wyrazów arabskich pochodzi z hiszpańskiego. Od lat 20-tu pracuję nad tém, by wszystkie takie wyrazy zebrać i ułożyć w porządku alfabetycznym, jako pomnik, dowodzący wyższości chrześcian nad niewiernymi, Hiszpanów nad Arabami."

Zaczął przytaczać setki wyrazów hiszpańskich i arabskich, zapalając się i tryumfując nad wrogami, przyzywając świętych wiszących na ścianach pracowni na świadków, zapowiadając ostateczne zwycięstwo moralne nad niewiernymi, równie świetne i stanowcze, jak zwycięstwa materyalne ubiegłych wieków. Słuchałem go z przyjemnością, bo dziwnie orzeźwia pod tém rozkosznėm niebem południowém głos człowieka ślepego na wszystko, co go otacza, i wytrwale dążącego do jakiegoś nieuchwytnego ideału nadzmysłowego.

A zmysłowych wrażeń w Granadzie nie brak i po za Alhambrą. Okolice są cudownie piękne, a z gór widać wszędzie malowniczą dolinę rzeki Genil, pełną drzew, kwiatów i pól. Zieloność odbija od gruntu czerwonawego, i cała rozmaitość barw, zdaleka widziana, podobna jest do arabesków i mozaik Alhambry. Woda wszędzie wązkiemi wstęgami płynąca stanowi srebrną lub dyamentową sieć zarzuconą na wszystkie te bogactwa, jakby dla uchronienia ich od zguby. Inne znowu ramy stanowią poważne rzędy cyprysów, lub czarne cienie głębokich dolin przerzynających góry. Do skał przylepione domy bieleją zdaleka i powiększają rozmaitość krajobrazu. Nagie skały urwiste, wznoszące się nad brzegami doliny, w wielu miejscach wydają się jakby strażnikami ogrodów poniżéj kwitnących tysiącem barw. Raz patrząc ze szczytu jednéj z gór nad Granadą, spostrzegłem wdali na pochyłości przeciwległéj góry ku wielkiemu zdziwieniu memu olbrzymi las świerkowy, dziwnie swą ciemną zielonością odbijający od gajów pomarańczowych i winnic. Namyślałem się, jakby dostać się do tego lasu, tak niezwykłego w tych okolicach, gdy nagle zauważyłem, że las zaczął się poruszać. Pomyślałem sobie, że to jakaś dziwna trzoda olbrzymich baranów zielo-

nych, nigdzie nie widzianych. Ale trzoda biedz zaczęła przez przepaście i strumienie, a gdy z czerwonych gór dostała się do szarych, zmieniła kolor i stała się czarną! Długo nie mogłem zrozumiéć tego cudu, aż nagle czarne stado zaczęło się rozpraszać, i wtedy dopiéro pojąłem, że ów świerkowy las był cieniem chmury, wydającym się ciemnozielonym na czerwonych skałach. Takie złudzenia sprawia słońce południowe; tam światło tworzy wszystko, a cień jest niczém i zabarwia się przez kontrast z otoczeniem. Podobnie przy zachodzie słońca lekkie chmurki różowe wytwarzały tuż obok zielone, a inne stawały się fioletowe i czarne, zlewając się tak z górami, że nie można ich było odróżnić od otoczenia. Co wieczór inne krajobrazy upiększały horyzont, a czasem, gdy na zachodzie już wszystko ściemniało, przeciwległe szczyty Sierra Nevada iluminują się, jakby oświecone złotym ogniem bengalskim ukrytym przed widzem. Zjawisko to w Granadzie inaczéj wygląda, niż *Alpenglühen* szwajcarskie, bo góry mniéj wysokie niż Alpy, a dolina, nad którą słońce zachodzi, wyżéj położona, niż doliny na zachodzie gór szwajcarskich. Więc oświetlenie niewidzialnego słońca nie sięga tak daleko, jak np. w Interlaken, ale za to rozmaitość barw daleko większa.

Przy spacerach w okolicach Granady często widziałem wille pięknie położone i starannie utrzymane. Czasem, gdy bez drogi po górach się błąkałem, wypadało mi przez ogrody takich posiadłości przechodzić dla skrócenia drogi. Nigdzie mi za to nie robiono wymówek, a gdy przypadkiem spotkałem właściciela, to na pytanie, czy mogę przejść, zawsze otrzymywałem odpowiedź, że dom i ogród są do mego rozporządzenia. Uprzejmość ta nie zawsze poprzestaje na zewnętrznéj formie, a gościnność czasem dla zupełnie obcych przybyszów zdumiewa cudzoziemców. Przekonałem się o tém, gdy w Granadzie szukałem kąpieli. Są tam pięknie urządzone łazienki, z marmurowemi wannami, z basenami do pływania, prysznicami i t. d. Ale w maju były jeszcze zamknięte, bo się otwiérają dopiéro w czerwcu. Zasmucony tą wiadomością, miałem już odchodzić, gdy właściciel zatrzymał mnie i oświadczył, że ze względu na to, że jestem cudzoziemcem, każe otworzyć łazienkę w godzinach dla mnie dogodnych. Podziękowałem mu i chciałem się dowiedziéć o cenie. Ale nie mogłem nic pod tym względem z niego wydobyć — zaręczył mi tylko, że nie przepłacę. Chodziłem co dzień i używałem dla siebie jednego całéj zbytkownéj instalacyi. Dawano mi bieliznę, dla mnie otwiérano zakład—a gdy za ostatnią bytnością chciałem zapłacić, odmówiono przyjęcia zapłaty, tłómacząc, że nie chcą brać pieniędzy za kąpiele ofiarowane przez grzeczność w czasie, kiedy łazienka była zamknięta.

Takie odmówienie przyjęcia zapłaty zdarza się w sklepach, czasem i w restauracyach, gdy chodzi o okazanie obcemu gościowi sympatyi. Opowiadał mi dramaturg Echegarray, że raz wszedł na prowincyi do pewnéj kawiarni i kazał dać sobie kawy. Usługujący *mozo* (chłopiec) podał mu żądany napój i zaczął mu się przyglądać z uwagą. Zbliżył się i zagadnął go: „przepraszam, czy pan nie jest Don Jose Echegarray?" (znał go z portretów umieszczanych w czasopismach). — „Tak jest, dlaczego się pan o to pyta?"—„Bo oddawna wielbię pański talent i chciałbym mieć zaszczyt uścisnąć dłoń pańską i prosić pana, żeby pan przyjął odemnie tę filiżankę kawy". Podobne wypadki często szczególniéj trafiają się poetom, bo téż niéma kraju, gdzieby poeci byli tak czczeni, jak w Hiszpanii.

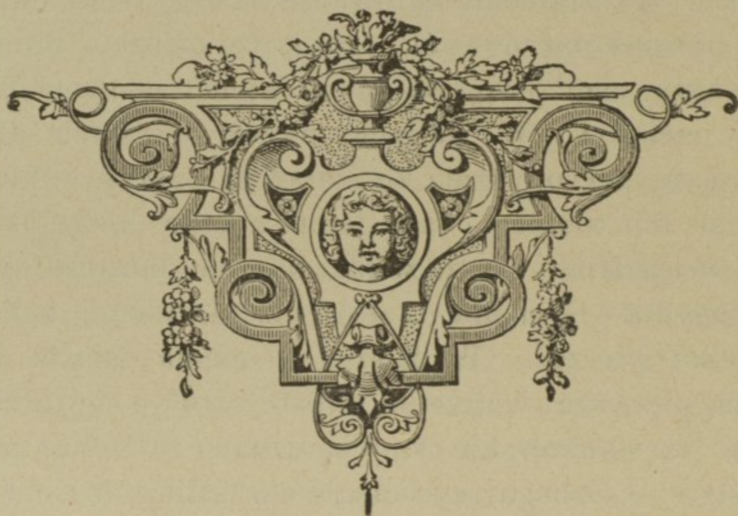
Dowody téj czci widziałem już w Granadzie. W rozmowie z ludźmi o najniższém wykształceniu cytowanie wierszy wielkich poetów hiszpańskich lub piosnek narodowych jest bardzo częste. Śpiewy słychać wszędzie i zawsze chodzi śpiewającym więcéj o uwydatnienie treści piosnki, niż melodyi. W małych nawet miastach prowincyonalnych odbywają się peryodycznie konkursy poetyczne, w których nagrodą bywa puhar lub wieniec. Gdy jedna poetka hiszpańska przybyła do Kazania i dowiedziała się, że w tém mieście, liczącém więcéj mieszkańców, niż Sewilla i Granada razem wzięte, niéma żadnego poety, nie chciała temu wierzyć. W Hiszpanii niéma miasta bez poetów. Wprawdzie na pierwsze wejrzenie łatwo wydaje się pisać wiersze po hiszpańsku, bo częstochowskie rymy są uznane za dobre przez najlepszych mistrzów. U Echegarraya ciągle się trafiają takie rymy: *pudieras*, *tuvieras*, *adivinaras*, *espantaras* etc., tak że na dziesięciu stronicach dramatu wierszem „*La Esposa del vengador*" tylko dziesięć rymów znalazłem nie stanowiących końcówek gramatycznych, a wśród tych połowę stanowią imiona własne, zmuszające poetę do niezwykłego rymu. Co kraj to obyczaj: Hiszpanie, mając mało trudnych rymów, wymyślili sobie inną trudność, która prześladuje ich w prozie równie, jak w poezyi. Nie wolno jest, aby w zdaniach po sobie następujących trafiała się ta sama kolej samogłosek. Więc jeśli użyłem wyraz kobiéta w jedném zdaniu, to już nie wolno mi w następném powiedziéć, że ktoś coś posieka. To nazywa się asonancyą, i niektórzy styliści są tak drażliwi, że uważają asonancye oddzielone od siebie setką wyrazów jeszcze za monotonność dźwięków nie do zniesienia.

Swoją drogą asonancye na końcu wierszy zastępują często rym i są bardzo cenione. Wobec takiego kryteryum estetycznego „Pan Tadeusz" Mickiewicza straciłby wszelką wartość poetyczną. Tylko,

ojczyzno; kto cię, tylko się; piękność, tęsknię po—i tym podobne analogie dźwięków drażniłyby ucho hiszpańskiego purysty, który spokojnie znosić gotów cały szereg rymów na -ami lub -ała.

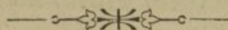
Zasada unikania asonancyi nie jest zresztą stosowana powszechnie i wielu poetów mniejsze miewa wymagania. Rzecz ciekawa, że na samogłoski Hiszpanie większą uwagę zwracają, niż na spółgłoski, bo też posiadają wielką rozmaitość kombinacyi samogłosek stanowiących oddzielne dźwięki.

W. Lutosławski.



Reforma pomocy lekarskiéj

w Królestwie Polskiém.



Choroba tak drogo moralnie i materyalnie kosztuje społeczeństwo, że w interesie dobra ogólnego wszystkie państwa dążą do zapobiegania rozwojowi chorób oraz do skrócenia ich przeciągu i do złagodzenia następstw. Jest to główną przyczyną, dlaczego stan lekarski i wiedza lekarska cieszą się uznaniem powszechném, jest to przyczyną, dlaczego społeczeństwa dążą do udostępnienia pomocy lekarskiéj.

Lekarz stał się w społeczeństwie dzisiejszém jednostką nieodzownie potrzebną, a staraniem wszystkich rozumnych obywateli jest wyszukanie sposobu, aby nikt w społeczeństwie nie łaknął napróżno umiejętnéj opieki lekarskiéj w chorobie, aby szereg instytucyi publicznych stał na straży zdrowia ogólnego i aby zastosowanie zasad nauki o zapobieganiu chorobom w życiu coraz szersze zakréślało kręgi.

Dawniéj, gdy liczba lekarzy była małą, czas ich i wiedza mogły być udziałem tylko bogatych, ubożsi czerpać pomoc musieli z drugiéj ręki: podaż była zbyt mała, a popyt duży.

Stąd też tylko stolice, tylko większe miasta posiadały lekarzy. Tu nęciło ich życie przyjemniejsze i dostatnie dochody.

Stopniowo jednak, w miarę jak coraz więcéj powstawało szkół lekarskich, w miarę jak młodzież, zachęcona zasadą: „*Galenus dat*

opes", tłumniéj cisnęła się do przybytków wiedzy lekarskiéj, łożone przez społeczeństwa koszta na utrzymanie szkół zaczęły wydawać owoce. Coraz większa liczba lekarzy opuszczała mury wszechnic, podaż zwiększała się, zaczęli więc lekarze opuszczać miasta większe, w mniejszych starali się znaleźć pole dla pracy; po kraju coraz większa rozchodziła się ich ilość tak, że dziś w krajach, stojących na wyższym poziomie cywilizacyi, lekarze już we wsi szukają utrzymania.

Ruch ten odśrodkowy, ułatwiony przez rozwijające się współcześnie środki komunikacyjne, szedł razem z obniżeniem skali wymagań lekarzy. Starodawne przysłowiowe bogactwa następców Galena coraz bardziéj przechodziły w sferę legend, dziś większość lekarzy nie o bogactwa, lecz o twardy chleb powszedni się stara: podaż się znacznie zwiększyła — popyt zaś nie nadąża proporcyonalnie. Mimo to jednak pomoc lekarska, acz tania, nie była dla wszystkich dostępną, zaczęto więc obmyślać sposoby uzyskania tańszéj pomocy dla niezamożnych. Z jednéj strony inicyatywa w tym kierunku szła od lekarzy, którzy wobec zwiększającéj się konkurencyi szukali w ten sposób podaży dla swéj pracy, a jednocześnie w imię zasad ludzkości chcieli zdemokratyzować swą pomoc, z drugiéj z samego grona potrzebujących pomocy. Zastosowano tu znaną formę ekonomiczną—spółkę i oparto zasadę wynagrodzenia również na ekonomicznéj zasadzie, że przy większéj produkcyi może być zarobek na jednostce mniejszy. Rozwój medycyny, dążenie lekarzy do zbogacania nieustannego wiedzy przez ściślejszą obserwacyę chorego, co głównie w szpitalach dziać się może, ułatwiło społeczeństwu w tym kierunku zadanie. Ofiarność lekarzy była tak wielka, że swą pracę w szpitalach i lecznicach oddawali darmo.

Nie wszyscy jednak chcą i mogą leczyć się w szpitalach, dla nich obmyśléć trzeba było inną postać pomocy taniéj. I oto w myśl powyżéj zaznaczonéj zasady ekonomicznéj zaczęto początkowo łączyć się w grupy robocze, które za pensyę stałą lub małe wynagrodzenie jednorazowe otrzymywały pomoc lekarską. Tak powstały „kasy chorych" przy fabrykach, kolejach i t. p. Jedne z tych kas mają jednego, inne kilku wybranych lekarzy; członek kasy wnosi stałą składkę tygodniową, przeznaczoną na opłacenie lekarza, lekarstw oraz zapomogi na czas choroby.

Instytucya ta, dobra w zasadzie, była chętnie popierana przez lekarzy, posunięto się jednak w Niemczech i Belgii do nadużyć w tym kierunku, takież same bowiem grupy zaczęli formować ludzie zamożni korzystając nadto z wzmagającéj się konkurencyi między lekarzami, zaczęto stopniowo płacę obniżać, doszło w końcu do tego, że jedna po-

rada przynosiła kilka fenigów, t. j. cenę nie wystarczającą lekarzowi na lokomocyę.

Istnieje zasada, iż dotąd tylko cena pracy da się obniżać, dopóki zarobek wystarcza na utrzymanie robotnika. Obniżanie ceny pracy stosują fabrykanci, nie posuwają się jednak do obniżek wyższych, gdyż wywołuje to zmowy robotnicze, a co gorsza nie pozwala robotnikowi na takie napięcie siły, aby fabrykant mógł ciągnąć zyski; robotnik pracuje gorzéj, i na obniżce fabrykant traci więcéj, niż zyskuje na obniżeniu ceny pracy.

Tak samo ma się i z pracą lekarską, wprawdzie tu wyższy poziom umysłowy, wpojone przez wychowanie i wykształcenie pojęcie konieczności zadośćuczynienia obowiązkom pobudza lekarza źle płatnego, wyzyskiwanego do sumiennego spełniania zobowiązań, trwa to jednak tylko przez czas pewien, po którym następuje wyczerpanie, zniechęcenie, co na pracy lekarskiéj i jéj wynikach odbić się musi niewątpliwie. Ci sami robotnicy, którzy walczą przeciw wyzyskowi pracodawców, wyzyskując lekarza, nie mogą dotąd zrozumiéć, że tracą wiele, bo każdy dzień dłuższéj choroby, bo ciężkie nieraz następstwa niedbałéj pomocy kosztują znacznie drożéj, niż dobra pomoc lekarska. To wyzyskiwanie pracy lekarskiéj jest tém większe, że istnieje bardzo wiele szpitali, klinik, lecznic i ambulatoryów, gdzie chorzy otrzymują poradę bezpłatną, a często bezpłatnie i całe leczenie.

To téż wobec tych stosunków coraz częściéj odzywają się ze strony lekarzy na Zachodzie głosy protestu, dochodzące niekiedy do formalnego sztrejku wobec kas chorych. Jest to protest, wywołany przez wyzyskiwanie niesłuszne i dający miarę właściwą, jak nisko spadły tam zarobki lekarskie.

To téż niewątpliwie pomoc lekarska musi się oblec w inne formy aby zadowoliła zarówno pracodawcę—społeczeństwo, potrzebujące pomocy lekarskiéj, jak i robotnika—lekarza.

Wielu piszących w téj kwestyi autorów dochodzi do wniosku, iż upaństwowienie pomocy lekarskiéj jest owym ze stron obu pożądanym środkiem i że tworzące się ciągle coraz to nowe instytucye mają na celu przyśpieszenie tego upaństwowienia.

Aby bliżéj rozpatrzyć się w téj kwestyi, trzeba zwrócić uwagę, iż dziś już w medycynie oddzielić należy 3 wykonawstwa: 1) zapobieganie chorobom, 2) leczenie chorych, 3) czynności sądowo-lekarskie i ubezpieczeniowe.

Dziś jeszcze w wielu razach jeden lekarz łączy te trzy czynności w jednéj osobie, co naturalnie nie jest pożądaną rzeczą. Trzy te

wykonawstwa, luźny z sobą związek mające, winny być stanowczo oddzielone od siebie.

Zapobieganie chorobom jest niemal jedną z ważniejszych funkcyi społecznych lekarza, jest to wprowadzanie w życie codzienne i publiczne zdobyczy naukowych i oszczędzanie społeczeństwu wielu strat moralnych i materyalnych. Instytucya lekarzy-hygienistów jest niezbędną i winna być zaprowadzoną wszędzie. W wielu już miejscach zrozumiano to, niektóre miasta większe posiadają już lekarzy-hygienistów, obowiązanych czuwać nad zdrowiem publiczném; ale miast tych jest stosunkowo mało. W krótkim jednak już czasie wszystkie miasta, wszystkie gminy wiejskie i miejskie, wszelkie instytucye publiczne, szkoły, fabryki, teatry, koleje, biura i t. p. będą miały swych doradców hygienicznych, gdyż potrzebę odczuwają już dzisiaj.

Na początek kilka instytucyi może się łączyć w grupy dla utrzymania lekarza-hygienisty, ale mieć go muszą prędzéj czy późniéj. On to ma być doradcą przy budowie domu, wyborze lokalu, on winien czuwać nad szczepieniami ochronnemi, jego obowiązkiem udzielać rad, jak zapobiedz chorobom wogóle, a zawodowym w szczególności i t. p.; rola to nader ważna i musi być wyosobnioną zupełnie, a tém samém oddzieloną od wykonawstwa leczniczego.

Dziś jeszcze często rolę lekarza-hygienisty z konieczności brać musi na siebie lekarz-praktyk. Jeżeli jakakolwiek instytucya posiada lekarza, jest on dla niéj wszystkiém, i leczy, i jest zarazem doradcą hygienicznym; w przyszłości czynności te powinny być oddzielone.

Weźmy np. epidemię; czyż można żądać od lekarza, zajętego leczeniem choroby, aby współcześnie zajmował się dezynfekcyą i przeprowadzaniem szeregu innych środków zapobiegawczych; jest to niemożliwe nietylko dla braku czasu, ale przedewszystkiém dla różnych kolizyi, jakie z tego powodu wynikają i wyniknąć muszą między lekarzem a chorym i jego otoczeniem. Nie zapominajmy, że wszystkie środki zapobiegawcze w konieczności muszą ograniczać wolę jednostki na rzecz całéj grupy mieszkańców; lekarz, który ma leczyć, musi posiadać całe zaufanie chorego i otoczenia, czynności zaś policyjno-zdrowotne, które dziś niewłaściwie go obarczają, narażają to zaufanie na szwank.

Skoro czynności te będą rozdzielone, lekarz-hygienista bezwzględnie czynić będzie wszystko, cokolwiek nakazuje mu nauka i prawo, i stosować będzie wszelkie środki wskazane bez potrzeby oglądania się na zdanie tych, którzy muszą przy tém ucierpieć w imię dobra ogólnego, wykréśli z roli dotychczasowéj lekarza-praktyka cały przykry ten

balast i pozwoli mu bez przeszkód zająć się rolą właściwą — leczeniem chorego.

A czynności sądowe, czyż i one obarczać mają lekarza-praktyka lub lekarza-hygienistę?

Stanowią one specyalność odrębną, nader ważną, wymagającą całego szeregu studyów przygotowawczych, znajomości przepisów prawa, zasad ekonomii i t. p. I te czynności częstokroć krępują lekarza dzisiejszego, są dla niego ciężarem, wreszcie stają nieraz w sprzeczności z jego zadaniami. Dziś lekarz zmuszony jest niejednokrotnie wykonać sekcyę sądową, a w kilka godzin późniéj znaleźć się u łoża położnicy lub dokonać operacyi. Trudno jest w ciągu krótkiego czasu dokonać dezynfekcyi koniecznéj, a przez to naraża się chorych na groźne następstwa, niezależne bynajmniéj od woli lekarza; prawo bowiem dziś nie pozwala na uchylanie się od obowiązku ekspertyz sądowych i nie uwalnia od tego nawet lekarzy wolnopraktykujących.

Nie koniec na tém, odrywając się od swych chorych, lekarz częstokroć wiele czasu poświęcać musi na inne czynności sądowe: na oznaczanie stopnia zdolności lub niezdolności do pracy, stopnia zdrowia, potrzebne fabrykom, towarzystwom ubezpieczeń i t. p. Czynności te nic nie mają wspólnego z właściwemi obowiązkami lekarza-praktyka, przeszkadzają mu w zajęciu z krzywdą dla chorych i społeczeństwa, ponieważ zaś nie stanowią specyalności wyosobionéj, a każdy z lekarzy daje swe opinie sporadycznie tylko, cierpią na tém ekspertyzy, wymagające bezwarunkowo pewnego rodzaju wyspecyalizowania.

Również niewłaściwą jest rzeczą łączenie obowiązków hygienisty z obowiązkami lekarza-eksperta — cierpią na tém małżeństwie niedobraném obie czynności. Rola lekarza-hygienisty wymaga ciągłéj baczności w jednym kierunku, odrywanie go od zajęć zwykłych dla czynności sądowych jest rzeczą szkodliwą. Szkodliwą również jest rzeczą dla spraw sądowych powierzanie ich hygieniście. Przy dzisiejszym stanie wiedzy w obu kierunkach z równym skutkiem pracować nie można; wprost dla braku czasu, potrzebnego na studya każdéj z tych gałęzi medycyny — jedna osoba obydwóch czynności bez szkody dla jednéj z nich wykonywać nie może. Kto ma być dobrym hygienistą, musi się wyłącznie téj gałęzi wiedzy poświęcić, musi dobrze znać chemię, bakteryologię i t. p.; kto chce być dobrym lekarzem sądowym, musi przejść wykształcenie kliniczne, dobrze znać przepisy prawa i procedurę, a nauki te nic z hygieną wspólnego nie mają.

Zrozumiano to, i w wielu już krajach na Zachodzie oddzielają stopniowo od siebie dwie te czynności.

Długo jednak zapewne czekać jeszcze wypadnie, nim postulaty powyższe wszędzie wejdą w życie, w każdym jednak razie już dziś w wielu miejscach różniczkowanie pracy lekarskiéj zaczyna się ukazywać.

W Niemczech powoli przybywa coraz więcéj lekarzy-hygienistów, Francya znów wyprzedziła inne państwa, oddawna wprowadziwszy lekarzy sądowych. W Królestwie lekarzami hygienistami, a zarazem sądowymi są lekarze powiatowi i miejscy, zostają oni pod zwierzchnictwem inspektorów lekarskich gubernialnych, lub inspektorów urzędu lekarskiego (w Warszawie). Przed kilku laty przy wprowadzeniu inspekcyi fabrycznych posady te powierzono lekarzom, a między obowiązkami inspektora fabrycznego jest zwracanie uwagi na hygienę fabryk, jest on jednak obarczony tyloma innemi obowiązkami, że właściwie tym działem swych obowiązków nie zawsze ma czas zająć się należycie. Warszawa jedna posiada lekarza-hygienistę, jest to jednak stanowczo za mało.

Z pośród lekarzy praktyków zaczynają powoli wyosabniać się lekarze biednych w Niemczech, płatni przez gminy miejskie, z obowiązkiem udzielania pomocy bezpłatnéj biednym. U nas instytucyi podobnéj niema, biedni leczą się w szpitalach, w ambulatoryach szpitalnych, w lecznicach stojących ofiarnością lekarzy, miasta i gminy miejskie dotąd na seryo o dostarczeniu pomocy biednym nie myślały.

We Francyi oddawna już w gminach urządzono pomoc bezpłatną dla biednych. Dwa są tam rodzaje główne. Jedne gminy płacą stałego lekarza, który pomocy biednym udziela bezpłatnie, w innych gmina wchodzi w umowę z kilkoma lekarzami, biedny otrzymuje książeczkę z czekami, ma wybór dowolny lekarza i za poradę wręcza mu czek, który lekarz następnie realizuje w kasie gminnéj.

Na tych samych zasadach oparłem opracowany przezemnie projekt pomocy lekarskiéj dla towarzystwa subjektów handlowych w Warszawie w r. 1895. Część członków téj instytucyi otrzymuje poradę na koszt towarzystwa, inni nabywają czeki w kancelaryi towarzystwa. Ma to tę dogodność, że każdy z członków może mieć czeki na zapas, kupować wtedy, gdy mu zbywa pieniędzy, a skoro go dotknie choroba, ma już gotowe czeki i nie potrzebuje w chwili krytycznéj wydawać pieniędzy. Umowa jest zawarta z kilkudziesięcioma lekarzami, zajmującymi się różnemi specyalnościami, członkom więc towarzystwa pozostawia się wybór dowolny. Mimo te korzyści widoczne, mimo że cena czeków jest umiarkowana, instytucya ta dotąd rozwija się słabo, nie leży bowiem w naszém usposobieniu myśl o przyszłości, a wydatek na lekarza uważany jest zawsze za *malum necessarium*.

Kto tylko głębiéj zastanowić się zechce nad stanowiskiem lekarza-hygienisty i lekarza sądowego, zgodzi się, iż winni to być ludzie niezależni, płatni od rządu, jedném słowem urzędnicy państwowi. Źródła dochodów postronnych w postaci praktyki powinny być dla nich zamknięte, co najwyżéj lekarz-hygienista, nie urzędnik, może mieć w opiece hygienicznéj fabryki i instytucye za odpowiedniém wynagrodzeniem, żadną jednak miarą nie może współcześnie leczyć w tych instytucyach, a pozycya jego względem fabrykanta musi być tak ustalona, aby mógł z całą bezwzględnością stosować prawne żądania hygieny publicznéj i zawodowéj. Lekarz sądowy zaś może mieć tylko wpływy postronne z towarzystw ubezpieczeń na życie.

Inaczéj stoi kwestya co do lekarzy-praktyków, poświęcających się leczeniu. Dziś już odzywają się głosy poważne, żądające upaństwowienia i uspołecznienia pomocy lekarskiéj, zdaje się jednak, że na razie jest to sprawa trudna do rozstrzygnięcia. Co jednak może i powinno być upaństwowione, to pomoc dla ludności niezamożnéj. Państwa i gminy mają obowiązek dostarczania pomocy bezpłatnéj niezamożnéj ludności i czynić to powinny nie tylko z obowiązku, ale i w rozumném pojęciu korzyści, jakie ztąd odnoszą. Śmierć każdego członka społeczeństwa w wieku produkcyjnym jest stratą, stratą jest również choroba, gdyż siła wytwórcza ogólna zmniejsza się wtedy — pomoc więc lekarska, chroniąca od śmierci przedwczesnéj, skracająca trwanie choroby, zapobiegająca jéj następstwom, jest obowiązkiem i interesem społeczeństwa. Dotąd u nas sprawa ta jest zwalona całkiem na barki lekarzy, którzy w miarę możności, w poczuciu obowiązków społecznych, leczą biednych darmo. Jest to rzecz niesłuszna, a co gorsza nie odpowiada zadaniu w całéj rozciągłości. Stąd téż powstały projekty zorganizowania pomocy dla biednych.

Tam, gdzie gmina ma samorząd właściwy, jak się to dzieje w Cesarstwie, obowiązkiem gminy jest myśléć o dostarczeniu ludności pomocy. Skoro więc tylko ziemstwa zaczęły być czynne, utworzono lekarzy ziemskich, niesłusznie jednak prócz leczenia obarczono ich obowiązkami sanitarnemi.

Lekarze ziemscy oddali ludności nieocenione usługi, cieszy się więc ta instytucya wielkiém uznaniem; jeżeli dziś w niektórych miejscowościach dają się słyszéć głosy przeciwne, stąd to pochodzi, że od czasu wprowadzenia instytucyi, ludność wzrosła znacznie, liczba zaś lekarzy ziemskich powiększa się w małym stopniu. Nie są już oni w możności podołać obowiązkom, stąd pewne zniechęcenie obustronne do instytucyi, któréj w zasadzie nic zarzucić nie można. Aby instytucya ta z dalszym pożytkiem istnieć mogła, należy zwiększyć personel lekar-

ski, zabezpieczyć go od wszechwładzy prezesów ziemstw, zmniejszyć terytorya obsługiwane przez lekarzy, powiększyć liczbę szpitali i zamiast obarczać lekarza ziemskiego obowiązkami sanitarno-sądowemi utworzyć oddzielne w tym celu instytucye. Rzecz dobra lat temu kilkadziesiąt nie może wystarczyć dzisiaj, postęp musi być w każdéj instytucyi, aby mogła stale odpowiadać zadaniu.

II.

Od roku już coraz częściéj słyszymy o wprowadzeniu nowéj organizacyi pomocy lekarskiéj dla ludności wiosek i miast w Królestwie. Zatwierdzono już nawet tytułem próby na lat 3 projekt, podany w tym względzie przez p. gubernatora płockiego dla gub. Płockiéj, niewątpliwie w dalszym ciągu reforma ta znajdzie zastosowanie w innych okolicach Królestwa. Nic więc dziwnego, że zainteresowanie sprawą tą wzrasta w coraz szerszych warstwach społeczeństwa.

Sprawa téj doniosłości społecznéj dla kraju nie powinna jednak być wprowadzana zbyt pospiesznie, zbadać wpierw wszystkie warunki należy, wysłuchać ludzi kompetentnych, a przedewszystkiém strzedz się szablonu. Każda grupa społeczna ma swe własne potrzeby, każde społeczeństwo inaczéj z praw mu przysługujących korzysta, to też wielki błąd popełnił by ten, ktoby chciał u nas zaszczepić np. urządzenia francuskie, niemieckie, albo nawet istniejące w guberniach Cesarstwa bez zmian odpowiednich. Najpiękniejsza idea stać się może częstokroć bezpłodną, jeżeli warunki miejscowe nie będą uwzględnione w całéj rozciągłości. Toć, aby drzewa szczepić, glebę wpierw poznać należy, inaczéj najlepsza płonka da drzewo bezpłodne,

Społeczeństwo nasze na wieść o gotującéj się reformie zajęło się nią szczerze. Towarzystwa lekarskie, prasa lekarska i ogólna są dziś polem do obszernéj dyskusyi, a mamy już cały szereg opracowanych projektów, które oczekują na odpowiednią ocenę przy wprowadzaniu reformy.

W ciągu r. b. na szpaltach „Kroniki lekarskiéj” i „Medycyny”, które pilnie śledzą za rozwojem projektów, spotykamy cały szereg rozpraw, pochodzących od lekarzy bliżéj stykających się z ludem. Zasługują one na uwagę nie tylko lekarzy, ale wszystkich tych, którym ta ważna sprawa społeczna nie jest obojętną.

Kwestyi bynajmniéj za wyczerpaną uważać nie można, jest to zaledwie początek poważnych nad tą sprawą dyskusyi, uważam więc za rzecz pożyteczną zapoznać z nią czytelników Ateneum.

Reforma służby zdrowia obchodzi całe społeczeństwo, wszyscy w dyskusyi wziąć udział powinni, tylko bowiem przez uwzględnienie poglądów zarówno lekarzy, jak i osób bliżéj stykających się z ludem, można dojść do prawdy i uniknąć szkodliwych zawsze omyłek.

Aczkolwiek dla każdéj miejscowości Królestwa wypadnie tworzyć odmienne nieco urządzenia, typ jednak ogólny będzie jeden, punkty wytyczne téż same, a oto głównie mi chodzi.

W tym celu zapoznam czytelników z już istniejącemi projektami, które w świetle krytyki zamierzam przedstawić, porównam ich wartość, wykażę braki, o ile możności objektywnie, aby czytelnik mógł sam własne wyrobić sobie zdanie.

Każdą sprawę jednak od początku badać należy, to téż przedewszystkiém zapoznam czytelnika ze stanem obecnym pomocy lekarskiéj w Królestwie.

W tym celu rozpatrzyć się wypadnie w danych statystycznych.

Cyfry odnośne dla Królestwa brałem z częściowo ogłoszonych wyników spisu jednodniowego z r. z. (co do ludności); najtrudniejsze zadanie miałem co do liczby i rozmieszczenia lekarzy, brać je musiałem z różnych sprawozdań oraz z danych ogłoszonych przez d-ra Polaka. Niewątpliwie, okażą się tu niejakie błędy: tak jednak wpłynąć mogą mało na wynik ogólny, że można nie zwracać na nie uwagi. Statystyka lekarzy zmienia się corocznie skutkiem śmierci, zmian miejsca popobytu i osiedlania się nowych lekarzy, dlatego też może być tylko blizką, nie zaś zupełnie zgodną z rzeczywistością. Cyfry otrzymałem przez porównanie kilku źródeł i dlatego uważam je za najwięcéj do prawdy zbliżone.

Ułożyłem wszystkie dane w 4 tablice, dające nam, jak zobaczymy, odpowiedzi na te pytania, które w ciągu niniejszéj pracy poruszyć zamierzam.

Z tablicy I-éj widzimy przedewszystkiém, że ludność Królestwa wynosi 9,442,590 i że ludność ta ma do rozporządzenia 1577 lekarzy. Stosunek zatém ogólny lekarzy do ludności jest taki, że jeden lekarz wypada na 5,960 mieszkańców. Dane odnośne co do państw ościennych dowodzą, że jest on znacznie tam niższy, w Austryi bowiem w r. 1897 jeden lekarz wypadał na 3333 mieszkańców, w Niemczech na 2187 (r. 1894).

Aczkolwiek jednak stosunek liczby lekarzy do zaludnienia daje nam już pewną miarę skuteczności pomocy lekarskiéj, wyraźniéj fakt ten występuje, skoro weźmiemy pod uwagę i skupienie ludności, wtedy jeszcze wyraźniéj wystąpi ten stosunek na niekorzyść Królestwa, bo gdy

Tablica I.

Nazwa gubernii	Przestrzeń w wiorstach kwadratowych	Liczba ludności	Liczba lekarzy	1 lekarz wypada na wiorst kwadr.	1 lekarz wypada na mieszkańców	Odsetka ogólnéj liczby lekarzy
I Warszawska z Warszawą	15,399.2	1,932,063	863	17,7	2,238	54,3%
Warszawska bez Warszawy		1,317,311	128	119	10,130	8,1%
II Piotrkowska z Łodzią	10,763,4	1,4069,51	223	48,2	6,309	14,1%
Piotrkowska bez Łodzi		1,092,171	111	97	9.092	7%
III Radomska	10.854	819,781	67	164	12.235	4,2%
IV Kielecka	8,868,6	764,087	60	140	12,129	3,8%
V Kaliska	9,861,3	846,334	70	141	12,093	4,4%
VI Lubelska	14,789,4	1,152,602	96	151	11,782	6,0 %
VII Siedlecka	12,580,8	774.139	57	221	13,546	3,6%
VIII Płocka	8,287,3	555,819	37	223	16,103	2,3%
IX Łomżyńska	9,265,9	585,781	36	257	16.271	2,3%
X Suwalska	10,824,3	604,973	48	227	12,604	3%
Razem z Warszawą i Łodzią	411,324,6	9,442,500	1,577	150,5	5,953	—
Razem bez Warszawy i Łodzi		8,512,958	730	174	11,550	45,9%

w Niemczech 1 lekarz wypada na 22,6 kilom. kw., w Królestwie średnio na 150,0 wiorst kw.

Galicya nawet jest już lepiéj stosunkowo obsłużona przez lekarzy, szczególniéj jeśli zwrócimy uwagę, że ani jedno miasto nie posiada tam tyle ludności i lekarzy, co Warszawa i Łódź. W Galicyi na 6,551,415 mieszkańców wypada 910 lekarzy, 1 lekarz więc wypada na 7422 mieszkańców, w Królestwie natomiast bez Warszawy i Łodzi na 8,512,958 mieszkańców jest 730 lekarzy, czyli 1 lekarz wypada na 11,550 mieszkańców.

Jeszcze lepiéj obsłużone są Czechy, gdzie 1 lekarz wypada na 3,054 mieszkańców.

Z zestawień tych widoczną jest rzeczą, że zarówno pod względem stosunku ilościowego, jak i gęstości zamieszkania lekarzy, Królestwo

jest uboższe od krajów ościennych, o nadmiarze zatém lekarzy mówić nawet prawa nie mamy, jeżeli bierzemy pod uwagę całe Królestwo, a nie pojedyńcze miejscowości.

Niewątpliwie, w Niemczech i Czechach ludność stoi na wyższym poziomie umysłowym, zatém i częściéj, niż u nas, korzysta z wiedzy lekarskiéj, ale o Galicyi żadną miarą twierdzić tego nie można, a jednak liczba lekarzy jest tam stosunkowo wyższa i nie tylko nie zmniejsza się, ale zwiększa z każdym rokiem. Cyfry odnośne podałem z r. 1894, a od tego czasu powstał nowy wydział lekarski we Lwowie, wywołany niewątpliwie zapotrzebowaniem większéj liczby lekarzy.

Wobec tego dojść musimy do wniosku, że Królestwo z Warszawą i Łodzią posiada wogóle mniéj lekarzy, niż Niemcy, Austrya i Czechy, a bez Warszawy i Łodzi mniéj nawet niż Galicya, a to biorąc absolutnie i względnie.

Zobaczmy teraz, jak się dzielą lekarze pomiędzy różne miejscowości.

Z tablicy I-éj widzimy, iż pod względem stosunku do zaludnienia najwięcéj obfituje w lekarzy, jeżeli odtrącimy cyfry dla Warszawy i Łodzi, gubernia piotrkowska, fabryczna, posiadająca kilka miast większych, daléj idą warszawska, lubelska, kaliska, kielecka, radomska, suwalska, siedlecka, płocka i łomżyńska.

Mniéj więcéj ten sam stosunek zachodzi i co do rozmieszczenia lekarzy w stosunku do przestrzeni, najgęściéj zamieszkują lekarze gubernię piotrkowską i warszawską, daléj idzie kielecka, kaliska, lubelska, radomska, siedlecka, płocka, suwalska i łomżyńska.

Cztery zatém ostatnie gubernie są zarówno pod względem stosunku ilościowego, jak i co do przestrzeni, najgorzéj obsłużone przez lekarzy.

Ten sam wypadnie stosunek, jeśli weźmiemy pod uwagę odsetkę ogólnéj liczby lekarzy w poszczególnych guberniach, i tu na czele postawić wypadnie gubernie warszawską i piotrkowską, późniéj idą koleją lubelska, kaliska, radomska, kielecka, siedlecka, suwalska, płocka, łomżyńska.

Są to dane co do gubernii wziętych w całości. W pojedyńczych guberniach stosunek uwidoczniają tablice II, III i IV.

Widzimy z nich, że kiedy wogóle w miastach większych znajdujemy 992 lekarzy, czyli 63,6% wszystkich lekarzy zamieszkałych w Królestwie, w miejscowościach pozostałych jest tylko 565 lekarzy, czyli 37,4%, z tego 21% we wsiach, osadach i miasteczkach, a 16,09% w miastach powiatowych. W saméj Warszawie natomiast praktykuje 47% ogółu lekarzy w Królestwie.

Tablica II.

Nazwa gubernii	Nazwa miast większych w gubernii	Liczba lekarzy: w gubernii	w miastach większych	w m. powiatowych miasteczkach i wsiach	w miastach powiatowych	w miasteczkach, osadach, wsiach
Warszawska	Warszawa	863	735	128	57	71
Piotrkowska	Łódź	223	112	84	39	45
	Piotrków		13			
	Częstochowa		14			
Radomska	Radom	67	14	53	22	31
Kielecka	Kielce	60	12	48	13	35
Kaliska	Kalisz	80	12	58	18	40
Lubelska	Lublin	96	36	60	23	37
Siedlecka	Siedlce	57	7	50	12	38
Płocka	Płock	37	13	24	15	9
Łomżyńska	Łomża	36	11	25	16	9
Suwalska	Suwałki	48	13	35	17	19
	Razem . . .	1557	992	565	231	334

Tablica III.

	Warszawa Łódź Częstochowa m. gubern.	Warszawa	Łódź	Miasta gubernialne	Miasta powiatowe	Miasteczka, osady i wsie	Całe Królestwo prócz Warszawy
Odsetka ludności	13%	6,5%	3,3%	3,2%	86,93%		93,5%
Odsetka lekarzy	63,6	47%	7,1%	9,6%	16%,	21%,	45,9%
					37%		

Tablica IV.

Nazwa miasta	Liczba mieszkańców	% ogólnej liczby mieszkańców w Królestw. Polskiém	Liczba lekarzy	% ogólnej liczby lekarzy w Królestw. Polskiém	1 lekarz wypada na mieszkańców
Warszawa	614,752	6,5	735	47	836
Łódź	314,780	3,3	112	7,1	2,848
Lublin	46,881		36		1,302
Częstochowa . . .	45,136		14		3,223
Piotrków	30,372		13		2,335
Radom	28,740		14		2,053
Plock.	27,070		13		2,082
Siedlce	23,515	3,2	7	9,5	3,357
Suwałki	22,515		13		1,732
Kalisz	20,752		12		1,728
Kielce	20,579		12		1,714
Łomża	20,000(?)		11		—
Razem . .	1,234,871	13	992	63,6	—

Nie będę rozpatrywać stosunku lekarzy do liczby ludności w guberniach poszczególnych, czytelnik znajdzie odpowiedź przy uważném przepatrzeniu tablic i sam sobie wnioski wysnuć potrafi. Na jeden fakt jednak zwrócić muszę uwagę: na niestosunkowość między osiedleniem się lekarzy w miastach większych w porównaniu do innych miejscowości, gdy bowiem 63,6% ogółu lekarzy praktykuje śród 13% ludności miast większych (Warszawa, Łódź, Częstochowa i miasta gubernialne), pozostałe 86% ludności musi się zadawalniać obecnością zaledwie 37% ogółu lekarzy.

Wynika z tego, że gdy Warszawa, licząca zaledwo 6,5% ludności Królestwa, posiada aż 47% ogółu lekarzy, Łódź z 3,3%—7,1%, a inne miasta gubernialne z 23,2% — 9,5%, pozostałe miasta, osady i wsie pozbawione są niemal pomocy lekarskiéj.

To skupienie się lekarzy w Warszawie tém wydatniéj i mniéj normalnie się przedstawi, jeśli weźmiemy pod uwagę inne miasta w Europie.

Hamburg na 625,552 ludności ma zaledwo 487 lekarzy, czyli 1 lekarz wypada na 1284 mieszkańców, w Warszawie zaś 1 lekarz wypada na 836 mieszkańców (p. t. IV), prawidłowszy nieco stosunek znajdujemy w Łodzi, która ma 1 lekarza na 2948 ludności, kiedy równe jéj co do zaludnienia Drezno ma stosunek 1:1000.

Stosunek liczby lekarzy do ludności, biorąc ogólnie, wtedy jest prawidłowy (w miastach), jeśli jeden lekarz wypada na 1000 — 1500 ludności wobec tego dwa miasta w Królestwie—Warszawa i Lublin—mają zbyt wielką liczbę lekarzy, wszystkie zaś inne mogą dać utrzymanie jeszcze dość znacznéj ich liczbie.

Ze wszystkich tablic płynie jeden wniosek, że Warszawa w swych murach gości zbyt wielką liczbę leczących, liczbę znacznie stosunkowo większą niż inne miasta Europy, pozostałe miasta prowincyonalne, a szczególniéj miasta powiatowe, miasteczka i osady mają za to znacznie niższą od przeciętnéj liczbę lekarzy.

Gdyby nawet jednak Warszawa wysłała nadmiar lekarzy na prowincyę, to i tak stosunek ogólny lekarzy do ludności i przestrzeni jest znacznie niższy, niż w krajach ościennych, czyli że płonne są skargi na nadmiar lekarzy.

Wobec względnie małego popytu na lekarzy w odleglejszych od ośrodków cywilizacyi miejscowościach na brak lekarzy w Królestwie nie skarżą się miasta większe, głównie zaś brak lekarzy odczuć się daje na wsi oraz w osadach i miasteczkach.

Zachodzi tu pewna nieścisłość w rozumowaniu, gdyż lekarze, mieszkający w miastach gubernialnych, obsługują nie tylko ludność miejską, ale i wiejską, miasta gubernialne nadto posiadają szpitale, w których leczy się ludność całéj gubernii, błąd ten nie jest tak wielki, jakby się to na pozór zdawało, gdyż obecność lekarzy w miastach większych mieć może znaczenie tylko dla ludności bliżéj miasta zamieszkującéj, dalsze okolice w wyjątkowych razach korzystać mogą z usług lekarzy miast większych.

Toż samo stosuje się do Warszawy, która naturalną rzeczy koleją obsługuje nietylko ludność miejską, ale i całą prowincyę, tu bowiem jest wszechnica, tu praktykują specyaliści, tu są dobrze urządzone szpitale prywatne.

Ludność jednak prowincyi, szukająca pomocy lekarskiéj w Warszawie, należy do sfer zamożniejszych, stanowiących małą odsetkę ogółu, cała masa ludności zadawalniać się musi siłami miejscowemi.

Z powyższego wynika:

1. Liczba lekarzy w Królestwie jest wogóle stosunkowo do ludności zbyt mała.

2. Większość lekarzy skupia się w miastach większych.

3. Ludność małomiasteczkowa i wiejska ma co do liczby lekarzy pomoc niedostateczną.

4. Najwięcéj nadmiar lekarzy odczuwać się daje w Warszawie, w innych miastach Królestwa stosunki są prawidłowsze.

Zapoznawszy się na mocy cyfr odnośnych z faktami, zwrócić się musimy do wyjaśnienia przyczyn.

Niewątpliwie, skupienie się lekarzy w Warszawie posiada wiele złych stron: zbytnia podaż zawsze obniża wartość, co odbija się i na jakości pomocy. Ratuje nieco sytuacyę specyalizacya, rozwinięta w Warszawie; lepiéj by jednak było dla ogółu, aby specyalizacya ta miała miejsce we wszystkich miastach większych, znaczna wtedy suma wydawanych w Warszawie na pobyt i podróż pieniędzy byłaby zaoszczędzoną.

Istnieć tedy muszą specyalne przyczyny, czemu lekarze tak usilnie starają się pozostać w Warszawie. Że nie jest przyczyną nadzieja lepszych zarobków, rzecz to oczywista, dziś nikt z lekarzy, pozostających w Warszawie, nie łudzi się co do tego.

Najgłówniejszą przyczyną jest ogólne przekonanie naszéj inteligencyi, że życie na prowincyi z konieczności zdziéra z mieszkańca polor wielkomiejski, że zabija energię, robi z inteligentnego pracownika rzemieślnika, machinalnie, bezmyślnie wykonywającego swój zawód, jest ospałość prowincyi, brak szerszego życia społecznego, brak podniet podnioślejszych, które życie człowieka inteligentnego czynią mniéj ciężkiém wobec walki o byt. Ale to przekonanie na pół tylko jest racyonalne. Błądzimy w kole zaczarowaném. Kto ma ożywić ową prowincyę, kto ma wnieść tam życie, myśli podnioślejsze, jeśli młoda inteligencya stale się przed wyjazdem na prowincyę broni. Jest wiele uprzedzeń w tém przekonaniu: kto chce, wszędzie ognisko życia intelektualnego stworzyć sobie może. Na dowód przytoczę jedno spostrzeżenie. Do roku bieżącego towarzystwa lekarskie prowincyonalne słabe dawały objawy życia, prasa lekarska warszawska nie otrzymywała prawie żadnych z nich informacyi. W pierwszym zeszycie „Kroniki lekarskiéj" z r. b. fakt ten podniosłem, nawołując towarzystwa do ściślejszego zespolenia się z życiem naukowém przez nadsyłanie sprawozdań z posiedzeń, które „Kronika lekarska" stale teraz drukuje. I oto przekonała się Warszawa, że Lublin, Kalisz i Łódź pracują rzetelnie, że sprawozdania z posiedzeń zawierają wiele spostrzeżeń cennych, że jednem sło-

wem praca na prowincyi nietylko nie ustaje na polu naukowém, ale, dzięki kilku jednostkom dzielnym, które umieją naokoło siebie roztaczać blaski, życie naukowe wzmaga się tam z dniem każdym.

Kto więc z lekarzy chce, może nie zrzekać się na prowincyi wyższych aspiracyi, ale pielęgnować je daléj, będąc poniekąd pionierem w tych miejscowościach, gdzie dawna ospałość trwa daléj. Nawet lekarze w małych osiedli miastach przy ułatwionéj komunikacyi mogą, jeśli zechcą, brać w życiu naukowém i społeczném udział czynny.

Niewątpliwą jednak jest rzeczą, że utrudnienie komunikacyi pociąga za sobą mniejsze osiedlanie się lekarzy, tak np. najmniéj praktykuje lekarzy w gub. suwalskiéj, łomżyńskiéj, płockiéj, które mają komunikacyę kolejową bardzo utrudnioną, a choć i kaliska pod tym względem nie grzeszy, ma za to bliskość granicy i Wrocławia, który dla Kalisza ośrodek cywilizacyjny stanowi. Pewną więc opieszałość w osiedlaniu się lekarzy na prowincyi stanowi brak komunikacyi.

Największą jednak przeszkodą w osiedlaniu się lekarzy na prowincyi stanowi konieczność konkurencyi z felczerami i nieznajomość ludu wiejskiego. To głównie przestrasza młodych lekarzy. Po skończeniu uniwersytetu większość ma chęć wyjazdu na prowincyę, zostaje jednak w Warszawie czas pewien dla uzupełnienia wiedzy praktycznéj w szpitalach i klinikach. Tu jednak „psuje się”, jeśli wolno tak się wyrazić, życiem wielkomiejskiém i po roku wszelkiemi siłami stara się pozostać w Warszawie, choćby klepiąc biedę. Odstraszają ich stosunki prowincyonalne, a głównie zupełna nieznajomość ludu, na którym oprzéć byt wypadnie. Lekarz, jeśli zna lud, to co najwyżéj z książki, styczności bliższéj z nim nie ma i dopiéro po długoletniéj praktyce może posiąść tę znajomość.

Z gorącém sercem, z chęcią niesienia jaknajlepszéj pomocy, z duszą pełną pragnień niesienia światła w chaty—dąży młodzieniec wielkomiejski na prowincyę, ale nieubłagana rzeczywistość listek po listku skubie róże ideału, aż obnaży szpetną łodygę—życie prawdziwe. Kto ma hart ducha i sił moralnych zapas, i z tą łodygą przejść przez życie potrafi, a nawet w rękach jego łodyga odżyć i nowemi listkami okryć się może, ale pełne ponęt i zarazem środków do osłabienia hartu życie wielkomiejskie nie sprzyja tym warunkom. Dla tego w sercu lekarza młodego toczy się walka między chęcią odważnego działania i walki z przeciwnościami, a gnuśnością ducha; niestety, ostatnia zbyt często zwycięża.

Lud nasz leczy się u felczerów, jest to prawda niezbita. Aby lud dla leczenia pozyskać, trzeba walczyć z tą falangą szkodliwych uzurpatorów, a właśnie do téj walki wielu brak odwagi i sił. Felczer zna

lud dobrze, jest mu blizki pojęciami, wychowaniem, pochodzeniem, łatwiéj więc porozumiéć się z nim może, łatwiéj wnika w jego potrzeby i łatwiéj umié schlebiać jego skłonnościom, lekarz jest daleki od tego, wyrósł w innych pojęciach, w innych sferach; aby zrozumiéć chłopa, sądzi, że zniżyć mu się potrzeba.

Jest to jednak z gruntu błędne mniemanie, chłop ma swą logikę, swój zdrowy rozsądek, ale jako natura pierwotna, jest zdolny sądzić tylko z faktów oczywistych, rozumowanie, spekulacya rozumowa są to dla niego niedostępne rzeczy. On widzi, że felczer postawi mu bańki, da lekarstwo, złoży złamaną kończynę i weźmie jedno honoraryum, tymczasem lekarz weźmie honoraryum za poradę, odeszle do apteki po lekarstwo, za które płacić potrzeba, do felczera, który znów każe za każdą czynność zapłacić sobie sowicie — rozumuje więc: mam chodzić od Anasza do Kajfasza i wszędzie płacić — wolę iść do felczera, który leczenie hurtem opłacić każe. I chodzi lud do felczerów tam, gdzie lekarz chce po wielkomiejsku praktykować, tam zaś, gdzie lekarz czynności felczerskie sam załatwi, powie odrazu dobre rokowanie, chłop unika felczera, bo rozumie jednak, że lekarz ma kwalifikacye wyższe. Przyznać atoli trzeba, że częstokroć sława lekarza od jednego zawisła wypadku. Chłop nawet w czasie długotrwałéj choroby wezwie lekarza raz jeden, nie wymaga za to, aby chory wyzdrowiał, nie obchodzi go nazwa choroby, wystarcza mu, aby lekarz oświadczył stanowczo, czy chory „wyżyje", czy umrze, a jeśli „wyżyje", to kiedy zdrów będzie. Jeśli lekarz dobre postawi rokowanie, bez względu na wynik leczenia zyskuje sławę, w przeciwnym razie jest „nieznającym", na ostrożne więc wypowiadanie zdania, na jasne postawienie kwestyi lekarz zwracać musi uwagę. Są to częstokroć jednak rzeczy, przechodzące możność lekarza.

Trzeba więc szukać sposobu przekonania ludności wiejskiéj o wyższości pomocy udzielanéj przez lekarzy. W chirurgii, w akuszeryi lud wyższość tę już zrozumiał i to stanowi główny rodzaj praktyki prowincyonalnéj, przekonać zaś go o pożytku pomocy lekarza w chorobach wewnętrznych może tylko szpital. Tam, gdzie poziom oświaty się zwiększa, tam gdzie ludność ma częstszą styczność z miastami, gdzie często z pomocy lekarskiéj w szpitalach korzysta, powoli wpaja się przekonanie w lud, o wyższości leczenia u lekarzy i o właściwém stanowisku felczera, jako pomocnika lekarza, tam gdzie szpitali jest mało—różnica ta ginie i lud spieszy dla wymienionych przyczyn chętniéj do felczera... Najpilniejszą więc potrzebą jest zamiana leczenia wyjazdowego i ambulatoryjnego na szpitalny.

W miastach większych, gdzie ludność jest oświeceńsza, niechętnie wogóle niezamożnych leczymy w domu, gdyż pomoc nasza jest krępo-

wana tyloma najrozmaitszemi względami, iż często schodzi do zera, cóż mówić o mniéj oświeconym, biédnym ludzie wiejskim, który ani nie posiada odpowiednich wiadomości do pielęgnowania chorego, ani nie jest w możności zadosyćuczynić zaleceniom lekarza. Tylko szpital, tylko nadzór stały nad chorym może mu zdrowie częstokroć powrócić, uważam więc za przyczynę główną niepowodzeń lekarskich brak szpitali na prowincyi, szpital bowiem jest tam nietylko instytucyą leczniczą, ale i cywilizacyjną.

Z powyższego widzimy, że główną przyczyną skąpego osiedlania się lekarzy po za miastami większemi jest felczeryzm i brak szpitali, a także mała znajomość ludu i trudne skutkiem tego porozumienie między lekarzem a pacyentem.

Pierwszym dwom postulatom zadosyćuczynić łatwo przez zakładanie szpitali oraz dokonywanie przez lekarza wszelkich czynności przy chorym, przez zupełne usunięcie felczera.

Trudniéj co do trzeciego, na to lat potrzeba, należy więc zachęcić lekarzy do osiedlania się śród ludu przez jakie takie zabezpieczenie im bytu, aby mogli stopniowo zyskiwać zaufanie i przetrwać najcięższe wszędzie początki.

Że coraz trudniejsza walka o byt w miastach zmusi w końcu lekarzy do osiedlania się po wsiach i osadach — rzecz to zupełnie naturalna, długo jednak czekać jeszcze wypadnie, a tymczasem lud pozbawiony jest opieki umiejętnéj, marnuje czas na chorobę, marnuje nieraz życie, co jest stratą dla całego społeczeństwa. Decentralizacyę więc przyspieszyć należy, wprowadzając rozumnie pomyślaną reformę.

Obok powyższych postulatów przy układaniu projektów baczyć jednak należy, aby stwarzane posady lekarzy wiejskich nie były synekurami, jak to się dzieje niezbyt od Królestwa daleko, ciężko zapracowane pieniądze ludu do tworzenia synekur nie nadają się wcale.

Te punkty wytyczne mieć muszę na uwadze przy rozbieraniu i krytyce tych projektów, które na wieść o gotującéj się reformie powstały. Aby jednak nie narzucać czytelnikowi własnego zdania, w części III-éj pracy niniejszéj przedstawię projekty objektywnie, poczém dopiéro odpowiednie wnioski w IV części zestawię.

III.

Zacznę od projektu, przedstawionego władzom przez towarzystwo lekarskie lubelskie.

II. Projekt Towarzystwa lekarskiego lubelskiego.

Zadaniem służby zdrowia według tego projektu, ogłoszonego w zeczycie IX „Kroniki lekarskiéj" ma być: a) publiczna ochrona zdrowia, b) bezpłatna pomoc dla biednych. Pomoc mają otrzymywać chorzy w ambulatoryach lub w domu chorego, w szpitalach lub domach schronienia.

Opiekunami organizacyi są wybieralne na lat trzy na zebraniach gminnych osoby z cenzusem naukowym ukończonych 4-ch klas gimnazyum. Służbę zdrowia pełnią lekarze i personel niższy, wreszcie apteki.

Corocznie opiekunowie wraz z wójtami oraz pełnomocnikami gminnymi formują listy biednych; biedni stanowić mogą 20% ogółu ludności i otrzymują pomoc lekarską bezpłatnie za okazaniem wydawanéj im w tym celu karty imiennéj.

Lekarz jest mianowany przez gubernatora na przedstawienie rady opiekuńczéj powiatowéj, wzmocnionéj przez komitet opiekunów; początkowo lekarz otrzymuje nominacyę na lat 3, skoro w tym czasie skarg żadnych nie będzie, pozostaje już na stałe na zajmowaném stanowisku.

Jako okręg lekarski, proponuje projekt 3 gminy. W obrębie tego okręgu lekarz ma współdziałać przy wykonywaniu czynności sanitarno-policyjnych, leczyć chorych w ambulatoryum oraz w domu; przy ambulatoryum jest 2—4 łóżek dla umieszczania chorych w ciężkich i wyjątkowych wypadkach. Do pomocy lekarz ma felczera, w każdéj zaś gminie jest babka. Lekarstwa chorzy otrzymują z apteki, znajdującéj się w okręgu, taksa będzie ułożona przez komisyę specyalną.

Niezależnie od tego, projekt żąda rozszerzenia istniejących szpitali oraz budowania nowych.

Takież same urządzenia proponuje towarzystwo lubelskie dla miast: w mieście, gdzie jest ludności poniżéj 10,000, ma być 1 lekarz, w większych po 2-ch, w Lublinie 5, przy ambulatoryum w mieście jest akuszerka, felczera nie ma.

Oto szemat organizacyi; pomijam szczegóły mniéj ważne, podam natomiast budżet organizacyi, opracowany przez towarzystwo:

A. Pomoc lekarska w gminach:

41 lekarzy po 500 rs.	20,500
41 felczerów po 150 rs.	6,150
mieszkania i opał dla felczerów	4,100
141 babek po 50 rs.	7,050
41 aptek po 500 rs.	20,500
41 ambulatoryów po rs. 500 . .	20,500
Razem .	78,800

B. Pomoc w miastach:

16 lekarzy po rs. 400 . .	6,400
16 akuszerek po rs. 150 .	2,400
16 aptek po rs. 300 . . .	4,800
Razem rs. .	13,600

C. Szpitale i przytułki:

Szpitale	36,500
Przytułki. . . .	21,900
Razem rs. .	58,400

A więc:

Pomoc wiejska. .	78,800
" w miastach	13,600
Szpitale	58,400
Razem rs. .	150,800

B. Projekt d-ra Dolińskiego.

Punktem wyjścia dla projektu towarzystwa lubelskiego był opracowany przez d-ra Dolińskiego wspólnie z d-rem Kwaśniewskim projekt pomocy lekarskiéj w gminach. Projekt ten został złożony władzom jeszcze w 1882 r. (Patrz. „Kron. lek." Z. VIII r. b.).

Okręg lekarski według tego projektu był równoznaczny z okręgiem sądu gminnego (3 gminy). Lekarz był obowiązany w granicy okręgu: a) leczyć w mieszkaniach, ambulatoryach, b) pilnować stanu sanitarnego okręgu, c) szczepić ospę, d) wykonywać nadzór weterynaryjny, e) rozpowszechniać między ludem zdrowe zasady hygieny i medycyny popularnéj, f) zbierać dane statystyczne, g) prowadzić księgi sprawozdawcze, h) zastępować lekarza powiatu. Lekarz ma do pomocy felczera i 5 babek.

Budżet był następujący:

41 lekarzy po 750 rs.	rocznie	30,750
41 felczerów po 75 rs.	"	3,075
205 babek po 35 rs,	"	7,350
aptekom po 250 rs.		10,250
	Razem rs.	51,425

Dla pokrycia téj sumy projekt radzi wprowadzić pogłówne po 7 kop. od osoby. Otrzymana stąd suma pokryje koszta powyższe, a nadwyżka otrzyma następujące przeznaczenie: 1) na utworzenie szpitali 6—8 łóżek w miejscu zamieszkania lekarza, 2) na dopłaty aptekom wolnym za lekarstwa, 3) na naukę babek, 4) na kupno narzędzi.

C. Projekt inspektora gub. lubelskiéj.

P. Frinowskij, inspektor wydziału lekarskiego w rządzie gub. lubelskim, złożył władzom swój własny projekt (Porównaj „Kronika lekarska" Z. VIII r. b.).

Według tego projektu lekarz ma udzielać pomocy w miejscu zamieszkania, a nadto w ciągu tygodnia odwiedzać posterunek, urządzony

w środku okręgu i obsługiwany przez felczera, zostającego pod kontrolą lekarską. Wszyscy będą się leczyć bezpłatnie, lekarstwa przygotywywać mają w ambulatoryach z gotowych środków felczerzy.

Okręg lekarski stanowi $^1/_4$ część powiatu i obejmuje 25,000 ludności, okręg felczerski $^1/_8$ część powiatu, czyli 12,500.

Projektowany budżet wydatków na utrzymanie personelu i lekarstwa jest następujący:

40 lekarzy po 1,500 rs. . .	60,000
80 felczerów po 360 rs. . .	28,800
40 akuszerek po 20 rs. . .	8,000
Na lekarstwa	24,000
Inne wydatki.	17,200
Razem . .	138,000 rubli

Fundusze, potrzebne dla urzeczywistnieniu projektu, radzi dr. Frynowskij zaczerpnąć z podatków dodatkowych, które w przecięciu wynoszą 12 kop. na osobę.

D. *Projekt gubernatora płockiego.*

P. gubernator płocki opracował projekt samoistny, który uzyskał sankcyę prawną i tytułem próby na lat 3 ma być wprowadzony w gubernii płockiéj. (Patrz „Kron. lek." z r. 1897).

Projekt jest oparty na zasadach następujących: Cała gubernia dzieli się na 8 okręgów lekarskich. W każdym okręgu jest szpitalik na 8 łóżek oraz ambulatoryum, przy szpitalu i ambulatoryum mieszka lekarz, felczer oraz felczerka-akuszerka (siostra ze zgromadzenia Ś-téj Elżbiety).

Obowiązkiem lekarza jest: 1) leczenie chorych w szpitalu, 2) administracya szpitala, 3) przyjmowanie 2 razy na tydzień chorych przychodzących w szpitalu, 4) przyjmowanie 2 razy na tydzień na posterunkach ambulatoryjnych w okręgu (w 12—20 w. odległości), 5) odwiedzanie przez 3 dni w tygodniu chorych w mieszkaniach. Felczerka-akuszerka ma zajmować się gospodarstwem szpitala, szczepić ospę i wyjeżdżać do porodów; felczer ma jeździć z lekarzem na posterunki ambulatoryjne, pomagać mu w przyjęciu chorych, oraz przygotowywać lekarstwa i szczepić ospę.

Pomoc w ambulatoryum jest bezpłatna, wydawanie lekarstw częścią bezpłatne, częścią po 10 kop. od lekarstwa.

Budżet wydatków jest następujący:

8 lekarzy pensya oraz na rozjazdy	8,000	rubli
8 felczerów „ „ „	2,820	„
8 felczerek-akuszerek „	3,280	„
8 szpitali.	8,800	„
Lekarstwa w szpitalach	800	„
„ w ambulatoryach . . .	1,600	„
Utrzymanie ambulatoryów. . . .	1,200	„
Kancelarya	280	„
Narzędzia . . . . , ...	360	„
Razem . .	26,640	rubli

Na pokrycie wydatków projekt przewiduje:

a) podatki:

1. właściciele ziemscy 5,9 kop. z dziesięciny czyli za 251,130 dzies.	15,167	57
2. właściciele miejscy 10% podymnego. . .	3,405	22
3. handlujący i przemysłowcy 5% od patentu	3,202	37
4. właściciele gorzelni 5% od patentu . . .	128	53
	21,900	60
b) Dochód od 45,480 lekarstw po 10 kop. .	4,548	—
	26,448	60

E. Projekt gubernatora kieleckiego.

Projekt ten oparty został na tych samych prawie zasadach, co w gubernii płockiéj („Kronika lekarska" Z. XIX r. b.). Gubernia dzieli się na 11 okręgów lekarskich ze szpitalikami po 10 łóżek oraz z ambulatoryum dla chorych przychodzących; niezależnie od tego w okręgu są 2 posterunki, odwiedzane przez lekarza kolejno w ciągu tygodnia. Lekarz ma do pomocy felczera i felczerkę-akuszerkę. Leczenie w szpitalikach jest darme, natomiast chorzy przychodzący płacą za lekarstwa po kop. 10.

Budżet wydatków jest następujący:

a) pensye 11 lekarzy	9,900	rubli
„ 11 felczerów	2,640	„
„ 11 felczerek-akuszerek .	3,970	„
b) na rozjazdy dla personelu . . .	2,200	„
c) na utrzymanie szpitali	12,100	„
d) na lekarstwa	1,000	„
e) na potrzeby szpitalne.	880	„
f) najem lokali dla ambulatoryów .	1,650	„
Razem . .	34,430	rubli

Wydatki te mają być pokryte: a) z 5,5% od podatku gruntowego i podymnego od obywateli ziemskich, b) z 10% podymnego i liwerunkowego od obywateli miejskich, c) z 5% od patentów dla przemysłowców i handlujących, d) z opłat 10-cio kopiejkowych za lekarstwa.

F. Projekt d-ra Klarnera.

Dr. Klarner w liście pisanym do redakcyi „Kroniki lekarskiéj" (Z. XX z r. b.) proponuje utworzenie dla gubernii lubelskiéj 47 okręgów lekarskich. W okręgu mieszka lekarz, który ma obowiązek przyjmować codziennie chorych ambulatoryjnych bezpłatnie, odwiedzać głowy rodzin bezpłatnie w ich mieszkaniach na dostarczonych podwodach, przyjmować 2 razy na tydzień na posterunku ambulatoryjnym, gdzie stale mieszka felczer, zostający pod kontrolą lekarza, prowadzić szpitalik gminny. Akuszerka odbiéra dzieci u głowy rodziny (wdowa) oraz u biednych bezpłatnie, u innych po rublu od porodu, odwiedza położnice; felczer leczy pod kontrolą lekarza i działa w zakresie swéj kompetencyi. Tym sposobem autor proponuje 47 okręgów lekarskich, 74 felczerskich, 97 akuszerek, 47 szpitalików na 6 łóżek, 74 ambulatorya.

Koszt utrzymania jednego okręgu wyniesie:

1 lekarz.	800	rub.
2 felczerów . . .	600	„
3 akuszerki . . .	600	„
apteka	300	„
utrzymanie szpitala	1,642	„ 50 kop.
	3,942	r. 50 kop.

Potrzebną sumę dla utrzymania okręgu dr. K. proponuje zaczerpnąć:

a) z 8 kop. podatku od morgi,

b) z 10 kop. podatku od rs. 100 ubezpieczenia od ognia w osadach,

c) z 10% od podatku z patentów handlowych.

Wyniesie to na 4 gminy około 4,800 rub., remanent radzi użyć na ulepszenia, gratyfikacye i t. p.

Lekarz jest wybieralny przez gminę na lat 6, przy powtórnym wyborze otrzymuje 1,000 rubli pensyi, przy następnym 1,200 rubli.

9. *Projekt Towarzystwa lekarskiego w Łodzi.*

Projekt został ułożony przez towarzystwo lekarzy w Łodzi na żądanie p. gubernatora piotrkowskiego („Medycyna” r. b. N. 25).

Jako zasady, projekt przyjmuje: 1) uczynić pomoc lekarską dostępniejszą dla mieszkańcow osad i wsi, dając możność lekarzowi zamieszkania bliżéj ludności zamiejskiéj i poświęcenia jéj wyłącznie swéj pracy, 2) dostarczyć ludności niezamożnéj i małozamożnéj całkowicie bezpłatnéj pomocy lekarskiéj oraz lekarstw bezpłatnie, 3) dostarczyć wszystkim rodzącym bezpłatnéj pomocy akuszeryjnéj, 4) dostarczyć wszystkim lżéj chorym pomocy lekarskiéj w ambulatoryum, 5) dostarczyć całéj ludności osad i wsi pomocy w szpitalach ucząstkowych, a w nagłych wypadkach i w lecznicach okręgowych, 6) dostarczyć niezamożnym chorym nieuleczalnym przytułku bezpłatnego.

Te punkty wytyczne posłużyły Towarzystwu do opracowania projektu reformy tylko dla ludności wiejskiéj, gdyż miejska: a) ma ułatwione bardzo znalezienie lekarza, b) posiada szpitale, ambulatorya i przytułki, c) towarzystwa dobroczynne i stowarzyszenia pomocy dla chorych, d) ludność robocza ma oddzielną organizacyę fabryczną.

Według projektu, lekarzy okręgowych mianuje rada dobroczynności powiatowa i gubernialna na zasadach ogólnych. Liczba lekarzy unormowana jest w ten sposób, jak w projekcie towarzystwa lubelskiego, okręg równa się okręgowi sądu gminnego—3 gminom.

Obowiązkiem lekarza okręgu jest zamieszkiwanie w osadzie i wsi położonéj w środku okręgu, nadzór nad działalnością felczera i babek (1 babka na gminę), przyjmowanie bezpłatne w ambulatoryum ludności niezamożnéj, zarządzanie lecznicą okręgową, odwiedzanie chorych i rodzących w obrębie okręgu końmi dostarczonemi przez chorego, szczepienie ospy.

Świadectwa ubóstwa wydawać mają osoby przez zebranie gminne upoważnione, projekt wszakże ogranicza liczbę niezamożnych do 40% ogółu ludności.

Felczer zamieszkuje w tém samém miejscu, co i lekarz, i spełnia tylko polecenia lekarskie, babka mieszka w gminie, obowiązana jest udzielać pomocy wszystkim rodzącym i wezwać w razie potrzeby lekarza.

Prócz 45 lecznic po 2 łóżka w każdym okręgu lekarskim, przeznaczonych dla tych, którzy do dalszego szpitala udać się nie mogą, w gubernii piotrkowskiéj ma być urządzonych 8 szpitali po 20 łóżek. W każdym takim szpitalu ucząstkowym jest 2-ch lekarzy i 1 felczer.

Niezależnie od tego w miejscowości blizkiéj kolei projektuje się przytułek na 120 łóżek, licząc łóżko na 10,000 mieszkańców.

Nie ograniczając się do szkicu projektu, tow. łódzkie opracowało budżet szczegółowy:

A. Koszt urządzenia pomocy lekarskiéj:

1.	Urządzenie 45 ambulatoryów po 2,500 rubli. . .	16,250 rubli
2.	Budowa 8 szpitali po 10,000 rubli	80,000 „
3.	Urządzenia szpitalne po 2,000 rubli.	16,000 „
4.	Budowa przytułku dla nieuleczalnych	50,000 „
5.	Urządzenie przytułku	5,000 „
6.	Wykształcenie 151 babek po 60 rs.	9,060 „
	Razem . .	180,310 rubli

B. Utrzymanie roczne:

45 lekarzy okręgowych	po	850 rubli	38,250	rubli
Mieszkania dla lekarzy	„	150 „	6,750	„
8 lekarzy szpitalnych	„	350 „	2,800	„
8 pomocn. lekarzy szpitaln.	„	250 „	2,000	„
1 lekarz przytułku	„	300 „	300	„
45 felczerów okręgowych	„	250 „	11,250	„
Mieszkania dla felczerów	„	50 „	2,250	„
8 felczerów szpitalnych	„	150 „	1,200	„
151 babek wiejskich	„	150 „	22,650	„
45 lokali na lecznice i utrzym.	„	300 „	13,500	„
Leki proste dla lecznic i babek	„	310 „	15,510	„
Utrzymanie 8 szpitali	„	3,500 „	28,000	„
Utrzymanie przytułku			8,760	„
Odnawianie budynków			900	„
Kancelarya			1,325	„
Szczepienie ospy			1,000	„
Na powiększenie środków wydz. lek. gub.			1,000	„
		Razem	165,945	rubli

Na pokrycie wydatków towarzystwo łódzkie projektuje przeznaczyć fundusze: a) z sum idących na szpitale warszawskie, b) z sum płaconych szpitalom przez gminy, c) z podatku dodatkowego 10%-ego od podatków gruntowego, podymnego i 20%-ego od patentów handlowych, razem około 165,000 rubli rocznie, a mianowicie:

a) od obywateli ziemskich 2,376	66,000 rubli
b) od 26,360 włościan I kategoryi, t. j. posiadających więcej niż $7^1/_2$ dziesięcin ziemi po rub. 1 k. 50	39,540 „
c) od 31,870 włościan II kategoryi, posiadających mniéj niż 7,5 dzies. ziemi po rub. 1	31,870 „
d) od mieszkańców osad podatek mieszkaniowy	3,000 „
e) 20% od opłaty za świadectwa handlowe	25,000 „
Razem. .	165,410 rubli

Na urządzenie przeznacza towarzystwo łódzkie podatek z roku pierwszego. Obliczając ludność gubernii piotrkowskiéj na 1,200,000, wypadnie podwyższyć dotychczasowe podatki o 14 kop. na osobę.

H. Projekt inspektora lekarskiego gubernialnego d-ra Marcelego Lewińskiego dla gubernii Warszawskiéj.

Na żądanie władz naczelnych w Królestwie dr Marceli Lewiński, jako inspektor lekarski, wygotował projekt dla gubernii warszawskiéj.

Autor projektu, osnutego na dokładnéj znajomości stosunków oraz kilkunastoletniém doświadczeniu, jest zwolennikiem leczenia chorych w szpitalach, w tym więc kierunku najwięcéj rozwinął swój projekt. Na mocy długoletnich obserwacyi, jako władza naczelna lekarska w gubernii, dr. Lewiński przedewszystkiém zwraca uwagę na brak należytéj pomocy dla chorych umysłowych i chorych wenerycznych. W żadnym z projektów dotychczasowych kwestye te poruszane nie były. Nie znaczy to, aby projekt pomijał inne potrzeby; jak zobaczymy, uwzględnia je w całéj rozciągłości, zasługą jednak autora jest zwrócenie uwagi na powyższe pierwszorzędnego znaczenia braki.

Wogóle projektowana reforma, ogłoszona w Z. XX „Kroniki lekarskiéj", obejmuje 3 działy: 1) reforma szpitalnictwa, 2) pomoc dla ludności miejskiéj, 3) pomoc dla ludności wiejskiéj.

I. Reforma szpitalna. Dotąd w gubernii warszawskiéj na 1,317,311 mieszkańców (bez Warszawy) jest 6 szpitali z 252 łóżkami, naturalnie cyfra ta wystarczyć żadną miarą nie może, gdyż 1 łóżko wypada na 5,660 mieszkańców, przedewszystkiém więc projekt obejmuje zwiększenie liczby łóżek w szpitalach. Szpitale dotychczasowe przyjmują wszystkich chorych z wyjątkiem chorych umysłowych, dla których w z a s a d z i e, jest przeznaczona część szpitala w Tworkach mówię w z a s a d z i e gdyż w r z e c z y w i s t o ś c i brak tam miejsc stale, na umieszczenie chorego trzeba czekać kilka miesięcy, a przez ten czas chory bądź wyzdrowieje, bądź, co bywa częściéj, stan ostry przejdzie w przewlekły, rokujący mało nadziei na wyzdrowienie. Przez ten czas chory jest narażony na brutalne obejście ciemnego otoczenia, pozbawiony wszelkiéj racyonalnéj pomocy lekarskiéj, a otoczenie narażone na niebezpieczeństwo ze strony chorego.

Dla tego téż projektodawca żąda przedewszystkiém utworzenia 50 łóżek dla chorych umysłowych w szpitalach już istniejących w Kutnie, Włocławku, Łowiczu, Pułtusku, Skierniewicach, oraz w nowo zaprojektowanym szpitalu Nowo-Mińskim. Współcześnie z otwarciem tego ostatniego szpitala zaleca projekt przerobienie szpitala w Mieni na sanatoryum dla suchotników, gdyż szpital ten, położony śród lasów,

posiada wszelkie ku temu warunki. Reforma nadto żąda wzmocnionego nadzoru nad chorymi wenerycznymi i w tym celu proponuje powiększenie szpitali o 65 łóżek dla téj kategoryi chorych.

Tym sposobem według projektu liczba łóżek szpitalnych zwiększy się o 115, czyli że 1 łóżko wypadnie na 3,590 mieszkańców—stosunek już znacznie bliższy normy.

Z uwagi, iż w czasach ostatnich liczba dni szpitalnych zmniejsza się stale, autor projektu zaleca leczenie bezpłatne w szpitalach, gdyż ludność, korzystająca ze szpitali, faktycznie nie jest w możności opłacania 33,3 kop. dziennie. Opłata ta wobec szczupłych funduszów szpitala jest ściągana od byłych pacyentów szpitalnych z całą surowością, znieść ją więc koniecznie należy, a powstały stąd brak zapełnić przez pobiéranie podatku specyalnego na wzór podatku płockiego. To zniesienie opłaty powinno wszakże dotyczyć tych, którzy przedstawią świadectwa ubóstwa, oraz mieszkańców tego powiatu, gdzie szpital się mieści, mieszkańcy innych powiatów winni wnosić opłatę, sądzi bowiem autor, iż na téj drodze pobudzi inne powiaty do zakładania szpitali.

II. Reforma pomocy w miastach według projektu iść powinna drogą wytkniętą już przez autora i użytą w kilku już miastach. Zasadą główną jest urządzanie wszędzie ambulatoryów dla chorych przychodzących, w ambulatoryach tych chorzy, przedstawiający świadectwa ubóstwa, otrzymują poradę i lekarstwa proste darmo, inni wnoszą opłatę 10—30 kop.

Prócz ambulatoryów w miastach, gdzie dotąd niema szpitali, mają być otwarte lecznice (szpitaliki) na 4 łóżka etatowe i 1 nadetatowe. Znaleźć tu mogą pomoc chorzy z cierpieniami wewnętrznemi, a nadto położnice i wyjątkowo chorzy chirurgiczni.

W myśl tego w Mszczonowie, Brześciu Kujawskim, Gąbinie, Warce, Kałuszynie, Zakroczymiu, Radzyminie, Nasielsku, Nowym Dworze, Nowomińsku i Błoniu mają być otwarte ambulatorya z 5 łóżkami, w Kutnie, Pułtusku, Grójcu i Łowiczu bez łóżek, w pozostałych miastach podobne ambulatorya już są czynne.

Zarządza ambulatoryum i szpitalikiem lekarz, udziela tam porad, dokonywa operacyi drobnych i t. p.; ambulatoryum ma swego kuratora i jest pod kontrolą rad dobroczynności publicznéj powiatowéj i gubernialnéj. Urządzenie ambulatoryum wyniesie około 700 rb., utrzymanie roczne 1,700 rb., a fundusze niezbędne, zdaniem autora projektu, winny być dostarczone przez odnośne magistraty. Na baczną uwagę zasługuje w tym projekcie tworzenie lecznic z 5-ma łóżkami w miastach, pozbawionych szpitali, niewątpliwie bowiem są to zarodki przyszłych szpitali, gdyż zwiększyć liczbę łóżek zawsze jest łatwiéj, niż tworzyć nową instytucyę.

III. Reforma pomocy dla ludności wiejskiéj pomyślana była mniéj więcéj w tym samym duchu. I tu będą podwaliną ambulatorya z 5-ma łóżkami w osadach i wsiach większych. Pomoc ma być zupełnie bezpłatna. Ambulatoryum składa się z 2-ch izb na 5 łóżek, izby na ambulatoryum, kuchni, pralni, wanny, mieszkań dla lekarza, felczera i babki. Lekarz udziela pomocy w szpitaliku i ambulatoryum i w wyjątkowych tylko razach odwiedza chorego w jego mieszkaniu, do pomocy w czynnościach ma felczera i babkę, lub osoby w tym celu przez siebie wykwalifikowane. Projekt przeznacza na gubernię 45 ambulatoryów, z góry jednak zastrzega się projektodawca, że liczba to zbyt mała i że wypadnie ją zwiększyć. Będą więc urządzone szpitaliki z ambulatoryami w Raciążku, Radziejowie, Osiennicach, Piotrkowie, Lubrańcu, Kowalu, Chodeczu, Lubieniu, Krośniewicach, Czerwińsku, Strzelcach, Żychlinie, Sannikach, Iłowie, Kiernozi, Bielawie, Młodzieszynie, Sękocinie, Nowém Mieście, Węszycach, Solcu, Bolimowie, Łyszkowicach, Żyrardowie, Grodzisku, Nadarzynie, Błędowie, Mogilnicy, Piasecznie, Górze Kalwaryi, Chinowie, Brudnie, Wilanowie, Mokotowie, Kołbieli, Siennicy, Latowicach, Jabłonnie, Tłuszczu, Stanisławowie, Pomiechówku, Serocku, Wyżkowie, Kamieńczyku i Jadowie.

Tym sposobem liczba łóżek w gubernii zwiększy się o 45×5=225, czyli wraz z poprzedniemi do 592, na 1 łóżko szpitalne wypadnie 2225 mieszkańców.

Utrzymanie roczne pomocy dla ludności wiejskiéj wyniesie:

45 lekarzom po 400 rubli	18 000 rb.
45 felczerom „ 180 „ . . . . . , .	8,100 „
45 babkom „ 120 „	5,400 „
utrzymanie 225 łóżek (po 120 rb. na 5 łóżek)	24,000 rb.
lekarstwa	9,000 „
przyrządy apteczne	4,500 „
wynajęcie 45 lokali po 300 rb.	13,100 „
kancelarya po 66 rb.	2.700 „
	85,200 rb.

Fundusze na ten cel otrzymać można z podatku równomiernie rozłożonego między ludność (około 6 kop. na osobę).

Projektodawca chce przedewszystkiém zwiększyć liczbę łóżek w istniejących szpitalach, urządzić w 1-szym roku tylko ambulatorya, a w następnym i szpitaliki przy nich.

IV.

W rozdziale poprzednim starałem się zgrupować wszystkie dotąd istniejące projekty reformy zupełnie objektywnie, obecnie muszę przejść do krytycznego ich zestawienia, do zaznaczenia ich stron dodatnich i ujemnych.

Z tego zestawienia krytycznego wynika mój pogląd na sprawę, czytelnik jednak zarazem ma możność wysnucia z zestawionego materyału swoich własnych wniosków.

Reformę lecznictwa u nas wobec tego, co powiedziałem w rozdziale drugim niniejszéj pracy, uważam za rzecz konieczną i pilną, ale reforma powinna odpowiadać istotnéj potrzebie, powinna być oparta na podstawach racyonalnych i gruntownéj znajomości ludu, dla którego jest przeznaczoną; dla tego też udział w pracy powinni wziąć wszyscy i bynajmniéj nie sądzę bym wyczerpał w pracy niniejszéj wszystko, coby się dało w téj kwestyi powiedziéć. Z tém zastrzeżeniem przystępuję do oceny projektów dotychczasowych.

Dla dokładnego przeglądu, musimy zwrócić uwagę na pytania następujące:

1. Czy dotąd ogłoszone projekty, które z nich mianowicie i pod jakim względem dają postęp w porównaniu ze stanem dotychczasowym?

2. Czy posiadamy dostateczną liczbę lekarzy dla wprowadzenia reformy?

3. Czy potrzebna jest pomoc felczerów?

4. Jak zorganizować pomoc dla położnic?

5. Jaki przyjąć należy systemat w organizacyi pomocy dla ludu naszego?

6. Plan ogólny wprowadzenia reformy, jakie prawa zasadnicze uchwalić należy, a co przekazać uznaniu grup pojedyńczych?

7. Wnioski ogólne i plan reform dalszych.

Każde z pytań, zaznaczonych powyżéj, to temat do rozpraw oddzielnych, tyle tu kwestyi spornych pierwszorzędnego znaczenia, ponieważ jednak posiadamy kilka gotowych projektów, zdrowo pod pewnemi względami pojmujących reformę, praca jest ułatwiona, a zestawiając ją z rysem teraźniejszości, podanym w rozdziale II-gim, możemy już dojść do pewnych wniosków konkretnych, któremi podzielić się chcę z czytelnikami.

Jako tezę pierwszéj części swéj pracy, starałem się przeprowadzić podział pracy lekarskiéj. Z tego też punktu widzenia wystąpić muszę przeciw zalecanemu przez projekty d-ra Dolińskiego, tow. lek. lubel-

skie obciążaniu lekarza-praktyka czynnościami sanitarnemi, które godzić się z jego bezpośredniemi obowiązkami nie mogą. Pod tym względem przyznać należy wyższość wszystkim innym projektom.

Po za leczeniem chorych, od lekarza okręgowego co najwyżéj wymagać można szczepienia ospy ochronnéj w pewnych okresach czasu, cała zaś jego czynność sanitarna polegać winna na zawiadamianiu lekarzy powiatowych lub miejskich o zjawieniu się epidemii, stosowanie zaś środków zaradczych należyć powinno do personelu administracyjno-lekarskiego. Lekarz w miarę zauważonych braków w hygienie powierzonego mu okręgu może zawiadamiać o tém lekarza powiatu, nie jest to jednak obowiązkiem jego urzędu, a raczéj potrzebą obywatelskiéj działalności — wykonawstwo hygieniczne obarczać go nie powinno.

Nie znaczy to bynajmniéj, aby lekarz nie miał być pionierem nauki o zdrowiu, aby żywém słowem nie wszczepiał w lud jéj zasad, aby nie wskazywał na rażące braki i drogą obywatelskiego wpływu na miejscowe władze nie starał się pobudzić ich do odpowiednich czynów; to jest obowiązkiem każdego obywatela, który ma środki po temu, a więc i lekarza, wspartego wiedzą i doświadczeniem; ludność jednak powinna wiedziéć i wierzyć, że nie wprowadza on nic przymusowo.

Projekt warszawski takie połączenie czynności administracyjnych z lekarskiemi proponuje w miastach, aczkolwiek tu jest o to połączenie urzędów łatwiéj, bo teren jest mniejszy, i tego nie uważałbym za pomysł szczęśliwy, lepiéj by było dwie te czynności nawet w miastach rozdzielić między 2 lekarzy—obie sprawy na tém zyskają i lecznictwo i podniesienie stanu zdrowotnego.

Żaden z projektów, prócz d-ra Dolińskiego, nie wpomina o tém, aby lekarz miał obowiązek zastępowania lekarza powiatu w czynnościach sądowych; sądzę więc, że wszystkie mają na uwadze wykréślenie tych czynności z obowiązków lekarzy okręgowych, należałoby to jednak ująć w formę prawa, aby żadna niejasność nie pozostała pod tym względem.

Przechodzimy do dalszych punktów reform projektowanych.

Na wstępie zaznaczyłem już, że za postęp uważam tworzenie jaknajwiększéj liczby szpitali bezpłatnych, w których ludność miałaby dobrą opiekę lekarską. Temu zasadniczemu zadaniu reformy projekty odpowiadają w niejednakowym stopniu.

Wyższość leczenia w szpitalach chorych niezamożnych jest widoczna dla każdego, kto nieco głębiéj zechce wniknąć w tę sprawę.

Czém jest zagroda włościańska i jakie tam są warunki zdrowotne, każdy z nas wie doskonale. W izbie źle przewietrzanéj, oświetlonéj

kilkunastocentymetrowéj wielkości okienkami, śpi, je i żyje cała rodzina z kilkunastu nieraz złożona osób, tu gotuje się strawę, tu nieraz zimą karmi drób i prosięta. W tych warunkach ma leczyć się chory, pozbawiony światła i powietrza, tych największych dźwigni w hygienie. Któż go pielęgnować będzie w chorobie, gdy cała rodzina zajęta jest pracą, toć gdyby nawet czas miała po temu, to brak jéj zasadniczych bodaj pojęć; jak zresztą zastosują się do zaleceń dyetycznych, jak wytłómaczyć chłopu, że zdrowe pokarmy w życiu codziennném, w chorobie są szkodliwe, jak zresztą zorganizować pomoc lekarską dla niego.

W zagrodzie ktoś zapadł na tyfus brzuszny,—jest to choroba, trwająca kilka tygodni i wymagająca wielu starań ze strony otoczenia, nie poszlą zaraz po lekarza, bo w początkach uważają chorobę za niedomaganie chwilowe; zdecydowano się wreszcie, posłano po lekarza, który w najlepszych warunkach o wiorst kilka ma swój posterunek, choćby porada była bezpłatna, dla włościanina oderwanie konia od roboty już jest uszczerbkiem. Lekarz przybył, obejrzał chorego, zapisał mu lekarstwo, po które znów posłać potrzeba, lekarstwo starczyło na 2—3 dni, znów więc lekarza wezwać należy, czyli co 2—3 dni posyłać konie po lekarza i po lekarstwo. Cóż pocznie chory, gdy lekarza w domu nie znajdą, boć w okręgu, obejmującym trzy gminy, lekarz nie jednego miéć będzie pacyenta, co pocznie, gdy dni kilka bezowocnie oczekiwać będzie na pomoc—on i jego otoczenie nie omieszka sarkać na reformę. Dziś sarkać nie będzie, bo płacić musi za każdą wizytę, późniéj, gdy wnosić będzie stały podatek, uważać będzie wyjazd lekarza za obowiązek, a znając lud nasz, każdy łacno wysnuć może wniosek o narzekaniach, jakie to wywoła, i zniechęceniu do nowéj sprawy. Jest to kwestya, która udaremni popularyzacyę reformy, osłabi do niéj zaufanie. Ważniejszą jest dola chorego, pozostawionego śród brutalnego, nieoświeconego otoczenia, które na swój sposób w braku lekarza leczyć go będzie, przysparzając cierpień, niekiedy wywołując zgon. Jakże często z dobrego serca daje się choremu, u którego ścisłéj dyety przestrzegać należy, jakiś pokarm niestrawny, który go o utratę życia, jak np. w tyfusie, przyprawić może.

Nie zapominajmy, że w medycynie dzisiejszéj hygiena i dyetyka najpoważniejsze zajmują miejsce i są podstawami leczenia i pielęgnowania chorych; jeśli chory będzie w złych warunkach otoczenia, jeśli pożywienie jego będzie szkodliwe — leczenie jest bezsilne, a wynik—zły zawsze. Dla tego téż leczenie w chacie chłopskiéj da gorsze wyniki, niż w dworku; w dworku zaś gorsze, niż w szpitalu. Lekarz w szpitalu rozporządza wszelkiemi czynnikami dodatniemi: światłem i powietrzem dobrém, opieką umiejętną, dyetą właściwą, odwiedza chorego codziennie, codziennie bada przebieg choroby i może z łatwością

w chwili właściwéj stosować przez naukę wskazane środki—jednéem słowem może w granicach wiedzy gwarantować poniekąd prawidłowy przebieg choroby. W domu u chorego wobec tych warunków, o których mówiłem, nikt takiéj gwarancyi dać nie może.

Tyle co do chorego, a otoczenie?—w razie choroby zakaźnéj jest ono narażone na niebezpieczeństwo, i nietylko otoczenie najbliższe, ale sąsiedzi, wieś cała. Zetknięcie z chorym stałe, jego wydzieliny i odchody zakazić mogą na długo grunt, i to jest przyczyną masowych nieraz epidemii tyfusów, szkarlatyny, dyfterytu i t. p. Jeżeli chorego w czasie właściwym odwieziemy do szpitala, usuwamy źródło zarazy, udaremniamy szerzenie się choroby, ocalamy od niepotrzebnych cierpień, a nawet śmierci dziesiątki jestestw. Lekarz w szpitalu posiada odpowiednie środki dla umiejscowienia zarazy, unicestwiając działanie zarazka.

Z powyższego widzimy, iż leczenie chorych zakaźnych i wogóle chorych z cierpieniami ostremi nie może odbywać się w domu u niezamożnych, ale w szpitalu, toż samo stosuje się do wielu chorych chirurgicznych, którzy muszą leczyć się w łóżku i którym często trzeba zmieniać opatrunki.

Pozostawać w domu mogą tylko chronicznie chorzy i w pewne dni przybywać o poradę i lekarstwo do ambulatoryum pobliskiego. Ambulatorya te w stałém znajdować winny się miejscu, aby były dostępne każdego dnia i w każdym czasie.

To, co mówiłem o leczeniu w chatach włościańskich, stosuje się i do ubogich mieszkańców miasteczek i osad, gdyż u nich warunki zdrowotne mieszkań są jeszcze gorsze, niż u włościan, z powodu zacieśnienia panującego w mieście.

Za najodpowiedniejszy projekt reformy, wobec tego co powiedziałem powyżéj, uważać należy ten, w którym postulaty powyższe znalazły najszersze zastowanie.

Oceniając je z tego punktu widzenia, widzimy, iż projekt dla gubernii warszawskiéj bodaj że najlepiéj odpowiada zadaniu.

Tu na 3—4 gmin jest szpitalik o 5 łóżkach na początek; 5 łóżek to 1835 dni szpitalnych, dodajmy do tego 11 szpitalików w osadach i miastach, gdzie niema szpitali, również po 1835 dni szpitalnych, otrzymamy dla miast 20,185 dni szpitalnych, a doliczywszy do tego 115 miejsc nowych w istniejących już szpitalach, czyli 40,975 dni szpitalnych, otrzymamy razem (62575+20185+40975) 123,735 dni szpitalnych nowych w całéj gubernii, prócz istniejących dawniéj łóżek szpitalnych.

Gorszy jest projekt łódzki, ten bowiem przewiduje w każdym okręgu po dwa łóżka, czyli 90 łóżek t. j. 32,850 dni szpitalnych, prócz tego w ośmiu szpitalach po 20 łóżek, czyli 160 łóżek resp. 57,600 dni szpitalnych, razem więc na całą gubernię 90,450 łóżek szpitalnych. Te ośm szpitali mają być rozrzucone po miastach większych w znacznéj nieraz od chorego odległości, a więc z utrudnionym dostępem dla ludności wiejskiéj. Szpitalik, aby odpowiadał zadaniu, musi być blisko chorego, niepodobna bowiem o mil kilka przewozić chorych z chorobami ostremi, a właśnie dla tych chorych przedewszystkiém tworzyć szpitale należy.

Tak samo proponuje projekt towarzystwa lubelskiego po 2 łóżka w każdym okręgu lekarskim, czyli 82 łóżka *resp.* 29,930 dni szpitalnych. Daléj nieco idzie dr Klarner, projektując 47 szpitalików po 6 łóżek, czyli 282 łóżek szpitalnych t. j. 102,930 dni szpitalnych.

Projekt p. gubernatora płockiego daje 8 łóżek w 8 okręgach, czyli 64 łóżek *resp*: 23,360 dni szpitalnych, również małą liczbę łóżek, bo 110 czyli 39,600 dni szpitalnych, projektują Kielce.

Zestawiając te dane, widzimy:

Gubernia	Projektodawca	Liczba projektowanych dni szpitalnych nowych	Zaludnienie	Stosunek dni szpital. do licz. mieszk.
Warszawska bez Warszawy	dr Lewiński	123,735	1,317,317	1:10,5
Piotrkowska	Tow. lekar. w Łodzi	90,450	1,092,171	1:12,5
Lubelska	Tow. lek. lubelskie	29,930	1,152,662	1:40
„	dr Klarner	102,930	—	1:11,2
Kielecka	Zarząd gubernialny	39,600	743,508	1:19
Płocka	P. gubernator płocki	23,360	527,749	1:22,9

Z zestawienia powyższego widzimy, iż najmniejsza liczba mieszkańców na 1 dzień szpitalny wypada w gub. Warszawskiéj, daléj idą gub. Piotrkówska, Lubelska (według projektu d-ra Klarnera), najgorzéj zaś przedstawiają się pod tym względem projekty kielecki, płocki oraz towarzystwa lekarskiego lubelskiego.

Projekty wszystkie przewidują raczéj za mało, niż za wiele szpitali, bo oto w Prusiech ościennych dzień szpitalny wypada na 1,05 mieszkańców; gdybyśmy nawet przyjęli pod uwagę istniejące już łóżka

szpitalne ($252\times365=91,980+123,735=215,717$), to i tak otrzymana cyfra będzie w gubernii warszawskiéj, posiadającéj i teraz największą liczbę łóżek szpitalnych, 5 razy wyższą od cyfry odnośnéj w Prusiech. W każdym jednak razie pod względem leczenia szpitalnego wszędzie jest postęp wyraźny, pierwszeństwo jednak należy się projektowi warszawskiemu témbardziéj, że przewiduje stopniowe powiększanie liczby łóżek szpitalnych.

Projekt lekarzy łódzkich posiada pod innym względem pewną wyższość nad warszawskim — utworzenie przytułku dla nieuleczalnych. Przytułek projektuje się na 120 łóżek w miejscowości z dogodną komunikacyą kolejową. Inne projekty kwestyę tę zaznaczają zaledwie, a warszawski wkłada pod tym względem obowiązek na towarzystwa dobroczynne. Na pogląd ten zgodzić się nie mogę, przytułek dla nieuleczalnych w organizacyi szpitalnéj jest kwestyą pierwszorzędnéj wagi. Szpitale, o ile nie będzie przytułków, wkrótce zamienią się na przytułki, z uszczerbkiem dla chorych z cierpieniami ostremi. Tak się dzieje w Warszawie, gdzie brak przytułków, tak dzieje się wszędzie; przytułek musi być uzupełnieniem niejako szpitala. W swoim czasie podnosiłem tę kwestyę z okazyi zebrania funduszu milionowego i wskazywałem na potrzebę zakładania instytucyi tych w każdéj gubernii. Zdaje mi się, że 1 łóżko na 10,000, jak chce projekt łódzki, na razie wystarczyć powinno. Wkładanie obowiązku tego na towarzystwa dobroczynne nie zdaje mi się odpowiedniém. Włościanin biedny opłacający podatek ma prawo do leczenia szpitalnego, a jeśli chcemy szpitale zasłonić przed napływem nieuleczalnych, musimy dać natomiast ludności odpowiedni przytułek; towarzystwa dobroczynne mogą to zrobić, ale nie są obowiązane przyjmować wszystkich, a obowiązek taki ciążyć musi na saméj organizacyi pomocy.

Z tego względu przytułki muszą być niezależnie od szpitali lub dla łatwiejszéj i tańszéj organizacyi przy szpitalach urządzane w każdéj gubernii.

Drugim niezmiernie ważnym czynnikiem w prawidłowéj organizacyi służby zdrowia jest dobrze urządzone, dostępne dla wszystkich ambulatoryum. Ambulatoryum winno być stałe, w miejscu zamieszkania lekarza i dostępne dla chorych w ciągu kilku godzin dziennie. Samo ambulatoryum powinno być zaopatrzone we wszystkie środki, potrzebne do badania i leczenia chorych. Tę postać pomocy lekarskiéj przewidują wszystkie projekty organizacyi, jedne z nich mają na uwadze ambulatorya absolutnie bezpłatne dla chorych niezamożnych, inne proponują poradę bezpłatną, a płatne w ilości kop. 10 lekarstwo, inne jeszcze żądają opłaty za poradę od chorych zamożniejszych po

10 — 30 kop. W związku z innemi postulatami projektów, referaty tow. lek. w Lublinie, Łodzi, d-ra Dolińskiego, Klarnera i d-ra Lewińskiego żądają utworzenia licznych ambulatoryów po 41 — 47 na gubernię w miejscu zamieszkania lekarza, inne jak projekty płocki i kielecki po 8 — 11 ambulatoryów (w miejscu zamieszkania lekarza) na całą gubernię. Widząc jednakże, że 1 ambulatoryum na cały powiat nie wystarczy, a nie chcąc, zdaje się, dla źle zrozumianéj oszczędności, potroić liczby okręgów lekarskich, autorzy ostatnich 2-ch projektów oraz dr. Frynowskij proponują urządzenie kilku punktów ambulatoryjnych w okręgu, gdzie chorzy będą przyjmowani raz na tydzień w stałe dni, dr. Klarner i dr. Frynowski idą jeszcze dalej, bo ambulatoryum takie oddają pod opiekę felczerowi, który za swe czynności ma być odpowiedzialny przed lekarzem.

Doprawdy nie wiem, czemu się dziwić więcéj w tych projektach, czy niepraktyczności autorów, czy nieznajomości stosunków. Jakto, więc chory czekać ma tydzień cały, nim lekarz przybędzie na posterunek ambulatoryjny, a przez ten czas ma być pozbawiony wszelkiéj pomocy? Ktoś silnie zranił się w rękę, jeśli ambulatoryum jest blizko, natychmiast może udać się do lekarza i tym sposobem często zabezpieczyć się od kalectwa. Cóż ma uczynić, jeśli jest jedno ambulatorym na powiat? Jechać do ambulatoryum stałego? To kilka mil drogi—po przyjeździe zaś dowiedzieć się może, że lekarz właśnie wyjechał na inny posterunek i wróci nazajutrz; czekać aż przybędzie do bliższego posterunku? To dni kilka straconych, a przez ten czas wszelka pomoc może być daremną. Trudno przewidywać wszelkie ewentualności, ale już powyższego przykładu dość dla wyrobienia sobie pojęcia o... praktyczności projektów. Brano w nich za modłę dawno już zarzucony systemat rozjazdowy w ziemstwach rosyjskich i chciano przystosować go do naszego kraju. Tam, gdzie zaludnienie jest małe względnie do przestrzeni, projekty takie znaleźć by mogły usprawiedliwienie, a jednak i tam już uznano ich niepraktyczność; u nas, gdzie skupienie ludności jest znaczne, rzecz to absolutnie niemożliwa w zasadzie.

Dowodzi to, jak nie można wzorować się na stosunkach innych krajów i miejscowości, nie przystosowując ich do warunków miejscowych.

Z krytyki projektu płockiego, napisanej przez d-ra O. Hewelke w Kronice Lekarskiej w r. z. i d-ra Rychlińskiego w Medycynie r. b., widać dowodnie, że, biorąc pod uwagę liczbę ludności w obrębie okręgu lekarskiego oraz przestrzeń, ani na chwilę nie można przypuścić, by lekarz mógł podołać obowiązkom, mimo nadludzkich wysiłków. Z początku będzie wszelako próbował zadosyć uczynić obowiązkom, później,

skoro o niemożebności się przekona, większą część pracy zepchnie na felczera, który z czasem stanie się istotnym panem położenia — posada lekarska stanie się synekurą, a wystąpi czynnik nader szkodliwy— urzędowe upoważnienie felczera do spełniania czynności lekarskich, do czego przecież nie posiada ani wiadomości odpowiednich, ani praw. To zło więc, przeciwko któremu skierowana jest idea organizacyi, otrzyma nowy bodziec, tém szkodliwszy, że uprawniony.

Projekty d-ra Klarnera i d-ra Frynowskiego idą w tym kierunku jeszcze dalej, upoważnienie to dają zgóry, gdyż osadzają felczera na posterunkach, które lekarz raz na tydzień ma tylko odwiedzać. Czém że będzie ów felczer posterunkowy dla ludności? Naturalnie lekarzem, lekarz zaś będzie grał rolę jakiegoś niewidzialnego zwierzchnika.

I oto znów odległe stosunki przeszczepione na nasz grunt, zapomniano tylko, że rzeczywistość, że chwila obecna poszła daléj, niż nowa reforma, dziś lud ma lekarza, dziś prawo pozwala ścigać sądownie i administracyjnie felczera, przekraczającego swe atrybucye — później za przykładem felczera posterunkowego pójdą inni, też same posiadający kwalifikacye, i reforma zamiast korzyści tylko szkodę przyniesie.

Należy więc zaniechać myśli wprowadzenia jakichś ambulatoryów ruchomych lub posterunków felczerskich, a natomiast utworzyć stałe ambulatorya gęściej, niż to Płock i Kielce przewidują — jednėm słowem trzymać się co do ambulatoryów zasad projektów warszawskiego łódzkiego i lubelskiego.

Po za tém stanowczo wykluczyłbym wszelkie opłaty w ambulatoryach, porady otrzymywać tam powinni wszyscy niezamożni mieszkańcy, a wraz z poradą lekarstwa, co się tyczy zamożnych tym wstęp do ambulatoryów powinien być wzbroniony, gdyż mogą poradę znaleźć u lekarza w domu. Reforma wprowadza się dla ludności ubogiéj, zamożna ma tę dogodność, że lekarza ma blizko, po za tém zaś innych obowiązków przyjmować na siebie reforma nie może, gdyż zadaniu nie podoła. W szpitalach pomoc powinna być bezpłatną dla wszystkich, opłacających podatek, ponieważ względnie zamożna ludność niejednokrotnie leczyć się w domu nie może, ambulatorya zaś dostępne być winny tylko dla tych, którzy się świadectwém ubóstwa, przez tę lub inną wydawaném instytucyę, mogą wykazać. Wprowadzenie opłat prócz zasad słuszności, które wyłuszczyłem powyżéj, jeszcze tę będzie miało złą stronę, że da powód tym, co płacą, do żądania jakichś uwzględnień od lekarza, pozostali zaś bezpłatni pacyenci zawsze mieć będą ambulatoryum w podejrzeniu, że robi między pacyentami płatnymi i bezpłatnym różnicę. Kto może zapłacić w ambulatoryum 30 kop. za poradę, za tę samą summę, lub nie wiele wyższą, otrzyma poradę u lekarza w domu.

Prócz porady wszakże trzeba dać chorym jeszcze i środki lecznicze — lekarstwa. Porada bez lekarstwa to myśl bez wcielenia, to dusza bez ciała. Różnie się na tę kwestyę zapatrują projekty, a nie wszystkie trafnie.

Najtrafniéj pod tym względem rozstrzyga pytanie projekt towarzystwa lubelskiego, radzi on wejść w umowę z istniejącemi już aptekami i wyznacza w tym celu rs. 500 rocznie na ambulatorym dla pokrycia kosztu lekarstw, podobnie, zdaje się, myśli towarzystwo łódzkie. W innych projektach lekarstwa za opłatą 10 kop., lub bez opłaty, mają być wydawane w ambulatoryach i przygotowywane przez ... felczerów.

I znów jesteśmy w błędném kole: felczer ma zastępować lekarza, felczer ma być aptekarzem.

Rozpatrując te projekty, zaiste, spytać się należy, czy ma to być postęp, czy cofanie się wstecz? Pocóż w takim razie państwo kształci aptekarzy, na co koszta, łożone na utrzymanie szkół dla nich, na co kilkunastoletnia ich praca, jeśli obyć się bez nich można, jeśli w czynnościach zastąpić ich może lada felczer, którego nikt nigdy nie obznajmiał z żadną z nauk farmaceutycznych. Wprawdzie, przygotowania lekarstw ma pilnować lekarz, ale i lekarz nie jest specyalistą właściwym, zna on farmacyę teoretycznie, praktycznie aptekarstwa się nie uczył, a zresztą, kiedyż to czas mu pozwoli na dozorowanie czynności aptekarskich felczera?

W Warszawie, gdzie czynności w aptekach powierzane są rutynowanym aptekarzom, niejednokrotnie notowano już wypadki wydawania złych lekarstw, cóż mówić o lekarstwach, przyrządzanych przez felczera? Lekarz, pisząc receptę, może się w dawkowaniu pomylić, kontrolerem jego w tym względzie według prawa jest aptekarz, któremu pod odpowiedzialnością wydać nie wolno lekarstwa, zawierającego wyższą, niż w farmakopei dawkę, bez wyraźnéj adnotacyi lekarza, iż nie jest to pomyłka. Któż będzie takim kontrolerem, jeśli lekarstwa ma przygotowywać felczer?

Myśl tę więc stanowczo porzucić należy i, jeśli reforma przynieść ma owoce, dać ją w najlepszéj postaci. Lekarstwa dla biednych muszą być przygotowywane tak samo, jak dla bogatych, inaczéj lud łacno spostrzeże różnicę i straci wiarę w instytucyę.

Człowiek inteligentny rozumie, że częstokroć lekarstwo w leczeniu jest czynnikiem drugorzędnym, że uregulowanie życia, odpowiednia dyeta posiadają niérównie większe znaczenie, inaczej lud: dla niego lekarstwo jest wcieleniem widomém porady, on więcej wierzy w lekarstwo, niż w inne rady lekarza, i dla tego, jeśli lekarz chce przeprowadzić jakąś zmianę w trybie życia lub dyecie, musi wyraźnie zaznaczyć, że to a to

sprzeciwia się lekarstwu. Odejmijmy ludowi wiarę w lekarstwo, a nic nie pozostanie z pomocy, reforma byłaby wtedy bezskuteczną.

Wobec tego, co powiedziałem powyżej, mogą być tylko dwie drogi wyjścia. Jeśli w miejscu, gdzie jest ambulatoryum, istnieje już apteka, należy wszystkie lekarstwa po cenie skontraktowanéj brać z aptek, ekspedycya może być mniéj elegancka, ale musi być zupełnie porządna. Tam, gdzie aptek niema, należy je utworzyć na wzór t. z. „aptek sielskich". Najlepszém wyjściem byłoby uzyskanie przywileju utrzymywania aptek przez sam okręg lekarski i oddanie ich bądź w dzierżawę aptekarzowi z obowiązkiem wydawania lekarstw biednym na rachunek funduszów ambulatoryum, bądź też prowadzenie na własne ryzyko pod zarządem płatnego aptekarza. Dozór należałby do lekarza okręgowego, rachunki przeglądać winny rady dobr. publicznéj powiatowa i gubernialna. W obu wypadkach biedni otrzymywaliby lekarstwa darmo, zamożniejsi po cenie kosztu (koszt środków, lokalu, pensya, amortyzacya kapitału). Tym sposobem można by jednocześnie rozwiązać palącą kwestyę drożyzny lekarstw u nas, szczególniéj na prowincyi, gdzie niema konkurencyi.

Dalszym czynnikiem w organizacyi pomocy lekarskiej jest pomoc dla rodzących.

Za prawidłowy, odpowiadający istotnym potrzebom uważać należy taki projekt, który pomoc tę udostępni w najszerszém tego słowa znaczeniu. Pomoc powinna być prędka, dobra, dla ludności niezamożnéj zupełnie bezpłatna. Tymczasem widzimy, iż projekty, a przynajmniéj ich większość kwestyi tej nie postawiły na należytym gruncie.

W najgorszych pod tym względem projektach płockim i kieleckim ustanowiono po 1 akuszerce-felczerce na powiat, czyli 8 w gubernii płockiéj, 11 w kieleckiéj. Jeżeli weźmiemy jeden tylko powiat lipnowski, akuszerka będzie musiała być w ciągu roku przy 3951 porodach, czyli przy 11 dziennie, tyleż musi odwiedzić dawnych położnic, a nadto zajmować się gospodarstwem szpitalném oraz szczepieniem ospy — czyż w obec cyfr takich projekty owe nie zakrawają na ironię. Toć dziś jest więcéj akuszerek, niż przewiduje to projekt, a przecież projekt został obmyślany dla poprawy stosunków. Jeśli projekt wejdzie w życie, akuszerka tylko w najbliższéj może nieść pomoc okolicy, dalsze będą jej pomocy pozbawione, najprędzéj zaś zawsze będzie zajęta szpitalem, i posada jej będzie taką samą synekurą, jak lekarza, który, mówiąc nawiasem, prócz swych zwykłych czynności musiałby być obecny przy 117 porodach nieprawidłowych rocznie.

Pomijam już to, że według projektu płockiego akuszerką ma być... siostra zgromadzenia Ś-téj Elżbiety, gdyż dotąd o uzdolnieniu

siôstr tych w tym kierunku nic nie słyszeliśmy, a należytą pod tym względem odprawę prejektowi dał dr. Hewelke w swej krytyce; chodzi mi teraz o stosunek liczebny, wobec którego cała pomoc akuszeryjna jest fikcyą.

Bliżej prawidłowego rozstrzygnięcia kwestyi stoi projekt lekarzy lubelskich i projekt d-ra Lewińskiego. Żądają te projekty ustanowienia tylu posad babek, ile jest okręgów lekarskich. Ponieważ okręg obejmuje 3 — 4 gmin, babka musi całą ludność tych gmin obsłużyć. Ponieważ gmina obejmuje 7782 mieszkańców, a na każdy tysiąc mieszkańców wypada po 33 porody rocznie, na jedną gminę przeto wypadnie 255,2 porodów, a na 3 gminy 765,6, czyli przecięciowo po 2 porody dziennie; jeżeli okręg obejmować ma 4 gminy, liczba porodów; naturalnie będzie jeszcze większa. Wobec rozległości okręgu wątpliwą jest rzeczą, aby jedna babka mogła nawet połowie dać radę, i dla tego bardziej skłaniałbym się do projektu lekarzy łódzkich, który żąda, aby w okręgu było 3 — 4 babek, czyli 1 babka na gminę. Ponieważ obszar gminy jest stosunkowo niewielki, babka może obsłużyć dokładnie swój teren.

Co to są jednak babki i jaka różnica zachodzi między niemi a akuszerkami. Akuszerka musi skończyć 4 klasy i przez dwa lata studyować akuszeryę w instytucie położniczym warszawskim, poczém składa odpowiednie egzamina, ma więc dokładne wiadomości ze swéj specyalności i zupełnie może zastąpić lekarza w porodzie prawidłowym; naturalnie, operacyi dokonywać nie może. Babki rekrutują się z inteligentniejszych kobiét wiejskich, przysyłanych do instytutu przez gminy, pozostają one w instytucie przez 6 miesięcy i tu dokładnie obznajmiają się z pielęgnowaniem rodzących i położnic, po ukończeniu nauki otrzymują prawo pielęgnowania położnic po wsiach, jeśli poród jest prawidłowy. Poród jest sprawą fizyologiczną, w stosunkowo niewielkiéj liczbie wypadków, szczególniéj u zdrowych kobiet wiejskich, zachodzi potrzeba interwencyi lekarskiéj, dlatego téż babka dobrze wytresowana może wystarczyć, a nawet na razie wystarczyć musi, gdyż tak wielkiéj liczby akuszerek nie posiadamy. Jedną należało by wprowadzić restrykcyę, że babka co ½ roku winna przed lekarzem okręgu zdawać egzamin, któryby wykazał, czy nauk wyniesionych z instytutu nie zapomniała; w razie zauważonnych braków, winna być usunięta od czynności. Niezależnie jednak od 3 babek, t. j. po jednéj w każdéj gminie, uważałbym za konieczne jedną mieć akuszerkę w okręgu dla porodów cięższych, lub dla powikłanych połogów, zmniejszyło by to pracę lekarza w tym kierunku. Położnica gorączkująca wymaga umiejętnéj i stałéj

opieki, opiekę tą według wskazówek lekarza miałaby nad choremi okręgu akuszerka.

Jeden tylko projekt łódzki przeznacza pomoc akuszeryjną bezpłatną dla wszystkich, inne biednych mają tylko na względzie, zgodziłbym się raczéj na projekt łódzki i udostępniłbym pomoc babek dla wszystkich, pomoc zaś akuszerki i lekarza winna być bezpłatną tylko dla tych, którzy świadectwo ubóstwa posiadają.

W głównych zarysach przedstawiłem projekty w oświetleniu potrzeb prawdziwych ludności, z tego zestawienia widzimy, iż z pewnemi uzupełnieniami co do aptek i pomocy akuszeryjnéj najlepszy jest projekt warszawski, inne jak łódzki i lubelski dają zbyt małą liczbę łóżek szpitalnych, a płocki i kielecki raczéj za szkodliwe, niż pożyteczne dla ludności uważać należy.

A jednak mówią o wprowadzeniu ich w życie. Jest to błąd wielki, reforma w tak ważnéj sprawie powinna być odrazu możliwie najlepsza, aby nie zdyskretować instytucyi, próby wszelkie uważać należy za szkodliwe. Ludności dać trzeba odrazu taką pomoc, aby była z niéj zadowolona. Praktyka w najlepszym projekcie wykaże jeszcze braki, ale w każdym razie będą one mniéj rażące w projekcie np. warszawskim, niż w płockim.

Ogólnie jednak biorąc, projekty wszystkie dają pożądany postęp w organizacyi pomocy lekarskiéj dla ludu — gdyż dotąd brak jéj, jak wiémy, zupełnie.

Rodzi się teraz pytanie, czy liczba lekarzy praktykujących w Królestwie, która jak wiemy już jest wogóle małą, wystarczy dla wprowadzenia szerzéj pomyślanéj reformy.

Na to pytanie odpowiedzieć należy cyframi. Jeżeli za punkt wyjścia weźmiemy projekt d-ra Lewińskiego, widzimy, iż dla obsadzenia wszystkich miejsc trzeba będzie 45 lekarzy okręgowych, 21 miejskich i 8 szpitalnych, razem 74. Nie licząc lekarzy, mieszkających w miastach powiatowych, praktykuje obecnie w miasteczkach i osadach gubernii warszawskiéj 71 lekarzy, liczba więc ta wystarczy zupełnie dla obsadzenia wszystkich posad.

Ponieważ szpitale większe na prowincyi będą w miastach większych, obliczać będę potrzebną liczbę według modły gubernii warszawskiéj na wszystkich wogóle lekarzy mieszkających w gubernii bez miast gubernialnych; będą to cyfry tylko przybliżone, ale téż takie są mi potrzebne. Dla gubernii piotrkowskiéj również lekarzy nie zbraknie, na 74 bowiem miejsc jest 84 lekarzy, praktykujących po za Łodzią (por. Tabl. II-gą), w gubernii radomskiéj już lekarzy zbraknie, podobnie jak w innych guberniach. Gdyby przyjąć, że wogóle potrzeba będzie 740 leka-

rzy na Królestwo, należałoby zająć dla reformy wszystkich praktykujących po za miastami gubernialnemi lekarzy i zbrakło by jeszcze około 200. Téj cyfry brakującéj dostarczyłaby, bezwarunkowo z korzyścią dla siebie, Warszawa.

Wskazałem wyżéj przyczyny, dlaczego lekarze nie chcą opuszczać Warszawy; z chwilą, gdy reforma usunie te przeszkody, o jakich wspominałem, lekarze podążą na posterunki, z pewnością będzie nawet więcéj kandydatów niż miejsc. Obliczyłem zresztą zbyt szeroko, liczbę bowiem lekarzy w pojedyńczych miejscowościach do liczby ludności stosować należy i, jeżeli to weźmiemy pod uwagę, to, biorąc stosunek taki, jak w gubernii warszawskiéj: 1 lekarz na 17,942 ludności, wypadłoby 480 lekarzy na Królestwo. Ponieważ wszystkie projekty przewidują, że biedni stanowić mogą około 25% ogółu ludności, wypadłby 1 lekarz na 4485,5 ludności niezamożnéj, czyli że lekarzy n a r a z i e byłoby dla niezamożnych dość. W całém Królestwie 1 lekarz wypada na 5,953 ludności, czyli postęp byłby wyraźny. Naturalnie, cyfra 480 jest zbyt mała, 740 zbyt wielka, w każdym jednak razie uczą nas one, że możemy już dziś, nie obawiając się o brak lekarzy, do reformy przystąpić.

Zresztą reforma nie będzie wprowadzona odrazu w całym kraju, a stopniowo w ciągu lat kilku, uniwersytet warszawski corocznie kilkudziesięciu lekarzom wydaje dyplomy, wkrótce więc nietylko wszystkie okręgi będą obsadzone, ale starczy lekarzy dla nowych okręgów, o ile okażą się potrzebne.

Wobec tego naturalną jest rzeczą, że niepotrzebnie byłoby myśléć o obsadzaniu miejsc przez lekarzy, nie pochodzących z Królestwa, byłoby to nawet dla reformy szkodliwą rzeczą, gdyż lekarz wiejski znać musi obyczaje ludności, nawyknienia, a przedewszystkiém język, inaczéj cała działalność jego będzie unicestwiona. Przy obsadzaniu miejsc bezwarunkowo miejscowym lekarzom, obeznanym z okolicą, dać należy pierwszeństwo, brak dopiéro dopełniać lekarzami z Warszawy należy.

Przechodzę do trzeciego pytania: o ile potrzebni są w nowéj organizacyi felczerzy?

Kilka lat temu redakcya „Kroniki lekarskiej" rozesłała kwestyonaryusz do lekarzy prowincyonalnych w kwestyi położenia materyalnego na prowincyi. Z odpowiedzi wysnuć się dawał jeden wniosek: jest źle, a że jest źle, przyczyną rozpanoszony na prowincyi felczeryzm. Skoro lekarz chce się osiedlić w miejscowości, gdzie praktykuje felczer, ten ostatni wszelkich dokłada usiłowań, aby pozbyć się konkurenta, a ucieka się do tego rodzaju broni, którą walczyć lekarz nie może. Stąd też lekarze na prowincyi wogóle małe mają zarobki, choć liczba jest ich mała. Przedewszystkiém więc główną zasadą reformy winno być nie

wzmacnianie żywiołu felczerskiego, a raczéj zupełne usunięcie z pola działalności.

Czém jest właściwie felczer?—wykształceniem nie odpowiada on zupełnie temu, co we Francyi nazwano *oficier de santé*, ani galicyjskiemu chirurgowi. Po kilkoletnim pobycie w razurze, gdzie wprawia się w wyrywanie zębów, stawianie baniek, a głównie w strzyżenie i golenie, posyłają praktykanta na kilka miesięcy do szpitala, gdzie również tylko spełnia te ostatnie czynności. Krótkotrwały pobyt w szkole kończy się tytułem felczera młodszego, który może zastępować w razurze starszego felczera, ale razury nie ma prawa otwiérać, dopiéro po rocznéj lub więcéj praktyce na oddziale szpitalnym może ten stopień otrzymać. Felczer uczy się początkowych zasad ratownictwa oraz dozorowania chorych, nigdy zaś do samoistnéj praktyki nie był upoważniany przez prawo, ani téż odpowiednich nauk nie studyował. A jednak właśnie to po wierzchu tylko poznanie kilku nauk lekarskich ośmiela go do próbowania sił swoich w praktyce, najczęściéj ze szkodą dla chorych. Reforma zatém, chcąc miéć pomoc dla ludu racyonalną, pozbyć się raczéj, niż popierać felczeryzm powinna. Wszystkie czynności felczerskie powoli przestają być jego specyalnością. Dawniéj lekarze nie opatrywali ran, dziś dla zachowania zasad antyseptyki czynią to sami; golenie i strzyżenie przeszło stopniowo do fryzyerów, pozostaje więc dozorowanie chorego i stawianie baniek i pijawek. Na to jednak zbyteczną jest rzeczą kończyć szkołę felczerską, kilkomiesięczna praktyka w szpitalu wystarcza. Wyłom w pojęciu o konieczności pomocy felczera dla chirurga zrobiło Pogotowie ratunkowe w Warszawie, za wpływem lekarzy-założycieli usunięto felczerów, a natomiast przyjęto t. zw. sanitaryuszów, którzy po kilku dniach w zupełności są w stanie zastąpić felczera; instytucya, jak wiemy, rozwija się, a na jéj pomoc nikt się dotąd nie skarżył. Toż samo powinno być i w ambulatoryach oraz szpitalikach. I dlatego z prawdziwą radością wyczytałem w projekcie warszawskim, że lekarz ma do pomocy felczera lub osobę, którą sobie do pomocy wykształcił. Rozstrzyga to kwestyę odrazu, gdyż taki pomocnik—dozorca chorych, zależny od lekarza, spełniać będzie tylko jego zalecenia i do samoistnego leczenia nie ośmieli się.

Zatém instytucyę felczerów za zbyteczną dla reformy uważać należy, a zarazem szkodliwą. Felczer, jako anachronizm, zniknąć powinien oddawna, dlatego téż szkołę felczerską zamknąć należy i znieść tytuł felczera, ci, którzy są, powoli zajmą się czém inném, lub w ostateczności będą w charakterze dozorców pracować w szpitalach, a miejsce ich zajmą dozorcy chorych, przygotowani przez samych lekarzy.

To powinno być zadaniem reformy i, jeśli na razie będą jakiekolwiekbądź trudności, wkrótce ustaną, a rzecz sama zyska na téj zamianie. Lekarzy, jak widzieliśmy, wystarczy tymczasem na obsadzenie okręgów lekarskich, stwarzanie im konkurentów szkodliwych dla chorych nie leży chyba w interesie ogółu.

Natomiast na rozszerzenie zasługują instytucye akuszerek i babek. Różnice między niemi wyjaśniłem już wyżéj, obecnie wskazać tylko muszę na sposób wykształcenia ogromnéj liczby potrzebnych babek — należałoby w tym celu zmusić już dziś gminy do liczniejszego wysyłania kobiét na naukę do instytutu warszawskiego. Co się tyczy powiększenia liczby akuszerek, uczynić to można tylko, ułatwiając im naukę, przyjmując do instytutu darmo, a nawet przeznaczając stypendya. Na razie brak się okaże, skoro jednak akuszerki wiedziéć będą, że po skończeniu otrzymają miejsca dające utrzymanie, liczba uczennic zwiększy się niewątpliwie.

Jakikolwiek będzie personel niższy, winien być bezwarunkowo zależny w zupełności od lekarza, wymaga tego karność i punktualność w wypełnianiu czynności, za to znów lekarz musi być odpowiedzialny za czynności swego personelu.

Wobec tego, co powiedziałem powyżéj, systemat organizacyi przedstawia mi się w sposób następujący:

1) Pomoc dla ludności wiejskiéj:

a) Podział gubernii na okręgi lekarskie, obejmujące na razie 3—4 gmin.

b) W okręgu jest szpitalik na 5 lub więcéj łóżek. Zarządza nim lekarz, który obowiązany jest leczyć chorych w szpitaliku, przyjmować codziennie chorych w ambulatoryum, wyjeżdżać tylko do ciężkich porodów, 3 razy do roku szczepić ospę.

c) Przy szpitaliku jest apteka sielska pod zarządem aptekarza, obowiązana wydawać biednym lekarstwa darmo, innym po cenie kosztu.

d) Do pomocy lekarz ma dozorcę i dozorczynię chorych, lub felczera oraz akuszerkę, prócz tego w każdéj gminie jest babka.

e) Wszelkie porady w ambulatoryum udzielają się tylko ludności niezamożnéj, leczenie w szpitalach jest dostępne dla wszystkich.

2) pomoc dla ludności miejskiéj polega na tém samém z tą różnicą, iż, zgodnie z projektem d-ra Lewińskiego, szpitaliki przy ambulatoryach otwierają się tylko tam, gdzie niema szpitali; tam, gdzie są szpitale, urządzają się przy nich ambulatorya. Miasta z ludnością poniżéj 10,000 mają 1 lekarza, powyżéj 10,000—15,000 2 i t. d.

3. Szpitale większe, przytułki.

Prócz szpitalików okręgowych i wiejskich powinny być urządzone szpitale większe w każdém mieście powiatowém. Szpitale muszą mieć oddziały 1) dla chorych wewnętrznych, 2) dla chorych chirurgicznych, 3) dla chorych ocznych, 4) dla chorych umysłowych (pobyt czasowy), 5) dla chorych wenerycznych i 6) oddział dla rodzących.

Na całą gubernię w odpowiednich miejscowościach utworzyć należy nadto a) sanatoryum dla suchotników w stosunku 1 łóżko na 25.000 ludności, b) przytułek dla nieuleczalnych w stosuku 1 łóżko na 10,000 ludności, c) dom wychowawczy na 50 dzieci.

Punkt pierwszy i drugi projektowanéj reformy wobec tego, co powiedziałem powyżéj, nie wymaga wyjaśnień, natomiast muszę uzasadnić żądanie utworzenia sanatoryów, przytułków i domu wychowawczego.

Potrzebę sanatoryów dla suchotników odczuwają dziś wszyscy. Ostatnie wyniki wiedzy przekonały, że suchoty są uleczalne, jeżeli chorego postawimy w odpowiednie warunki, warunkami zaś témi są: dobre powietrze, pozbawione pyłu, obfite pożywienie. W tych warunkach chorzy poprawiają się znakomicie. Przez dobre powietrze rozumiemy powietrze lasu sosnowego, obfitujące w ozon. Takich warunków wszędzie stworzyć nie można, ale prawie w każdéj gubernii Królestwa da się znaleźć większą przestrzeń leśną, która do stworzenia sanatoryum nadawać się będzie. Dziś suchotnicy leczą się w szpitalach — szpital jednak dla nich z powodu braku właściwego powietrza jest często tylko domem przedpogrzebowym, niepotrzebnie tam zabiérają miejsce innym chorym, męcząc zresztą współtowarzyszy dniem i nocą ciągłym kaszlem. Oddzielić ich stanowczo od innych chorych należy, a zarazem postawić w takie warunki, które powrót do zdrowia umożliwią.

Przytułek dla nieuleczalnych jest również potrzebny, a potrzebę jego rozpatrywałem powyżéj.

Za to w żadnym projekcie dotąd nie spotkałem się z ważną kwestyą utworzenia domu wychowawczego.

Potworne sprawy, jakie od pewnego czasu coraz częściéj zajmują sądy, dowiodły dostatecznie, że w całym kraju istnieje proceder pozbywania się dzieci drogą głodzenia, lub śmierci gwałtownéj; moralizowanie w tych razach skutku nie odniesie. Trudność zarobkowania wzmaga coraz więcéj liczbę związków nieprawych i tém samém liczbę owoców tych związków. Ciężar zazwyczaj spada na matkę, która przyciśnięta nędzą pozbywa się dziecka. Ułatwienie tym matkom wychowania dzieci, w czasie gdy najwięcéj wymagają starań, t. do 7-go roku życia, jest obowiązkiem społeczeństwa.

Dotąd na kraj cały posiadamy zaledwo jeden dom wychowawczy w Warszawie, naturalnie wystarczyć on potrzebom nie może, dlatego téż należy pomyśléć o zakładaniu nowych w każdéj gubernii. Początkowo zakład taki może być mały, dobroczynność publiczna raz pobudzona niewątpliwie postawi go wkrótce na odpowiednim poziomie, początek jednak zrobić należy i mając sposobność uczynić to trzeba przy organizacyi pomocy lekarskiéj. Niechby tylko po 50 dzieci w każdéj gubernii przyjmowano do domów wychowawczych, a już w części choć naglącéj potrzebie stanie się zadosyć.

Po nakreśleniu ogólnego planu reformy rodzi się kwestya, w jaki sposób pod względem prawodawczym zorganizować reformę?

Jest to kwestya zasadnicza. Gdyby prawodawca określił z góry reformę dla całego kraju, nie uwzględniając potrzeb poszczególnych miejscowości, wyrodziłby się szablon, który tę stronę złą by posiadał, że nie mógłby zadowolnić słusznych wymagań uwzględnienia warunków miejscowych.

Zgóry np. określić obszaru okręgu lekarskiego nie można, powiat jest zbyt wielką jednostką, gmina zbyt małą, innych jednostek podziału administracyjnego nie posiadamy, należy je stworzyć. Powiedziéć, że obszar ma się równać 2, 3, 4 czy 5 gminom nie można, bo zaludnienie gmin jest różne, a przestrzenią wyłącznie kierować się niepodobna, z tego téż względu w drodze prawodawczéj powinno być określone tylko *maximum* okręgu lekarskiego, oznaczenie zaś, czy okręg ma mniejszą obejmować przestrzeń, jeżeli w danych warunkach to *maximum* jest zbyt wielkie, pozostawić należy uznaniu władz miejscowych témbardziéj, że zaznaczywszy, iż w okręgu może być jeden lub więcéj lekarzy, prawodawca da możność zmniejszania okręgów.

Władzę zwierzchnią nad instytucyami na teraz, przed wprowadzeniem zupełnego samorządu gminnego, muszą miéć rady dobroczynności publicznéj, a łącznikiem między niemi a pojedyńczemi instytucyami winien być kurator poszczególnych szpitali, instytucyi etc.

Wydawanie świadectw niezamożnym należyć powinno do rad dobroczynności publicznych powiatowych. Naturalnie, o określeniu *maximum* ilości niezamożnych mowy być nie może, określić tylko ściśle należy stopień niezamożności.

Prawo zasadnicze ustanowi zarazem rodzaj podatku na organizacyę, sposób ściągania podatku oraz etaty ogólne.

Co się tyczy sposobu opodatkowania, to projekty dotychczasowe biorą za punkt wyjścia istniejące już podatki i proponują dodatki do nich.

Wyradza to pewną niesprawiedliwość. Słuszną zupełnie jest rzeczą, aby nawet ci, co bezpośrednich korzyści nie odnoszą z reformy, przyczyniali się do jéj utrzymania, ale niesłuszną byłoby rzeczą, aby w tym celu obarczać podatkami przeważnie jedną tylko sferę ludzi, a czyni tak właśnie projekt towarzystwa łódzkiego, proponując aby na 165,000 rubli podatku 66,000 r. płacili właściciele większéj posiadłości; wynikło to z niesłusznego podatku od morgi posiadanéj ziemi. Słuszniejsze już są projekty, żądające ustanowienia dodatków do podatków od podymnego i od patentów, tym jednak sposobem cała masa ludności, nie płacąca bezpośrednich podatków, byłaby usunięta od ponoszenia ciężarów, mimo że ta część ludności, jak np. kapitaliści, posiada nierównie nieraz większą siłę podatkową, niż właściciele ziemscy. Co do tych ostatnich jest dążeniem państwa zmniejszyć o ile można ciężar podatkowy, obarczający ziemię, gdyż i tak dochodność ziemi upada. Zresztą, podatek taki musiałby wziąć pod uwagę nie tylko przestrzeń, ale i gatunek ziemi, co spowodowało by niepożądane komplikacye.

Jedném słowem projekty dotychczasowe mają tę wadę wspólną, że nie pociągają do podatku całéj ludności, ale część i to tę właśnie, która z reformy nie korzysta. Należy więc zwrócić się do innego typu.

Typem takim może być uchwalony dla Warszawy podatek szpitalny, rozszerzony w ten sposób, iż płacić go mają bez wyjątku wszyscy; za zupełnie biédnych płaciła-by gmina, któraby w postaci podatku dodatkowego niedobór ściągała od swych obywateli.

Określenie wysokości podatku leczniczego jest najtrudniejszą w téj sprawie rzeczą. Według dotychczasowych projektów wypada na głowę około 6—14 kop., czyli np. na rodzinę złożoną z 6 osób wypadłoby 36—84 kop. rocznie, najprostszą naturalnie będzie rzeczą, aby podatek wnosili tylko pełnoletni. Ponieważ projektowane reformy obliczają skąpo i nie uwzględniają takich rzeczy, jak dom wychowawczy, a większość i przytułków dla nieuleczalnych, zdaje mi się, że podatek podnieść wypadnie i oznaczyć go na rs. 1 od głów rodzin i pełnoletnich. Przypuszczalnie z tego źródła na 8 milionów ludności wpłynęłoby przynajmniéj 3 miliony rubli rocznie [1]), za tę sumę organizacyę w najszerszym zakresie przeprowadzić można.

Pozostaje kwestya etatów i związanych z tém praw powołanych do służby lekarzy. Dotąd mówiliśmy o ich obowiązkach, muszę więc

---

[1]) W Warszawie przy 600,000 mieszkańców wpływa z podatku szpitalnego około 200,000 rocznie, t. j. że płaci podatek $^1/_3$ część ludności, choć wiele warstw społecznych od podatku zwolniono.

słówko prawom lekarzy poświęcić. Różne pod tym względem panują poglądy: jedni chcą, aby lekarzy wybierała gmina, inni przekazują to gubernatorom, inni jeszcze żądają czasowych prób. Zdaje mi się, że wogóle projekty pod tym względem grzeszą nieznajomością przepisów. Lekarz musi być mianowany drogą zwykłą, gdyż z chwilą reformy prawa zasadnicze nie ulegną zmianie, mianuje więc go urząd gubernialny, a zatwierdza ministeryum. Przedstawiać zaś musi lekarza rada powiatowa dobroczynności publicznéj.

Cokolwiek bowiem pisano w téj kwestyi, rzeczą jest jasną, że zależność lekarza od gminy zrodziłaby setki trudności i spowodować nawet by mogła bezowocność reformy. Zarząd gminy, z nieoświeconych częstokroć składający się jednostek, wprost dla uniknięcia wydatków zrywałby ciągle umowy z lekarzami, aby zniechęcić ich do obejmowania posad. Smutne doświadczenie lekarzy ziemskich w Cesarstwie winno być nauką.

Reforma zresztą winna ściągnąć możliwie najlepsze siły lekarskie, takie zaś mogą się znaleść tylko wtedy, gdy posady lekarskie będą miały cechy trwałości i gdy lekarzowi przysługiwać będą prawa służby państwowéj, a więc przedewszystkiém emerytura. Można zgodzić się z niektórymi projektodawcami, że są lekarze, którzy do leczenia ludu nie nadadzą się, ale i na to jest środek, przez czas pewien 1, 2 lata lekarz może być mianowany tylko pełniącym obowiązki i dopiéro po tym czasie może być w razie wykazania zdolności mianowany na stałe.

Obawy tych, co boją się stałych lekarzy-urzędników są płonne, toć chyba na urzędników-ordynatorów szpitali nikt się z ludności nie uskarża. Toć przecież i urzędnika, nie spełniającego obowiązków, można usunąć, ale stanie się to wtedy, gdy przestępstwo istnieje, nie zaś dla czyjéjś fantazyi.

Wynagrodzenie lekarza musi być takie, aby wystarczało na utrzymanie, a wobec tego, że awansu właściwie z posad nowych niema, należałoby przewidziéć podwyżkę. Zdaje się, że pod tym względem potrzebną pensyę określa najlepiéj towarzystwo łódzkie na 850 rub. rocznie, dodać do tego jednak należy mieszkanie; co lat kilka 3 — 5 powinna następować podwyżka pensyi, aby lekarz po latach 12 mógł dojść do *maximum* 1,500 rub. rocznie. Od połowy téj ostatniéj sumy liczyłaby mu się emerytura po latach 35.

Zadanie lekarzy jest wogóle tak ciężkie, że przy sumiennném wypełnianiu obowiązków nie wiele im zostanie czasu na praktykę prywatną. Nie należy zresztą w interesie instytucyi zachęcać lekarzy do szukania zarobków postronnych, ale, płacąc pensye wystarczające na utrzymanie, żądać sumiennego spełniania obowiązków.

Wysokość pensyi powinna normować się obowiązkami oraz stopniem naukowym. Lekarz jest ze stopnia urzędnikiem VIII klasy, pensya więc jego nie powinna być niższą od pensyi w innych gałęziach pracy, w administracyi klasa ta daje pensyę do 1,000 rub., w sądownictwie pomocnik sekretarza izby sądowéj bierze 850 rubli, czemuż ma być lekarz wyjątkiem? Praca lekarza jest cięższa, naraża go częstokroć na utratę zdrowia i życia, musi być więc odpowiednio wynagradzana. Dawna zasada, że lekarz zarobić może po za pensyą na utrzymanie, chyba powinna być, jako niezgodna z rzeczywistością, zarzucona.

Odpowiednie pensye należy również wypłacać akuszerkom, dozorcom, ewent. felczerom.

Wobec tego, co powiedziałem powyżéj, prawo organizacyi pomocy lekarskiéj dla biednych powinno określić:

1) wysokość i jakość podatku na cele pomocy lekarskiéj;
2) maksymalną przestrzeń i liczbę ludności okręgu lekarskiego;
3) rodzaj systemu pomocy;
4) obowiązki i prawa personelu;
5) typ najmniejszego szpitala.

Upoważnić zaś rady dobroczynności gubernialne:

1) do zwiększania w miarę potrzeby liczby okręgów;
2) do zakładania przytułków i domów wychowawczych;
3) do powiększania liczby łóżek w szpitalach i szpitalikach w miarę potrzeby.

Na zakończenie pracy niniejszéj postaram się ułożyć budżet ogólny pomocy lekarskiéj dla ludności niezamożnéj Królestwa, biorąc pod uwagę te żądania, które wyłuszczyłem powyżéj.

Nie może to być budżet ścisły, ale raczéj próba ułożenia budżetu, zbliżająca się do rzeczywistości.

Jeżeli za punkt wyjścia weźmiemy projekt dla gubernii warszawskiéj, to widzimy przedewszystkiém, że dla przeprowadzenia organizacyi na tę gubernię potrzeba 74 lekarzy, mianowicie 45 dla pomocy na wsiach, 21 w miastach i 8 w celu zwiększenia personelu szpitalnego.

W myśl tego, co wyżéj powiedziano, przy każdym okręgu, a w miastach przy każdém ambulatoryum powinna być jedna akuszerka, czyli na gubernię warszawską 66 akuszerek, prócz nich zgodnie z projektem łódzkim w każdéj gubernii winno być 151 babek wiejskich gminnych. Ilość służby niższéj normować należy według liczby lekarzy, obliczając po 2 osoby na 1 lekarza, czyli dla gubernii warszawskiéj 148.

Jeżeli cyfry powyższe pomnożymy przez liczbę gubernii w Królestwie, otrzymamy, że liczba lekarzy na całe Królestwo, potrzebna do

przeprowadzenia organizacyi, wynosić powinna, 740, akuszerek 660, babek 1510 i służby niższéj 1,480.

Pensyę lekarską należy unormować według projektu łódzkiego, jedynie racyonalnego w tym względzie, a więc na rubli 850 rocznie, nadto wyznaczyć należy fundusz oddzielny na mieszkanie w kwocie 150 rubli, tym sposobem 740 lekarzy otrzyma 740,000 rubli rocznie. Pensya akuszerki, prócz mieszkania w naturze, co najmniéj 300 rubli wynieść powinna, wydatek więc na nie w Królestwie będzie 198,000 rubli; natomiast z uwagi, iż babki mieszkają w gminach i współcześnie zajmować się mogą czém inném, wynagrodzenie rubli 100 na rok uważam za zupełnie wystarczające, czyli na całe Królestwo wydatek na babki wyniesie 151000 rb. Toż samo wynagrodzenie wystarczy dla służby, któréj nadto dać należy mieszkanie w naturze i utrzymanie; obliczając to ostatnie na 20 kop. dziennie, koszt utrzymania służby wraz z pensyą wyniesie (148000+108040) 256040 r.

Liczbę łóżek, ewentualnie dni szpitalnych, unormować należy zgodnie z projektem warszawskim, który na 1,317,311 mieszkańców przewiduje, obok istniejących już 91,980 dni szpitalnych, rocznie 123,735 dodatkowych, razem 215,717 dni szpitalnych rocznie, czyli po 1 dniu szpitalnym na 6,1 mieszkańców. Biorąc pod uwagę ten ostatni stosunek na 8,512,958 mieszkańców Królestwa, wypadnie 1,395,537 dni szpitalnych rocznie.

Według wykazów dotychczasowych 1 dzień szpitalny kosztuje 50 kop., całość więc wyniesie 687,768,5 rubli rocznie.

Wszystkie projekty obliczają koszt lekarstw dla chorych niezamożnych, zgłaszających się do ambulatoryów na 200—250 rubli, czyli, licząc przeciętnie lekarstwo po kop. 20, obliczają, iż liczba lekarstw wydanych w ciągu roku nie przeniesie 1000—1250, cyfrę tę co najmniéj podwoić należy i zgodnie z projektem lubelskim do 500 rubli rocznie podnieść, co na 600 ambulatoryów wyniesie 330,000 rubli rocznie.

Pozostaje kwestya najmu lokali. Suma ta przez czas dłuższy obciążać będzie budżet, nim z remanentów powstanie fundusz budowlany.

Lokal na szpitalik — ambulatoryum zawierać musi 3 izby na umieszczenie 5 łóżek (oddział męski, kobiecy i pokój izolacyjny), gabinet lekarski, ambulatoryum, pokój dla wanny, pralnię, pokój dla akuszerki, pokój dla służby i kuchnię — razem 9 izb i kuchnię, takiego pomieszczenia za mniejszą, niż 300 rubli rocznie, cenę znaleźć niepodobna nawet w osadzie, koszt więc 660 takich lokali wyniesie 198,000 rubli rocznie.

Na kancelaryę wreszcie przeznaczam rb. 50, na 1 ambulatoryum, czyli na 660 ambulatoryów 33,000 rubli.

Prócz tego, jak już wiemy, pomoc polegać musi na utworzeniu: a) sanatoryów dla suchotników, b) przytułków dla nieuleczalnych i c) domów wychowawczych.

Liczbę pierwszych przyjąłem w stosunku 1:25000 ludności czyli na Królestwo całe 340 łóżek (bez Warszawy), innemi słowy 124100 dni szpitalnych, obliczając dzień szpitalny (żywność, lekarstwa, personel) po rb. 1, wypadnie 124,100 rubli rocznie. Liczbę łóżek w przytułkach należy oznaczyć wedłng projektu łódzkiego w stosunku 1:10000, czyli na 850 łóżek a więc 276000 dni szpitalnych; licząc dzień szpitalny w przytułku (koszt dozoru i żywności) na 60 kop. dziennie, wypadnie 165,600 rubli rocznie.

Wreszcie, stosownie do powyżéj podanych żądań, należałoby utworzyć po 50 miejsc na gubernię, czyli 500 miejsc na Królestwo w domach wychowawczych, wyniesie to 182,500 dni wychowawczych; obliczając koszt dnia, jak w przytułkach, po kop. 60 wypadnie 109,500.

Zbierzmy teraz odnośne dane w tablicę.

1)	740 lekarzy po 1000 rubli	740,000	rubli
2)	660 akuszerek po 300 rubli	198,000	„
3)	1510 babek po 100 rb.	151,000	„
4)	1480 służby szpitalnéj po 100 rubli i utrzymanie	256,040	„
5)	Utrzymanie chorych w ciągu 1,395,538 dni szpitalnych . .	687,768	„
6)	Koszt lekarstw dla 660 ambulatoryów po 500 rubli . . .	330,000	„
7)	660 lokali na szpitaliki-ambulatorya po 300 rubli	198,000	„
8)	Na kancelaryę po 50 rb.	33,000	„
9)	Utrzymanie sanatoryów dla suchotników, 340 łóżek czyli 124,100 dni szpital. po rublu	124,000	„
10)	Utrzymanie 850 miejsc w przytułkach, czyli 276,000 dni szpitalnych po 60 kop.	165,600	„
11)	Utrzymanie 500 wychowańców domów wychowawczych, czyli przez 182,500 dni po 60 kop.	109,500	rubli
	Razem . .	2,995,008	rubli

Cała zatém reforma w najszerszym zakresie kosztować będzie rocznie niespełna 3 miliony rubli, czyli summę, którą można, jak zaznaczyłem, z łatwością uzyskać z podatku pogłównego, widzimy zatém, że niemożebności finansowéj, ani innych niema i że reforma może być wprowadzona bez trudności.

Całoroczny podatek z pierwszego roku przeznaczyć należy na budowle oraz urządzenia lekarskie i gospodarcze, przez co budżet roczny

zmnięjszy się i remanent pozostały może być używany na wznoszenie nowych szpitali i rozszerzenie już istniejących.

Nie na tém wszelako skończyć się reforma powinna. Obok kwestyi leczenia należałoby gruntownie zreformować służbę sanitarną w Królestwie. Ogólne pod tym względem uwagi wypowiedziałem już na początku artykułu, szczegóły wymagają wszakże omówień dalszych. Z powodu i tak już wielkiéj objętości artykułu, tę stronę reformy rozpatrzę w jednym z artykułów następnych, w którym również zwrócić muszę uwagę na potrzebę reorganizacyi instytucyi lekarzy sądowych.

W artykule niniejszym chodziło mi przedewszystkiém o wyjaśnienie braków stanu obecnego i podanie sposobu zaradzenia złemu w myśl istotnych potrzeb, chodziło mi również o zbicie błędnych i nie opartych na znajomości potrzeb miejscowych projektów, które szkodę raczéj, niż pożytek, przynieść by mogły, gdyby weszły w życie.

Dr Józef Zawadzki



Społeczne podstawy Prawa i Państwa.

Dokończenie [1]).

VII.

Wojna i podbój bardzo często przyśpieszają ewolucyę plemienia i wprowadzają do niéj nowe czynniki rozwoju. Walka wewnętrzna ulega wtedy wielkim zmianom, stosunki stają się bardziéj złożonemi, nowe przystosowania się są konieczne do utrwalenia bytu grupy. Jedynym środkiem złagodzenia walki między grupami społecznemi pierwotnych plemion jest przeniesienie na grupę zwyciężoną jak największéj sumy przykrości i bólu, dla własnéj korzyści. Już porywanie kobiét daje, w porównaniu z ludożerstwem, stalsze korzyści i już bardzo wcześnie powstają dwa przystosowania się łagodzące skutki zwycięstwa: zawłaszczenie kobietami zwyciężonego pokolenia i zachowanie dzieci zwyciężonych w domu do pracy niewolnéj. W miarę rozwoju produkcyi—pasterskiéj , ogrodniczéj i rolnéj—przy nadmiarze ziemi, prawdziwém bogactwém jest niewolnik. Obecność wielkiéj liczby niewolników w grupie społecznéj wzmaga jednocześnie potrzebę silnéj władzy.

---

[1]) Patrz „Ateneum", zesz. listopadowy r. b. str. 304.

Zdobywcy zwalniają się od ciężkiéj pracy, a rasa wychowana od dziecka w niewoli, do niéj przywyka i z nią się zrasta. Zjawiają się wyprawy wojenne z wyłącznym celem pozyskania niewolników — polowania na ludzi.

W państwach potężnych część niewolników pozostaje pod władzą panującego; on jest najbogatszym ich posiadaczem i niewola staje się instytucyą prawa publicznego, podstawą organizacyi socyalnéj. Państwo w téj epoce jest to grupa ludzi wolnych, złączonych celem spokojnego eksploatowania własności niewolników. We wszystkich despotycznych państwach wschodnich i w wielu klasycznych liczba niewolników jest większa od ilości wolnych, którzy panują tylko dzięki swéj organizacyi politycznéj i wojskowéj, sile i odwadze. Część niewolników służy także w wojsku, korzysta z hojności wolnych. Prawa uświęcone wolą przodków lub bogów utrwalają ten stan rzeczy; niewolnik staje się rzeczą, obiektem prawa, a prawo własności człowieka nad człowiekiem w świecie starożytnym uważa się za tak święte, że nawet Tyberyusz nie ośmielił się usamowolnić niewolnika rzymskiego bez pozwolenia jego pana.

Przystosowanie się jednak człowieka do roli rzeczy, bydlęcia, nigdy nie jest zupełném. Historya ludów, których organizacya społeczna była oparta na niewoli, daje ciągłe przykłady buntów. Zwyrodnienie obu klas: panującéj i opanowanéj, wolnéj i niewolnéj, jest koniecznością; przystosowanie to jest anormalném i dla tego zawsze dąży do zniknięcia.

Wyższym stopniem przystosowania się w pożyciu wspólném różnych grup socyalnych jest niewola państwowa — helotyzm. Jest to ujarzmienie ludności zwyciężonéj z pozostawieniem jéj na jéj własném terytoryum, przywiązanie jéj do ziemi. Niéma prawie na świecie ludu, który by téj doli nie przechodził. Zwyciężeni obowiązani są do pracy na rzecz zwycięzców—klasy panującéj, nie mają prawa noszenia broni i organizowania się w związki. Pierwszym i najlepszym przykładem w historyi tego przystosowania się jest panowanie Doryjczyków w Peloponezie: Sparta.

Poddaństwo nie zawsze pochodzi z niewoli i jest jéj złagodzeniem. Często ustanowioném ono zostaje przez podbój, jest środkiem pasorzytnictwa „*sui generis*" i może nietylko powstać przez nadużycia klasy rządzącéj, ale z czasem przemienić się nawet prawie w niewolę. Nędza poddanych czyni z nich często niewolników. Najczęściéj poddaństwo powstaje z przemocy klasy wojowników. (Polska, Węgry), i nie jest żadną specyficzną właściwością ludów aryjskich. Spotykamy się z niém w Nowéj Irlandyi, na wyspach Fidzi, Tahiti, Madagaskarze

w Japonii i u Tuaregów. W Europie epoką klasyczną poddaństwa były wieki średnie; źródłem—zalew państwa Rzymskiego przez barbarzyńców. W czasach dobrze już znanych rycerze normandzcy z wolarzami i tkaczami flamandzkimi opanowali Anglię i zmienili wolnych Anglo-Sasów w poddanych.

Prawnie między niewolą a poddaństwem różnica jest ogromna. Poddany sam musi myśléć o swém wyżywieniu się; niewolnik nie zna téj troski, a przy rozsądnym panu a złych warunkach ekonomicznych poddanego, może być od tegoż mniéj głodnym i lepiéj materyalnie zabezpieczonym. Hypokryzya tylko może twierdzić, że los poddanego jest stanowczo i zawsze lepszym od losu niewolnika. I poddany wyradza się, zezwierzęca i wymiéra przedwcześnie; w niektórych krajach poddaństwo było cięższe niż niewola u innych. Ale psychologiczne przystosowanie się do roli niewolnika jest cięższe niż do roli poddanego, bo ten ostatni zwykle zachowuje pewne prawa osoby ludzkiéj: prawo posiadania rodziny, majątku osobistego i czasami zmiany pobytu, a zmuszony sam myśléć o swém utrzymaniu, nie może upaść tak nizko, jak niewolnik. W wiekach średnich, sądzi Vaccaro, kościół pogarszał byt poddanych odrywając uwagę ich od doli na ziemi, obietnicami nagród w życiu przyszłém.

Praca poddanych jest na ogół produkcyjniejsza od pracy niewolników. Nie wyłącza ona nagromadzenia pewnych zapasów; prawo zastrzega poddanemu wolność od nadmiaru złéj woli pana, ogranicza jego samowolę: poddany nie jest rzeczą. Nie mniéj jednak nadużycia średniowiecznego poddaństwa były w niektórych krajach i epokach przerażające. Dla zaspokojenia danin sprzedawano rodzone dzieci, ilość pracy na rzecz pana wzrastała czesto bez granic, i dlatego też epoki poddaństwa obfitują w bunty, wojny chłopskie i rzezie. Przystosowanie się klasy opanowanéj na drodze poddaństwa nie wydało też zadawalniających rezultatów.

Klasyczną ziemią poddaństwa, podług Vaccaro, była Francya. W VIII w. pan miał prawo przenoszenia ludności z miejsca na miejsce; w X w. poddani posiadają prawa rodzinne i spadkowe, nie mogą być ani sprzedani, ani zapisani testamentem bez ziemi. W XI w. zaczyna się organizacya poddanych w miastach, które powoli, najczęściéj za okupem, zwalniają sie od władzy pana i przechodzą pod bezpośrednią władzę królów. Królowie rozszerzają ich autonomię: przemysł i handel dają im zamożność i bogactwo i tworzy się między klasą panującą a klasą poddanych stan trzeci, w którym humanizm budzi życie umysłowe. Uniwersytety wyswobodziwszy się z pod opieki teologów przedewszystkiem wpływają na podniesienie oświaty wśród mieszczan. Sprzedaż urzędów królewskich i miejskich utrwala wpływ rodzin

mieszczańskich. Rok 1789 daje im udział we władzy politycznéj kraju, a udział ten stan trzeci potrafił wkrótce zamienić na monopol władzy w państwie. Zwolnienie miast od ciężarów, zwiększyło tylko ciężary niezwolnionych, poddanych, wśród których powstały dwie klasy: poddanych posiadaczy ziemi i poddanych bezrolnych, prostych robotników. Wojny i zbytek dworzan zrodziły niesłychaną w dziejach fiskalność. Wśród walki, jaką stoczył lud w XIX w. z klasami uprzywilejowanemi mieszczaństwo było arbitrem, i rozstrzygnęło spór, zagarniając korzyści nowéj organizacyi społecznéj, na swoją wyłączną korzyść.

VIII.

Walka wewnętrzna w grupie sgołeczeństwa ludzkiego złożonego wymaga przystosowania się do jéj warunków zarówno ze strony zwycięzców, jak i zwyciężonych.

Celem każdego podboju jest wyciągnięcie możliwie wielkich korzyści ze zwyciężonych, zagarnięcie dla siebie, jaknajwiększéj ilości przyjemności,—przez włożenie pracy i cierpień koniecznych na zwyciężonych. Aby zwyciężyć, podbić i rezultaty podboju utrzymać, trzeba się do warunków nowych przystosować, zorganizować, być ciągle gotowym do odparcia napaści z zewnątrz i do utrzymania zwyciężonych w posłuszeństwie i uległości wewnątrz. Najodpowiedniejszém do tego celu jest przystosowanie organizacyi wojskowéj do potrzeb organizacyi politycznéj.

Potrzeba zatém, aby zwycięzcy uznali, że poddanie się stałe karności wojskowéj, nawet w czasie pokoju, zapewnia im niewątpliwie korzyści. Nie inaczéj działo się w historyi: wszystkie prawodawstwa zdobywców w większym lub mniejszym stopniu dążą do tego celu. Najpierwszym i najwspanialszym wzorem téj organizacyi była starożytna Sparta. Równość ekonomiczna i polityczna między zwycięzcami jest prawie konieczną; nigdzie jednak, wobec wrodzonéj człowiekowi chciwości, ostać się długo nie mogła; w Sparcie skarb stał się w końcu łupem kilku dostojników, a za czasów Agisa III ziemia była własnością tylko 100 rodzin. Walka o władzę między zwycięzcami musi być otamowaną, musi przybierać formy łagodniejsze, inaczéj panowanie ich jest krótkotrwałem.

W każdym razie i zwycięzcy ulegają zróżniczkowaniu; wyradzają się w kilka stanów i klas społecznych, a pomiędzy temi klasami czy stanami rozwija się walka o władzę polityczną, o wpływ na ekonomiczno-

prawne urządzenie stosunków wewnątrz grupy. Wojny domowe, morderstwa i intrygi polityczne są objawami tych walk, zarówno w despotycznych państwach starożytnego wschodu, jak i w niby ucywilizowanych krajach Europy.

Ile razy walki śród klas panujących przebierały miarę, panstwo stawało się łupem sąsiadów, lub upadało pod naciskiem buntów poddanych. Tylko tam, gdzie walki o władzę były hamowane obawą napaści z zewnątrz, państwo przetrwać mogło pierwociny swego bytu. Umiarkowanie (*temperance*) i kompromisy musiały walki otamować. Naczelnika państwa początkowo wybierano losem, albo obiérano, wszędzie jednak powoli wzięła górę zasada dziedziczności, jako najbardziéj odpowiadająca potrzebie stworzenia trwałéj, silnéj i sprawiedliwéj władzy. Uświęcono ją jeszcze pochodzeniem z „łaski Bożéj". Drugim sposobem zapobieżenia walce było obliczenie wzajemne sił walczących przed walką, głosowanie, i oddanie władzy lub wydanie rozporządzenia zgodnego z żądaniem większości, jako mającéj więcéj szans zwycięstwa wrazie walki. Obawa bezrządu i walki wewnętrznéj wywołała szerokie zastosowanie zasady głosowania i rządzenia według życzenia większości. a tylko ambicya i intryga zmieniły tę pokojową metodę walki w rodzaj mistyfikacyi, przez co wojna społeczna czycha dziś za drzwiami wszystkich parlamentów europejskich.

Z walką o władzę polityczną łączy sie ściśle walka o prawo cywilne i karne, jako środki osiągnięcia i zabezpieczenia korzyści, płynących z wyzysku poddanych. Passy twierdzi, że historya nie daje nam ani jednego przykładu, aby pewna klasa społeczna, doszedłszy w państwie do władzy, nie użyła całéj swéj potęgi dla przywłaszczenia sobie na podstawie praw ogólnych, jaknajwiększéj ilości korzyści z krzywdą ogółu.

Stosunki wewnętrzne, prawne, zależą zawsze w każdém społeczeństwie od stosunkowéj potęgi sił walczących i od natury klasy dzierżącéj władzę.

Najpowszechniejszą, najpierwotniejszą i najbardziéj trwałą jest władza stanu wojskowego; wynika ona z natury rzeczy w epokach, w których wojna jest normalnym stanem ludzkości. Dopóki każdy dorosły mężczyzna jest wojakiem, dopóty klasa wojowników nie istnieje. Gdy jednak państwo rozszerzy się tak, że nie potrzebuje na wojnę wzywać wszystkich swych dorosłych obywateli, albo gdy grupa ludzka dokonała podboju i odebrała oręż zwyciężonym, (ta druga geneza stanu wojowniczego jest niezawodnie bardziéj powszechną), wtedy w plemieniu, państwie, czy narodzie powstaje klasa rycerska, która zwykle władzę zagarnia.

Władza pozostaje w jéj ręku nawet potém, gdy wojna ustała, a jeśli jéj z rąk wypadnie, wraca do niéj jak tylko anarchia wewnętrzna lub napaść zewnętrzna grozi społeczeństwu zagładą (Rzym za cesarzów, Francya za Napoleona). Panowanie jéj w swéj treści, jest despotyczne, współudział innych klas w zarządzie nie jest potrzebny i zwykle nie bywa tolerowany. Rząd utrzymuje się systemem grabieży dokonanych na sąsiadach, a w braku ich na własnych poddanych. Jest to stan wojenny „*in potentia*” obfity w czyny samowoli i bezprawia, w łupiestwo prawne, które panujący legalizuje, uprawnia, aby utrzymać przy sobie rycerzy i zachować siłę a z nią i władzę. Uprawniona grabież wewnętrzna zabezpiecza społeczeństwo od grabieży z zewnątrz.

Z natury téż rzeczy władza wojskowa jest obieralna, a nie dziedziczna; łatwo téż wyradza się w szereg burz politycznych i krwawych walk o władzę. Zrodzona z gwałtu, oparta na sile brutalnéj i samowolnéj nie może zerwać całkowicie z tradycyami gwałtu, mordu, i rozboju. Stosunek pasorzytniczy utrzymuje się tylko siłą fizyczną i dla tego przystosowanie takie jest bardzo niedoskonałe.

Inny charakter nosi władza tam, gdzie spoczywa w rękach klasy kapłańskiéj. Klasa ta powstaje z biegiem czasu prawie w każdym cywilizującym się narodzie: zjawia się wiara, że niektóre indywidua pozostają w ściślejszym związku ze zmarłymi i bogami niż reszta śmiertelnych. Strach, jakim napawa dzikiego widok śmierci, i niezrozumiałe katastrofy w przyrodzie, tłómaczą nam i niesłychaną powagę kapłanów, i powstanie ich jako klasy oraz wypadki zagarnięcia przez nich władzy w społeczeństwach pierwotnych. Ze wszystkich rodzajów despotyzmu, despotyzm władzy duchownéj — jest najnieznośniejszy, bo ma siedlisko w sumieniu człowieka. Przykłady najwyższego absolutyzmu mają zawsze charakter religijny. Ale z drugiéj strony cierpienia materyalne, jakie ten system zadaje poddanym, z natury rzeczy są słabsze od cierpień pod władzą kasty wojowników; najsroższemi są cierpienia pośrednie, wynikające z zakorzenienia się przesądu i religijnéj egzaltacyi: władza kapłanów umniejsza społeczną energię, zatraca instynkty realnego życia i tylko powolne zepsucie klasy kapłańskiéj ratuje od upadku ludy podległe teokracyi. Pierwiastkowa czystość obyczajów i jedność kasty kapłańskiéj, znika; zjawiają się sekty, herezye i wewnętrzne walki religijne, a dla utrzymania się przy władzy kasta kapłanów musi wejść w porozumienie z kastą wojowników i z nią władzę podzielić. Taki kompromis, takie przystosowanie się wzajemne dwóch stanów jest tutaj prawie konieczne i prowadzi niechybnie do osłabienia walki wewnętrznéj między rządzącymi.

Panowanie arystokracyi ma być panowaniem najlepszych, najcnotliwszych; w gruncie zaś rzeczy jest panowaniem mniejszości, opartéj na urodzeniu lub bogactwie. Podług słusznego mniemania Vico, wszystkie respubliki pierwotne były arystokratycznemi. Już w hordach są rody i przewodnicy rodów—starsi; stanowią oni radę plemienia. Ta rada to zaród arystokracyi. Dowódcami klanów są zwykle nietylko najstarsi wiekiem, ale najdzielniejsi i najbogatsi. Wojna i domniemane pochodzenie od ubóstwianych przodków dają im przewagę moralną i pod ich wpływem powstają pierwsze czasowe monarchie, które albo wskutek stałych wojen wyradzają się w trwałe autokracye, albo w epokach i w krajach mniéj wojennych — w arystokracyę. Obok arystokracyi z pochodzenia, bardzo wcześnie, tworzą się arystokracye ekonomiczne: rządy bogatych. Bogactwo daje możność rozwoju umysłowego, i rodzi wpływ. Podług Letourneau nie wojna i nie odwaga, ale bogactwo było źródłem szlachty. Każdy bogacz rozkazywał ubogim i tylko bogacze mogli być dowódcami na wojnie. Walka szlachectwa z bogactwem, powstała stosunkowo niedawno; nie istniała ona w starożytności, w któréj warunki dowództwa (zbroja, koń i wóz wojenny) były tylko w posiadaniu bogatych. Bogactwo łatwo łączyło się i zléwało ze szlachectwem, z zasługą i odwagą wojenną. Wszędzie z biegiem czasu obok rodów szlachetnych, arystokracyi rodowéj, powstawały rody bogatych, arystokracya majątkowa, a nie można téż zapominać, że w pewnych epokach historycznych, kiedy bogactwo polegało przeważnie na ilości niewolników, powstawało ono tylko w drodze podbojów i zwycięstw wojennych, i że ta arystokracya, która połączyła w wiekach średnich odwagę wojenną z majątkiem na wojnie zdobytym, arystokracya szabli, była najpotężniejszą i najniesprawiedliwszą ze wszystkich znanych arystokracyi. (?)

Każde plemię zdobywców staje się szlachtą, wyższą pochodzeniem od podbitych i z czasem zagarnia dla siebie władzę nieograniczoną. Każdy podbój rodzi nowe państwo arystokratyczne, a właściwie oligarchiczne, którego jądrem jest wojskowy dowódca plemienia zdobywców. Jeśli podbici cierpliwie znoszą jarzmo poddaństwa, organizacya wojenna powoli zanika; władza polityczna staje się niezależną od klasy wojennéj, rodzą się młodsi bracia i powstają rodziny szlachetne nieposiadające ziemi, cała masa obywateli wolnych, którzy siłą rzeczy stają się antagonistami, dzierżących ziemię oligarchów. Klasa arystokratyczna walczy o nienaruszalność przywilejów, do własności ziemskiéj przywiązanych. Tworzą się trzy nowe źródła uszlachcenia: zbogacenie się, nabycie ziemi i urząd dworski. Szlachta powstaje tylko w epo-

kach barbarzyńskich, sztucznie w narodzie już ucywilizowanym stworzyć jéj niemożna. Doświadczył tego Napoleon I.

Chciwość jest charakterystyczną cechą rządów arystokratycznych; przywileje klasy panującéj wzrastają ciągle i stale. Rząd otacza się wystawną wspaniałością; jest to epoka tytułów, herbów, ceremoniałów i zbytku. Wiecznie w obawie o swą władzę, arystokracya chętnie dzieli się korzyściami z niéj płynącemi ze stanami rycerzy i kapłanów i wchodzi z nimi w kompromisy, przystosowuje się do wymagań obu tych klas. Z czasem zgoda ta wychodzi na złe arystokracyi, chociaż największym jéj wrogiem jest sam postęp. Wiąże się ona z kapłaństwem i dla tego proteguje obskurantyzm, a mimo wszelkich usiłowań i kompromisów, z biegiem czasu przeradza się zawsze w demokracyę, rzadko kiedy w monarchię despotyczną. Jeśli osłabia wojskowość, popada łatwo w anarchię, albo pod władzę obcych. Jak każda mniejszość, arystokracya musi uciekać się do podstępu i nadużycia, co ją naraza na nieuczciwość i pogardę. Wszędzie też znikneła zwolna, choć lepsza jest od militaryzmu i teokracyi tém, że ma podstawę szerszą, że godzi w sobie więcéj interesów, wymaga lepszego przystosowania się zwycięzców, czy panujących, między sobą i rządzi za pomocą środków bardziéj ludzkich i łagodnych.

Przewagę polityczną klas ludowych, ich wpływ decydujący na władzę nazywamy demokracyą. W epoce pierwotnéj człowiek nienależący do rodu, do klanu, nie jest człowiekiem, jest z góry umarłym. Z chwilą, gdy potęga rodów upadła, jednostka żyje dla siebie i przez siebie, a dla bezpieczeństwa, jeśli nie należy do familii potężnéj, oddaje się jéj w opiekę zostaje jéj klientem. Ci co zostają po za familiami tworzą plebs, który żyje bez obyczajów, bez praw i bez religii, bez opieki i bez organizacyi społecznéj. Wypędzeni z rodów. nieprawe dzieci, obcy przybysze są zarodkiem téj saméj klasy, do któréj, w społeczeństwach na podboju opartych, należy cała klasa zwyciężonych. Potęga rodzin, patrycyatu, opiéra się na niepodzielności majątku rodzinnego, ale w miarę wzmagania się władzy państwowéj ta silna rodzina staje się niepotrzebną i szkodliwą. Powoli też upada.

Upadek jéj odbywał się w różny sposób w różnych społeczeństwach. Klienci odrywali się od familii i plebs zwiększa się liczebnie. Rolnicy, z klientów pracujących na rachunek familii, stają się kolonistami na własny rachunek, i dążą do własności ziemskiéj. Jednocześnie wojny wymagają współudziału w nich plebsu, który domaga się udziału w rządzie. Posiadacze bogactw ruchomych, powstałych przez handel i przemysł, chcą też brać udział w rozstrzyganiu spraw ogólnych i wła-

dza pozostająca początkowo w ręku arystokracyi rodowéj, przechodzi w ręce bogatych. Census jest jedyną normą udziału w rządach. Ale klasa bogatych zatrzymuje w swych ręku władzę jeszcze krócéj, niż arystokracya rodowa. Nie ma żadnego charakteru uświęconego tradycyą, bogactwo nie imponuje biédnym, jest dla nich niesprawiedliwością. Plebs atakuje ją téż jeszcze silniéj i zawsze wydziera jéj władzę.

Rządy demokratyczne są najmniej szkodliwe, najmniéj niesprawiedliwe; dążą do dobrobytu większości. Podstawą rządów demokratycznych jest zasada: „dobro publiczne”, korzyść ogółu.

Jedynym sprawiedliwym środkiem rządzenia dla Vaccaro jest głosowanie powszechne. Jest to środek potężny. W starożytności, przy pracy niewolników, obywatele państwa mieli czas i możność oznajomienia się z interesami publicznemi, które decydowali, i mieli pewną polityczną dojrzałość, większą niż ją ma lud w państwach dzisiejszych.

Z drugiéj strony zgromadzenia ludowe są zawsze w wysokim stopniu draźliwe, nerwowe, nieodpowiedzialne a wszechmocne, podejrzliwe a niewdzięczne, dążące zawsze do zwolnienia się od wszystkich obowiązków i ciężarów względem państwa z pokrzywdzeniem aż do niesprawiedliwości—bogatych. Prowadzi to koniecznie do wojen domowych, związków bogatych przeciw biédnym i biédnych przeciw bogatym. W Grecyi w czasach jéj upadku, walki te były strasznie zaciętemi. Demokracya wymaga koniecznie pewnéj równości majątkowéj, inaczéj zjawia się walka klas, która niechybnie prowadzi naród do upadku i ruiny.

Prawdziwa demokracya, mimo jéj pozorów, nie istnieje obecnie nigdzie, z wyjątkiem jednéj Szwajcaryi; parlamenty bowiem dzisiejsze, nawet te, które wybierane są przez głosowanie powszechne, są rządami klasy mieszczańskiéj, a nie ludu. Vaccaro bardzo szczegółowo rozbiéra konstytucye: Szwajcaryi i Stanów Zjednoczonych A. P., aby wykazać jak łatwo pozorna demokracya jest w gruncie rzeczy ukrytą oligarchią, a nawet plutokracyą.

Z pewną dozą zręczności i hypokryzyi ludzie nie z ludu stają się reprezentantami ludu, powstaje klasa polityków z zawodu—demagogów z potrzeby. Zepsucie i przekupstwo rozszerzają się w sferach politycznych do tego stopnia, że ludzie uczciwi, stronią od polityki, jak od zarazy i najczęściéj zręczna mniejszość rządzi losami kraju. Jeśli się nawet zdarzy, że istotna większość rządy obejmie, wyzyskuje swe położenie bez poczucia sprawiedliwości i krzywdzi mniejszość. Wymyślone dla obrony praw mniejszości wybory z listy, głosowanie zbiorowe (*rôle cumulatif*) nie dały żadnych rezultatów praktycznych.

Postęp polityczny leży w coraz szerszéj podstawie, na której rząd się opiérać powinien, w uwzględnieniu przez prawo interesów coraz to szerszych mas. Najlepszym rządem byłby taki, który by mógł uwzględnić interesy i mniejszości i większości obywateli.

IX.

Zastanawiając się nad całością rozwoju instytucyi politycznych i prawnych, jakie w swéj historyi wyrobiła ludzkość dla umiarkowania walk wewnętrznych i zewnętrznych, Vaccaro sądzi, że społeczne przystosowanie się ludzkości do wspólnego zgodnego pożycia jest jeszcze w wysokim stopniu niedoskonałém, że ludzkość zaledwie wychodzi ze stanu barbarzyństwa. Zarówno walki zewnętrzne jak i wewnętrzne, polityczne i prawne, prowadzą się z niepotrzebną zawziętością i nienawiścią. Demokracya prawdziwa w gruncie rzeczy nie istnieje i po większéj części rządy spoczywają w rękach plutokracyi. Nowe starcia są nieuniknione i można poważnie postawić pytanie, jaki użytek zrobił człowiek dotąd ze swej inteligencyi, jeśli brak zgody między ludźmi wywołuje tyle i tak strasznych klęsk?

Niedostatki przystosowania się mają swe głębsze przyczyny, a najpierwszą z nich jest brak dostatecznych środków pożywienia. Brak tych środków, istniejący z natury rzeczy, wzmaga się jeszcze przez nadmierne przewidywanie i nadmierną chciwośc klas posiadających. Coraz to większe nagromadzanie kapitału w rękach niewielu, usuwa z liczby żyjących całe szeregi nieposiadających—walka o byt prowadzi się w warunkach bardzo nierównych i dla tego bardzo często mniéj zdolni — gorsi — utrzymują się przy życiu.

Nie bez wpływu na niedostateczność przystosowania się społecznego jest i to, że środowisko w którém żyje dane społeczeństwo nie jest niezmiennném: warunki ekonomiczne, sąsiedzkie i polityczne; konjunktury handlowe i przemysłowe, ulegają ciągłym zmianom; po epokach warunków pomyślnych przychodzą epoki warunków niepomyślnych i przystosowanie zamiast poprawiać — cofa się. Stąd ofiary, cierpienia, zwyrodnienie i uwsteczńienie.

Na szczęście są też i okoliczności ułatwiające postępy przystosowania się. Wzrastająca bezustanku inteligencya i wiedza ludzkości być może nie są w stanie zmniejszyć ani ludzkiej niemoralności, ani chytrości, ani chciwości; ale niewątpliwie walczą z coraz to większém powodzeniem z siłami natury i wyzyskują ją na korzyść ogółu ludzkości. Usuwanie ze świata jednostek ludzkich brutalne i gwał-

towne: spędzanie płodu, dzieciobójstwo, ludożerstwo, ofiary ludzkie, epidemie, choroby, wojny, mordy i łupieże w części ustały całkowicie, w części znacznie zmniejszyły się. Nie mamy powodu przypuszczać, że w przyszłości dalszy postęp ustanie. Vaccaro ma nadzieję, że ludzkość otamuje z czasem chciwość indywidualną, a jeśli przytém potrafi bez ofiar opanować przyrost ludności, zastosować ilość narodzin do ilości środków pożywienia, to tém samém już ułatwi sobie sposoby przystosowania się do naturalnych warunków bytu i będzie żyła lepiéj niż dotąd.

Obok procesów naturalnych, które zmieniają organiczne i fizyczne przymioty człowieka — odbywa się ciągle jeszcze proces sztuczny, dążący do tego samego celu.

Nagromadzenie narzędzi i maszyn nie ustaje ani na chwilę, a przymioty człowieka, uspasabiające go do lepszego przystosowania się, wzrastają także i nagromadzają się nieustannie. Przystosowanie się postępuje coraz to szybszym krokiem; materyalne warunki bytu mogą się stawać monopolistyczną własnością niewielkiej ilości indywiduów, ale obok tego dziedzictwa bogactw materyalnych, gromadzi się coraz większy zapas bogactw umysłowych, intelektualnych, przenikających coraz to głębiej do dna społecznego, stających się dziedzictwem wspólném całéj ludzkości, które pozwalają biédnemu wyzwalać się z pod jarzma, w jakiém trzyma go koncentracya bogactw materyalnych. Jedna część téj wiedzy uczy opanowywać ślepe siły natury, druga część uczy go przewidywać złe skutki pewnych organizacyi społecznych, powiadamia go, jakie są racyonalne warunki zgodnego wspólnego pożycia społeczeństw. Ta część wiedzy ludzkiéj to nauka o prawie i o państwie, która musi się oprzéć na wynikach nauki o społeczeństwie, aby nie prowadzić indywiduów, grup społecznych i ludzkości na manowce pasorzytniczego wyzysku, kończącego się zawsze masowém wytępianiem.

W hordzie ludzkiej każde indywiduum w dążeniu do zaspokojenia swych potrzeb nie zna granic, jeśli tylko ma siłę, potrzebną do ich zaspokojenia. To właśnie stanowi źródło walk w hordzie. Każde indywiduum ludzkie jest dla niego przeszkodą w tém dążeniu i ztąd ogólna zasada: napadaj na każdego słabszego, gdy jesteś pewnym zwycięstwa, a unikaj walki, jeśli jesteś pewnym przegranéj. Słabi, aby nie uledz muszą się zgodnie wspierać, a wtedy walka może dać inny rezultat. Tworzą się zarody związków rodowych, klanów, które działają solidarnie, wspólnemi siłami odpierają napaści na każdego pojedyńczego ich członka, a ktokolwiek napada na członka rodu, jest pewnym klęski. Prędko tworzy się związek przyczynowy pomiędzy akcyą a reakcyą.

Wkrótce też zjawia się przekonanie o szkodliwości walk wewnętrznych w hordzie — i o ich etycznej wartości. Proces ten myślowy trwał długo, zbaczał z drogi, wstrzymywał się i przerywał, ale odbył się całkowicie. Poczucie solidarności nie wytworzyło się szybko i długo jeszcze pozwalano sobie na wszelki gwałt względem indywiduów zostających po za związkiem rodowym; korzyści jednak związków były tak wielkie, że w końcu górę wzięły i zupełna bezkarność stała się bardzo rzadką. Następnie, aby uniknąć starć z rodami — klanami — sąsiedniemi musiano powstrzymywać się od napaści na ich członków. Nie należy też zapominać, że nawet w epokach największéj dzikości zdarzać się musiały wypadki wspólnego działania — kooperacyi — na polowaniu, przy łowieniu ryb, wspólnej obronie od zwierząt i hord sąsiednich. U Fuegijczyków nawet, skłonność do wspólnego działania jest prawie organiczną. Karność i władza są w każdém skupieniu ludzkiém koniecznością. Przy częstém powtarzaniu rozkazów, zjawia się przymus dobrowolny i poczucie obowiązku. Rozkazy króla i rady plemiennéj są już słuchane z uległością, którą zwiększa przekonanie że starsi i królowie są przedstawicielami zmarłych na ziemi. Błędem jest twierdzenie, że prawo rodzi się dopiero wraz z państwem (Gumplowicz) albo też z rodziną patryarchalną. Rodzina jest historycznie młodszą od rodu (?), a często i od państwa; prawo zaś w zarodku, musiało powstać w najpierwotniejszém społeczeństwie ludzkiém — w hordzie.

W grupach społecznych złożonych, ewolucya prawa idzie szybszym krokiem. Pokój odrazu wytwarza Państwo i Prawo, a walki o władzę rodzą wcześnie przepisy prawa politycznego: ograniczenia władzy, obowiązki prawne, publiczne i prywatne, przywileje, zaszczyty, i prawo karne.

Po zatém powstają nowe szeregi norm prawnych mających na celu ochronę dóbr materyalnych od katastrof naturalnych: ognia, powodzi, epidemii, etc., lecz długi czas te przepisy, przez nieznajomość istotnych przyczyn klęski więcéj przynoszą szkody niż pożytku.

Najczęściej sądzono, że przyczyną klęsk są siły nadprzyrodzone— bogowie, a najdzielniejszym środkiem odwrócenia klęski ofiary krwawe, nieraz ludzkie. Karano też nieraz czyny niewinne, uważając je za nieprzyjemne dla bóstwa. Przesąd był źródłem wielu klęsk ogólnych i nieszczęść indywidualnych. Wzrost bogactw, rękodzieł i handlu zrodziły potrzebę nowych zarządzeń prawnych.

Taką była ewolucya prawa, którego celem zasadniczym jest przyuczyć — przystosować ludzi do bytu społecznego, określając warunki tego bytu. Przepisy prawne powinny zapewnić możliwie największą

pomyślność każdemu członkowi społeczeństwa, ale w żadnéj epoce historycznéj nie są ściśle biorąc takie, jakiemi powinny być racyonalnie, ale tylko takiemi, jakie wynikły z działania i przeciwdziałania ścierających się sił społecznych.

Człowiek rodzi się ciemnym umysłowo, poczyna stawiać kroki omackiem i drogo, krwią własną, opłaca swe błędy, swą ciemnotę, a jeśli w téj walce o byt, powoli odszukał gościńce postępu, to stało się tylko dzięki ślepemu działaniu natury — dzięki stałym i niezmiennie działającym siłom fizycznym świata.

Ludy lepiéj zorganizowane, bardziéj karne i solidarne, lepiéj przystosowane do wspólnego a zgodnego pożycia, mają zawsze więcéj szans zwycięstwa w walce o byt, więcéj szans rozszerzenia swego panowania na ludy sąsiednie, niż te, które ani karnemi być nie chcą, ani solidarnie działać nie potrafią. Pod naciskiem życiowego współubiegania się, społeczeństwa ustanawiają sobie prawa, coraz to bardziéj odpowiednie do celów przystosowania jednostki do życia społecznego i do pomyślności całéj grupy społecznéj. Każdy działa na swą korzyść, ale działa w sposób przez prawo określony — a prawo naturalnego doboru sprawia w sposób nieświadomy, że ostatecznie interes pomyślności ogólnej bierze górę i uczucia altruistyczne biorą przewagę. Stąd postęp ogólny i stały.

Obok téj ewolucyi organicznéj i nieświadoméj rozwija się w epokach późniejszych ewolucya druga, nieorganiczna — świadoma. Nigdy średniowieczni zwycięzcy nie byli w stanie ostatecznie i trwale przystosować zwyciężonych do warunków życia w niewoli. Zwyciężeni powoli wydzierali im jeden po drugim, ustanowione przez prawo przywileje a prawa stawały się mniéj uciążliwe i niesprawiedliwe. Coraz to nowe hamulce prawne (*tempéraments*) i porozumienia społeczne (*compromis*) wchodziły w życie i powoli zjawiał się kierunek, dążący do zapewnienia pomyślności większości członków grupy. Wpływ tego kierunku zwiększa się w miarę wzrostu inteligencyi, oswobodzającéj człowieka od tyranii przesądów religijnych, i umiejętności stanowienia praw, osiągających cel przez prawo zamierzony. Dowiadując się, że mogą być dobre i złe prawa, człowiek uczy się ustanawiać dobre. Do dziś dnia u narodów najbardziéj ucywilizowanych istnieją całe szeregi szkodliwych przepisów prawnych, bo sztuka życia kosztem bliźniego nie zupełnie jest łatwa. Aby ten cel osiągnąć, trzeba umieć zastosować się do warunków i pojęć danéj epoki, zastosowywać metody coraz łagodniejsze — przynajmniéj z pozoru. W końcu ludzkość dochodzi do przekonania, że każde pasorzytnictwo jest niesprawiedliwością, że próżniactwo i ciemnota są najobfitszém źródłem wszelakich klęsk

społecznych. Wiele złego społeczeństwa znoszą przez egoizm i ciemnotę klass posiadajacych, które zamiast uważać to złe za skutek swych błędów, wydają je za skutki konieczne warunków przyrodzonych bytu. W ogólnéj jednak ewolucyi stosunków ludzkich ucisk stale się zmniejsza, a eksploatacya ludzi przez ludzi staje się coraz bardziéj racyonalną t. j. odbywa się z coraz to mniejszą stratą sił pożytecznych ludzkości.

Podług zdania Spencera, każda władza w społeczeństwie powstała z napaści, wskutek napaści, lub dla napaści. Naczelnik jest zawsze naczelnikiem wojennym i na sprawy pokoju wpływu niema; hordą rządzą obyczaje i zmarli. Naczelnik hordy jeśli staje się stałym, poczyna interweniować, jako pacyfikator, w sprawach wewnętrznych hordy czy rodu — a w plemieniu zbiera się rada starszych. Ale jeśli wojny stają się zbyt ciągłemi, jeśli się stają zjawiskiem nieustannném — naczelnik zagarnia władzę ostatecznie; zagarnia władzę karania, kontrolowania, wykonywania praw, sądzenia sporów i czuwania nad spokojem w rodzie.

Powoli władza i wpływ rodu — klanu — upadają i znikają, a wtedy władza podejmuje nowe obowiązki, o ile powstająca jednocześnie rodzina nie przyjmuje ich na siebie: obronę osoby i własności — prawo karne. Z pojawieniem się form państwowych znika wspólność majątkowa rodu. Klasy posiadające skupiają się koło władzy, użyczają jéj poparcia i czerpią z niéj obronę majątku. Wytwarza się powoli monarchia oparta na oligarchii. Zwykle jednak tym pierwocinom państwa towarzyszą częste wojny i podboje, które wprowadzają państwo na drogę nowéj ewolucyi. Zwycięzcy muszą dla zachowania zdobyczy zorganizować się silniéj — strona zewnętrzna i wewnętrzna wymagają większych wysiłków. Podział pracy wytwarza stan, klassę, lub kastę wojowników—oświata, rękodzieła i handel stanowią odrębne zajęcia.

Współdziałanie, początkowo obowiązkowe i przymusowe, z czasem staje się dobrowolném i umowném, niezależném od władzy państwowéj. W miarę wzrostu przemysłu i handlu, wolność indywidualna wzrasta, wzrasta też wolność zmiany zamieszkania i wyboru zajęcia. Metody pasorzytnictwa téż zmianom ulegają: niewola przechodzi w poddaństwo, poddaństwo w najemnictwo. Państwo dąży do oddania poddanym jak największéj ilości usług, a jednocześnie do pozostawienia im jak największéj swobody. Karność i posłuszeństwo w epokach wojennych prowadzą do wielkich rezultatów, ale przeniesione w epoki pokoju, rodzą nadużycia.

Państwa, jego organy, pochłaniają zawsze więcéj dóbr materyalnych aniżeliby tego wymagały ich wysiłki, więcéj aniżeli by tego wy-

magało prawo biologiczne. To też organy władzy cierpią zawsze na przesyt — przeładowanie pokarmami — hyperemię — przyczém inne organy, inne komórki organizmu naturalnie cierpią anemię, całość choruje a czasami umiéra.

Ponieważ społeczeństwa, w których ten stan anormalny najsłabiéj jest rozwinięty, t. j. społeczeństwa najlepiéj rządzone, mają najwięcéj szans zwycięstwa w walce o byt, dla tego też egoizm klas rządzących czasami miarkuje się (temperuje) i hamuje. Liczba obywateli, biorących udział w rządzie, wzrasta stale; z czasem klasy pochodzące od plemion zwyciężonych (Anglia — Francya) dochodzą do wpływu na władzę polityczną, biorą udział w walkach politycznych i na téj drodze dochodzą do poprawy swego położenia prawnego. Władza polityczna bierze ich pod swą opiekę o tyle, o ile oni sami mają siłę. Ewolucya odbywa się zwolna i z trudnością, ale jest konieczną i nieuniknioną, a źródłem jéj jest ta okoliczność, że zwycięzcy nie są w stanie przystosować zupełnie zwyciężonych, na wieki, do stosunku pasorzytnictwa.

Udział we władzy politycznéj i ograniczenie pasorzytnictwa mogą być opóźnione siłą i gwałtem, ale nigdy nie mogą być zupełnie powstrzymane. Wojownik, kapłan, arystokrata, muszą z czasem ustąpić swych praw większości ludu, z początku pozornie, potém rzeczywiście, aż do chwili, w któréj i większość potrzebuje być okiełznaną, co już będzie zadaniem przyszłych pokoleń.

Dotychczasowy przebieg ewolucyi społecznéj — sądzi Vaccaro — dozwala na stawienie pewnych przypuszczeń co do przyszłości. Państwo pierwotnie spełniało dwa zadania: obronę od napaści z zewnątrz, i zapewnienie zwycięzcom spokojnéj eksploatacyi zwyciężonych wewnątrz. Z czasem stanęły przed nim zadania nowe: utrzymanie zgody i pokoju, i wykonywanie sprawiedliwości. Wojny zewnętrzne wpłynęły na osłabienie walk wewnętrznych, i dwa zadania pierwotne tracą powoli pierwszorzędne swoje znaczenie, z czasem utracą go one całkowicie. Czyż jednak, dla tego państwo ma utracić w przyszłości racyę swego bytu zupełnie?

X.

Nie jest naszym zamiarem krytykować szczegółowo socjalną teoryę Vaccaro: pozostawiamy psychologom rozbiór kwestyi: czy przyjemność i ból są objawami siły kosmicznéj, dążącéj do równowagi i kierującéj organizm za pośrednictwem wrażeń z jednego do drugiego stanu

równowagi po linji najsłabszego oporu. Nie będziemy też rozbiérać, o ile prawdopodobną jest skréślona przez Vaccaro ewolucya społeczeństw pierwotnych (horda, ród, rodzina), ta ewolucya, co do któréj nauka nie wyszła dotąd (i wątpliwém jest czy kiedykolwiek wyjdzie) po za granice mniéj lub więcéj prawdopodbnych hypotez, i o któréj sam Vaccaro mówi, że zapewne miała przebieg przez niego podany, lecz możliwém jest iż przebieg ten był inny. (str. 205/6).

Zauważymy tylko, że Vaccaro nigdzie w swojém dziele nie wypowiada wyraźnie swego poglądu na konieczność i pewność praw socyologicznych. Twierdzi on, że treść tych praw nie może być wzorowana na treści praw biologicznych; że prawa biologiczne przechodząc w sferę socyalną ulegają co do treści pewnym modyfikacyom; lecz nie mówi czy i o ile konieczność ich i pewność ulega też modyfikacyi.

Zasadnicza teza Vaccaro: że treść ewolucyi społecznéj zawiera się w kolejném przystosowywaniu się człowieka do nowych warunków bytu, tworzących się niezależnie od jego woli, jest niewątpliwie prawdziwa. Twierdzenie, że biologiczne prawa walki o byt nie mogą być przenoszone wprost z biologii do socyologii można uważać za zupełnie uzasadnione. Obraz jednak przebiegu tych walk i zasadnicze rysy „kompromisów", któremi się one kończą — wymagają pewnego sprostowania.

Rozbiérając we wstępie teorye socyalne innych szkół, Vaccaro pomija zupełném milczeniem szkołę historycznego materyalizmu. Niewątpliwie należy on po części do niéj: w walce klas społecznych widzi najważniéjszy objaw socyalny, odbiega jednak znacznie od zasad téj szkoły. Główną przyczyną walk społecznych jest dla niego nierówny podział majątku — nie twierdzi jednak, aby podstawą wyłączną ewolucyi społecznéj był postęp w metodach produkcyi i bardzo wyraźnie dowodzi, że na przebieg walk wewnętrznych wpływają walki zewnętrzne. O możliwości walk wynikających z motywów czysto psychologicznych — religijnych, językowych, nie wspomina; walki prowadzą się tylko o chléb i o władzę w państwie, o tę władzę, którą, jak twierdzi idąc za Passy'm, zawsze i wszędzie wyzyskiwano dla zapewnienia sobie jak największéj ilości dóbr materyalnych. Idąc też za zasadniczemi pojęciami materyalizmu historycznego, Vaccaro popełnia błąd, twierdząc że w społeczeństwach, a więc nawet i w dzisiejszych spełeczeństwach cywilizowanych istnieje jeden, wyraźny, stały podział społeczeństwa na dwie tylko klassy: posiadających i nieposiadających, rządzących i rządzonych, eksploatujących i eksploatowanych, pasorzytów i pracujących.

Błąd ten można zrozumieć tam, gdzie stanowi on punkt wyjścia dla sekty ekonomicznéj, naginającéj rzeczywistość do swych polityczno-

ekonomicznych celów, widzącéj w kwestyi robotniczéj jedyną, godną zastanowienia się sprawę społeczną, dzielącéj cały naród na robotników (i to specyalnie prawie fabrycznych) i nierobotników. W rzeczywistości jednak obecna organizacya społeczna nie jest tak prosta, jak się zwolennikom téj sekty wydaje, i klasyfikowanie walczących ze sobą, sprzecznych i niezgodnych interesów w społeczeństwach dzisiejszych przedstawia nie małe trudności.

Weźmy za przykład Anglię.

W końcu przeszłego stulecia teoretycy ekonomiczni angielscy zaznaczyli istnienie dwóch walczących o władzę kierunków, dwóch klas społecznych, które określono jako właścicieli ziemi i gotówki „*land interest*” i „*money interest*”. Z reformą parlamentarną 1832 wystąpił na widownię polityczną żywioł trzeci — klasa robocza „*labour interest*”. Te trzy jednak walczące ze sobą żywioły nie stanowią dziś wszystkich elementów społeczeństwa, świadomych swoich celów i dążących do ich osiągnięcia drogą porozumień z temi klasami, elementami i „interesami”, które w danym momencie, co do danéj kwestyi społecznéj mogą mieć „interesa” jeśli nie zgodne to przynajmniéj nie sprzeczne. Dość przeczytać ostatni (1898) raport komisyi do zbadania stanu rolnictwa w Anglii, aby się przekonać że dziś w wielu kwestyach prawodawczych t. z. „*land interest*” rozdwaja się na „*landlord's interest*” i „*tenants interest*” i że jeśli w wielu kwestyach ekonomicznych interesy właścicieli i dzierżawców są wspólne, to jednak często bywają one różne, n. p. w kwestyi waluty, a w sprawach uregulowania wynagrodzenia za nakłady przez dzierżawcę zrobione i w kwestyach upaństwowienia ziemi są wprost ze sobą sprzeczne. Tak samo i t. z. „*money interest*” nie jest dziś jedną grupą, jedną klasą społeczną, mającą zawsze jeden interes i działającą zawsze solidarnie.

W sprawach polityki ekonomicznéj – fabrykant angielski zgodziłby się na zaprowadzenie w Anglii ceł na towary nie pochodzące z kolonii brytańskich, byleby te kolonie dały towarom angielskim odpowiednie przywileje celne; lecz cała klasa handlująca musi ten „interes” uważać dla siebie za szkodliwy, — bo jéj „interesom” tylko absolutnie wolny handel dogadza. Interesa kupców i fabrykantów nie obejmują jeszcze całego dawnego „*money interest*”. Na zewnątrz pozostaje cała klasa „kapitalistów” *par excellence*—zwanych dawniéj—rentierami—któréj interesy polegają obecnie na powstrzymaniu spadku procentów—spadku, który w najwyższym stopniu dogadza „interesom” i kupców i przemysłowców. Po za tém wszystkiém stoi klasa pracujących w nauce, sztuce, zajęciach wolnych — klasa t. zw. inteligencyi pracującéj,

która ma tylko jeden ekonomiczny interes—dobrobyt całego narodu—bo żyje ona niewątpliwie z całego narodu.

Nakoniec nie można na chwilę zapominać, że ten teoretycznie jasny i wyraźny podział społeczeństwa na klasy wedle ich ekonomicznych interesów, w praktyce z trudnością daje się ściśle przeprowadzić, bo interesy ekonomiczne indywiduów ludzkich łączą w sobie po kilka interesów klasowych—i bardzo często niemożliwém jest oznaczyć do jakiéj grupy interesów dane indywiduum zaliczane być powinno; Anglik posiadający jednocześnie majątek ziemski, akcye przemysłowe, i własne przedsiębiorstwo handlowe nie jest w stanie powiedziéć, czy dane zarządzenie prawnoekonomiczne przyniesie mu stratę czy też korzyści.

Społeczeństwa dzisiejsze nie składają się więc z dwóch tylko walczących ze sobą klas, w łonie ich niéma sporu dwóch tylko między sobą walczących „interesów" ekonomicznych,—ale jest cały szereg różnych: sprzecznych, niezgodnych, obojętnych, łącznych, zgodnych i identycznych „interesów", których przedstawiciele wchodzą ze sobą w kompromisy i umowy, a rezultatem tych kompromisów jest często ten fakt, że prawodawstwo kraju uwzględnia interesy mniejszości, interesy klasy nie stanowiącéj większości narodu.

O przykłady nie trudno: nigdzie, nawet w Anglii, klasa robotnicza nie stanowi większości społeczeństwa; niemasz jednak dziś państwa ucywilizowanego na kuli ziemskiéj, któreby nie ustanowiło całego systemu praw na ochronę zdrowia i sił robotnika z mniejszém lub większém ograniczeniem praw właściciela fabryki.

Na kontynencie Europy stosunki klasowe nie są bynajmniéj prostsze. Przypomnimy tutaj kwestyę wpływu cen zboża na gospodarstwa włościańskie—kwestyę, o ile klasy wielkich i małych właścicieli ziemskich mają interesy solidarne wobec ceł protekcyjnych zbożowych; kwestyę, którą na tém miejscu rozbiéraliśmy na początku roku. Stosunki własności ziemi na lądzie stałym wiążą interesy ludności włościańskiéj z interesami ludności robotniczéj w sposób tak ścisły i prawie nierozerwalny, że niepodobna jest określić, gdzie się kończy „*land interest*" a zaczyna „*labour interest*", że jasna np. dla Anglika kwestya upaństwowienia własności ziemskiéj —na wschodzie Europy zmienia charakter, i traci połowę swego realnego znaczenia.

Charakterystyczną cechą stosunków socyalnych jest—jak twierdził już Comte — ich zawiłość (*complexité*), a o ile analiza tych stosunków naukowa i badanie z osobna objawów starć między pojedynczemi „interesami" i pojedyńczemi klasami jest pożyteczna, a nawet dla nauki konieczna—o tyle twierdzenie, że w życiu walki te sprowadzić się dają

do jednéj zasadniczéj walki o dobra materyalne między posiadającemi i nieposiadającemi, identyfikowanie téj walki z walką rządzących z rządzonemi — albo z walką robotników fabrycznych z właścicielami fabryki jest z punktu widzenia nauki najzupełniéj błędne.

Mówiąc o walkach politycznych, Vaccaro rozróżnia klasy kapłanów, rycerzy i arystokracyę: ale walki ich mają u niego charakter walki domowéj śród klasy rządzącéj o władzę nad nieposiadającym plebsem. O walkach w społeczeństwie demokratyczném, wywołanych sprzecznościami interesów ekonomicznych, nie wspomina wcale—bo po za walką w klasie posiadającéj o władzę polityczną, zna on tylko jedną walkę klasy rządzącéj z rządzoną, posiadającéj z nieposiadającą—pasorzytów z pracownikami.

To prowadzi nas z kolei do zastanowienia się nad drugim poważnym błędem naszego autora, wynikającym z użycia w socyologiczném badaniu terminu „parazytyzm”—„pasorzytnictwo”.

XI.

Vaccaro bardzo ostro krytykuje t. zw. szkołę organiczną—szkołę twierdzącą, że spłeczeństwo jest realnym organizmem. Metodę téj szkoły uważa za samowolną, opartą na pozornych analogiach (wstęp. str. XXV i nast.) a jednak sam dwa razy ucieka się do terminów biologicznych i oba razy ze szkodą dla wartości swojego dzieła.

Jeden z tych błędów wciska się do całości nieznacznie już w końcu pracy—tam, gdzie Vaccaro twierdzi, że „organ społeczny zwany państwem” pochłania o wiele większą ilość materyi odżywczych niżby tego wymagały prawa biologiczne, przez co „organ ten”—państwo—cierpi na „hyperemię” a reszta organizmu społecznego na anemię (str. 466). Państwo nie jest organem, ale pewną formą uspołecznienia, pewnym typem téj formy—który w rzeczywistości przedstawia niesłychaną rozmaitość odmian. — Jakim sposobem państwo może cierpiéć na hyperemię, przy anemii społeczeństwa — to jest wprost niezrozumiałém; bo jeśli w ustępie tym zamiast państwo, powinno być powiedziane: „klasa społeczna władzę państwową posiadająca”—to wobec przytoczonego wyżéj zdania Passy'ego—które Vaccaro w zupełności akceptował, że każda klasa społeczna posiadająca władzę, używa jéj zawsze na swą korzyść i z krzywdą klas pozostałych — ustęp ten nic nowego nie zawiera — ale łatwo może wprowadzić w błąd czytelnika, dając mu mętne pojęcie o istocie państwa, które stojąc jakby po za społeczeń-

stwem, ssie z niego soki żywotne i przez anemię do śmierci prowadzi. Państwo jako jedna z form uspołecznienia po za społeczeństwem stać nie może.

Najważniejszym jednak błędem Vaccaro jest przeniesienie z obrębu biologii do socyologii terminu „pasorzytnictwo", użycie go w takiém znaczeniu, w jakiém używa go szkoła materyalizmu historycznego. Do wyrazu tego ucieka się Vaccaro po raz pierwszy, mówiąc o Rzymianach (str. 124), że jakkolwiek stosunek zwyciężonych do zwycięzców zrobili mniéj okrutnym, niż w którémkolwiek z państw starożytnych, tém nie mniéj był to stosunek „pasorzytniczy", który prowadzić musiał koniecznie do zwyrodnienia i upadku zarówno zwycięzców, jak i zwyciężonych. Nie określa Vaccaro ani tu, ani potém, czém jest pasorzytnictwo społeczne, i czy jest między niém a pasorzytnictwem biologicznémjaka różnica. Daléj, mówiąc o walkach wewnętrznych, używa tego terminu coraz częściéj: niewolnictwo jest najpierwszą formą stosunku pasorzytniczego—a dalsze jego złagodzone objawy—poddaństwo i najemnictwo oparte są na stosunku „pasorzytniczym". Klasy władzę posiadające: wojownicy, kapłani, arystokracya, mieszczaństwo—wszystkie w różny sposób eksploatują pracujących fizycznie—i stosunki w społeczeństwie opiérają się jakby wyłącznie na tym stosunku eksploatowania jednych przez drugich, dla których określenia terminem najodpowiedniejszym, podług Vaccaro, jest „pasorzytnictwo".

Zauważyć tu przedewszystkiém musimy, że pasorzytnictwo zoologiczne jest formą współżycia zachodzącą tylko między osobnikami różnemi co do gatunku i zwykle stojącemi od siebie daleko pod względem organizacyi fizyologicznéj. Daléj pasorzytnictwo nie wyczerpuje jeszcze wszystkich form współżycia zwierzęcego, ktorych klasyfikacyę i określenie znamy wszyscy od czasu pojawienia się „Społeczeństw zwierzęcych" Espinassa. — Espinass, oprócz pasorzytnictwa, przytacza jeszcze, jako formy współżycia, między zwierzętami różnemi gatunkowo: komensalizm i mutualizm. W pasorzytnictwie pasorzyt czerpie pokarm z ciała gospodarza, nie dając mu nic w zamian,—w komensalizmie—jeden osobnik pożywia się odpadkami pożywienia drugiego bez oddawania mu w zamian jakiejkolwiek usługi;—w mutualizmie osobniki różnogatunkowe, żyjąc razem, wzajemnie oddają sobie usługi.—Przytém Espinass który w społeczeństwie zarówno ludzkiém, jak zwierzęcém widzi „związek w celu skuteczniejszego prowadzenia walki o byt z naturą"—oparty na „poszanowaniu osobnika" (str. 131) twierdzi, że „życie społeczne i pasorzytnictwo są względem siebie antypodami" (str. 139).—Zwolennicy termninów biologicznych w socyologii—powinniby

poszukiwać zatém w stosunkach społecznych objawów nie tylko jednego pasorzytnictwa, ale także objawów komensalizmu i mutualizmu i starać się oznaczyć, gdzie zaczyna się i kończy każda z tych form współżycia. Z góry jednak można im przepowiedziéć niepowodzenie w takiém poszukiwaniu.

„Pierwsza trudność"—mówi Espinass o badaniu pasorzytnictwa—„polega na określeniu samego faktu pasorzytnictwa" (str. 135). Granica między pasorzytnictwem a komensalizmem jest zmienna i niepewna (str. 136). Najnowsze badania na polu symbiozy zwierzęcéj z których sprawozdanie podało „Ateneum" kilka lat temu [1]), nie zmieniły tego stanu rzeczy. „Nie zawsze naturalista może odróżnić pasorzyta od niepasorzyta" (str. 9) „pomiędzy pasorzytnictwem a symbiozą nie we wszystkich przypadkach daje się przeprowadzić ścisła granica i niejednokrotnie trudno orzec czy mamy do czynienia z pierwszym czy z drugą". Te szczere przyznania naturalistów powinny być ostrzeżeniem dla socyologów, że i oni w stosowaniu tych terminów biologicznych powinni zachować najwyższą ostrożność.

Zoologowie stwierdzają tylko, że stosunek pasorzytniczy nie zmienia się nigdy w komensalizm, lub mutualizm, a ani komensalizm ani mutualizm nie przechodzą nigdy w pasorzytnictwo: fizyologiczne cechy indywiduów współżyjących czynią między niemi tylko jeden z tych stosunków możliwy.

Vaccaro, który tak stanowczo twierdzi, że prawa przystosowania się indywiduum do otoczenia w zakresie stosunków ludzkich zmieniają fizyognomię i modyfikują się (str. 63 i nast.), przenosi termin „pasorzytnictwo" do socyologii wprost, bez zastrzeżeń, a więc bierze go tak, jak go bierze zoologia, jako stosunek trwały, niezmienny—prowadzący do śmierci osobnika uległego pasorzytowi.

Sam jednak dostarcza faktów zbijających takie pojęcie pasorzytnictwa. Rzym jest dla niego najwspanialszym okazem międzyplemiennego pasorzytnictwa;—a jednak ten sam Rzym—mówi Vaccaro (str. 131) oddał cywilizacyi nieskończone usługi, zaprowadzając pokój „*pax Romana*" na całéj znanéj podówczas części świata cywilizowanego. Nie był więc typem zoologicznego pasorzyta, który nic w zamian nie daje, ale typem stosunku innego — stosunku, który do typowych stosunków biologicznych porównać się nie daje. W sferze wewnętrznych stosun-

---

[1]) Nusbaum. Pasorzytnictwo i współżycie w przyrodzie. „Ateneum" rok 1894, t. III, str. 9 i nast.

ków społecznych Vaccaro dostarcza nam innego dowodu przeciw swéj teoryi tam, gdzie mówi o pasorzytnictwie klasy mieszczańskiéj i z goryczą porównywa panowanie jéj do panowania klasy wojowników (str. 315). Ta ostatnia klasa okupywała swe pasorzytnictwo spełniając ciężki obowiązek obrony kraju przed najazdem obcych. Nie była więc klasą pasorzytniczą, ale stawała się nią z biegiem czasu tyle razy, ile razy przestawszy spełniać obowiązek obrony kraju, zachowywała mimo to wszystkie prawa i przywileje przyznane jéj przez resztę narodu w nagrodę za spełnianie tego obowiązku—i jak tego najwyraźniejszym przykładem jest historya naszego kraju w XVII i XVIII w.—chciała mieć tylko prawa i przywileje —a żadnych względem kraju obowiązków. Jeśli zgodzimy się na to, że stosunek rycerstwa—szlachty do reszty narodu u nas w XVII i XVIII w. był stosunkiem pasorzytniczym — to jednak nie możemy zgodzić się na to, aby takie określenie tego stosunku cofnąć wstecz do wieków poprzednich i twierdzić, że w zaczątkach naszej historyi w wiekach X—XVI rycerstwo, szlachta, — broniąca kraju od Niemców, Tatarów i Turków—płacąc ciężki haracz krwi i majątku dla zabezpieczenia reszty narodu od najazdu, niewoli i ruiny—była społecznym pasorzytem.

Historya naszego rycerstwa jest bardzo wymownym przykładem niemożliwości określania stosunków społecznych terminami zoologicznémi, stwierdzeniem faktu powszechnie spotykanego w historyi wszystkich znanych społeczeństw, że charakter stosunków międzyklasowych w społeczeństwie, nie jest nigdy stałym, jak stosunki zoologiczne—ale w biegu historyi ciągłym ulega wahaniom. Nie jest on nigdy ani stałém wyłącznie pasorzytnictwem, ani téż nigdy czystym niezmiennym komensalizmem lub mutualizmem — ulega wahaniom od jednego typu do drugiego — i ta plastyczność stanowi właśnie jego charakterystyczną cechę, któréj zoologiczne stosunki między zwierzętami — oparte na niezmiennych cechach gatunkowych nie posiadają i posiadać nie mogą. [1]).

Jeszcze jedną uwagę nastręczają nam te biologiczno-zoologiczne zestawienia. Stosunki symbiozy zwierzęcéj oparte są na cechach anatomicznych dla wszystkich indywiduów danego gatunku niezmiennych.

---

[1]) Pasorzyty są być może przejściowemi fazami rodowemi; pasorzyty dziś czasowe może przeobrażą się potém w stałe. Ale „na przeobrażenia podobne potrzeba nie setek, a nawet nie tysięcy lat, lecz olbrzymich okresów, o których równie trudno wyrobić sobie pojęcie, jak o odległości ciał niebieskich“... (Nusbaum l. c. str. 20). Wobec tego typy pasorzytnicze w zoologii wolno nam jest uważać za stałe i niezmienne.

Stosunki symbiozy społecznéj oparte są na stosunkach psychologicznych, które téj stałości w indywiduach danéj klasy społecznéj nie posiadają. Soliter, kleszcz, pchła muszą być pasorzytami; w sferze klas zaliczonych przez Vaccaro do pasorzytów, spotykamy imiona Gladstona, Pasteur'a, lorda Ashleya, hr. Chambrun, których pasorzytami społecznemi nazwać nie można. Dla Vaccaro rządzenie jest tylko prawem, nigdy obowiązkiem, a jednak bywa ono nieraz obowiązkiem i to nie łatwym do spełniania, tém cięższym im więcéj życie społeczne staje się złożoném, a „beneficya" rządzenia ulegają coraz większéj i troskliwszéj kontroli opinii publicznéj. Ustrój obecny społeczeństw cywilizowanych wymaga coraz większéj ilości jednostek zdolnych i gotowych spełniać bezinteresownie coraz większą ilość funkcyi społecznych, państwowych i niepaństwowych; i często w społeczeństwach, jakoby ucywilizowanych brakuje ludzi, którzyby te funkcye spełniać mogli, bo klasa „pasorzytów społecznych" jest jeszcze zbyt nieliczna, aby dostarczyć mogła odpowiednią liczbę osobników do spełnienia, téj funkcyi przygotowanych.

Jedynym znanym socyologiem, który używając wyrazu pasorzytnictwo starał się bliżéj zbadać jego objawy w społeczeństwie, jest Schäffle [2]). Dla niego jednak pasorzytnictwo jest przejawem walki o byt, nie zaś stanu równowagi" w społeczeństwie, albo „kompromisu" społecznego, jak chce Vaccaro; jest to, mówi Schäffle „może najokrutniejsza, najbardziéj rozpowszechniona i najbardziéj przeciwna rozwojowi, forma téj walki". Dla niego pasorzytem społecznym jest każda jednostka i każda klasa, która siłą i podstępem grabi innym jednostkom i klasom środki istnienia, ni dając społeczeństwu nic w zamian. Zastrzega się jednocześnie Schäffle, że „ekonomiczna nieprodukcyjność" nie jest „pasorzytnictwem" zawsze że indywidua nieprodukcyjne ekonomicznie, zajmując się polityką, dobroczynnością, sztuką i sprawami społecznemi, bywają często „najużyteczniejszemi" członkami społeczeństwa. Dla Schäfflego pasorzytami są: zbrodniarze, kobiéty publiczne, lichwiarze, spekulanci giełdowi, próżnujący urzędnicy i żołnierze, w końcu całe narody żyjące z grabieży i łupiestwa (koczownicy w Azyi, Hiszpanie w. XVI w Ameryce). Pasorzytnictwo rodzi się ze wstrętu do pracy zarówno w najwyższych, jak i w najniższych warstwach społecznych, jest rezultatem zarówno nędzy jak i nadmiaru bogactwa i kończy się śmiercią pasorzyta i jego ofiary.

---

[2]) Schäffle „*Bau und Leben des sozialen Körpers*" wyd. II, tom I. str. 490 *Exemplification des inneren Krieges am sozialen Parasitismus.*

Dla Schäfflego związek pasorzytnictwa z rządzeniem i posiadaniem jest luźnym, i pojęcie pasorzytnictwa łączy się tylko z pojęciem społecznéj bezużyteczności. Pasorzytem jest ten, kto swemu społeczeństwu żadnych usług nie oddaje, bez względu na to, czy żyje z roli, kapitału kościoła lub oręża.

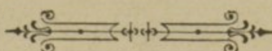
Wobec takiéj różnicy w znaczeniu, jakie może mieć termin pasorzytnictwo w socyologii, i wobec niemożliwości przeniesienia go do nauk społecznych, z tém znaczeniem, jakie do niego przywiązują zoologowie, lepiéj jest w nauce społecznéj nie używać go zupełnie, aby nie zwiększać tego pomieszania pojęć, którego i tak już w niéj nie brak.

Rozbierając w „Przeglądzie Filozoficznym" pracę Sighelego „o psychologii sekt", Dr. Stefan Balicki bardzo słusznie utyskuje na stan zawiązkowy nauki o społeczeństwie: „brak jéj metody, dokładnych określeń i klasyfikacyi"... „żadna też nauka nie jest tak zabagnioną przez obce sobie naleciałości i zgoła nienaukowy materyał myślowy, jak socyologia". [1]).

Nam się zdaje, że do tych wszystkich braków dodać należy jeszcze brak jeden i to bardzo poważny, brak odpowiedni terminów ściśle naukowych dla określenia pewnych stosunków społecznych. W kwestyi którąśmy tu poruszyli stoimy właśnie wobec takiego braku: jak nazwać te stosunki współżycia—symbiozy społecznéj, które nie są ani czystym pasorzytnictwem, ani czystym komensalizmem lub mutualizmem, i które z biegiem czasu ulegają wahaniom, zbliżając się to do jednego, to do drugiego typu, a wskutek tych wahań posiadają takie cechy charakterystyczne, jakich żadna symbioza zwierzęca posiadać nie może. Brak terminu usprawiedliwia po części Vaccaro, którego praca jako całość ma bardzo wiele poważnych zalet.

St. Piotrowski.

Ludynia 26 Sierpnia 1898 r.



---

[1]) „Przegląd Filozoficzny" Rok I. Zeszyt III, str. 115.

KRONIKA GALICYJSKA.

Lwów 27 listopada.

Reminiscencye i horoskopy polityczne. — Uspokojenie umysłów i uchylenie stanu wyjątkowego w zachodnich powiatach.—Trzy głosy zakordonowe o stosunkach Galicyi.—Reforma szkół średnich).

Ze smutną rzeczywistością polityczną dni bieżących i posępnym horoskopem na przyszłość najbliższą łączą się w téj chwili w całéj Austryi przykre wspomnienia z powodu jubileuszu. Pięćdziesiąt lat bowiem upływa właśnie od pamiętnéj dla ludów austryackich chwili konania pierwszéj konstytucyi nowoczesnéj i powrotu do systemu absolutnego, wprawdzie niepozbawionego nowoczesnych urządzeń prawnych i społecznych, ale zawsze połączonego z takiém samém ograniczeniem swobody politycznéj, jaka cechowała złamany na krótki czas przedtém system metternichowski. Wszystkie dzienniki w Austryi, nie wyłączając i naszych, przepełnione były ku schyłkowi roku fejletonowemi i kronikarskiemi odświeżeniami wypadków, któremi przed laty 50 posępna jesień znaczyła swój pochód ku mroźnéj zimie kalendarzowéj i politycznéj.

Dla nas pamiętne były szczególnie pierwsze dni listopada 1848 r. istnie fantastyczną sceneryą polityczną. Zaledwie bowiem rozsiadł się wówczas w pałacu Namiestnikowskim pierwszy sympatyczny gubernator, Wacław Zaleski, znany w naszéj literaturze pod pseudonimem Wacława z Oleska, a już stanowczą przewagę za kulisami polityki w jéj centralném ognisku zyskały żywioły reakcyjne, a na przeniesionym

z Wiednia do Ołomuńca dworze cesarskim już się zaczął proces cofania machiny państwowéj z rozpędu konstytucyjnego na tory absolutystyczne. Na bruku lwowskim odbyła się generalna próba przygotowywanego starannie przewrotu. Po nad głowę sympatycznego namiestnika wysunął się komenderujący generał br. Hammerstein ze swoją tajną wyjątkową władzą i zbombardował stolicę kraju, a z Ołomuńca w lot nadeszła nietylko aprobata tego czynu, lecz nadto nowa instrukcya rządowa, niejako poddająca namiestnika pod przewagę generała br. Hammersteina. Namiestnik Wacław Zaleski, który w chwili objęcia steru mógł mieć jeszcze bodaj słabą nadzieję, że zdoła opanować sytuacyę, a przedewszystkiém zepchnąć br. Hammersteina z nienależnego mu panującego stanowiska politycznego, nie miał już teraz innéj drogi przed sobą, jak wzięcie dymisyi i powrót do Wiednia ze złamaném, literalnie złamaném sercem. Wkrótce bowiem potém zakończył życie niemal nagle, na chorobę serca.

Była to dla Galicyi chwila anarchii oficyalnéj, anarchii w tém znaczeniu, że władza wojskowa *via facti*, a wbrew zasadniczym normom organizacyi władz, chwyciła ster w swoje ręce, a więc wytworzyła stan taki anormalny, jaki niedawno groził Francyi, kiedy gabinet Brissona stanął wpoprzek tajnym zachciankom sztabu generalnego i ostatecznie pokrzyżował je, chociaż sam przy tém zginąć musiał na wyczerpanie sił politycznych. W Austryi ówczesnéj nie było komu ująć się za stanem normalnym, bo gabinet pierwszy zdał się na łaskę władzy wojskowéj. W Galicyi anarchia ta następowała bezpośrednio po innéj anarchii, społecznéj i administracyjnéj, wytworzonéj przez wypadki r. 1846, więc położenie jéj było bez porównania gorsze, niż innych krajów austryackich. Z drugiéj atoli strony, była Galicya szczęśliwsza od reszty krajów koronnych, bo posiadała na stanowisku wybitném, a wkrótce potém naczelném, męża, który całą działalnością swoją ilustrował niejako to przekonanie, że niéma położenia tak rozpaczliwego, ani stosunków tak opłakanych, żeby, ze stanowiska społecznego i politycznego rzecz biorąc, godziło się zwątpić o wszystkiém i po desperacku założyć ręce w fatalistycznéj gnuśności czy bierności. Mężem tym był hr. Agenor Gołuchowski, w r. 1848 wice-prezydent a już w następnym roku szef namiestnictwa. Nie tutaj miejsce na szkicowanie działalności tego statysty, od r. 1849 począwszy. Była ona—krótko mówiąc—jakby pomostem, po którym kraj przeprowadzony został z nad samego brzegu przepaści, jaką stanowiła anarchia społeczna i administracyjna z lat 1846—1848, na rozległy i bujny grunt konsolidacyi wszechstronnéj.

Czy ta konsolidacya dziś po upływie 50 lat jest tak silna, żeby mimo wszelkich symptomów rozstroju kraj mógł spokojnie patrzéć w przy-

szłość, któréj horyzont na schyłku roku tak fatalnie się zachmurzył już nietylko w Wiedniu lecz równocześnie, jak niegdyś przed 50 laty, także i w Budapeszcie?

Jest jedna sprawa publiczna, która z powodu swych przejść historycznych i wewnętrznego znaczenia mogłaby uchodzić do pewnego stopnia za miernik widoków pod powyższym względem. Mam tutaj na myśli podział Galicyi na dwa okręgi administracyjne, na dwie prowincye: Galicyę wschodnią i zachodnią, jako środek zerwania organicznéj łączności całego kraju. Pomysł ten zrodził się tam i wtedy, gdzie i kiedy wylęgiwały się wszelkie pomysły, mające służyć maksymie rządowéj *divide et impera,* w Wiedniu metternichowskim, zaraz po smutnych wypadkach galicyjskich z r. 1846. Br. Krieg, smutnéj pamięci faktyczny wielkorządca Galicyi w latach 1846—7 przygotował wszystkie szczegóły wykonania tego projektu, ale brzask ery konstytucyjnéj w r. 1848 zniósł całkiem pomysły tego rodzaju, a przynajmniéj pokrzyżował plany wykonania. Za to w chwili zamknięcia téj ery, a nawet przed oficyalném zamknięciem, bo jeszcze za pobytu namiestnika Wacława Zaleskiego we Lwowie, przyszedł z Wiednia rozkaz, aby zaraz wydzielono sześć obwodów zachodnio-galicyjskich i złączono je w osobną całość administracyjną pod kierunkiem komisyi czy expozytury namiestniczéj w Krakowie. Była tedy Galicya faktycznie rozdzielona czy rozdarta w ten sposób do chwili, gdy namiestnik Agenor hr. Gołuchowski powołany został na ministra stanu i, korzystając ze swojego zakresu działania, zniósł wr. 1860 krakowską ekspozyturę namiestniczą, przywracając tém samém krajowi dawną jednolitość administracyjną. Kiedy upadł hr. Gołuchowski, jednėm z pierwszych zarządzeń jego następcy, wielkiego mistrza centralizmu, br. Schmerlinga, było przywrócenie dawnego podziału Galicyi, za czém gorąco się oświadczył wbrew względom na własną władzę także ówczesny namiestnik generał hr. Mensdorff-Pouilly. Była tedy znowu Galicya całe lata podzielona, dopóki na posadę namiestnika nie wrócił hr. Gołuchowski. Wraz z jego powrotem na widownię polityczną wraca jednolitość kraju, któréj aż dotąd nic już nigdy nie groziło. W ostatnich dopiero czasach w miarę, jak się mącić zaczęły stosunki parlamentarne i w ogóle polityczne w państwie i w kraju, odzywać się zaczęły nieśmiałe głosy za dawnym podziałem z tego obozu, który, zbankrutowawszy politycznie wraz ze swoim przewodnikiem, Romańczukiem, chciałyby wszystko zamącić, aby mieć potrzebną dla siebie — mętną wodę polityczną. Jakżeż inaczéj jednak wygląda dziś ten pomysł podziałowy! Tak on niepodobny do swojéj dawnéj postaci, jak prozaiczne straszydło na wróble do fantastycznego upiora. Nikt się nie lęka tego pomysłu a niéma zapewne w Wiedniu,

nawet w skostniałym świecie biurokratycznym, tak lekkomyślnego polityka, któryby dziś gotów był do ponowienia takiego zamachu podziałowego. Mógł on być dla nas dawniéj niewygodnym, nawet niebezpiecznym, dopóki kraj dopiéro się konsolidował, ale dziś byłby tak niedorzecznym eksperymentem, że chyba partacz polityczny mógłby sobie po nim jakie korzyści obiecywać. Wszystkie te nieśmiało odzywające się głosy tęsknoty za dawnym podziałem Galicyi są dziś już tak samo strachami na Lachy, jak były tém w ustach wrogów kraju podczas tegorocznych rozruchów antysemickich po wsiach zachodnio-galicyjskich zapowiedzi blizkiego przekształcenia się ruchu antysemickiego w ruch skierowany ostrzem swojém przeciw dworom obywatelskim.

* *

*

Kiedy w połowie r. b. wśród najostrzejszego stadyum tych rozruchów zająłem stanowisko optymisty, bez obaw w przyszłość patrzącego, nie należałem z pewnością do większości, bo kiedy wkrótce potém zwiedzałem w przejeździe okolice, które stanowiły widownię największych wybryków, nawet miejscowi znawcy stosunków, wcale nieskłonni ani do przesady, ani do pesymizmu, ostrzegali, aby przywróconego na pozór spokoju nie uważać jeszcze za stan normalny. Na miejscu bowiem świadkom naocznym tego, co było, i stanu obecnego położenie tak się przedstawiało, że po zatarciu się pierwszego wrażenia wyjątkowych środków prawnych i po ukończeniu zbiorów w porze jesiennéj rozruchy antysemickie mogą ponowić się w sposób tak samo niespodziewany, jak wybuchły na wiosnę. Tymczasem rzeczy tak stoją, że dziś, w późnéj jesieni, wcale wstydzić się nie potrzebuję owego optymistycznego horoskopu. Rozruchy nietylko nie ponowiły się, lecz owszem urzędownie stwierdzone zostało takie stanowcze uspokojenie się umysłów, że rząd mógł już znieść stan wyjątkowy w 25 powiatach galicyjskich. Pozostał on jeszcze w mocy na czas jakiś w ośmiu tylko powiatach, w których nieukończone dotąd sprawy karno-sądowe z okresu rozruchów wymagały czasowego zawieszenia sądów przysięgłych. Większa część tych spraw już załatwiona, niestety tak, jak być musiało, szeregiem wyroków skazujących głównych winowajców na dłuższe, lub krótsze więzienie. Co najgorsza jednak, to fakt, że jakkolwiek we wszystkich tych procesach karnych stwierdzono, iż główną rolę odgrywała baśń między ludem rozszerzona, jakoby cesarz pozwolił chwilowo żydów rabować, a papież zgodził się nawet na przedłużenie terminu rabunkowego, to jednak mimo najściślejszych dochodzeń nie powiodło się dotrzéć do

samego źródła téj baśni. Główni winowajcy uszli zatém bezkarnie, a jeżeli przypadkiem siedzą w więzieniu, to nie jako zdemaskowani autorowie téj baśni, więc intelektualni sprawcy całego nieszczęścia, lecz jako czynni uczestnicy ekscesów. Wieść i baśnie, wywołujące wzburzenie po wsiach, należą już snać do własności galicyjskich. W żadnéj prowincyi austryjackiéj nie zdarzyło się, żeby jakaś wieść niedorzeczna nagle pojawiła się po wsiach, ogarnęła odrazu, jak dżuma, znaczną przestrzeń kraju, znalazła wszędzie wiarę, pomimo w oczy wpadającéj niedorzeczności, i w końcu albo doprowadziła, jak w sprawie niniejszéj, do poważnych rozruchów, lub przynajmniéj, jak przed kilkunastu laty, kiedy przy wprowadzeniu w życie nowéj ustawy drogowéj lud wiejski zaczął obawiać się wznowienia pańszczyzny, do całego szeregu aktów oporu wobec dyspozycyi władzy, która musiała wtedy sięgnąć po bardzo dotkliwe środki egzekucyjne. Rzecz dziwna, że od trzydziestu lat, chociaż ogólne stosunki oświaty ludowéj zmieniły się na korzyść do niepoznania, a gminy wiejskie nietylko garną się do życia publicznego, lecz nawet zasilają je takimi inteligentnymi współpracownikami siermiężnymi, jak znany poseł Jakób Bojko, Potoczkowie i t. d., na punkcie łatwowierności co do najniedorzeczniejszych wieści i baśni lud wiejski tak mało się zmienił, iż głośno odzywa się u nas niejeden głos zwątpienia w skuteczność dotychczasowéj usilnéj pracy nad podniesieniem oświaty ludowéj. Wprawdzie wieść najświeższéj daty, wieść o wrzekomém zezwoleniu cesarskiém na obrabowanie żydów niéma już tak niebezpiecznego charakteru pod względem porządku społecznego, jak poprzednie wieści zmyślane na tle pańszczyźnianém i skierowane przeciw dworom, ale różnica, jakkolwiek na zaznaczenie zasługująca, nie zdoła ostatecznie zatrzéć tego fatalnego wrażenia, jakie świat odnosi co do inteligencyi ogółu włościan naszych. Jak to wytłómaczyć? Przypomina mi się przy tém pytaniu ciekawy dokument z r. 1846, który przypadkiem wpadł mi w ręce. W tym smutnym roku, w chwili gdy już dzieło rzezi zostało zamknięte, a wysłany z Wiednia nadzwyczajny komisarz rządowy, hr. Rudolf Stadion (brat późniejszego gubernatora galicyjskiego, hr. Franciszka Stadiona), objeżdżał powiaty katastrofą dotknięte, jeden z zachodnio-galicyjskich właścicieli dóbr, Franciszek Trzecieski z Gorajowic, zdobył się na wcale niebezpieczny w owych czasach akt odwagi obywatelskiéj i wręczył komisarzowi rządowemu obszerny memoryał, który w formie oględnéj, ale mimo to w sposób otwarty obwinił ówczesną biurokracyę niemiecko-galicyjską o intelektualne autorstwo katastrofy. Memoryał przytacza szczegóły na poparcie tego oskarżenia, a między temi szczegółami na pierwszém miejscu fakt, że ze sfer biurokratycznych dostała się między chłopów i w ich umysłach głębo-

ko utkwiła wersya, jakoby na czas rozruchów cesarz zniósł dziesięcioro przykazań Boskich. Trzecieski, jakby w nastroju proroczym, kładąc nacisk na tę wieść w sposób zbrodniczy rozpowszechnioną, zaklinał w memoryale swoim komisarza rządowego, aby docierał do jéj źródła, bo jeżeliby sprawa ta pokryta została milczeniem, to powstanie precedens na długie czasy niebezpieczny. Memoryał Trzecieskiego utonął w koszach biurokratycznych, jak tyle innych niewygodnych podań i memoryałów ówczesnych. Gdyby go kto dziś wydrukował, to ów ustęp o wieściach niepokojących uderzyłby z pewnością każdego, jakby ziszczony głos proroczy zdrowego rozumu obywatelskiego.

* *

*

Trzy głosy z za kordonu o naszych stosunkach zwróciły w ostatnich czasach żywszą uwagę w naszéj prasie, a dwa dały nawet powód do rozpraw polemicznych. Najdrażliwszém było odezwanie się jednego z obywateli litewskich (księcia F. Puzyny) w „Kraju" petersburskim z okazyi ostatnich rozruchów antysemicko chłopskich w Galicyi zachodniéj, a na temat wrzekomo opłakanéj doli czeladzi gospodarskiéj po wsiach galicyjskich. Jeżeli chodziło o sprawienie sensacyi, to głos ten szlachcica, rzadko za pióro chwytającego i z tego powodu zapewne nieostrożnego w władaniu tą bronią, poszczycić się może sukcesem, jakiego pozazdrościć mogliby dziennikarze zawodowi, wysilający się na efekt. Wskutek głosu ks. Puzyny bowiem wzięli się do pióra także i nasi przygodni publicyści po dworach szlacheckich i szeregiem artykułów polemicznych, jakby krzyżową sztuką, natarli tak natarczywie na swojego przeciwnika litewskiego, że w końcu sekundanci-redaktorowie musieli dać hasło do zaniechania walki, t. j. przestali umieszczać dalsze odprawy, nadsélane ze wsi galicyjskich. Ks. Puzyna po raz drugi zabrał głos w „Kraju" i odciął się energicznie przeciwnikom swoim, ale wcale ich nie przekonał. Zwycięzkiém było ostatecznie odparcie zarzutów ks. Puzyny, bo mu jego przeciwnicy cyframi wykazali, że dola naszych parobków i fornali wiejskich nie jest bynajmniéj gorszą od doli właścisieli małych gospodarstw chłopskich. Ale odparcie zarzutów nie mogło odnosić się do tego, co się odeprzéć nie da, t. j. do smutnéj doli ludu wiejskiego, przygniecionego lichwą i wygórowanemi podatkami. *Cui bono* wypadła cała ta polemika? Chyba téj naszéj frakcyi radykalno-ludowéj, która biédę, zależną nie od systemów politycznych, lecz od położenia ekonomicznego, wyzyskuje zawsze, jako główny motyw agitacyjny przeciw „większości szlacheckiéj", wrzekomo niedbającéj ani

w sejmie, ani w radzie państwa o interesa ludu wiejskiego. Podobne głosy, wypowiadające w Galicyi niejako *à vol d'oiseau* uwagi krytyczne o naszych stosunkach politycznych, uznane zostały u was za szkodliwe, a prasa nasza wskutek tego już oddawna zaniechała takiego traktowania rzeczy. Czy za to nie należy się nam wzajemność?

Drugi głos zakordonowy zwrócony był przeciw naszéj młodzieży uniwersyteckiéj, jako wrzekomo zajętéj wyłącznie planami i marzeniami o karyerze biurokratycznéj, a nie starającéj się zdobywać innych ważniejszych dla rozwoju kraju zakresów pracy publicznéj. I ten głos osiągnął sukces niemały, gdyż rozumowanie o biurokratycznych aspiracyach w naszém społeczeństwie weszło od niejakiego czasu w modę i odzywa się w takiéj formie, jakgdyby Galicya pozaprzepaszczała jakie kolonie zamorskie lub wielkie fabryki dla braku ludzi potrzebnych do ich fachowéj obsługi! Tymczasem rzecz się ma faktycznie tak, że i ten mały procent młodzieży, poświęcającéj się zawodowi technicznemu i wogóle zawodom praktycznym, aż nadto wystarcza na potrzeby rzeczywiste. A przecież nikt nie zechce utrzymywać, że gdyby młodzież garnęła się tłumnie do studyów i zawodów praktycznych, to samą nadwyżką sił ponad potrzebę rzeczywistą podniosłaby przemysł, pomimo braku kapitałów i innych warunków, do tego niezbędnych. A wreszcie, gdyby nawet procent młodzieży wybierającéj studya z planem poświęcenia się służbie publicznéj, czyli, jak się z przekąsem mówi, biurokratycznéj, był rzeczywiście rażąco wysoki, to jeszcze i w takim razie rzeczy téj nie godziłoby się traktować tak, jakgdyby to miał być symptom jakiegoś upadku, czy skarłowacenia intelektualnego i społecznego. Jest to bowiem najważniejsza i najcenniejsza zdobycz nasza z całego okresu konstytucyjnego, że granica między urzędem a służbą obywatelską zupełnie się zatarła, że oba pojęcia stały się synonimami do tego stopnia, iż nie może być dziś w Galicyi dobrym urzędnikiem ten, kto nie jest zarazem dobrym obywatelem. Jak oka w głowie strzedz trzeba téj zdobyczy, a strzeże się jéj najlepiéj wtedy, jeżeli społeczeństwo dostarcza służbie publicznéj świeżych sił i świeżych talentów w obfitéj mierze. Żeby już tych sił było za wiele, o tém tutaj nikt nie słyszał, bo przeciwnie odzywają się z niektórych urzędów utyskiwania, iż nie można przebierać między kandydatami, lecz trzeba brać wszystko, co się nawinie. A gdzie chodzi o opróżnione i wyborem współobywateli a nie dekretem wyższéj władzy obsadzane posterunki publiczne, tam już nawet panuje dotkliwy brak takich kandydatów, którzyby studyami byli należycie przygotowani do zadań na tym posterunku czekających.

Za to trzeci głos zakordonowy, spostrzeżenia Bolesława Prusa w podróży po Galicyi, podane w „Kraju" petersburskim, sprawił wrażenie

jaknajprzyjemniejsze i, co ważniejsza, oddał sprawie publicznéj ważną przysługę. Rozumny głos takiéj powagi sympatycznéj, jaką jest i u nas Prus, o żywotności społecznéj i politycznéj ruchu ludowego w Galicyi bardzo był potrzebny w téj chwili, gdyż tegoroczne rozruchy antysemickie w Galicyi zachodniéj zdawały się galwanizować te mumie polityczne, które wśród zmienionych stosunków żyć nie umieją, a usunąć się nie chcą, bo trudno im pogodzić się z myślą, żeby obecne wejście inteligentnych włościan na arenę publiczną w sejmie i radzie państwa miało być już nieodwołalnym krokiem naprzód w naszéj ewolucyi społecznéj i politycznéj. Świeżym a rażącym objawem takiego niezrozumienia sytuacyi jest smutny, nawet gorszący fakt, że w jednéj reprezentacyi powiatowéj Galicyi zachodniéj wybrańcy większéj własności ziemskiéj rozmyślném usuwaniem się od zbiorowéj pracy udaremniają ukonstytuowanie się rady dlatego, iż włościańscy wyborcy swoich kandydatów postawili i przeparli przy wyborze.

* * *

Szerokie koła inteligencyi zajęte były żywo a poniekąd są jeszcze ciągle zajęte obradami ankiety, która, zwołana przez wydział krajowy a złożona z samych wybitnych osobistości, cały tydzień prowadziła obrady nad podniesioną w sejmie i ztamtąd wydziałowi krajowemu do sprawozdawczego opracowania przekazaną sprawą reformy szkół średnich (gimnazyalnych i realnych). Na szkoły te nie rozciąga się kompetencya ustawodawcza sejmu, więc obrady i uchwały ankiety mają właściwie znaczenie tylko akademickie. Mimo to jednak uwaga całéj inteligencyi zwraca się, jak powiedziałem, ku téj sprawie, nietylko dla jéj żywotnego interesu społecznego, lecz nadto z tego powodu, że ostatecznie dla sfer powołanych w danym razie do sformułowania i ustawodawczego dokonania reformy szkolnéj nie może być obojętna opinia, wyrażona przez fachowych znawców i reprezentacyę największego w państwie kraju koronnego. W dziejach sejmu galicyjskiego zaznaczył się już jeden fakt szczęśliwéj inicyatywy w sprawie, która, chociaż nie leżała w jego zakresie ustawodawczym, jednak przezeń została najpierw podniesiona i tak skutecznie poparta, że dotarła do rady państwa, a znalazłszy tam większość, wydała pożądaną ustawę, obowiązującą dziś na całym obszarze państwa, co więcéj za przykładem Austryi także i w Niemczech uchwaloną, Mam tu na myśli ustawę karną o pijaństwie, do któréj uchwalenia pobudka wyszła z łona sejmu galicyjskiego tak samo, jak równocześnie i impuls do wskrzeszenia dla Galicyi sankcyi karnéj za

lichwę, uznaną w erze liberalnego ustawodawstwa z pierwszych lat konstytucyjnych za sprawę natury czysto-ekonomicznéj nie zaś karno-prawnéj. Kiedy przed dwudziestu kilku laty w sejmie lwowskim skromny poseł, ks. Stępek, pierwszy podniósł obie te sprawy i popiérał je z większym zasobem kaznodziejskiego zapału, aniżeli ścisłéj wymowy parlamentarnéj, liberalni sceptycy pewnie nie przypuszczali tego, że za lat kilkanaście prąd ten wrzekomo antyliberalny tak spotężnieje akcesem opinii, iż dotrze zwycięsko do arcyliberalnéj ówczesnéj rady państwa i znajdzie wyraz w jéj aktach ustawodawczych.

Roformie szkół średnich, podniesionéj obecnie w naszym sejmie a zależnéj od centralnych organów administracyjnych i ustawodawczych, nie można, na razie przynajmniéj, rokować takiego akcesu, bo postawiona została tak, że dotąd nietylko niéma zgody na główny postulat, lecz nawet różnica zdań zaostrzyła się dziś więcéj, aniżeli w chwili pojawienia się pierwszego wniosku w sejmie. Gdyby bowiem chodziło tylko o ulepszenia szkół, mianowicie o zapobieżenie niewątpliwemu przeciążaniu młodych głów przez odpowiedniejszą metodę nauczania i trafniejszy rozkład materyału naukowego, lub o poprawę warunków zdrowego wychowawczego oddziaływania szkoły średniéj w kierunku moralnym i fizycznym, nie byłoby pewnie ani w ankiecie, ani w sejmie, ani wreszcie w kołach inteligentnego obywatelstwa różnicy zdań co do samego postulatu, a wszyscy powołani do objawienia opinii zastanawialiby się tylko nad obmyśleniem najodpowiedniejszych środków. Tymczasem hasło i główny postulat reformy streszcza się w żądaniu, aby stworzony został typ jednolitéj szkoły średniéj, t. j. takiéj, któréj uczniowie po ukończeniu nauk mieliby otwarty wstęp do wszystkich wyższych zakładów naukowych, więc zarówno do uniwersytetu, jak i do politechniki. Ponieważ wobec ogólnie przyznanego przeciążenia, a już co najmniéj obciążenia uczniów w dzisiejszych szkołach średnich najprostsza droga do tego celu, t. j. kumulacya materyału naukowego obu szkół, gimnazyalnych i realnych, jest wykluczona, więc autorowie powyższego wniosku krakowskim targiem proponują, aby wziąć rozbrat z greką, pozostawić łacinę, w skromniejszym oczywiście wymiarze nauczania, i w ten sposób wytworzyć z programów obu szkół średnich kompozycyę, która miałaby stanowić program nowéj jednolitéj szkoły średniéj. Ta amputacya greki miałaby się według wnioskodawców reformy odbyć bez żalu, nawet bez skrupułu, nie jako akt niemiłéj, ale twardéj konieczności, lecz przeciwnie z lekkiém sercem, jakby odrzucenie balastu zbytecznego, z tém przekonaniem, że się raz trzeba ocknąć i uczynić to, co zdrowy rozum i względy na dobro młodzieży a nawet na interesa społeczeństwa już dawno uczynić nakazywały.

W obradach ankiety uczestnicy obu obozów, zwolenników jednolitéj szkoły średniéj i dzisiejszego jej podziału na typ humanistyczny i realny, traktowali sprawę ze stanowiska wyższego i zakreślili jéj widnokrąg szeroki. Pierwsi mieli po swojéj stronie oprócz samego wnioskodawcy, posła Rottera, takiego znakomitego i dla sprawy poniekąd rozentuzyazmowanego szermierza, jak poseł Stanisław Szczepanowski, drudzy powołać się mogą nietylko na głosy szeregu znakomitych fachowych znawców stosunków szkolnych, lecz nadto na taką powagę literacką, jak Stanisław hr. Tarnowski. Interesa i interesiki praktyczne, jak np. ten, żeby jednolita szkoła usunęła zakorzeniony w społeczeństwie przesąd, jakoby w hierarchii intelektualno-naukowéj wyższość zawsze mieć musieli ludzie ze studyami humanistycznemi i t. d., zeszły na drugi plan i odzywały się tylko nieśmiało w niektórych przemówieniach, które do najświetniejszych zaliczać się nie będą, a natomiast górowały argumenta ogólnéj natury. Poseł Szczepanowski, który w Anglii odbył szkołę życia praktycznego i stosunki społeczeństwa angielskiego zwykł zawsze za wzór stawiać, wystąpił jako szermierz nowoczesnego kierunku wiedzy i zastosowanego doń systemu szkolnego, który powinien uzbrajać młode pokolenie pod względem charakteru i wykształcenia tak, aby stanąć mogło do walki życia z wszelką szansą zwycięztwa. Szkoły gimnazyalne, w których balast greki i łaciny uniemożliwia należyte traktowanie nauk przyrodniczych i skierowanie młodzieńczego umysłu na tory praktyczne, nie mogą wydać potrzebnego zastępu takiéj inteligencyi, jakiéj wymagają najwyższe interesa kraju w dobie dzisiejszéj. Zwolennicy dzisiejszego systemu nie zaprzeczali téj potrzeby, ale nie uznawali tego założenia, żeby dzisiejsze gimnazyum nie stało, względnie po wprowadzeniu pewnych ulepszeń i uzupełnień nie mogło stanąć, na wysokości takiego zakładu, jakiego potrzeba społeczeństwu dla zapewnienia sobie potrzebnego zastępu inteligencyi. Szkoła średnia nie może wtłoczyć w umysł młodociany całokształtu wiedzy, lecz tylko przysposabia go do późniejszéj ścisłéj pracy naukowéj, w któréj drogi zawsze rozchodzić się muszą, stosownie do zamiłowania i powołania. Niepodobna samą łaciną, jak chcą zwolennicy jednolitéj szkoły, zabezpieczyć dostatecznie humanistycznego elementu w kształceniu młodzieży, bo łacina, oderwana od wspólnego pnia kultury greckiéj stanie się oschłym, chyba do miary praktycznych widoków, jak łacina kuchenna, przykrojonym przedmiotem. A nie wolno społeczeństwu, chcącemu utrzymać się na szczycie téj wielkiéj piramidy cywilizacyjnéj, na jaką całe wieki się złożyły, podważać jéj podstawy, niejako odrywać się od niéj, nie wolno wogóle, a najmniéj w czasach dzisiejszych, gdy wybujały i już nawet w młode umysły wżerający się

prąd materyalistyczny wymagałby raczéj wzmocnienia pierwiastku idealnego w kształceniu kultu ideałów, których źródło wiecznie tryskające i ożywcze świat starożytny pozostawił w spuściźnie całéj ludzkości.

Jak zawsze w takich razach bywa, skończyło się na uchwale pośrednią drogę zalecającéj. Ankieta uchwaliła wniosek hr. Reya, według którego należałoby zaprowadzić jednolitą szkołę średnią z „bifurkacyą" (*sic*) w klasach wyższych, z których jeden oddział miałby odróżniać się od drugiego nauką helenizmu z nadobowiązkową nauką języka greckiego, a oba oddziały kwalifikowałyby potém zarówno do wstępu na uniwersytet, jak i do politechniki. Może niejasném wyda się czytelnikowi powyższe streszczenie uchwały „bifurkacyjno"-szkolnéj, ale to już nie moja wina, bo wytrawni nawet pedagogowie w artykułach poświęconych uchwale ankiety oświadczają wprost, że jéj dobrze nie rozumieją, a przynajmniéj nie mogą sobie dobrze wyobrazić, jakby w szczegołowym rozkładzie i planie nauk wyglądała szkoła zorganizowana według téj uchwały „bifurkacyjnéj"!

Od uchwały naszéj ankiety szkolnéj do ułożenia formalnego projektu reformy ze wszystkiemi szczegółami jeszcze daleko, a gdyby nawet odległość ta w jaki sposób skrócić się dała, to o wprowadzeniu uchwały w życie na razie mowy niéma. Na odrębną bowiem organizacyę szkoły średniéj w Galicyi rząd nie zgodzi się, a nawet nie leży w interesie kraju, aby taką odrębną organizacyą zamknął młodzieży swojéj drogę do uniwersytetów pozakrajowych. Żeby zaś postulat galicyjski, chociażby dopiéro po usunięciu dzisiejszéj niejasności i należytém sformułowaniu, znaleść miał zaraz żywy odgłos i akces w całéj Austryi, tego oczekiwać nie można. Na razie przeto wypadnie zadowolić się tym, zresztą wcale niemałym zaszczytem, że, kiedy w innych krajach koronnych walki wewnętrzne na tle narodowych sporów absorbują całą uwagę i doprowadziły już do obojętności dla poważniejszych spraw publicznych, u nas samodzielna inicyatywa reformatorska w tak poważnym zakresie spraw mogła obudzić żywy interes ogółu i zachęcić najświetniejsze umysły w kraju do zajęcia się nią we wszystkich szczegółach.

Ale kiedyś przecież przyjść musi do zaprowadzenia jednolitego typu szkoły średniéj! Tak mówią jéj zwolennicy, niezrażeni wszelkiemi zaporami dzisiejszemi. Być może, ale kwestya ta wchodzi już w sferę—proroctw. Na razie opinia jest podzielona. Ale zapaleni reformatorowie łudzą się, jeżeli mniemają, że dzisiejszy system szkół średnich nie posiada równie gorących zwolenników, jak idealizowana przez nich szkoła jednolita. Piszący to odbył studya gimnazyalne za dawnych czasów, pod niemieckimi profesorami, wysortowanymi dla zapadłéj Galicyi z niemieckich prowincyi Austryi, a jednak głośno to po-

wie każdemu, że za nic nie oddałby dziś tego, iż uczył się greki. Co więcéj, piszący to ma syna, który, ukończywszy gimnazyum w dzisiejszych szczęśliwszych czasach, wybrał sobie w studyach uniwersyteckich nauki przyrodnicze, jako zawodowy zakres wiedzy, a mimo to, po wysłuchaniu wszystkich argumentów za szkołą jednolitą, także otwarcie przyznaje się do tego, że za nic nie dałby sobie wydrzéć tego, iż uczył się greki.

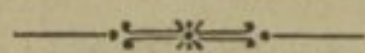
W czém jednak zwolennicy jednolitéj szkoły średniéj już nie łudzą się, lecz wprost mylą, to w tém, że swój obóz nazywają „postępowym", a przeciwników, jeżeli nie wprost zacofańcami, to co najmniéj zaśniedziałymi konserwatystami. Właśnie tam, gdzie taki nacisk położono na nauki przyrodnicze, podział powyższy razi brakiem wszelkiego uzasadnienia. Wszakżeż nie na tendencyi ku ujednostajnieniu typów, lecz na ich rozmaitości polega ewolucya w przyrodzie, a w sferze duchowéj nie można postępowi zakréślać odwrotnego kierunku. Jeżeliby tedy chodziło o postęp w reformie szkolnictwa w znaczeniu do potrzeb i kierunków współczesnego życia zastosowaném, to wypadałoby myśléć nie o przekształcaniu obecnego systemu, lecz raczéj o jego udoskonaleniu, a przedewszystkiém o uzupełnieniu takiemi nowemi typami szkół, któreby społeczeństwu zapewniały potrzebne zastępy fachowych pracowników we wszystkich działach prac i potrzeb.

Ita.



ZAKŁADY GÓRNICZE

w Białogonie.*)



Rozszerzająca się z każdym dniem działalność fabryki wymagałała wielu nowych urządzeń. To też w r. 1834 zbudowano tu piec kopulowy (kopulak) do odlewów różnych części maszyn, wymagających dokładności i pośpiechu. Mieścił się on w końcu pawilonu, zajętego przez nową walcownię: wiatru zaś do niego dostarczał miech cylindrowy, żelazny, poruszany przez koło wodne dawnych warsztatów mechanicznych. Prąd jego przechodził rurami podziemnemi do regulatora żelaznego, skąd znowu dostawał się przez aparat ogrzewalny, umieszczony nad gichtą, do formy wprost ku ognisku zwróconéj. Nadto powiększono warsztaty kowalskie przez urządzenie czterech nowych ognisk w budynku, przeznaczonym za czasów Staszyca na kotlarnię miedzianą, a położonym poza prawym pawilonem. Tu odkuwano także różne części składowe maszyn; kosy jednak do sieczkarń sprowadzano z Anglii, gdyż zakłady górnicze w kraju nie produkowały stali. Oprócz zwykłych narzędzi i machin rolniczych, wykonano w tym roku w Białogonie różne większe roboty, o których tu jako o faktach, dających miarę budzącego się u nas przemysłu, nie możemy przemilczéć. Tak dla papierni w Jeziornie odrobiono lewary do podnoszenia stawideł; dla

*) Obacz „Ateneum" zeszyt listopadowy r. b., str. 329.

fabryki sukna w Przedborzu prasy hydrauliczne; do fabryki Steinkellera w Żarkach różne części do maszyn, wreszcie dla Kanału Augustowskiego lewary, zawiasy dla śluz oraz stawidła.

W ciągu tego roku puszczono w bieg także po długiéj przerwie walcownię i hamernię, które pod kierunkiem zawiadowcy, Mieszkowskiego, wyprodukowały:

	centnarów,	funtów
Blachy żelaznéj, zwyczajnéj . . .	1663	80
„ kotłowéj	850	84
Pasków i pręcików rzniętych . .	133	34
Blachy ołowianéj	18	60
„ miedzianéj.	282	57
Miedzi kutéj w hamerni . . .	402	88

Nie ograniczając się na produkowaniu surowéj blachy żelaznéj, zaprowadzono pobielarnię do cynkowania blach, początkowo według planu Klimkiewicza, następnie Girarde'a. W dążeniu jednak do ciągłego rozwoju i udoskonalenia zakładów białogońskich, Łubieński, idąc za myślą przewodnią swego poprzednika, pragnął je utrzymać na wysokości podobnych zakładów angielskich, i w tym celu w r. 1835 wysłał Preachera do Anglii, któremu zalecił zbadanie stanu tamtejszych fabryk, sprowadzenie modeli, i zastosowanie wszelkich ulepszeń do zakładów górniczych w kraju. Preacher, po całorocznym pobycie w Anglii, przywiózł z sobą nietylko mnóstwo modeli i rysunków, ale nadto sprowadził trzech Anglików, którzy dotychczasowy sposób pobielania blachy na więcéj produkcyjny zmienili. Z tych Wiliam Allen zajmował się walcowaniem blachy, Tomasz Butler jéj pobielaniem; ogólny zaś kierunek nad walcownią objął inżynier, Tomasz Felvers, który Mieszkowskiego zastąpił.

Bez względu na nieobecność Preachera, zakłady białogońskie w ciągu roku 1835 dokonały ważnych robót dla nowo powstających zakładów kąpielowych w Busku. Jakoż zbudowały i ustawiły na miejscu maszynę do pompowania wody mineralnéj, kotły żelazne, parowe do jéj ogrzewania, oraz wanny cynkowe. Nadto z rozporządzenia wydziału górnictwa wzniesiono 10 domów dla rzemieślników, z przeznaczeniem po cztery rodziny na każdy. Nie mniéj zwiększyła się i produkcya walcowni. Tak blachy żelaznéj, surowéj wyrobiono więcéj, niż w roku poprzednim o 277 centnarów i 91 funtów; kotłowéj o 669 cent., 13 funtów; miedzi kutéj o funtów 6. Nadto, czém nie zajmowano się w roku minionym, wyprodukowano blachy miedzianéj 393 cent., 79 funtów, oraz narożników do kotłów cent. 8, funtów 73. Natomiast pasków i pręcików rzniętych wyrobiono mniéj o 56 cent. i 29 funtów.

Preacher, po swym powrocie z Belgii, zajął się nietylko wykonaniem wielu robót według przywiezionych modeli, lecz i licznemi ulepszeniami i rozszerzeniem fabryki. Przedewszystkiém, do pieca kopułowego wybudował nowe koło, umieszczając je w krytym budynku. Ruch nadawała mu woda, odpływająca kanałem z pod kół warsztatów mechanicznych. By zaś i miech cylindrowy, który wiatr do pieca za pomocą rur podziemnych przesyłał, niezależnym od nich uczynić, przeniósł go do tegoż budynku, a na jego miejscu postawił wiatraczek, który za pomocą rur podziemnych dostarczał wiatru do 10 ognisk kowalskich, do czego wprzódy używano tyleż ręcznych miechów skórzanych. Tym sposobem zaoszczędzano pracę 10 dymaczów i zyskiwano na pośpiechu i dokładniejszém szwejsowaniu. Nadto w warsztatach mechanicznych zaprowadził więcéj tokarni, znosząc ścianę, oddzielającą je od sali rysunkowéj, którą urządził na górze. Rozszerzył także kotlarnię parową i wzniósł nowy komin przy kotle parowym, przeznaczonym do próbowania wytrzymałości wyrabianych machin parowych. Cały zakład wreszcie otoczył parkanem, osadzonym w murowanych słupach.

Rok 1836 upamiętnił się nietylko w dziejach Białogona, lecz i całego górnictwa. Z chwilą tą bowiem rozpoczyna się wykonywanie długo obmyślanych planów przebudowy dawnych pieców, lub wznoszenia nowych w celu zapewnienia większéj wydajności w produkcyi żelaza. Na początek wystawiono wielkie piece w Niwce i Mroczkowie. Do nich więc wyrabiano w Białogonie miechy żelazne cylindrowe, oraz kotły parowe dla zakładów górniczych w Dąbrowie. W tymże roku dokonano budowy gichtociągów do blachowni w Pradłach (okrąg zachodni, dziś fabryka prywatna); nadto wyrabiano: sikawki pożarne, regulatory, wagi, oraz wiele gospodarskich maszyn i narzędzi. Wprawdzie blachy żelaznéj surowéj wyrobiono mniéj, niż w roku poprzednim o 72 centnarów i 45 funtów; blachy miedzianéj o 238 cent., 8 funtów; miedzi w hamerni o 169 cent., 76 funtów; ale za to wyprodukowano więcéj blachy kotłowéj o 1,199 cent., 46 funtów; pasków i pręcików o 390 cent., 99 funtów; wyciągnięto blachy ołowianéj 134 centnarów, 41 funtów, i wyprodukowano blachy do pobielania 228 cent., 87 funtów, z któréj otrzymano 35,782 pobielanych arkuszy. Nadto fabrykantom postronnym przewalcowano najzylbru cent. 20 i funt. 80.

Pomimo wszakże tak pomyślnego stanu górnictwa w roku następnym zaszła w niém najmniéj spodziewana odmiana. W d. 1 maja 1837 roku, kontraktem, zawartym na lat 25, Bank wypuścił w administracyę całe górnictwo Maurycemu Koniarowi, dotychczasowemu administratorowi dochodów tabacznych. Korzyść była ta, iż Bank, zapewniwszy sobie ściśle oznaczony dochód z górnictwa i, zobowiązawszy Koniara

do przeprowadzenia wszelkich zamierzonych w niém ulepszeń, pozbywał się kłopotów, wynikających z bezpośredniego niém zarządu.

Bez względu na zaszłą zmianę skład urzędników w górnictwie ten sam pozostał: w Białogonie nawet stworzył Koniar nowe posady, mianowicie: magazyniera, asystenta, oraz dwóch dozorców przy warsztatach mechanicznych, gdy przy piecu kopulowym i walcowni ustanowił po jednym. Nadto z anglikami: Allenem, Butlerem i Felvers'em odnowił kontrakt na trzy lata.

Z swojéj strony Bank, pragnąc ułatwić zbyt maszyn rolniczych, otworzył na ich zakup kredyt właścicielom ziemskim, rozkładając wypłatę na raty, które mogły nawet kasy powiatowe przyjmować. To téż nic dziwnego, iż zeń korzystano szeroko.

W tym roku wybudował również Bank 12 domów mieszkalnych, każdy na dwie rodziny dla urzędników górniczych. Tym sposobem osada rozciągała się aż do szosy krakowskiéj. Z domów tych jeden przeznaczono na szkołę elementarną dla dzieci fabrykantów i mieszkanie nauczyciela, na którego utrzymanie składała się osada.

Z robót ważniejszych, jakiemi w ciągu roku 1837 zajęte były zakłady białogońskie, wymienić należy: miech cylindrowy, żelazny do pieca wielkiego w Maleńcu (własność Tadeusza Bocheńskiego), z kołem wodném i trybowém, przenoszącém jego ruch na maszyny, należące do pieca, oraz te same przyrządy do pieca wielkiego, budującego się w Rejowie, a nadto stawidła i gichtociąg, dostarczający rudę, wapień i węgle nie zapomocą windy mechanicznéj, lecz kolei trybowéj, ustawionéj na równi pochyłéj, sięgającéj od ziemi do wysokości pieca. Po téj kolejce za pomocą łańcucha wciągała wózek, wyładowany rudą lub węglem odpowiednia maszyna, tyle zużywając czasu, ile go istotnie było potrzeba, dla zasilenia pieca nowym nabojem. Ów gichtociąg, po latach 60, dziś jeszcze bez zmiany swoje funkcye wypełnia!

Działalność walcowni była niemniéj natężona w tym roku. Saméj blachy żelaznéj, surowéj wyrobiono 2,073 centnarów, 85 funtów; blachy kotłowéj 1,908 cent., 65 funtów; wreszcie blachy do pobielania 1,330 cent., 78 funtów, z których wyprodukowano 177,259 arkuszy.

Dla przekonania się, jak idą fabryki pod administracyą Koniara, zwiedził je w październiku t. r. generał-lejtenant, Szypów, dyrektor główny w Komisyi spraw wewnętrznych, duchownych i oświecenia publicznego; następnie w listopadzie sam namiestnik, ks. Paskiewicz.

Koniar istotnie nie zawiódł położonego w nim zaufania i, by należycie wywiązać się z przyjętych na się zpbowiązań, wyprawił na swój koszt do Anglii Preachera dla poznania nowych wynalazków, ulepszeń oraz sprowadzenia modeli. Nie dość na tém, na czas jego nieobecności

wyznaczył mu zastępcę w osobie inżyniera Johna Douglas'a, właściciela fabryki żelaznéj w Lublinie, aby brak kierownika nie odbił się na biegu prawidłowym zakładów.

Preacher tym razem przebywał w Anglii od 1 czerwca 1838, do końca maja 1839 r. i wrócił z obfitym zapasem modeli wyrobów ozdobnych, jak kominki, ławeczki, stoliki, kraty, nagrobki i t. p.; wreszcie z modelami maszyn i różnych działaczów w warsztatach mechanicznych. Do takich np. należała mała heblarnia do obrabiania sztuk drobnych, które dotąd produkowano ręcznie, co wiele zabierało czasu; daléj nutowania — maszyna do wycinania rowków, w które kliny kół trybowych wpadają, oraz do robienia otworów okrągłych w mufach, szajbach, i innych sztukach dla dopasowania ich do osi. Nadto sprowadził wiertarnię obrotową, wiszącą, oraz dwie maszyny do kucia nitów do kotłów parowych, jednę o sile 10 koni, drugą o sile czterech. Pierwszą, po zrobieniu z niéj dokładnego modelu, przeznaczono do warsztatów w Suchedniowie, drugą pozostawiono na miejscu.

Produkcya walcowni w latach 1838 i 1839 jest nieco niższa, niż w roku poprzednim, ale wyrównywa ilości otrzymywanéj blachy przed rokiem 1837. Pochodzi to zapewne wskutek zmniejszonych zapotrzebowań i nadmiaru blachy, znajdującéj się na składach. Oto, jak się wydajność przedstawia:

	Rok 1838		Rok 1839	
	Centnarów,	funtów.	Centnarów,	funtów.
Blachy zwyczajnéj żelaznéj	1,138	50	1,840	8
„ kotłowej . . .	1,601	63	865	34
„ do pobielania . .	1,520	40	6	50
„ ołowianéj. . .	13	85	53	7
Pasków i pręcików . .	13	50	475	15
Nejzylbru	71	46	212	90
Blachy pobielanéj arkuszy .	140,050		6,795	

Natomiast warsztaty mechaniczne pracowały w ciągu tych dwu lat usilnie. Podobnie jak w Niwce, Mroczkowie i Rejowie, z rokiem 1838 zabrano się do budowy trzech pieców wielkich w Starachowicach, oraz pudlingarni o 6 piecach pudlowych w Michałowie i Brodach, a do każdéj z tych miejscowości Białogon potrzebnych maszyn dostarczał.

Tak dla Starachowic zbudowano tu dwa miechy cylindryczne z blaszanym regulatorem; dla Michałowa zaś i Brodów koła wodne, wraz z transmisyjnémi kołami trybowemi. Nadto do budującéj się cukrowni hr. Małachowskiego w Nowém-Mieście nad Pilicą wygotowano prasy hydrauliczne, pompy, kotły parowe, młyn do buraków, młyn do mielenia węgla z kości zwierzęcéj z sześcio-konnym kieratem.

Prócz tego, w tych dwóch latach, po stronie lewéj od bramy, wzniesiono poprzeczny pawilon, na pomieszczenie: w jednéj jego części kasy, którą dotąd przechowywano w domu zawiadowcy, zbudowanym przez Kadena; w drugiéj dla pomieszczenia wyprodukowanych maszyn, których coraz większe gromadziły się zapasy.

Do robót, które dotąd przetrwały, a wykonanych w r. 1839, należy: przeprowadzenie szosy, od drogi bitéj krakowskiéj do fabryki i zbudowanie na niéj murowanego mostu, rzuconego nad dopływem Silniczki.

Rok ten rozpoczyna się w księdze pamiątkowéj szeregiem licznych podpisów, które do 179 dochodzą. Tylko charakter osób, zwiedzających zakłady białogońskie, nieco odmienny. W okresie poprzednim zjeżdżano tu jedynie w celu poznania robót hutniczych; obecnie, lubo nie brak i takich, co dla zaspokojenia ciekawości podejmują podróż z dalszych nawet okolic kraju, większość ma cele utylitarne: przybywa dla zamówień machin lub narzędzi rolniczych. Stąd przeważnie spotykamy przemysłowców, rządców dóbr i obywateli ziemskich.

Rok 1840 zapisał się przedewszystkiém znaczną produkcyą blachy żelaznéj zwyczajnéj, oraz miedzianéj, któréj wyrób od lat trzech zaniedbano zupełnie. Pierwszéj, wyprodukowano centnarów 4,632, funtów 67; drugiéj cent. 3,460. Natomiast wyrób blachy pobielanéj ogranicza się zaledwie do 31 centnarów. Przyczyną tego był odjazd do Anglii Allena, Butlera i Felversa, którzy po upływie lat trzech nie chcieli odnowić zawartego z nimi kontraktu. Odtąd pobielaniem blachy zajmować się miał hutmistrz walcowni, Zawadzki.

Skąd jednak brano tyle miedzi, jeżeli kopalnie jéj były wyczerpane już za czasów Staszyca? Dobywano ją w małéj ilości z osuszonych kopalń miedzianogórskich, wreszcie sprowadzano z zagranicy. Koszt nabycia i transportu pokrywały zyski, jakie, otrzymywano po jéj przerobieniu zwłaszcza wobec zapotrzebowań rozwijającego się przemysłu gorzelnianego.

W warsztatach mechanicznych wykonano w tym roku: do cukrowni w Homlu kotły parowe, oraz cztery prasy hydrauliczne; dla generała Koseckiego cały tartak z kieratem; do Sancygniowa w krakowskiem (Deskura) maszyny do młyna wodnego, tartaku, gontarni i olejarni; dla Hermana w Warszawie dwie walcownie do wyrabiania cienkich blaszek ołowianych do owijania tabaki; wreszcie dla warzelni soli w Ciechocinku, oraz zakładów rządowych w Suchedniowie i prywatnych w Chlewiskach maszyny do kucia gwoździ.

Co do miejscowych ulepszeń: podwyższono piec kopulowy i wybudowano przy nim wieżę gichtową, z windą do wciągania węgla i surow-

ca; nożyce wielkie do obcinania blach, oraz żóraw do ładowania maszyn na wozy.

Jak za czasów Staszyca r. 1820, tak w okresie obecnym, r. 1840 zaznacza się największą liczbą osób zwiedzających Białogon. Jest ona wyższa nawet bo dosięga cyfry 217. Pomiędzy niemi zwiedza zakłady białogońskie Ignacy Turkułł, po Grabowskim nowy minister-sekretarz stanu, w towarzystwie dyrektora wydziału dóbr i lasów w Komisyi przychodów i skarbu, referendarza, Koseckiego. Rozwijały się też fabryki tutejsze nader pomyślnie; obstalunki napływały do nich ze wszystkich okolic kraju.

Rok 1841 nie ustępuje pod tym względem latom poprzednim, a nawet je może przewyższa. Oprócz narzędzi rolniczych, zakłady białogońskie wyrabiają dla Brzeskiego do Krakowa maszynę nizkiego ciśnienia o sile sześciu koni do olejarni, młynki do mielenia i aparat do prażenia rzepaku, prasę hydrauliczną z pompą do wyciskania z niego oleju, oraz całą maszyneryę do tartaku. Do Galicyi dla firmy Fritsche et Com. walcownią wodną do produkcyi blach i dwa miechy cylindrowe, drewniane; dla Kirchmajera do Krakowa różne części do olejarni; dla Ewansa do Warszawy kocieł parowy i heblarnią małą według modelu angielskiego; dla fiirmy: Erwin i Gajer z Łodzi wiele kunsztownych odlewów; do Sławuty dla firmy Landenbach i Szajtz maszyny do papierni; dla Wielogłowskiego miech cylindrowy do pieca wielkiego w Bliżynie; do Radzynia na Podlasiu kotły parowe, oraz różne części maszyn do cukrowni Szlubowskiego; dla hr. Scypionowéj prasy hydrauliczne do cukrowni w Ćmielowie; daléj suszarnie blaszane dla Schäffera z Warszawy i Józefa Gołuchowskiego z Garbaczu; dla hr. Łubieńskiego w lubelskiém tartak wodny; kasy żelazne, ogniotrwałe dla Banku polskiego; do Ciechocinka wiatrak do pompowania wody; dla zakładów górniczych w Dąbrowie i Chlewiskach kotły parowe, oraz do takichże zakładów w Suchedniowie maszynę do robienia łańcuchów i nożyce do strzyżenia pasków na gwoździe rozmaitéj wielkości; wreszcie do Sielpi, jednego z zakładów górniczych rządowych, mechanizm zębaty do podnoszenia stawideł i różne części do pieców wielkich w Starachowicach. Dodajmy, że większą część wyprodukowanych maszyn ustawiali maszyniści na miejscu, a możemy podziwiać zarówno energią głównych ich kierowników, jak i pracowitość robotników i majstrów. Nie mniéj w walcowni produkcya blachy żelaznéj, zwczajnéj powiększyła się o 729 centnarów, 95 funtów, niżli w roku poprzednim; natomiast blachy kotłowéj otrzymano tylko 1027 cent., 27 funtów, pasków i pręcików 147 cent., 40 funt., najzylbru 316 cent., 60 funtów; blachy zaś miedzianéj, ołowianéj i pobielanéj nie wyrabiano wcale. Za to wprowadzono do wal-

cowni jedno ważne ulepszenie: zbudowano w niéj maszynę parową o sile 40 koni, nizkiego ciśnienia z dwoma kotłami do poruszania jednéj uprzęży walców blachowych, oraz środkowych do produkowania blach pobielanych. Nowość tę zaprowadzono na przypadek zamarznięcia wody w kanale lub zwiększenia się zamówień. Nadto przy kole wodném, poruszającém miech cylindrowy, przeznaczony do pieca kopulowego, urządzono drugi miech drewniany dla wzmocnienia wiatru, gdyż jeden po dokonaniu przeróbki rzeczonego pieca, nie był wystarczający. Zbudowano także młynek do mielenia węgla kamiennego dla giserniannéj formierni, puszczono w ruch nową tokarnię w warsztatach mechanicznych a dla kotlarni parowéj urządzono maszynę do przebijania blachy kotłowéj (*Loch-Maschin*). W tym czasie zakłady białogońskie zwiedziło 138 osób. Rok 1842 był ostatnim, w którym się górnictwo pod kierunkiem hr. Łubieńskiego i administracyą Koniara rozwijało normalnie. Ostatniém ulepszeniem, jakiego dokonano w zakładach białogońskich było zbudowanie machiny o sile 2-ch koni, z jednym kotłem parowym do poruszania trzech tokarń, przeznaczonych do obtaczania modeli drzewnych, z piłą do przerzynania bali i tarcic. Wprzód dokonywano tego siłą ręczną.

Również kotlarnia i warsztaty mechaniczne miały dosyć zajęć w tym roku. Do fabryk Chlewiskich, w Nadolnéj, zbudowały maszynę parową o sile 10 koni, wysokiego ciśnienia do poruszania miechów; takąż maszynę do wielkich pieców w Szczecnie dla Nowosielskiego; daléj do Bodzechowa dla Kotkowskiego miech cylindrowy, żelazny, dla hr. Artura Potockiego z Krzeszowic machiny gorzelniane; dla hr. Henryka Potockiego z Koniecpola do cukrowni kocieł parowy; dla Gajera z Łodzi różne części maszyn do przędzalni; dla br. Larysza machiny do tartaku wodnego, wreszcie dla teatru krakowskiego różne maszynerye sceniczne.

W walcowni wyrobiono blachy żelaznéj, zwyczajnéj o 220 cent., 92 funtów więcéj, niż w r. 1841, kotłowéj o 96 cent., 15 funtów. Nadto blachy do pobielania otrzymano cent. 51, funt. 70, ołowianéj cent. 38 funt. 50, pasków i pręcików cent. 159, funt. 20, najzylbru cent. 406, f. 26, oraz wyprodukowano blachy pobielanéj arkuszy 5315, miedzianéj 23 centnarów.

Poczynając jednak od r. 1842 liczba zwiedzających Białogon nagle się zmniejsza. Obecnie było ich tylko 47. Bo też nad górnictwem znowu w tym roku ponura groźba zawisła.

Upadek Józefa Lubowidzkiego, ówczesnego prezesa Banku i wiceprezesa Łubieńskiego, podkopując zaufanie do téj jedynéj, poważnéj instytucyi finansowéj w kraju, podkopywał także i dotychczasowy byt

rozwijającego się górnictwa. Nie wchodząc, o ile tak ciężkie zarzuty, jak dokonywanie fałszywych obrotów w Gdańsku wysyłaném na sprzedaż zbożem; jak niedobory, ujawnione w dochodach w młynie parowym na Solcu i w papierni w Jeziornie, zostających w administracyi Banku; jak wykryte malwersacye przy paleniu wyszłych z obiegu biletów kredytowych, wreszcie udzielanie nieograniczonych kredytów Steinkellerowi i nabycie na własność osobistą w r. 1839 ogromnych dóbr Lubartowskich, obciążały winą sprzeniewierzenia się ówczesnych kierowników Banku; (sprawa ta bowiem, dotąd nietknięta, domaga się przedmiotowego wyjaśnienia); faktem jest przecież, nie dającym się obalić, iż pod zarządem Łubieńskiego górnictwo weszło u nas na drogę rzeczywistego rozwoju i rokowało na przyszłość najpiękniejsze nadzieje. Nie mówiąc już o stałém jego dążeniu do utrzymania zakładów białogońskich na wysokości fabryk angielskich; wszystkie piece wielkie, pudlingarnie, fryszerki, jakie dotąd istnieją, za jego rządów powstały. A cóż mówić o budowach wodnych, które dziś jeszcze zdumiewają trwałością, mocą i ogromem! Co o groblach bitych na stawach fabrycznych, ujętych ze stron obydwóch obudową ciosową, jak w Rejowie; o tych upustach murowanych na wzór wodociągów rzymskich w arkady w Brodach, a mających piętrowych domów wysokość; co wreszcie o kamiennych tarasach w Starachowicach, o mostach śmigających śmiałymi łuki, lub wodnych, sklepionych kanałach, przeprowadzonych na znacznych nieraz przestrzeniach! Wszystkie te budowy dowodzą, że myślą sięgał w przyszłość daleko, że, co tworzył, temu trwałość niespożytą nadawał.

Rok 1842 położył kres płodnéj jego działalności nazawsze. Pierwszą też zapowiedzią zmian, mających nastąpić w górnictwie było rozwiązanie zawartego z Koniarem na lat 25 kontraktu i wydelegowanie Felicyana Frankowskiego, inżyniera drogi warszawsko-wiedeńskiéj, do spisania inwentarza wszystkich zakładów górniczych. Wreszcie ukazem cesarskim górnictwo od d. 1 stycznia 1843 roku przeszło z pod zarządu Banku pod zarząd Komisyi przychodów i skarbu, przy któréj ustanowiono wydział górnictwa z dyrektorem Eliaszem Szenszynem, pułkownikiem artyleryi, który z tą nową godnością rangę generalską otrzymał. Nie od razu jednak usunięto Koniara; pozostał on przy administracyi aż do zupełnego ukończenia czynności likwidacyjnych, tylko mu dodano kontrolerów ze strony rządu. Nadto z ramienia namiestnika ustanowiono komisyą do rewizyi wszystkich zakładów pod kierunkiem Ankiewicza, naczelnika wydziału górnictwa.

Bez względu jednak na gotujące się zmiany, w walcowni białogońskiéj produkcya blachy żelaznéj w tym roku doszła do *maximum*.

Wyrobiono jéj 7082 centnarów, 40 funtów. Natomiast produkcya blach innych znacznie się zmniejszyła. Blachy kotłowéj wyrobiono tylko 533 cent., 97 f.; blachy do pobielania 112 cent.; ołowianéj 349 cent., 70 f.; pasków i pręcików 90 cent., 50 f.; najzylbru 280 cent., 51 funt., oraz pobielono blachy 23575 arkuszy.

Faktem godnym uwagi jest to, że właśnie w téj przełomowéj dla górnictwa chwili, przybyła w r. 1843 z Prus delegacya dla zbadania i złożenia swemu rządowi sprawozdania o stanie górnictwa w Królestwie Polskiém. Delegacyą tę składali: Nögeraht, starszy radca górniczy i prof. uniwer. w Bonn; Carnalla, dyrektor górniczy w Górach Tarnowskich (Tarnowitz), oraz Mentzel, inspektor zakładów w Friderichshüte.

Należy wątpić, by delegacya ta, zwiedzała zakłady białogońskie w celu zaznajomienia się z postępami na polu techniki górniczéj; przypuszczać raczéj należy, iż szło o przekonanie się, o ile podkopany kredyt Banku wpłynie ujemnie na zakłady górnicze i czy fabryki pruskie mogą co na tém skorzystać.

W ciągu następnych lat dwóch produkcya zakładów słabnie. Że wciąż coś się tu robi, widzimy choćby stąd, że do Białogona odkomenderowano 19 rekrutów górniczych, którzy wprzód zajęci byli w Mostkach i Parszowie odlewami amunicyi; tu zaś wykonywali odpowiednio do uzdolnienia różne wyroby w walcowni, giserni i warsztatach mechanicznych; ale zdajc się, iż w ogóle, z przyczyny zmiany administracyi, przyjmowano jak najmniéj zamówień nowych i tylko wykończano dawniejsze. Zestawienie zresztą cyfr, odnoszących się do wyrobionego materyału w saméj walcowni, przekonywa o tém wymownie.

	W r. 1844.		1845.	
	Cent.	funtów	Cent.	funt.
Blachy żelaznéj zwyczajnéj:	3831	2	3944	87
„ kotłowéj.	1061	60	326	50
„ do pobielania:	133	—	281	19
„ miedzianéj:	29	25	—	—
„ ołowianéj:	—	—	—	—
Pasków i pręcików:	—	—	—	—
Najzylbru:	139	63	50	31
Pobielono blachy arkuszy;	14075		27000	

Nakoniec z d. 1 lutego 1845 r. zarząd górnictwa przeszedł faktycznie z pod administracyi Koniara do Komisyi przychodów i skarbu, a ze zmianą tą i dla Białogona nowy się okres rozpoczął. Zanim się jednak nim w dalszym ciągu zajmiemy, zaznaczyć musimy innego jeszcze rodzaju działalność zakładów białogońskich, najściślej z tyloma wzno-

szonemi w nich budynkami związanéj. Mówimy tu o produkcyi cegły i wapna, wydobywanego z sąsiedniéj góry Kadzielni. Otóż w okresie pomiędzy rokiem 1833 a 1845 wyrobiono pierwszéj ogółem sztuk: 3518950, czyli przecięciowo 270688 rocznie; drugiego zaś wypalono korcy 51918, czyli po 3993 rocznie. Na mocy jednak wyższéj decyzyi z końcem r. 1845 wydanéj, cegielnia i wapiennia przeszły w zawiadywanie rządu gubernialnego radomskiego, który jednak ograniczył ich produkczą z téj przyczyny, iż w skutek zniesienia gubernii Kieleckiéj, m. Kielce zaprzestało na długie lata nowych domów budować.

IV.

Szenszyn objął kiernnek wydziału górnictwa za dyrektorstwa Morawskiego w komisyi skarbu... Jako artylerzysta nie był bez nauki. Owszem, umysł miał bystry, obejmujący każdy przedmiot w najdrobniejszych szczegółach; ale szorstki i gwałtowny, wymagał od podwładnych posłuszeństwa, jak od prostych żołnierzy i nawet w sprawach technicznych nie znosił przeciwnego zdania. Stąd służba w górnictwie dla ludzi wykształconych i mających długoletnią praktykę pod jego zwierzchnictwem stała się wprost niemożliwą.

Pierwszy do uwolnienia, z zajmowanego stanowiska naczelnego zawiadowcy zakładów białogońskich, podał się Preacher i, po zdaniu służby, objął dyrekcyą fabryki stali w Serocku, założonéj przez towarzystwo prywatne. Opróżnione po nim miejsce, w charakterze zastępcy, zajął Bonawentura Chlebowski, dotychczasowy zawiadowca warsztatów ręcznych w Suchedniowie.. Za przykładem Preachera poszli inni: Fryderyk Lempe, naczelnik wydz. górniczego, Jerzy Pusch (ojciec), zasłużony profesor i autor cennego dzieła: *Krótki rys geognostyczny Polski i Karpat*; dalej Szerner, nacz. sekcyi administracyjnéj górniczéj, Jan Strahler, naczelny budowniczy okręgu zachodniego, wychowaniec akademii górniczéj w Kielcach, Aleksander Watson, inżynier machin i wielu innych.

Wszystko to, tém niekorzystniéj na górnictwo wpływało, że nie było ludzi, którzyby ich ze względu na uzdolnienie i znajomość techniki, mogli zastąpić. Dawna bowiem szkoła górnicza, przeniesiona z Kielc do Warszawy od r. 1832 istnieć przestała i cały korpus górniczy, niezasilany stąd nowemi dopływy, musiał z czasem zmienić swój charakter. Ze stopniowém usuwaniem się z posad dawnych jéj wychowańców, opróżnione po nich miejsca z konieczności zajmowali ludzie bez specyalnego przygotowania, nauki, słowem rutyniści, praktycy, lub co gorsza

wykształceni biurowo. Przyszło do tego, iż cały niemal skład górnictwa przybrał urzędniczy charakter. Wprawdzie utworzenie w r. 1845 szkoły wyższéj realnéj w Kielcach, z dążnością technologiczną, miało zastąpić brak dawnéj akademii górniczéj; ale szkoła ta, sześcioklasowa, obejmująca ni mniéj, ni więcéj tylko 23 przedmiotów, przy 192 godzinach lekcyj tygodniowo, zaledwie słabe uczniom dawała o górnictwie pojęcie. Jak zaś mało uwzględniała kształcenie ich w tym kierunku, dość powiedzieć, iż w ciągu lat 17 istnienia, dwie tylko naukowe odbyto z nimi do zakładów górniczych wycieczki: w r. 1846 do Białogona pod przewodnictwem nauczyciela, Hipolita Święcickiego, i w r. 1855 pod kierunkiem tegóż Święcickiego i Antoniego Rogalewicza do Miedzianéj Góry i Sielpi. Pierwszy z nich wykładał historyę naturalną, drugi technologię górniczą i chemię. Najniepomyślniéj zaś na rozwój przemysłu górniczego wpływało zupełne zerwanie stosunków z Anglią, na któréj dotąd wzorowały się zakłady białogońskie. Rozumie się, o dalszym rozwoju fabryki, o zaprowadzeniu koniecznych w niéj ulepszeń bez tego nie mogło być mowy. Wprawdzie w początkach niniejszego okresu widzimy jeszcze ku temu jakieś usiłowania. Tak zastępca zawiadowcy, Chlebowski, robi próby zużycia na panewki aliażu Fultona, mieszając 80 części cynku z $14^1/_2$ cyny i $5^1/_2$ miedzi i zastosowanie téj nowości wydział górniczy zatwierdza. Ale już w r. 1848 nie udają się próby pobielania blach cyną angielską. Przy zastosowaniu bowiem okazało się, iż na 100 funtów cyny, odpada jéj f. $8^1/_4$. Więcéj prób nie ponawiano. Brak ludzi z udolnieniem technicznem uniemożliwia postęp w tym kierunku. Zakłady białogońskie funkcyonują i na pozór odpowiadają swemu przeznaczeniu. Tak samo, jak dawniéj, wytwarzają narzędzia rolnicze, maszyny, kotły, dokonywają odlewów z mosiądzu i wielu robót ozdobnych, ale wszystko to według dawnych modelów; fabryka idzie raz nabytą rozpędową siłą, lecz na nowe tory nie wchodzi. Zmieniają się tylko ludzie. Po Reklewskim, stanowisko naczelnika okręgu wschodniego od r. 1854 obejmuje Aleksander Szmidecki; na naczelnika zakładów białogońskich, po Chlebowskim, powołany zostaje w r. 1847 Smirnow, dla którego etat podniesiono do rb. 1,500. Po jego śmierci, na posadę tę od 23 października 1853 r. dostaje się Jan Łęski. W ogóle cały 12-letni okres zarządu Szenszyna nie zaznaczył się w zakładach białogońskich postępem. Sądząc o ich działalności z otrzymanych każdorocznie dochodów, możemy zauważyć wielkie różnice. Tak w r. 1853 wynoszą one zaledwie 16,521 rb., gdy tymczasem w r. 1856 dochodzą do 58,837. Widocznie na zmniejszenie zakupów i obstalunków wojna krymska wpływała; po kongresie bowiem pa-

ryskim od razu się zwiększają i w téj wysokości mniéj więcéj utrzymują przez następne lata.

Lecz za to liczba osób zwiedzających Białogon z każdym rokiem się zmniejsza. Jeszcze w r. 1846 spotykamy ich 91. Ale już w r. 1847 podpisów jest tylko 12, w następnym ani jednego, w 1850 r., 17; a w r. 1851 jeszcze mniéj, bo 14 i t. d.

Szenszyn pozostawał na stanowisku dyrektora wydziału górnictwa do r. 1857. Na przedstawienie namiestnika Królestwa z d. 7/19 czerwca t. r., na jego miejsce naznaczony został generał-major Jossa. Za jego zarządu zaprowadzono jedno z ważniejszych ulepszeń. Polegało ono na zastosowaniu systemu ogrzewania gazem drzewnym pieców pudlingowych, szwejsowych i gliowych. Tym sposobem zaoszczędzano wiele paliwa i zyskiwano na czasie. Z zawiązaniem też Towarzystwa rolniczego zwiększa się pokup na maszyny i narzędzia rolnicze, tak, iż dochód w zakładach białogońskich w r. 1858 dosięga sumy 66,937 rb. W następnym wprawdzie zmniejsza się do rb. 55,165, ale za to w téj mierze po r. 1862 utrzymuje się stale.

Na rządy margrabiego Wielopolskiego, przypada nowa organizacya górnictwa. Na dyrektora wydziału powołany został Hieronim Łabęcki [1]; na wice-dyrektora Aleksander Szmidecki, który od roku 1854 zajmował stanowisko naczelnika okręgu wschodniego; na jego zaś miejsce powołano Jana Łęskiego, po którym posadę zawiadowcy w Białogonie otrzymał Józef Zaorski, który na tém stanowisku pozostawał po r. 1896.

Teraz istotnie zdawać się mogło, iż górnictwo na dawne tory zawróci i, wzorując się na daleko posuniętych w swym rozwoju fabrykach angielskich i niemieckich, zacznie nowe ulepszenia wprowadzać. Tymczasem rok 1863, jeżeli gdzie wywarł fatalne skutki, to bezwątpienia najbardziéj w téj gałęzi pracy społecznéj. Spowodował on nietylko rozbicie ówczesnéj organizacyi górnictwa, lecz zarazem i byt jego zachwiał w posadach. Myśl sprzedaży wszystkich fabryk rządowych w Królestwie Polskiém może jeszcze nie powstała w sferach decydujących; ale to pewna, że sfery te od pierwszéj chwili zwróciły na nie baczną uwagę. Okazuje się to z często ponawianych wizyt i rozporządzeń dotyczących spraw górnictwa.

---

[1]) Autor „Historyi górnictwa w Polsce“, (tomów 2, Warszawa, 1841), oraz wielu innych dzieł odnoszących się do téj gałęzi przemysłu. Dość wymienić: „O sławniejszych górnikach olkuskich“, „Przypadki nieszczęśliwe w kopalniach węgla kamiennego w Polsce“, „Początki nauki kopalnictwa“, wreszcie: „O prawach własności ziemi, szczególniéj jéj wnętrza, według praw polskich i przepisów dziś obowiązujących.

Ograniczymy się do zakładów białogońskich.

Tak w połowie r. 1864 zwiedza je z rozporządzenia władzy wyższéj, pułkownik sztabu generalnego, adjutant cesarski, Annenków. Tegoż roku w końcu sierpnia przybywają do Białogona, w celu zebrania wiadomości o stanie jego zakładów i robotnikach, pułkownik inżynieryi Arseniew i pułkownik sztabu generalnego, Goremykin, w towarzystwie wice-dyrektora wydziału górnictwa, Szmideckiego.

W r. 1865 szkołę początkową, założoną przez Bank dla dzieci robotników fabrycznych i zostającą pod bezpośrednim nadzorem zawiadowcy naczelnego zakładów, przyłączono reskryptem z d. 10/22 lutego do gminy Niewachlów.

W r. 1866, naczelnik okręgu wschodniego, Jan Łęski, otrzymał uwolnienie, na jego zaś zastępcę naznaczony został tymczasowo Józef Zaorski, naczelnik zakładów białogońskich.

W r. 1867, w sierpniu, zwiedza je Aleksander Iwanowicz Antipow, urzędnik klasy V do szczególnych poruczeń przy ministrze finansów; w początkach zaś września t. r., otrzymuje z rangą radcy stanu nominacyę na zawiadującego górnictwem w Królestwie Polskiém i do korespondencyi wprowadza język rosyjski. Jednocześnie z ustanowieniem Izb obrachunkowych w Warszawie, Łomży i Lublinie przyłączono do téj ostatniéj pod względem rachunkowym okrąg wschodni, do Warszawskiéj zachodni.

Rok 1868 tém się jedynie zaznacza, iż listę zwiedzających ostatecznie zamyka. Właściwie od r. 1857 frekwencya prawie była już żadna. Są lata, w których zaledwie jedna, dwie, lub pięć osób zwiedza zakłady białogońskie. Najwyższą zaś ich cyfrę wykazuje r. 1862, bo 13! Liczby te mówią same za siebie.

W r. 1869, w marcu, na opróżnione po Łęskim stanowisko, naczelnikiem okręgu wschodniego zamianowany został inżynier górniczy, Paweł Onufrowicz Nechwedowicz. Zdawało się więc, iż zmiany zamierzone nastąpią co do osób jedynie. Tymczasem, myśl sprzedaży zakładów już dojrzała, a pierwszym jéj objawem, było zakupienie przez Esenmanna głównego górniczego magazynu żelaza przy ulicy Królewskiéj w Warszawie.

Po dokonaniu téj tranzakcyi, nastąpiły inne ważniejsze.

Jakoż w d. 1 lipca 1870 r., zwinięty wydział górnictwa przy Komisyi skarbu (ostatnim jego dyrektorem był Miłowanów), przyłączono do takiegoż wydziału przy ministeryum finansów; większość urzędników spadła z etatu, lub przeniesi zostali do Petersburga, gdzie mieli obrabiać sprawy górnicze Królestwa, dopókiby wszystkie zakłady nie znalazły prywatnych nabywców; po rozwiązaniu zaś dawnego korpusu górni-

czego, zniesiono i przywiléj, uwalniający od służby wojskowéj robotników górniczych.

Wszystkich tych zmian dokonano za ministerstwa Reuterna. Wreszcie po objeździe zakładów górniczych w Królestwie przez dyrektora departamentu górnictwa, Raszeta, który w tym roku i Białogon w październiku nawiedził, rozpoczyna się ich sprzedaż, powodująca dalsze spadanie urzędników z etatu.

Przedewszystkiém uległy jéj zakłady: Starachowickie z trzema piecami wielkiemi; pudlingarnie: w Michałowie i Brodach, oraz walcownia w Nietulisku. Fabryki te z nieprzebranemi kopalniami: Herkules, Henryk, Elżbieta, Józef, Tychów, oraz z lasami, składającemi dawne leśnictwo iłżeckie, a obejmującemi 45,000 morgów, przeszły na własność br. Frenkla za sumę 1,500,000, która w ciągu lat 33 miała być spłacona ratami.

Za tym kompleksem zakładów fabrycznych, przeszły inne w ręce prywatne. W okręgu wschodnim: Ostojów, Ogonów, Jędrów, Błoto, Pstrążnica, Stokowiec, Baranów, Jasiów, Janaszów, Humor, Światełko i Małachów. W zachodnim: Pradła, Huta Bankowa, Niwka, Blachownia, Praszczyki, Cyganka i Kostrzyn.

Podobny los i Białogonowi do r. 1874 zagrażał. Już pierwszą co do tego wskazówką było oddanie szkoły w zawiadywanie gminie Niewachlowskiéj; późniejsze zmiany jeszcze wyraźniéj zapowiadały, iż władza zamierza odjąć osadzie państwowy jéj charakter. Tak w d. 10 lutego, 1869 r., komisarz włościański, Petrow, zjechawszy na miejsce, oddał na własność wszystkie domy skarbowe fabrykantom zakładów białogońskich, jeżeli tylko ci zamieszkiwali je przed dniem 2 marca 1864 r. Następnie w d. 29 maja t. r. rozdał tymże fabrykantom grunta górnicze, zwane „Pietraszki”, a położone u stóp góry Stokowéj. Wreszcie w d. 12 września obdzielił ich gruntami, położonemi przy folwarku Szewce, co wszystko ogółem wynosiło 135 morgów, 215 prętów. Niedość na tém, ukazem z d. 19 czerwca 1870 r. oddano w zawiadywanie gminie Niewachlowskiéj drogę bitą, od szosy krakowskiéj do zakładów wiodącą, któréj utrzymaniem zajmował się zarząd górniczy.

To włączenie do obszarów gminnych dawnych gruntów fabrycznych, pozostawiło zarząd w nader trudném i kłopotliwém położeniu i na wielkie straty narażało fabrykę. Przez te grunta, od strony Kielc, przepływa rzeka Silniczka i z wiosną zwykle wylewa szeroko. Zarząd nie mógł obecnie przedsiębrać na nich środków ochronnych w celu zabezpieczenia się od niéj; gmina nie poczuwała się znowu do obowiązku

ochraniania fabryki od możliwéj powodzi: stąd wynikały spory i klęski dla zakładu dotkliwe.

Pierwszy wylew, który szkód niemało uczynił, nastąpił w r. 1868. Drugi wydarzył się się w d. 21 lutego i był jeszcze groźniejszy. Rozerwawszy bowiem starą groblę przy drodze do Karczówki wiodącéj, wezbrane wskutek nagłéj odwilży wody, przedostały się na plac fabryczny i zatapiając stolarnię, składy maszyn, kasę i walcownię, ogromne spustoszenia w budynkach i materyałach zrządziły. Samych węgli drzewnych 50 korcy uniosły.

Nowy zalew nawiedził Białogon w r. 1873, gdy w nocy z 24 na 25 czerwca, wskutek nawalnego deszczu i wezbrania Silniczki, woda w stawie, pomimo otwartego upustu, rozerwała groblę do szczętu. Tym razem nie zatopiła fabryki, ale, opróżniwszy staw, pozbawiła warsztaty mechaniczne motoru. Wszystkie te klęski, narażając zakład na straty, usposabiały niechętnie względem zarządu ówczesne władze kierujące. To też sprzedaż Białogona zdawała się być nieuniknionėm tego następstwem.

Stało się przecież inaczéj.

Z dniem 1 stycznia 1874 r., na mocy najwyższéj decyzyi, górnictwo z pod zarządu ministeryum finansów przeszło w zawiadywanie ministeryum dóbr państwa, na którego czele stał radca tajny, Wałujew. Decyzya ta nietylko wpłynęła na zmianę systemu w zarządzie, lecz położyła kres i dalszéj sprzedaży ocalałych fabryk górniczych. Liczba ich wprawdzie zmalała; ale przekształcone według wymagań postępowej techniki górniczéj, mogły przynosić dla skarbu znaczne jeszcze dochody. Do takich należały: Bzin, Rejów, Mostki, Mroczków, Sielpia, Białogon, Sławków, Panki i Dąbrowa. Wszystko to były zakłady czynne. Natomiast: Berezów (Suchedniów), Parszów, Samsonów, Królewiec i Adamów zaliczano do zakładów upadłych.

W każdym razie sama osobistość ministra dawała co do ich przyszłości otuchę. Nie brakło też od początku wskazówek, iż potrzeby téj, od lat wielu zaniedbanéj gałęzi przemysłu krajowego, nakoniec uwzględnione zostaną. Ujawniło się to naprzód wydaniem w d. 9 grudnia 1874 nowéj ustawy dla zakładów górniczych i kopalń; następnie zakupem dla Białogona wielu modeli, na których mu od czasu przejścia z pod zarządu Banku zbywało. Pomiędzy innemi sprowadzono model młockarni ręcznéj, nader misternéj konstrukcyi, któréj nabycie było dostępne nawet dla małych gospodarstw. Jeżeli zaś co świadczyło o dobrych chęciach ministra dla krajowego górnictwa, to bezwątpienia powołanie w r. 1876 Jana Hempla na stanowisko naczelnika okręgu wschodniego, które przedtém Mechwedowicz zajmował. Hempel był jednym z dawnego

autoramentu, naukowo wykształconych górników i do roku 1868 pełnił obowiązki naczelnika okręgu zachodniego. Usunięty jednak rozporządzeniem ministra finansów, przyjął obowiązki dyrektora kopalni i fabryki siarki w Czarkowach, stanowiących własność hr. Pusłowskiego i na tém stanowisku zwrócił zapewne na siebie uwagę Wałujewa, jako ministra spraw wewnętrznych, który go teraz, jako uzdolnionego górnika, nanowo do służby powołał.

Przecież nietylko wogólnym, lecz i w bardziéj specyalnym kierunku ujawniła się troskliwość ministra o podniesienie górnictwa.

Etaty jego, ułożone przed kilkudziesięciu jeszcze laty, nie odpowiadały już podniesionym cenom produktów i wogóle wszystkich przedmiotów, stanowiących codziennego życia potrzeby. Otóż w roku następnym, wyznaczył on do ich rozpatrzenia i unormowania komisyę, która pod prezydencyą Hempla, składała się z zawiadowców wszystkich fabryk, budowniczego górniczego i buchaltera. Następstwem ułożonego przez nią referatu było istotnie podwyższenie płac, co urzędników górnictwa stawiało bez porównania w lepszych, niźli dotąd warunkach.

Wobec tych zmian, zdawało się, że i zakłady białogońskie odzyskają dawne swoje znaczenie i, podnosząc wytwórczość maszyn i narzędzi rolniczych, czynić będą zadość istotnym potrzebom kraju. Ale niestety, obecne warunki nie sprzyjały już ich rozwojowi dalszemu. Przedewszystkiém ustawa gminna krępowała zarząd w uregulowaniu Silniczki. Zaledwie ponaprawiano uszkodzenia, wynikłe wskutek jéj wylewów w latach 1871 i 1874, gdy znowu w lutym 1876 wielki napływ wody rozerwał groblę, usypaną niedbale przy drodze do Karczówki wiodącéj, i jeszcze większe szkody w fabryce, niż poprzednio wyrządził. Rozszalałe fale wyrwały znaczną część ściany w walcowni i, wymuliwszy ciosowe ocembrowanie kanału, stanowiące *skok* koła wodnego, zatrzymały całą fabrykę w jéj biegu.

Nim dokonano naprawy, podtrzymywano ruch w warsztatach mechanicznych i walcowni za pomocą lokomobil, sprowadzonych z kopalni. Było to tém konieczniejsze, iż właśnie w r. 1877 zwiększyło się zapotrzebowanie maszyn i wogóle wyrobów żelaznych. Dość powiedzieć, że, kiedy w r. 1875 dochód w zakładach białogońskich spadł do sumy 17,679 rb.; w roku 1877 doszedł do cyfry 56,672. W następnym, wynosił już tylko 18,043 rb.; w 1879 podniósł się, ale tylko do 25,840 rb. W tym samym jednak roku 1877, tak pomyślnym dla handlu żelazem wogóle, zdobyto w Białogonie przeświadczenie, iż walcownia nie produkuje już blachy w tak wyborowym, jak w latach poprzednich, gatunku. Przyczyna tego była prosta. Dopóki w posiadaniu rządu były pudlingarnie w Michałowie i Brodach, dopóty przerabiane w nich że-

lazo dostarczało odpowiednio przygotowanego materyału, który w walcach łatwo ciągnąć się dawał. Od czasu jednak, gdy, zapas dawnego żelaza w magazynach się wyczerpał i do wyrobu blachy zaczęto brać surowiec z pieców w Rejowie i Bzinie, wtedy i produkowana z niego blacha okazała się kruchą, łamliwą i do użytku niezdatną. Robiono z nią wprawdzie próby gliowania, lecz te nie wydały rezultatów dodatnich. W r, 1868 zniesiono nawet w Białogonie piec kopulowy, opalany węglem drzewnym, gdyż taki piec w Rejowie opalany koksem, o wiele mniéj był kosztowny.

Przecież stroną najbardziéj ujemną zakładów białogońskich był obecny stan inwentarza fabrycznego, jaki się w r. 1879 okazał, po oszacowaniu dokonaném z rozporządzenia ministra. Z działalności komisyi wyznaczonéj w tym celu, okazało się, iż wartość ich dochodziła zaledwie:

	rb.	kop.
W warsztatach mechanicznych z maszynami . . .	27,720 —	28
W stolarni i budynku kowalskim . . . . . . - .	9,517 —	34
W walcowni, giserni mosiężnéj i kopniaku	3,795 —	84
W budynku, obejmującym kasę i skład maszyn . .	2,889 —	89
W budynku, przeznaczonym na kotlarnię	2,716 —	14
W węgielni	1,416 —	50
W magazynie żelaza	1,930 —	31
W walcowni staréj	1,161 —	12
W parkanach, mostach, upustach, kafarach, stawie i grobli	3,987 —	80
W domach, pozostałych przy górnictwie	11.376 —	29
W ziemi i placach	797 —	98
Wartość ogólna	143,933 —	20

Tak nizka ewaluacya fabryki, mającéj niegdyś świetną przeszłość za sobą, mogłaby istotnie zadziwiać, gdybyśmy nie wiedzieli, że wszystko, co w niéj komisya znalazła, powstało przed r. 1842—słowem, że przez lat 37 nie zaprowadzono w niéj żadnych prawie zmian i ulepszeń. Wszystkie maszyny już wtedy przestarzałéj były konstrukcyi. Tymczasem od owéj daty, ileż w mechanice dokonano wynalazków i uproszczeń i jak się budowa warsztatów mechanicznych zmieniła! Chcąc przywrócić Białogonowi dawne znaczenie, należało z gruntu jego zakłady przekształcić. I gdyby minister Wałujew pozostał był dłużéj na urzędzie, może i dla nich nastałyby pomyślniejsze czasy. Ale z ustąpieniem jego, późniéj kierujące górnictwem sfery, zrażały się zawsze ogromem wydadków, potrzebnych na zaprowadzenie koniecznych zmian i ulepszeń i, zwróciwszy całą uwagę na rozwój hut w Dąbrowie Górniczéj i walcownie cynku w Sławkowie, oraz na osuszenie kopalń olku-

skich, ku czemu przygotował projekta zdolny, a zawcześnie zmarły inżynier górniczy, Wincenty Kosiński, wznawiając dawno zapomniane ks. Lubeckiego plany; Białogon na długo pozostawiły na stronie. Wprawdzie od r. 1883, t. j. od czasu objęcia zarządu okręgu wschodniego przez inżyniera górniczego, rz. radcę stanu Wincentego Choroszewskiego, w zakładach białogońskich nie jedno zmieniło się na lepsze. Przynajmniéj zaopatrzono je w kilka przyrządów nowych i modele; ogół jednak maszyn jest ten sam, jaki był przed laty dwudziestu. Nic też dziwnego, że i wytwórczość ich pozostaje w prostym stosunku do tego stanu, do jakiego doprowadził je czas wszystko niszczący.

Białogon, jako pierwszorzędna niegdyś fabryka machin i narzędzi rolniczych, nie mógł współzawodniczyć nietylko już z maszynami sprowadzanemi przez licznych składników z Ameryki, Anglii i Niemiec, lecz i z wytwarzanemi na miejscu przez wiele fabryk krajowych. Buduje wprawdzie, jak za lat dawnych, młockarnie, kieraty, młynki do czyszczenia zboża, sieczkarnie, pługi, siewniki; wreszcie dokonywa reparacyj różnego rodzaju maszyn, poleruje odlewy, wykonane w Rejowie, ustawia żelazne krzyże, nagrobki, pokostując je i złocąc, ułożone na nich napisy, lecz już nie przedsiębierze robót na większą skalę, a w każdym razie to, co produkuje, dalekie jest od téj dokładności, jaką przywykliśmy widziéć w zagranicznych wyrobach. Dochód też, jaki rocznie osiąga, daleki jest od cyfr, wykazywanych poprzednio. Od roku 1884 środkuje on pomiędzy 10,000, a 22,000 rb. Również warsztaty co raz mniejszą liczbę robotników zajmują. Dość powiedziéć, że gdy pomiędzy rokiem 1854 a 1862 pracowało tu od 70 do 80 robotników; dziś w warsztatach mechanicznych, kuźni i stolarni zaledwie się ich 20 do 30 znajduje.

Nadto od r. 1887 walcownia ostatecznie funkcyonować przestała. Było to naturalném następstwem wzrostu fabryk prywatnych, a głównie niemożności współzawodniczenia z blachą, sprowadzaną z cesarstwa, któréj przymioty okazały się o wiele wyższe od łamliwéj blachy tutejszéj. To też zapas jéj pozostały z lat dawnych i wynoszący 11,000 pudów, dziś może być jedynie na szmelc użyty.

Zresztą, Białogon, jak i wszystkie fabryki żelazne, stanowiące własność rządową, był krępowany cenami stałemi wyrobów, które wydział górniczy w Petersburgu na cały rok zatwierdzał, gdy tymczasem zakłady prywatne, stosując się do większych lub mniejszych zapotrzebowań i zmieniających się cen żelaza, mogły je u siebie dowolnie w każdéj chwili normować.

Był to wzgląd ważny, który wpłynął wielce na zmniejszenie zamówień w fabrykach rządowych. Ograniczenie też zarobków w zakła-

dach białogońskich zraziło wszystkie młode, zdolniejsze siły do szukania przy nich pracy stałéj, a tém samém zapewnienia sobie przyszłości. Pozostali więc nieliczni, starego autoramentu lub mniéj uzdolnieni robotnicy. Ale pierwszych z każdym rokiem coraz więcéj ubywa; drudzy zaś, nie umiejąc wykonywać poruczanych im robót z tą dokładnością, jakiéj dzisiejszy postęp w technice górniczo-przemysłowéj wymaga, nie będą mogli zastąpić ich w przyszłości.

To też myśl puszczenia zakłaoów białogońskich w długoletnią dzierżawę, do arcyszczęśliwych należy. Tylko tym sposobem mogą one dawne swe znaczenie odzyskać, rozumie się, pod warunkiem, że w nich stare maszyny przez nowe zastąpione zostaną.

Obecnie Białogon robi wrażenie upadłéj wielkości.

Gdy przez drzwi boczne przy bramie, któréj strzeże odźwierny, dostaniesz się na dziedziniec zarosły trawą i znajdziesz w otoczeniu białych budynków fabrycznych, które, ustawione w podkowę, wychylają się z poza otaczających rzędami kasztanów o potężnych konarach; wtedy, zwłaszcza, gdy w kuźni młoty umilkną, możesz mniemać, żeś się znalazł na cmentarzu jakiegoś opustoszałego klasztoru. Bo naprzód, wzdłuż podjazdowéj ulicy widzisz mnóstwo żelaznych, lanych krzyżów i nagrobków, całe zresztą partye krat najrozmaitszego rysunku, a wszystko to stoi wśród wysokich traw, dziewanny, ostów i powojów, rozrzucone bezładnie. Wprawdzie wiész, że to są obstalunki, czekające na odbiorców, lub stare, zardzewiałe modele; w każdym razie, otoczony niemi,, nie możesz opędzić się myśli, że koło mogił przechodzisz. Wrażenie potęguje się témbardziéj, że prócz pory obiadowéj i chwili ukończenia robót dziennych, co na odgłos dzwonka następuje o godzinie 6 wieczorem, zwykle na zewnątrz, nie dostrzegasz żadnego ruchu: wszyscy bowiem ludzie, zajęci w obrębie fabryki, przy warsztatach pracują. Ku nim téż przedewszystkiém zwracasz swe kroki, gdyż w nich teraz głównie ogniskują się wszystkie zajęcia. Lecz i tu, znalazłszy się w téj długiéj halli, w jednéj połowie zastawionéj maszynami, a w drugiéj warsztatami ślusarskiemi, doznajesz nie mniéj dziwnego w pierwszéj chwili wrażenia. Uderza cię przedewszystkiém panujący tu mrok, mimo okien olbrzymich, umieszczonych gęsto w ścianie frontowéj środkowego budynku. Ale okna te, zaopatrzone w prostokątne szybki z trudnością tylko przepuszczają światło dzienne przez grube warstwy osiadłego na nich kurzu i osłony pajęcze. Kurz ten pokrywa grubo i nietynkowane, choć niegdyś bielone ściany wewnętrzne i, osiadając od lat wielu na ich chropowatéj powierzchni, nadaje im, mimo pobiały, szary, ciemny koloryt, który wytwarza owe mroki, nie dające się przez

słabo wnikające światło dzienne rozproszyć. W tych chłonących się wzajem półświatłach i półcieniach, godnych pędzla Wouwermana lub Maksa Gierymskiego, widzisz u szczerniałéj powały wirujące w szalonym biegu cylindry, niby tamburyna podrzucane dłońmi powietrznych tanecznic i błyskawicznie przewijające się na nich pasy, które obrotową ich siłę przenoszą na coraz mniejsze cylindry,—siłę, która, udzielając się pośrednio, w miarę oddalania się od głównego ogniska, traci coraz bardziéj swą hyżość. Pod wpływem téż jéj działania spostrzegasz obracające się zwolna walce i drągi żelazne w łożysku, do którego stale przymocowane dłóto struże je na drzazgi i wióry, nadając im gładkość zwierciadlanéj powierzchni; daléj prostopadle ustawioną wiertarnią, która, obracając się, jak fryga, dziurawi sztaby, lub grubsze jeszcze od nich sztuki;—nie widzisz tylko ludzi, gdyż nieliczni, a rozrzuceni przy warsztatach po hali, giną w jéj mrokach i ogromie. Również nie słyszysz ich głosu, gdyż go tłumi wark maszyn i szum koła wodnego.

Pomimo jednak ogłuszającego łoskotu, jaki cię na wstępie spotyka, zwolna przekonywasz się, przeszedłszy hallę z jednego końca na drugi, że zaledwie jeden walec górny, lub dwa są czynne, że reszta z braku zamówień pozostaje w spoczynku. One téż unaoczniają ten zastój, w jakim się fabryka od lat wielu znajduje, a zarazem dają miarę tego ruchu i życia, jakie tu panowało niegdyś, gdy wszystkie te cylindry i koła trybowe były w pełnym biegu, gdy wszystkie warsztaty były obsadzone przez fabrykantów górniczych.

Dziś, jest to powolne zamieranie olbrzyma, który wskutek braku prawidłowego dopływu krwi został sparaliżowany w swych członkach.

To samo znajdujemy w kuźniach, pomieszczonych w prawym pawilonie. Dwa ich ogniska kowalskie buchają wprawdzie sypiącym iskry płomieniem, rozpalając do czerwoności sztaby żelazne, które pod uderzeniem młotów również skrzą się i na wszystkie strony rozpryskują gwiazdami, przybierając kształty, jakie im wola majstra nadaje. Ale ośm innych ognisk wyszczerzają tylko swe czarne, a zimne czeluści, daremnie wyczekując kolei.

Choć wszakże smutny to widok, zawsze jeszcze w warsztatach i kuźniach jakieś utrzymuje się życie. Gdy jednak przejdziesz do pawilonu lewego, w którym się mieści zabita na głucho walcownia, wtedy dopiéro uderzy cię obraz baltazarowego zniszczenia.

Tu większa jeszcze panuje, niż w halli warsztatów mechanicznych pomroka, gdyż jeszcze gęstsza warstwa kurzu pokrywa ściany i szyby, zmatowane działaniem słońca; niestrudzona zaś praca pajęcza nietylko w oknach, na ścianach, powale i wszystkich maszynach swoje sieci roz-

pina, ale jeszcze chwyta w nie całe tumany pyłu, które wiatr z zewnątrz przez wybite szyby nanosi.

Gdy się jednak w tym pół mroku rozpatrzysz, doznajesz wrażenia, jakbyś się znalazł wśród ruin, których dawne kolumny, głowice, architrawy legły w chaotycznym zamęcie.

Tu co chwila potrącasz nogą to o jakieś porzucone drągi żelazne, to o połamane rury, wreszcie o cegły z pieca kopulowego opadłe.

Ze wszystkich jednak przyrządów i maszyn, głównie zwraca twą uwagę koło wodne, którego pierwsze puszczenie w ruch biedny Pees życiem przypłacił, Dziś ono nieruchome, od lat 11 po dokanych pracach spoczywa. Ale choć zapylone i pajęczyną osnute, przecież pociąga oczy swą misterną, lekką budową, niby jedno z tych cacek drzewnych, któremi przemyślna Szwajcarya celuje. Rozmiary jego wszakże i ramienniki żelazne przekonywują, że mechanicy angielscy nie dla dziecinnéj robili je zabawki. Znać w ich więzi potężną siłę. A jednak mimowoli nasuwa się pytanie, czy, puszczone w ruch po tyloletnim zastoju, nie potrzaskałoby się w kawałki?

Obecnie nie zostaje ono nawet w związku z walcownianemi przybory. I koło bowiem szalone i koła trybowe, które w ruch dwa przęsła walców wprawiały, stoją odosobnione od niego. Zresztą, rdza przejada wszystkie kotły parowe i miechy cylindryczne żelazne; z pod murów wyrastają grzyby i całe wnętrze, przesycone wilgocią, wieje stęchlizną i martwotą cmentarną.

A jednak kiedyś, gdy piece kopulowe buchały żarem, rozpalając do białości poddane ich działaniu żelazo, gdy warczały puszczone w bieg walce, tłocząc i miażdżąc je na cienkiéj blachy arkusze, życie potężne tu wrzało. Dziś słyszysz tylko echa własnych kroków i rozmowy, którą z przewodnikiem prowadzisz, jakgdyby dziwiły się mury że jeszcze jakiś dźwięk o nie się odbija.

To téż opuszczasz je z wewnętrznem niemal zadowoleniem, niby podziemia grobowe i, wyszedłszy na dziedziniec, wciągasz całą piersią świeże powietrze i radujesz się ciepłem i światłem słonecznem.

W takim stanie obecnie znajdują się zakłady białogońskie.

Gdy to jednak piszemy, gazety przynoszą wieść, iż w d. 21 września r. b., przed regentem, Redychem, w Kielcach, spisano umowę, na mocy któréj zakłady górnicze w Białogonie, z całym ruchomym i nieruchomym inwentarzem, wypuszczone przez rząd zostały w trzydziestoletnią dzierżawę inżynierowi górniczemu i dyrektorowi zakładów Towarzystwa rusko-francuskiego w Dąbrowie Górniczéj, Skibińskiemu,

za cenę dzierżawną: w pierwszych latach piętnastu po 3,500, w drugich po 4,500 rubli rocznie, z możnością przedłużenia dzierżawy za tę ostatnią sumę do lat następnych trzydziestu.

Wobec tego faktu można tylko wyrazić życzenie, by w tym lat długich szeregu Białogon dawne swe znaczenie odzyskał, i tak się chlubnie w dziejach górnictwa krajowego, jak w chwilach najpiękniejszych swego rozwoju, zapisał.

Roman Plenkiewicz.

Wrzesień, 1898 r,



SZKOŁY TECHNICZNE

w Anglii.



(Dokończenie) *).

III.

Szkoły techniczne londyńskich korporacyi.

Korporacye londyńskiéj „City" mają licznych nieprzyjaciół, opierających czynione im zarzuty na wielu i bardzo poważnych powodach. Nie mamy zamiaru wchodzić tutaj w tę sporną kwestyę i udowadniać w oczy bijącéj prawdy, że gildye i korporacye zatraciły swój pierwotny charakter. Królewska komisya, ustanowiona do zbadania ich organizacyi oraz użytku, jaki robią z posiadanych funduszów, wykazała w swym raporcie 1884 r., że roczny dochód, jakim korporacye rozporządzają, wynosi nie mniéj, jak 800,000 funt. szt., z których 200,000 ma ściśle ograniczone przeznaczenie na dzieła miłosierdzia i dobroczynne fundacye, ale reszta, t. j. co najmniéj 600,000 f. szt., obracaną bywa na prywatny użytek jakich 9,000 osób, które z tych lub owych tytułów uważane są za członków korporacyi,

*) Patrz „Ateneum" 1898, t. IV, str. 240.

Na okrzyk oburzenia, jakie ten raport komisyi wywołał, pośpieszyli obrońcy korporacyi wykazać, że tak źle znowu rzeczy nie stoją, że suma 175,000 f. szt. jest corocznie obracana na podatki, taksy, dziesięciny, budowle, reperacye, pensye, zasługi — i że jedynie 40,000 f. szt. pobiérane bywa wprost przez członków korporacyi, pełniących obowiązki sądownicze; ale nawet oni zaprzeczać nie mogli, że 100,000 f. szt., obracane są na bankiety i uczty gildyi. Z tego znacznego dochodu suma 155,000 f. szt. poświęcana być miała na oświatę. Nie trzeba skrupulatnie wchodzić w dokładność powyższéj sumy, gdyż niema najmniejszego wątpienia, że korporacye nie uważały, aż do ostatnich czasów, zakładania i utrzymywania szkół i szerzenia oświaty za jeden z najważniejszych obowiązków. Nie można ich atoli obrzucać sromem z tego powodu, bo nie stanowiły wyjątku, ale czuły względem szkolnictwa tę samą obojętność, co i inne warstwy społeczne. Zakłady szkolne, jakie gildye ufundowały, jak np. szkoła ś-go Pawła, i szkoły bławatników, sukienników, korzenników, etc., nie miały żadnego technicznego charakteru, ale były poprostu szkołami średniemi, podchodzącemi pod typ *grammar schools*.

Zwrot ku lepszemu nastąpił dopiéro po ogłoszeniu raportu królewskiéj komisyi w 1884 r., w którym położono nacisk na to, że korporacye mają moralny obowiązek obracania dochodu ze znacznych powierzonych sobie funduszów na użytek publiczny na biblioteki, muzea, szpitale, łaźnie, parki, mieszkania dla ludności robotniczéj, a przedewszystkiém na szkoły, i to na szkoły techniczne, któreby kształciły zawodowo młodzież, związaną z tym lub owym cechem, Istotnie zaczynają one ruszać się w tym kierunku, przeznaczać stypendya dla studentów kształcących się w rozmaitych kolegiach Londynu, i rozciągają swą opiekę oraz współudział finansowy na szkoły techniczne na prowincyi, jak np. w Leicester, Nottingham. Manchester etc. Uwieńczeniem ich działalności było jednak ufundowanie londyńskiego instytutu City i Gildyi.

Projekt takiego zakładu o wiele dawniéj kołatał po umysłach tych, którzy zdawali sobie sprawę z naglącéj potrzeby oświaty technicznéj, tak upośledzonéj w Anglii. W r. 1878 komitet, utworzony przez korporacye dla obmyślenia środków ułatwiających techniczne wykształcenie rzemieślników i przemyslowców, w którym brali udział pomiędzy wielu innymi ludzie takiéj rozgłośnéj sławy, jak lord Armstrong, pułkownik sir John Donnelly, sir Douglas Galton, profesor Huxley i t. d., wykazał w swym raporcie naglącą potrzebę otwarcia zakładu, któryby ześrodkował wykształcenie techniczne na wzór istniejących na stałym lądzie. Następstwem tego raportu

była decyzya ufundowania instytutu przez gildye londyńskiéj City o charakterze uniwersyteckim, z wykładami teorytycznemi i praktycznemi ćwiczeniami różnych gałęzi wiedzy, zastosowanéj do rzemiosł i przemysłu.

Nie zwlekano z wykonaniem, gdy raz zasada została przyjętą. Korporacye przeznaczyły naprzód 50, a niebawem 100,000 f. szt. na budowę gmachu. Wznosi się on w południowym Kensingtonie, prawie naprzeciwko muzeum. Jest to budowla okazała i przestronna, a pomimo tego głównym jéj niedostatkiem jest brak miejsca. Wzniesiono ją dla pomieszczenia 200 uczniów, a liczba ta szybko przewyższoną została. Instytut posiada sale wykładowe, amfiteatry, laboratorya, pracownie, warsztaty i jest jedynym gmachem, który, zbudowany *ad hoc*, odpowiada wewnętrzném swém urządzeniem niemieckim politechnikom. Ale gdy się porówna przestrzeń, jaką londyński instytut Gildyi zajmuje—3,344 metrów kw.—z 82,460 metr. kw. berlińskiéj, z 21,900 akwizgrańskiéj, z 16,150 m. darmstadzkiéj politechniki, to widać natychmiast, że tu o równości mowy być nie może.

Taka, jaka jest, szkoła ta oddaje niepomierne usługi. Kursa wykładowe, rozłożone na lat trzy, obejmują inżynieryę cywilną, mechaniczną i elektryczną, chemię, fizykę etc. Katedry obsadzone są przez znakomitości naukowe, których cała działalność należy wyłącznie do instytutu. Najlepszym dowodem wysokiéj reputacyi, jaką sobie pozyskał, jest to, że królewska komisya, ustanowiona do przygotowania planu uniwersytetu wykładowego w Londynie, zaproponowała, ażeby ten instytut wszedł w jego skład, jako kolegium nauk. Pierwszy całkowity kurs rozpoczął się w styczniu 1885 r., a skończył w lipcu 1887 r. W pierwszym roku tylko 6 studentów zapisanych było na dzienne lekcye, a 227 na wykłady wieczorne; przy końcu pierwszego okresu cyfry te wynosiły już 76 i 634; a w roku 1894/5 do 208 i 526. Ale natychmiast przekona się czytelnik, że to dopiéro drobna i nieznaczna część całkowitéj organizacyi, gdyż odnosi się jedynie do kolegium centralnego technicznego, a instytut posiada dwa inne: kolegium techniczne w dzielnicy Finsbury i szkołę sztuki technicznéj w dzielnicy Kennington.

Powstały one prawie jednocześnie z instytutem centralnym. Kolegium techniczne w Finsbury już w 1883 r. miało swój gmach obecny. Do dawniejszych wieczornych wykładów dodane tylko zostały klasy dzienne, obejmujące inżynieryę elektryczną, mechanikę, chemię; kursa trwają od dwóch do trzech lat. Jest to zakład średni,

przeznaczony do uzupełnienia wykształcenia młodych ludzi, wstępujących wcześnie do zawodów praktycznych, i przygotowuje kandydatów do centralnego kolegium technicznego. Klasy i wykłady wieczorne są przeznaczone dla czeladników i młodych rzemieślników. Liczba uczniów w kolegium Finsbury wynosiła w 1894/5 roku na dziennych wykładach 210, a na wieczornych 926. Wielu słuchaczów przyjmowanymi być nie mogą dla braku miejsca. Z opłaty pobiéranéj od uczniów w kolegium centralném otrzymuje instytut 5,000 f. szt., a od kolegium w Finsbury 3,000 f. szt.

Szkoła sztuki technicznéj w Kennington, mająca na celu uzupełnienie artystycznego wykształcenia młodzieży poświęcającéj się snycerstwu, rytownictwu, dekoracyi mieszkań, ilustracyi książek i dzienników, ceramice etc. ma pracownie dla jakich 150 uczniów. Szkoła ta znajdująca się pod kierunkiem pierwszorzędnych specyalistów, oddaje nieocenione usługi wielu gałęziom twórczości artystycznéj, a coroczne wystawy prac uczniów pokazują takie postępy, że uczniowie przed skończeniem jeszcze kursów znajdują z łatwością miejsca o wysokim zarobku.

Ważną gałęzią instytutu są egzamina technologiczne. Dzięki takowym instytut ten stał się w krótkim przeciągu czasu centralną organizacyą krajową dla wykształcenia technicznego. Zakréśliwszy programat wykładów w jakich sześćdziesięciu specyalnych przedmiotach, instytut rozesłał je do wszystkich rad hrabstw, municypalności i szkół technicznych, polecając go ich uwadze, wzywając do utworzenia klas i kursów w myśl tego programatu, i oświadczył gotowość delegowania egzaminatorów przy końcu roku szkolnego, którzy z jego ramienia wydawać będą dyplomy elementarne uczniów. Ci z nich, którzy pragną się ubiegać o wyższy, przystępują do egzaminu w samym instytucie londyńskim, tak jak to czynią kandydaci na na profesorów. Nieocenione przysługi oddało toześrodkowanie dyrekcyi oświaty technicznéj, wprowadzając do niéj systemat i jednolitość i stwarzając wielką liczbę ognisk naukowych po całéj przestrzeni kraju. W r. 1895 było ich już 353. A nietylko instytut egzaminował ustnie i przeglądał wypracowania piśmienne kandydatów do elementarnego dyplomu w trzech zjednoczonych królestwach, ale działalność jego obejmuje także dalekie kolonie, jak Indye, Australia, Kanada i t. d. Liczba wykładów udzielanych podług instrukcyi instytutu gildyi londyńskich wynosiła w owych 353 ogniskach egzaminacyjnych 739, mających 24.220 słuchaczy, którzy przedłużyli do egzaminu 10,293 wypracowań. Coraz częściéj także instytut otrzy-

muje wezwanie od władz prowincyonalnych, ażeby nadesłał im delegatów do otwarcia wykładów w téj lub owéj gałęzi przemysłowéj albo inspektorów, którzyby zbadali dokładnie miejscowe zakłady i wskazali czego im brakuje.

Jak wielkie zaufanie wzbudził instytut u rozmaitych gałęzi produkcyi, pokaże najlepiéj wniosek, jaki do niego uczyniła w 1888 r. korporacya rymarzy i stowarzyszenie szewców o otworzenie specyalnéj szkoły szewctwa. W 1889 r. instytut utworzył taką szkołę w dzielnicy Bethnal Green. Z początku były wielkie trudności w znalezieniu uzdolnionych profesorów-majstrów, ale widocznie zakład ten odpowiada potrzebom i uznany jest za użyteczny, skoro w ostatnim roku miał 230 uczniów na zimowym, a 264 na letnim semestrze. Dawniejsze szkoły techniczne, założone przez niektóre korporacye, jak np. sukienników, złotników i t. d., zostały także korzystnie przekształcone przez wprowadzenie wykładowego programatu tego instytutu centralnego.

Koszta tego zakładu są mniejsze, aniżeli przypuścićby można z góry: 21 korporacyi i gildyi, które go podtrzymują, poświęcają na ten cel od 25,000 do 30,000 f. szt. rocznie. Przez cały 18-to letni peryod istnienia swego instytut otrzymał od nich 480,000 f. szt., z których 150,000 f. szt. wydane zostały na budowle i urządzenie szkół. Następująca tablica pokazuje koszta utrzymania wszystkich działów instytutu za rok szkolny 1895-ty.

	Koszta f. szt.	Dochody poboczne, t. j. pobiérane nie od korp. i gildyi funt. szt.	Czysty wydatek f. szt.
Centralne kolegium techniczne	11,685	4,993	6,690
Kolegium techniczne w Finsbury	9,551	3,225	6,326
Szkoła techniczna sztuki . . .	1,173	95	1,078
Egzamina wraz z 415 funt. szt. na nagrody	6,133	1,600	4,533
Szkoła rymarsko-szewcka. . .	1,037	66	971
Stypendya	1,026	428	598
Administracya	1.087	70	1,917
Zasiłki pomocnicze	625	—	625
Razem f. szt. .	32,315	10,477	21,838

Mały stosunkowo dochód, jaki instytut otrzymuje po za sumą udzielaną przez korporacye i gildye—a jest ona zupełnie dowolną z ich strony i może być wycofana w każdéj chwili—tłómaczy się ta-

nią opłatą studentów. Za kurs całoroczny płacą oni tylko 25 f. szt., co jest nieznaczącą sumą, gdy się weźmie na uwagę, że materyały, narzędzia i przyrządy w klasach, laboratoryach i pracowniach są im dostarczane bezpłatnie. W kolegium techniczném w Finsbury uczniowie płacili tylko 9 funt. szt. rocznie z początku, a 12 funt. szt. obecnie.

Nie można zamykać oczu na niedostatecznie silną podstawę finansową instytutu. Grozi ona nawet jego istnieniu, a niezawodnie tamuje jego normalny rozwój. Nie można wprawdzie przypuszczać, ażeby korporacye przestały całkowicie utrzymywać ten zakład, który stworzyły—nikt ich o tak ohydne zamiary nie posądza, ale jedynie moralny obowiązek na nich ciąży, mogą zajść okoliczności nieprzyjazne. Zdarzały się już one. I tak korporacya sukienników wycofała swą roczną subskrypcyę 2,000 f. szt. i przeniosła ją na szkołę utworzoną przy People Palace. Korporacya złotników przepołowiła swoją, przeznaczając drugą połowę na szkołę własną, utworzoną wyłącznie dla swego cechu. Nie można wywierać innéj, jak moralnéj, presyi na ofiarodawców, a wobec najrozmaitszych instytucyi, które powstają, wobec szkół, które przy swych fabrykach i zakładach otwierają wielcy przemysłowcy, jak np. lord Armstrong w Elswick, pp. Mather i Platt w Salford, jak kompania drogi żelaznéj północnéj w Crewe i t, d., łatwo zrozumiéć, że niezależność temperamentu angielskiego i osobisty interes mogą zwrócić prąd subskrypcyi w innych kierunkach i wyjałowić grunt, na którym się instytut wzniósł i rozwinął.

Obecnie instytut korporacyi i gildyi kwitnie dzięki niestrudzonéj a rozumnéj i wszechstronnéj działalności swego dyrektora, *sir* Filipa Magnus. Jest on jednym z ludzi, którzy najskuteczniéj się przyłożyli do tryumfu idei wykształcenia technicznego w Anglii. Jako pedagog i organizator, nie łatwo znajdzie on sobie równego. W rozmowach, jakie miał zaszczyt miéć z nim piszący, *sir* Filip Magnus nie wyrażał nigdy obaw o przyszłość instytutu, ale odgadnąć można, że uważać będzie dopiéro wtedy byt jego za zabezpieczony raz na zawsze, gdy wejdzie on, jako kolegium technologiczne, w skład przyszłego uniwersytetu londyńskiego, albo, w ostatnim razie, gdyby wydział nauk i sztuk wziął go pod dyrekcyę państwa.

Spostrzegł już zapewne czytelnik, że społeczność angielska, uznawszy naglącą potrzebę otwierania szkół technicznych, wzięła się do dzieła pośpiesznie, a jako naród praktyczny, nie traciła czasu na wypracowanie systematycznego, jednolitego planu, lecz otwiérała,

jak mogła i gdzie mogła, wykłady częściowe albo szkoły. Brakowało uzdolnionych profesorów, brakło laboratoryów, ale nie zatrzymywało to inicyatywy municypalnéj, korporacyjnéj lub prywatnéj. Niedostatki takiéj zaimprowizowanéj organizacyi wyszły jednak najaw niebawem. Powiedzieliśmy już uprzednio, jak wydział nauk i sztuk, w imieniu państwa, stara się z chaosu tego wybrnąć. To samo czyni instytut korporacyi i gildyi londyńskiéj *City* i w tém leży główna jego zasługa. Nie trzeba zapominać, że przy braku szkół średnich uczniowie wstępujący do szkół technicznych posiadają jedynie to wykształcenie, jakie im dają szkółki elementarne. Było tedy rzeczą pierwszéj użyteczności stworzyć szkołę przygotowawczą, techniczną, i zadania tego dopełnia wyśmienicie szkoła w Finsbury, a centralny instytut ma już następnie do czynienia z młodzieżą naukowo przygotowaną. Nie trzeba także zapominać, że zarówno szkoła techniczna w Finsbury, jak mnóstwo innych tego samego stopnia mają przedewszystkiém na widoku młodzież rzemieślniczą, czeladników i robotników zatrudnianych w rozmaitych zakładach. Stąd płynie, że kursa wieczorne, na które im uczęszczać łatwiéj, mają tam przeważne znaczenie. Inaczéj się dzieje w instytucie centralnym. I on także nie postawił sobie za cel kształcenia paniczów, wyrafinowanych synów klas zamożnych, ale, otwierając swe podwoje dla młodzieży przyzwyczajonéj i obytéj z pracą ręczną i przeznaczającéj się do różnych zawodów praktycznych, przez sam wpływ wyższéj oświaty wytwarza z niéj, jak to *sir* Filip Magnus z chlubą podnosi, prawdziwych gentlemanów.

IV.

Szkoły techniczne z prywatnych fundacyi.

Ażeby wyczerpać kwestyę wykształcenia technicznego w Wielkiéj Brytanii wypada jeszcze zapoznać czytelnika z kilku zakładami, które byt swój zawdzięczają inicyatywie indywidualnéj. W bogatéj i oświeconéj Anglii jest ich wiele a każdy z nich posiada odrębne cechy, jak to z góry przypuszczać było można. Są one tem ciekawsze, że właśnie w pośród nich znaleźć można dwa rysy, których brak uderzyć musi każdego spostrzegacza w wymienionych dotychczas instytucyach: naprzód systematyczną ciągłość w wykładach i prowadzenie uczniów przez całą drabinę naukową szczebel po

szczeblu, a następnie uwieńczenie gmachu przez najwyższe wykształcenie uniwersyteckie, z którém dotąd tylko pośrednio i ubocznie spotkać nam się przyszło. Niejedna z tych instytucyi, z których słusznie szczyci się Anglia, zasługiwałaby na specyalną monografię. Przy konieczności ograniczenia się w opisie, wybieramy trzy typowe miasta: Manchester, Glasgow i Birmingham.

Manchester, metropolia północnéj Anglii i bawełnianego przemysłu, siedlisko potężnéj wytwórczości fabrycznéj, miasto o blizko 400.000 mieszkańców, poświęcających się przeważnie zawodom, w których techniczne uzdolnienie jest niezbędném warunkiem powodzenia, posiada szkoły techniczne średnie, będące pod kierunkiem wydziału państwowego nauk i sztuk, i szkoły utrzymywane przez municypalność swoją. Nie byłoby jednak powodu mówić o organizacyi ich, tak jak jest obowiązkowém mówić o organizacyi szkolnéj w sąsiednim Birminghamie, gdyby Manchester nie posiadał najznakomitszéj w Anglii wyższéj szkoły technicznéj i nieledwie można powiedzieć jedynéj. Mówimy tu o kolegium Owena.

John Owen, bogaty przemysłowiec i kupiec manchesterski, bezżenny i prowadzący życie skromne, umierając w r. 1846, pozostawił testament, w którym, po uczynieniu różnych zapisów prywatnych i dobroczynnych przeznaczal caly swój majątek na ufundowanie instytucyi kształcącéj młodzież we wszystkich przedmiotach, wchodzących w zakres wykształcenia uniwersyteckiego z wyjątkiem teologii. Jedyne zastrzeżenie, jakie fuudator czynił, było, że instytucya miała być całkowicie i wyłącznie świecka, bez żadnych ograniczeń co do wyznania religijnego studentów i profesorów. Zastrzeżenie to wytlumaczyć sobie nie trudno, wiedząc, że uniwersytety angielskie znajdują się w ręku duchowieństwa i że teologiczny ich nastrój stawał na przeszkodzie rozwojowi wiedzy i do niedawnych jeszcze czasów robił je niedostępnemi dla tych, którzy nie należeli do kościoła państwowego. Wykluczając z góry wpływ kościelny z instytucyi, którą stwarzał, John Owen wskazał, że pragnął otworzyć na rozcież jéj podwoje dla nauk ścisłych i wiedzy doświadczalnéj, prowadzącéj do rezultatów praktycznych.

Fundusz, jaki kuratorowie upełnomocnieni do zarządzania tém kolegium mieli do rozporządzenia, wynosił bez mała 100.000 f. szt. Otwarte w 1851 r. w niewielkim domu, należącym do Ryszarda Cobdena, przyjaciela fundatora, znalazło odrazu takie powodzenie, że stała się widoczną potrzeba wybudowania gmachu specyalnego. Ponieważ Owen zabronił ażeby zostawiony przezeń kapitał pochłonięty był przez budowle, trzeba było znaleźć inny, dodatkowy. Nie

przedstawiło to trudności w mieście, gdzie wielkich fortun jest wiele, i w 1867 r. suma 211.152 f. szt. została zebraną jako fundusz dodatkowy; w 1871 r. parlament udzielił nadawczą *Chart* kolegium Owena, a w dwa lata późniéj stanął wspaniały gmach szkolny, wzniesiony podług planów słynnego budowniczego, członka akademii, Alfreda Waterhose w stylu neo-gotyckim. Został on rozszerzony, następnie, gdy włączono do kolegium Owena fakultet medyczny, a po wzniesieniu zakładów gimnastycznych, urządzeniu dziedzińców i galeryi dla gier i ćwiczeń fizycznych, nowych sal i laboratoryów dla kursów wieczornych, a nakoniec po przelaniu muzeum miejskiego, bibliotek, czytelni, wielkich sal publicznych, kolegium Owena, ukończone w 1888 r., stanowi nie tylko pokaźną, ale i imponującą całość. I gmach sam w sobie i całość zakładu sprawiają wrażenie poważne. Otworzono wprawdzie w ostatnich czasach i szkołę średnią dla niedorostków, ale w kolegium samém, na szerokich jego korytarzach, wspaniałych wschodach, przestronnych dziedzińcach widać młodzieńców w akademickich czworokątnych czapkach, i spotkać można także panny, bo kolegium techniczne dla kobiet, urządzone naprzód oddzielnie, przeniesiono w 1877 r. do budowli centralnéj. Gdy się miało sposobność, jak się to piszącemu zdarzyło, być obecnym na odczytach znakomitych profesorów, zajmujących katedry tego kolegium, albo przypatrzéć się doświadczeniom, prowadzonym we wzorowo urządzonych laboratoryach, to się nabiera przekonania, że instytucya ta pod względem naukowym odpowiada najwyższym wymaganiom.

Czytając obszerną monografię, jaką poświęcił temu kolegium p. Józef Thompson, i stwierdzając szybki i nadzwyczajny jego rozwój przekonać się można, że instytucya ta miała wątłe początki, że liczba 62 studentów, których liczyła w pierwszym roku swego istnienia spadła była w 1856/7 do 33 i że na seryo rozbierano myśl zwinięcia jéj w obec obojętności publicznéj. Ale to przeszło, poczucie potrzeby oświaty wyższéj rozwinęło się wśród społeczności angielskiéj i obecnie liczba studentów wpisanych na dzienne kursa przewyższa 1000, a drugie tyle uczęszcza na kursa wieczorne. Uczyniły władze w kolegium wszystko co było w ich mocy, ażeby rozbudzić interes do zakładu, rozdając stypendya wyznaczając nagrody i premia zawiązując stowarzyszenia studentów, stawiając kolegium w związku z uniwersytetem londyńskim, wydając dyplomy inżenierom cywilnym, chemikom, geologom. Szczodrobliwość mieszkańców Manchester przychodzi bezustanku w pomoc kolegium Owena, a chociaż

nowa, olbrzymia fundacya pokrewna mu duchem—instytut ufundowany przez barona Whitworth'a — skierowała część kapitałów w tamtą stronę, to można już uważać jego byt jako zabezpieczony raz na zawsze.

Specyalną i najdoskonalszą stroną kolegium są jego laboratorya, uorganizowane na wzór najlepszych niemieckich przez uczonego wszechświatowéj sławy, sir Henryka Roscoe, i dopełnione następnie przez fundacye Whitwortha i Beyera. Laboratorya chemiczne, składają się z dwóch wielkich sal, jednéj dla początkujących, drugiéj dla specyalistów, i z siedmiu mniejszych dla analizy organicznéj, analizy gazów i t. d. W suterenach znajdują się oprócz tego laboratorya chemiczne dla studentów medycyny, laboratorya metalurgiczne, farbierskie, foto- i spektrograficzne. Na pierwszém piętrze, naokół wielkich laboratoryów znajdują się prywatne laboratorya profesorów, którzy przez okna swe mogą ciągle śledzić prace studentów i kierować niemi. Urządzenie to wychwalane jest powszechnie. Równie wzorowo urządzone są laboratorya fizyczne, podzielone na rozmaite działy, połączone z oddzielnym budynkiem dla dynamów o 26 wielkich akumulatorach.

Kolegium Owena posiada następnie specyalne laboratorya dla inżynierów, ufundowane przez lady Whitworth i dające studentom możność mierzenia wytrzymałości materyałów używanych do budowy machin. Przyrządy parowe i hydrauliczne, piece, zbiory najdoskonalszych narzędzi i instrumentów czynią z tych pracowni instytucyę nieocenionéj użyteczności, która sama jedna wystarczyłaby do sławy tego zakładu. Nakoniec istnieją jeszcze laboratorya Beyera, ufundowane przez niego olbrzymim kapitałem 112.000 f. szt. Są one poświęcone badaniom biologicznym, dyssekcyom i obserwacyom mikroskopiczym i mają przyłączone do siebie zbiory zoologiczne i botaniczne, wzrastające z każdym rokiem. Zasadniczą myślą kierującą dyrekcyą kolegium Owena jest, że udzielana tam nauka nie ma być ani wyłącznie teoretyczna, ani wyłącznie praktyczna, ale ich ścisłém, organicznem zjednoczeniem. Każdy wykład teoretyczny jest albo popierany natychmiastowemi doświadczeniami i zastosowaniami, albo téż do wykładu z katedry dodane są w wieczornych godzinach prace w laboratoryach, dokonywane przez samych studentów, pod kierunkiem profesora, albo jego asystenta.

Włączenie do kolegium Owena szkoły medycznéj, utworzonéj już w 1825 r. i uposażonéj następnie zamożnie przez innych dobroczyńców, otwarcie biblioteki naukowéj, posiadającéj już obecnie blizko 70.000 tomów, i gabinetu instrumentów a nakoniec przeniesie-

nie do jego gmachu manchesterskiego muzeum nauk przyrodniczych z jego bogatemi zoologicznemi, botanicznemi i geologicznemi zbiorami dopełniło organicznéj całości, nie zostawiającéj nic do życzenia. Łatwo zrozumiéć, że mieszkańcy Manchesteru, chlubiąc się z takiej instytucyi, chcieli uwieńczyć dzieło, nadając swemu kolegium nazwę i godność uniwersytetu.

Jeszcze w XVII wieku Manchester, uważając się za pierwszy gród północnéj Anglii, nosił się z myślą otworzenia w nim uniwersytetu, ale na seryo usiłowania w tym kierunku zaczęły się dopiero za życia Owena, gdy się utworzył komitet wybitnych osobistości miejscowych do popierania tego projektu. Ale gdy się kolegium ustaliło i wyrosło, gdy cały szereg szczodrobliwych fundacyi pozbawił je troski materyalnéj, agitacya w tym przedmiocie wzrosła pod dyrekcyą kilku profesorów, zdaniem których ich instytucya posiadała wszystkie pierwszorzędne warunki uniwersytetu i, jako taki, usankcyonowana być winna. W 1877 r. delegaci kolegium Owena przełożyli lordowi prezydującemu w radzie ministrów — był nim wówczas książe Richmond i Gordon—petycyę o nadanie mu *Charty* uniwersytetu manchesterskiego z prawem udzielania naukowych stopni na fakultetach sztuk, nauk ścisłych, medycyny i prawa. Było to widocznie żądanie przesadzone, bo niektórych z tych fakultetów, jak np. prawnego, kolegium Owena wówczas nie posiadało. Niektóre kolegia, istniejące w sąsiednich hrabstwach, a przedewszystkiém Leeds, założyły opozycyę przeciwko utworzeniu uniwersytetu manchesterskiego. Opozycya ta była dość silną, ażeby się z nią rachować przyszło. Kolegium Owena uczyniło ustępstwo i zamiast przekształcić się na uniwersytet zgodziło się zostać tylko częściowym jego organem. Postanowiono utworzyć już nie wyłącznie manchesterski uniwersytet, ale zbiorowy, federacyjny uniwersytet hrabstw północnych, pod nazwą Wiktoryjskiego. Myśl ta znalazła natych miast ogólne poparcie, co dziwić nie potrzebuje, bo jak wiadomo, każdy uniwersytet w Anglii jest zbiorem kilku, albo kilkunastu kolegiów, z których każde posiada swój majątek, swoje statuta, swą organizacyę, tworząc bardzo luźny jednolity organizm. Uniwersytet Wiktoryjski miał się różnić od istniejących tém, że zamiast posiadać kolegia w różnych dzielnicach jednego miasta miał je posiadać w sąsiadujących ze sobą hrabstwach. Tak przekształcony projekt uzyskał sankcyę rządu i w d. 20 Marca 1880 r. uniwersytet Wiktoryjski otrzymał swą nadawczą chartę, i w skład jego weszły trzy kolegia, kolegium Owena w Manchesterze, kolegium uniwersyteckie w Liverpoolu i kolegium Yorkshire w Leeds. Jeżeli nie

może ten nowo utworzony uniwersytet rościć pretensyi do sławy, jakie posiadają Oxford i Cambridge — od których wszelako stoi znacznie wyżéj pod względem nauk ścisłych i działu technologicznego — to jest on szczęśliwiéj uorganizowany od Londyńskiego, który nie jest wykładowym, a ograniczać się musi do egzaminowania kandydatów i udzielania im dyplomów.

Przechodząc do technicznego kolegium w Glasgowie, na innym znajdziemy się gruncie. Nie wiem, czy da się stwierdzić statystycznie ową pretensyę Szkotów, że pomiędzy każdemi stu umysłowemi znakomitościami Wielkiéj Brytanii jest dziewięćdziesiąt ich narodowości, ale jest niezaprzeczoną prawdą, że Szkocya chlubić się może wysokim stopniem i szerokiém rozpowszechnieniem oświaty. Oprócz tego jest rzeczą uwagi godną, że umysł szkocki, dający się owładnąć potędze imaginacyi w poezyi i romansie, lubuje się i w subtelnościach metafizyki i w naukach ścisłych. Uniwertety szkockie są rozsadnikami wiedzy we wszystkich jéj kierunkach. Ponieważ zaś społeczność ta posiada nastrój ducha energiczny, a jest wysoce praktyczną, nie dziwota iż usiłuje wyciągnąć z nauki teoretycznéj wszystkie możliwe korzyści. Jeżeli kraj ubogi i przez naturę upośledzony, jest obecnie tak przedziwnie zagospodarowany i w posiadaniu przeważném a nieledwie wyłączném kilku doniosłych gałęzi wytwórczych, to wytłómaczyć sobie to można doskonalszém i wcześniejszém rozpowszechnieniem wykształcenia technicznego, aniżeli to miało miejsce w innych częściach Wielkiéj Brytani.

Pierwsze kolegium techniczne, jakie w niéj utworzoném zostało, liczy nie mniéj, jak sto lat istnienia. Było ono ufundowane w Glasgowie w r. 1796 przez profesora Johna Anderson'a i istnieje bez przerwy pod rozmaitemi nazwami: Instytutu Andersona, uniwersytetu Andersona, kollegium Andersona, mechanicznego instytutu i kolegium nauk i sztuk, Technicznego kolegium wschodniéj Szkocyi. Pod tym szeregiem nazw z których każda oznaczała inną fazę rozwoju instytucyi pierwotnéj, jest to ciągle jeszcze ta sama „Andersoniana", która spłodziła całe pokolenia wykształconych techników i posłużyła za wzór dla większéj części szkół technicznych w trzech zjednoczonych królestwach.

Słowo osobistego wspomnienia należy się Andersonowi, który wyprzedził tak znacznie ruch obecnie tak powszechny. Urodzony w 1726 r., był on w uniwersytecie glasgowskim profesorem filozofii naturalnéj, czyli innemi słowy fizyki. Zamiast wykładać ją teoretycznie tylko, podług ówczesnéj metody, niedość że rozszerzył jéj zakres do nauk z fizyką zbliżonych, ale, co najgłówniejsza, dodał

do swych odczytów ćwiczenia praktyczne i doświadczenia. Ta zuchwała inicyatywa wywołała żywą opozycyę ze strony konserwatywnego ciała uniwersyteckiego. Ta jednak nie tylko go nie zachwiała w jego planach, ale przeciwnie utwierdziła. Do swych wieczornych prac w laboratorym, na które studenci nie potrzebowali przychodzić w szkarłatnych togach, przypuszczał rzemieślników, robotników, dyletantów naukowych, a zbliżywszy się w ten sposób do ręcznych pracowników, zdał sobie sprawę, jak wielce nauka wpłynąć może na udoskonalenie wytwórczości. Przewodnią myślą jego życia stało się ufundowanie instytucyi, w któréjby całość wiedzy i jéj praktyczne zastosowania nauczane były. Nakréślił też cały plan „Andersońskiego uniwersytetu" w swym testamencie, a gdy umarł w 1796 r., obszerny ten plan musiał, niestety! być bardzo zredukowany, bo cały majątek fundatora wynosił zaledwie 1000 f. szt. Wobec olbrzymich fundacyi na setki tysięcy funtów, które za naszych dni milionerzy miast przemysłowych czynią dla wykształcenia technicznego, drobna ta sumka wydawać się może śmieszną. Byłoby atoli krzyczącą niesprawiedliwością i nieledwie bluźnierstwem takim mierzyć ją łokciem. Działo się to w prowincyonalném miasteczku o 70,000 mieszkańców, przed stu laty, gdy pieniądz inną niż teraz miał wartość; przedewszystkiém zaś był to zarodek przyszłego, potężnego organizmu.

Wykonawcy testamentu Andersona zrozumieli, że nie było sposobu kusić się o założenie uniwersytetu i ograniczyli się do instytutu. Umieszczony naprzód w jednéj sali, przeniesiony został do swego własnego domu, dzięki napływowi słuchaczy na kursa fizyki chemii, mechaniki znakomitych profesorów Garnetta, Birkbecka i Ure'a, którzy jeden po długim świetnemi swymi wykładami ściągali uczniów. Zauważyć trzeba, że od samego początku kobiety przypuszczone były na wykłady. W 1828 r. następuje zmiana w instytucie Andersona: nabywszy inną, obszerniejszą posiadłość, przybiera nazwę uniwersytetu i zachowuje ją do 1877 r. Ten drugi 40-o letni peryod istnienia zakładu Andersona zaznaczony był licznemi donacyami, które pozwoliły powiększyć zbiory i bibliotekę, wybudować obszerne i wygodne laboratorya fizyczne i chemiczne, a przedewszystkiém otworzyć nowe katedry, gdyż uniwersytet o jednéj był w całém tego słowa znaczeniu unikatem. W każdym razie stał on w 1877 dość silnie pod względem materyalnym, aby udać się do parlamentu z proźbą o nadawczą *chartę*, którą też otrzymał pod urzędową nazwą Andersońskiego kolegium w Glasgowie. No-

sił ją atoli tylko lat 10, i w ciągu tego okresu obok fizyki i chemii, dotąd tu przeważnie uprawianéj mechanika nabiera coraz większego znaczenia, co się tłómaczy tém, że Szkocya stawała się coraz bardziéj warsztatem, w którym budowały się okręty nie tylko dla Wielkiéj Brytanii, ale dla marynarek całego świata. Znacznie pierwéj powstał już był, niezależnie od kolegium Andersona, ale za przykładem jednego z jego profesorów, Birkbecka, tego samego który założył w Londynie instytut mechaniki, takąż noszący nazwę instytut w Glasgowie, który miał ogromne powodzenie. Całe warsztaty robotników; zatrudnianych w ciągu dnia w swych zawodowych pracach, przychodziły *in gremio* na wieczorne odczyty do instytutu mechaników; byli słuchacze, którzy codzień, z wiosek okolicznych, kilka mil pieszo na takowe przychodzili. Laboratorya dla mechaników, hojnie uposażone przez bogatych przemysłowców, przyczyniały się wielce do rozrostu tego zakładu. Naturalném się stało, że kolegium Andersońskie, które na tém współzawodnictwie cierpiało, uznało za właściwe zlać się z taką kwitnącą instytucyą, która świeżo przybrała była nazwę kolegium nauk i sztuk.

Istotnie zjednoczenie to nastąpiło w 1887 r. Aktem parlamentu cztery instytucye wykształcenia technicznego istniejące w Glasgowie, t. j. kolegium Andersońskie, kolegium nauk i sztuk, instytut Allan Glen'a i instytut Atkinsona, zostały połączone w jedno wielkie ciało, pod nazwą technicznego kolegium Glasgowa i Zachodniéj Szkocyi. W posiadaniu znacznego funduszu, mając doskonałych profesorów i obszerne, uspecyalizowane i nic do życzenia nie zostawiające laboratorya, pracownie, warsztaty, muzea wzorów, próbek i okazów, kolegium to bez najmniejszego trudu stało się przedziwnym typem zakładu wykształcenia technicznego. Pierwszym wybranym prezydentem tego kolegium był lord Kelvin: to nazwisko najznakomitszego uczonego współczesnéj Anglii samo jedno świadczyć może o naukowém znaczeniu téj instytucyi. Zwierzchnicza rada kolegium zrozumiała od samego początku, że należy zestawić każdéj z przedtém samodzielnych instytucyi wszelką możliwą niezawisłość i zostawiła zespolenie ich szczelne czasowi. Dokonało się to prędzéj, niż się spodziewać było można, i niéma śladu nieporozumień i zawiści. Profesorom zostawiona jest także całkowita swoboda wyboru i traktowania téj lub owéj części danego przedmiotu. Wyrobiła się w ten sposób szybko wielka specyalizacya naukowa. Coraz nowe katedry są fundowane, jak w ostatnich czasach—motorów parowych i elektrycznych, i coraz nowe wydziały otwierane, jak np. tkactwa i przędzalnictwa. Departament mineralogiczno-geologiczny

posiada doskonałe laboratorya metalurgiczne z piecami do topienia kruszców podług najdoskonalszych modeli. Trudno opisać życie, jakie panuje w tém kolegium! Na wykłady elektryki i inżynieryi elektrycznéj tłoczyło się przeszło 500 studentów: należało przepołowić kurs i mianować dodatkowego profesora. Grono profesorskie składało się w 1894 r., ostatnim z którego posiadamy sprawozdanie, z 10 zwyczajnych profesorów, 19 docentów, 5 dodatkowych profesorów, 12 nauczycieli w wydziale sztuki przemysłowéj i 17 asystentów przy laboratoryach. Wykłady odbywają się w dzień i wieczorem, te ostatnie pod nadzorem profesorów zwyczajnych. W roku szkolnym 1893 było 658 studentów na dziennych kursach, a 3,907 na wieczornych. W tymże roku 2,545 stanęło do egzaminu w wydziale nauk i sztuk, pod którego zwierzchnictwem techniczne kolegium glasgowskie się znajduje. Dyplomy, które ono samo wydaje i które są uznane przez uniwersytet glasgowski, obejmują inżynieryę cywilną i mechaniczną, budownictwo okrętów, elektrykę, architekturę, chemię inżynierską, metalurgię, górnictwo, rolnictwo, matematykę, fizykę i chemię,

Całość szczegółów, odnoszących się do technicznego kolegium w Glasgowie pozwoli czytelnikowi zdać sobie sprawę o jego znaczeniu, wpłynie i korzyściach praktycznych, jakie przynosi społeczeństwu. A nie należy zapominać, że ani municypalność, ani budżet państwowy nie przyłożyły się do jego założenia i utrzymania złamanym szelągiem i że stoi ono jedynie i wyłącznie prywatnemi fundacyami.

Na zakończenie tego obrazu technicznéj oświaty angielskiéj zostawiliśmy Birmingham. Należało go wyosobnić, gdyż jest on miastem wyjątkowém, jedyném na całéj przestrzeni Wielkiéj Brytanii. Posiada całkowity, kompletny organizm szkolny, zaczynający się od najniższego szczebla, a dochodzący do uniwersyteckiego i wielkie fundacye milionerów splątane są tam tak szczelnie z działalnością światłéj, postępowéj i energicznéj municypalności, że nie można traktować ich odrębnie.

Nawet szkółki elementarne Birminghamu, chociaż uorganizowane podług programatu państwowego, mają tutaj piętno odrębne. Za przykład można podać szkołę na Bridge Street. Ufundowaną ona została przez bogatego przemysłowca, p. Dickson, dla synów robotników, ale od kilku lat utrzymywana jest kosztem miasta. Do zwykłego programatu elementarnego dodany jest tam dział techniczny, obejmujący mechanikę teoretyczną i stosowaną, chemię,

elektrykę, rysunek, geometryę stosowaną i zasady budowy machin. Nie trzeba zapominać, że z wykładów téj elementarnéj szkółki korzysta kilkuset uczniów, z których najstarsi nie mają jeszcze 15 lat skończonych. Szkółka ta posiada dwie lokomotywy parowe, jednę całkowitą, a drugą rozebraną na składowe swe części. Chłopcy studyują je i robią rysunki zdumiewającéj precyzyi, a następnie podług tych rysunków wykonywają w pracowni modele z drzewa.

Z tego rodzaju szkółek elementarnych jest przejście naturalne do szkół średnich, tak zwanych *Grammar School*. Podczas, gdy reszta kraju dotkliwie brak takowych uczuwa, Birmingham znajduje się pod tym względem w uprzywilejowaném położeniu. Król Edward VI-ty zapisał w 1552 roku dochód z ziemskiéj posiadłości na szkołę średnią w Birminghamie. Wynosił on wtedy 23 f. szt. rocznie; przy końcu zeszłego stulecia wynosił on już 1,200 f. szt., a przy końcu naszego wynosi nie mniéj, jak 50,000 f. szt. Nie dziw, że rozporządzając takiemi funduszami i wydarłszy je z rąk kościoła anglikańskiego, który usiłował obrócić je na swój wyłączny użytek, miasto pobudowało dla szkół średnich okazałe gmachy i pałace, założyło cały szereg wzorowych zakładów średnich dla chłopców i dziewcząt, i u ich szczytu szkołę wyższą, *High School*, w ostatniéj klasie któréj nauki ścisłe wykładane są gruntownie i wszechstronnie.

I tutaj jednak nie zatrzymała się gorliwość orędowników oświaty. Obywatele Birminghamu z własnych funduszy utworzyli nie jeden, ale dwa zakłady, gdzie wykształcenie techniczne ma charakter uniwersytecki. Jest to „*Birmingham and Midland Institute*” i kolegium Mason'a.

Instytut Birminghamu i hrabstw środkowych otwarty został w 1855 przez ks. Alberta. Sam gmach kosztował blisko 100,000 f. szt. Jakich 2,000 obywateli dostarczyło nań funduszów i nie przestają ich dostarczać. Instytut jest skomplikowaną i wielokierunkową organizacyą, ale przeważnie jest to uniwersytet popularny. Mieści się tam klub, zasiadają różne uczone stowarzyszenia, odbywają się odczyty, koncerta, posiada bibliotekę i czytelnię doskonale zaopatrzoną. Poniedziałkowe odczyty wieczorne w olbrzymim amfiteatrze, mogącym pomieścić 1,000 słuchaczy, cieszą się szeroką popularnością, i takie znakomitości narodowe, jak Karol Dickens, jak Kingsley, dziekan Stanley, historyk Froude, sir John Lubbock, profesorowie Huxley i Tyndall—odzywali się tam nieraz do chłonącego ich słowa audytoryum.

Ale jest to dopiéro jedna strona instytutu: drugą jest szkoła. Wykłady obejmują tam wszystkie możliwe przedmioty, od rana do

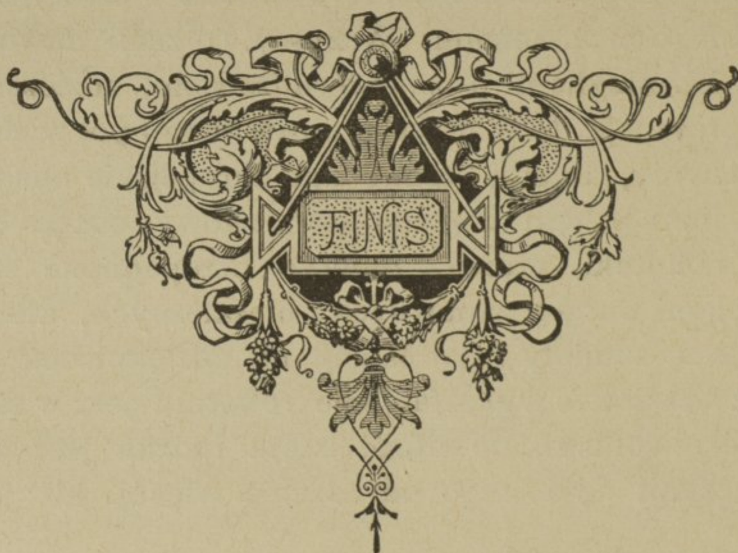
wieczora brzmią tam sale tłumem uczniów, ale przedewszystkiém wieczorem panuje ruch w tym naukowym ulu, bo instytut pragnie być uniwersytetem popularnym, uniwersytetem dla robotników, którzy też setkami przybywają tu po całodzienéj pracy w warsztatach i fabrykach. Przeszło 5,000 studentów uczęszcza na lekcye i pracuje w laboratoryach instytutu, i wszystkie stany, wieki i płcie są tu reprezentowane. Wydając przeszło 10,000 f. szt. rocznie na szerzenie oświaty i nie zaniedbując ani literatury, ani języków obcych, zwraca szczególną pieczę na fizykę, chemię, geologię, mechanikę, elektrykę etc. Ze względu na to, że metalurgia stanowi główną gałęź wytwórczości miejscowéj, instytut otworzył oddzielny wydział metalurgiczny o dwóch klasach, teoretycznéj i praktycznéj, zaopatrzony w laboratorya i warsztaty doświadczalne. Przeszło 500 uczniów uczęszcza na kursa dniem i wieczorami, i synowie milionowych przemysłowców mieszają się tam z prostymi wyrobnikami. W arystokratycznéj Anglii, jest to rzecz nowa i brzask nowego porządku rzeczy.

Co najbardziéj zadziwia w instytucie, to prostota administracyi, brak wszelkiego formalizmu, swoboda i elastyczność tego skomplikowanego mechanizmu. Wszyscy, co znali dawniejszy ohydny, ponury Birmingham o zmateryalizowanéj, zdziczałéj ludności robotniczéj, przyznają, że w przeciągu ostatniego pół wieku dokonał się w nim przewrót, jakiemu, żadne inne europejskie miasto nie miało równego. Panuje tam obecnie gorączkowy popęd do oświaty, a czytelnie, biblioteki, muzea, galerye przepełnione są nietylko przedstawicielami warstw zamożnych i niezależnych, ale warstw ludowych, które zrozumiały tutaj lepiéj, niż gdziekolwiek indziej, że jedynie przez umysłowe wykształcenie robotnik jest w stanie dokonać całkowitéj ewolucyi, do któréj istota ludzka jest uzdolniona. Instytut przyczynił się do tego odrodzenia więcéj, niż jakikolwiek inny zakład.

Jak powiedzianém już było, Birmingham posiada jeszcze drugi zakład naukowy uniwersyteckiego nastroju, specyalnie poświęcony oświacie technicznéj: jest to kolegium Mason'a. Prosty robotnik, Jozua Mason, który wytrwałą pracą i siłą inteligencyi dorobił się magnackiéj fortuny, gdy został dygnitarzem i baronetem, nie zapomniał o trudnościach, jakie ludność zarobkująca znajduje w wybiciu się na wierzchołkową jaśnię przy braku odpowiednich szkół zawodowych, ufundował kolegium noszące jego imię. Poświęcił na ten cel okazałą summę 200,000 f. szt. Stanął wspaniały gmach go-

tycki, będący ozdobą miasta, które tyle pięknych budowli w ostatnich czasasach wzniosło. Otwartém zostało kolegium w 1880 i ma do 500 studentów na dziennych i blisko tyluż na wieczornych wykładach; 12-tu profesorów, czterech asystentów i tyluż preparatorów stanowi jego sztab nauczycielski używający wszechświatowéj reputacyi. I tutaj metalurgia odgrywa ważną rolę, ale chemia w różnych zastosowaniach do przemysłu walczy z nią o lepsze. Kolegium Masona przygotowuje kandydatów do dyplomów uniwersytetu londyńskiego, rozpisuje stypendya hojne i szczyci się, że pomiędzy swymi laureatami nie przestaje miéć synów warstwy robotniczéj, co ze szkółki elementarnéj, idąc do coraz wyższych zakładów technicznych, w jego audytoryach i pracowniach dokończyli tego zawodowego wykształcenia, od którego przyszłość ekonomiczna Wielkiéj Brytanii zawisła.

M. E. Trepka.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Władysław Domański. „Wolność, Równość, Braterstwo“. Studyum krytyczne. Przekład z francuzkiego. Warszawa, Wende, 1899, in 8-o, str. 48.

Wyszło z druku studyum p. Władysława Domańskiego o znaczeniu haseł: wolność, równość, braterstwo. Jest to poważna praca naukowo-publicystyczna, w której autor stara się nas przekonać, że każde z wymienionych głośnych słów, poruszających w nowych czasach tłumy, jest w tém znaczeniu, w jakiém je używają apostołowie ludu, szumnym wyrazem, obliczonym na efekt i sprzyjającym głównie karyerze aferzystów, wyzyskujących dla swoich celów modną ideę i nastrój chwili.

Najpierw autor mówi o równości bezwzględnéj i, jako taką, zalicza ją do pojęć z dziedziny czystéj abstrakcyi. Przyrodzie żyjącéj właściwą jest według niego nierówność; na niéj opiéra się wielkie prawo Darwina o doskonaleniu się gatunków, które w stosunku do życia społeczeństw nosi nazwę t e o r y i a r y s t o k r a c y i n a t u r a l n é j. Motorami postępu są jednostki doskonalsze. Nierówności—mówi daléj p. Domański—wymaga nawet sprawiedliwość, która nie jest równością wszystkich, ale jednakową wolnością dla wszystkich. Równość wobec prawa i ciężarów społecznych jest tylko uszczupleniem w równéj mierze wolności.

Nie nowe są to myśli, co zresztą zastrzega i sam autor. Ważném jest jednak wypowiedzenie ich dzisiaj, kiedy już nie drobne szkoły — na które przed kilkudziesięciu laty nawet przenikliwi publicyści nie

zwracali uwagi, ale całe masy są pod wpływem doktryny socyalistycznéj. Jest rzeczą ważną dla reformatorów wiedzieć, w imię czego wojują. Dążność do bezwzględnéj równości jest zarazem dążnością do niwelacyi, wiodącéj do mierności. I jeśli można przyjąć zasadę równości za racyonalne hasło dla działalności społecznéj, to tylko takiéj równości, jaką autor przyjmuje za Chevalier'em—równości „ustosunkowania względnie do moralności, talentów, zasług i usług".

Druga część mówi o braterstwie. Nie znajduje go autor w rodzinie, którą uważa za instytucyę utylitarną. Tém więcéj niéma go w społeczeństwie, gdzie osobisty interes jest dźwignią bytu i sprężyną rozwoju. Zasada braterstwa, stosowana w życiu, stworzyłaby, według p. Domańskiego, wyzysk dobrych przez złych, zamiast istniejącego dziś wyzysku słabych przez silnych. Za jedyne trwałe uczucie, nieodłączne od życia społecznego, autor uważa stosunek, wypływający z wspólności interesów.

To się nazywa traktować rzeczy bez obłudy. Człowiek w istocie więcéj skłonny jest do popędów egoistycznych, niż do poświęceń. Słusznėm tedy jest budowanie przyszłości na zasadach własnego interesu jednostek. Nie wynika wszakże stąd, że przyszłe społeczeństwa mają być pozbawione uczuć altruistycznych. Ideał braterstwa, jak każdy ideał etyczny, biorąc rzeczy ściśle — pozostanie zawsze utopią. Niechaj więc prawodawstwo, normując działalność ludzką, ma na względzie ideę własnego interesu jednostek. Nie przeszkodzi to idei braterstwa rozwijać się i oddalać ludzkość od uciekania się do przepisów prawa.

Za pierwszy warunek szczęścia ludzkości p. Domański uważa wolność. Nad państwem stoi władza. Zadaniem jéj jest ochranianie sprawiedliwości i oddawanie pewnych usług, leżących w interesie ogółu. Tutaj wolność jednostki wchodzi w kolizyę z władzą. W imię idei państwowéj i dobra społecznego władza zabiéra na swoją korzyść część wolności jednostek. Tutaj rodzi się pytanie, kto winien rządzić? Autor odpowiada—nie większość, lecz jakość—pierwsi w narodzie. Dziś, kiedy socyalizm zagraża zasadzie wolności, nauka jedna może z nim walczyć. Ludzkość—mówi autor—powinna przyzwać do steru rządów przedstawicieli nauki. Nie mówi nam tylko, do jakich uczonych zwrócić się należy, a przecież i socyalizm ma swoich uczonych przedstawicieli. Zresztą, czy uczoność jest umiejętnością rządzenia? A jeżelibyśmy odpowiedzieli nawet twierdząco, to czy mądrość polityczna daje gwarancyę sprawiedliwości? Na te pytania nie znajdujemy w książce

zadawalniającéj odpowiedzi. Pomijając jednak te drobiazgi, przyznać musimy, że praca p. Domańskiego, mająca na widoku postęp i wolność jednostki, jest cennym nabytkiem w naszéj literaturze naukowéj. *K. Gr-*

Dr. E. Zivier — Geschichte des Bergregals in Schlesien bis zur Besitzergrefung des Landes durch Preussen. Kattowitz — Gebr. Böhm.—1898—IV. 370.

Mimo gruntownych praw Steinbacha i hr. Stienberga nad historyą górnictwa i praw górniczych na Szląsku — historya ta niezupełnie jest wyjaśnioną. Autor przyczynę téj niejasności upatruje w przeszłości Szląska, który pierwotnie część państwa Polskiego, w XII w. tworzy system państw niezależnych, następnie złączony węzłem lennym z Czechami, od XVI do XVIII w. stanowił część monarchii Habsburskiéj — dopóki nie nastąpiło „Besitzergreifung", jak się delikatnie wyraża, ze strony Prus. Autor bada więc historyę praw górniczych panującego na Szląsku, aż do obecnéj chwili, zaboru Pruskiego, z zamiarem wyjaśnienia kwestyi niejasnych w 6-ciu rozdziałach, a w końcu dzieła (str. 248—370) dołącza w wyciągach dokumenty historyi téj dotyczące.

Dla nas najbardziéj interesujące są dwa pierwsze rozdziały: początki górnictwa i historya prawa górniczego aż do przejścia Szląska pod zwierzchnictwo Czech. Przedewszystkiém zajmuje autora kwestya czy sztuka górnicza dostała się na Szląsk ze wschodu od Polski, czy z południa od Czech, czy też z zachodu od Niemiec. Jak wiadomo, Łabęcki, idąc za Herderem sądził, że górnictwa uczyli się Niemcy od Słowian; wielu uczonych, nawet niemieckich przypuszczało, że uczyli się go od Czechów; świeżo Koczanowicz wygłosił tę samą teoryę, którą nasz autor w pierwszym rozdziale stara się obalić. Argumenty jednak obu stron są prawie wyłącznie na lingwistyce oparte; czy *„saupe"* pochodzi od „zupy" a *„kubs"* od „kus", czy też sztolnia, szlachta, olbora i sztygar wzięte są z niemieckiego — to kwestyi ostatecznie rozwiązać nie może. Ważniejszym jest fakt, że Rzymianie prowadzili roboty górnicze w krajach z ludnością niemiecką i słowiańską; najprawdopodobniéj też od nich i Słowianie i Germanie uczyli się górnictwa i to o tyle o ile nie poznali go daleko wcześniéj. Powstanie umiejętnego górnictwa zdaje się być ściśle związane z istnieniem w społeczeństwie dość licznego stanu niewolników i wątpliwém jest czy w epokach organizacyi pierwotnéj górnictwo może wyjść po za sferę najpierwotniéjszéj metody

płóczkarstwa, zbierania rudy tylko z powierzchni ziemi i obrabiania jéj temi pierwotnemi sposobami, które są w użyciu u ludów afrykańskich.

Z kolei zajmuje autora pytanie skąd dostało się do Słowian — Czech i Polski — pojęcie praw górniczych panującego — regalii górniczych; czy z Niemiec? Jak chce Sternberg czy z prawa rzymskiego. Zivier sądzi, że do Czech dostało się ono z Niemiec. Co do Polski twierdzi, że wynikało ono z praw księcia do wszelkiéj ziemi niezajętéj. Początki górnictwa w Polsce sięgają czasów Chrobrego (Długosz pod 1025 r. o dotacyach kościołów), a w XII i XIII w. prawa panującego do bogactw górniczych są już zupełnie określone. W XIV w. prawa górnicze zostają skodyfikowane (1368 prawa górnicze Bochni i Wieliczki, 1374 Olkusza) i prawo 1374 r. uznaje wolność górniczą z zachowaniem zwierzchnich praw panującego i z zastrzeżeniem „olbory". Dopiero *pacta Conventa* Batorego (1576) przelały na właściciela powierzchni ziemi prawo do jéj wnętrza.

Istnienie górnictwa na Szląsku stwierdzają dokumenta już w 1163 r.; niezawodnie istniało ono już wcześniéj. Prawo górnicze polskie było na Szląsku w użyciu do XIV, a w górnym Szląsku nawet do XV w. W r. 1263 roku Tomasz biskup Wrocławski pisząc o przybyciu legata, pisze, że przybył „*ad nos in Poloniam*". Wpływ Niemców na górnictwo szląskie był większy niż w innych częściach Polski — prawa jednak do regalii górniczych książęta szląscy zdaniem Ziviera nie potrzebowali zapożyczyć od Hohenstaufów, bo w ogóle prawa książęce w Polsce były obszerniejsze od praw korony niemieckiéj.

Już w 1227 r. legaci papieża Honoryusza III sądzą spór między Henrykiem Brodatym a Wawrzyńcém (Laurentius) bis. wrocławskim o dziesięciny, między innemi o dziesięciny z górnictwa, przyczém okazuje się, że książe zobowiązał się płacić biskupowi dziesięcinę od dziesięciny, którą sam pobiérał. W Chełmińskich przepisach ziemskich (*Culmer Handfeste*) wydanych przez preceptora Zakonu Krzyżackiego Eberharda von Seyn dla ziemi Chełmińskiéj — przyznane są odkrywcy kopalni złota i właścicielowi ziemi te same prawa, „jakie są na Szląsku. Dowodzi to, że prawa górnicze szląskie już w XIII w. były dobrze znane po za granicami Szląska. Dwa kodeksa piśmienne tego prawa „Löwenberski" i Goldberski doszły do nas w odpisach XIV w. Oba opierają się na milczącém uznaniu prawa, panującego do wnętrza ziemi: w zasadzie niewolno jest dobywać nic z wnętrza ziemi bez zezwolenia księcia i jego „Magistra wody" (*Wassermeister*). Właściciel ziemi nie jest właścicielem jéj wnętrza, a tylko służy mu przed innemi prawo pierszeństwa. W Polsce panujący na własny rachunek prowadził kopalnie, na Szląsku wygłasza on prawo, że bez jego zezwolenia nikt, na-

wet na własnéj ziemi, górnictwa prowadzić nie może i w tém ogłoszeniu wyraźném praw panującego do wnętrza cudzéj ziemi Zivier dopatruje wpływu praw niemieckich, chociaż twierdzenie to stawia w formie pytania.

Prawo panującego do prowadzenia kopalni na własny rachunek Zivier uważa za pojęcie pierwiastkowe — prawo do dziesięciu z kopalni na cudzym gruncie w połączeniu z wolnością górniczą za pojęcie następcze. Nie zawsze zdaniem jego pojęcia te idą w historyi w tém samém następstwie czasu. Prawo do dochodów panującego z kopalń na ziemi prywatnéj w Rzymie zjawiło się po prawie właściciela powierzchni do własności wnętrza ziemi. Jeśli regalie górnicze na Szląsku i w Polsce wyrobiły się pod wpływem niemieckim, to pierwotne pojęcie: że panujący jest właścicielem wnętrza ziemi leżało, podług Ziviera, w zasadniczych pojęciach polskich o prawach panującego. Powołując się na szereg autorów naszych —poczynając od Lelewela a kończąc na Piekosińskim — autor, z literaturą polską historyczną obeznany, utrzymuje, że jeszcze w XII i XIII w. „a nawet i w późniéjszych czasach prawie (?) wszystka ziemia i wszystkie grunty (*Sämmtlicher Grund und Boden*) znajdowały się w bezpośredniém posiadaniu (*Besitz*) księcia" i dla tego sądzi on, że i cała własność szlachecka w Polsce powstała drogą nadań książęcych, że książę w pierwotnéj Polsce był właścicielem, czy posiadaczem (*Besitzer*) całego terytoryum państwa (str. 38 i 39). Stąd też panujący w Polsce był pierwiastkowo jedynym i wyłącznym właścicielem skarbów wnętrza ziemi (str. 40).

— *tr* —

Bogusław Butrymowicz. „Za słońcem". Poezye. Kraków 1898. Nakładem i drukiem A. Koziańskiego.

Mamy przed sobą przed paru miesiącami wyszły z druku tom poezyi p. Butrymowicza i chcemy z wrażeniem otrzymaném z przeczytania tych poezyi podzielić się z czytelnikami. Sądzimy, że w takiego rodzaju sprawozdaniu idzie głównie o wykazanie ogólnych, charakterystycznych rysów omawianego dzieła. Poszczególne błędy można wymieniać, lecz niekoniecznie potrzeba, ogólny zaś rys, ogólne pojecie dać potrzeba koniecznie, przez pominięcie bowiem tego nie wypełnilibyśmy zadania sprawozdawcy-recenzenta.

Zbiorek wierszy „Za słońcem" zawiéra kilka cyklów poezyi nastrojowych i opisowych, jako też i wiązankę zwykłych wierszyków (epigramy, myśli...). W cyklu p. t. „Promienie" poeta za przedmiot swego pienia bierze wiosnę, któréj zapewne jest wielkim wielbicielem. Są to

w znacznéj części wiersze nastrojowe i refleksyjne; opisowość zajmuje tu plan drugorzędny. Do udatniejszych zaliczyć potrzeba wiersz II. „Poranek wiosenny", VI „Marzenie poranku" i VII, w którym poeta wielbi słońce i przeklina noc „gwiaździstym płaszczem otoczoną", która mu zabiéra to słońce. Cykl „Cienie" jest jakby dalszym ciągiem „Promieni". Tam była wiosna tu jesień. „Chłód się, lęk jakiś wielmoży"...

„I łkasz.. a z ócz ci łzy płyną srebrne
Gorącą strugą — —
I chore oczy w strony nadniebne
Zwracasz i płaczesz i patrzysz długo,
Czyli nie zstąpi ztamtąd otucha —
. . . . ,
Czekasz—i oto wraca tęsknota"

za „słońcem", za „jasnemi krajami", „gdzie bogi światła wzniosły jutrzence z purpury tron"... Silnemi barwami skreślony XIV sonet, poświęcony „dniom szarawym, bezbarwnym, jesiennym", które przygnębiająco działają na poetę; „Ból, tęsknota i gorycz i żałość" opanowują nim i tworzą „jedną, głuchą elegię jesieni — —". Uwagę czytelnika zwrócić tu należy na oryginalną, nie pozbawioną powabu i melodyi, budowę V wiersza tegoż cyklu. Ze „strof lirycznych" wieje pesymizmem. Wiersz pisany z zapałem wielkim i przejęciem się.

„Czemu świat się raz nie skończy,
Kiedy dusz już runął skład,
Kiedy boleść dzika sączy,
Coraz gorszy w sercu jad?"..
. . . .
Tylko męka jedna zawsze — —
Wrzód za wrzodem wzbiera w niéj,
Tylko stopy coraz krwawsze
I powietrza coraz mniéj".

„Dwie noce" to kilka kart „nastrojowych" w guście *modern* z dziejów miłości. W cyklu „Poezyi" poeta maluje swój stosunek do poezyi i odwrotnie. Poezya dla niego jest „nadziemskim widem", które „albo w otchłań spycha, albo zbawia". Ją posiąść jest jego marzeniem.

„Ust swoich i ciała mi wzbraniasz
Nie chcesz być moją—czego chcesz odemnie?"

Poeta czuje w sobie zapał ku poezyi, czuje że go jakaś siła niewidzialna ku niéj popycha; dąży więc ku temu, by ten „nadziemski wid" zakląć w konkretne formy. Na chwilę wydało się poecie, iż „ją" już

posiadł, iż ot stworzy już dzieło coby dorównało jego ideałowi, lecz „sen to był tylko...

„Czułem twe zbliżenie —
Szłaś a wraz z tobą cudu zwiastowanie
I miałem w duszy takie kołysanie,
Jakie w powietrzu czasem bardzo głuchem
Czyni jabłoni kwiat—słabym podmuchem
Puchu lecący w miękkie traw usłanie".

Teraz więc jeszcze jéj nie zdobył, lecz nie wątpi że zdobędzie.

„ . . . . . Bądź zdrowa na teraz
Przyjdzie czas, że cię pozyszczę,
Wchłonę twe wdzięki—światła, tony, farby,
Jak kolor morza koncha ssie perłowa...
Mą niewolnicą będziesz—i bożyszczem!"

Cykl „Melodye"—zbiorek wierszy pogodnych, kilka obrazków natury. Podania biblijne o „jabłku", i o Kainie i o Ablu dały poecie powód do wypowiedzenia w formie sonetów kilku myśli ogólno-ludzkich o męczarniach żywota, o niesprawiedliwości i t. p. Kończą zbiorek „epigramy" i „myśli", wśród których znajduje się kilka zabarwionych humorem i ironią — i nakoniec wiersz większych rozmiarów „Hymn do nadziei".

Ostatecznie winniśmy tu dodać, iż zbiorek ten zawiera też dwa wiersze Lenau'a („Śmierć wiosny" i „Rozłąka"), które przy zachowaniu formy wiersza oryginalnego nader ściśle i wiernie oddają i treść jego.

Ogólne wnioski o tym zbiorze poezyi dadzą się zawrzéć w tych słowach. Widoczne są usiłowania autora o różnorodność formy i unikanie popadnięcia w szablonowość. Stara się też autor o melodyjność wiersza i często udaje mu się otrzymać nader melodyjne ustępy. Co się zaś tyczy treści, to wiersze mające za przedmiot ogólno-ludzkie ideały stanowią małą cząstkę całego zbiorku, przeważają erotyki, aczkolwiek i te nie zajmują tu znów wiele miejsca. Natomiast dużo tu pieśni poświęconych zniechęceniu, tęsknocie, „stubarwnym marom" „bez śladu gdzieś rozwianym", zawodom i żalom... Czasami się poeta unosi i w barwach jaskrawych a silnych zaakcentowuje swoje poglądy. Ideały jednak poety nie występują w tych wierszach wyraźnie, jednolitą dążnością do pewnego ideału nie są wyraźnie określone. Poeta najczęściéj znajduje się w chwilach zwątpienia, nastrojony jest zwykle pesymistycznie, spoziéra na świat z po „za słońca" (jak to też w tytule zaznaczył) i tęskni za niém, za jego promieniami. Gdy zajdzie słońce, które jest mu „wszystkiém—światłem, ciepłem, Bogiem", za którém

biegną jego oczy, jak za matką, kochanką, szczęściem i rozkoszą...” gdy zajdzie ono „A niebo w czepiec szary się oblcka—I nocy czeka”— wówczas poeta zapada w smutek.

„Wróci—ja wiem, że wróci—jutro lub pojutrze,
„Zapłonie znów, jak lampa w błękitnym kościele,
„Lecz tych dni, tych nadziei już przeszło tak wiele,
„A istnienie o każdy upłyniony dzień krótsze...“

Zarzucić można poecie, że nie zawsze jest jasny w wyrażaniu swych uczuć i myśli—czy to przez rozkład słów, czy też przez niezbyt udatny ich dobór. Ogólne jednak wrażenie czyni ów zbiorek względem autora, optymistyczne — należy mu się więc z tego powodu zachęta do dalszéj pracy. *Henr. U.*

Józef Stanisław Wierzbicki. „O brzasku“. Nakładem księgarni Filipowicz-Dubowika w Mińsku gub., Gebethner i Wolff w Warszawie 1898 r.

Gdybyśmy chcieli w kilku słowach ująć charakterystykę talentu p. Wierzbickiego i jego nastroju, przyszłoby to nam z niemałą trudnością. Zatrąca on bowiem tyle różnodźwięcznych strun w swoich utworach, rzuca tyle plam różnobarwnych ze swéj palety, że niepodobna złozyć z nich artystycznéj całości. Uwielbienie natury, uduchowienie jéj przez roje istot skrzydlatych, elfów, sylfów, chochlików i rusałek, Ondyny i Nikse, poezya trubadurów i truwerów, prastare wierzenia i obrazy poetyczne ludów z nad Indu i Gangesu, odwieczna mitologia grecka, wreszcie smętne i rozmyślania, nad znikomością tego, co ziemskie i ludzkie—wszystko, to staje się źródłem natchnień dla p. Wierzbickiego.

Z dwunastu cyklów, na które podzielił autor swe poezye, zawarte w niniejszym zbiorku, wyróżniają się niektóre motywami i nastrojem. Pierwszy cykl, zatytułowany „O brzasku”, składa się z kilkunastu obrazków, w których przeważa jeden wybitny motyw—opis natury, ale nie w różnorodnych jéj objawach; poezye te są właściwie rozwinięciem jednego tylko motywu, stanu natury w chwili, rozgraniczającéj noc i dzień—o brzasku. Poeta lubuje się w tym tajemniczym półśnie całéj przyrody, lubuje się w półcieniach, półgłosach, szeptach, drżeniach, półsłowach i niedomówieniach. To téż owe półcienie i półsłowa stanowią przeważną cechę jego poezyi. Niéma tu barw jaskrawych, dźwięków ostrych, wyrazów silnych, działających na wyobraźnię czytelnika i wywołujących potężne wrażenie — wszystko rozlewa się w owéj nieuchwytnéj, nieokreślonéj mgle poranka, przesłaniającéj wszystkie przedmioty jakąś mistyczną zasłoną. Cierpi na tém obrazowość tych

poezyi, z których żadna nie zdoła utkwić w wyobraźni czytelnika, przemówić do niéj poetycznym obrazem, niespodzianym zwrotem lub śmiałą przenośnią. Mgła — kwiaty drżą — rusałki i chochliki i elfy zaglądają ciekawie do ich kielichów—szepty tajemnicze—cisza—lekki wietrzyk zaledwie trąca lilie i róże — rój motyli uwija się bez szelestu nad kwiatami.

A daléj zjawiają się postacie przepięknéj poezyi średniowiecznéj rycerskiéj: Roland, Lancelot, Trystan i Izolda, Ginewra, Parcival i t. d. Kilka utworów z tego cyklu zasługują na wyróżnienie: „Na morzu" —na fali kołysze się ciało topielca, a fala zcicha szepce mu na ucho:

Że kędy wschód słońca
Jest skała daleka,
Gdzie matka płacząca
Z tęsknotą go czeka...

A inny utwór z tego cyklu „Taniec" z pewną nawet siłą wyrazu maluje piekielne tany szkieletów pod dźwięki „skocznéj lecz dzikiéj" muzyki. To samo da się powiedziéć i o dwu innych cyklach z tego zbiorku: „Na łonie natury" i „Echa jesienne", ten sam panuje w nich nastrój, natura maluje się temi samemi barwami.

W cyklu „Elegia" znajdujemy kilka drobnych, lecz wdzięcznych obrazków. „Stara komnata"—to dziadek zgrzybiały siedzi „w starém krześle" i ciekawie wypytuje wnuka: „Co tam słychać w świecie, mów!" a ten szepce mu „dzieje życia łez i burz" aż wśród tych smutnych opowieści:

Dziad pochylił dawno (!) głowę
I śni w starym grobie już.

„Sąsiadka"—to staruszka, co „na poddaszu w domostwie maleńkiém" „ślipa (!) nad igłą" po nocach, a wreszcie przenosi się do lepszéj krainy, „do dzieci—daleko". „Senne gwiazdy"—wreszcie, jest to piękny obraz nocnéj ciszy, kiedy to

Liść nie szemrze, wiatr nie dyszy,
Nie szeleści złota błoń...

I poeta sam wśród swéj błogiéj ciszy zapragnął być jéj cząstką i „pośród życia jazdy ukołysać tęskną skroń".

Utwory zawarte w cyklu „Z teki fakira", osnute są na tle bogatéj fantazyą poezyi indyjskiéj: widzimy więc tu Wiswamitrę na łonie uroczéj gór Nimfy, boskiego Krisznę, rozmiłowanego w pasterce imieniem Radha, wreszcie Lakhmi, boginią piękności, zjawienie się któréj wśród natury wlewa w nią nowy pierwiastek „wiosny, szczęścia, słońca..."

Wiersz z cyklu „Pod niebem greckiém" na tle obrazów zaczer-

pniętych z greckiéj mitologii, niczém wybitném się nie wyrożniają; ażeby wlać w zużyte formy mitologii klasycznéj nowego ducha, na to trzeba posiadać olbrzymi dar fantazyi i siły słowa, których p. Wierzbicki w swych poezyach nie zdradził.

Odmienny cokolwiek nastrój panuje w poezyach, objętych nagłówkiém „Z dziedziny prawd". Przedstawia nam tu p. Wierzbicki ducha ludzkiego, dręczonego odwiecznemi zagadkami natury i ludzkości, nie rozwiązalnemi tajemnicami bytu, przedstawia ironię życia i śmierci.

Oto wśród wesołéj i hucznéj biesiady zjawia się nowy gość, nieoczekiwany — śmierć, i jeden z biesiadników pada na czoło bez życia; oto dziecię z pustotą dziecinną przygląda się czaszce, w któréj uwiły gniazdo „szczebioczące ptaki"; oto ludzie na maskaradzie życia błąkają się „jak maski dziwne i milczące", aż „przychodzi śmierć i zdziera maskę z naszéj twarzy". Czém jest życie nasze? czém śmierć? — to tajemnica!

Niepoznawalny, co się w gwiazd przepaściach chowa
I promieniami uczuć w nas przyświeca,
Wypisał nam na sercach te dwa słowa:
Śmierć, tajemnica!

I daremnie duch ludzki sili się te tajniki rozwiązać: żyć—to znaczy

. . . Szukać i nie znaleźć rozwiązania
Zagadki bytu.

Jedna wiara mogłaby nam rozświecić te ciemnie — cóż, kiedy z kącika duszy daje się wciąż słyszeć szept przekory: „A może inaczej?!"

Wyczerpaliśmy wszystkie tematy poezyi p. Wierzbickiego. Trzeba mu przyznać wielką łatwość wierszowania, wiersz płynie mu gładko i potoczyście — pewne usterki wersyfikacyjne trafiają mu się dość rzadko. Jest nawet w tych utworach pewna myśl filozoficzna, jest ukochanie natury, zwłaszcza w stanie ciszy i spokoju, który tak przypada mu do jego usposobienia. Brak mu tylko silnéj obrazowości, brak męzkiéj energii wiersza i słowa. To gubienie się w półtonach, w których rozlewa się i myśl i obraz, co poeta zamierzył nakreślić, ujemnie wpływa na jego poezye, które swą jednobarwnością nużą czytelnika, a owe dreszcze tajemnicze, które stanowią jeden ze stałych, uporczywie powtarzających się co kilka wierszy efektów, mogą wywołać wrażenie nie zbyt dodatnie.

Mniéj mgieł, szeptów, mroków i drżeń, więcéj trochę męzkości i skupienia się, a p. Wierzbicki przy swéj zdolności wierszowania może tworzyć rzeczy o wiele piękniejsze i bardziéj wartościowe.

H. Galle.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— Od października r. b. wychodzi w Warszawie „*Światło*", czasopismo miesięczne, poświęcone fotografii i wiadomościom z nią związanym, objętości od 30 do 40 arkuszy druku rocznie. Prócz artykułów objaśnianych ilustracyami w tekście, daje po za tekstem wzory reprodukcyi fotograficznych rozmaitego rodzaju. Trzy zeszyty, które się dotąd ukazały, mają treść interesującą a szatę zewnętrzną ozdobną. Redaktorem jest znany w kołach naukowych prof. J. J. Boguski.

— Dnia 3 października 1898 r. odbyło się posiedzenie Wydziału matematyczno-przyrodniczego Akad. Um., na którém czł. N. Cybulski przedłożył tymczasowy komunikat p. A. Wróblewskiego o „Nowym białkowym składniku mléka". Dotychczas były znane trzy proteinowe składniki mléka: sérnik, globulina mléczna i białko mléczne; autor odkrył w mléku jeszcze jedno ciałko białkowe, odznaczające się znaczną zawartością siarki oraz własnością opalizowania, jaką posiadają roczczyny, które też dlatego zostało tymczasowo nazwanem opalizyną.

Na posiedzeniu wydziału filologicznego z dnia 10 października r. bież. czł. J. Bystroń mówił: „O pisowni i języku ksiąg ustaw polskich z XV w.", opiérając się na materyale językowym, zawartym w czterech rękopisach: w tak zwanym kodeksie Świętosławowym, w kodeksie Działyńskich, Dzikowskim i Stradomskiego.

Na posiedzeniu Wydziału historyczno-filozoficznego z dnia 17 października podał członek prof. St. Smolka wiadomość o „Korespondencyi Stanisława Augusta z Piattolim". W Paryżu, w rękach prywatnych, znajduje się zbiór oryginalnych biletów Stanisława Augusta, pisanych w latach 1790—1792 do ks. Scypiona Piattolego. Prelegent, który otrzymał odpisy tych biletów, widzi w nich cenny materyał do charakterystyki osobistego stosunku między królem a Piattolim; niewielka tylko stosunkowo część szczegółów odnosi się do historyi politycznéj, a mianowicie do sprawy żydowskiéj, która traktowała się w sejmie z końcem r. 1791 i z początkiem 1792. Dr. Feliks Koneczny zdał następnie sprawę z swéj pracy p. t. „Liturgia króla Jana III Wazy". Autor występuje przeciw powszechnie przyjętemu mniemaniu, jakoby król szwedzki Jan III był katolikiem i jakoby dążył do stopniowe-

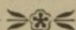
go przyrócenia katolicyzmu w swém państwie; twierdzi natomiast, że król ten sam ułożył nowe wyznanie wiary i chciał je narzucić krajowi

Dnia 7 listopada 1898 r. na posiedzeniu Wydziału matematyczno-przyrodniczego. Akad. Um. prof. T. Browicz odczytał rzecz p. t. „Obraz mikroskopowy komórki wątrobnéj po wstrzyknięciu do żyły szyjnéj rozczynu hemoglobiny". Następnie prof. Ed. Janczewski przedstawił rezultaty swoich badań nad „Dwupostaciowością gruszek". Wreszcie prof. dr. N. Cybulski podał treść prac p. A. Wróblewskiego: „O soku wyciśniętym z drożdży" i p. W. Heinricha: „O wahaniach w natężeniu minimalnych wrażeń optycznych i akustycznych".

Na posiedzeniu wydziału filologicznego z dnia 14 listopada, streścił prof. K. Morawski pracę swoją p. t. „*De rhetoribus latinis observationes alterae*". Przedstawił w niéj i poparł dowodami retoryczny charakter czterdziestéj księgi Liwiusza, następnie określił rozwój niektórych frazesów retorycznych u historyków rzymskich, w opisach bitew, zwycięstw i klęsk.

Na posiedzeniu Wydziału historyczno-filozoficznego z dnia 21 listopada przedłożył dr. Stanisław Estreicher część pierwszą swojéj pracy p. t. „Początki prawa umownego ze szczególném uwzględnieniem rozwoju prawa w Niemczech". W części téj streścił i ocenił główne teorye rozwoju prawa umownego; następnie przeszedł do prawa umownego ludów pierwotnych i przedstawił warunki ukształtowania społecznego, od którego to prawo zależne; w końcu omówił powstanie kontraktu realnego i konsensualnego w prawie średniowiecznem.

KRONIKA MIESIĘCZNA.



Nim te słowa dojdą do rąk czytelników naszych, w Warszawie na Krakowskiém-Przedmieściu odbędzie się uroczystość wielka, wzruszająca i rzadka. Tłumy uchylą w milczeniu czoła przed największym poetą polskim. Warszawie przybędzie pomnik, będący widomym symbolem najwspanialszéj twórczości, na jaką myśl polska zdobyła się na swych wyżynach, a krocie ludności nauczą się hołd oddawać temu, który stworzył formę, starczącą za wzór pokoleniom i tchnął w nią myśl czystą, prawą, szlachetną.

W Mickiewiczu czcimy wielkiego zdobywcę, który dla poezyi naszej podbił rozległą dziedzinę, odsłaniając przed nią nowe światy, a który równocześnie okrył ją blaskiem sławy.

Mistrz słowa, doczeka się hołdu, jaki mu w głębi serc niósł naród oddawna. Postać poety, wyzwoloną z osłon, jakiemi otoczyły ją doktryny polityczne i walki stronnictw, widzimy dzisiaj bez znikomych szat przemijającéj chwili; widzimy ją w blasku promieni wiekuistych, w jakim przejdzie do nieśmiertelności.

Obok pomników dla uczczenia przeszłości stawiają narody gmachy, w których kiełkować ma ziarno przyszłości. W Warszawie zaczną się niebawem roboty koło budowy naszéj szkoły politech-

nicznéj, a od ofiarności społeczeństwa będzie zależało, czy budynki te rozległością i urządzeniem odpowiadać mają wymaganiom nauki współczesnéj i potrzebom kraju.

Królestwo Polskie staje się krajem przemysłowym, wyraźna do niedawna przewaga produkcyi rolniczéj zanika stopniowo. Mimo niezaprzeczonego postępu w systemie gospodarowania, nie może rolnictwo dotrzymać kroku rozwojowi przemysłu, przybiérającego rozmiary, nieprzewidywane poprzednio. Od przyszłości naszych fabryk i kopalń zależy przyszła zamożność społeczeństwa, zależy przyszła dola ludu nie znajdującego już pomieszczenia na łanie rodzinnym i garnącego się tłumnie do wielkich ognisk przemysłowych.

Równocześnie atoli przechodzi przemysł nasz przez inne niezmiernie ważne przeobrażenie. Gałąź przyniesiona z zagranicy i zasadzona na naszéj glebie, puściła głęboko korzenie i wciąga niemi coraz więcéj soków miejscowych. Polszczenie przemysłu odbywa się stale choć nie równomiernie. Nie wszędzie zjawisko to przedstawia się jednakowo. W pewnéj tylko części zasługuje on w zupełności na nazwę polskiego. Dawać mu to miano można tylko tam, gdzie począwszy od kapitalisty a skończywszy na robotniku, cały świat fabryczny składa się z pierwiastków krajowych. Na ogromnym jednak obszarze kraju panują do dnia dzisiejszego stosunki takie, iż obok cudzoziemskiego kapitału mamy dziesiątki tysięcy polskich rąk roboczych.

Między przedsiębiorcą a robotnikiem istnieje atoli rozległa sfera pośrednia. Jest to świat pracowników z wyższém wykształceniem fachowém, pracowników, wkładających swą wiedzę w organizm fabryczny, stanowiących duszę produkcyi przemysłowéj.

Warstwa ta, do niedawna w części tylko złożona z krajowców, staje się coraz bardziéj polską. Napływ młodzieży naszéj z zakładów naukowych w cesarstwie i zagranicą powiększa liczbę kandydatów na posady, które przed ukazaniem się ustaw o cudzoziemcach oddawano bez wachania tym ostatnim. Dziś już atoli słyszéć się dają głosy, że, bez znacznego pomnożenia liczby techników polskich, nie zdołają oni opanować pozycyi, która im powinna przypaść w udziale. I nadejść może chwila, w któréj krajowcy nie będą w stanie zapełnić wakujących posad, a społeczeństwo będzie równocześnie produkowało prawników, szukających chleba nad Wołgą, lub nawet za Uralem, i lekarzy przymierających głodem w Warszawie.

Pamiętać trzeba i o tém, że i na téj dziedzinie istnieje współ-

zawodnictwo, z którém liczyć się trzeba. W Kijowie dzięki ofiarności miejscowego społeczeństwa, politechnika ma zapewnione pomieszczenie. W razie braku uzdolnionych fachowców w Królestwie, musieliby przedsiębiorcy nasi zasilać swe zakłady wychowańcami tamtéj szkoły.

Potrzebujemy więc zakładu naukowego, potrzebujemy budynków, w którychby się pomieścił wygodnie; gdy to się znajdzie, o byt jego troszczyć się nie trzeba, gdyż na utrzymanie przeznacza rząd sowitą sumę 261,000 tys. rubli rocznie. Na samą budowę przeznaczony jest dotychczas milion. Nie wątpimy, że skoro nie wystarcza to żadną miarą na przedsięwzięte dzieło, społeczeństwo brakującą sumę, acz bynajmniéj nie drobną, dołoży. Wszak ofiara ta płynie dla swoich.

Związana z kwestyą kształcenia młodzieży kwestya prac i studyów naukowych zaczęła właśnie témi dniami zajmować umysły wskutek polemiki o kasę Mianowskiego. Zarzucono téj instytucyi, że niektore działy nauki popiéra jednostronnie z uszczerbkiem działów innych, że ma szczególne względy dla medycyny, a pewną niechęć do rzeczy ojczystych, że kieruje się oschłym formalizmem tam, gdzie idzie o spełnianie zadań, które wymagają żywego przejęcia się dobrem ogółu.

Z polemiki, która się wywiązała, niepodobna nie wysnuć wniosku, że zarzuty te tchną pewném uprzedzeniem i podejrzliwością. Zarząd kasy wykazał cyframi, że znaczne sumy obrócił na wydawnictwo przysłów polskich, że „Wisłę" zasila datkami znacznemi, że część dzieł lekarskich wydana została ze specyalnego funduszu, który inaczéj użyty być nie może, a wreszcie — że to, co krytyka nazwała przesadną formalistyką, było tylko sumienném wykonywaniem przepisów ustawy, bez czego żadna instytucya publiczna pożytecznie działać i rozwijać się nie może.

Wyznajemy otwarcie, że w postępowaniu Kasy nie możemy się dopatrzéć tych ciężkich przewinień, o które ją oskarżano. Wielkich zasiłków, któreby się mogły równać z tém, co podobne instytucye w innych krajach wypłacają uczonym na kosztowne podróże, lub kosztowniejsze jeszcze poszukiwania archeologiczne w zagrzebanych miastach, nie dostarcza oczywiście nikomu nasza biédna kasa warszawska. Natomiast każdy, kto poprzestaje na małém, a posiada nieco cierpliwości i stosuje się do wymagań, określonych ściśle ustawą — pieniędzy z niéj dostanie. I my wolelibyśmy, by w spisie

dzieł, które do chrztu trzymała, znajdowało się więcéj takich, które stanowią nowy szczebel w nieskończonéj drabinie, pnącéj się ku słońcu, i my wolelibyśmy, żeby patronat jéj, na tytule wyrażony, był dla cudzoziemców rękojmią, że książkę polską warto na ich język tłumaczyć i my wolelibyśmy, żeby kasa przy rozdawaniu zapomóg miała w czém wybiérać, żeby komitet był za każdym razem w rozpaczy, nie mogąc obdzielić wszestkich przedsięwzieć naukowych, z których każde roznieść może sławę nauki polskiéj na krańce świata. Ale pragnąc zawsze więcéj, niż mamy, nie zapomimy, równocześn;e, że kasa nie jest szkołą. Nie wychowuje ona uczonych, nie kieruje ich krokami, nie udziela im natchnienia, ale wierna swemu przeznaczeniu wspiera tych, którzy są, i takich jacy są. Nie nad tém biadać trzeba, że komitet czasem bywa w kłopocie, któremu z dwóch kandydatów przyznać zapomogę, ale nad tém, że tak rzadko bywa w tym kłopocie.

Niesłychanie mała jest nasza produkcya naukowa w porównaniu z miastami zagranicznemi. Nie mówimy już nawet o miastach uniwersyteckich. Są całe dziedziny wiedzy ludzkiéj, w których twórczość Warszawy nie może się równać miastom, nie mającym zresztą najmniejszéj pretensyi, by je wliczano między siedliska nauki; w zakresie np. nauk prawnych nie robi się u nas tak, jakby nic. Przypatrzmy się, jak to inaczej wygląda w takim Hamburgu, lub Frankfurcie nad Menem. Nie mamy ani prawdziwego zamiłowania, ani wytrwałości, by popracować samemu; nie mamy téż dostatecznego poszanowania dla pracy innych.

Nauka niemiecka stoi wysoko. Nie wyobrażajmy sobie jednak, że Niemcy zawdzięczają to wyłącznie téj grupie ludzi, którzy z głośnym tętentem co roku rydwan jéj posuwają naprzód. Grupa ta mniéj jest liczna, niżby się na pozór zdawało, a do życia samodzielnego, odosobnionego, niezasilanego sokami żywotnemi z dołu, nie byłaby zdolna. Wspaniały ten posąg stoi śmiało, bo czuje pod sobą silne podmurowanie z drobnych cegiełek. Temi cegiełkami są cisi pracownicy, mniéj może zdolni, niekiedy tylko mniéj śmiali w hipotezach, lub mniéj szczęśliwi w poszukiwaniach. Nie są to wyłącznie uczeni z zawodu. Na setki, na tysiące może liczyćby się dało między nimi miłośników nauki, dumnych, że im całe życie wolno spędzać w otoczeniu téj wielkiéj pani, a nieposiadających się ze szczęścia, gdy z ich ręki raczy przyjąć najdrobniejszy strzępek, który rzuca natychmiast między stos podobnych gałganków. Stosu tego

lada komu tykać nie wolno. Przyjdzie za chwilę mistrz i z szmatek tych powstanie szata wzorzysta.

Społeczeństwo niemieckie, francuzkie, angielskie, nie urąga takim ptakom niższego lotu. Rozumié ono, że bez tych nie byłoby tamtych. O ile więc może, zachęca jednostki do pracy naukowej. Na własną rękę próbuje chleba naukowego syn bogatych rodziców, któremu nie smakuje żaden zawód, wymagający karności i znoszenie cudzych zachcianek; z nim w parze oddaje się badaniom zbogacony przedsiębiorca, dość zamożny, by zadawalniać upodobania, dość jeszcze młody, by je miéć; oficer, który porzucił służbę, adwokat, któremu praktyka pozostawia dosyć wolnego czasu, są szeregowcami téj wielkiéj armii. Jeden bierze za przedmiot studyów archiwum swojéj parafii, drugi florę swego ogrodu, trzeci zjawiska meteorologiczne okolicy. W najbliższém ognisku życia naukowego nie lekceważą ich pracy. Pamiętają, że bez cegiełek murować nie można.

Tego powszechnego zajęcia się nauką jest u nas niesłychanie mało. Gdyby go więcéj było, wzrosłaby liczba tych, których kasa Mianowskiego wspieraćby nie mogła, ale z czasem pozyskałaby i takich, którzyby téj kasie przynosili chlubę.

Od lat kilku więcéj niż kiedykolwiek rozprawiano u nas o ważności pracy zbiorowéj, zorganizowanéj, jawnéj, o jéj dodatnim uzdrawiającym wpływie, o jéj pedagogicznêm dla narodu znaczeniu. Dopiéro w chwili, gdy ludzie zabiérają się do roboty, zaznajamiają się z tysiącami trudności, wśród których wypadnie im pracować. Jedną z najważniejszych trudności jest u nas nieznajomość własnego kraju. W ciągu dni kilku można sobie pocztą sprowadzić więcéj materyałów dotyczących któréjkolwiek prowincyi pruskiéj, niż się ich przez pół roku gromadzi dla Królestwa. Dane statystyczne istnieją. Znaléźć je można w biurach rządowych, w dyrekcyach wielkich instytucyi finansowych, w kantorach fabryk. Kto jednak potrzebuje ich szybko, uczuwa dotkliwie brak statystyki uporządkowanéj, wszechstronnéj, wyczerpującéj. Nie mamy pod ręką kolumn, któreby na każde zawołanie rozstrzygnęły wszelką kwestyę wątpliwą. Nie wiemy dokładnie, ile produkujemy i w jakim gatunku; nie wiemy skąd sprowadzamy, to czego nam brak, i dokąd wywozimy to, czego nie zużytkowujemy na miejscu. Nie mamy dokładnego przeglądu naszych długów, ani sum, którémi rozporządzamy poza granicami kraju, nie posiadamy jasnego, przejrzystego zestawienia podatków,— a cóż dopiéro mówić o statystyce życia gminnego, o statystyce sto-

warzyszeń, o tych wszystkich działach, bez ujęcia których w cyfry niéma prawidłowego kompletu statystyki.

Narzekania na te braki dały się uczuwać nieraz. By im zaradzić, wystąpił p. St. Kempner w sekcyi handlowéj Towarzystwa przemysłu i handlu z wnioskiem o założenie biura statystycznego, któreby zajmowało się gromadzeniem i ogłaszaniem materyałów statystycznych. Komisya wybrana w tym celu, ma nadać projektowi kształt konkretniejszy. W zasadzie spotkał się on z sympatyą powszechną. Przedewszystkiém atoli i w tym wypadku pamiętać trzeba, że początek jest trudny. Biuro takie nie może być ani biurem wzorowém, ani kosztowném, ani obsługiwaném przez liczny komplet urzędników. Będzie miało skromny zakres i nie zasypie odrazu Warszawy dziesiątkami tomów. Miejmyż więc trochę cierpliwości i nie wymagajmy od razu zbyt wiele.

*

* *

Za objaw zdrowy uważamy przedewszystkiém widoczną chęć sumiennego poznania własnego kraju, jego położenia obecnego, jego potrzeb. Nie może zdrowo rozumować o tém, czego nam potrzeba; kto nie wié, jakie czynniki wywołały stan dzisiejszy. Fantazye na temat przeszłości, to najpewniejsza rękojmia błędów i omyłek w teraźniejszości. Nie ten zabezpieczył się przeciw nim najskuteczniéj, kto najgłębiéj wniknął w oderwane teorye nauk społecznych i nauczył się śmiało operować definicyami, lecz ten kto wié, skąd pochodzą potrzeby, odczuwane przez kraj cały, kto zrozumiał, dlaczego nie mogły im zaradzić środki, jakie stosowano w przeszłości i kto nauczy się, co naśladować, a czego unikać należy.

Dlatego téż do dodatnich stron współczesnego życia umysłowego zaliczamy tę niekłamaną chęć poznania dziejów kraju. Śmiało twierdzimy, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy społeczeństwo nasze bardziéj postąpiło w téj mierze, niż nieraz w przeciągu lat kilkunastu dawniejszemi czasy. Nie tu pora wyliczać z bibliograficzną ścisłością tytuły wszystkich prac, które w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy wyszły z pod pras drukarskich, bądź jako oddzielne książki, bądź w czasopismach. Przypomnijmy sobie jednak, iż świeżo „Biblioteka Dzieł Wyborowych“ dała nam czterotomową historyę

Polski, że równocześnie ukazało się dzieło Tatomira, że niezadługo ukazać się ma takież studyum Augusta Sokołowskiego; nie zapominajmy, że w tymże czasie zjawił się szereg pamiętników bądź po raz pierwszy wydanych, bądź téż mało już znanych najmłodszemu pokoleniu czytelników. Publiczność nasza czytała w roku ubiegłym pamiętniki gen. Chłapowskiego· gen. Kołaczkowskiego, Leona Dembowskiego, Anny Potockiej, Franciszki Krasińskiéj, majora Raczyńskiego, Franciszka Karpińskiego; dodajmy do tego przedruk „Dziejów Ks. Warszawskiego", dodajmy do tego prace takie, jak wychodzące obecnie pod tyt.: „Przed Burzą" dzieje reform prawodawczych w Królestwie, a przyznamy, że społeczeństwu chęci uczenia się odmówić nie można.

Ale nauka historyi byłaby bezpłodna, gdyby równocześnie nie obchodziło nas żywo wszystko, co z dolą naszego społeczeństwa związane jest obecnie,

I pod tym względem śmiało stwierdzamy postęp. Minęły czasy, w których za wykształcenie polityczne uchodziła umiejętność sponiewierania Crispi'ego, litowania się nad Gambettą, uczenia rozumu Gladstone'a, czasy, w których za niepospolitego męża stanu uchodził ten, kto, nie wyjeżdżając z Warszawy, potrafił wywróżyć przesilenie gabinetowe w Grecyi lub Argentynie. Dziś inna nastała moda. Zamiast o uroczystościach zaręczynowych na wyspach Fidzi dzienniki nasze zajmują się coraz częściéj budżetami miast w Królestwie; zamiast przyszłym ustrojem społeczeństw na wyspie wiecznéj szczęśliwości—sądami gminnemi, zamiast debatami w Kortezach sprawą wynagrodzenia za propinacyę i ochronę leśną. Zmieniły się tematy rozmów na poważnych męzkich zebraniach. Romantycy dawnéj szkoły nudzą się na nich—prawda!

Gdybyśmy chcieli wyliczyć wszystko, co za postęp uważaćby można, nie pominęlibyśmy pewnych kiełkujących objawów umiejętności organizowania się przy wspólnéj pracy, Komitet mickiewiczowski zdał egzamin z téj tak rzadkiéj u nas cnoty—celująco. Dowiódł, że są u nas jeszcze ludzie, umiejący pracować cicho, zgodnie, z wyraźną świadomością celu i z umiejętnością zaskarbienia sobie zaufania ogółu.

Gdybyśmy się nie lękali, że zapędzimy się zadaleko, mielibyśmy ochotę podzielić się z czytelnikami jeszcze jedném spostrzeżeniem; zdaje nam się chwilami, że dostrzegamy przebłyski cnoty,

o któréj, jako żywo, kroniki tego kraju nigdy dotąd nie pisały. Cnotą tą jest poszanowanie cudzego zdania. Zdarza nam się niekiedy wpadać na domysł, iż ktoś, kto się z nami w zdaniu nie zgadza, może jeszcze mimo to nie być skończonym łotrem.

Czy to złudzenie, czy naprawdę zmiana na lepsze? W dniach świątecznych—w okresie święta rodzinnego, święta dusz dziecięcych, pełnych wiary w bliźnich, niech i nam wolno będzie miéć wiarę, że to naprawdę krok ku lepszemu.

Tadeusz Smarzewski.



Wydawcy: *Wł. Spasowicz* i *St. Łaguna.*
Redaktorowie: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*